MATT RENDELL

# MARCO PANTANI

## OSTATNI PODJAZD

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

# MARCO PANTANI

## OSTATNI PODJAZD

MATT RENDELL

# MARCO PANTANI

## OSTATNI PODJAZD

TŁUMACZENIE
BARTOSZ SAŁBUT

KRAKÓW 2020

# Prolog

Jedna przecznica od nabrzeża. Jednokierunkowa Viale Regina Elena odchodzi od centrum Rimini i ciągnie się na południe. W środku lata w miasteczku jest siedmiokrotnie więcej ludzi niż zimą. Na Viale się od nich roi. Poza sezonem arkady i lodziarnie są pozamykane, w butikach pojawiają się przeceny. Jako że nie ma zbyt wielkiego ruchu, na Viale wyrównuje się wtedy bruk, remontuje fasady i czeka na wiosnę.

Mężczyzna, który w poniedziałek 9 lutego 2004 roku o 14:00 zameldował się w hotelu Residence Le Rose przy Viale Regina Elena 46, miał przy sobie tylko ciemnozieloną saszetkę i torebkę z lekami. Nie był w najlepszym stanie. Dostał pokój 5D, a potem na 20 minut wyszedł z budynku. Wtedy znalazł się na dworze po raz ostatni. Po powrocie do pokoju pozamykał okna, zaciągnął zasłony i włączył ogrzewanie. Jeszcze niecałe pięć lat wcześniej Marco Pantani był jednym z najbardziej rozpoznawalnych, inspirujących sportowców. Teraz zamierzał wycofać się ze świata.

Krótko przed 21:00 wykonał z pokoju dwa telefony. O 22:10 odebrał telefon od kogoś, kto dzwonił do niego. Kilka chwil później ktoś go odwiedził, ale spotkanie trwało góra dwie minuty. Na 20 minut przed północą odbył jeszcze jedną, ostatnią rozmowę telefoniczną. Przez cztery następne dni, gdy tylko coś działo się na korytarzu, otwierał drzwi i wdawał się w chaotyczną rozmowę. Larysa, pokojówka z Ukrainy, sprzątała pokój w jego obecności. Pantani zachowywał się spokojnie i uprzejmie. Zapytał ją, skąd pochodzi, ona mu odpowiedziała. Po włosku umiała posługiwać się jedynie rzeczownikami i czasownikami w formie bezokolicznika, więc gdy w piątek 13

lutego Pantani zadał jej mniej oczywiste pytanie: „Jak wyglądam?”, Larysa wykrztusiła jedynie: „Nie wiem, nie znam pana”. Wtedy Pantani ją odesłał.

O 20:00 tego wieczoru zadzwonił do recepcji i poprosił o omlet, prosciutto, ser i sok owocowy. Zamówione jedzenie do hotelowej recepcji dostarczył Oliver Laghi, właściciel znajdującej się nieopodal hotelu restauracji i pizzerii Rimini Key. Wspomniano, że to dla Pantaniego, więc Laghi zapytał, czy mógłby zanieść mu jedzenie osobiście, bo sam kiedyś startował w wyścigach amatorskich. Wziął z baru trzy małe butelki soku gruszkowego i wjechał windą na piąte piętro. Spotkał tam wychudzonego mężczyznę w brudnym ubraniu, ewidentnie rozkojarzonego, od którego nieprzyjemnie pachniało. „Otworzył z uśmiechem na ustach. Wyglądał na zmęczonego, jakby przechodził jakiś kryzys, jakby czuł się bardzo przygnębiony. Był chudy, wręcz wycieńczony, mówił niezwykle cicho. Miał okropnie nieświeży oddech. Mimo to postanowiłem z nim porozmawiać. Powiedziałem, że kolacja jest na mój koszt, a wtedy podziękował i poklepał mnie po plecach. »Zobaczymy się jutro i to uczcimy«, powiedziałem”. Ale następnego posiłku Marco już nie zjadł.

Nazajutrz rano Pantani miał rzekomo dzwonić do recepcji i skarżyć się na hałas, ale hałas robił tylko on. Być może szukał źródła głosów i odgłosów pojawiających się w jego głowie, bo niszczył pokój. Poprosił recepcjonistę, by ten wezwał *carabinieri*. Gdy Larysa przyszła posprzątać pokój, Pantani zwymyślał ją przez zamknięte drzwi. Niedługo potem otworzył drzwi na korytarz, zmierzył wzrokiem przechodzącą tamtędy parę i powiedział coś w stylu: „Wiem, kim jesteście”. O 15:30 zmianę w hotelowej recepcji rozpoczął Pietro Buccellato, student z Sycylii. Kilkukrotnie dzwonił do pokoju Pantaniego, ale linia była cały czas zajęta. Stał pod drzwiami, ale nie słyszał

wewnątrz żadnego ruchu. Z ulicy nie widział światła w oknach. Spróbował dzwonić pod numery, które Pantani wybierał w poniedziałek, ale nikt nie odbierał. Spróbował jeszcze raz.

– Halo?

– Halo? Dzwonię z Residence Le Rose, z recepcji. Mamy tu Pantaniego, z którym dzieje się chyba coś niedobrego. Z naszych wpisów wynika, że do pana dzwonił, więc postanowiłem pana poinformować, że…

– Jeśli ma pan na myśli tego kolarza Pantaniego, to na pewno jakaś pomyłka. Nie znam go, więc nie mógł do mnie dzwonić.

Właściciel hotelu miał w ten weekend wolne. Wczesnym popołudniem zadzwonił, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Buccellato powiedział mu, że nikt nie widział Pantaniego i nie ma z nim kontaktu.

„Wymyśl jakąś wymówkę, idź do niego i sprawdź, co jest grane”.

Recepcjonista wziął główny klucz i otworzył nim zamek. Zobaczył wewnątrz światło, ale nic więcej, bo drzwi były zablokowane. Nie wiedział, jak się zachować, więc wrócił na dół. Właściciel zadzwonił ponownie i tym razem nalegał już na interwencję. O 20:40 Buccellato wziął dwa ręczniki i poszedł na górę. Otworzył drzwi głównym kluczem i na siłę przepchnął zastawiające je meble.

W pokoju panował nieład. Mikrofalówka została wykręcona z zabudowy kuchennej i stała się częścią barykady. Lustro łazienkowe leżało na podłodze, ale było całe. Po pokoju walały się opakowania po lekach, część pusta. Prześcieradło i rurka wyjęta z klimatyzatora były przywiązane do poręczy schodów prowadzących do znajdującej się na antresoli sypialni. Buccellato wszedł na górę i tam jego oczy spotkały się z oczami Pantaniego. Dawny mistrz leżał na boku obok łóżka, twarzą w dół, jak gdyby z niego spadł. Jego słynna łysa głowa była

spuchnięta i mocno posiniaczona. Nie żył od kilku godzin. Na nocnym stoliku leżały inne opakowania po lekach, pokrywał je drobny biały proszek. Śmierć Marco Pantaniego oficjalnie stwierdzono o 21:40. Czas zgonu oszacowano na 17:00. O 22:42 włoska agencja prasowa ANSA opublikowała informację o jego śmierci. W niedzielę 15 lutego, o drugiej w nocy, ciało kolarza została zabrane z hotelu. Przyczyna zgonu została ustalona po autopsji, nie było żadnych wątpliwości. Podano ją do wiadomości publicznej
18 marca – ostre zatrucie kokainowe.

Marco Pantani na kolarskiej scenie pojawił się w połowie lat 90., gdy na szosach – dzięki połączeniu olbrzymiej siły i zachowawczej taktyki – dominował Miguel Indurain, triumfator czterech Tour de France z rzędu, dwóch Giro d'Italia, a także zdobywca tytułów mistrza świata i mistrza olimpijskiego. Indurain wygrywał, ponieważ nic nie tracił na płaskich etapach, niewiele na górskich, za to deklasował rywali w indywidualnej jeździe na czas. Jego talent nie opierał się na wybuchowym przyspieszeniu czy na umiejętności nagłego, zauważalnego przejścia z jednego stylu w drugi. U niego chodziło o coś, co mniej rzuca się w oczy, a mianowicie o równą, niezmienną szybkość. Przyjemność z obserwowania Induraina na trasie płynęła z doświadczania jego spokoju i niezmienności. Nie zaskakiwał niczym poza wielką siłą.

No i wtedy pojawił się Marco, kolarz pełen natchnionego chaosu, zawodnik przewrotny i przebiegły, pełen *stylu*, zdolny – kto wie, jakim cudem? – do iście prometejskich przyspieszeń za każdym razem, gdy szosa zaczynała się piąć. Indurain zdawał się nic sobie nie robić z niewidocznego gołym okiem oporu powietrza, a Marco rzucał wyzwanie chyba największej przeszkodzie na drodze kolarza, czyli górom. Byli dziwnymi

rywalami: Indurain, mistrz pewnej mistycznej formy monotonii, zawodnik o płucach jak miechy, obdarzony pozorną sennością dużych zwierząt żywiących się planktonem; Marco, drobny i ekstrawagancki, potrafiący wystrzelić do przodu i zniknąć gdzieś w oddali. W tym często niezgłębionym sporcie znał tylko jeden sposób jazdy: gnać pod górę tak długo, aż z wysokości jego rywale będą tylko małymi kropkami gdzieś znacznie niżej. Jedno gwałtowne przyspieszenie pod górę za drugim, aż jego skonani rywale zostaną daleko z tyłu.

W 1994 roku w Giro d'Italia, jego drugim etapowym tourze w zawodowym peletonie, Marco we wspaniałym stylu wygrał dwa etapy górskie i zakończył zmagania na drugim miejscu w generalce, wyprzedzając trzeciego Induraina. Miesiąc później pojechał na Tour de France i był tam trzeci. Fani ciągnęli ku niemu nie tylko z uwagi na wyniki. Orli nos, odstające uszy i rzadziutkie włosy czyniły go bardziej rozpoznawalnym od niejednej gwiazdy filmowej, a jego sława nie ograniczała się tylko do Włoch czy tylko do fanów kolarstwa.

Marco chciał zamienić miejsca na podium na zdecydowane zwycięstwa, w tym celu musiał jednak nie tylko podołać wielkim trudom fizycznym, lecz także pokonać niemałe bariery psychiczne. Wprowadzenie testów w tunelu aerodynamicznym, aerodynamicznych rowerów do jazdy na czas, kasków typu „łezka" i niskooporowych kombinezonów poskutkowało tym, że w wyścigach etapowych dobrze zbudowani zawodnicy pokroju Induraina zyskali zdecydowaną przewagę. Na długich i płaskich etapach sprinterskich potrafili oni zyskać do drobnego górala nawet pięć minut, a przy tym w górach mogli trzymać się w miarę blisko za specjalistami od podjazdów i ograniczać straty w tej części wyścigu. Indurain stał się sztandarowym przykładem połączenia kompetencji, które czyniło z kolarza mistrza nowoczesnych wyścigów etapowych. Jego następcy,

czyli Rosjanin Jewgienij Bierzin i Niemiec Jan Ullrich, też pasowali do tego modelu. Wydawało się, że Marco może jedynie pomarzyć o etapowych zwycięstwach.

To nie wszystko. Był on zawodnikiem włoskim i miał włoskich sponsorów, więc nie mógł sobie pozwolić, by odpuścić Giro i skupić się na przygotowaniach do późniejszego Tour de France. Jeśli kiedykolwiek miał wygrać we Francji, musiał wziąć udział w obu wyścigach, Giro i Tourze, a dotychczas porywały się na to tylko takie legendy, jak Coppi, Merckx czy Indurain. Odkąd jednak w 1994 roku Indurainowi nie udało się sięgnąć po zwycięstwo w obu tych wyścigach, w świecie kolarskim znów zapanowało powszechne przekonanie, że współcześnie w tym sporcie wymagania są po prostu zbyt duże i zdobycie dubletu jest niemożliwe.

Marco jednak specjalizował się w tym, co niemożliwe. Harował jak wół przez osiem godzin, a na ostatnich podjazdach, na ostatnich 50–60 kilometrach zmuszał się do wysiłku na skraju wytrzymałości, za każdym razem sprawdzając, jak daleko może się posunąć, ile może znieść jego ciało. Tak właśnie wygrywał, nurkując coraz głębiej w otchłań własnych możliwości, w otchłań mroczniejszą niż ta, w jaką śmieli zapuścić się inni. Potem wypływał na powierzchnię ledwie żywy, na bezdechu, z posmakiem krwi w ustach. W jego wielkich występach była jakaś forma samookaleczenia, akt odrzucenia wszystkiego, co przyziemne, aż wreszcie jego niezniszczalne serce przywracało go do świata żywych, a robiło to za każdym razem, bez względu na głębokość czy wysokość. Fanom nie pozostawało nic innego jak bić brawo. Tak to wyglądało na podjazdach. Na zjazdach chował siodełko pod brzuchem, krocze zwieszał milimetry nad oponą tylnego koła, a wyciągał ręce do przodu, by dosięgnąć kierownicy. Aż trudno było na to patrzeć. Najlżejszy kontakt

pośladka z oponą, najmniejszy kamień pod przednim kołem i… Może nie pozbawiłoby go to męskości, ale z pewnością zburzyłoby równowagę zjazdu, katapultowałoby rower, nie zostawiając kolarzowi czasu na reakcję. Upadłby tak, jak upada ciało martwego człowieka. Godził się na to ryzyko: składał się na rowerze, igrając ze śmiercią, bo dzięki wątłej sylwetce mógł wysforować się przed cięższych rywali.

Bezwzględność jego ataków łagodziło ciepło jego uśmiechu. Było w nim coś niewinnego, dziecięca wrażliwość. Bił od niego jakiś brak wyrafinowania, który dość mocno kontrastował z tym, jak wyrafinowane stało się kolarstwo. Niekłamanym entuzjazmem i autentyzmem Marco od razu podbijał serca innych. Kiedy w 1998 roku – pomimo barier historycznych i mentalnych – triumfował w Giro d'Italia i Tour de France, środowisko kolarskie zaczęło szykować się na nowy okres dominacji. Nie było to jednak Marco pisane, bo Indurain przypominał wtedy prawdziwą twierdzę. Pantani ponosił olbrzymie straty w dolinach, które potem rekompensował wspaniałymi indywidualnymi zwycięstwami w górach.

Tak naprawdę podczas Tour de France w 1998 roku tylko popisowa jazda Marco w górach podtrzymywała zainteresowanie kibiców tą imprezą, zwłaszcza w obliczu skandalu, który wybuchł tuż przed startem. Aresztowany został wówczas 53-letni *soigneur*, niejaki Willy Voet, zatrzymany za kierownicą samochodu należącego do zespołu Festina. Po krótkim przeszukaniu pojazdu policja znalazła setki różnych środków dopingujących. Jako że Pantani nie miał z tym nic wspólnego, okrzyknięto go wybawicielem kolarstwa.

Oczekiwany przez wszystkich okres dominacji Włocha zaczął się w 1999 roku podczas Giro d'Italia, gdzie Pantani we wspaniałym stylu wygrał cztery etapy górskie. W tym samym miejscu jego hegemonia się zakończyła. Rankiem 5 czerwca

1999 roku, po obowiązkowym teście medycznym w Madonna di Campiglio, Marco został zawieszony ze względu na zarzut stosowania dopingu. Stracił szansę na triumf w Giro, w którym deklasował rywali. Mógł wrócić do rywalizacji dwa tygodnie później i wystartować w Tour de France, ale postanowił szukać ucieczki w kokainie, dopatrując się w tym wszystkim spisku obliczonego na jego zniszczenie. Potem pojawiły się próby powrotu na pół gwizdka, podejmowane w atmosferze nowych zarzutów dopingowych i długiego zawieszenia. A później nie było już nic.

W pomarańczowej wieży, górującej nad autostradą A14 w miejscowości Imola, Romano Cenni, właściciel sieci supermarketów Mercatone Uno, będącej sponsorem Pantaniego w latach 1996–2003, opowiada mi: „Gdyby go nie powstrzymali, stalibyśmy tutaj dzisiaj i mówilibyśmy: »Wygraliśmy Giro i Tour w 1999, 2000, 2001, 2002 i 2003 roku«”. Mógłby dodać, że gdyby Marco miał wsparcie *zespołu*, a nie skleconej naprędce grupy freelancerów, mógłby wygrać Giro w 1994 roku i zająć lepsze niż trzecie miejsce w ówczesnej edycji Tour de France. Cenni mógł też powiedzieć, że tylko pechowa seria wypadków pozbawiła Pantaniego miejsc na podium w latach 1995 i 1996. A może nawet zwycięstw, no bo dlaczego nie? „W 1997 roku – opowiada dalej – wywrócił się podczas Giro d’Italia, nie mógł trenować z powodu kontuzji, a potem pojechał na Tour de France i był trzeci”. Wszystkie wspomnienia Cenniego są naznaczone tym samym „gdyby tylko go nie powstrzymali…”. „Przy wielu okazjach mówił mi, że jest czysty, czysty jak łza, ale tamci chcieli go zniszczyć jako sportowca i człowieka. Zniszczyliśmy człowieka, zniszczyliśmy sportowca. Może nawet zniszczyliśmy sam sport”.

Cenni przedstawia śmierć Marco w ponurym kontekście: bo jeśli był czysty, jak utrzymywał do samego końca, to z pewnością przez całą karierę został ograbiony z wielu zwycięstw. Jeżeli zaś czysty nie był, to przez całe życie kłamał i robił to bardzo przekonująco.

Ktoś mi powiedział, że od śmierci Pantaniego Cenni mocno się postarzał. Na mnie robi wrażenie niezniszczalnego. Jest spokojny, ma potężną klatkę piersiową i mówi niskim głosem, trochę jak rozbitek wspominający wszystkich słabszych kompanów, którzy nie przeżyli. Do tych ostatnich zalicza się Luciano Pezzi, były kolarz i zespołowy kolega legendarnego Fausto Coppiego, a jednocześnie jeden z mentorów Marco. „Nadawali na tych samych falach. Gdyby Luciano nie umarł, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej". Jest też w tym gronie artysta samobójca, członek rodziny Cenniego, którego rzeźby i obrazy stoją w gabinecie szefa Mercatone Uno oraz w foyer siedziby tej firmy. No i jest Marco, „człowiek, sportowiec, który być może nigdy nie miał sobie równych". Czy w oczach Cenniego właśnie zbierają się łzy? „Był wybitnym sportowcem właśnie *takiego* formatu. Za każdym razem, gdy jechał w Giro, wyciągał na ulice ludzi, w tym stare kobiety i gospodynie domowe, innych przyciągał przed telewizory. Niewykluczone, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy, bo nikt nie będzie zdolny do takich wyczynów na trasie. A może się mylę. Być może jestem w nim zakochany, a gdy jest się zakochanym, popełnia się błędy, źle ocenia się ludzi. Mimo to już zawsze będę wdzięczny za to, co Marco dał Włochom, co dał mojej firmie". W tym składanym Pantaniemu hołdzie jest uczciwość i rzeczowość. Cenni nie podaje co prawda żadnych konkretnych danych i trudno do takowych dotrzeć, ale Mercatone Uno w okresie finansowania Pantaniego podobno podwoiło przychody i trzykrotnie zwiększyło liczbę sklepów.

W żałobnych wspomnieniach Cenniego przewijają się motywy, z którymi musi zmierzyć się biograf Marco: intymna, osobista prawda o człowieku, który osiągał niesamowite szczyty i wpadał w równie niesamowite dołki; realia społeczne i polityczne, w których sport, sponsorzy i telewizja tworzyły nierozerwalną trójcę, a sportowcy – tylko ich garstka albo większość, tego być może dowiemy się dopiero kiedyś – trują się w imię lepszych wyników; psychologia cywilizacji, w której na każdym kroku łączymy się w złudzeniach, czasem koniecznych, a czasem nie. W samym środku tego wszystkiego leży przypuszczenie sformułowane przez Cenniego: „Gdyby *tamci* go nie powstrzymali…", a także narastające wątpliwości wokół tego wielkiego sportowca.

Znajdujemy się dzisiaj pod wpływem dwóch typowo włoskich sił. Pierwsza z nich to *dietrologia*, przekonanie, że pod wszelkimi oficjalnymi komunikatami kryje się jakieś drugie dno, ukryta prawda, której warto czasami wręcz szaleńczo poszukiwać. Druga z tych sił to *omertà*, czyli zmowa milczenia wśród tych, którzy wiedzą. Wspólnym elementem tych dwóch sił jest koncepcja wiecznego zagrożenia, a to majaczyło gdzieś przez całe życie Marco Pantaniego. Wielu z pewnością uważało, że i ja jestem źródłem tego zagrożenia. Marco żył w wielu różnych światach i potrafił swoje istnienie szufladkować. Opowiadał przyjaciołom o swoich wybrykach, nawet jeśli nie każdy z nich chciał być z tymi wybrykami kojarzony. Obcokrajowiec – z natury swej człowiek o zagranicznych standardach dyskrecji, który interesuje się wydarzeniami zdolnymi szargać reputację i niszczyć małżeństwa – musiał pewnym ludziom wydawać się groźny. Przy okazji wspomnę, że podczas zbierania materiałów również chwilami czułem się zagrożony albo wyobrażałem sobie, że czyha na mnie jakieś niebezpieczeństwo, także fizyczne, ze strony moich

rozmówców, którzy zdecydowanie uważali, że ta książka nie powinna zajmować się życiem prywatnym Marco. Oczywiście, nie brakowało też zwolenników tego samego podejścia, którzy mimo to okazywali mi dużą uprzejmość. Jeśli jakiekolwiek zagrożenie rzeczywiście istniało, to było nieuzasadnione, bo tak naprawdę nigdy nie miałem innego wyboru – musiałem napisać o Pantanim jako człowieku. Na najwyższym poziomie sportowiec musi sprostać wymaganiom absolutnym. Motorem napędowym tego przedsięwzięcia na równi z ciałem jest dusza. „Nic się nie marnuje" – jak ujmuje to Lance Armstrong, rywal Marco. – „Sięgasz po wszystko, co masz. Stare rany i dawne zniewagi stają się znakomitym paliwem napędzającym rywalizację". W takich okolicznościach nie możemy liczyć na to, że zrozumiemy sportowca, jeśli nie poznamy człowieka oraz relacji między tymi dwoma wcieleniami.

Chciałbym postawić jedną sprawę jasno: próba opowiedzenia historii Marco oznacza otwarte pisanie o nadużywaniu przez niego dwóch rodzajów używek. Pierwsze z nich zażywał rzekomo prywatnie i rekreacyjnie. Drugi ich rodzaj wiąże się z jego aktywnością zawodową i środowiskiem, w którym funkcjonował – z globalnym sportem, który czasami potrafi łączyć interesy biznesowe z potencjalnie nieposkromioną pasją fanów. Oba te rodzaje używek są dostępne dzięki zorganizowanej przestępczości i obrotowi dużymi pieniędzmi. Wystarczy naruszyć interesy zajmujących się tym ludzi, by zagrożenie przestało być wyłącznie teoretyczne.

Chciałbym się jednak cofnąć o krok i podkreślić, że można napisać książkę o karierze sportowej Marco, która w żaden sposób nie dotykałaby jego życia prywatnego. Można napisać książkę o ostatnich tygodniach jego życia bez nawiązywania do tego, co osiągnął w sporcie. Można napisać książkę o dramatycznych wydarzeniach z Madonna di Campiglio albo

o relacjach z jego menedżerką w całkowitym oderwaniu od mechanizmów, dzięki którym Marco został legendą kolarstwa, i bez zadawania pytań, co ta legenda oznaczała (i nadal znaczy). Wszystkie te książki zostały już napisane. Jak dotąd nikt nie próbował jednak kompleksowo i w pełen współczucia sposób przyjrzeć się życiu Marco, zadać kluczowych dla jego istnienia pytań. Kim był Marco dla Włochów i dla reszty świata? Czy stosował doping, czy go nie stosował? Czy w Madonna di Campiglio zawieszono go w efekcie spisku, jak sam twierdził? Dlaczego i w jaki sposób mógł startować dalej, skoro kokaina również znajduje się na liście substancji zabronionych? Czy jego śmierć była prywatną, osobistą tragedią człowieka, czy jednak decydującą rolę odegrał w niej sport? Wszystkie te kwestie każą zadać sobie jeszcze jedno pytanie, na które ta biografia również usiłuje odpowiedzieć: co powodowało, że Marco Pantani, człowiek pełen wad, był jednocześnie tak wyjątkowy?

Już na początku gromadzenia materiałów do tej książki, podczas pierwszych rozmów, nasunęły mi się dwa fundamentalne pytania: czy tworzenie biografii Marco Pantaniego jest moralnie słuszne i czy w ogóle da się ją napisać? Nie chodziło o jakieś abstrakcyjne, filozoficzne rozważania, ale kwestie praktyczne, wymagające pilnego rozstrzygnięcia. Wątpliwości moralne dotyczyły cierpienia, jakie taka książka mogła zadać jego najbliższym. Okoliczności jego śmierci nadal pozostają żywe w małych społecznościach, do których Marco należał. Pierwszą z nich tworzą mieszkańcy jego rodzinnego Cesenatico, zamieszkałego przez 23 tysiące ludzi. To na tyle nieduże miasto, że pasja, jaka zrodziła się wokół Marco, całkowicie je pochłonęła. Kolejną taką społecznością był światek kolarstwa zawodowego. Wielu, a pewnie większość ludzi z tych kręgów doświadczyła traumatycznych wydarzeń

typu śmierć lub rozległe obrażenia kolegi z zespołu. Dla niektórych doping nie tyle nawet stanowił ryzyko zawodowe, ile był czymś w rodzaju tajnej subkultury. Warto tu pewnie wspomnieć także o świecie sportu, nie wyłączając dziennikarzy i pisarzy specjalizujących się w kolarstwie zawodowym. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że we wszystkich społecznościach duchowi braterstwa towarzyszą zazdrość i plotkarstwo – chcę przez to w sumie powiedzieć tylko tyle, że Marco był człowiekiem, który żył pośród innych ludzi.

Kłopoty praktyczne wynikały z tego, że wiele osób, które Marco znały, nie chciało ze mną rozmawiać. Dodatkowy problem polegał na tym, że on sam za życia nieszczególnie układał sobie relacje z mediami, był po prostu introwertykiem. Przede wszystkim cenił sobie prywatność i wszelkie zainteresowanie ze strony mediów go irytowało. W niektórych relacjach traktowano go wyjątkowo ciepło – część dziennikarzy wręcz starała się go chronić – ale albo tego nie zauważał, albo było mu to obojętne. Wiedział tylko tyle, że jego twarz na pierwszej stronie windowała nakład. Bo tak to wyglądało, działały emocje, które rozbudzał wśród tłumów fanów. Dzięki sprzedaży praw do swego wizerunku został multimilionerem. Problem w tym, że nie bardzo miał na to wpływ. Biedniejszy Pantani byłby dokładnie tak samo nachodzony przez media jak bogaty Pantani.

Szybko przekonałem się, że dzięki wewnętrznym sporom wśród ludzi, którzy go znali, mogę zebrać niesamowitą ilość informacji, nawet jeśli nie wszystkie były szczególnie rzetelne. Znalazłem całe rzesze tych, którzy bez wątpienia mieli dobre intencje i czuli się głęboko zranieni, ale jednocześnie skłócili się z całą resztą. Wszyscy byli gotowi powiedzieć mi „prawdę o Marco Pantanim”. Kilka tego typu osób, które w samozwańczy sposób chciałyby go niańczyć, dosłownie miało listy

„prawdziwych” i „fałszywych” przyjaciół Marco. Najwyraźniej osoby te nie rozumiały, że on sam dobierał sobie przyjaciół i kierował się własnymi kryteriami. Oprócz książek zaczęły pojawiać się pomniki, ktoś napisał sztukę, jego nazwiskiem nazywano ulice, kręcony jest również serial telewizyjny. Wydawano poświęcone mu płyty DVD, emitowano też w telewizji okropne filmy dokumentalne. Jeden z nich wyznaczył nowe dno współczesnej telewizji, pokazując zdjęcia jego zwłok. Fundacja charytatywna konkurowała z niezliczonymi fanklubami o prawo „zarządzania” czymś w tak niewielkim stopniu zdefiniowanym, jak „wizerunek” Marco, a przecież już samo określenie „wizerunek” jest strasznie dwuwymiarowe i kojarzy się z półprawdą. Tak naprawdę w chwili jego śmierci wiele faktów z jego życia pozostawało nieznanych, także najbliższym mu osobom. Ta niewiedza oraz wręcz fanatyczna zaborczość, jaką Marco wzbudzał w najbliższych, doprowadziły do ostrej i przykrej walki o pamięć o nim. Wydawało się, że niewielu najbliższym mu ludziom zależy, by spoczywał w pokoju. Jednocześnie wyglądało na to, że brakuje rzetelnej pracy śledczej, która pozwoliłaby poskładać liczne aspekty życia Marco i na podstawie olbrzymiej dokumentacji dochodzeniowej, medycznej i psychologicznej stworzyć jeden złożony portret. Innymi słowy, napotykałem wszędzie wokół mnóstwo „zarządzania wizerunkiem”, brakowało mi natomiast zainteresowania prawdą historyczną. Założyłem, że historię znacznie trudniej jest ustawić pod siebie, bo trudniej się nią „zarządza” i trudniej się na niej zarabia. W ten oto sposób rozstrzygnąłem dylemat, czy ta książka jest uzasadniona z moralnego punktu widzenia. W prawdziwym, zmiennym świecie, na który składają się pamięć i interakcje międzyludzkie, tak naprawdę trudno przedstawić jedną prawdę o kimkolwiek z nas. Możemy co najwyżej postarać się określić

granice, w których Marco się rozwijał; opisać, w jaki sposób korzystał z wolnej woli i dlaczego podejmował takie decyzje, a na koniec dokonać oceny jego działań w odniesieniu do tego, jakie miał wówczas możliwości do wyboru. Jeżeli przy okazji uda się sprawić, że zmarły ożyje przed naszymi oczami, istota i cel biografii zostaną osiągnięte.

# Rozdział 1.
# Cud

## (1970–1984)

Marco Pantani przyszedł na świat 13 stycznia 1970 roku o 11.45 w Cesenie, niewielkim ośrodku administracyjnym włoskiego regionu Emilia-Romania. Pierwszą podróż odbył do Cesenatico, miasteczka odległego zaledwie o 15 kilometrów, ale leżącego już w zupełnie innym świecie. Cesenatico zawdzięcza swą nazwę Cesenie, bo to tamtejsi średniowieczni kupcy w 1302 roku założyli je w charakterze swojego okna na Morze Śródziemne. Dlaczego to zatem dwa różne światy? Ponieważ Cesena kieruje swe ambicje na północ, w kierunku rolniczych równin, które sięgają aż do Treviso, a także na zachód, w kierunku Bolonii (tamtejszy uniwersytet ma w Cesenie swoje filie). Cesenatico marzy natomiast o morzu, kosztem którego już od XIV wieku zdobywa nowe tereny. To wtedy wybudowano Port Canal, który wpływa na prądy niosące piasek i muł wzdłuż wybrzeża Adriatyku. W XVI wieku zlecenie odnowienia portu otrzymał sam Leonardo: wśród jego rękopisów zdeponowanych w Institut de France, datowanych na 6 września 1502 roku, można obejrzeć projekty dróg wodnych, które do dziś wyznaczają serce tego miasteczka. Nie można tego natomiast powiedzieć o kolorowych barkach, które przez pół wieku woziły tam towary i ludzi. Dzisiaj na wodach kanału unoszą się pojedyncze sztuki, ale już od XIX wieku są one głównie jednostkami muzealnymi. Były nimi już wtedy, gdy Turner postanowił namalować jedną z nich jako kolorowe maźnięcie na tle nieba i morza. Dzisiaj, tylko od czasu do czasu taklowane

z myślą o turystach, pływają już przede wszystkim na pocztówkach, choć jeszcze w latach 30. XX wieku mówiło się, że z Cesenatico bliżej niż do Ceseny jest do Wenecji, Triestu, a nawet Dalmacji. Znakomicie ma się natomiast tamtejsza flota rybacka. Pewnego dnia w porze lunchu na moich oczach do portu weszło sześć kutrów z cefalami wyłowionymi w niecałe pół godziny. Dzisiaj głównym źródłem zamożności miasta są jego rozległe plaże. Spora warstwa piasku przykrywa wszystko nawet na kilkaset metrów w głąb lądu.

Marco odwracał się jednak plecami do morza i ruszał w drugą stronę, tam, gdzie ląd przechodzi nie tyle w góry, ile raczej w pojawiające się nagle pagórki. Ich skala potrafi być jednak złudna, bo największy szczyt w tej okolicy, Maiolo, nie pnie się jakoś szczególnie wysoko. Najwyższy punkt przełęczy wypada w Pugliano na wysokości 787 metrów nad poziomem morza, a największe nachylenie sięga dziewięciu procent. Dla porównania: taka wioska Barbotto znajduje się na zaledwie 500 metrach, ale im wyżej, tym bardziej jest tam stromo. Na ostatnim kilometrze nachylenie sięga 12,5 procent. Deszcz spływa z tej góry do rzeki, a konkretnie do Rubikonu, który ma tam swoje źródła. W 49 roku przed naszą erą Juliusz Cezar przekroczył Rubikon, stanowiący wówczas granicę między Rzymem a Galią Przedalpejską, by pokonać Gnejusza Pompejusza lub zginąć w tej walce. Ten paradoks musiał zachwycać Marco, ale to właśnie na tych pagórkach nauczył się wybitnej jazdy w wysokich górach. Odkąd wszedł w wiek nastoletni, w pogoni za koszmarnie męczącą karierą zawodowego kolarza szosowego przekraczał Rubikon niemal codziennie.

Na szczycie Pieve di Rivóschio – cztery kilometry podjazdu, potem następne cztery łagodnego zjazdu, a na koniec jeszcze jeden odcinek stromej wspinaczki – leży mała wioska. Gdy ustał

już chaos związany z drugą wojną światową, na kawałku ziemi, wystarczająco dużym, by pomieścić rodzinny dom, cztery owce i trochę kur, zamieszkała z mężem babka Marco, Delia Gemelli, która wolała, gdy zwracano się do niej Alfea. Dziadek Marco miał na imię Sotero, ale wszyscy mówili na niego Bacón. Rodzina od pokoleń mieszkała w tym regionie. Sotero wychował się 25 kilometrów dalej, w miejscowości Sársina, gdzie nauczył się rzemiosła od swego ojca Ciro, którego wszyscy nazywali z kolei Ferdinando. Przodkowie Marco parali się obwoźnym szewstwem, jeździli od wioski do wioski i łatali ciężkie buty *cantadini,* czyli włoskich chłopów. Alfea urodziła czworo dzieci: Dino, Lucianę, Ferdinando – ojca Marco – i Ersilię.

W tamtych czasach Włochy ciągle były jeszcze krajem rolniczym. Pojawiały się już, co prawda, pierwsze oazy postępu technologicznego, ale tych szczęśliwców, którzy dostawali gdzieś stałe zajęcie, zatrudniano w firmach prowadzących niezwykle pracochłonną działalność, czyli w małych sklepach, warsztatach, ale przede wszystkim – na polach. Potem, mniej więcej w latach 1950–1970, czyli w okresie, w którym dorastał ojciec Marco, zacofane Włochy stały się rozwiniętym krajem przemysłowym. Dzięki trzem milionom imigrantów z ubogiego południa na północy udało się utrzymać niskie zarobki, więc Włochy stały się jednym z głównych eksporterów samochodów, maszyn do pisania, sprzętu AGD. Firmy Zanussi, Ignis, Indesit, Olivetti, Fiat i Pirelli stały się liderami europejskich rynków. Produkcja przemysłowa zaczęła wychodzić poza dotychczasowy trójkąt wyznaczany przez Turyn, Mediolan i Genuę, sięgając nawet Rawenny, która leżała tylko 30 kilometrów na północ od Cesenatico.

Lata „cudu gospodarczego” były również latami zmian w innych sferach życia. Pod koniec wojny amerykańscy

żołnierze w ray-banach rozdawali czekoladę i gumy do żucia. Rock and roll dobiegający z szaf grających zlewał się z hałasem dochodzącym z flipperów, nagle wszędzie pojawiła się coca-cola. W świadomości Włochów zagościli amerykańscy idole, tacy jak Marylin Monroe i James Dean, a do krajowych skarbców popłynęły amerykańskie dolary – zarówno te z planu Marshalla, jak i pochodzące z tajnego finansowania chrześcijańskich demokratów, mających przeciwstawić się nastrojom komunistycznym. Tymczasem z wojennej pożogi podniosła się branża turystyczna na Riwierze Adriatyckiej. Urocze wille, w których przed wojną mieszkali ludzie majętni i dobrze urodzeni, zostały zamienione w pensjonaty. Zaczęły pojawiać się pierwsze wieżowce. W 1947 roku Cesenatico stało się nieco popularniejsze dzięki temu, że przejechało tamtędy Giro d'Italia, a to przecież najważniejsza ze wszystkich włoskich imprez sportowych. Przez miasteczko przemknęli wtedy dwaj bohaterowie narodowi, Gino Bartali i Fausto Coppi.

Sotero wraz z rodziną musieli odnaleźć się w nowym świecie. W 1951 roku przenieśli się do Villalty, całe 2,8 kilometra od Cesenatico. W sumie przeprowadzili się o jakieś 50 kilometrów, co jak na ówczesne standardy w tym kraju było wynikiem skromnym – w latach 1945–1970 setki tysięcy Włochów udało się do obu Ameryk i Australii, podobna grupa przeniosła się do Francji, Szwajcarii i Belgii, a w obrębie samych Włoch wewnętrznych migrantów mogło być nawet dziesięć milionów. Niemniej dzięki tamtej jednodniowej podróży rodzina Pantanich zostawiła harówkę na roli i znalazła się w okolicy, w której trwał właśnie turystyczny boom na wybrzeże Adriatyku.

Ojciec Marco – trzeci syn Alfei – otrzymał imię Ferdinando, ale Alfea uważała je za zdecydowanie zbyt długie, dlatego mówiła na niego Paolo. Gdy miał dziesięć czy jedenaście lat,

rodzina przeprowadziła się ponownie, tym razem do samego Cesenatico, do domu przy Via Giusti. Sotero dostał pracę w miejscowym urzędzie, który zatrudnił go do zamiatania ulic. Popołudniami, pomimo zdecydowanego ateizmu i wyznawania poglądów komunistycznych, grał w karty i plotkował z lokalnym proboszczem. Sotero był radykałem, podobnie jak duża część mieszkańców Cesenatico. Synowie tego miasteczka walczyli kiedyś pod Garibaldim, a w sierpniu 1849 roku sam generał znalazł tam tymczasowe schronienie. On i jego 200 żołnierzy przegrupowali się w Cesenatico, przespali się, a potem wsiedli na 12 barek i udali się do Wenecji, by pomóc przerwać austriackie oblężenie. Na ścianie domu z numerami 57 i 58 przy dzisiejszej Corso Garibaldi – uroczej brukowanej uliczce po południowej stronie kanału – wisi tabliczka z następującą informacją: „2 sierpnia 1849 roku w tym domu schronili się Anita i Giuseppe Garibaldi, uciekinierzy przed czterema armiami po wydarzeniach z Rzymu". Tak się złożyło, że ten historyczny budynek był również pierwszym domem Marco Pantaniego.

W 1966 roku, wkrótce po odbyciu służby wojskowej, Ferdinando, czyli Paolo, poznał Toninę Belletti. Spotkali się na potańcówce w Bellarii. Tonina – zwykle końcówka -ina oznacza zdrobnienie, ale w tym przypadku tak właśnie brzmiało jej oficjalne imię – urodziła się w Rimini jako córka marynarza Brunona, którego wszyscy znali jako Baiò, oraz Marii, do której wszyscy mówili Poppona. Paolo miał 22 lata, a Tonina 16,5. Pobrali się w 1968 roku, gdy Tonina była już w ciąży z ich pierwszą córką, Laurą, która miała później funkcjonować jako Manola. Rok po ślubie Paolo i Tonina wprowadzili się do budynku, w którym kiedyś zatrzymał się Garibaldi. Tonina opowiada tę historię w zupełnie otwarty i pełen energii sposób.

Mówi bardzo szybko i w całym tym entuzjazmie gubi gdzieś chronologię zdarzeń: „Przyjechaliśmy do Cesenatico i przez pierwszy rok mieszkaliśmy przy Via Cremona, a ja byłam już w ciąży z Marco. Gdy się pobieraliśmy, byłam już w ciąży z Manolą. Gdy Manola się urodziła, zaraz potem, po pięciu miesiącach, zaszłam w kolejną ciążę, tę z Marco. A przecież nie mogłam mieć dzieci. Uważałam wtedy: »Nie zamierzam wychodzić za mąż, skoro nie mogę mieć dzieci«. Byłam u kilku lekarzy i wszyscy mówili to samo: »Nie, nie może pani rodzić dzieci«. A mimo to i Manola, i Marco jakoś się urodzili”.

Cudowne narodziny dwójki dzieci, jednego po drugim, stały się przyczyną rodzinnego dramatu; Marco nie mógł go pamiętać, bo był po prostu za mały, ale miał on w dużej mierze ukształtować jego przyszłe życie. Zaraz po urodzeniu dwójki dzieci, których tak bardzo pragnęła, Tonina popadła w olbrzymi kryzys emocjonalny i podcięła sobie żyły. Rodzina miała też problemy finansowe: Paolo uczył się na hydraulika i harował jak wół, ale gdy kilku klientów nie zapłaciło za wykonane prace, jego firma zbankrutowała, a on musiał zatrudnić się u kogoś innego.

Nieustraszona Tonina też postanowiła znaleźć pracę. Opowiada dalej: „Mój mąż nie chciał się na to zgodzić, bo tutaj, w Romanii, mężczyzna, którego żona pracuje, czuje się gorszy od innych. Zaczęłam w hotelach, najpierw w hotelu Esplanade, potem w hotelu Conti. Do tego drugiego zabierałam Marco ze sobą, nie miał jeszcze trzech lat, a już wyprawiał tam niestworzone rzeczy. Pewnego razu ścieliłam łóżka z żoną właściciela na jednym z wyższych pięter, gdy nagle zobaczyłam, jak Marco przełazi z jednego balkonu na drugi! Innym razem nie chciał przestać krzyczeć, więc powiedziałam mu: »Nie wrzeszcz tak, bo nas wyrzucą«, ale po chwili zobaczyłam, że biedaczek intensywnie trze oczy. Miał w nich pełno gipsu,

takiego do gładzenia ścian. Był pełen życia. Tak. Zawsze żył w pośpiechu. Pamiętam, że gdy chodził do szkoły, wszystko robił na ostatnią chwilę. Buty, wszystko. »Marco, wróć szybko, zapomniałeś czapki«…”. Dalej jej wspomnienia zlewają się już w szaleńczą masę detali.

Na Riwierze Adriatyckiej, gdzie Marco dorastał, dochodziło do wielkich zmian. Widokówki przedstawiające starych rybaków naprawiających sieci mają w sobie ziarno prawdy: siła przyzwyczajenia w jakiś niewyjaśniony sposób nie zamknęła miejscowym oczu na piękno otoczenia, w którym przyszło im żyć. Mają w sobie poczucie przynależności, nawet jeśli każdy z nich odczuwa je indywidualnie. (W sumie w społeczności złożonej z hotelarzy i restauratorów, którzy są narażeni na chwiejne nastroje rynku i jednocześnie tak wiele oczekują od turystów i życia jako takiego, trudno jest doświadczać poczucia wspólnoty). Niegdyś relacje międzyludzkie były bardzo bliskie, a teraz zaczęły się zmieniać. Jeszcze w latach 50. i 60. nadal powszechnie używało się tam lokalnego dialektu z Romanii. W 1955 roku przeprowadzono ankietę, z której wynikało, że 66 procent Włochów nie znało włoskiego. Wyobraźmy sobie wszystkich tych migrantów z południa, którzy mówili jedynie dialektami zupełnie niezrozumiałymi w miastach północy. Dla nich integracja musiała stanowić olbrzymi problem. Dino, wuj Marco, otwarcie przyznaje, że łatwiej mu wyrażać myśli w dialekcie romańskim niż po włosku. Język narodowy zakorzenił się po części dzięki systemowi szkolnictwa, ale przede wszystkim dzięki nieformalnemu odziaływaniu telewizji. Pod koniec lat 60., w ciągu czterech lat, liczba telewizorów we włoskich domach wzrosła dwukrotnie i sięgnęła siedmiu milionów. W latach 70. i 80., kiedy dorastał Marco, na całym półwyspie już coraz rzadziej używano

dialektów. Był to trend równie nagły i bezprecedensowy jak wcześniejszy skok gospodarczy. Dzieciakom z pokolenia Marco zdarzało się jeszcze sięgnąć po dialekt, ale były to już raczej krótkie stwierdzenia i polecenia nazywane *battuta*. Giuseppe „Pino" Roncucci znał Marco przez większość jego życia, był jego dyrektorem sportowym w okresie występów amatorskich. Pino powiedział mi: „Gdy chodziło o *battutę*, dawał radę z dialektem. »*Andemm, Pieno, andemm*«, »Dalej, Pino, idziemy«. Gdy sformułowałeś tego typu uwagę w dialekcie, odpowiadał w dialekcie, ale ogólnie prawie się nim nie posługiwał. Mówił głównie po włosku". W 1998 roku, po zwycięstwach w Giro d'Italia i Tour de France, pokazywał się w koszulce ze sporządzonym w dialekcie napisem: „U gne n'è par nisèun", „Nie zostało już nic dla nikogo", ale ten T-shirt zaprojektował mu ktoś inny.

Tak oto stare języki straciły odcienie – języki, którymi mówili dziadkowie i rodzice obecnego pokolenia, rozbrzmiewały coraz rzadziej. Od tego momentu dialekt stał się jedynie narzędziem retorycznym, wkomponowywanym w wypowiedź na tej samej zasadzie, jak umieszczamy w niej metafory. Pod pewnymi względami to pewnie mała tragedia, ale w pierwszych dziesięciu latach życia Marco doświadczył znacznie większych. Na miesiąc przed jego urodzinami terroryści przeprowadzili zamach bombowy w banku w Mediolanie, w którym zginęło 16 osób. Winą obarczono lewicowych anarchistów, choć stosunkowo szybko okazało się, że była to robota skrajnej prawicy, wspieranej przez tajne służby i chronionej przez policję. Tak oto we Włoszech rozpoczęła się dekada terroru, w tym także zamachów na koszmarnie dużą skalę. Punktem kulminacyjnym tej fali przemocy był rok 1978, w którym lewicujące Czerwone Brygady porwały i zamordowały Aldo Moro, być może największego ówczesnego włoskiego męża

stanu. Potem, w 1980 roku, na zatłoczonym dworcu kolejowym w Bolonii wybuchła bomba, która zabiła 85 osób. Nie wymieniłem tutaj dziesiątek dziennikarzy, policjantów, urzędników, przemysłowców i akademików, którzy zginęli lub odnieśli obrażenia w innych atakach.

Niejasności co do zaangażowania państwa w organizowanie aktów przemocy i wrabianie niewinnych ludzi oraz całych grup dały początek określeniu *dietrologia*, którego zaczęto powszechnie używać, by dać wyraz przekonaniu, że pod powierzchnią zawsze kryje się jakieś drugie dno. W tym samym okresie spopularyzowało się określenie *tutto in nero* (wszystko na czarno), bo były to lata powszechnego i systematycznego unikania podatków, co ostatecznie miało rzucić kraj na kolana. Właściciele sklepów i rzemieślnicy często deklarowali dochody równe tym, które uzyskiwali ich pracownicy, lub od nich niższe. Samozatrudnieni profesjonaliści, mali przedsiębiorcy i właściciele niewielkich zakładów mieli się całkiem nieźle dzięki temu, że oszukiwali państwo na dwa sposoby. Po pierwsze, unikali opodatkowania, a po drugie, uzyskiwane z tego tytułu korzyści inwestowali w wysokooprocentowane obligacje skarbowe, z których rząd usiłował finansować dług publiczny. Mimo to we Włoszech nic się nie zmieniało. Na Riwierze Adriatyckiej, gdzie kwitła branża turystyczna, od 1 marca do 20 września hotele były pełne, a marże – sowite. Rok w rok boom gospodarczy trwał tam w najlepsze i utrzymał się również w kolejnej dekadzie, choć reszta kraju przechodziła bolesny okres zmian ekonomicznych i społecznych. W czasie jednego pokolenia kultura chłopska została zastąpiona kulturą konsumpcjonizmu, która zapanowała nad włoskim handlem i usługami, a w jeszcze większym stopniu – nad pragnieniami Włochów, którzy marzyli coraz ambitniej i chcieli coraz więcej.

Marco nie miał za bardzo kontaktu z tym światem pełnym błyskotek. W rozmowie ze mną Tonina powiedziała, że nie było u nich pieniędzy na zabawki. „Pierwszą zabawkę sprawił sobie, gdy zaczął zarabiać na rowerze, w wieku 12 czy 13 lat. Kupił wtedy taką wyrzutnię rakiet, Robobox, do dziś mam gdzieś w domu jej elementy. Ogólnie to uwielbiał wędkować i polować. Już jako dziecko znał nazwy wszystkich ryb w Adriatyku, a żeby połowić pstrągi, potrafił pokonać długie kilometry". Do tych rozrywek wracał przez całe życie, lubił wycofać się do świata przyrody, gdzie mógł się ukryć, zamilknąć, skupić myśli. Na ryby nie zabierał go jednak ojciec, ale Sotero, który woził go swoim rowerem. Także Sotero odbierał Marco ze szkoły. Paolo powiedział mi: „Miałem robotę. Czasami nie było mnie w domu po dwa, trzy tygodnie, bo nie zawsze pracowałem u nas w mieście. Marco spędzał więc większość czasu z dziadkiem Sotero, który był dla niego jak drugi ojciec, a może nawet jak pierwszy". Spoglądając na zdjęcie przedstawiające dziadka i wnuka, Tonina mówi: „Mieli wspaniałą relację. Sotero był moim teściem, a nie ojcem, ale bardzo go lubiłam. Nie był piękny na zewnętrz, ale miał piękne wnętrze!".

Przeprowadzka na Corso Garibaldi przy Port Canal w dużej mierze zdeterminowała przyszłość Marco, bo dzięki niej został sąsiadem Guerrino Cianiego, człowieka z pokolenia Sotero. Tonina powiedziała mi czułym głosem: „Od czasu, gdy był noworodkiem, Marco kochał ludzi starszych i inne dzieci. Był mocno związany z Guerrino". Tak się składa, że Guerrino był również zapalonym kolarzem i założycielem Fausto Coppi Sports Club, który powstał w latach 60. W Cesenatico mówiono o tym klubie po prostu Fausto Coppi. W 1971 roku klub ten zorganizował pierwszy Nove Colli, Dziewięć Wzgórz, całodniowy wyścig amatorski zahaczający o San Marino. Najtrudniejsze podjazdy na trasie znajdowały się w pobliżu

Cesenatico. Wkrótce doroczny Nove Colli bardzo się rozrósł, a wraz z nim rozrósł się klub Fausto Coppi. Marco widział liczne rowery stojące na podwórzu, widział też, jak Guerrino wyjeżdża na trasę z innymi amatorami z Fausto Coppi. W 1979 albo w 1980 roku Guerrino został współzałożycielem sekcji młodzieżowej klubu, której zadaniem była popularyzacja wyścigów kolarskich wśród dzieci. To właśnie tam Marco zaczynał przygodę z rywalizacją na szosie. To Guerrino miał decydujący wpływ na to, że chłopak postanowił zająć się kolarstwem.

Mimo to wybór tej konkretnej dyscypliny przez Marco stanowił pewne zaskoczenie. Do tej pory z Cesenatico wywodzili się piłkarze. Bramkarz reprezentacji Giorgio Ghezzi, nazywany „Kamikadze", w latach 1953 i 1954 triumfował w lidze w barwach Interu, a następnie został sprzedany do Genui (fani Interu nie mogli zrozumieć dlaczego), po czym zakończył karierę w AC Milanie, największym rywalu Interu. Alberto Zaccheroni najpierw był znakomitym bocznym obrońcą, a potem został jednym z najlepszych włoskich trenerów, w 1999 roku poprowadził AC Milan do triumfu w lidze. Obaj mieli jakieś związki z branżą turystyczną. Zakończywszy karierę, Ghezzi osiadł w Cesenatico jako właściciel hotelu Internazionale, nazwanego tak na część klubu, z którym nadal kojarzono jego nazwisko. Zaccheroni był z kolei synem restauratora z Cesenatico.

Tonina wspomina dalej: „Marco już jako mały chłopak chciał być zauważany. W przedszkolu przy Viale Trento bronił innych dzieci. Gdy trochę podrósł, grał w piłkę, ale nigdy nie dawali mu za dużo pograć, bo był niski i chudy. Głównie siedział na ławce, więc to rzucił".

Mario Pugliese, korespondent gazety „La Voce di Cesena” („Głos Ceseny”) w Cesenatico, chodził z Marco do tej samej klasy. „Gdy ktoś chciał uprawiać w Cesenatico jakiś sport, to albo grał w piłkę, albo wsiadał na rower. Marco nie był dobrym piłkarzem. Grał w drużynie Cesenatico, ale niczym się nie wyróżniał. Był stuprocentowym indywidualistą, nie nadawał się do gry zespołowej. Musieliśmy do niego wiecznie krzyczeć: »Podaj! Podaj! Tutaj! Do mnie!«, a on i tak nigdy nie podawał”.

Na szczęście Marco lepiej odnajdywał się na rowerze, pewnie po części dlatego, że nikomu nie podawał, a po części dlatego, że był nieśmiały. Miał z tym tak duży problem, że niektórzy brali go za opóźnionego w rozwoju. Uwagę na niego zwrócił Nicola Amaducci, zięć Guerrino Cianiego. Jak ujmuje to Tonina: „Chłopaki spotykali się na podwórzu domu, w którym mieszkaliśmy, i stąd ruszali na trening z Amaduccim. Amaducci zaczął nalegać: »Tonina, no dalej, pozwól mu jechać z nami«. Odparłam, że muszę porozmawiać o tym z jego ojcem, no i że krucho u nas z pieniędzmi. Po ślubie nie mieliśmy nic, potem kupiliśmy mieszkanie, mieliśmy dwoje dzieci. »Rower będzie miał od nas«, powiedział Amaducci. To ten rower, który wisi dzisiaj w barze”.

W porównaniu z chaotycznym potokiem słów Toniny Amaducci opowiada z niemal łagodną melancholią. Spotykamy się w należącym do niego Bar del Corso, kilka metrów od budynku Garibaldiego. Od razu dostrzegam, że to człowiek delikatny. Wyczuwam w nim podenerwowanie, które nie ustępuje w całości nawet wtedy, gdy nasza rozmowa staje się bardziej naturalna. Amaducci przez cały czas nerwowo owija kawałek kartki wokół palca, zwija ją w rurkę. Jego broda nie jest już tak kruczoczarna jak na zdjęciach, na których Marco zdaje się wiecznie obejmować go za szyję. Głowa chłopca była jeszcze

wtedy pokryta gęstymi lokami. Dzisiaj Nicola Amaducci jest już raczej siwy. Spogląda w poprzek sali tym swoim ciepłym, smutnym wzrokiem i odzywa się spiętym głosem, co z pewnością wynika z obecności dyktafonu. Potem jego głos też mięknie i można usłyszeć w nim delikatne seplenienie. Imię *Nicola* rodzice nadali mu na chrzcie ku pamięci jego pradziadka, ale że im się ono nie podobało, mówili na syna Roberto. Przez całe życie pracował z dziećmi w wieku szkolnym – można to nazwać powołaniem – ale nie jako nauczyciel, lecz jako urzędnik. Nadzorował szkolne stołówki i transport, zajmował się też relacjami na linii szkoła–uczniowie–rodzice. Przez wszystkie lata pracy dbał o miejscowe dzieciaki. Gdy w 1972 roku urodził mu się syn, Nicola, nazywany Roberto, dał potomkowi na imię Roberto, jak gdyby postanowił poprawić wcześniejsze przeoczenie. Amaducci znał Marco niemal od dnia jego narodzin. Wtedy, w 1977 roku, państwo Pantani i państwo Amaducci wraz z 16 innymi rodzinami utworzyli spółdzielnię, która wybudowała trzykondygnacyjny blok mieszkalny przy Viale dei Mille 136 – Osiedle 1 Maja. Amaducci wraz z rodziną wprowadził się do mieszkania na trzecim piętrze w klatce C, a rodzice Marco zajęli mieszkanie na pierwszym piętrze w klatce A. Tonina kreśli portret towarzyskiego i otwartego dziecka, Amaducci wspomina za to Marco zupełnie inaczej: „Zawsze był uparty, gwałtowny i introwertyczny, stronił od innych. Nie szło mu pozyskiwanie znajomych. Na dole, pod blokiem, Marco miał mały ogródek warzywny, którego sam doglądał. Na ryby też często chodził sam. Roberto i Marco dzieliły tylko dwa lata, więc czasem bawili się razem w ogrodzie, choć najczęściej kończyło się to jakąś kłótnią. Marco miał po prostu taką osobowość. Był typem samotnika, nieśmiały i jednocześnie pełen energii. Moja żona, nauczycielka w podstawówce, jednego roku pracowała

z nim na letnim obozie dla dzieci aktywnych zawodowo rodziców. Podobno wiecznie siedział na jakimś drzewie albo dachu, rozpierała go energia, ale zawsze był sam. Nie jest fajnie, gdy dziesięcio- czy jedenastolatek jest tak odizolowany, więc zaproponowałem mu, żeby zaczął z nami jeździć na rowerze. Nie chodziło mi o wyniki, a o to, że sport grupowy, wspólne treningi ze znajomymi pomogą mu się uspokoić. Młodym ludziom jest czasami w życiu ciężko…".

Amaducci zaangażował się w działalność Fausto Coppi w 1982 roku, gdy zaczął jeździć jego syn Roberto. „Ja też byłem członkiem klubu, początkowo jeździłem z dzieciakami, a potem zostałem wiceprezesem. Dość szybko mieliśmy pięćdziesiątkę dzieciaków, które co niedziela zabieraliśmy na szosę. Nie myślałem o sobie jako o *directeur sportif*, dla mnie sport był czymś, co dawało frajdę, pozwalało się rozwijać, wejść na jakiś poziom, ale przede wszystkim dobrze się bawić. Wszystko inne stanowiło tylko miły dodatek. Cały czas spędzałem z tymi chłopakami. W dzień pracowałem w moim gabinecie, a popołudniami prowadziłem treningi w Fausto Coppi. Wieczorami organizowaliśmy z kolei wyścigi. Można powiedzieć, że była to niemal praca społeczna, gdyby nie to, że jeździł tam mój syn, a później także córka. Nieustannie towarzyszyła nam moja żona, potem dołączył też teść. Świetnie się bawiliśmy. To było zobowiązanie, z którym wiązała się duża odpowiedzialność, ale radość znajdowała się zawsze na pierwszym miejscu. To były najpiękniejsze lata mojego życia".

Pomimo tej mało wyczynowej filozofii, a może właśnie dzięki niej, klub Fausto Coppi szybko wychował grupę utalentowanych i mocnych zawodników: „Jeśli chodzi o chłopców w wieku Marco, to na poziom Kategorii Pierwszej weszło jeszcze czterech: Andrea Agostini, Anthony Battistini, Renato Baldassari i Francesco Buratti. Wszyscy czterej otarli się

o zawodowstwo. Wszyscy czterej byli dobrzy, ale szczególnie mocni byli Baldassari i Battistini. Ostatecznie, z różnych powodów, żaden z nich zawodowcem nie został. Battistiniemu zmarła matka, gdy znajdował się akurat w kluczowym momencie rozwoju sportowego, Baldassari nie poradził sobie ze swoim charakterem, choć dzisiaj praktycznie nie schodzi z siodełka, startuje w wyścigach amatorskich i regularnie je wygrywa. To samo Andrea Agostini: gdy jakaś amatorska pętla kończy się sprintem, zawsze jest faworytem do zwycięstwa".

Nieoszlifowanym diamentem był jednak Marco: „Lubił jeździć na rowerze. Po jakimś roku czy dwóch zwróciliśmy uwagę, że ma coś, czego nie mieli inni. W 1983 roku zaczął się ścigać w juniorach. Wtedy jeszcze trasy wyścigów młodzieżowych prowadziły podjazdami, a on zawsze wyjeżdżał wtedy na czoło, pomimo że normalnie zawsze jechał z tyłu, nigdy z przodu, taki miał styl. Już wtedy jeździł dobrze, bardzo dobrze. Ogólnie o swoich dzieciakach nigdy nie myśli się, że dokonają czegoś takiego jak Marco. Można zakładać, że będą dobrze jeździć, daleko zajdą, ale nie tak daleko jak Marco. Już jako dziecko był inny niż pozostali i właśnie dlatego osiągnął to, co osiągnął".

Więź między Marco a mężczyzną, który wprowadził go w świat kolarstwa, na zdjęciach sprzed 20 lat widać w licznych uściskach. Odnoszę jednak wrażenie, że słowa Amaducciego odnoszą się nie tylko do dziecięcych lat Marco, ale do całego jego życia: „Potrzebował bliskości. Potrzebował kogoś, kto będzie blisko niego. W moim towarzystwie zawsze był sobą. Przy mnie nigdy się nie zmieniał".

Być może chodziło w tym o wspólne doświadczanie różnych rzeczy, a być może kolarstwo zapewniało mu tę samą ciszę, którą tak lubił, gdy polował, chodził na ryby albo rozbierał zegarki i godzinami bawił się ich częściami. Być może

doświadczając szczęścia dzięki zanurzeniu się bez reszty w rozbieraniu urządzeń mechanicznych, mógł naśladować swojego ukochanego dziadka, który pochylał się nad butem i mocnymi, precyzyjnymi palcami przewlekał igłę przez skórę. Niewykluczone, że pod wpływem rywalizacji po prostu zapominał o nieśmiałości. Tak czy owak, Nicola Amaducci miał rację: kolarstwo pozwalało Marco uwolnić się od zahamowań i cieszyć się przyjaźnią, zachowywać się jak ekstrawertyk, na co wcześniej mógł sobie pozwolić tylko w towarzystwie matki. Dzięki kolarstwu wypracował wizerunek zewnętrzny, maskę, w której mógł stawić czoła światu. Zbudował również głębokie więzi z innymi chłopakami – więzi, które przeżyły jego samego. Kolarstwo wyzwoliło Marco, dla Toniny stanowiło zaś dodatkowy powód do niepokoju. Niepokój ten do dzisiaj nie opuścił jej głowy, z której zniknęła niestety chronologia wydarzeń i wspomnień. „Ciągle się o niego bałam, za każdym razem, gdy wyjeżdżał na rower. Gdy spotykałam go na jakimś skrzyżowaniu, odwracałam ze strachu wzrok, bo był w sumie trochę lekkomyślny. Bałam się za każdym razem, gdy szedł pojeździć. Co prawda, wiele różnych rzeczy wtedy jeszcze się nie wydarzyło, ale… po pierwszym wypadku, drugim, trzecim, czwartym… Pamiętam, że pewnego dnia jechałam rowerem do pracy, a on wyjeżdżał właśnie z dwoma czy trzema innymi chłopakami. Powiedziałam im, że powinni jeździć w kaskach, a wtedy mój mąż stwierdził, że mam nie marudzić. Gdy wróciłam do domu, jeden chłopaków zapytał: »Co z Marco?«. »Ale o co chodzi? Gdzie on jest?«, odparłam. Okazało się, że potrącił go samochód i leży w szpitalu. Był na zjeździe, a auto nadjechało z drugiej strony”.

W 1983 roku Sotero wyłożył część pieniędzy na pierwszy rower wyścigowy dla Marco, który miał zastąpić model wypożyczany

dotąd z klubu. W tym celu dziadek, ojciec i syn pojechali do fabryki Vicini na przedmieściach Ceseny, założonej przez mistrza Włoch z 1939 roku, Mario Viciniego, miejscowym znanego jako Ghaibera Vicini. Paolo mówi: „Chcieliśmy kupić rower, który oglądaliśmy już wcześniej, ale Marco zobaczył model z serii »Tour de France«, który kosztował ze 20 czy 30 tysięcy lirów więcej. Był ciemnoczerwony, w kolorze byczej krwi, z metalizowanym lakierem". Po 20 latach cena tego sprzętu nie zatarła się w pamięci Paolo. „Ten pierwszy rower miał kosztować 260 tysięcy lirów, ale my zapłaciliśmy 290 tysięcy" – czyli 145 euro. „Dwa czy trzy lata później, gdy Marco musiał już jeździć na rowerze swojego zespołu, tamten sprzedaliśmy pewnemu mechanikowi".

Marco nauczył się niezwykle sprawnie rozkładać rower na części i składać go ponownie. Tonina opowiada: „Na trening wyjeżdżał zawsze z imbusami w kieszeni, bo lubił analizować pozycję na rowerze. Tu trochę wyżej, tam trochę niżej, trochę tu, trochę tam. Prawie zawsze trenował sam. Mówił mi, że czasem wręcz słyszy głosy, ale nigdy nie powiedział, do kogo one należą. To była jego sprawa. W dniu, gdy na Montecampione zostawił z tyłu Tonkowa, gdy wyrzucił okulary i wszystko inne, też słyszał głosy. Może to był jego dziadek".

Początkowo na wyścigi z Marco nie jeździł ojciec, lecz wuj Dino. Dino również mieszkał przy Viale dei Mille, na Osiedlu Gabbiano (w Mewim Budynku), kilkaset metrów dalej. Na co dzień pracował w tartaku, ale jego pasją było kolarstwo. W gazecie zawsze najbardziej interesowały go strony kolarskie. Sam też jeździł, choć się nie ścigał. Do dziś dwa lub trzy razy w tygodniu wsiada na siodełko. W ostatnich 20 latach brał udział w rekreacyjnych imprezach kolarskich w całych Włoszech i we Francji. Spotykamy się w barze nieopodal stacji kolejowej, gdzie Dino każdego popołudnia gra w karty (tradycję

tę przejął od ojca). „To my wsadziliśmy go na rower. Pierwszy rower dostał od Sotero, ale to my jeździliśmy z nim co niedziela. Paolo jakoś się nie kwapił. On sam grał kiedyś w piłkę, ale w końcu i jego wsadziliśmy na siodełko. Ludzie ciągle mnie pytali, skąd wytrzasnąłem takiego syna, a ja im odpowiadałem, że nie jestem jego ojcem, tylko wujem. Byłem łysy, więc brali mnie za jego ojca, przynajmniej dopóki Paolo też nie ogolił głowy". To miało się jednak zdarzyć dopiero dziesięć lat później.

W nowych okolicznościach młodym ludziom zamieszkującym Riwierę bardziej od dialektu romańskiego przydawał się język angielski czy włoski. Podobnie jak inne kurorty wakacyjne – od drogiego Riccione i popularnego Rimini na południu po nocne kluby w Milano Marittima w połowie drogi do Rawenny – Cesenatico kwitło dzięki turystyce. Już na początku lat 60. zaczęli się tam zjeżdżać głównie obywatele Republiki Federalnej Niemiec. Marka niemiecka była wystarczająco mocna, by sfinansować dobry hotel, porządne jedzenie, genialne słońce i złote plaże. Dla Niemców był to sposób na tanie rodzinne wakacje, a dla miejscowych – przynajmniej początkowo – pierwszy kontakt z przybyszami z bardziej wyemancypowanego świata. Niektóre niemieckie dziewczyny fantazjowały o przystojnych Włochach (robią to zresztą do dziś), więc stanowiły łatwy cel dla wygadanych lokalnych chłopaków na plażach. Miejscowy chłopak, który miał choć trochę gadane, w letnich miesiącach mógł dosłownie przebierać w pięknych dziewczynach w bikini, z których jakaś część z pewnością jechała tam w nadziei na spotkanie kochanka. Wielkie wewnętrzne migracje z początku lat 60., liberalizacja w sferze seksualnej, upowszechnienie środków antykoncepcyjnych i wprowadzenie nowych praw w kwestii

rozwodów i aborcji przyczyniły się do tego, że między pokoleniami powstała głęboka przepaść.

Lokalna branża turystyczna niespecjalnie oponowała przeciwko promowaniu riwiery jako miejsca przyjemności zmysłowej, żeby nie powiedzieć wprost – seksualnej. Pocztówki z tamtego okresu nawet jak na dzisiejsze standardy są dość wyzywające, bo pokazują młode kusicielki z obnażonymi piersiami (czasem nie tylko), spoglądające uwodzicielskim wzrokiem. Te modelki to głównie blondynki, które w ogóle nie przypominają Włoszek, co świadczy o tym, że miejsce to zatraciło lokalną tożsamość. W sumie można by powiedzieć, że riwiera zyskała nową tożsamość, ale to mocno naciągana koncepcja.

Mario Pugliese ciepło wspomina nastoletnie lata, które spędził razem z Marco: „Chodziliśmy razem do szkoły, odkąd mieliśmy 11 lat, gdzieś tak do 14. czy 15. roku życia. Byliśmy kumplami, codziennie spędzaliśmy razem czas. W zasadzie to było nas trzech, nazywali nas MP: Mario Pugliese, Matteo Panzavolta i Marco Pantani. Mocno nas nosiło i nieustannie trafialiśmy na dywanik do dyrektora szkoły, bo co chwila ktoś nas przyłapywał na jakichś niecnych postępkach. Marco miał tę wrodzoną inteligencję, która pozwalała mu przechodzić przez kolejne klasy bez konieczności jakiejkolwiek nauki. W szkole zjawiał się pół godziny przed lekcjami i przepisywał nasze zadania domowe, a szło mu to błyskawicznie. Opanował sztukę prześlizgiwania się, typowo włoską umiejętność. Mieliśmy po 13 lat, buzowały w nas hormony i przyznaję, że jeśli chodzi o brak szacunku do koleżanek z klasy, czasami posuwaliśmy się za daleko. To nie tak, że im się to nie podobało, ale faktem jest, że nie byliśmy zbyt eleganccy. Gdy któraś przyszła w minispódniczce, nie dawaliśmy jej spokoju tak długo, aż

spódniczka poszła wreszcie w górę. Oczywiście wszystko miało swoje granice, normalna, zdrowa zabawa.

Jako 13- i 14-latek Marco był dość atrakcyjny, ale już w wieku 15 lat zaczął tracić włosy. Dla nastolatka to był spory problem, zwłaszcza w tamtych czasach. Dzisiaj łysina jest w pewnych kręgach modna, w sumie między innymi dzięki Marco. Wtedy jednak wypadające włosy stanowiły realny problem i oznaczały konieczność sięgania po różne kuracje. Brak włosów uważano za nieestetyczny. Dojrzewanie jest trudnym okresem dla każdego, a szczególnie trudne było dla kogoś tak wrażliwego jak Marco. Łysiejąca głowa, wyraźnie odstające uszy… Odchodzimy od faktów i zaczynamy wchodzić w obszar opinii, ale wydaje mi się, że ktoś skrajnie nieśmiały, skrajnie introwertyczny i zamknięty w sobie musi być bardziej wrażliwy od innych. Nauczy się wsłuchiwać w siebie i w ten sposób będzie tę wrażliwość dodatkowo wzmacniać. W przypadku osób o całkowicie normalnych kontaktach towarzyskich wygląda to inaczej. On był skrajnie wrażliwy”.

Pierwsze objawy wypadania włosów u Marco należy postrzegać w kontekście kultury, w której chłopak dorastał. Włosi od zawsze odznaczali się wielkim upodobaniem do wyglądu, stylu i mody, a kultura konsumpcjonizmu lat 80. i 90 tylko dodatkowo to wzmocniła. Z ankiety przeprowadzonej w 1992 roku wynikało, że aż 37 procent Włochów deklarowało ubieranie się w stroje znanych marek. Nadzwyczaj wysokie były ich wydatki na kosmetyki, podobnie zresztą jak w innych krajach Europy Południowej. Lawinowo rosła sprzedaż balsamów po goleniu i kremów przeciwzmarszczkowych. Włoska młodzież miała obsesję na punkcie słowa *bello* – „piękny”. Określenia *bel ragazzo* i *bella ragazza* – oznaczające piękno widoczne gołym okiem – w grupie rówieśników zapewniały popularność i akceptację. Wypadające włosy nie

wpisywały się w ten kanon. Marco wydał mnóstwo pieniędzy na różne terapie i odżywki, ale na próżno.

Jako że nie mógł uczestniczyć w zbiorowym doświadczaniu młodości w Cesenatico, wsiadał na rower, jechał między pobliskie wzgórza i pokonywał tam setki kilometrów. To była prosta strategia obronna. Pugliese opowiada dalej: „W okresie dojrzewania, gdy inni zdobywali pierwsze doświadczenia z dziewczynami, jemu nie szło to tak łatwo. Nie mam wątpliwości, że to pogłębiało jego introwertyzm.

Gdy miał 11, 12, 13 lat, był pełen ekspresji, a potem to się zmieniło. Należał do ludzi małomównych, ale to zależało oczywiście od tego, w jakim towarzystwie się znajdował. Moim zdaniem to wtedy dokonał się podział na Pantaniego na rowerze, tego z charyzmą, pewnego siebie i potrafiącego w nieznoszący sprzeciwu sposób narzucać innym swoją wolę, oraz na Pantaniego w codziennych ciuchach, któremu trudniej jest okazywać charyzmę i trudniej okazywać pewność siebie”.

Ten brak pewności siebie w nastoletnim wieku wynikał po części z tego, jak zaborczy był Marco jako małe dziecko. Tonina opowiada: „Przywiązał się do [Guerrino] niczym do kolejnego dziadka. Czuł się z nim tak blisko związany, że gdy w odwiedziny przychodził prawdziwy wnuk Guerrino, Marco go bił, nie chciał go. Dziadek innego chłopca należał do Marco”. Jeden z jego kolegów z lat szkolnych wspomina, że jako nastolatek nie chciał brać udziału w zabawie w zapasy z innymi chłopcami (już wtedy jego temperament pokazywał, jak głęboko Marco cierpiał): „On po prostu walił w twarz. Nie był specjalnie duży, ale to nie było normalne zachowanie 13-latka, więc reszta chłopaków trochę się go obawiała”. Dopiero kolarstwo umożliwiło mu doświadczanie poczucia wspólnoty.

Po wielu latach jego agentka Manuela Ronchi miała powiedzieć: „Kilkukrotnie zdarzyło mi się go objąć, a on za

każdym razem się spinał i rumienił. Nie nawykł do tego, że ktoś okazuje mu uczucia". W kulturze mocno opartej na dotyku był to zauważalny przejaw ekscentryzmu: duża zażyłość w niedużej grupie kolegów tej samej płci, ostrożny chłód w stosunku do wszystkich innych ludzi. Niemniej sukces miał zamaskować tę i być może także inne nietypowe cechy Marco. Po latach Ronchi mówiła również: „Był bardzo zdystansowany i miał tę twardą charyzmę, a to mogło powodować, że ludzie, którzy chcieli okazywać mu uczucia, sami też się hamowali".

Grupa, w której jeździł Marco, była tak mocna, że ludzie z Fausto Coppi postanowili poszukać fachowej pomocy. W 1984 roku skontaktowali się z Vittorio Savinim, byłym dyrektorem technicznym amatorskiego Giro d'Italia oraz bratem doświadczonego zawodowca, Claudio Saviniego. Savini chodził do szkoły z Paolo, ojcem Marco. To była szkoła w Villaltacie, obaj mieli wtedy dziesięć lat i od tego czasu nie mieli ze sobą kontaktu. Savini opowiada w rozmowie ze mną: „Zadzwonili do mnie i stwierdzili: »Mamy tu obiecującą grupę chłopaków, a ty jeden choć trochę znasz się na kolarstwie«. Nie miałem czasu, żeby się w to angażować, ale powiedziałem, że wpadnę i zerknę. W końcu tam pojechałem i nie zapomnę tej niedzieli do końca życia. Od razu się w nich zakochałem, nie tylko w Marco, ale w nich wszystkich. Tym dzieciakom tak bardzo zależało".

Zajęty, spięty, lekko agresywny – wspomina Savini, siedząc w biurze w salonie sprzedaży Renault w Cesenatico, którego jest kierownikiem: „Marco nie był najmocniejszy w tej grupie. Na tamten moment było tam dwóch czy trzech równie mocnych chłopaków, a w sprincie mogli być nawet od niego lepsi: Anthony Battistini, Andrea Agostini i Francesco Buratti, wspaniały *rouleur*, bardzo utytułowany amator. Na płaskim

mógł jechać 60 kilometrów na godzinę, za to na podjazdach sobie nie radził. Ogólnie to była wyjątkowa grupa zawodników. Na wszystkich wyścigach, na których się pojawialiśmy, robiliśmy duże wrażenie na rywalach".

Marco był podobny do ojca, za to charakter miał absolutnie własny, nieodziedziczony po nikim. W pamięci Saviniego zapisał się tak samo jak w pamięci innych, którzy go wtedy znali: „Marco już jako dziecko nie miał łatwej osobowości. Potrafił być grzecznym i uroczym chłopcem, ale była w nim też jakaś złość: wystarczyło powiedzieć jedno słowo przeciwko niemu, a tracił nad sobą kontrolę. Już jako dziecko podczas wyścigów robił, co chciał. Nie słuchał i nieraz przez to przegrywał. Ale już gdy miał 15 lat, było widać, że jest świetny na podjazdach. W tamtej grupie wiekowej nikt nie umieszczał na trasie stromych podjazdów, co najwyżej pomniejsze wzgórza, ale za każdym razem, gdy przejeżdżaliśmy przez mostek na drodze, Marco zaczynał z tyłu, a na szczycie jechał już na czele. Wiecznie zadawałem mu to samo pytanie: »Dlaczego ciągle jeździsz na końcu grupy?«. Wiesz, co mi odpowiadał? Że lubi patrzeć na twarze ciepiących katusze rywali. Dla niego to była przyjemność.

Gdy zaczynał się wspinać, było widać, że jest wyjątkowy. Miał dar od Matki Natury. Oddychał, jak gdyby nigdy nic, nawet się nie pocił. Ludzie o tym zapominają. Marco miał organizm stworzony do jazdy na rowerze i na drugi taki przyjdzie nam poczekać z 50 lat. Gdy kazałeś mu atakować, atakował, a wtedy nikt nie był w stanie utrzymać mu się na kole".

Savini został jednym z powierników Marco. „Przychodził i siadał dokładnie tu, gdzie teraz siedzisz. Przychodził wieczorami, gdy salon był już zamknięty i mogliśmy pogadać. Wyrzucał z siebie różne rzeczy, czasem wręcz się kłóciliśmy, bo w niektórych sprawach mieliśmy różne zdania. Znałem go od

dziecka. Pewnie dla mnie ciągle był jednym z moich podopiecznych, choć miał już 30 lat. Nie chodzi o to, że go nie rozumiałem, ale o to, że dla mnie ciągle był jeszcze dzieckiem – czystym i niewinnym, a nie 30-latkiem ze zobowiązaniami i różnymi układami, który myślał inaczej”.

# Rozdział 2.
# Sukces i jego sens

## 1980–1988

To okres kolejnych początków. W 1980 roku władze samorządowe Ceseny utworzyły specjalną strefę ekonomiczną w południowo-wschodniej części miasta. Powstała ona przy Via Emilia, starej i prostej drodze jeszcze z czasów rzymskich, która wychodzi na północny zachód z Rimini. Trójkątna połać ziemi z w pełni uregulowanym planem zagospodarowania została podzielona na działki i sprzedana małym przedsiębiorcom. W ten sposób powstała odcięta od miasta dzielnica Case Castagnoli. Fabryka rowerów Vicini, która i tak leży już na uboczu, zostaje dobre dwa kilometry z tyłu, gdy taksówkarz odbija wreszcie w prawo i wjeżdża na teren strefy przemysłowej. W głębi odnajduję wreszcie warsztat 64-letniego Giorgio Fagiolego, który zajmuje się dostarczaniem profesjonalnego sprzętu dla branży budowlanej (wierteł i pomp przemysłowych).

„Znałem ojca Marco. Był hydraulikiem, jednym z moich klientów. Bywał u mnie, bo sprzedaję pompy, potem jednak przestał się pojawiać. Nie wiem, co się z nim stało. Na hydraulice można nieźle zarobić, no ale trzeba się na tym znać. Trzeba pozostawać na bieżąco, bo inaczej szybko wypada się z obiegu. On nie należał do – Giorgio szuka odpowiedniego słowa – najbardziej *wyrafinowanych* ludzi". Obecnie klientami Giorgio są głównie Senegalczycy i Albańczycy. „Dzisiaj to oni wykonują prace fizyczne, którymi Włosi nie są już zainteresowani. Niektórzy z nich decydują się na kolejny krok

i zakładają własne małe firmy”. Zapewne świadomy faktu, że jestem obcokrajowcem, a także z uwagi na spotykany we Włoszech ostry rasizm, Giorgio szybko dodaje: „To wszystko porządni ludzie”.

Z uśmiechem takim jak u Marco, a także z merdającym ogonem, Rocky – pies Giorgio – idzie z nami do budynku obok, Nuova Case Castagnoli Sport. Ten klub sportowo-towarzyski założony został przez Giorgio i innych, by „tchnąć trochę życia w tę okolicę. Kiedyś sam byłem kolarzem, zwykłym amatorem, jakich wielu. Dlatego postanowiliśmy między inny zorganizować wyścig kolarski”. Właśnie ten wyścig z 22 kwietnia 1984 roku okazał się pierwszym wygranym w karierze Marco, choć Giorgio przyznaje, że nie pamięta już szczegółów tamtego dnia: „Nie pamiętam nawet, czy trasa była płaska, czy w tamtym roku znajdował się na niej podjazd. Powiedziałbym, że w roku, w którym meta była na szczycie, Marco skończył jako drugi, a wygrał w tym roku, w którym trasa była płaska. Pamiętam natomiast, że rozpłakał się, gdy na mecie zameldował się drugi. Tamto zwycięstwo odniósł w sprincie. Wtedy jeszcze nikt go nie znał, Marco nie miał na koncie żadnych osiągnięć. Niestety, wielu rzeczy już nie pamiętam. Gdy w 1994 roku zaczął wygrywać, dopytywałem, czy to ten sam Pantani, czy ktoś inny”.

Oczywiście na tamtym etapie dokonania Marco podczas jego pierwszych wyścigów w karierze stanowiły już na wpół oficjalny kolarski kanon. Giorgio z pewnością chciałby jakoś podkreślić wartość faktu, że mógł naocznie oglądać Marco na tak wczesnym etapie jego startów, dopasować wyniki i dane do uciekających wspomnień, ale pamięć go zawodzi. Tak naprawdę jednak w danej chwili wiemy tylko tyle, że widzimy *coś*, jakiś mglisty zarys. Dopiero po czasie wiemy, na co patrzyliśmy. Giorgio to rozumie i nie ma z tym problemu.

Wkrótce po tamtym zwycięstwie Marco klub, którego współzałożycielem był Giorgio, zaczął organizować coroczny dziesięciodniowy Festiwal Sportu. Nie brakowało turniejów, uroczystych kolacji i gości. „Dzięki temu, że działała tu fabryka, odwiedzali nas wybitni mistrzowie. Pojawił się między innymi Bartali. Jako że lubił wino, zabraliśmy go do lokalnego producenta Sangiovese. Kiedy trzeba było wracać, nie mógł już prowadzić, za kierownicą musiał usiąść jego syn. Odwiedził nas również Francesco Moser, wręczyliśmy mu złoty medal. Podobno od innych brał pieniądze, ale do nas przyjechał za darmo. W zeszłym roku też powinien się u nas pojawić…” W 1994 roku Giorgio założył fanklub Marco Pantaniego. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że dziesiątą rocznicę istnienia klubu chcieli tam świętować w towarzystwie Marco. Niestety… Giorgio milknie. Wyciągam rękę do psa, który nadal patrzy na mnie przyjaźnie i nie przestaje merdać ogonem, ale nie chce podejść bliżej. Giorgio spogląda na niego i mówi: „On nie zbliży się do nikogo na mniej niż metr, taki już jest”. Po czym opowiada dalej: „Wielu moich znajomych pojechało do Madonna di Campiglio, żeby obejrzeć tamten etap. Gdy doszły ich wieści, że Marco został zawieszony, wsiedli do kamperów i odjechali. Nie czekali nawet, aż przejedzie peleton”.

Pierwszy triumf Marco doskonale pamiętają jego rodzice. Paolo opowiadał mi: „Oni wtedy zawsze finiszowali sprintem, a Marco był wtedy bardzo lekki, niektórzy chłopcy w jego wieku byli od niego dwa razy więksi. […] Przed wyścigiem napisałem do niego liścik i schowałem mu go w kieszeni. Czytał go akurat w momencie, gdy mijał żonę Amaducciego. Napisałem w nim: »Marco, nie bój się. Żeby wygrać, musisz ich zaatakować. Na jakimś podjeździe, na górce, próbuj tam, bo oni są duzi. W sprincie cię pokonają, ale jeśli wystarczy ci odwagi,

żeby zaatakować i im uciec, pokonasz ich. Dawaj!«. Napisałem mu coś w tym stylu, a on to zrobił". Tonina tylko się uśmiechnęła: „Finiszował sam, zobaczyliśmy go tuż przed ostatnim zakrętem. Stałam tam raz z Cianim, z radości padliśmy sobie w objęcia". Marco wygrał ponownie 13 maja, tym razem w Serravalle di San Marino. Ten triumf należy rozpatrywać jednak w kontekście żałoby. Wcześniej zmarł Guerrino Ciani, z którym Tonina cieszyła się z pierwszego zwycięstwa Marco. Swój drugi sukces Marco dedykował właśnie Guerrino. Po raz pierwszy w życiu opłakiwał kogoś bliskiego. Tonina zapamiętała to następująco: „Był wtedy jeszcze mały, ale bardzo go to zasmuciło". W jego przypadku sukces zaczął przeplatać się z poczuciem straty już na samym początku kariery sportowej.

Trzecie i czwarte zwycięstwo odniósł w niedużym odstępie. Najpierw wygrał 29 lipca w Pievequinta w prowincji Forlì, gdzie na mecie pojawił się z przewagą trzech i pół minuty nad kolejnym zawodnikiem. Tydzień później, dokładnie 5 sierpnia, w Val di Noce w tej samej okolicy wygrał po raz czwarty w karierze. Tamten triumf doskonale zapamiętał Celestino Salami, przyszły prezydent regionalnego oddziału Włoskiego Związku Kolarskiego: „Marco znałem już wcześniej, ale osobiście spotkaliśmy się właśnie tamtego dnia, 5 sierpnia 1984 roku. Forlì–Val di Noce był wyścigiem na trasie liczącej 33 kilometry, która kończyła się trzykilometrowym podjazdem o nachyleniu 17–18 procent. Tak naprawdę to nie był wyścig dla 13- czy 14-latków i po tamtej edycji został usunięty z kalendarza. Do początku tego ostatniego podjazdu dojechaliśmy razem i tam zaatakowałem, a potem Marco po prostu mnie wyprzedził jak rozpędzona ciężarówka. Był niesamowity, istny fenomen, i to już w wieku 14 lat".

Jeden z kumpli Marco z Cesenatico wspominał później, że po kolejnych wygranych chłopak nie potrafił dzielić się z innymi

swoimi emocjami. Zamykał się na dwa dni w pokoju i z niego nie wychodził. Od Giorgio Fagiolego wiemy, że nawet drugie miejsce potrafiło doprowadzić go do łez. Wygrywanie wyścigów szybko stało się dla niego podstawowym zamiennikiem rozumienia samego siebie. Pod tym względem rok 1984 stanowił istotny etap jego rozwoju emocjonalnego.

Między kolejnymi wygrywanymi wyścigami Marco poszedł do szkoły rolniczej. W tamtym okresie przeżył też dwa poważne wypadki. Na skutek zderzenia z ciężarówką miał złamany nos i rozciętą wargę, po której nad ustami została mu blizna. Potem upadł podczas wyścigu, nabawił się urazów głowy i połamał obojczyk, który lekarze musieli zespoić za pomocą specjalnego drutu. Tonina zapamiętała tamten wypadek jako jedno z wielu dramatycznych wydarzeń w życiu całej rodziny: „W 1985 roku sporo się działo. Marco spadł z roweru i połamał obojczyk. Moja córka musiała przejść pilną operację i cudem przeżyła. Zmarł mój ojciec, ja musiałam otworzyć kiosk. Mój ojciec z pewnością chciałby zobaczyć sukcesy Marco, ale zabrakło mu czasu. To był bardzo zły rok". Tonina sprzedawała przy Viale Torino tradycyjne przekąski nazywane *piadina*, które szły jak woda. Dzięki tej działalności ich rodzina z pewnością stała się bardziej rozpoznawalna w lokalnej społeczności. Niestety, już wkrótce Marco i jego najbliżsi mieli się przekonać, że rozpoznawalność ma również swoje mroczne strony.

Marco przez dobrych kilka tygodni nie mógł chodzić na zajęcia, nie nadrobił materiału, nie zdał egzaminów i postanowił nie podchodzić już do nich ponownie. Przeniósł się do technikum, gdzie przez trzy lata zgłębiał metody naprawy radioodbiorników. Szło mu tam zapewne bardzo dobrze, bo ciche i spokojne chłonięcie wiedzy było dla niego charakterystyczne. Ten sam stan umysłu przydawał mu się w kolarstwie, to dzięki niemu przez cały czas kontrolował

zmęczenie i uważnie śledził działania podejmowane przez jadących przed nim rywali. Maratończyk może sobie od czasu do czasu pozwolić na to, by zahipnotyzował go rytm biegu. W przypadku kolarza nie ma jednak o tym mowy, bo w tej dyscyplinie nawet najmniejszy kontakt z oponą innego zawodnika oznacza przegrany wyścig, a prawdopodobnie również obrażenia twarzy i uraz obojczyka. Kolarz jedzie w pełni skoncentrowany, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Marco przez całe życie grzebał przy radiach oraz przy silnikach motorowerów, a później motocykli, żeby podnieść ich moc. Strzelby myśliwskie miał zawsze wyczyszczone i naoliwione. Był prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o przygotowanie rowerów. Wędkowanie i polowania stanowiły dla niego zapewne kolejną okazję do wejścia w stan wewnętrznej pustki i znieruchomienia. Przed startem wyścigu, gdy inni zawodnicy się witali i gawędzili, stał w milczeniu z boku. Nie przyjechał przecież na spotkanie towarzyskie.

Możemy sobie jedynie wyobrazić, jakie wrażenie musiała zrobić na nim pierwsza upolowana ofiara, gdy razem z Sotero poszedł gdzieś na wzgórza. Kolarstwo dawało mu zapewne podobne doznania, każde kolejne zwycięstwo kojarzyło się z upolowaną zwierzyną, tymi wspaniałymi chwilami spędzanymi z ukochanym dziadkiem. Dzięki kolarstwu znalazł swój sposób na życie, tak odnajdywał się w świecie, ale ten sport był dla niego również łącznikiem z podniosłymi chwilami spędzanymi z wujem i dziadkiem. Dzięki niemu wracał do domu i do troskliwej matki, być może miał nawet poczucie, że jako kolarz staje się tym, jako kogo, jego zdaniem, ona chciałaby go widzieć: mężczyzną sukcesu w jej życiu. Oznaczałoby to, że wypadki Marco nie tylko sprawiały mu fizyczne cierpienie; jako że czasowo uniemożliwiały mu jeżdżenie, mogły również powodować u niego niedobory emocjonalne.

Ostatnie zwycięstwo Marco w 1984 roku i pierwsze w 1985 roku dzielił dokładnie rok bez dwóch dni. Czwartego sierpnia wygrał w Montefiorino w prowincji Modena, 15 września natomiast po raz pierwszy w karierze wygrał poza granicami Emilii-Romanii. Ilario Vignali Trophy rozgrywano w Toskanii, a konkretnie w Donnini di Regello w pobliżu Florencji. Na miejscu w dniu imprezy był Vanni Caroni, bo jego syn Alberto startował tam w barwach Fausto Coppi. W swojej relacji Caroni przemyca kilka smaczków dotyczących tego, jak wyglądały realia tamtych lat: „Z Cesenatico wyjechaliśmy jakoś między 5:30 a 6:00. Normalnie naszych synów woziliśmy my, ojcowie, bo oni sami chcieli, żebyśmy byli tam z nimi. W przypadku Marco wyglądało to inaczej, bo jeździł z nim jego wuj, Dino. Zaraz po dotarciu na miejsce musieliśmy się zgłosić u organizatorów i odebrać tam kupony na lunch dla zawodników i reszty ekipy. Potem poszliśmy coś zjeść, już nie pamiętam co, pewnie jakieś miejscowe specjały w restauracji. Pamiętam, że już podczas wyścigu do ucieczki załapał się Battistini, jego grupa miała dwie i pół minuty przewagi nad peletonem. Wyprzedziliśmy ich samochodem, a potem zjechaliśmy na pobocze, by popatrzeć, jak przejeżdżają obok nas. Wtedy Dino stwierdził: »Marco nie jest dzisiaj w najlepszej formie«. No ale na płaskim on zawsze jechał defensywnie, Battistini natomiast wyprowadzał wściekłe ataki i tracił na nie mnóstwo energii. Wyścig kończył się podjazdem i właśnie tam Marco zaatakował. Tym atakiem pociągnął peleton i doprowadził do zlikwidowania ucieczki, co nie przeszło bez echa. Potem robiono mu z tego powodu wymówki. No ale Marco wyprzedził uciekinierów i zwyciężył, a Battistini wygrał sprint grupowy o drugie miejsce. Dublet dla Fausto Coppi”.

W 1986 roku Marco wygrywał trzykrotnie oraz dwukrotnie zajmował inne miejsca warte osobnej wzmianki: był drugi

w mistrzostwach regionu, a także uplasował się w pierwszej dziesiątce mistrzostw kraju (choć dokładne wyniki tego wyścigu się nie zachowały). Potem Marco przeszedł do „juniorów", czyli zawodników 17- i 18-letnich. To właśnie tam rozpoczął przemianę z nastolatka, jakich wielu, w znanego sportowca. To na tym etapie zaczęły się wokół niego pojawiać rzeczy umożliwiające osiągnięcie tego celu: relacje dziennikarzy, telewizja, pierwsze nerwowe wywiady.

Tak oto nagle Marco Pantani po raz pierwszy jawi nam się w ruchu, ma 17 lat i jedzie na krawędzi, z fantazyjnie zaczesanymi włosami, które – przynajmniej z daleka – wyglądają jeszcze na gęste. Luciano Draghi uważa, że pierwszym pokazanym w telewizji zwycięstwem Pantaniego były skróty z wyścigu górskiego Forlì–Montecoronaro, rozegranego 7 lipca 1987 roku. Jeżeli to prawda, mówimy o decydującym kroku w stronę uczynienia z Marco osoby publicznej. Draghi był producentem cotygodniowego programu *Ultimo Kilometro*, przeglądu wydarzeń ze świata kolarstwa amatorskiego w Emilii-Romanii („Choć relacjonowaliśmy również wybrane imprezy ogólnokrajowe, jak Coppa Placci czy Coppi and Bartali, a także niektóre mniejsze imprezy z innych regionów"). Draghi, który jest już po siedemdziesiątce, mówi z dumą: „Tydzień temu [czyli pod koniec maja 2005 roku] nagraliśmy tysięczny odcinek *Ultimo Kilometro*. Jest emitowany o dziewiątej wieczorem. Nie mamy wyników oglądalności samego programu, ale mamy wyniki dla całej stacji. Średnio ogląda nas około 80 tysięcy widzów. Relacjonujemy wydarzenia ze wszystkich poziomów, od elity aż po wyścigi z udziałem bardzo młodych zawodników. Marco zaczął jeździć w latach 1982–1983. Gdy tylko zaczął jeździć dobrze, od razu go u nas pokazywaliśmy".

Oczywiście, rzeczony materiał w niczym nie przypomina dzisiejszych relacji sportowych, nie ma w nim tej charakterystycznej aury wynikającej z zastosowanych technologii oraz występów gwiazd, brakuje analiz ekspertów, jakiejkolwiek grafiki ekranowej czy nawet powtórek w zwolnionym tempie. Jak na dzisiejsze standardy jest to poziom nagrań amatorskich, a może nawet niższy. Podobne nagrania, które dzisiaj uznano by za bardzo wartościowe, już dawno wyrzucono do śmieci lub nadpisano. Wydaje się, że to szaleństwo, no ale zastanówmy się tylko: ile lokalnych gwiazd przebija się do elity? Ilu takich zawodników traci swoją szansę choćby przez źle zaplanowany dzień wolny albo jakiś uraz? Ilu kolejnych taki uraz wymyśla, żeby wytłumaczyć w ten sposób własną porażkę? Ukryć fakt, że ich ciało osiągnęło pełnię możliwości w wieku 16, 19 lub 22 lat i dalej po prostu nie mogło się już rozwijać?

Montecoronaro, miasteczko leżące na wysokości 865 metrów nad poziomem morza, przycupnęło na zboczu Monte Fumaiolo ze szczytem na wysokości 1407 metrów. Z południowej strony tej góry wypływa Tyber. Tamtejsza przełęcz stanowiła niegdyś kluczową arterię łączącą północne i środkowe Włochy, dzisiaj jednak jej rolę przejęły tunele w Umbrii. Obecnie tylko kolarze dostrzegają wartość licznych zakrętów i stromizny tej prowadzącej pod górę drogi. Wyścig organizowany jest na tydzień przed corocznym świętem dzika. W kategorii juniorów dominuje Claudio Della Vedova z Canduccio Club z Udine w regionie Friuli-Wenecja Julijska, którego powszechnie uważa się za niepokonanego na podjazdach. Stromizna oraz obecność Della Vedovy spowodowały, że stawka nie jest duża. Na listę startową wpisało się tylko 47 zawodników, a na linii startu ustawiło się jeszcze mniej, bo zaledwie 41 osób. Draghi nie pozostawia suchej nitki na tchórzach, którzy nie ruszyli się

z domów: „Trzeba mieć odwagę startować również w tych wyścigach, w których nie ma się szans”. Della Vedova od samego początku jedzie tak, jak się tego spodziewano. Wysuwa się na czoło peletonu i nadaje wszystkim takie tempo, jak gdyby jechał w tym wyścigu zupełnie sam, jak gdyby ścigał się sam ze sobą, a nie z rywalami. Dość wcześnie razem z nim ucieczkę inicjuje jego klubowy kolega Luca Facchin, również znakomity góral. Koledzy Marco z Fausto Coppi postanawiają przypilnować uciekinierów i dochodzą ich, jeszcze zanim peleton wjedzie do kurortowej miejscowości Bagno di Romagna. Dalej przełęcz wznosi się na dystansie ośmiu kilometrów przez pola w kierunku miejscowości Verghereto. Następnie przez mniej więcej półtora kilometra jest mniej stromo, a potem zawodnicy muszą pokonać ostatnie dwa kilometry podjazdu do przełęczy.

Na długim podjeździe z Bagno di Romagna Della Vedova przyspiesza i urywa się niemal wszystkim rywalom, na kole siedzą mu tylko kolega Facchin i Marco. Facchin jedzie z nimi przez kilka kilometrów, a potem i on zostaje z tyłu. Della Vedova kuli się nad ramą, głowę trzyma nisko, blisko kierownicy, widać u niego jedynie wahadłowo poruszające się barki. W ogóle się nie prostuje, nie wstaje też na pedały, jak gdyby postanowił sobie, że jego ciało będzie zajmować jak najmniej przestrzeni. Wygląda, jakby jechał czasówkę i starał się zmniejszyć opór aerodynamiczny, choć tak naprawdę podczas tej długiej wspinaczki opór powietrza jest najmniejszym z jego zmartwień. W materiale wideo widać głównie jego plecy z czarnym napisem „Canduccio” na białym tle. Na wysokości przepony otaczają go trzy szerokie paski: niebieski, czerwony i żółty. Na plastronie ma numer 27.

Tuż za nim jedzie Marco. Jest szczuplejszy, może też wyższy od swego umięśnionego rywala. Do jego błękitnej koszulki GS F.

Coppi-Gelati Menni-Conad przypięty jest plastron z numerem 7. Pantani aż kipi nerwową energią, co chwila wstaje z siodełka, przekłada dłonie ze środka kierownicy na górną część klamek hamulcowych albo na dolną część baranka. Tors ma bardziej wyprostowany, przez co zapewne oddycha mu się znacznie łatwiej niż Della Vedovie. Nabiera do płuc więcej powietrza, czerpie z niego więcej tlenu. Od czasu do czasu spogląda za siebie, sprawdza, jak daleko są rywale, rzuca okiem na motocykl z operatorem kamery. Utrzymuje kadencję na poziomie 80 obrotów, a gdy nachylenie maleje, dochodzi do 85 obrotów. Della Vedova wyciąga grobowe 72 obroty, maksymalnie 75. On nadaje tempo, a Marco je trzyma. Prą pod górę ze środkami ciężkości tworzącymi doskonale widoczny podwójny układ, choć wszystkie inne elementy tego obrazka wyglądają na całkowity chaos. Facchin, kolega klubowy Della Vedovy, ma już do nich ponad minutę straty. Gdyby tak tempo jazdy spadło, być może obaj partnerzy z Canduccio mogliby wyprowadzać skoordynowane ataki i w ten sposób pozbawić Marco sił, ale strategia jest inna. Della Vedova liczy na to, że Marco w końcu pęknie.

Ta monotonna harówka zostaje przerwana dopiero w momencie, gdy obaj docierają do znaku oznaczającego ostatni kilometr trasy. Nie jest to tradycyjna trójkątna czerwona flaga, tylko biały kawałek materiału rozciągnięty niczym hamak między drzewem a znakiem drogowym. Della Vedova nadal dyktuje tempo, a Marco sięga ręką w dół, by poprawić najpierw prawy, potem lewy but. Do końca wyścigu zostało jakieś półtorej minuty. Della Vedova przyspiesza. Marco chwyta kierownicę u dołu baranka i wstaje na pedały – to pozycja niespotykana, która później stanie się jego znakiem rozpoznawczym. Potem, nadal stojąc na pedałach, przekłada dłonie na górną część kierownicy. Wahadłowy ruch ciała Della

Vedovy staje się jeszcze bardziej widoczny, zwłaszcza że do ruchów w płaszczyźnie poziomej dochodzi przemieszczanie torsu w pionie.

W ruchach Marco widać jakąś elastyczną żywiołowość. Siedzi teraz na siodełku i mknie w kierunku ostatniego zakrętu, potem znowu staje na pedałach. Może się niecierpliwi, a może rozciąga w ramach przygotowań do sprintu. Wiedza lokalna. Siada na siodełku i tuż za kołem rywala pokonuje zakręt biegnący pod kątem prostym. Wtedy wprost przed nimi pojawia się rozwieszony nad linią mety transparent „Arrivo". Czerwony napis na białym tle, który ginie na tle dachów stojących w oddali domów. Zanim kolarz wstanie z siodełka, musi osiągnąć ten etap pracy nóg, na którym korba ma maksymalną prędkość obrotową. Marco robi to na ułamek sekundy przed Della Vedovą. Nadal jadą pod górę. Ruchy jego roweru na boki są dość ograniczone, przednie koło celuje prosto w metę, a cała moc idzie bezpośrednio w pedały, których korba kręci się z prędkością 110 obrotów na minutę, czyli naprawdę szybko. Della Vedova prezentuje luźniejszy styl, a to oznacza trwonienie energii. Ruch wahadłowy obejmuje już nie tylko jego ciało, lecz także rower. Delikatne ruchy kierownicą powodują, że ma do pokonania kilka centymetrów więcej. Jako że ma wrzucony wyższy bieg niż Marco, nie jest w stanie dojść do 100 obrotów na minutę. Pantani ustawia się po lewej stronie drogi, wjeżdża w coraz węższą lukę między rywalem a ścianą. Friulijczyk jakby chciał mu zagrozić, że wepchnie go na ścianę, ale postępuje jak sportowiec i zostawia mu miejsce na czysty sprint. Na ostatnich metrach Marco z pewnością dochodzi do 120 obrotów na minutę. Przez kilka ekscytujących chwil jadą bark w bark, przypominają dzieci, które wstrzymują oddech pod wodą i patrzą sobie w oczy. Teraz liczą się fizyczne możliwości organizmu – pojemność płuc, zdolność

przyswajania tlenu, zdolność usuwania kwasu mlekowego – oraz siła charakteru. Ostatecznie lepszy okazuje się Marco. Zyskuje dwa centymetry przewagi, potem cztery i Della Vedova już wie, że przegrał. Zwycięstwo Marco nie pozostawia wątpliwości, choć na kresce jest przed rywalem o niecałą jedną długość roweru.

Obaj zawodnicy pokonali 105-kilometrową trasę ze średnią prędkością 37,951 kilometra na godzinę. Dwie godziny i 46 minut ścigania się, przez większość tego czasu w bezpośredniej walce. Mimo to nie ma mowy o żadnym uścisku dłoni, nie ma nawet skinięcia głową w geście uznania dla wspólnego doświadczenia. W każdych innych okolicznościach należałoby się zacząć zastanawiać, gdzie obaj znajdują się na spektrum autyzmu. Trzeci Facchin pojawia się na mecie ze stratą minuty i 50 sekund. W wyznaczonym limicie czasu zmieści się tylko 18 zawodników. Sześciu dotrze do mety z przekroczeniem tego limitu, 17 osób zejdzie z trasy albo już to zrobiło.

Po skrótach z wyścigu Forlì–Montecoronaro Marco, Anthony Battistini – jego kolega z klubu Fausto Coppi – a także ich *directeur sportif* Vittorio Savini, pojawili się w studio, żeby udzielić wywiadu. Marco był nerwowy. Gdyby zadano mu precyzyjne pytania, być może dałby radę jakoś uporządkować myśli i przezwyciężyć lęk, ale dostawał pytania otwarte, więc mówił tak długo, aż zamilkł. Poproszono go nawet, żeby podsumował wyścig, w którym w zasadzie nic się nie działo. Każdy miałby trudności z tym pytaniem, a przecież Marco nie był najbardziej elokwentny – plątał mu się język, co chwila się poprawiał, powtarzał się, wstawiał liczne zbędne przerywniki. Jego opis był całkowicie pozbawiony życia.

*Della Vedova już od pierwszych kilometrów pokazywał, że jest mocny, no, pokazywał, że jest bardzo mocny na podjazdach, wspinał się bardzo szybko, bardzo moc… wspinał się bardzo mocno i bardzo szybko, przez cały czas, no prawie, jechał z przodu przez cały czas. Ja przez cały czas jechałem… powiedzmy, że defensywnie. W końcówce, no wiecie, powiedzmy, że Della Vedova zapłacił cenę za swoje pochopne założenia, jak by to powiedzieć…*

W tym momencie Draghi się nad nim ulitował i przerwał mu słowami: „Ale Della Vedova to bardzo wspaniałomyślny zawodnik, prawda? Kolarz, który nie bawi się w skomplikowaną taktykę i po prostu daje z siebie wszystko, co ma". Tak oto zakończył bezbarwny, ale przede wszystkim bardzo nerwowy występ Marco przed kamerą.

Następnie Draghi zwrócił się do Saviniego, a ten powiedział: „Trenowaliśmy w świętym spokoju, cierpliwie znosiliśmy upokorzenia ze strony innych zespołów z Emilii-Romanii, ale zawsze chodziliśmy z wysoko podniesioną głową".

W jeden weekend Savini fetował zwycięstwa Marco i Battistiniego, a mimo to w chwili triumfu nie nurzał się w chwale, a przypominał sobie minione dni upokorzeń. Podobnie jak Pantani, podczas rozmowy ani razu się nie uśmiechnął. Już ten pierwszy wywiad zdaje się naznaczać początek antypatycznych relacji między Marco (i jego ekipą) a telewizją. Z czasem ta awersja miała przerodzić się we wrogość do wszelkiego dziennikarstwa i dziennikarzy.

W wieku 18 lat Marco uznał, że Fausto Coppi jest już dla niego klubem zbyt małym. Razem z kilkoma kolegami wstąpił w szeregi zespołu z miasteczka Gambettola w pobliżu Forlì.

Zbyt wiele mu to nie dało. Na swoje jedyne zwycięstwo w barwach tej ekipy czekał do sierpnia, gdy wygrał w Pescarze w Abruzji. Resztę sezonu stracił, bo swoim pierwszym samochodem, fiatem ritmo, wjechał w ścianę i połamał kości stopy, którą trzeba było włożyć w gips. Po długich 40 dniach wrócił na wyścig Forlì–Montecoronaro 1988 i bez żadnych treningów zajął w nim piąte miejsce.

Na tym etapie Marco wiódł już żywot sportowca. Mario Pugliese powiedział w rozmowie ze mną: „Na pewien czas urwał nam się kontakt. Pamiętam, że spotkałem go wieczorem w jakąś sobotę. Zapytałem, czy dalej jeździ, a on odparł: »Tak, w tym roku postaram się dobrze wypaść w amatorskim Giro d'Italia. Jeśli dobrze mi pójdzie, będę jeździł dalej, jeśli nie, zajmę się sprzedażą *piadine*«. Jakieś sześć czy siedem miesięcy później skończył Giro d'Italia amatorów na trzecim miejscu i wtedy zaczął piąć się na sam szczyt". Pugliese w wieku 17 lat został dziennikarzem. Gdy Marco zaczął uzyskiwać pierwsze naprawdę dobre wyniki, robił z nim niektóre wywiady. „Znacznie później spotkaliśmy się znowu, nad Port Canal, więc powiedziałem mu: »Popatrz, jak to się wszystko ułożyło: ty jesteś kolarzem, ja dziennikarzem, piszę o tobie, a jutro ty kupisz gazetę«. Pisałem o nim przez jakiś czas, dopóki nie awansował na poziom, na którym trudno było się już do niego zbliżyć".

# Rozdział 3.
# Jeźdźcy w czerwonym

## 1989–CZERWIEC 1992

W 1989 roku, czyli w wieku 19 lat, Marco awansował do kategorii „amatorów”; miał w niej rywalizować z kolarzami 26- i 27-letnimi, którym niewiele zabrakło do podpisania kontraktów zawodowych lub nie udało im się ich utrzymać. A także z zawodnikami z Europy Wschodniej, którzy spokojnie znajdowali się na poziomie zawodowców, ale albo nie mogli jeździć zawodowo z uwagi na uwarunkowania polityczne, albo nie mieli takich możliwości materialnych. Wówczas nie funkcjonowało jeszcze ograniczenie tej kategorii do 23. roku życia.

Marco był szczególnie blisko związany ze swoim dziadkiem, komunistą. Dom, w którym się wychował, Osiedle 1 Maja, został wzniesiony przez spółdzielnię złożoną z ludzi o lewicowych poglądach. Teraz jednak włoski komunizm oddziaływał na jego życie w zupełnie inny sposób. Jego nowy zespół, Rinascita, był jednym z dwóch klubów kolarskich w przemysłowym mieście Rawenna, leżącym 30 kilometrów na północ od Cesenatico. Klub ten powstał w 1947 roku, a jego założycielami było 15 kombatantów, dawnych członków 28 Brygady Garibaldiego, grupy partyzantów wyzwalających miasto z rąk nazistów. Medardo Bartolotti, prezes klubu w latach 1981—1988, w rozmowie ze mną powiedział: „Po wojnie było oczywiste, że w Rawennie zatriumfują nastroje lewicowe, ponieważ 90 procent partyzantów było komunistami. Pedale Ravennate, pierwszy tutejszy klub kolarski, powstał z inicjatywy 30

republikanów. Komórka Partii Republikańskiej w Rawennie należała do najsilniejszych w całych Włoszech. W Rawennie zbierała mnóstwo głosów, choć w skali kraju jej poparcie sięgało zaledwie jednego czy dwóch procent. W Rinascita 40 procent z nas należało do PCI [Partito Comunista Italiano, Włoska Partia Komunistyczna], jestem jej członkiem od 40 lat. Ogólnie jednak kluby kolarskie nie były organizacjami partyjnymi, ale prowadzili je ludzie motywowani swoimi ideałami politycznymi, które skłaniały ich do udzielania się w klubach".

Ludziom z zewnątrz tego rodzaju koneksje partyjne wydają się dziwne, ale ze względu na historię Włoch były po prostu nieuniknione. Po drugiej wojnie światowej i utworzeniu Republiki Włoskiej przeciwne sobie ośrodki ideologiczne, a konkretnie Kościół katolicki i Włoska Partia Komunistyczna, zaczęły tworzyć własne organizacje, których celem było angażowanie mas w działania społeczne i kulturalne. W regionach, gdzie przeważali komuniści, na przykład w Emilii-Romanii, wpływy partii sięgały nawet najdalszych od polityki obszarów, takich jak choćby kolarstwo. Ta dyscyplina wymaga rozbudowanego, rozsianego po poszczególnych wioskach aparatu organizacyjnego, by pozyskiwać miejscowych sponsorów, koordynować działania lokalnej administracji, zamykać drogi, kierować ruchem i jadącymi zawodnikami. Organizacja wyścigu pozwalała pokazać, jak dynamiczni są lokalni politycy, więc stała się działaniem ściśle powiązanym z aktywnością partyjną. W innych regionach Włoch kolarstwo mogło kwitnąć dzięki innym instytucjom. W obszarze tak zwanego włoskiego „czerwonego pasa" – od Emilii-Romanii i Marche na wschodzie, przez Umbrię, po Toskanię na zachodzie – drogę przed peletonem torował włoski komunizm, choć rozumiany nie jako doktryna, ale raczej jako

pragmatyczny system sojuszy, zabarwiony zasadami o charakterze niemal strategicznym (w sumie był to trochę męczący, namolny i raczej konserwatywny moralizm).

Kariera amatorska Marco w dużej mierze ograniczała się do czerwonego pasa. W pierwszym roku występów na tym szczeblu uzyskiwał całkiem obiecujące wyniki. W czerwcu zajął drugie miejsce w wyścigu Riccione–Misano Adriatico, ustępując jedynie innemu początkującemu amatorowi, Marco Fincato, który później miał być jednym z jego partnerów w Mercatone Uno. Następnie Pantani był czwarty w Memorial Pancotti w Ostra Vetere, w górzystych okolicach Ankony. Potem znów zajął czwarte miejsce, tym razem w wyścigu Pistoia–Sammomé, którego pierwszym organizatorem był legendarny Loretto Petrucci, dwukrotny zwycięzca imprezy Mediolan–San Remo w latach 50. W następnej kolejności wystartował w Socchi Trophy w Toskanii, wyścigu z metą w Volterrze, gdzie musiał uznać wyższość przyszłego zawodowca, trzy lata starszego od niego Massimo Donatiego. W lipcu, podczas jednej ze swoich nielicznych wizyt w Alpach Lombardzkich, zajął drugie miejsce w górzystym wyścigu Sondrio–Livigno, pokonując na podjeździe między innymi Ivana Gottiego, przyszłego triumfatora Giro.

Jeżeli jednak uznać krótki okres występów Marco w barwach Rinascity za godny zapamiętania, to dlatego, że właśnie w tym klubie po raz pierwszy posmakował wyścigu etapowego. Już dziewięć dni po Sondrio–Livigno trafił do Kalabrii, na drugi koniec Włoch, by wziąć udział w imprezie Sześć Dni Słońca. Wygrał tam dwa etapy i zajął czwarte miejsce w generalce. Zwyciężył Argentyńczyk Daniel Efraín Castro, starszy od Marco o cztery lata. Tak oto Marco zaostrzył sobie apetyt na wyścigi etapowe. Postanowił, że wygra amatorskie Giro d’Italia.

W tamtym okresie do najważniejszych amatorskich wyścigów etapowych zaliczały się Tour de L'Avenir, nieoficjalnie nazywany amatorskim Tour de France, oraz Wyścig Pokoju, rozgrywany na trasie Warszawa–Berlin–Praga, ale nie interesowały one Pantaniego. Włochy miały kilka własnych prestiżowych amatorskich wyścigów etapowych, na przykład Giro della Valle d'Aosta czy Giro delle Regioni. Ale Marco interesowała tylko jedna impreza: Giro d'Italia amatorów. Co roku zapraszano na nią od sześciu do ośmiu reprezentacji narodowych z krajów tak różnych, jak Kolumbia i Związek Radziecki. Sowieci wygrali dziewięć z ówczesnych dziesięciu ostatnich edycji tego wyścigu. Pēteris Ugrjumovs, triumfator z 1984 roku, miał być później jednym z największych rywali Marco. A zwycięzca edycji z 1998 roku, Dmitrij Konyszew, został potem jednym z najbardziej utytułowanych partnerów zespołowych Pantaniego. Co ciekawe, amatorskie Giro d'Italia umożliwił Marco pokazanie umiejętności szerszej światowej publiczności bez konieczności opuszczania realiów regionu, w którym chłopak dorastał – wyścig ten organizował klub Rinascita, nawiązując w ten sposób do swoich komunistycznych tradycji.

W 1966 roku, niejako w ramach zapowiedzi Praskiej Wiosny, Czechosłowacki Związek Kolarski zachęcał swoich członków do nawiązywania relacji z ich odpowiednikami w Europie Zachodniej. Słowacki klub ZVL Žilina skontaktował się z Rinascitą w sprawie nawiązania relacji partnerskich. Dokonano wymiany delegatów, zawodnicy Rinascity wzięli udział w Okolo Slovenska, czyli słowackim wyścigu narodowym, a kolarze z ZVL startowali w wyścigach we Włoszech w barwach Rinascity. W 1968 roku prezes włoskiego klubu wpadł na pomysł organizacji Wyścigu Przyjaźni, który przecinałby żelazną kurtynę. Zawodnicy mieli startować

z Żyliny i jechać przez Bratysławę, Wiedeń, Graz, Maribor, Lublanę, Udine, Wenecję i Rawennę. Po pierwszych pozytywnych reakcjach całe przedsięwzięcie utonęło w morzu biurokracji, a pomysł po cichu zarzucono jako piękny, ale nieosiągalny sen.

Bartolotti powiedział mi: „Z pomocą Partii Republikańskiej oraz socjalistów w 1963 roku zorganizowaliśmy Giro delle Antiche Romagne. W 1969 roku, gdy Adriano Rodoni [prezes FCI, Włoskiego Związku Kolarskiego] wpadł na pomysł organizacji amatorskiego Giro d'Italia, a dzięki naszym doświadczeniom z organizacji Giro delle Antiche Romagne oraz ambicji zaprezentowanej podczas prób organizacji Wyścigu Przyjaźni rolę organizatorów nowej imprezy działacze FCI powierzyli właśnie nam".

Pierwsza edycja Il Piccolissimo Giro d'Italia Dilettanti odbyła się w 1980 roku. Marco startował w tej imprezie dopiero w latach 90., a wcześniej jej organizację przejęli ludzie z Rzymu, chcący na niej zarobić. Zbankrutowali, wyścig został zawieszony, potem przejęty przez „La Gazzetta dello Sport", znów zbankrutował, a w końcu jego organizacja wróciła do klubu Rinascita. Tyle że wtedy Marco nie reprezentował już barw tego zespołu.

Doszedł do wniosku, że jeśli chce wygrać amatorskie Giro, będzie potrzebował mocniejszej ekipy, dysponującej porządnym wsparciem sponsorów i bardziej profesjonalną strukturą zarządzania. Vittorio Savini skontaktował go z jednym z najlepszych włoskich zespołów amatorskich, Giacobazzi. Sponsorem tej ekipy był producent wina z Nonantoli, miejscowości położonej dziesięć kilometrów na północ od Modeny, a jej dyrektorem był Giuseppe Roncucci, powszechnie znany jako Pino. Roncucci jest już obecnie po siedemdziesiątce; ten szczupły i wysoki mężczyzna ma wielkie

dłonie i robi wrażenie człowieka jednocześnie przyjaznego i władczego. Regały w jego domowym gabinecie pełne są dokumentów z 35 lat aktywnej działalności w świecie włoskiego kolarstwa amatorskiego. Kiedyś Pino sam był kolarzem amatorem, ale jego kariera zakończyła się po czterech powojennych sezonach, gdy na skutek upadku nabawił się urazu gardła. Wtedy zainteresował się zapasami w stylu klasycznym i już cztery lata później został mistrzem kraju w tej dyscyplinie. Mimo to jego pasją pozostało kolarstwo, więc w 1968 roku zapisał się na jeden z pierwszych organizowanych we Włoszech kursów na dyrektora sportowego w kolarstwie, organizowanego na welodromie Servadei w Forlì. Zrobił tam na wszystkich niemałe wrażenie i już w 1969 roku zaproponowano mu prowadzenie Servadei-Alessandri, jeżdżącego w tym miejscu zespołu młodzieżowego. W 1977 roku Giacobazzi dołączyło do Alessandriego w roli drugiego sponsora zespołu juniorów. W rozmowie ze mną Roncucci opowiadał: „Firma Giacobazzi miała duży zespół, jeden z najmocniejszych w całych Włoszech, ale nie dawał on rady niczego wygrać. Dlatego powierzyli mi swój zespół juniorski. Uznałem, że mogę popróbować przez miesiąc z ich chłopakami. Poprosiłem o *carte blanche* właśnie na miesiąc, zrobiliśmy obóz treningowy w Emilii-Romanii, a potem do końca tamtego roku wygraliśmy 24 wyścigi. Dali mi dożywotni kontrakt! Sam Giacobazzi był dżentelmenem, miłośnikiem kolarstwa, który nigdy nie poszedłby pod prąd. Usłyszałem od niego: »Dam ci 200 albo 300 milionów lirów [100–150 tysięcy euro], a ty zbudujesz mi zespół«. Organizacyjnie wyglądaliśmy lepiej niż niejedna ekipa zawodowa. W jednym sezonie mieliśmy nawet zawodowy zespół na torze, jego dyrektorem był Luciano Pezzi. Ogólnie jednak Giacobazzi nie lubił profesjonalnego kolarstwa: »Lubię kształtować chłopców, wychowywać ich na mistrzów«”.

Roncucci po raz pierwszy widział Marco podczas wyścigu Forlì–Val Di Noce, czyli tym, o którym opowiadał mi Celestino Salami. Wynikałoby z tego, że *directeur sportif* najlepszego włoskiego klubu amatorskiego wiedział o istnieniu Pantaniego już od trzech lat. Roncucci zobaczył go ponownie w 1987 roku na wyścigu Forlì–Montecoronaro, gdzie Marco wygrał z Della Vedovą. Tak opowiadał mi o tym dniu: „Pojechaliśmy tam obejrzeć Della Vedovę, bo chcieliśmy mieć go u nas. Della Vedova robił, co mógł, ale Pantani nie dawał się zrzucić z koła. A potem, na ostatnich 300 metrach, Pantani zaatakował i wygrał. Na podjazdach dysponował nagłym przyspieszeniem, mógł to powtarzać kilkukrotnie. Już jako amator wygrywał w tym samym stylu, który miał prezentować potem jako zawodowiec".

Pod koniec 1989 roku Roncucci odebrał telefon od Saviniego. „Powiedział mi: »Pino, nie chciałbyś wziąć Pantaniego do siebie?«. Mieliśmy już wtedy mocny zespół i nadal jeździł u nas Della Vedova, ale najbardziej zależało nam na zwycięstwie w Giro d'Italia, bo tego triumfu ciągle brakowało w kolekcji zespołu Giacobazzi. Pojechałem zatem do kiosku z *piadine*, żeby go poznać. Zapytałem, dlaczego chce jeździć w naszym zespole, skoro po rozpoczęciu kariery amatorskiej zdecydował się na klub Rinascita. Co odpowiedział? »Chcę jeździć w Giacobazzi, bo zależy mi na zwycięstwie w Giro d'Italia, a wy macie mocny zespół«. Proste".

Być może struktury organizacyjne, dzięki którym Marco wypłynął w kolarskim świecie, wywodziły się z kręgów włoskiego komunizmu, ale niezbędne do tego pieniądze pochodziły z tak zwanego kapitalizmu atomowego, czyli rozległej sieci małych i średnich firm, które wytwarzały dosłownie wszystko, od podzespołów i częściowo ukończonych

produktów po niezwykle wyrafinowane towary na niszowe rynki światowe. Każda z nich miała autonomię w zakresie dysponowania własnymi pieniędzmi, a ich właścicielami byli często pasjonaci kolarstwa, a czasem wręcz ludzie, którzy kiedyś sami jeździli. Organizacja wyścigu etapowego – czy to amatorskiego, czy zawodowego – to wspólny wysiłek, możliwy w dużej mierze dzięki istniejącym wcześniej powiązaniom charakterystycznym dla innego typowo włoskiego tworu, a mianowicie stref przemysłowych.

Taka strefa przemysłowa nie ma nic wspólnego z parkiem przemysłowym czy strefą wolnego handlu. W tym kontekście strefami przemysłowymi nazywano często konkretny obszar, często małe miasto wraz z otaczającymi je terenami wiejskimi, gdzie na skutek lokalnej presji ekonomicznej powstała sieć małych firm działających w jednym wybranym sektorze, nierzadko tworzących wspólnie jeden produkt końcowy. Na przykład strefy przemysłowe miast Prato i Carpi specjalizują się w tekstyliach, w Poggibonsi i Arquate wytwarza się meble, w Lumezzane sztućce, w Sassuolo ceramikę, a w Vigevano buty. Pewne obszary wyspecjalizowały się w produkcji skomplikowanych urządzeń albo narzędzi precyzyjnych: Belluno to ośrodek produkcji szkieł i oprawek okularów, w Mirandoli produkuje się sztuczne nerki, w Emilii-Romanii powstaje sprzęt rolniczy, Verona i Cremona wyspecjalizowały się w podzespołach rowerowych. W 1991 roku we Włoszech działało co najmniej 238 takich stref przemysłowych, zatrudniających 1,7 miliona pracowników. Strefa przemysłowa stała się niejako sztandarowym symbolem włoskiej przedsiębiorczości, zakorzenionej głęboko w tamtejszych tradycjach związanych z rzemiosłem oraz zamiłowaniem do designu i eksportu. Weźmy choćby tylko producentów ceramiki z Emilii-Romanii, którzy tłumnie sponsorują kolarstwo. Są to

takie firmy, jak Jolly, Ariostea, Panaria, Refin czy Ceramica d'Imola.

Na początku maja 1990 roku właśnie dzięki tym sieciom małych i średnich firm udało się zorganizować czterodniowy amatorski wyścig Giro dell'Emilia-Romagna. Jego oficjalnym organizatorem był klub Nonantola, politycznie i kulturowo zakorzeniony w komunizmie, dokładnie tak samo jak w przypadku Rinasciti. Organizatorom udało się pozyskać środki finansowane i wsparcie koordynacyjne od ośmiu samorządów lokalnych i pięciu przedsiębiorstw z regionu. Do udziału w imprezie zgłoszono 21 sześcioosobowych drużyn, więc na starcie stanęła barwa grupa zawodników z ambicjami, by przejść na zawodowstwo. Niektórzy pochodzili z okolicy, jak Stefano Cembali z Lugo, inni przyjechali z odleglejszych miejsc, jak choćby Eros Poli i Andrea Ferrigato z Werony czy Stefano Zanini z Varese. Dwudziestoletni wówczas Marco wzmocnił swój wizerunek specjalisty od wyścigów etapowych, zajmując drugie miejsca na dwóch etapach i drugie miejsce w klasyfikacji generalnej z takim samym czasem jak zwycięzca. Mimo to na oficjalnych zdjęciach Marco – z widocznie przerzedzającymi się włosami – stoi sam, z prawej strony sceny. Gdy zaskakująco wysoki Poli uniósł puchar dla najlepszego sprintera, a malutki zwycięzca wyścigu, Cristiano Andreani, zaprezentował swoje trofeum, wokół rozległ się powszechny śmiech. Marco też się śmiał, ale jakoś bez kontaktu wzrokowego z innymi. Już jedno drugie miejsce to było dla niego za dużo, a on zajmował je tutaj aż trzykrotnie.

Potem, dokładnie 27 maja 1990 roku, ruszyło Giro d'Italia amatorów. Pierwszym etapem była indywidualna jazda na czas w Pietrasanta, nieco na północ od Viareggio na wybrzeżu toskańskim. Od 1982 roku w amatorskim Giro d'Italia triumfowali wyłącznie Rosjanie. W rozmowie ze mną Roncucci

stwierdził: „W tamtych latach start etapu w amatorskim Giro odbywał się na dwie godziny przed Giro zawodowców, wyścig odbywał się na tych samych drogach, ale był nieco krótszy. Poza tym nasi chłopcy pokonywali tę samą trasę co zawodowcy. W tamtym roku wśród zawodowców wygrał Bugno, niejednokrotnie nocowaliśmy w tym samym hotelu co on. Lekarzem w naszej ekipie był doktor Sturla, który trzymał pieczę także nad Bugno. Zawodnicy zostali wcieleni do drużyn według regionów, a dyrektorem sportowym takiej drużyny był dyrektor zespołu, który miał w danej grupie najwięcej swoich zawodników. Jako Giacobazzi mieliśmy w drużynie pięciu naszych, więc rola DS przypadła mnie. Prolog odbywał się w ulewie. Marco najechał na plamę oleju, wywrócił się i mocno poobijał. Miał wybity bark i sporo ran. Zadzwoniłem do jego ojca, żeby po niego przyjechał, ale chłopak rozpętał wtedy prawdziwe piekło i ostatecznie przekonał nas, żebyśmy pozwolili mu jechać dalej. Stracił wtedy z pięć minut, no… cztery minuty z czymś tam… Semensini, oficjalny lekarz Giro, stwierdził: »Dajmy go na rower, a ja wtedy spróbuję założyć mu opatrunki. Damy też coś na kierownicę, żeby mógł jechać w tej pozycji, ale oczywiście tylko w tej pozycji«”.

Kolejnych siedem etapów Marco pokonał na siedząco, niemal nieruchomo. Choć trudno w to uwierzyć, na czwartym, górskim etapie, z Trentino do Baselga di Pinè, zajął czwarte miejsce. Na siódmym etapie, przez Dolomity na Passo Pordoi, leżącą w odległości 50 kilometrów od kurortu Cortina d’Ampezzo, udało mu się być trzecim. W klasyfikacji generalnej awansował z dziewiątego miejsca na piąte i to pomimo kolejnego upadku (ze zbocza góry oderwał się kawałek skały i trafił Marco w tylne koło, gdy ten był akurat na zjeździe).

Tego wieczoru Roncucci poszedł do ekipy rywali z prośbą, by ich masażysta zajął się prawym udem Marco, które zdawało się

mocno naciągnięte. Masażysta Roberto Pregnolato uporał się z tym problemem i już nazajutrz, w miejscowości Aprica, Marco zajął drugie miejsce na etapie. Dzięki tym znakomitym występom ukończył Giro na trzecim miejscu w klasyfikacji generalnej, ze stratą jednej minuty i jednej sekundy do zwycięzcy, Wladimira Bellego. Roncucci stwierdził: „Bez tamtego upadku wygrałby bez problemu". Pantani miał w przyszłości zaliczyć jeszcze wiele występów, o których można by powiedzieć to samo.

Pregnolato i Marco już się wtedy znali. Wcześniej tego samego roku przedstawił ich sobie Davide Boifava, *directeur sportif* w zawodowym teamie Carrera. Marco miał jeszcze wtedy długie włosy, więc gdy Pregnolato po raz pierwszy zobaczył go od tyłu, stwierdził: „Jak to możliwe, żeby kolarz miał tak dużo włosów?". Podczas amatorskiego Giro w 1990 roku Marco zaczął mówić do Pregnolato *per* „Robespierre", z uwagi na to, że masażysta był wręcz teatralnie przystojny. Pregnolato skracał natomiast Pantaniego do „Panta". Przyjemny dotyk dłoni Robespierre'a oraz równie przyjemne aromaty jego olejków bardzo ich zbliżyły. Tak oto wywiązała się jedna z największych przyjaźni w życiu obu mężczyzn, która miała trwać – z jedną czy dwoma przerwami – aż do śmierci Marco.

Pregnolato nie da się nie lubić. To spokojny facet, zwłaszcza jak na fakt, że ma właśnie za sobą 280 kilometrów treningu na rowerze w marznącym deszczu. Obecnie jest właścicielem salonu piękności w centrum Modeny, więc regularnie widuje się go w towarzystwie ślicznych dziewczyn, od czasu do czasu zakręci się tam również jakiś transwestyta. To bystry facet lubiący podteksty, a do tego ma niezwykle utalentowane dłonie. Zanim poznał Marco, już wcześniej pracował z najlepszymi sportowcami z najróżniejszych dyscyplin, miał na koncie między innymi zatrudnienie w klubie piłkarskim Fiorentina,

kiedy grał tam słynny Brazylijczyk Zico. Ogólnie jednak jego nazwisko już zawsze będzie kojarzone z Marco Pantanim; jego twarz spogląda na Roberto ze zdjęć i wycinków prasowych, którymi wyklejone są ściany pomieszczenia do masowania klientów. Można by odnieść wrażenie, że po śmierci Marco został jego aniołem stróżem. Za życia było dokładnie odwrotnie. W towarzystwie Pregnolato Marco się rozluźniał, był dowcipny i dobrze się bawił – pozwalał sobie na wszystko to, na co nie umiał się zdobyć w towarzystwie innych osób. Jednocześnie już wtedy Marco zaczynał pokazywać ludziom ze swego otoczenia także inną stronę swojej osobowości. Nic dziwnego, że później najróżniejsi jego współpracownicy mieli się spierać, która z tożsamości Pantaniego była prawdziwa.

W wywiadzie z 1995 roku Pregnolato opisywał ciało tak świetnie znane jego dłoniom: „Nie widziałeś, jaki jest chudy? Jakim cudem ktoś taki miałby mieć dużą masę mięśniową? Jest żylasty, inny, składa się wyłącznie z mięśni. Momentami to, co robię z jego nogami, naprawdę trudno nazwać »masażem«. Masowałem wielu znanych sportowców, ale nigdy nie spotkałem takiej muskulatury jak u niego”.

Po Giro Marco utrzymywał rewelacyjną formę i 10 lipca wygrał dwuosobowy sprint w Le Marche, a następnie pod koniec miesiąca triumfował w górskiej indywidualnej jeździe na czas w Parmie. Pod koniec sierpnia został mistrzem amatorów Emilii-Romanii. Tej zimy, bez wątpienia za pieniądze z wygranych, Marco w towarzystwie Andrei Agostiniego, przyjaciela z lat chłopięcych i zespołowego kolegi, poleciał do Tajlandii. Przysłał stamtąd Roncucciemu pocztówkę z informacją: „Przyjechałem tu trenować, ale łatwiej jest iść na plażę”. Pino pokazał mi tę widokówkę, którą trzyma w swoim szczegółowym archiwum wraz z kopertą zawierającą podpis

Marco. „Zapytałem go, co robi, a on mi na to: »Ćwiczę rozdawanie autografów«”. Dyskomfort odczuwany przez Marco podczas wywiadów telewizyjnych ewidentnie nie wynikał po prostu z wrogiego stosunku do statusu osoby publicznej i rozpoznawalności. W podpisie, który tak pieczołowicie ćwiczył, też można dopatrzyć się pewnych osobliwości. Imię „Marco” zapisane jest klasyczną kursywą, a nazwisko „Pantani” pochylało się w przeciwną stronę. Jako że zawsze podpisywał się „Pantani Marco”, jego imię i nazwisko wyglądały tak, jakby chciały od siebie uciec. Był jedynym członkiem swojej rodziny, który nie miał charakterystycznej ksywki, końcówki czy zdrobnienia, jak choćby Tonina. Te autografy mogą sugerować, że Marco źle się czuł nie tylko w swojej skórze, lecz także ze swoim nazwiskiem.

Na początku 1991 roku został wybrany do reprezentacji narodowej B na wyścig Settimana Bergamasca, dziesięcioetapową imprezę, w której amatorzy mogli zmierzyć się z zawodowcami. Profil trasy nie odpowiadał Pantaniemu, bo nie było tam zbyt wiele długich i stromych podjazdów. Pierwsze powołanie do reprezentacji z pewnością oznaczało prestiż, ale nie mam wątpliwości, że myślał już wtedy o Giro. Mimo to zajął dziesiąte miejsce w generalce i czwarte w klasyfikacji „zawodników młodych”. Wyścig wygrał pewien 19-letni Amerykanin, niejaki Lance Armstrong.

Potem nadeszły kolejne świetne wyniki: drugie miejsce na wzgórzach Chianti w Trofeo Matteotti w Marcialli, drugie miejsce w klasyfikacji generalnej w Giro del Friuli-Venezia Giulia (wyścigu wygranym przez Gilberto Simoniego), trzecie miejsce w Trofeo Minardi at Lido di Classe, rozegranym na północ od Cesenatico, gdzie wyprzedzili go Davide Rebellin i Wladimir Belli. Simoni, Rebellin i Belli mieli zostać potem utytułowanymi zawodowcami. Każda kolejna niewykorzystana

okazja do triumfu z pewnością służyła większej sprawie, a sprawą tą był Giro amatorów. Wyścig zaczynał się 19 czerwca 1991 roku podetapem, czyli jednym z dwóch etapów rozgrywanych tego samego dnia. Roncucci wspomina to następująco: „Powiedziałem mu: »Marco, uważaj, te podetapy są niebezpieczne. Wystarczy odrobina wiatru, ruszy jakaś ucieczka i już nie da się jej dogonić…«”. Dokładnie tak się stało. Po pierwszej połowie dnia Toskańczyk Francesco Casagrande miał nad Marco dwie minuty i 34 sekundy przewagi. Pantani uznał, że powinien pilnować faworytów, czyli Bellego, Piccolego, Rebellina i Bartolego. Przez pozostałą część tygodnia Casagrande wisiał Marco na kole. W ten sposób wygrał cały wyścig. Marco zwyciężył na etapie dziewiątym, a dzień później był drugi, ale nie udało mu się zostawić z tyłu Casagrande. „Przegrał tamten wyścig przez brak doświadczenia”, podsumowuje Roncucci.

Pod koniec sierpnia 1991 roku rozpoczęła się kolejna faza sezonu, na którą składał się szereg ważnych wyścigów. Roncucci zorganizował obóz treningowy. Na dziesięć dni przed jego rozpoczęciem Marco poprosił o trochę wolnego, zamierzał spędzić ten czas z przyjaciółmi na plaży. „Powiedziałem mu: »Marco, jedź na tę plażę, ale kiedy wrócisz, wszyscy udajemy się na obóz treningowy w górach, gdzie będziemy przygotowywać się do ostatnich wyścigów sezonu«. Podczas tamtego obozu miażdżył każdego, kto próbował utrzymać mu się na kole. Kiedy trenował, *u gne n’è par nisèun*. Kochał rower, ale nie był też mnichem. Te dziesięć dni to było jego dziesięć dni i należało dać mu w tym czasie spokój. Pamiętam, że spędziliśmy wtedy w górach siedem dni, a gdy zjechaliśmy na dół, Marco wygrał wyścig tutaj, w Meldoli [15 kilometrów na południe od Forlì], bo na tamtej trasie pięciokrotnie znalazł się

ten sam trudny podjazd. Marco połamał ramę, musiał zmienić rower, ale i tak wygrał z przewagą idącą w minuty".

Dwukrotnie startował też w górskiej indywidualnej jeździe na czas. Najpierw w Fonte San Moderanno, na granicy Toskanii i Emilii-Romanii, a następnie w Gastone Nencini Memorial, na północ do Barberino di Mugello między toskańskimi wzgórzami aż na Passo della Futa. Wcześniej w tamtym roku Marco zajął drugie miejsce na tej samej trasie, pochodzącej z XI wieku Strata Florencie, łączącej stolicę Toskanii z Bolonią. Wtedy jechał jednak w przeciwnym kierunku, pędząc na południe, z Bolonii na Passo della Raticosa. Raticosa i Futa to klasyczne podjazdy, obecne w sportowym dziedzictwie zarówno kolarstwa, jak i motosportu. W ramach starego Mille Miglia po tamtych wzgórzach jeździli Nuvolari, Moss i inni.

Pierwszego września 1991 roku, w swoim trzecim sezonie w szeregach amatorów, Marco pomknął na Futa z szybkością, z utrzymaniem której problemy miałby nawet Gianni Bugno, świeżo koronowany mistrz świata w kolarstwie szosowym. Na oczach 20 tysięcy fanów, którzy ustawili się na 14-kilometrowej trasie podjazdu, Marco wygrał ten wyścig amatorów z czasem 29 minut i 37 sekund, uzyskując średnią prędkość 28,359 kilometrów na godzinę. Później zdecydowanym zwycięzcą wyścigu zawodowców został Bugno. Jedyna wątpliwość dotyczyła tego, czy uda mu się uzyskać lepszy czas od tego ustanowionego w wyścigu amatorów. Zanurzony w pędzącym strumieniu powietrza wytwarzanym przez konwój motocykli z operatorami kamer i fotoreporterami Bugno pobił czas Pantaniego o 10,3 sekundy. Dziennikarze „Gazzetta di Modena" piali z zachwytu: „Wspaniały wyczyn Pantaniego na początku tygodnia, który może zadecydować o tym, że zostanie zawodowcem". Dwudziestego pierwszego września Marco wygrał Giro dell'Emilia, którego trasa kończyła się podjazdem.

Wtedy Roncucci polecił mu odpocząć: „Powiedziałem mu: »W tym roku już dość się ścigałeś. W 1992 roku przechodzisz na zawodowstwo, a my musimy w końcu wygrać to Giro. Na razie jednak odpocznij«”.

Dwudziestego listopada Luciano Draghi z Telerimini wręczył Pantaniemu nagrodę Ultimo Kilometro. Podczas uroczystej gali Marco pokazał się ze swoimi przerzedzonymi włosami zaczesanymi do tyłu, niczym u jakiegoś szalonego profesora. Był uderzająco podobny do Vittorio Saviniego.

Roncucci wyciąga jakiś wycinek ze swoich papierów. Tytuł gazety i data wydania zostały wycięte, ale tekst stanowi podsumowanie sezonu 1991 w wykonaniu zespołu Giacobazzi. Dziennikarz wyróżnia Marco: „Dzięki swoim wynikom otrzymał zawodowy kontrakt w teamie Carrera, który zaczyna obowiązywać po zakończeniu igrzysk olimpijskich w Barcelonie”. Szczegóły dotyczące terminów zapisanych w kontrakcie z ekipą Carrera nie są do końca jasne. W wywiadzie udzielonym zaraz po zakończeniu Giro d’Italia amatorów Marco powiedział: „Jeżeli nie dostanę powołania do reprezentacji olimpijskiej, pewnie zdecyduję się na ten wielki przeskok do zawodowców. Jeżeli natomiast pojadę na olimpiadę, porozmawiamy o tym pod koniec 1993 roku. Jeśli chodzi o zespół Carrera, jeszcze nic nie zostało postanowione. Kontaktowali się ze mną, ale rozmawiam też z innymi ekipami. W najbliższych dniach rozważę poszczególne oferty i podejmę decyzję. Jeśli wszystkie oferty będą takie same, wybiorę Carrerę, bo już ich znam. Zimą spędziłem dwa tygodnie z zawodnikami tej grupy”.

Roncucci nic nie wie o żadnej umowie wstępnej, ale jak później jeszcze wyjaśnię, istnieją dowody, że do porozumienia między Marco a teamem Carrera doszło już w 1991 roku.

Dwudziestego drugiego marca 1992 roku Marco wystartował w Memorial Giuseppe Gemelli, wyścigu ze startem i metą w niewielkim miasteczku Bagnacavallo, położonym 20 kilometrów na zachód od Rawenny. Sam opis tego wydarzenia najlepiej świadczy o tym, o ile różnych tytułów mogli walczyć w Emilii-Romanii kolarze amatorzy: szósty Memorial Giuseppe Gemelli był jednocześnie piątą edycją Memorial Antonio Arniani, no i liczył się do trzeciej edycji Banca Popolare Pesarese–Ravennate Trophy, czwartej edycji Due Galli Trophy i piątej edycji Tuttauto Trophy. Na starcie stanęła śmietanka włoskiego kolarstwa amatorskiego: mistrz Włoch Roberto Giucolsi, Francesco Casagrande i Wladimir Belli – triumfatorzy dwóch ostatnich edycji Giro d'Italia amatorów, Luca Colombo – jeden z czterech reprezentantów Włoch w drużynowej jeździe na czas na dystansie 100 kilometrów, którzy sięgnęli po tytuł mistrzów świata, Fabio Casartelli – mistrz z ubiegłego roku, a także wielu innych świetnych amatorów, w tym Daniele Nardello, no i Marco. Przed wyścigiem na linii startu gawędziła sobie grupa zawodników ekipy Giacobazzi, ale Marco wśród nich nie było. Nawet jako zawodowiec dystansował się od świata przed rozpoczęciem rywalizacji, a wtedy nie bywał skory do rozmów. Roncucci opowiadał mi: „Nie należał do ludzi zbyt rozmownych. Koncentrował się na przygotowaniach do wyścigu. Chciał wiedzieć to, co było mu potrzebne, wszystko inne tylko go niepotrzebnie rozpraszało. Zawsze powtarzał mi to samo: »Pino, jeśli zostanę zawodowcem, dam sobie dwa lata. Jeśli wyniki przyjdą, to w porządku, jeśli nie przyjdą, to z tym skończę«. Zawsze miał potrzebę, by nie marnować czasu".

Trasa była trudna, a to mu pasowało. Gęsto zbity peleton okrążał Bagnacavallo, a potem ruszał pędem na południe, pokonywał wzniesienie w postaci wiaduktu nad torami, rozciągając się na podjeździe i ponownie zbijając w zwartą

grupę na zjeździe. Nikt tam nie atakował, bo wszyscy wiedzieli, że po 53 kilometrach czeka ich krótki, ale stromy i wybijający z rytmu podjazd na górę Montecarla, rozpoczynający się w wiosce Marzeno, która leżała nad rzeką o tej samej nazwie. Potem, zaraz za wioską Brisighella, wyrastał największy problem w tym wyścigu, a mianowicie Monte Cottignola. Następnie kolarze musieli pokonać oba podjazdy po raz drugi i raz jeszcze wjechać na szczyt Montecarla, a w końcu zostawało im już tylko 35 kilometrów po płaskim do mety w Bagnacavallo.

W Marzeno, po 53 kilometrach, peleton nadal tworzył nienaruszoną grupę. Na dole pierwszego podjazdu, nie przyspieszając, Marco i Vincenzo Galati postanowili sprawdzić elastyczność tej grupy. Peleton się zwęził i rozciągnął, pojawiły się w nim też pierwsze luki, takie na 20–30 metrów. Na zjeździe grupa znów się zbiła. Peleton nadal był cały, choć pierwsze szkody zostały wyrządzone.

Potem ponownie rozciągnął się na podjeździe pod Monte Cottignola, tam też doszło do pierwszego pęknięcia. Z przodu urwało się 11 zawodników, którzy trzymali się blisko siebie. Czterech z nich należało do jednej ekipy, Domus 87, byli to Casartelli, Galati, Pellegrini i Lusignoli. Dwóch reprezentowało barwy De Lorenzi: Davide Taroni i Massimo Bazocchi. W uciekającej grupie znaleźli się również Michele Poser z teamu Trevigiana, Leonardo Piepoli z Casano i Francesco Casagrande (choć komentatorzy mówią o nim Stefano Casagrande) z zespołu Vellutex. W tej grupie uciekał również Marco ze swoim partnerem z Giacobazzi, Riccardo Ragnim. Casartelli nie był w stanie wytrzymać tempa pozostałych uciekinierów i został z tyłu, ale potem we własnym tempie powrócił do tej grupy. Wyżej na trasie uciekinierzy dzielili się dalej: piątka z pierwotnej jedenastki zawarła nowe

porozumienie. Do ataku ruszyli Marco, Galati, Casagrande, Poser i Piepoli. Piepoli odpadł pierwszy, po nim nie wyrobił Poser. Tempo dyktował Marco. Kręcił pedałami z jakąś lekkością, której brakowało mu na wcześniejszych etapach kariery.

Na zjeździe ósemka uciekinierów, w tym trzech kolegów Casagrande z teamu Vellutex, dogoniła jadącą na czele trójkę, ale w komplecie dojechali tylko do podnóża podjazdu na Montecarla. Tak na oko jakaś setka kibiców obserwowała, jak Marco w pojedynkę pokonuje przełęcz. Galati, Pellegrini i Casagrande jechali za nim.

Podczas drugiego podjazdu pod Monte Cottignola liderów był trzech. Marco jechał swoim tempem, Galati i Casagrande trzymali się za nim. Wszyscy mieli dłonie na górnej części kierownicy, ale poza tym ich style się różniły. Znajdujący się na prowadzeniu Marco kręcił korbą z prędkością 75 obrotów na minutę, delikatnie pracował torsem na boki, za to głowę trzymał nieruchomo. Można było odnieść wrażenie, że pedałuje równie bezwysiłkowo jak Galati, który miał jednak znacznie większą kadencję, przez co jego ramiona wpadały w dziwne drgania. Za nimi mozolnie obracał korbą Casagrande, z prędkością 65 obrotów na minutę. Ruchy jego ciała były jeszcze bardziej wyraźne, chwiał się na boki oraz w górę i w dół, a przy tym rytmicznie poruszał głową.

Gdy szczyt mieli już na widoku, Casagrande i Galati bez większego problemu wyprzedzili Marco, który zamarkował brak zainteresowania premią górską. Po chwili jednak sięgnął do manetki, zrzucił łańcuch na mniejszą zębatkę i stanął na pedały, by w okolicach znaku wyznaczającego 100 metrów do premii lotnej poderwać się do sprintu. Kiedy Galati zrównał się z Casagrande, Marco wyprzedził ich obu, kręcąc korbą z prędkością dochodzącą do 120 obrotów na minutę. Zanim

dojechali do białej linii wyznaczającej premię górską, Marco spokojnie oglądał się już za siebie i patrzył w oczy swoim rywalom. Po morderczo stromym zjeździe z przełęczy trójka na przedzie miała tylko dwie minuty przewagi nad grupą pościgową. Na płaskim odcinku trasy wszyscy trzej zgodnie współpracowali, aż dojechali do ostatniego podjazdu na Montecarla. W ciasnym zakręcie tuż przed początkiem podjazdu Marco był pierwszy, Casagrande drugi, a Galati trzeci.

W tym miejscu trasy bardzo ważna jest szybkość. Kolarze nie mogą liczyć, że utrzymają niewielką przewagę nad goniącym ich peletonem na płaskiej drodze do Bagnacavallo, tym bardziej że mają jechać pod wiatr. W pierwszej fazie podjazdu Marco pozwala, by tempo dyktowali Casagrande i Galati. Potem zmienia bieg. Przyspiesza nagle i tak dynamicznie, że rywale nie znajdują na to odpowiedzi. W relacji telewizyjnej nie widać twarzy Galatiego, ale musi malować się na niej nieznośny niedobór tlenu. Puszcza Marco z pełną świadomością, że niniejszym skazuje się na dogonienie przez grupę pościgową. Casagrande obserwuje oddalającego się Marco, a potem go dogania. Zbliża się do niego, ale ten znowu mu odjeżdża. Casagrande przygląda się temu i nie reaguje. Przełęcz jest coraz bliżej. Marco zdobędzie premię górską, ale Casagrande dogoni go na zjeździe.

Na płaskim odcinku do Bagnacavallo grupa pościgowa wchłania Galatiego. Tworzący ją kolarze regularnie zmieniają się na czele i pracują pod wiatr. W tym samym momencie Marco i Casagrande rozpoczynają ostatnią fazę wyścigu. Ich przewaga wynosi trzy minuty i 15 sekund. Mają czas, by spokojnie rozegrać to do końca. Casagrande jest mocniejszy w sprincie. Marco może liczyć tylko na to, że swoimi licznymi zrywami pozbawi rywala sił. Niestety, na 500 metrów przed metą zajmuje nieoptymalną pozycję, jest przed rywalem, nie

widzi go i daje mu wątły, ale jednak cień aerodynamiczny. Przy dużej prędkości rozbudowana masa mięśniowa powoduje, że Casagrande ma przewagę, a zatem Marco zwalnia. Być może liczy na to, że z niemal zatrzymanego startu uda mu się przyspieszyć szybciej niż wyraźnie większemu przeciwnikowi. Jadą już niemal tak wolno, jakby szli. Obaj 22-latkowie łapią przez chwilę oddech, ale Marco znajduje się w beznadziejnym położeniu. Spogląda w obiektyw kamery i uśmiecha się niejednoznacznie, ogląda się przez prawe ramię (za pierwszym razem zawsze oglądał się przez prawe ramię), a potem staje na pedały, wykonuje pół obrotu i przestaje, po czym ogląda się przez lewe ramię. Cztery kolejne półobroty i spojrzenie za siebie. Trzy półobroty i spojrzenie. Kolejne trzy półobroty i spojrzenie. Jeden półobrót i spojrzenie. Jeszcze jeden i dłuższe spojrzenie. Nadal w postawie stojącej Marco zaczyna pedałować już ciągle. Casagrande nie reaguje. Do mety pozostaje już tylko 250 metrów. Mija 11 sekund i Marco siada, a Casagrande mocniej naciska pedały i przejeżdża na drugą stronę drogi, by nie dać Pantaniemu cienia aerodynamicznego. Kiedy ten reaguje, Casagrande jest przed nim już o trzy długości. Marco się do niego zbliża, ale zrównuje się z nim już za linią mety. Przegrywa o jedną długość i chwilę potem przejeżdża obok cieszącego się rywala. Nie nawiązują kontaktu wzrokowego, nie wymieniają uścisku dłoni. Na podium Casagrande się uśmiecha, Marco stoi po jego prawej stronie, nerwowo ruszając szczęką i chwiejąc się na boki – niby arogancko, ale w sposób typowy dla osób skrajnie nieśmiałych. Wbija wzrok w tłum, bardziej z potępieniem niż z ciekawością, a potem wpatruje się w ziemię. Na jego twarzy nie ma już śladu po małym dziecku.

Po wyścigu Casagrande odpowiada na pytanie, co stało się z Galatim: „Musiał opaść z sił na skutek kolejnych zrywów

Pantaniego”. Marco ani razu nie spogląda na rozmawiającego z nim dziennikarza, a chwilami słucha pytań z ironicznym uśmiechem na twarzy. Udziela dość butnych odpowiedzi: „Odpowiedzialność za ciągnięcie nas do przodu spadła na mnie. Na podjazdach prawie zawsze ja dyktowałem tempo, w zasadzie nie dawali mi zmian… Casagrande wisiał mi na kole… Szybko wyprzedził mnie o dwie długości, a potem nie dałem rady go dogonić, choć się zbliżałem”.

Tydzień później, 29 marca 1992 roku, Marco pojechał w GP Città di Nonantola. Kamera pokazuje kolarzy ustawionych do startu. Marco znajduje się w grupce zawodników Giacobazzi. Trasa wyścigu jest całkowicie płaska. Komentatorzy wspominają o Marco tylko raz, w kontekście jego upadku na półtora kilometra przed metą. W wywiadzie już za linią mety Pantani bagatelizuje sprawę: „To chyba nic poważnego. Mam trochę zadrapań, ale to wszystko. Na szczęście udało nam się wygrać. Oczywiście, żałuję tego upadku, bo to po prostu boli, ale wydaje mi się, że zwycięstwo naszego zespołu w całości to rekompensuje. Najwyższa pora”. Absolutnie prozaiczna wypowiedź, ale ten wywiad zwraca uwagę z innego powodu. Chodzi o oczy Marco, które przez cały czas poruszają się w oczodołach i nie koncentrują na niczym ani przez chwilę. Wydaje się, jakby wywiad po wyścigu wywoływał u niego kompletną dezorientację.

Wyścig GP Città di Nonantola został upamiętniony w formie książki zatytułowanej w miejscowym dialekcie *La ‘Cursa ed Nunántla’ e altri sport*. Jej autorami są Bruno Ronchetti, wieloletni oficjalny rzecznik prasowy Giro d’Italia, oraz jego współpracownik Claudio Vaccari. W tym jakże wartościowym dziele znajduje się krótki opis wszystkich kolejnych edycji GP Città di Nonantola, począwszy od 12 marca 1975 roku, gdy

wyścig pojechał po raz pierwszy, aż do roku 1999. Tam, gdzie dało się te informacje ustalić, podano również szczegółową charakterystykę zawodników, którzy znaleźli się na podium (w tym miasto, w którym się urodzili, i czym się później zajmowali), autorzy zamieścili w publikacji także listy gości honorowych na każdym wyścigu. To niesamowita baza danych, kreśląca rzadko spotykaną socjologiczną panoramę kolarstwa amatorskiego we Włoszech – środowiska, w którym w latach 1989–1992 funkcjonował Marco.

Książka opisuje 25 edycji wyścigu GP Città di Nonantola, w których na podium stanęło 68 różnych zawodników. Dwudziestu sześciu z nich jeździło potem zawodowo, jeden zginął w wypadku drogowym podczas treningu. Jedna i druga wartość wydaje się wysoka. Z 42 amatorów, którzy nie zostali zawodowcami, Ronchetti i Vaccari podają późniejsze zajęcia 26 osób. Tylko dwóch z nich – eksperta IT i inżyniera – można podejrzewać o wyższe wykształcenie.

Zdecydowana większość z 61 kolarzy, których pochodzenie zostało podane, wywodzi się z Emilii-Romanii (23). Następne miejsca zajmują Lombardia (11 osób), Wenecja (dziesięć), Toskania (pięć), Piemont (trzy), Sycylia (dwie), Friuli (dwie), a na koniec Liguria i Marche (po jednej osobie). Na podstawie tych liczb można wnioskować, że kolarstwo amatorskie w Lombardii i Wenecji dość dobrze zgrało się z kolarstwem z Emilii-Romanii, za to kolarstwo amatorskie w innych regionach rozwijało się raczej odrębnie. W GP Città di Nonantola wystartowało równie dużo Polaków (dwóch), co przedstawicieli Ligurii i Marche. Przede wszystkim jednak liczby te zdają się sugerować, że dla zawodników i sponsorów zwycięstwa na własnym podwórku były szczególnie istotne. Goście honorowi – głównie dawni lub wciąż czynni zawodowcy, często byli uczestnicy GP Città di Nonantola, czasem jacyś

działacze kolarscy, mistrzowie innych dyscyplin sportu lub lokalni politycy – mieli służyć symbolicznemu podtrzymaniu tradycji amatorskiej rywalizacji.

Pomiędzy GP Città di Nonantola a Giro amatorów Marco uzyskał szereg kolejnych dobrych wyników: trzecie miejsce w Coppa Apollo 17 w Colbuccaro di Corridonia (nieopodal Maceraty), drugie miejsce w Nereto Grand Prix w okolicach Teramo, drugie miejsce – za Gilberto Simonim – na najtrudniejszym etapie górskim w Tour of Friuli-Venezia Giulia oraz piąte miejsce w klasyfikacji generalnej tego wyścigu, drugie miejsce – za Fabio Casartellim – w Trofeo Minardi w Sant'Ermete, leżącym między San Marino a Rimini. Wygrał tylko raz, w górskiej czasówce w Toskanii, na trasie z portu w Livorno do miejscowości Valle Benedetta. Jestem przekonany, że po raz kolejny znosił braki triumfów tylko dlatego, że jego najważniejszym celem było zwycięstwo w Giro d'Italia amatorów.

Jeszcze przed rozpoczęciem tej imprezy Marco podpisał kontrakt z teamem Carrera, jedną z najlepszych ekip w kolarstwie zawodowym. Miał zacząć jeździć zawodowo od sierpnia 1992 roku. W gabinecie Davide Boifavy zjawił się w towarzystwie ojca i Pino Roncucciego, swojego DS. Roncucci opowiada: „Marco stwierdził: »Kontrakt jest w porządku, ale co, jeśli wygram Giro d'Italia? Co, jeśli wygram Tour de France?«. Pamiętam, że Boifava sięgnął wtedy po czystą kartkę i zaczął pisać: »Jeśli wygrasz Giro… Jeśli wygrasz Tour de France… Jeśli wygrasz etap… Jeśli wygrasz to lub tamto…«. W tym momencie wszyscy się rozluźniliśmy, a Boifava powiedział: »Teraz musisz być zadowolony. To świetny interes«, na co Marco odparł: »To wy tu robicie świetny interes«. No i zrobili naprawdę świetny interes". Marco powiedział, że kontrakt daje mu wolną rękę

w przygotowaniach do osiągnięcia jego celów (taka uwaga znalazła się w lokalnej gazecie).

Trasa amatorskiego Giro d'Italia obejmowała w 1992 roku 11 etapów, zaplanowanych od 16 do 28 maja. Przez pierwsze cztery dni Marco chował się w peletonie. Potem, na etapie piątym, w indywidualnej jeździe na czas na dystansie 37 kilometrów, stracił cztery minuty do zwycięzcy, Aleksandra Gonczenkowa, oraz dwie i pół minuty do swojego głównego rywala, Wladimira Bellego. Marco rozumiał już jednak, co to znaczy cierpliwość. Na siódmym etapie pojechał mocno i ukończył go na szóstym miejscu, w grupce najlepszych górali. Dwa dni później odpalił na całego. To był 144-kilometrowy etap z Werony do Cavalese wysoko w Tyrolu. Przez pierwszych 58 kilometrów nikt nie ośmielił się zaatakować. Potem do ucieczki ruszyli słabsi zawodnicy i usiłowali zbudować sobie przewagę, ale dopadli ich kolarze z grupy Trentino, którym pomagali Ukraińcy. Po 80 kilometrach na czoło peletonu wyjechali zespołowi partnerzy Marco i podbili tempo do 44 kilometrów na godzinę. Przygotowywali pierwszy atak Pantaniego w tym wyścigu. Utrzymał się za nim jedynie Nicola Miceli, ale po jakimś czasie i on został z tyłu. Marco wygrał ten etap samotnie, na podium przyjmował gratulacje od samego Francesco Mosera. Tak naprawdę to było dopiero jego preludium.

Na starcie do dziesiątego etapu Marco zajmował siódme miejsce w klasyfikacji generalnej. Do pokonania było 111 kilometrów z Cavalese do Plan di Pezzé, leżącego powyżej miejscowości Alleghe w Dolomitach. Oglądam zdjęcie Marco z Pino Roncuccim, zrobione dokładnie tego poranka w Cavalese. „Mówię mu wtedy: »Czego chcemy? Chcemy wygrać tę edycję Giro?«, a on mi na to: »Przecież jestem siódmy«. Odparłem więc: »Widziałeś, jak często Belli sięga po chusteczkę? Jest

chory. Jeśli chcesz wygrać ten wyścig, atakuj od razu. To krótki etap«”.

Marco zaatakował pod koniec pierwszego podjazdu na Passo Sella. Za nim ruszyło dwóch Boliwijczyków, Hugo Bolívar i Omar Trompa. Trompa uznał chyba, że atak nie ma sensu, bo odpuścił. Dzięki temu Pantani i jego boliwijski towarzysz w tej ucieczce mieli na szczycie przełęczy 22 sekundy przewagi nad peletonem. Dotychczasowa agresywna jazda Marco spowodowała, że Belli przechodził kryzys i już w tym miejscu tracił do lidera dwie minuty i 47 sekund. Na szczycie kolejnego podjazdu, Gardeny, Pantani znalazł się przed Bolívarem, a Belli pojawił się tam dopiero pięć minut później. Na Campolugno Bolívar wspiął się przed Marco, pomagając mu jeszcze bardziej powiększyć przewagę.

W tym czasie Roncucci skrótami przedzierał się przez góry. „Pamiętam, że razem z jego ojcem poszliśmy na początek ostatniego podjazdu, tego na Plan di Pezzé. W radiu wyścigu powiedzieli, że w tym momencie Marco jest już drugi w generalce i traci do lidera 12–13 sekund. Belli spuchł, a my to przewidzieliśmy. Ostatecznie miał stracić na tym etapie dziesięć minut. Gdy Marco pojawił się na ostatnim podjeździe, wrzasnąłem do niego: »Jeśli chcesz wygrać to Giro, musisz mu się urwać«, na co mi odkrzyknął: »Obiecałem mu ten etap«, a ja mu na to: »Damy mu go w przyszłym roku!«. Wtedy Marco zaatakował i na mecie wdział koszulkę lidera, to był historyczny wyczyn”.

Pewien dziennikarz – jak już wspominałem, wycinki Roncucciego są tak dokładnie wycięte, że nie ma na nich nawet tytułu gazety – napisał: „Marco Pantani dokonał wczoraj czegoś, co można nazwać arcydziełem. Na przełęczach Sella, Gardena i Campolugno popisywał się w sposób przywodzący na myśl Coppiego i Gaula”.

To naprawdę ambitne porównanie, bo dla Włochów Fausto Coppi to legenda takiego samego pokroju jak Ali czy Pelé, Charly Gaul natomiast był uważany za najwybitniejszego górala w całej historii kolarstwa. Obu czekał również tragiczny los. Coppi zmarł w młodym wieku, a Gaul popadł w alkoholizm i nieomal postradał zmysły.

Marco wrócił do domu jako mistrz. Obiecał ten triumf dziadkowi. Wyścig skończył się 27 czerwca, a trzy dni później Sotero Pantani umarł. Zaraz po odniesieniu zwycięstwa Marco dedykował ten sukces Guerrino Cianiemu, który odszedł nieco wcześniej. Teraz jego największy triumf zbiegł się w czasie ze śmiercią ukochanego dziadka. Pogrzeb Sotero był uroczystością wybitnie lokalną i mocno komunistyczną. Ceremoniał takich wydarzeń został opisany w historii miasta, której autorem jest jego były burmistrz, Giorgio Calisesi:

*Kondukt pogrzebowy z ciałem jakiegoś starego republikanina lub komunisty, poprzedzony orkiestrą wygrywającą hymny z czasów zjednoczenia Włoch albo pieśni bliskie sercom bojowników komunistycznych, wykonuje pełne okrążenie wokół pomnika Garibaldiego, w ramach ostatniego przypieczętowania wiary w ideały trwalsze niż śmierć. [Il canale, il mare, un paese. Per i 700 anni di Cesenatico, Il Ponte Vecchio, Cesena, 2002, s. 37].*

Potem zgodnie z tym samym ceremoniałem zorganizowano pogrzeb Calisesiego. Tak samo wyglądało to w przypadku Sotero Pantaniego, którego pierworodny syn, Dino, niósł na czele konduktu czerwony sztandar. Było to już długo po runięciu muru berlińskiego, rozpaść zdążył się również Związek Radziecki. Włoscy komuniści jakoś nigdy nie byli traktowani do końca poważnie, ponieważ nie przyjmowali do

wiadomości zbrodni z okresu stalinizmu. Teraz stracili fundament istnienia, a także całą wiarygodność. Upadek komunizmu kulturowo osierocił Marco oraz wszystkich sportowców z bloku wschodniego.
O relację Roncucciego z Marco zapytałem Gino Gaiolego, dawnego wiceprezesa zespołu Giacobazzi, a on powiedział: „Marco już wtedy mentalnie był zawodowcem. Wiedział, jak się odżywiać i jak trenować. Problem w tym, że niemal w ogóle nie dało się nim kierować. Można mu było mówić, co ma robić, ale po prostu nie słuchał. Gdy chciało się, żeby pojechał w wyścigu w Bolonii, nie miało sensu mówić: »W ten weekend startujesz w Bolonii«. Nie pojechałby. Roncucci umiał z nim postępować. Powiedziałby mu: »Marco, startują wyścigi w Modenie i Bolonii, co myślisz?«". Gaioli przytoczył też słowa Marco, które świadczą o tym, jak zaskakująco ambiwalentny był jego stosunek do kolarstwa. „Powiedział mi: »Nienawidzę roweru, ale jestem pewien, że dzięki niemu zarobię na życie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w wieku 30 lat zakończę karierę«".

Roncucci zapamiętał Marco jako zawodnika o tajemniczym talencie, nad którym wisiała jednocześnie jakaś klątwa: „Marco miał znakomity stosunek siły do wagi ciała. Gdy znajdował się w formie, ważył 55, maksymalnie 56 kilogramów. Do tego był bardzo mocny. Potrafił zamęczyć rywali na podjazdach, gdzie raz za razem dynamicznie przyspieszał. Wykańczał każdego, kto próbował się za nim utrzymać". W okresie, kiedy upowszechniały się monitory tętna, Marco sprzeciwiał się stosowaniu nowej technologii. „Korzystaliśmy z nich przez pierwsze dwa miesiące 1990, 1991 i 1992 roku, ale on mówił: »Pino, od słuchania mam uszy, ja wszystko *słyszę*, nie trzeba mi niczego mówić«. Miał w sobie coś wyjątkowego, rozumiesz? Do tego potrafił lepiej niż inni znosić cierpienia wywołane zmęczeniem. Niestety, stracił całe lata przez kontuzje. Miał

koszmarnego pecha. To, co los jedną ręką mu dawał, zaraz drugą odbierał. Gdyby nie pech, wygrałby wszystkie trzy Giro amatorów, w których wystartował. Mimo to zawsze miał w sobie tę nieskończoną siłę, która za każdym razem pozwalała mu się podnieść". Potem, ugniatając dłonie, Roncucci przeskakuje siedem lat i dodaje: „Tej siły zabrakło mu po etapie do Madonna di Campiglio…".

# Rozdział 4.
# Inicjacja

## LIPIEC 1992–CZERWIEC 1993

Dwudziestego piątego lipca 1992 roku Marco upadł i przez tydzień nie mógł trenować. Tak oto stracił szanse na zwycięstwo w swoim ostatnim wyścigu amatorskim. W wywiadzie dla *Ultimo Kilometro* tłumaczył: „Pojadę w wyścigu Florencja–San Patrignano [2 sierpnia] i tam zakończę karierę amatorską. […] Jako że to mój ostatni wyścig, chciałbym pokazać się z dobrej strony. Zobaczymy, czy obrażenia się wygoją i pozwolą mi zamknąć ten rozdział kariery w odpowiednim stylu".

Florencja–San Patrignano był trzecim z serii „Wyścigów o Życie". Zaczynał się w wiosce Sieci, na wschód od Florencji, a kończył w Coriano, dziewięć kilometrów w głąb lądu od Rimini. Na listę startową mogli się wpisać jedynie amatorzy pierwszej i drugiej kategorii, choć dla zwycięzcy przewidziano nagrodę w wysokości 1,5 miliona lirów (750 euro). Tuż obok stadionu miejskiego we Florencji na 19-kilometrowy przejazd pod linię startu w Sieci zebrało się 142 zawodników reprezentujących 32 zespoły, kwiat włoskiego kolarstwa amatorskiego. Jedni pogrążyli się w rozmowie, inni wydawali się spięci. Koledzy Marco z ekipy Giacobazzi z czegoś sobie żartowali, ale jego jak zwykle wśród nich nie było, koncentrował się gdzieś na uboczu. Otaczali go przyszli zawodowcy. Przynajmniej czterech zawodników z tej grupy – Maurizio Nuzzi, Massimo Donati, Andrea Noé i Vincenzo Galati – miało w przyszłym sezonie rozpocząć karierę

zawodową. Galati, najmłodszy z nich, był o rok młodszy od Marco, za to Nuzzi miał już 27 lat. Inni – Alessio Galletti, Luca Scinto, Rosario Fina, Marco Milesi, Gianmatteo Fagnini, Nicola Loda – mieli przejść na zawodowstwo najpóźniej w 1995 roku. Później ten krok wykonają też inni, młodsi kolarze: Davide Dall'Olio, Leonardo Piepoli, Gabriele Missaglia, Massimo Codol, Elio Aggiano.

Jeśli Marco czuł się inny niż wszyscy, to miał po temu podstawy. Pod względem dorobku w Giro d'Italia amatorów – trzecie, drugie i pierwsze miejsce w trzech edycjach z rzędu – nie miał sobie równych. Mógł dyktować warunki swego zatrudnienia zespołom takim jak Carrera. Jego nastrój mógł również wynikać z okoliczności: trasa liczyła 192 kilometry i obejmowała cztery skategoryzowane podjazdy, a do tego właśnie robił się toskański sierpniowy upał. Dla nikogo nie było tajemnicą, że w wyścigach jednodniowych Pantani nie jest w swoim żywiole. Żeby wygrać, potrzebował gór, a nie tych czterech malutkich wzniesień.

Peleton tlił się kolorami, mknąc prze kolejne wioski w dolinie Arno: Pontassieve, Leccio, I Ciliegi. Po 29 kilometrach, na początku pierwszego oficjalnego podjazdu, wyprowadzony został pierwszy atak. Do przodu ruszył Luciano Pagli z teamu Monsumanese, na podjeździe z doliny do wioski Castelfranco di Sopra. Spokojnie zgarnął premię górską. Jadący za nim peleton podzielił się na grupy, kiedy jednak nachylenie drogi zmalało, wróciła płynność jazdy i pierwsza siedemnastka znów zbiła się w odrębną, ale zwartą grupę. Liderzy parli po płaskim do przodu, motywowani premiami sprinterskimi dziesięć kilometrów za miejscowością Loro Ciuffenna i jeszcze dziesięć kilometrów dalej, w San Giustino Valdarno. Sześcioro zawodników z tej grupy stanowili przyszli zawodowcy jeżdżący w barwach potężnej ekipy Domus 87: Fagnini, Codol, Loda,

Milesi, Galati i Fina. Jechali tam również Aggiano i Scinto oraz zespołowy kolega Scinto, Stefano Santarini, zwycięzca pierwszej edycji wyścigu Florencja–San Patrignano sprzed dwóch lat.

Domus 87 dysponował na tyle mocnymi zawodnikami, że mógł na początku podjazdu wyprowadzić swojego lidera, którym był Nicola Loda, na najlepszą możliwą pozycję. Przed rokiem w tym samym wyścigu zawodnicy tej ekipy zajęli całe podium. Tym razem taka dominacja byłaby upokorzeniem dla teamu Giacobazzi w pożegnalnym występie Marco, więc Roncucci wydał swoim chłopakom polecenie rozpoczęcia pościgu. Po wyczerpującej pracy jego kolarze dopadli uciekinierów na wysokości Castiglion Fibocchi. Na początku podjazdu na przełęcz Scheggia wyprowadzili Marco na czoło peletonu. Niewielu innym zespołom by się udało coś takiego.

Gdy doszło do połączenia obu grup, wydarzyło się coś, co nie miało znaczenia dla losów wyścigu, było natomiast niezwykle doniosłe dla kolarzy – minęli nadjeżdżającego z drugiej strony Franco Chiocciolego, ostatniego Włocha, któremu udało się triumfować w zawodowym Giro d'Italia. Chioccioli miał wtedy 32 lata i jako że mieszkał w Castelfranco di Spora, właśnie w tych okolicach trenował. Zwycięzca Giro z 1991 roku był łudząco podobny do Fausto Coppiego, nadano mu zresztą ksywkę Coppino. Marco już za niecały tydzień miał dołączyć do jego świata. Dosłownie kilka sekund później peleton przeciął drogę N71 na północ od Arezzo i wjechał na trasę, na której Miguel Indurain wygrał trzeci etap tegorocznego Giro d'Italia, rozegraną 27 maja indywidualną jazdę na czas z Arezzo do Sansepolcro.

Marco odwdzięczył się kolegom za ten wysiłek, dołączając do ucieczki na dziesięciokilometrowym podjeździe pod przełęcz Scheggia. Im bliżej było szczytu, tym robiło się bardziej stromo.

W końcu w atakującej grupie zostali już tylko Marco, Piepoli i Nuzzi. Premię górską zgarnął Piepoli, Marco był tam drugi. Na skutek tego ataku peleton został rozerwany i rozciągał się na dystansie ponad jednego kilometra, ale nadal były to dopiero wczesne potyczki. W kolarstwie sporo jest takiego dość frustrującego jeżdżenia, polegającego na tym, że jest się gonionymi i nie ma się szans uciec. Nieprzemyślane trwonienie energii we wczesnej fazie zmagań spowodowało, że z walki o końcowy triumf odpadł już Pagli, zwycięzca pierwszej premii górskiej.

Na zjeździe z przełęczy peleton odzyskał właściwy kształt. Następny podjazd był znacznie krótszy i prowadził do wioski Anghiari. Zawodnicy podjeżdżali tam w jednym rządku, Marco na siódmym miejscu, aż do nagłego zrywu tuż przed kolejną premią górską. Na szczycie pierwszy zameldował się Renato Baldassari, drugi Fina, a Marco – trzeci. Był to półmetek wyścigu. Na podjeździe zawodnicy znów podzielili się na mniejsze grupy i na zjeździe ponownie się połączyli. Ogólnie jednak przełęcz i podjazd do Anghiari pozwoliły odsiać najsłabszych. Ze 142 startujących w dalszej walce liczyło się już tylko około 60 zawodników.

Przed kolejnym podjazdem, tym razem na Passo di Viamaggio, Nuzzi wyprowadził atak solowy. Trzydzieści sekund później w pościg za nim ruszyli Dall'Olio i Fabio Laghi, zespołowi koledzy Marco. Podjazd pod Viamaggio nie jest stromy, ale za to długi, bo liczy aż 18 kilometrów. Główna grupa zbliżała się do Nuzziego i jednocześnie przerzedzała. Wtedy dziesięciu pierwszych zawodników ruszyło do przodu w ramach jednej ucieczki: Fina z Domus 87 jechał przed swoim partnerem zespołowym Milesim, dalej jechali Marco i kolejny zawodnik Domus 87, Vincenzo Galati, który zawisł Marco na kole. Dalej byli kolejno Nuzzi, Riccardo Faverio, Piepoli, Donati,

Nicola Palletti i – na końcu, przez cały czas kryjący się w cieniu aerodynamicznym i nawadniający się przy każdej możliwej okazji – Nicola Loda, lider ekipy Domus 87. Tempo było wysokie, ale nie szaleńcze, w końcu kolarstwo to wojna na wyniszczenie rywala. Ataki artyleryjskie stosuje się sporadycznie. Kilometr po kilometrze wjeżdżali coraz wyżej. Na Passo di Viamaggio, na wysokości 983 metrów i po 112 kilometrach, Palletti prowadził przed Nuzzim, Marco był trzeci. Grupa pościgowa przecięła premię lotną 40 sekund za dziesięcioma uciekinierami, za którymi ze stratą 15 sekund jechała jeszcze jedna dziesiątka kolarzy. Właśnie wyjeżdżali z Toskanii i czekał ich teraz krótki przejazd przez skrawek regionu Marche, skąd mieli wjechać między wzgórza Emilii-Romanii – te same, na których Marco trenował. Po lewej stronie mijał Sársinę, wioskę swego pradziadka, a także podjazd do Pieve di Rivóschio, dokąd Sotero zabrał swoje dzieci. Przed sobą mieli Santarcangelo i Cesenatico. Oczywiście, o takich rzeczach skupiony na rywalizacji kolarz po prostu myśleć nie może.

Gdzieś pomiędzy miejscowościami Badia Tedalda i Ponte Messa, gdy w rywalizacji liczyło się jeszcze około 30 zawodników, Marco przegapił ucieczkę. Do przodu ruszyło sześciu rywali, w tym Donati, Nuzzi i Loda. W ostatniej chwili dołączył do nich Dall'Olio, zespołowy kolega Marco. Pantani jechał w pięcioosobowej grupie ze stratą 30 sekund do uciekinierów. Grupa pościgowa stopniowo się powiększała, w końcu było w niej 14 zawodników, ale potem znów się podzieliła. W Secchiano siódemka z nich zaatakowała. Ta siódemka dogoniła liderów w Pietracuta, ale nie było wśród nich Marco. Właśnie odbijali w prawo do San Marino, gdzie czekał ich podjazd do miejscowości Acquaviva. Marco tym samym nie załapał się do kolejnej ucieczki. Czyżby rozmyślania

o mającym nastąpić kilka dni później zawodowym debiucie w decydującym momencie przytępiły jego zmysł rywalizacji?

Nuzzi zaatakował jeszcze raz. Jedynie Donati dał radę się za nim utrzymać. Nuzzi przyspieszył tak mocno, że rozciągnął grupę uciekinierów do granic możliwości. Loda zajmował co prawda trzecią pozycję, ale jechał już sam. Nie miał szans ponownie włączyć się do walki o końcowy triumf. Na ostatnim podjeździe Donati uciekł i wygrał z przewagą jednej minuty. Marco zakończył karierę amatorską na dziesiątym miejscu. Dzień później zaczynał obowiązywać jego zawodowy kontrakt z zespołem Carrera.

W swojej ostatniej podróży w roli amatora minął ostatniego włoskiego triumfatora trzytygodniowego wyścigu etapowego, jechał drogami, na których królował Miguel Indurain, przemierzał wzgórza, na których jego przodkowie przenosili się z miejsca na miejsce, aż wjechał do centrum San Patrignano, gdzie znajduje się założona w 1978 placówka lecząca osoby uzależnione od narkotyków. Kiedy Marco wspinał się na ostatnim kilometrze trasy wyścigu, ośrodek ten zapewniał dach nad głową i wykształcenie dobrze ponad tysiącowi głównie młodych byłych narkomanów. Ten wyścig istniał właśnie dzięki filozofii obowiązującej w San Patrignano. To była żmudna sportowa podróż przez pobliskie tereny, łącząca ludzi oraz miejsca i kończąca się zaraźliwymi scenami radości; nie miała być sposobem osiągania majątku czy sławy, a pomocą terapeutyczną dla osób, którym narkotyki zniszczyły życie. W ulotce ośrodka, na stronach poświęconych „lokalnej aktywności sportowej”, czytamy:

*Sport to przede wszystkim szacunek dla siebie i innych. Nieodłącznie wiąże się on z poznawaniem własnych granic oraz*

*nauką ich przekraczania dzięki ciężkiej pracy i zaangażowaniu. To kontakt z innymi ludźmi, płaszczyzna budowania relacji z nimi, wykraczająca poza wszelkie różnice i dyskryminację. Sport to przyjaźń i solidarność. Daje on możliwość stosowania zasad i wyznawania wartości, które odgrywają nadzwyczaj istotną rolę w zapobieganiu pojawiania się problemów młodości. To jednocześnie znakomite narzędzie rehabilitacji dla wszystkich tych młodych ludzi, którzy potrzebują aktywności i drogi powrotu do społeczeństwa, resocjalizacji.*

Trzy dni później Marco wystartował w swoim pierwszym wyścigu jako zawodowiec. Znalazł się w realiach, w których sport postrzegano zupełnie inaczej. Wiele lat później jego rodzice mieli zadzwonić do San Patrignano w poszukiwaniu pomocy dla syna. Niestety, było już dla niego za późno.
W lutym 1992 roku Włosi fetowali sukcesy olimpijskie swoich narciarzy zjazdowych. W Albertville w odstępie kilku godzin Alberto Tomba wywalczył złoty medal w slalomie gigancie mężczyzn, a Deborah Campagnoni sięgnęła po złoto w supergigancie kobiet. Symbolem włoskiego sportu stał się w szczególności Tomba, szarmancki i niezdyscyplinowany playboy, którego nazywano powszechnie „La Bomba". Nie ulega wątpliwości, że najpopularniejszą dyscypliną sportu we Włoszech była piłka nożna, ale miała ona raczej regionalny charakter, a na poziomie rywalizacji klubowej panowały straszne podziały. Narciarstwo, podobnie jak kolarstwo i sporty motorowe – choć w tym przypadku raczej wyścigi motocyklowe niż Formuła 1, bo Włochom konsekwentnie nie udawało się wychować zawodnika zdolnego sięgnąć po tytuł mistrzowski w F1 – spajało emocje społeczeństwa w sposób nieosiągalny dla raczej rzadkich sukcesów reprezentacji Włoch w piłce nożnej.

W sierpniu tego roku, w ramach szeregu wyścigów drugiej kategorii w spokojniejszej fazie sezonu, Marco mógł posmakować ścigania na poziomie zawodowym. Wypadł całkiem nieźle: zajął 30. miejsce w swoim pierwszym występie zawodowym, konkretnie w Gran Premio Città di Camaiore, na pagórkowatej pętli na toskańskim wybrzeżu; dwa tygodnie później uplasował się na 14. pozycji w Coppa Agostoni w Lissone, dosłownie o rzut beretem od autodromu Monza na północ od Mediolanu; tydzień później był 20. w Giro del Veneto; zajął też trzecie miejsce w Gastone Nencini Memorial, z powrotem w Toskanii, w indywidualnej jeździe na czas na Passo della Futa. Wyniki te mogły być jeszcze lepsze, gdyby nie źle zdiagnozowane problemy z kośćmi. Asymetryczny chód Marco skłonił niektórych do – niesłusznego – przekonania, że ma jedną nogę dłuższą od drugiej, przez co na jednym z pedałów w jego rowerze zamontowano 11-milimetrową podkładkę kompensującą. Uznano również, że tego problemu w żaden sposób nie da się „wyleczyć”, i tak oto przyszłość Pantaniego w zespole Carrera stanęła pod znakiem zapytania, jeszcze zanim zaczął na dobre reprezentować barwy tej ekipy. Rozwiązanie udało się znaleźć dopiero wówczas, gdy Marco zaczął pracować z doktorem Marcello Lodim. Zdrowiem zawodników teamu Carrera zajmowali się specjaliści z Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych na Potrzeby Sportu przy Uniwersytecie w Ferrarze. Szefem tej jednostki był Francesco Conconi, naukowiec, który zasłynął z opracowania bajecznie prostej metody pomiaru maksymalnej wydolności anaerobowej i aerobowej organizmu. Metoda ta została opisana w 1982 roku w „Journal of Applied Physiology”, w artykule zatytułowanym *Determination of the anaerobic threshold by a non-invasive field test in runners* (Oznaczanie progu anaerobowego poprzez nieinwazyjne testy terenowe u biegaczy). Dzisiaj jest nazywana

po prostu testem Conconiego. Prowadzony przez niego ośrodek zaczął przyciągać elitę zawodowego kolarstwa niczym magnes.

Lodi zatrudnił się tam w 1992 roku. To fascynujący człowiek o niezwykle rozległej wiedzy na temat biomechaniki i homeopatii. Pracował między innymi nad dietetycznymi sposobami podnoszenia liczby czerwonych krwinek, między innymi dzięki spożyciu bresaoli z koniny. To Lodi zdiagnozował u Marco nieodpowiednie ułożenie kręgów szyjnych, prawdopodobnie będące efektem jednego z poważnych wypadków samochodowych (a było ich co najmniej trzy), w których Pantani brał udział od ukończenia 18. roku życia, i to siedząc za kierownicą, a nie jako pasażer. W grudniu 1992 roku Lodi wysłał zawodnika do Este, na północ od Ferrary. Tamtejszy fizjoterapeuta, Giorgio Borghesan, potwierdził nową diagnozę i zabrał się do pracy. Borghesan to przyjazny i trochę niezdarny facet, ma co najmniej 190 centymetrów wzrostu i – podobnie jak wielu innych ludzi ze środowiska kolarskiego – stracił w wypadku podczas treningów na drodze kogoś bliskiego (w tym przypadku syna). W rozmowie ze mną powiedział: „Marce zadzwonił do mnie i rzucił: »Wysyłam ci zawodnika, który wygra Giro d'Italia, o ile tylko poskładasz go do kupy«. No i pojawił się u mnie Marco z tymi swoimi przerzedzającymi się włosami i odstającymi uszami. Bolało go w dolnej części pleców, a ból promieniował w dół nogi. Usłyszałem, że zmaga się z tym mniej więcej od roku. Stwierdziłem nieodpowiednie ułożenie pierwszego kręgu względem miednicy oraz przemieszczenie pierwszego kręgu szyjnego u podstawy czaszki. Obie te dolegliwości w praktyce wzajemnie się niwelowały. Istnieje teoria, zgodnie z którą asymetria miednicza jest powiązana z asymetrią podniebienia, w związku z czym Marco otrzymał protezę stomatologiczną, ale nie przyniosło to żadnych efektów. Przyjechał do mnie na szereg sesji rozłożonych na dziesięć dni.

Już po pierwszej czuł się znacznie lepiej. Wyrzuciliśmy dokładkę spod jego stopy i przepisałem mu program ćwiczeń". Niewykluczone, że ta terapia uratowała jego raczkującą karierę. Lodi wspomina rozmowę z jednym z członków kierownictwa zespołu Carrera, który założył się z nim o 40 milionów lirów – 20 tysięcy euro – że z Pantaniego nic już nie będzie. Wiele lat później Marco miał przypomnieć sobie pomoc Lodiego.

Lodi i Marco kontynuowali współpracę na czterokilometrowym podjeździe Róncola na północ od Bergamo, gdzie Lodi i doktor nauk medycznych Giovanni Grazzi, jego współpracownik z Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych, analizowali na przykładzie Marco i jego bardziej doświadczonego partnera zespołowego, Chiappucciego, skutki minimalnych zmian pozycji i techniki. Lodi na nowo zaprojektował ramę dla Marco, określił mu nową pozycję na siodełku. Po raz pierwszy w życiu Pantani poczuł się na rowerze wygodnie. Lodi zaczął też pracować nad stylem pedałowania u Marco, uczył go korzystania z większych mięśni, prowadził w kierunku zwiększania płynności ruchów, podtrzymywania tempa obrotu pedałów, a nie siłowego ich popychania. Zawodnik miał wykorzystywać impet wprawionej w ruch masy mięśniowej. Lodi pokazał mu, w jaki sposób dzięki odpowiedniemu nachyleniu torsu może jeszcze dynamiczniej przyspieszać. Zniknęła cała jego dawna sztywność. W ruchu Marco nabył nowej dla siebie gracji, jego ciało równocześnie opadało i się wychylało, płynnie i rytmicznie. Miał korzystać z tych porad przez całą karierę.

Zaraz po tym, jak Marco został zawodnikiem zespołu Carrera, przeniósł się tam jego masażysta Marco Pregnolato. Pracował on również z Chiappuccim, ówczesną wielką gwiazdą tej ekipy (słynny tatuaż Chiappucciego przedstawiający przerysowanego diabła to właśnie projekt Pregnolato). To Chiappucci otworzył

przed nim drzwi tego zespołu. Wyszło jednak tak, że od 1993 roku Pregnolato pracował już wyłącznie z Marco. Mieszkał w Modenie, leżącej o 40 kilometrów na zachód od Bolonii, która i dla Marco stała się niemal drugim domem, a rodzina Pregnolato jego drugą rodziną. Pregno, jak go nazywali, musiał pomóc Pantaniemu zaadaptować się do nowych realiów. Starsi koledzy z ekipy, zwłaszcza sprinter Guido Bontempi, nie najlepiej reagowali na szorstkość okazywaną przez nowego zawodnika.

W 1993 roku, pierwszym swoim pełnym sezonie w kolarstwie zawodowym, Marco miał wiosną dość mocno wypełniony kalendarz. Dwudziestego piątego lutego zajął czwarte miejsce w klasyfikacji generalnej Settimana Siciliana. Dwa dni później był dziewiąty w jednodniowym Giro della Provincia di Reggio Calabria. To naprawdę imponujące wyniki jak na świeżo upieczonego zawodowca. Miesiąc później musiał się sprawdzić w rywalizacji z mocniejszymi zawodnikami. Dwudziestego ósmego marca zajął 46. miejsce w klasyfikacji generalnej weekendowego Critérium International w północnej Francji. Ósmego kwietnia był dziewiąty na czwartym etapie wyścigu Vuelta al País Vasco, a w klasyfikacji generalnej – ostatecznie 19. Z Hiszpanii udał się wprost do Belgii na dwa pagórkowate jednodniowe klasyki, Flèche Wallonne oraz Liège–Bastogne–Liège. Mniejsze znaczenie miało to, że zajął odpowiednio 30. i 67. miejsce, zdecydowanie ważniejszy okazał się fakt, że w ogóle te wyścigi ukończył. Były to w końcu międzynarodowe imprezy jednodniowe na absolutnie najwyższym poziomie. Kilka tygodni później pokazał się z dobrej strony na dwóch mniejszych wyścigach w kraju: 25 kwietnia zajął 12. miejsce w Giro del Friuli w północno-wschodnich Włoszech, a tydzień później był szósty w Grand Prix Larciano nieopodal Florencji.

Jego ciało było w stanie podołać takiemu obciążeniu i tylko nabierało od tego siły.

Potem wystartował w czterodniowym Giro del Trentino, rozgrywanym w górach otaczających jezioro Garda. Zajął szóste miejsce. Jego sztab szkoleniowy mógł uznać, że pora dać mu odpocząć, ale on cały czas nabierał sił. Trafił do drużyny na Giro d'Italia i otrzymał zadanie asystowania Chiappucciemu. Nie miał jeszcze wtedy swojej magicznej aury, ale i tak pojechał znakomicie. Na etapie piątym był 14., a na etapie 12. finiszował dziewiąty, potem zakończył na 13. miejscu etap 14. i na 15. miejscu etap 15. Na etapie 18. zszedł z trasy z bolącymi i opuchniętymi ścięgnami. To był dla niego koniec sezonu. Zaliczył bardzo obiecujący początek, ale w tamtym momencie nic nie wskazywało na to, że Marco już niedługo zastąpi Alberto Tombę w roli sportowej ikony Włochów.

# Rozdział 5.
# Pierwszy szczyt

## ROK 1994

Partie polityczne, które od zakończenia drugiej wojny światowej przejęły całkowitą kontrolę nad włoską polityką – okres ten bywa sarkastycznie określany mianem „partiokracji” – od lat 70. znajdowały się w stanie głębokiego kryzysu. W kraju, gdzie praktycznie każda firma, gazeta, stacja telewizyjna, drużyna piłkarska, opera czy związek zawodowy miały jakiegoś politycznego opiekuna i gdzie partie polityczne obsadzały do miliona miejsc pracy w sektorze budżetowym, kryzys funkcjonowania tych partii był równoznaczny z kryzysem funkcjonowania całej Republiki Włoskiej. Mimo to jakoś nie zapowiadało się ani na reformy wewnątrz nich, ani na reformy w samym państwie. Prowadzone dochodzenia ujawniły związki polityków ze zorganizowaną przestępczością, pokazano dowody na grożenie podpaleniami i stosowanie innych form przemocy w skali wykraczającej poza wyobrażenia nawet największych pesymistów. W ramach jednego ze sporządzonych szacunków łączną kwotę różnego rodzaju wymuszeń i łapówek oszacowano na 30 bilionów lirów rocznie (15 miliardów euro). W wyborach samorządowych w 1990 roku startowało około 400 kandydatów, którym postawiono wcześniej zarzuty oszustw finansowych – przestępcy dostawali się do administracji rządowej. Ostatnim bastionem praworządności byli sędziowie, i to nawet mimo tego, że w latach 1987–1992 uchwalono liczne przepisy ograniczające możliwość analizowania ich majątków. W połowie 1993 roku

coś jednak wreszcie pękło. Prokuratorom udało się uchylić immunitety 395 posłom i senatorom, czyli niemal jednej trzeciej całego włoskiego parlamentu. Historyk Martin Clark komentuje to następująco:

*Dochodzenia objęły osiemnaście procent lokalnych samorządowców; najwyżsi rangą urzędnicy publiczni i biznesmeni – w tym byli i bieżący prezesi IRI oraz ENI – trafili do więzień albo popełnili samobójstwa. Do 1994 roku w zarzucone szeroko sieci złapano ponad trzy tysiące osób z samego szczytu. Klasa polityczna i świat biznesu zostały obalone. To była „rewolucja prawna", niespotykana dotąd w dziejach świata. [Modern Italy 1971–1995, Longman History of Italy, wydanie II, 1996, s. 415].*

W kontekście tych wielkich zmian sport odgrywał dość ciekawą rolę. Dwudziestego czwartego marca 1986 roku Silvio Berlusconi, najpotężniejszy włoski magnat medialny, został wybrany na stanowisko prezesa AC Milanu, jednego z najbardziej popularnych klubów piłkarskich w kraju. Po upadku tradycyjnych partii politycznych oraz po tym, jak Bettino Craxi, jego mentor polityczny i były socjalistyczny premier, uciekł do Tunezji, bo stracił immunitet, Berlusconi założył własną partię pod nazwą Forza Italia. Prowadzili ją menedżerowie z branży medialnej i reklamowej, a kierunki polityczne tej organizacji i kandydaci do jej struktur wybierani byli metodami marketingowymi. Luigi Crespi, dyrektor firmy Datamedia i jeden z najbliższych doradców Berlusconiego, powiedział w wywiadzie z 2001 roku, że AC Milan „to symbol wszystkich cnót Berlusconiego jako przedsiębiorcy i innowatora. Jest dzisiaj lepiej znany dzięki AC Milanowi niż

dzięki Mediaset, a fani AC Milanu [szacowano, że w całych Włoszech było ich wtedy sześć milionów] głosują na niego chętniej, gdy ich zespół zdobywa punkty i gra atrakcyjny futbol. Jego sukces polityczny może być nierozerwalnie związany z sukcesami piłkarskimi". Crespi dodał, że te spostrzeżenia znajdują potwierdzenie w „obiektywnych danych".

Zrównanie kibiców z wyborcami popierającymi konkretną partię dało początek nowym, niepokojącym realiom we włoskim sporcie. Stosunkowo szybko okazało się jednak, że politycy raczej nie powinni uzależniać poparcia dla siebie od wyników sportowych, a dowiódł tego Roberto Baggio, który w 1994 roku w finale mistrzostw świata nie wykorzystał swojej próby w serii rzutów karnych. Kolarskim odpowiednikiem Baggio, z którym włoska opinia publiczna chętnie się identyfikowała, a który pomimo wielkiego talentu nigdy nie spełnił do końca pokładanych w nim nadziei, był Gianni Bugno. Podczas Giro d'Italia w 1990 roku 26-letni wtedy Bugno wygrał dwie czasówki oraz jeden etap prowadzący wzgórzami Umbrii. Od początku do końca jechał w różowej koszulce lidera. Gdyby komuś było mało, triumfował też w wyścigu Mediolan–San Remo oraz w klasyfikacji generalnej kolarskiego Pucharu Świata. To były osiągnięcia godne Coppiego. Bugno został mistrzem świata w latach 1991 i 1992, mistrzem Włoch w latach 1991 i 1995, w 1991 roku wygrał Clásica de San Sebastián, a w 1994 – Ronde van Vlaanderen. Bugno, podobnie jak Baggio, był wielkim mistrzem, ale Baggio nigdy nie wygrał mundialu, a Bugno nigdy nie wygrał Tour de France. Jeżeli nowe Włochy chciały mieć niekwestionowaną ikonę sportu, musiały rozejrzeć się za kimś innym.

Następnym celem Marco było Giro d'Italia 1994, które miało się rozpocząć 22 maja w Bolonii. Nie ukończył rozgrywanego 19

marca wyścigu Mediolan–San Remo, ale potem im bardziej zbliżało się Giro, w tym lepszej formie był Marco. W dniach 4–8 kwietnia zajął 55. miejsce w klasyfikacji generalnej Vuelta al País Vasco. Siedemnastego kwietnia wziął udział w wyścigu Liège–Bastogne–Liège, gdzie był 67. Ostatniego dnia miesiąca zajął szóste miejsce w GP Industria e Commercio, a już dzień później rozpoczął passę czwartych miejsc: 1 maja w GP Larciano, 11 maja na drugim etapie Giro del Trentino, 13 maja w klasyfikacji generalnej Giro del Trentino i 15 maja w Giro di Toscana.

Do swojego dopiero drugiego w karierze dużego wyścigu etapowego Marco podszedł bardzo ambitnie. Davide Cassani, były kolarz zawodowy, pełniący wówczas funkcję rzecznika prasowego zespołu Carrera, wspomina: „Na jakiś tydzień albo dziesięć dni przed startem Giro powiedział mi: »Jeśli w tym Giro nie pojadę tak, jak zapowiadam, to wrócę do kiosku mamy i zajmę się sprzedawaniem *piadine*«”. Giro rozpoczął się w sobotę 22 maja od minuty ciszy dla uczczenia pamięci Jesúsa Luisa Ocañi Pernii, legendarnego hiszpańskiego górala i triumfatora Tour de France z 1973 roku. Ocaña miał być na miejscu w Bolonii i komentować wyścig dla hiszpańskiego radia, ale w czwartek, tuż przed rozpoczęciem imprezy, odebrał sobie życie strzałem w głowę w swoim francuskim domu w Caupenne-d’Armagnac, w okolicach Nogère. Ocaña jako wybitny góral był wielkim rywalem Eddy’ego Merckxa. Marco miał teraz odegrać rolę Ocañi w pojedynkach z bieżącym odpowiednikiem Merckxa, czyli Miguelem Indurainem.

W pierwszym tygodniu Pantani regularnie dojeżdżał w grupie liderów, nie tracił dużo czasu i robił wokół siebie jeszcze mniej szumu. Po czwartym etapie, który kończył się na szczycie wzgórza w Campitello Matese, awansował do pierwszej dziesiątki klasyfikacji generalnej dzięki piątej pozycji

etapowej. Przed nim tego dnia uplasował się między innymi młody Rosjanin Jewgienij Bierzin. Na dwa kolejne dni Marco schował się w peletonie. Na ósmym etapie rozegrano 44-kilometrową czasówkę wzdłuż wybrzeża Toskanii. Co niesamowite, wygrał ją Bierzin, wyprzedzając Induraina o 65 sekund. Marco stracił tam pięć minut i 45 sekund, co oznaczało, że łącznie miał już do Berzina siedem minut i 30 sekund straty. W generalce był 14., ale wyścig ciągle jeszcze nie wjechał w góry. W piątek 3 czerwca, na etapie do Lienzu na granicy z Austrią, Marco spokojnie pokonywał kolejne wzniesienia i wrócił do pierwszej dziesiątki.

Teraz zawodników czekał weekendowy pokaz w postaci etapów górskich. Układano je po to, by przyciągnąć przed telewizory jak największą widownię. Setki sponsorów ekip oraz wyścigu liczyły, że to właśnie w weekend poniesione nakłady im się zwrócą. W sobotę 4 czerwca kolarze mieli do pokonania 235 kilometrów i sześć górskich przełęczy na trasie z Lienzu do miasteczka kurortowego Merano. W niedzielę mieli po raz pierwszy od 14 lat pokonać Passo dello Stelvio na wysokości 2758 metrów nad poziomem morza, najwyższą przełęcz we Włoszech, podatną na złe warunki pogodowe. W latach 1967, 1984 i 1988 etapy prowadzące przez Stelvio zostały odwołane. Za Passo dello Stelvio na zawodników czekała przełęcz Mortirolo, przez wielu uważana za najtrudniejszy podjazd w całym kolarstwie. Potem pozostawały jeszcze dwa podjazdy pod Valico di Santa Cristina i finisz na szczycie w miasteczku Aprica.

Zespół Marco na sobotę zwolnił go z pełnienia obowiązków *domestique*. Podjazdy, które należało tego dnia pokonać, miały przedziwne nazwy: Stalle Sattel, Furkel, Würzjoch, Kofeljoch oraz Jaufenpass, który był ostatni i jednocześnie najdłuższy na tym etapie. Claudio Chiappucci wspomina: „Tamtego ranka

Marco planował coś wielkiego”. Na samym początku, gdy peleton mknął przez niemieckojęzyczne tereny przygraniczne, z przodu jechała grupa kolarzy skupiona wokół Szwajcara Pascala Richarda. Potem w pościg ruszyła ekipa Gewiss-Ballan, w której jeździł Bierzin. Prowadząca grupa zaczęła się rozrywać i tracić pojedynczych zawodników. Gdy Pascal Richard zostawiał w tyle kolejnych towarzyszy, na Jaufenpass padał akurat deszcz.

Na kilometr przed najwyższym punktem przełęczy Marco wyskoczył z grupy pościgowej i ruszył przed siebie w ulewę. Przed sobą miał tylko Richarda, więc na szczyt przełęczy wjechał sam, a następnie zwiesił pośladki za siodełkiem, dosłownie kilka milimetrów nad kołem. Od czasu do czasu spoglądał przez ramię, ale natychmiast z powrotem chował głowę w ramionach, trochę jak narciarz zjazdowy. Potrzebował 13 kilometrów, by dogonić Richarda i go wyprzedzić. Do mety pozostawało jeszcze 30 kilometrów. Za jego plecami do wytężonej pracy swoich *domestiques* poderwał Bugno. Do walki z osamotnionym Marco ruszyło ich czterech. Na ulicach Merano wielokrotnie stawał jednak on na pedały, przekładał na nie jak największą energię, a potem znów przyjmował tę aerodynamiczną pozycję, chował głowę w ramiona i mknął ku mecie etapu. Tuż za nim jechał samochód jego ekipy, a gdy Marco pędził pod mostem, dźwięk klaksonu auta niósł się echem po całej okolicy, zniechęcając goniących go rywali, którzy patrzyli, jak niemal ociera się o ściany, a potem znika w oddali. Przemknął przez miasto i zameldował się na ostatnim kilometrze.

Ogląda się przez prawe ramię – spogląda długo, bo grupę pościgową zasłania mu samochód dyrektora wyścigu, który teraz jedzie dość blisko za nim. Zjeżdża na zewnętrzną stronę zakrętu i – jadąc samym rozpędem – składa się w następny

zakręt, na wyjeździe z którego znów przyspiesza. Ponownie pozwala sobie na długie spojrzenie przez prawe ramię. Zostaje już tylko jeden, ostatni zakręt. Marco znów zaczyna pracować torsem, jak gdyby chciał uzyskać z powietrza jeszcze więcej prędkości. Grawitacja działa na jego korzyść, przed sobą ma metę, za sobą – odgłosy pościgu. Na ostatniej prostej ogląda się przez jedno ramię, potem przez drugie i dopiero chyba w tym momencie dopuszcza do siebie myśl, że wygrał. Mimo to nie zwalnia, prostuje się, przyspiesza, a potem spogląda w dół i chowa głowę pod daszkiem czapki. Być może to zwykła nieśmiałość. Marco nie wie, jak się zachować przed tymi wszystkimi kamerami. A może coś mówi? Gdy przecina linię mety, siada na siodełku, wznosi ręce, łączy dłonie, wyciąga je ku niebu, a następnie zdecydowanym ruchem opuszcza na znak, że wykonał zadanie. To pierwsza wygrana Marco w karierze zawodowej.

Czterdzieści sekund później na mecie pojawiają się Chiappucci, Rebellin, Bierzin, Indurain i 16 innych zawodników. Nawet bez 12 sekund premii za zwycięstwo etapowe Marco awansowałby na szóste miejsce w klasyfikacji generalnej. Gdy staje na podium między dziewczętami w barwach Lipton Ice Tea, ktoś podaje mu niewielką butelkę szampana. Marco nią potrząsa, odkorkowuje, przystawia sobie do lędźwi i pozwala, by napój tryskał na prawo i lewo. Sponsorzy raczej nie będą zadowoleni z takiego sposobu okazywania radości. Potem Marco udziela następującego wywiadu: „Ataki wyprowadzałem już od jakiegoś czasu. Do dzisiaj nic z nich nie wychodziło. Dzisiejszy atak był chyba najbardziej niewiarygodny ze wszystkich, bo do mety zostawał jeszcze kawał drogi, ale ostatecznie to właśnie ten się powiódł”. W klasyfikacji generalnej był teraz szósty i tracił do Bierzina, nieoczekiwanego lidera wyścigu, pięć minut i 36 sekund. Mimo to nie był

usatysfakcjonowany swoim zwycięstwem. Davide Cassani wspomina: „Jeszcze tego samego wieczora zaczął dopytywać o następny dzień. »Jak sytuacja na Mortirolo? A na Stelvio?«”. Styl, w jakim Marco wygrał w Merano, zwrócił uwagę opinii publicznej we Włoszech i za granicą. Dzięki temu triumfowi następnego dnia przed telewizorami usiadły rzesze ludzi, a to oznaczało olbrzymie korzyści dla organizatorów wyścigu, całego kolarstwa i jego sponsorów.

Relacja na antenie Italia Uno zaczęła się o 12:30, gdy kolarze dojechali do Prato allo Stelvio, początku podjazdu na Passo dello Stelvio. Auditel, włoska firma zajmująca się badaniem widowni telewizyjnej, donosiła, że już po pięciu minutach aż trzy miliony Włochów oglądało w telewizji, jak atakują Franco Vona i José Uriarte. Potem Uriarte przemyślał sprawę i zrezygnował, Vona został sam. Dwa kilometry przed szczytem przełęczy miał trzy minuty i 54 sekundy przewagi nad goniącymi go rywalami. Za jego plecami pościgiem kierował Claudio Chiappucci, kolega zespołowy Marco. O 13:35, po 73 kilometrach, gdy Vona pokonał szczyt Passo dello Stelvio, widownia stacji Italia Uno liczyła już cztery miliony osób. O 13:55, w połowie tego etapu, gdy po 96 kilometrach wjeżdżał do Bormio z przewagą sześciu minut i 40 sekund nad Bierzinem, relację oglądało już pięć milionów Włochów. Po 130 kilometrach, w Mazzo di Valtellina, zaczynał się podjazd pod Passo del Mortirolo. Na jego niższej części Marco pilnował czasu, a potem wystrzelił z grupy pościgowej. Indurain pozwolił mu odjechać. Bierzin popełnił błąd i próbował odpowiadać na każde przyspieszenie Marco. Dawał radę przez jakiś kilometr, może trochę więcej, ale tylko kwestią czasu było, kiedy Marco go zgubi i zostawi peleton z tyłu. Na szczycie Passo del Mortirolo miał dziesięć sekund przewagi nad Kolumbijczykiem

„Cacaíto” Rodríguezem, 40 sekund nad Gottim i Bellim oraz 50 sekund nad Indurainem; 12,4 kilometra tego podjazdu pokonał w 43 minuty i 53 sekundy, bijąc dotychczasowy rekord, wynoszący 46 minut i 10 sekund. Należał on do Franco Chiocciolego, zwycięzcy Giro z 1991 roku. Marco na Passo del Mortirolo oglądało ponad sześć milionów Włochów.

Na zjeździe Indurain rzucił się w pościg, na kole mając Rodrígueza. Marco posłuchał rady swojego *directeur sportif*, Giuseppe Martinellego, i pozwolił im się dogonić. Stworzyli jedną grupę i wspólnie po raz pierwszy minęli linię mety w miejscowości Aprica, mając w nogach 174,2 kilometra. Później jednak, na podjeździe do Valico di Santa Cristina, czyli między 181. a 188,5 kilometrem, Marco stanął na pedały i pomknął przed siebie. Indurain dalej siedział na siodełku i pracował tak samo niewzruszenie jak dotąd, choć jego absolutna niegdyś dominacja ewidentnie została nadwątlona. Za nim na pedałach stał Rodríguez i kręcił nimi raz wolniej, raz szybciej. Marco był nad wyraz szczupły, a gdy wstawał na pedały, w jego ruchach dawało się dostrzec coś nieoczekiwanego. Gdy jego stopa kończyła cykl przekazywania mocy na pedał, kolano uginało się i wychodziło do przodu, ciągnąc za sobą stopę w górę i zaczynając nowy cykl. Marco niemal prostował nogę w kostce, a jego stopa przez chwilę układała się prawie prostopadle do podłoża. W ten sposób powstawało złudzenie, że nie tyle naciska pedały, ile raczej ciągnie je w górę. Trochę tak, jakby jego ciało ciągnęło coś ku niebu. Na Valico di Santa Cristina miał już trzy minuty przewagi nad Chiappuccim oraz trzy minuty i 22 sekundy na Indurainem, Bellim i Rodríguezem. Widownia wzrosła z 6,4 do 6,6 miliona osób, aż o 17:55, gdy Marco zjeżdżał już do miasteczka Aprica, sięgnęła szczytowych 6 milionów 733 tysięcy osób. Dawało to stacji 59,02 procent udziału w rynku. Stojący wzdłuż trasy fani

radowali się i śmiali, wskazując palcami na Marco, który pędził po zwycięstwo z przewagą dwóch minut i 53 sekund nad swoim zespołowym kolegą Chiappuccim. W klasyfikacji generalnej był teraz drugi, ze stratą jednej minuty i 18 sekund do Bierzina.

Dwa kolejne zwycięstwa, w Merano i Aprice, oraz fakt, że stał się realnym zagrożeniem dla Bierzina, spowodowały, że media zaczęły rozpływać się nad jego stylem. Znów porównywano go do Gaula oraz do Luisa Ocañi, który dopiero co odebrał sobie życie. Kojarzono go również z Gino Bartalim, florentczykiem, który w 1948 roku wygrał Tour de France i – jak głosi legenda – uratował w ten sposób Włochy przed wojną domową. Bartali był jednak mistrzem w epoce transmisji radiowych, a Marco został od razu wielką gwiazdą telewizji, i to nie tylko we Włoszech. W Hiszpanii między 15:00 a ukończeniem etapu przed telewizorami zasiadało średnio 4 miliony 495 tysięcy osób.

Przez pozostałe dni transmisje z Giro siały zamęt w biurach i fabrykach w całej Europie. Robotnicy odkładali narzędzia i siadali przed telewizorami albo tłumnie udawali się do pobliskich barów. Ci, którzy mieli taką możliwość, wracali do domów wcześniej i nierzadko przerywali dzieciom to, co zwykle oglądały o tej porze. Czasami oznaczało to rodzinny konflikt, bo dzieci chciały oglądać coś innego, a czasami – dodatkowe godziny wspólnie spędzane przed telewizorem. Marco stał się codziennym gościem w domach milionów ludzi, którzy dopingowali go okrzykami „Dai, Marco!”, „Vai, Panta!”, „Forza, Pantani!” albo jakąś ich lokalną odmianą.

Etap 18. obejmował 35-kilometrową górską jazdę na czas z Chiavari na wybrzeżu liguryjskim na Passo del Bocco. Ten etap wygrał Bierzin, zyskując 20 sekund do Induraina i jedną minutę i 37 sekund do Marco. Nazajutrz, 10 kwietnia 1994 roku,

zaplanowano 201-kilometrową przeprawę graniczną z Cuneo w Piemoncie do kurortu narciarskiego Les Deux Alpes we francuskich Alpach. Poprzedniego wieczora, przed snem, Chiappucci opisywał Pantaniemu te góry: Colle dell'Agnello, 2748 metrów nad poziomem morza, Col d'Izoard, 2361 metrów, Col du Lautaret, 2058 metrów, a potem ostatni podjazd etapu do Les Deux Alpes na 1651 metrach. Zasypiając, Marco musiał planować szaleńczą jazdę na następny dzień.

Zaatakował zaraz za wioską Sampeyre, po niecałych 30 kilometrach jazdy, na samym początku podjazdu na Colle dell'Agnello. Postanowił ruszyć w pogoń za niedobitkami z wcześniejszej grupy ucieczkowej. Dogonił ich i wyprzedził, a potem dołączyli do niego dwaj Kolumbijczycy, Hernán Buenahora i Álvaro Mejía. Po chwili Mejía został z tyłu – albo nie mógł, albo nie chciał utrzymać narzuconego tempa. Śmiałość ataku Marco spowodowała, że Bierzin doznał kryzysu, z którego uratowało go wyłącznie doświadczenie jego zespołowego kolegi i dwukrotnego mistrza świata, Moreno Argentina. Na szczycie Col d'Izoard Marco pojawił się sam, miał za sobą już 120 kilometrów trasy, ale włożył w tę jazdę olbrzymie pokłady energii. Na 20-kilometrowym podjeździe Argentin odrobił do niego aż 20 sekund. Z Col d'Izoard Marco zjeżdżał pod wiatr. Po 74 kilometrach przewodzenia na tym etapie doszedł do wniosku, że z tego ataku nic już nie będzie. Pozwolił wysunąć się na czoło Buenahorze. Między Marco a triumfem w klasyfikacji generalnej stanął Argentin, który przez 160 kilometrów – od Valle Varaita do początku podjazdu do Les Deux Alpes – ciągnął lidera wyścigu i swego zespołowego kolegę. Triumfatorem etapu został Władimir Pulnikow, partner zespołowy Marco, który na rzecz pomocy swojemu koledze w walce o zwycięstwo włożył co najwyżej minimalny trud.

Ostatecznie Pantaniego zajął siódme miejsce, zyskując do Bierzina i Induraina 13 sekund.

Pozostał jeszcze jeden etap górski, ale 11 czerwca okazał się w Alpach dniem marznącej mgły. Marco skarżył się, że jest mu tak zimno, że ledwie może sięgnąć do manetki przerzutki. Widzialność na mecie w Sestriere była ograniczona do minimum. Miasteczko zniknęło w burzy śnieżnej. Rankiem tego dnia Marco tracił tylko dwa punkty w klasyfikacji górskiej do Szwajcara Pascala Richarda, ale nie podjął próby triumfu w tym rankingu: drugie miejsca i podkategorie go po prostu nie interesowały. Następnego dnia końcowe wyniki były już pewne. Marco zajął drugie miejsce w klasyfikacji generalnej, ze stratą dwóch minut i 51 sekund do Bierzina, a trzeciego Induraina wyprzedzając o 32 sekundy.

Sam to wszystko obserwowałem, śledziłem tamten Giro w gazetach, radiu i telewizji, najpierw w barach w Umbrii i Toskanii, potem z mieszkania mojego znajomego w Monfalcone nieopodal Triestu, a na koniec stanąłem przy samej trasie wyścigu w Sestriere. Mój przyjaciel Franco prowadził sklep i nie mógł go po prostu zamknąć, więc nagrywał relacje z kolejnych etapów. Przespałem kilka nocy u niego na sofie. Wieczorami oddawaliśmy się rytuałowi znanemu każdemu kibicowi, który kiedykolwiek nagrywał na wideo transmisję na żywo: przed pójściem spać programowaliśmy magnetowid z pełną świadomością, że jeden nieodpowiednio ugięty palec może spowodować, że jutro nagramy jakiś western z lat 50. Popołudniami i wczesnym wieczorem robiliśmy co w naszej mocy, żeby nie dowiedzieć się, jakimi wynikami zakończył się etap rozegrany tego dnia. No a potem oglądaliśmy te nagrania „na żywo”, a że etapy nie były krótkie, zarywaliśmy w ten sposób noce. To wszystko powodowało, że nagrywanie transmisji na kasety VCR

wydawało się jakby bardziej podniosłe niż oglądanie normalnej telewizji. Poza tym, skoro po pierwszym obejrzeniu etapu znaliśmy wyniki, mogliśmy potem skupić się na detalach, jeszcze bardziej szczegółowo zapamiętać zwycięstwa Marco i jeszcze mocniej się z nim identyfikować. Ileż tych nagrań musi jeszcze istnieć we Włoszech, Francji i innych krajach! Z pewnością są już zniszczone, ale mimo to jakże wartościowe! To cenne, niemal magiczne przedmioty. Marco, ikona, pomnażany, konsumowany, utrwalony w ludzkiej wyobraźni, ukazane na ekranie jego cierpienie, odwrotnie proporcjonalne do euforii ludzi przed telewizorami.

Dwudziestego szóstego czerwca Marco zajął 13. miejsce w mistrzostwach Włoch, a następnie pojechał do Francji na swój pierwszy w karierze Tour de France. Nie zaprezentował jakiejś szczególnej formy. Na dziewiątym etapie, w indywidualnej jeździe na czas z Périgueux do Bergerac, Indurain zapierał dech w piersiach. Jean-Marie Leblanc, dyrektor Tour de France, określił go zawodnikiem „potężnym, silnym i wspaniałym ponad wszystko – estetycznym ideałem kolarskiej maszyny". Jego najgroźniejszy rywal, Szwajcar Tony Rominger, stracił do niego dwie minuty. Marco był gorszy o dziesięć minut i 59 sekund, co dało mu 59. miejsce i łączną stratę do Induraina w klasyfikacji generalnej na poziomie 14 minut i 47 sekund. Dwa dni później w marznącej mgle Marco zaatakował na 11 kilometrów przed metą etapu w kurorcie narciarskim Hautacam, nieco powyżej Lourdes. Miał jednak pecha, bo na podjeździe spuchł Rominger, główny rywal Induraina. Hiszpan postanowił wykorzystać tę okazję i zaatakował z takim impetem, że na 2,3 kilometra przed metą wyprzedził Marco. Dodatkowo na kole wisiał mu Francuz Luc Leblanc. Indurain pozwolił Leblancowi wygrać ten etap, Marco

był trzeci, z 16 sekundami straty do Hiszpana. W generalce znalazł się na 26. pozycji.

Wyścig ruszył ponownie po dniu przerwy. Na początku podjazdu na Col du Tourmalet, na 50 kilometrów przed metą w Luz Ardiden, Francuz Richard Virenque dołączył do ucieczki. Marco zamierzał zwlekać z atakiem do ostatniej chwili, ale zryw Francuza zmusił go do zmiany planów. Gdy przewaga Virenque'a sięgnęła ośmiu minut, Marco zostawił w tyle grupę z liderem wyścigu i ruszył w pogoń. Na trzy kilometry przed szczytem Col du Tourmalet odrobił dwie i pół minuty, ale na zjeździe Virenque skutecznie się przed nim wybronił i potem już inteligentnie rozkładał siły na ostatnim podjeździe do Luz Ardiden. Wygrał ten etap, a Marco pojawił się na mecie jako drugi, cztery minuty i 34 sekundy po zwycięzcy. W klasyfikacji generalnej był teraz ósmy.

Trzy dni później, 18 lipca, Eros Poli – jeden z rywali Marco jeszcze z czasów amatorskich – zaatakował bardzo wcześnie i wypracował sobie niemal absurdalnie dużą przewagę 24,5 minuty, i to jeszcze przed podjazdem na onieśmielającą Mont Ventoux. Wystarczyło mu to, żeby wygrał ten etap z przewagą niemal czterech minut. W początkowej fazie podjazdu na Mont Ventoux Marco miał problemy z przerzutką. Zatrzymał się, żeby zmienić rower, a potem zderzył się z partnerem zespołowym, który na niego czekał. Upadł i obił sobie prawe udo. Gdy tylko wrócił na siodełko, na 11 kilometrów przed końcem podjazdu ruszył do ataku, „żeby sprawdzić, czy nie stało mi się coś poważnego", jak sam mówił na mecie. Szybko zyskał 90 sekund w stosunku do grupy, w której jechał lider klasyfikacji generalnej, ale potem dogonili go współpracujący ze sobą Virenque, Leblanc, Pascal Lino i Indurain. Za metą tego odcinka Marco się skarżył: „Indurain ściga mnie mimo tego, że tracę do niego 12 minut. Po prostu chce pomóc swoim kolegom z Festiny,

Leblancowi i Virenque'owi. Oni wiecznie ze sobą rozmawiają, jadą według takiej samej strategii. Leblanc i Virenque mają już po jednym zwycięstwie etapowym, odniesionym dzięki łasce Induraina, a teraz bronią swoich pozycji. Coraz bardziej wygląda zatem na to, że nie wygram etapu ani nie znajdę się na podium. Indurain popełnił jednak błąd, bo zadbał o wszystkich poza mną. Teraz ja zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pokrzyżować mu plany".

Na podjazdach Hautacam i Mont Ventoux Marco atakował na 11 kilometrów przed szczytem, potem to samo zrobił na etapie 16., z Valréas do Alpe d'Huez. Do dużej grupy ucieczkowej dołączył Roberto Conti, jego krajan z Emilii-Romanii. Zaatakował na 16 agrafek przed metą i na kresce był niemal sześć minut przed Marco. Tymczasem Pantani, który na dole podjazdu znalazł się w grupie z liderem klasyfikacji generalnej, atakował tak wściekle, że ustanowił nowy rekord tej wspinaczki, 38 minut. Pokonał ów fragment trasy o dwie minuty i 17 sekund szybciej niż zwycięzca etapu. Zyskał jedną minutę i 40 sekund do Virenque'a oraz dwie minuty i 15 sekund do Induraina i Leblanca. W ten sposób zmniejszył stratę do Induraina do dziesięciu minut, a w klasyfikacji generalnej awansował z szóstego miejsca na piąte.

Jeśli chodzi o Tour de France 1994, to najmocniej w pamięci zapisał się chyba etap 17., z Le Bourg-d'Oisans do Val Thorens. Na Col du Glandon, pierwszym podjeździe tego etapu, gdy realizator transmisji pilnował prowadzącej grupy, Pantani brał udział w kraksie. Dwadzieścia dwa kilometry od startu przy dużej prędkości dotknął tylnego koła Alberto Ellego. Obaj się wywrócili i uderzyli w ścianę. Elli bezzwłocznie odjechał, ale Marco siedział na ziemi i czekał na lekarza. Stracił dwie minuty, zanim lekarz obejrzał ranę i wykluczył złamanie. Realizator

relacji telewizyjnej pokazał, jak Marco wyciera twarz i ogląda swój łokieć. Wcześniej był dogadany z Roberto Contim, że zaatakują na Col de la Madeleine, ale jego upadek zniweczył te plany. Sfrustrowany, zły i być może nawet gotowy zrezygnować, Marco przyglądał się puchnącemu kolanu, ale i tak w towarzystwie trzech kolegów z zespołu ruszył w pogoń. Potrzebowali na to 23 kilometrów. Przy znaczniku 45. kilometra, na zjeździe z Col du Glandon, wreszcie dołączyli do peletonu.

Marco, szlochając z bólu, trzykrotnie zostawał z tyłu, by porozmawiać z ludźmi w samochodzie zespołowym i poprosić o zgodę na zejście z trasy. Nie dostawał jej, więc na Col de Madeleine zaatakował, między innymi po to, żeby – podobnie jak na Mont Ventoux – sprawdzić zranione kolano. Swoim atakiem przerzedził peleton. Daleko z przodu Ugrjumovs i Kolumbijczyk Cacaíto Rodríguez byli już na 37. kilometrze podjazdu do Val Thorens. Tempo utrzymywane przez grupę z liderem klasyfikacji generalnej było tak duże, że atak wydawał się niemożliwy. Mimo to na pięć i pół kilometra przed metą Marco, nadal obolały, poderwał się do sprintu z tylnej części tej grupy. Przez 13 sekund podążał za nim Luc Leblanc, ale Pantani jechał tak szybko, że Francuz zmienił zdanie. Na kresce Cacaíto wyprzedził Ugrjumovsa i wygrał ten etap. Marco pojawił się tam 68 sekund później i zajął trzecie miejsce, ale wyprzedził Induraina, Virenque'a i Leblanca o półtorej minuty. Tym samym wskoczył na trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej. Przez całą noc bardzo go jednak bolało i nazajutrz, na trasie z Moûtiers do Cluses, nie był w stanie korzystać z najwyższych przełożeń. Etap wygrał Ugrjumovs, a drugie i trzecie miejsce zajęli Indurain i Virenque. Marco był piąty, ze stratą trzech i pół minuty. W generalce spadł na czwarte miejsce, tracąc dwie sekundy do Ugrjumovsa.

Przedostatni etap obejmował indywidualną jazdę na czas w górach na trasie z Cluses do Morzine-Avoriaz. Ugrjumovs prowadził na każdym kolejnym punkcie kontrolnym. Marco stracił do niego jedną minutę i 38 sekund, ale tyle samo zyskał wobec Induraina. Virenque pojechał koszmarnie i w klasyfikacji generalnej spadł z drugiego miejsca na czwarte. Marco ukończył swój pierwszy w karierze Tour de France na trzecim miejscu. Na podium w Paryżu stanął razem z Indurainem i Ugrjumovsem, niebezpiecznie tłocząc się z nimi na najwyższym podium, w za dużej na jego głowę czapce sponsora. Stał się niewątpliwie włoskim kolarzem numer jeden. Nawet więcej – miał dopiero 24 lata, a już był jednym z najbardziej ekscytujących, nieprzewidywalnych i inspirujących zawodników na szosie.

# Rozdział 6.
# Upadki

## 1995–LUTY 1996

Pierwsze cztery miesiące 1995 roku Marco poświęcił na treningi do Giro d'Italia. Podczas obozu treningowego ogolił głowę. Nie zrobił tego z własnej inicjatywy – to koledzy z zespołu przekonali go, żeby pozbył się resztek włosów. Wkrótce potem, po raz pierwszy od lat, głowę ogolił również Paolo. Ogolony na zero był wcześniej w czasie służby wojskowej, gdy poznał Toninę.

Sezon trwał, a Marco budował coraz lepszą formę: 18 marca zajął 98. miejsce w wyścigu Mediolan–San Remo, 12 kwietnia w Flèche Wallonne był 29., cztery dni później w Liège–Bastogne–Liège skończył jako 18., a 25 kwietnia zajął piąte miejsce w Giro dell'Appennino, ustanawiając przy okazji nowy rekord czasu podjazdu na Boccettę. Giro rozpoczynało się 13 maja w Perugii, a Marco, bogatszy o cały rok doświadczenia, był uznawany za faworyta imprezy. Pierwszego maja miał pojechać samochodem do Szwajcarii, by wziąć udział w Tour de Romandie, wyścigu etapowym rozgrywanym we francuskojęzycznych kantonach tego kraju. Miał tam szlifować formę. Rankiem tego dnia, przed wyruszeniem w podróż, wsiadł na rower i wyjechał sam z Cesenatico, by poćwiczyć na podjazdach w Republice San Marino. We wiosce Santarcangelo, 30 kilometrów od Cesenatico, na Via Emilia nadjechał fiat punto. Gdy Marco uświadomił sobie, że kierowca go nie widzi, było już za późno. Na skutek kolizji uderzył o asfalt, zdzierając

sobie skórę z twarzy. Kierowca mieszkał w Cesenatico i od razu rozpoznał swoją ofiarę. Był śmiertelnie przerażony.

Gdy karetka dotarła do szpitala w Rimini, Marco był przytomny. Badania krwi, rentgen i tomografia komputerowa wykazały zakres obrażeń: obicie prawego kolana i kości krzyżowej, rana cięta i obicie prawej skroni, żadnych złamań ani pęknięć. Nie stwierdzono też wstrząsu mózgu. Mimo to lekarze zatrzymali go w szpitalu na dwudniową obserwację. Zdiagnozowano również uszkodzenia łąkotki, w związku z czym Pantani rozpoczął laseroterapię i jontoforezę. W wywiadzie telewizyjnym wyemitowanym 10 maja Marco, z kremem nałożonym na prawy policzek i powiekę, nadal spodziewał się, że stanie na starcie Giro: „Powinienem te dwa tygodnie przepracować, ale przeleżałem je w łóżku. Będę wypoczęty, ale nie będę odpowiednio przygotowany. Przyjdzie mi za to zapłacić". Rankiem 11 maja przejechał 60 kilometrów ze swoim zespołowym kolegą Marcello Sibonim. Ból kolana okazał się nie do zniesienia. Tego samego popołudnia Marco poinformował, że nie wystartuje w Giro.

Wystartował natomiast w Tour de Suisse. Na siódmym etapie, pierwszym w górach, dał się zostawić w tyle innym. Podczas wieczornego masażu zaczął się nad sobą użalać i skarżyć Roberto Pregnolato, że zrobił wszystko, co mógł, żeby się przygotować, ale nie był w stanie wrócić do pełni sił. Ten próbował przemówić mu do rozsądku: „Tłumaczyłem mu, że na pierwszym górskim etapie nigdy nie wypadał dobrze. Przez całą jego karierę tak to wyglądało". Mimo to Marco postanowił się wycofać. W pewnym momencie zaczęli się szarpać i Pregnalato uderzył Marco w twarz. Nie rozmawiali ze sobą aż do następnego dnia, do rozpoczęcia etapu, najtrudniejszego

w całym wyścigu – etapu, który wygrał. Tour de France był tuż za pasem, a jego forma rosła.

Przed Tour de France Marco postanowił jednak zmienić korby, czyli ramiona, do których przykręcone są pedały. Przejście z korby o długości 172,5 milimetra na 175-milimetrową miało w założeniu poprawić efektywność pedałowania, ale wtedy odezwały się jego dawne problemy z miednicą. Po pierwszych ośmiu dniach i 1370 kilometrach ból stał się nie do zniesienia. Po etapie prowadzącym z Ardenów do Liège był gotów się wycofać. Wtedy udało się znaleźć belgijskiego osteopatę, by spróbował zrobić coś z jego miednicą. Dwa dni później Marco – jak nowo narodzony – zajął czwarte miejsce na etapie z Le Grand-Bornand do La Plagne, na trasie prowadzącej przez północe Alpy.

Nazajutrz do pokonania były Col de la Madeleine i Col de la Croix z metą w Alpe d'Huez. Pełen energii Marco w bardzo ładnym stylu zaatakował na 13 kilometrów przed metą. Wyprzedził dziesięciu rywali i zbliżył się do prowadzącej trzyosobowej grupy, w której jechali Virenque, Laurent Dufaux oraz Ivan Gotti. Ten ostatni zaatakował, jeszcze zanim Marco do nich dojechał. Virenque i Dufaux nie mieli już sił na odpowiedź, więc Marco ich wyprzedził i zawisł Gottiemu na kole. Spędził tam dłuższą chwilę. Czekał. W końcu stanął na pedały i pomknął do przodu. Gotti mógł się tylko przyglądać. Marco był teraz sam na prowadzeniu i tylko jakaś katastrofa mogła odebrać mu triumf na tym etapie. No i katastrofa ta niemal wydarzyła się na 250 metrów przed metą, bo nie zmieścił się w ostatnim zakręcie i jechał wprost na parking. Naprawdę niewiele brakowało, ale ostatecznie wyhamował i skręcił. Ten brany na dwa razy zakręt kosztował go utratę nowego rekordu podjazdu. Dotychczasowy należał do niego, wynosił dokładnie

38 minut, a teraz wjechał na metę w czasie o cztery sekundy dłuższym.

Cztery dni po Alpe d'Huez Marco uczcił urodziny Induraina, znikając w chmurze na 42 kilometry przed metą w Guzet-Neige. Jako ostatni widział go Ivan Gotti – Pantani był ledwie dostrzegalnym cieniem w białym mleku. Na podium, w otoczeniu fanów, z niewinnym i dziecięcym wyrazem twarzy dał towarzyszącym mu modelkom po całusie. Gianni Mura z gazety „La Repubblica" zapytał go o sekret jego szybkości, gdy się wspina. Odpowiedź brzmiała następująco: „Kocham góry, ale wyczerpanie fizyczne wzbudza we mnie poczucie głębokiej nienawiści do nich, staram się zatem możliwie skrócić te męki". To nie było standardowe stwierdzenie w ustach sportowca. Niegdyś dziennikarze często przekonywali się, że Marco nie wie, co ma powiedzieć, ale w końcu znalazł rozwiązanie: nowy, zakamuflowany liryzm. Dzięki niemu mógł być jednocześnie rozbrajająco szczery i trudny do odgadnięcia. W swojej wypowiedzi zawarł sprzeczność charakterystyczną dla jego relacji z kolarstwem i z samym sobą. Uniesienie towarzyszące zwycięstwu, czyli podstawowemu celowi zawodowego kolarza, miało działanie oczyszczające, lecz wysiłek niezbędny do osiągnięcia tego katharsis był dla niego koszmarnie trudnym doświadczeniem.

W nocy 17 lipca ze snu obudził go koszmar. Nazajutrz, na szybkim zjeździe z Portet-d'Aspet, po 34 kilometrach od startu, Fabio Casartelli wywrócił się na zakręcie i zatrzymał się na ziemi w pozycji embrionalnej. Z ran na głowie tryskała mu krew. Podczas transportu śmigłowcem trzykrotnie doszło u niego do zatrzymania akcji serca. Zmarł w szpitalu w Tarbes. Na Col du Tourmalet Marco płakał.

Wyścig ukończył na 13. miejscu w generalce i po raz drugi z rzędu otrzymał wyróżnienie dla najlepszego młodego kolarza.

Mistrzostwa świata w 1995 roku organizowano na początku października w mieście Duitama w Kolumbii. W ramach przygotowań do tej imprezy Marco wystartował w Vuelta a España, gdzie zajął dziewiąte miejsce na etapie dziesiątym oraz szóste na etapie 11. Wycofał się z dalszego udziału w tym wyścigu, by szlifować formę na 8 października.

Na dwa tygodnie przed mistrzostwami skontaktował się ze swoim imiennikiem Marco Cerianim, producentem suplementów żywieniowych. Chciał uzyskać od niego poradę dietetyczną. Ceriani zwrócił uwagę na fakt, że Marco mówił po cichu, uważnie dobierał słowa, zastanawiał się nad każdym stwierdzeniem, nigdy się nie sprzeciwiał ani nie udawał, że coś wie. Ceriani wyjaśniał mu biochemiczne aspekty działania suplementów, a Marco cierpliwie słuchał, podczas gdy Pregnolato chodził tam i z powrotem i niecierpliwie zerkał na zegarek. Przez cały ten wykład on i Marco mogli spóźnić się na randkę, którą umówił im z dwoma dziewczynami. Marco stwierdził, że nie stosuje żadnej szczególnej diety i je po prostu to, co lubi, czyli makarony, *piadine* i mnóstwo nutelli. Przed wymagającymi etapami górskimi spożywał drugie śniadanie w postaci spaghetti maczanego w miodzie i posypanego parmezanem. Ceriani uważa, że mógł być to sekret jego sukcesów. Marco powiedział mu, że nie ufa suplementom diety: „Sam rozumiesz, nie chcę żadnych problemów".

Czwartego października, gdy Miguel Indurain pędził po tytuł mistrza świata w jeździe na czas, zawaliła się trybuna ustawiona w pobliżu mety i sporą grupę widzów, którzy brali udział w tym zdarzeniu, zabrano do szpitali na obserwację. Początkowo pojawiały się doniesienia, że był wśród nich ojciec Marco, Paolo. Zawodnik wściekle temu zaprzeczał,

a dziennikarze odnotowali jego zły humor, bo rzekomo zawsze była to u niego oznaka dobrej formy.

Kolarze mieli pokonać 15 okrążeń liczącej 17,7 kilometra pętli, której start zlokalizowano w Duitamie, skąd pochodził Kolumbijczyk Oliverio Rincón. Miejscowość ta leży na wysokości 2590 metrów nad poziomem morza. Po pierwszych 500 metrach, stanowiących jedyny płaski odcinek całej trasy, zaczynał się delikatny podjazd o długości czterech kilometrów, który przechodził następnie w stromą wspinaczkę na szczyt El Cogollo, na wysokość 2890 metrów nad poziomem morza. Kolarze opisywali nachylenie jako wahające się od 10 do 13 procent, choć oficjalnie organizatorzy informowali o nachyleniu 8,57 procent. Trasę zamykały przerażająco strome zjazdy o nachyleniu sięgającym 16 procent. W ten sposób zawodnicy wracali do Duitamy. Claudio Chiappucci nazwał tę pętlę najtrudniejszą, jaką kiedykolwiek widział.

Na pierwszym podjeździe pod El Cogollo Gianni Bugno, nieoficjalny lider reprezentacji Włoch, stracił 50 sekund. Ruszył w pościg i w końcu dopadł prowadzącą grupę, ale po czwartym okrążeniu pętli się wycofał. Gdy pokonywali podjazd po raz szósty, koledzy Induraina podkręcili tempo, tym samym zmniejszając grupę faworytów do 21 osób. Aż sześć z nich pochodziło z Włoch: Casagrande, Chiappucci, Lanfranchi, Pellicioli, Piepoli i Marco. Wtedy zaczął padać marznący deszcz. Chiappucci rozbił się na tym koszmarnym zjeździe, ale pomimo odniesionych obrażeń wrócił na rower. Upadł również Piepoli, który musiał się wycofać.

Na trzy okrążenia przed końcem Marco wyprowadził atak sondujący. Indurain przyglądał się, jak odjeżdża mu w rozrzedzonym, chłodnym powietrzu, a potem bezzwłocznie do niego dołączył. Inni też atakowali, ale tempo było za wysokie, a sam wyścig za długi, aby te ucieczki miały szanse się

utrzymać. Na przedostatnim okrążeniu Indurain przebił oponę. Potrzebował pięciu minut, by na zapasowym rowerze dogonić prowadzącą grupę. Na tym etapie w walce o zwycięstwo liczyło się już tylko sześciu zawodników: dwóch Hiszpanów, Indurain i Olano, Szwajcarzy Richard i Gianetti, oraz dwóch Włochów, Francesco Casagrande i Marco.

Wtedy absolutnie zaskakujący atak wyprowadził Indurain. Jego rywale nie mieli innego wyjścia jak tylko ruszyć za nim, ale w ten sposób zafundowali sobie poważne niedobory tlenu. Gdy wszyscy walczyli o każdy oddech, wymknął im się Olano i wypracował sobie 45-sekundową przewagę. Indurain poświęcił się dla niego, a Casagrande zrobił to samo dla Marco – zużył resztki sił na prowadzenie pościgu. Na ostatnim podjeździe pod El Cogollo z rywalizacji o tytuł odpadł Richard. Marco zaatakował. Indurain i Gianetti go dogonili, a następnie Marco i Gianetti razem ruszyli w pogoń za Olano, którego partner reprezentacyjny – Indurain – oczywiście nie zamierzał im pomagać. Za każdym razem, gdy Marco próbował nagłym zrywem podkręcić tempo i rozstrzygnąć wyścig na swoją korzyść, koło ślizgało się po mokrym asfalcie. Olano, pomimo złapanej gumy – linię mety przeciął kompletnie bez powietrza – utrzymał przewagę. Trasę liczącą 265,5 kilometra pokonał w siedem godzin, dziewięć minut i 55 sekund. Indurain wygrał sprint o srebro, a Marco obronił brąz przed Gianettim. Cała trójka przecięła linię mety niemal jednocześnie, 55 sekund za Olano.

Jedenastego października 1995 roku Marco dotarł ze swoim brązowym medalem do Włoch. W należącym do Nicoli Amaducciego Bar del Corso chodził po sali z butelką szampana. Przekonano go, żeby wykorzystał znakomitą formę w Settimana Rosa, cyklu trzech jednodniowych wyścigów kończących

zawodowy sezon we Włoszech: Mediolan–Turyn, Giro del Piemonte i Giro de Lombardia. Marco te późne wyścigi praktycznie w ogóle nie interesowały, przez całą karierę kończył sezon wraz z ostatnim etapem Tour de France. Tyle że w takiej formie triumf w prestiżowym Giro di Lombardia, nazywanym także „wyścigiem spadających liści", był jak najbardziej do osiągnięcia.

Rankiem 18 października, gdy w ulewnym deszczu kolarze stawili się na starcie w Novate Milanese na północ od centrum Mediolanu, Marco znalazł się wśród nich. Pojechał tam prawdopodobnie po to, by dodatkowo popracować nad kondycją, nawet jeśli uważał, że to imprezy poniżej jego poziomu. Wyścig Mediolan–Turyn miał bardzo bogatą historię, po raz pierwszy odbył się w 1876 roku, należał do ścisłej czołówki najstarszych imprez kolarskich na świecie. Jego trasa w symboliczny sposób łączyła stolicę finansową Włoch z jednym z jej największych centrów przemysłowych, ale w kalendarzu kolarskim wyścig stracił na znaczeniu.

Było zimno, więc Marco miał na głowie wełnianą czapkę. Marco Ceriani, jego dietetyk, zapytał, dlaczego Pantani nie jedzie w kasku. „Kaski nie grzeją, a ja nie mam włosów. Zresztą kaski tylko mnie irytują, zamykają mi myśli w więzieniu".

Podjechali 1500 metrów na linię startu przy Via di Vittorio, skąd ruszyli równo o dziesiątej rano. Trasa prowadziła z Novate Milanese do położonego siedem kilometrów na zachód Rho, skąd skręcali na południowy zachód, by przez Vigevano i Casale Monferrato dotrzeć do Asti, najbardziej na południe wysuniętego punktu trasy, położonego w odległości 130 kilometrów od Mediolanu. Na początku wyścigu uformowała się 13-osobowa ucieczka. W grupie tej znaleźli się przedstawiciele dziewięciu najsilniejszych zespołów, więc peleton nie miał wielkiej motywacji do pościgu. Przewaga

uciekinierów szybko urosła do ponad dziesięciu minut. Marco w tej grupie nie było.

W okolicach Asti przestało padać, więc kolarze jechali teraz po suchym. Skierowali się na północny zachód w stronę Castelnuovo Don Bosco, a stamtąd ruszyli ku największej przeszkodzie na trasie wyścigu, a mianowicie ku wzgórzu Superga, które góruje nad Turynem od wschodu. Wznosi się ono na 671 metrów i pod wieloma względami przypomina wzgórza z okolic Cesenatico, na których Marco uczył się kolarskiego rzemiosła. Superga zapisała się jednak w historii włoskiego sportu także z innego powodu: 4 maja 1949 roku na jej zboczu rozbił się samolot z piłkarzami AC Torino, wracający z towarzyskiego meczu w Lizbonie. Wszystkich 31 pasażerów i członków załogi zginęło na miejscu. Tamta drużyna AC Torino, być może najlepszy wówczas zespół klubowy na całym świecie, stanowiła symbol ówczesnej powojennej odbudowy Włoch. Z 11 reprezentantów Włoch, którzy 11 maja 1947 roku wygrali mecz z Węgrami, aż dziesięciu występowało na co dzień w tym klubie. Opłakiwali ich nie tylko kibice piłki nożnej.

Marco bez problemu wjechał na Supergę – forma wywieziona z mistrzostw świata spowodowała, że musiałby się hamować, żeby jechać w peletonie – a potem rozpoczął zjazd na południe do Pino Torinese (495 metrów), a następnie skręcił w Corso Chieri, liczący 6,6 kilometra kręty zjazd do Piazzale Marco Aurelio. Meta znajdowała się 3,6 kilometra od Piazzale. Marco musiał skręcić w lewo i jechać ulicą Corso Casale, biegnącą nabrzeżem Padu, przejechać przez Piazza Borromini (1,6 kilometra od Piazzale Marco Aurelio), a następnie przejechać przez rzekę na finisz sprinterski w Parco del Valentino. Oczekiwano, że finisz odbędzie się około 15:00.

Mniej więcej za kwadrans trzecia Marco przyjął właściwą mu pozycję zjazdową. Za nim jechało dwóch zawodników w swoim

pierwszym sezonie na kontraktach zawodowych: 23-letni Francesco Secchiari z Navigare i 25-letni Davide Dall'Olio, były kolega klubowy Marco z zespołu Giacobazzi, obecnie reprezentujący barwy Amore e Vita. O zwycięstwo mieli powalczyć kilka kilometrów dalej, teraz na razie po prostu pędzili w dół pustych ulic w centrum miasta. W połowie Corso Chieri, na przedmieściach Reaglie, policja blokowała ulicę Cresto w ramach zabezpieczania trasy wyścigu. Przedstawiony poniżej zapis policyjnej komunikacji radiowej – wraz z dokładnym oznaczeniem czasu – stanowi znakomity komentarz do dramatycznych wydarzeń, które się tam rozegrały. „Centrala" to oczywiście ktoś siedzący na posterunku policji, a „Lima 1" to funkcjonariusz pilnujący blokady na Corso Chieri:

**Po 14:43,44**
Centrala: Uwaga wszyscy funkcjonariusze na trasie: przed otwarciem ulic czekajcie na przejazd autokaru z tabliczką „Koniec wyścigu".
**14:44,45**
Lima 1: Wydaje mi się, że ostatnia grupa zawodników minęła skrzyżowane Reaglie-Chieri-Corso Chieri. Więcej zawodników nie ma. Uważajcie, bo za karetką jedzie jeszcze jeden maruder. Powtarzam, za karetką jedzie jeden maruder.
Vega 1: Będzie musiał stosować się do Kodeksu drogowego. Kiedy przejedzie pojazd z napisem „Koniec wyścigu", droga nie będzie już zamknięta, więc ten zawodnik będzie się musiał zatrzymywać na skrzyżowaniach.
Lima 1: Lima 1 do Vegi 1.
Vega 1: Odbiór.
**14:45,25**
Lima 1: Nie widziałem autokaru kończącego wyścig.

Vega 1: To nie jest autokar, to raczej minibus, ale musi mieć tabliczkę „Koniec wyścigu”. Nadjedzie. Jeśli go jeszcze nie ma, to pewnie się zatrzymał, żeby po drodze kogoś zabrać.
Lima 1: W porządku, przyjąłem.
[…]
Vega 1: Gdzie jesteś?
**14:46,00**
Lima 1: Skręcam w Corso Casale.
Vega 1: Zatrzymaj się tam. Ustaw się na samym końcu wyścigu, żeby twoi koledzy wiedzieli, że cały wyścig przejechał i mogą otwierać ulice, gdy tylko przejedziecie.
**14:46,33**
Lima 1: Za nami już jadą cywilne auta. Będę się starał utrzymać ten ruch za nami.
Vega 1: Znakomicie – dzięki.
Vega 90: Vega 1, tu Vega 90. Jedziemy na samym końcu wyścigu.
Vega 1: Znakomicie. Przejeżdżając, informujcie kolegów, że za wami mogą już otwierać ulice.
**14:47,00**
Nieznany Dowodzący: Gdzie znajduje się koniec wyścigu?
Centrala: Koniec znajduje się na Piazza Borromini.
Vega 21: Więc u nas, na moście przy Piazza Pasini, możemy otwierać ulice?
[…]
Vega 90: Tak. Skoro Corso Gabetti jest już wolne, otwórzcie Piazza Pasini.
[…]
**14:48,00**
Vega 22: Czy możemy otworzyć Piazzale Marco Aurelio?
Vega 1: Nie. Dopóki wasi koledzy nie otworzą Corso Casale, nie możecie otworzyć waszych ulic.
**14:48,15**

Centrala: Vega 22 i Vega 1. Nie otwierać Corso Casale, zawodnicy nadal zjeżdżają z Pino. Nie otwierajcie ulic.
Vega 22: Vega 1, przyjąłeś?
Vega 1: Nie, mam tu straszny hałas. Powtórz.
**14:48,36**
Vega 22: Kolarze cały czas zjeżdżają z  Pino. Nie otwierać Corso Casale. Wszystko ma być dalej zamknięte. Koniec wyścigu znajduje się ciągle jeszcze na Corso Chieri.
Vega 21: To kto powiedział, że koniec wyścigu jest już na Piazza Borromini? Przepraszam, ale ktoś tu przekazuje nieprecyzyjne informacje.
Centrala: Centrala do Limy 1, Centrala do Limy 1.
[…]
Lima 1: Odbiór.
**14:49,43**
Centrala: Czy nie mieliście jechać na końcu wyścigu?
Lima 1: Z tyłu są ostatni zawodnicy, z dużą stratą do reszty. Wracamy właśnie Corso Casale, żeby ich eskortować.
Centrala: Vega 21, Corso Casale ma być zatem nadal zamknięta.
Vega 21: Zamkniemy ją ponownie, bo już zdążyliśmy ją otworzyć. Powiedzieli nam, że koniec wyścigu jest już na Piazza Borromini.
Centrala: Przyjąłem.
**14:50,00**
Vega 90: Dobra, zapanujmy nad tym. Tu Vega 90. S kontaktowałem się z ostatnim policjantem na motocyklu jadącym z wyścigiem i on potwierdził, że ostatni kolarze są tam, gdzie znajduję się ja. Ci jadący z tyłu to przypadkowe osoby, które dołączyły do wyścigu, ale nie biorą w nim udziału.
Vega 22: Zaprzeczam. T o wszystko kolarze i jest ich mnóstwo.
Vega 90: W takim razie przekazano mi złą informację.

Vega 1: Odkąd przejedzie pojazd z tabliczką „Koniec wyścigu”, nawet osoby z numerami startowymi są cywilnymi uczestnikami ruchu drogowego.
Lima 1: Lima 1 do Centrali.
Centrala: Lima 1, odbiór.
Lima 1 Po Corso Chieri nadal jadą zawodnicy z numerami startowymi, dokładnie w tym momencie skręcają w Corso Casale.
Centrala: Jeśli przejechał pojazd z tabliczką „Koniec wyścigu”, muszą się stosować do przepisów ruchu drogowego. Tę informację podał Vega 1.
Lima 1: W porządku, ale to nie jest tylko kilku zawodników, jest ich ze 20.
Centrala: Jeśli mamy jeszcze funkcjonariuszy na Corso Casale, niech ją zamkną na tyle, na ile dadzą radę.
Lima 1: Zorientujmy się w sytuacji, a potem przekażę te informacje do Vegi 1.
**14:52,50**
Lima 1: Lima 1, Lima 1 do wszystkich jednostek przy obsłudze wyścigu. Ulice mają być zamknięte, około 30 kolarzy nadal jedzie po Corso Chieri-Reaglie.
**14:54,00**
Vega 90: Mamy zatem dobre dziesięć minut odstępu między jedną a drugą grupą.
**14:54,20**
Lima 1: Właśnie przejechał minibus z tabliczką „Koniec wyścigu”. Minibus właśnie przejechał punkt Reaglie. Powtarzam, punkt Reaglie.
Vega 1: O, znaleźliście w końcu ten minibus z tabliczką „Koniec wyścigu”?
Lima 1: Na końcu wyścigu powinna jechać karetka, a tymczasem ona jedzie tuż za pierwszą grupą.

Vega 1: Lima 1 do Vegi 1. Zachowajmy spokój, nic się nie stanie. Ci z tyłu są przyzwyczajeni, że przyjeżdżają z 15-minutowym opóźnieniem i jadą w normalnym ruchu ulicznym.
**14:55,00**
Vega 1: Tu Vega 1. Lima 1 ma rację, karetka jedzie z inną grupą. Zostawiła ostatnią grupę.
Centrala: Centrala do wszystkich jednostek Mike na Corso Chieri.
[…]
Mike 10: Tu Mike 10, odbiór.
Centrala: Mike 10, czy możecie zwolnić jeden motocykl, żeby podjechał na Corso Chieri 220? Gwardia Medyczna informuje nas o jakimś poważnym wypadku drogowym.
Mike 10: Wypadku drogowym?
Centrala: Tak, potwierdzam, Corso Chieri 220. Pytają, czy da się tam zrobić miejsce pod lądowanie śmigłowca.
[…]
Mike 10: Co powiedziałeś? Teraz słyszę głośno i wyraźnie.
Centrala: Gwardia Medyczna prosi, żebyśmy w miarę możliwości [zakłócenia] Corso Chieri 220 [zakłócenia] poważny wypadek drogowy [zakłócenia] przybywa na miejsce [zakłócenia]…

W całym tym chaosie na Corso Chieri wpuszczono jasnego nissana patrola 743, spory samochód terenowy, który ruszył w stronę wyjazdu z miasta, czyli na spotkanie nadjeżdżających zawodników. Pogoda zdążyła się poprawić. Niebo było czyste, temperatura sięgała 20 stopni, nawierzchnia była sucha. Ogólnie jednak to kręta droga, porośnięta po bokach gęstą roślinnością i obstawiona murkami i ścianami, co powodowało, że widoczność jest tu ograniczona do kilkudziesięciu metrów. Być może na podstawie tego, że kibice jeszcze się nie rozeszli,

kierowca przeczuwał, że coś jest nie tak, bo jechał bardzo powoli, w porywach osiągał 40 kilometrów na godzinę. Pięćset metrów dalej, gdy nissan złożył się w długi lewy zakręt, pojawili się Marco, Secchiari i Dall'Olio. Zjechali na lewą stronę drogi, by trzymać optymalną linię przejazdu przez zakręt. W ten sposób znaleźli się dokładnie przed maską nissana. Kierowca zahamował i zatrzymał samochód, ale było już za późno. Marco pędził w dół (nachylenie wynosiło w tym miejscu 8 procent) i pokonywał właśnie zakręt, więc do ostatniej chwili nie widział pojazdu. On i Secchiari przelecieli przez maskę nissana. Dall'Olio miał ułamek sekundy więcej na reakcję i trafił w lewy przedni błotnik auta. Gdy dynamiczna plątanina ciał i rowerów wreszcie zamarła, okazało się, że samochód wyszedł z tego w miarę bez szwanku. Stłuczona lampa przeciwmgielna, uszkodzona atrapa chłodnicy i kilka wgnieceń na karoserii. Za to rowery zawodników był niemal doszczętnie zniszczone. Carrera podium, na której jechał Marco, miała wygiętą ramę i złamany pedał, kierownica wygięła się z obu stron, złamała się też manetka przerzutki. Tylne koło było krzywe, przedni widelec po prostu urwał się w całości, a przednie koło rozpadło się na kawałki. Kierowca wysiadł z samochodu i nie bardzo wiedział, co ma robić. Chciał pomóc, ale rzucili się na niego pobliscy kibice, więc z obawy przed linczem schował się z powrotem w aucie. Gdy przyjechali ratownicy medyczni, odjechał na bok, żeby zrobić im miejsce. Potem z Pino Torinese nadjechała pierwsza karetka wraz z policją.

Marco trafił do pierwszego ambulansu. Secchiari i Dall'Olio czekali na następny całe dziesięć minut. Dall'Olio ułożono na jedynych noszach, a Secchiari usiadł obok niego. W tym momencie zrozumiał, że ma połamane kości miednicy. Pogięte rowery zostały załadowane na samochód, który ruszył zaraz za karetkami.

Gdy przyjechała policja, pojazdy przestawiono już na pobocze, ale miejsce zderzenia wyraźnie zaznaczała dwumetrowa kałuża krwi. Nie było jedynie wiadomo, czyja to krew. W kilka sekund po tym, jak odjechały karetki, pojawili się zawodnicy z kolejnej grupy i wywrócili się właśnie w tym miejscu. „Niech ją zamkną na tyle, na ile dadzą radę", jak ujął to funkcjonariusz z Centrali. Najwyraźniej nie zamknęli jej wystarczająco szczelnie.

Media na całym świcie informowały o wypadku, jeszcze zanim Marco znalazł się w Centrum Traumatologii Narządu Ruchu (CTNR) szpitala Maria Adelaide. Tomografia komputerowa i rentgen ujawniły skalę obrażeń. Doznał złamania kości piszczelowej i kości strzałkowej w lewej nodze. Do tego w prawym udzie zrobił mu się skrzep i ogólnie cały był poobijany i posiniaczony. O Secchiarim i Dall'Olio niemal w ogóle nie informowano, choć ten pierwszy miał trzy złamania prawej kości biodrowej, a ten drugi – złamanie kości udowej tuż poniżej główki tej kości, był też mocno poobijany i zostawił na asfalcie sporo skóry.

Dall'Olio usłyszał, że z uwagi na charakter obrażeń musi zostać unieruchomiony w wyciągu. Nie można go było ani przewieźć, ani bezzwłocznie zoperować. Zostawiono go na twardym łóżku na oddziale ratunkowym i jakby o nim zapomniano. Gdy tak tam leżał, kątem oka dostrzegł, jak Marco przygotowywano do operacji. Słyszał też ostrą kłótnię między Martinellim a profesorem Massimo Cartesegną, ordynatorem chirurgii w CTNR. Cartesegna tłumaczył mu, że o przewożeniu pacjenta nie może być mowy, nie można też czekać, aż przyjadą inni lekarze. Marco musiał być operowany natychmiast. Dall'Olio opisywał atmosferę jako napiętą, ale Cartesegna nalegał i zabieg doszedł do skutku. W notatkach klinicznych został określony jako „redukcja i osteosynteza

z wykorzystaniem zewnętrznego usztywnienia osiowego". Innymi słowy, lekarze ustabilizowali i połączyli połamane kości za pomocą zewnętrznej płytki.

Kawałek kości wystawał z rany w tylnej części lewej łydki Marco. Cartesegna otworzył tę ranę o kolejny centymetr i zajrzał do środka. Przyczepy mięśniowe zostały oderwane od kości, a w niektórych miejscach także od okostnej, czyli membrany pokrywającej powierzchnię kości. Chirurg usunął cztery duże fragmenty martwej kości, a następnie – dzięki rentgenowskiemu podglądowi „na żywo" na monitorze – ustabilizował złamanie za pomocą zewnętrznej płytki, sprężyny i teleskopowego cylindra, który wciskał urwane kawałki kości na miejsce i trzymał je tam za pomocą pięciu śrub wystających z otworów w skórze.

Po operacji Marco został przeniesiony na oddział ósmy, do łóżka numer cztery. Dall'Olio dostał łóżko numer pięć. Przez cały czas Marco towarzyszył ojciec, który postawił przed szpitalem swojego kampera. Tamtego wieczora mógł być tam również Martinelli, który z pewnością przyjechał w odwiedziny następnego dnia, i zawsze towarzyszył mu mężczyzna z rzadkimi włosami. Dall'Olio uważał, że był to doktor Grazzi. Odwiedzał Marco co najmniej dwukrotnie. Pojawił się również Chiappucci. Gdy leżący w sali obok Secchiari dowiedział się, że Martinelli jest w szpitalu, wkurzył się, że do niego nie chciało mu się zajrzeć. Z wizytą u rannych zawodników pojawili się Roberto Pregnolato i drugi *soigneur*, Stefano Chiodini. Przyszedł Alberto Tomba. Pojawiła się także Sabrina, pochodząca z Toskanii dziewczyna Marco, którą starał się trzymać w cieniu. Jej wizyta zbiegła się w czasie z odwiedzinami Candido Cannavò i Angelo Zomegnana, odpowiednio: dyrektora i redaktora ds. kolarstwa w „La Gazzetta dello Sport". W ich

obecności Marco powiedział Sabrinie, że ma wyjść i już nie wracać, tym samym ze szpitalnego łóżka kończąc ten związek.

Dall'Olio wnioskował, że w pierwszych dniach po operacji Cartesegna martwił się krwiakiem w udzie Marco. Do tego pacjent cały czas tracił krew, więc chirurg rozważał przeprowadzenie drugiej operacji, mającej na celu odsączenie krwi z krwiaka. Żeby zapobiec anemii, Pantaniemu przetaczano krew. W relacjach telewizyjnych pokazywano jego zdjęcia ze szpitala: białe ściany, zielone panele, palce prawej dłoni nadal pokryte małymi skaleczeniami, powierzchowna rana na prawej powiece. „Ciągle trochę mnie boli – powiedział – ale od dwóch dni jest lepiej, ze wszystkim jest lepiej. Psychicznie trochę jeszcze nie domagam, ale wszystko inne idzie względnie dobrze". A 25 października Cartesegna powiedział dziennikarzom: „Stawką w tej walce jest odzyskanie pełnej sprawności. Nadal nie wiadomo, czy będzie mógł się jeszcze ścigać". Marco powiedział coś podobnego swojemu zespołowemu koledze, Marcello Siboniemu: „Nie wiem, czy będę mógł wrócić na rower. Nie wiem, czy będę jeszcze jeździł".

Wypadek, przez który w maju nie wystartował w Giro, wydarzył się w bardzo pechowym momencie, ale nie był poważny. Tym razem jego kariera właśnie zawisła na włosku, a przecież jeszcze nie zaczął realizować pełni swojego potencjału. Nawet mając świadomość, że jego lewa noga już zawsze będzie o siedem milimetrów krótsza niż prawa, rzucił się w wir niemal niewyobrażalnie wymagającego programu rehabilitacji. Zdjęcia przedstawiają go podczas wyczerpujących sesji fizjoterapii, jak na przykład mieli wodę z wielkim ciężarem zamocowanym na szyi. Te obrazy zupełnie przypadkowo symbolizują całą resztę jego życia, bo tak naprawdę wypadek z 18 października 1995 roku miał

towarzyszyć mu do ostatnich dni. Miały mu o nim nieustannie przypominać blizny po śrubach. Do końca życia podciągał nogawkę, by pokazać je innym, a także samemu na nie popatrzeć. To były jego stygmaty, które odróżniały go od innych kolarzy. Jakkolwiek jego przyszłe wyniki wypadałyby na tle wyników rywali, osiągnął je pomimo odniesionych urazów.

Gdy tylko można było go przewieźć, Marco trafił do szpitala San Rocco Ome w Brescii. W ranę wdała się infekcja, co wymusiło przeprowadzenie drugiej operacji. Zewnętrzny stabilizator nogi usunięto mu dopiero 29 lutego 1996 roku. Przedłużającą się rehabilitacją – przynajmniej częściowo – kierował Fabrizio Borra, fizjoterapeuta, którego gabinet mieścił się w Bergamo. Podobnie jak Pregnolato, Borra miał zostać jednym z najbliższych przyjaciół Pantaniego. W Marco było jednak coś, co wzbudzało zazdrość w obu jego powiernikach. Każdy z nich twierdził, że pomógł mu bardziej albo że był z nim bliżej niż ten drugi. Pregnolato wspomina złośliwie, że Pantani rzadko bywał w gabinecie Borry. W czasie rehabilitacji Marco zapuścił wąsy i kozią bródkę. Paolo, jego ojciec, zrobił to samo.

# Rozdział 7.
# Wokół Marco

## GRUDZIEŃ 1995–GRUDZIEŃ 1996

Marco bardzo lubił karaoke. Chodził ze znajomymi do barów karaoke i miał własne urządzenie tego typu. W okresie rekonwalescencji skontaktował się z Gabriele Ansalonim, dziennikarzem muzycznym, żeby zapytać go, w jaki sposób mógłby zorganizować sobie występ na festiwalu w San Remo. Ansaloni zaprosił go do publicznego debiutu wokalnego w programie telewizyjnym *Roxy Bar*. Trzydziestego grudnia, na początku 100. odcinka tego programu, przedstawił go jako „najwybitniejszego kolarza we Włoszech". Marco był bardzo podekscytowany spotkaniem z innym gościem programu, gwiazdą rocka Vasco Rossim, nazywanym po prostu Vasco. Poznali się już wcześniej, podczas akcji charytatywnej w Modenie. Marco, człowiek stroniący od zainteresowania ze strony tłumów, ze zdziwieniem powiedział wtedy do Roberto Pregnolato, że Vasco nosi okulary przeciwsłoneczne nawet w nocy, byle tylko ludzie go rozpoznali. Mimo to był jego fanem: śledził jego karierę od samego początku i nazywał go „jednym z najlepszych we Włoszech".

Pregnolato siedział w pierwszym rzędzie, trzymając kule Marco. Pantani nerwowo rozglądał się po widowni, gdy Ansaloni cytował artykuł prasowy wyliczający jego kolejne urazy i kontuzje: „Dziesięć lat temu upadł, łamiąc sobie obojczyk i prawy nadgarstek. Od tamtej pory dwukrotnie miał obrażenia czaszki, złamał palec lewej stopy, miał też dwa złamane żebra i ranę kolana, którą trzeba było zamknąć

ośmioma szwami. W 1990 roku, jeszcze jako amator, wybił sobie bark oraz nabawił się pęknięcia dwóch kręgów, i to w jednym upadku…”. Tu Ansaloni przerwał i zwrócił się do Marco:

– Jesteś pewien, że jesteś kolarzem, a nie motocyklistą?

– Dobrze, że przestałeś czytać, bo było tego znacznie więcej – odpowiedział z uśmiechem Marco. – To normalne…

– Jakie? Normalne? – wszedł mu w słowo Ansaloni. Marco nie zdążył wrócić do swojej wypowiedzi, a i tak jak na dłoni było widać, jak wielką fascynację wzbudza wśród Włochów, nawet tych którzy nie interesowali się kolarstwem: niski, wyglądający niemalże dziecinnie człowiek, którego wrażliwość i pech stały się przedmiotem zainteresowania i troski całego narodu.

– Moim zdaniem każdy ma jakieś problemy w trakcie kariery. Ja na szczęście dalej tu jestem, w towarzystwie przyjaciół, dobrze się bawię. Uważam, że mam w życiu szczęście. – W tym momencie ludzie na widowni zaczęli go gromko oklaskiwać.

Marco postanowił zaśpiewać utwór *Io vagabondo* rockowej grupy I nomadi. Dopadła go taka sama trema jak podczas pierwszych wywiadów telewizyjnych, a poza tym podkład muzyczny był dla niego zbyt niski. Pomylił tekst pierwszej zwrotki. Utwór powinien zaczynać się słowami: „Pewnego dnia dorosnę i odlecę po niebie życia”, ale zamiast *volerò*, „odlecę”, Marco zaśpiewał *Me n’andrò*, „odejdę”, a nawet „zniknę na niebie życia”. To piosenka o wiecznym dziecku, dla którego dorosłość jest równoznaczna ze śmiercią. Wykonanie było okropne, co Marco tłumaczył słowami:

– Śpiewałem ten utwór ze sto razy w gronie przyjaciół, ale wykonanie go przed widownią…

– …wymaga dużej odwagi – dokończył Vasco zza chmury papierosowego dymu.

– Śpiewajcie, a wszystko minie, jak mówi stare powiedzenie – pocieszał sam siebie Marco.

– To najlepszy sposób konfrontacji z życiem – zgodził się Vasco.

Dyskusję zakończył Ansaloni:

– Marco, nie będę cię pytał o takie rzeczy jak to, czy będziesz gotowy na Giro albo czy będziesz gotowy na Tour. Prędzej czy później będziesz gotowy i znów będziesz wygrywał, tego jestem pewien.

Jego słowa zdawały się znaczyć dokładnie coś odwrotnego, niż miały. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że szanse Marco na występ na festiwalu w San Remo po tym popisie znacznie zmalały, a jeśli chodzi o poważniejsze sprawy, to nadal nie było wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek wróci on do ścigania.

Pewne wnioski na temat życia wewnętrznego Marco można wyciągać na podstawie historii osób, z którymi się identyfikował. Jedną z nich był Vasco Rossi, który również pochodził z Emilii-Romanii (choć bardziej z Emilii niż z Romanii). Początkowo założył lokalne studio nagraniowe i przez cztery lata pracował jako DJ. Potem nagrał dwie płyty, ale żadna nie odniosła sukcesu. W 1979 roku uznano go za niezdolnego do pełnienia służby wojskowej z uwagi na zażywanie narkotyków. W tym samym roku nieoczekiwanie zmarł jego ojciec, a Vasco rzucił się wtedy w wir kariery muzycznej. Podjął świadomą decyzję o odrzuceniu intelektualizmu i politycznego zaangażowania popularnych *cantautori* na rzecz prowokacyjnego, a często wręcz wyraźnie seksualnego ciężkiego rocka. W 1980 roku na antenie włoskiej telewizji wykonał utwór *Sensazioni forti* (Mocne doznania), w którym śpiewał: „Lubię cię, bo jesteś lubieżna, bo jesteś niegrzeczna, bo jesteś kobietą, bo nosisz spódnice i jesteś suką”.

Gdy magazyn informacyjny *Oggi* (Dzisiaj) określił go mianem „obraźliwego i tępego ćpuna chwiejącego się na nogach”, Vasco stał się gwiazdą. Wydany w 1983 roku album *Bollicine* (Bąbelki) sprzedał się w ponad milionie egzemplarzy, a utwór *Vita spericolata* (Brawurowe życie) stał się hymnem włoskiej młodzieży: „Chcę życia pełnego złych manier… życia, w którym będę miał wszystko gdzieś, yeah!”. W kwietniu 1984 roku, gdy Marco miał 14 lat, Vasco został aresztowany za zażywanie i rozprowadzanie narkotyków. Spędził w areszcie trzy tygodnie.

Kolejną postacią, której obecność w życiu Marco pozwala coś wnioskować na temat jego świata wewnętrznego, był Ambrogio Fogar, słynny poszukiwacz przygód, którego przedsięwzięcia często szokowały. W latach 60. wyruszył w samotny rejs dookoła świata. Tłumy zebrały się, gdy w niego ruszał, tłumy zebrały się również kilka miesięcy później, gdy z niego wracał. Nikt nie ma pewności, gdzie Fogar w tym czasie faktycznie był. Potem wyruszył na indywidualny marsz z saniami na biegun północny. Wrócił, głosząc sukces wyprawy, ale trochę za szybko, by jej powodzenie było wiarygodne. W związku z tym pojawiły się domniemania, że cel osiągnął drogą powietrzną. Wielu ludzi twierdziło, że teksty podróżnicze Fogara to zwykłe plagiaty. Ostatecznie dowiódł jednak swojej wybitności po tym, jak po wypadku w rajdzie Paryż–Moskwa–Pekin w 1992 roku został tetraplegikiem i nie mógł oddychać bez respiratora. Mimo to dalej kontynuował podróże, przypięty pasami do koi na pełnomorskim jachcie. Marco, ciągle jeszcze o kulach, odwiedził go w jego mieszkaniu w Mediolanie. Po latach, gdy znalazł się już na życiowym dnie, w stanie delirium napisał do Fogara list.

Trzecią taka osobą był Charly Gaul. Genialny specjalista od podjazdów, często nazywany najwybitniejszym w historii (tak jak później Marco). Urodzony w Luksemburgu Gaul w 1958 roku wygrał Tour de France, a w 1959 roku triumfował w Giro

d’Italia. Po zakończeniu kariery sportowej nie układało mu się jednak w życiu. Gdy jeszcze jeździł, ożenił się z kobietą z wyższych sfer, przez co jej rodzina odcięła ich od pieniędzy. Żona Gaula zachorowała później na nowotwór i zmarła, a były kolarz popadł wówczas w alkoholizm. Otworzył bar, sam wypił większość alkoholu na stanie, sprzedał swoje trofea i medale, by móc pić dalej, a kiedy nie miał już nic, wycofał się ze społeczeństwa i zamieszkał w chatce w lesie na terenie Luksemburga, by przez 35 lat kryć się tam przed światem. W odbudowaniu życia pomógł mu związek z drugą kobietą, z którego urodziła mu się córka. Marco, ciągle jeszcze w trakcie rehabilitacji, usłyszał, że Gaul jest chory. Poprosił Andreę Agostiniego, by nocą zawiózł go na spotkanie z nim. Ostatecznie wszystko ułożyło się tak, że Gaul przeżył Marco, ale w 1996 roku ciągle jeszcze nie było z nim dobrze, a wizyta Pantaniego pomogła mu odmienić życie. Gino Gaioli, ekswiceprezes amatorskiego klubu Giacobazzi, który dobrze znał obu kolarzy, powiedział mi: „Byli sobą nawzajem zafascynowani. Obaj korzystali z ram w tym samym rozmiarze, obaj nie znosili też mediów i dziennikarzy”. Stosunek Marco do gwiazdorstwa był jednak ambiwalentny, a Gaulowi brakowało takiej postawy. Występy na festiwalu w San Remo z pewnością nie były dla niego.

Nie mogąc trenować i ciągle jeszcze niepewny swojej przyszłości, Marco poznał w klubie nocnym w Cesenatico 19-letnią Dunkę, Christine Jonsson. Christine mieszkała we Włoszech od ośmiu miesięcy. Rzuciła szkołę i wyjechała do Włoch, gdzie jej przyjaciółka zarabiała na życie jako *cubista*, egzotyczna tancerka tańcząca w nocnych klubach na specjalnych platformach albo w klatkach (*cubi*). Christine dołączyła do niej w Riccione, na południe od Rimini, a potem jeździła po całym kraju i zarabiała jako tancerka, aż wróciła na

wybrzeże adriatyckie, konkretnie do Cesenatico. Rodzice Marco nie mówią o niej zbyt pochlebnie. Paolo powiedział mi: „Była z kultury nordyckiej, miała zupełnie inne stosunek do rodziny niż my tutaj, w Romanii. Traktowała nas chłodno, a z Marco zadawała się wyłącznie z egoistycznych pobudek".

Cyniczna kobieta, która wyłania się z relacji Paolo, była tak naprawdę tylko 19-letnią dziewczyną, która miała za sobą bardzo trudne dzieciństwo i której udało się od niego uciec. Christine opowiada o matce alkoholiczce oraz współuzależnionym ojcu. Jestem skłonny przypuszczać, że gdy poznała Marco, tak naprawdę w ogóle nie znała samej siebie. Nie mówiła chyba najlepiej po włosku, bo razem z Marco poszła do biblioteki w Cesenatico w poszukiwaniu materiałów, które pomogłyby jej podciągnąć się z języka. Tonina poznała ją w swoim kiosku z *piadine* i opowiada o tym z nieskrywanym wstrętem: „Pamiętam to tak, jakby to było wczoraj. Wysiadła z nim z samochodu. Miała głowę wygoloną po bokach aż dotąd – pokazuje miejsce nad uszami i dojeżdża palcami niemal do czubka głowy – a tutaj miała taką kępkę pofarbowaną na najróżniejsze kolory". Nawet dziś nie chce nazwać tej fryzury irokezem. „Miała na sobie wielkie żółte spodnie, całe brudne aż dotąd, koszulkę podwiązaną w tym miejscu, *czarne paznokcie*. – W tej konkretnej chwili mina Toniny sugeruje, że może w każdej chwili zwymiotować. – Wprowadził ją do kiosku, dałam jej coś do jedzenia, a potem ze śmiechem zapytałam Marco: »Gdzieś ty znalazł coś takiego? Gdzie ona była z takimi łapskami? Grzebała na jakimś wysypisku śmieci?«".

Jakieś trzy lub cztery miesiące po tym, jak się poznali, Christine wprowadziła się do Marco i jego rodziców do mieszkania przy Viale dei Mille. Wtedy musiała bezpośrednio zmierzyć się z relacją między włoskim mężczyzną a jego matką. Z ankiety przeprowadzonej na początku lat 90. wynika, że jedna

trzecia wszystkich żonatych mężczyzn widywała się ze swoimi matkami codziennie, a kolejnych 27,5 procent spotykało się z nimi częściej niż raz w tygodniu. Jeśli chodzi o Włochów w stanie wolnym, to w grupie takich mężczyzn powyżej 35. roku życia siedmiu na dziesięciu mieszkało z rodzicami, podobnie jak jeden na czterech po rozwodzie. Trzeba jednak przyznać, że we wrogim nastawieniu Toniny nie chodziło wyłącznie o matczyną nadopiekuńczość; nigdy nie podjęła wysiłku przygotowania samej siebie na rozstanie z Marco, więc jego nowa dziewczyna była dla niej zagrożeniem. Christine przez sześć miesięcy dawała odpór determinacji Toniny, aż w końcu się wyprowadziła. Żeby móc spędzać czas z Marco, zrezygnowała ze swojego nocnego zajęcia i znalazła sobie pracę w lodziarni.

Marco był już właścicielem kawałka ziemi w Sala, pięć kilometrów w głąb lądu od Cesenatico. Zlecił tam budowę dużej willi, z której część miała należeć do niego, a w drugiej części mieli zamieszkać jego rodzice. Kiedy dom został ukończony, Christine wprowadziła się do niego ponownie, bo od Toniny dzieliła ją ściana. Matka kolarza opowiada dalej: „Nigdy jej nie rozumiałam. Gdy tutaj zamieszkaliśmy [ma na myśli willę] było mi trudno, bo on zamieszkał z tamtej strony – mówi, pokazując ręką ścianę dzielącą budynek. – Nie powiem, żeby ta sytuacja mi się podobała, ale był już duży i chciał być niezależny. Było mi jeszcze trudniej, gdy wprowadziła się ona, bo kompletnie nic nie robiła. W zlewie wiecznie leżała sterta brudnych naczyń. W ogóle nie zajmowała się domem”.

Pewnie najtrudniejsze i najbardziej bolesne było nie to, że o Christine nikt nigdy nie powie, że to tradycyjna *mamma* z Emilii-Romanii, ale to, że nawet nie próbowała aspirować do standardów Toniny. Znacznie później – a w opowieściach matki Marco przeskoki chronologiczne sięgają czterech, pięciu,

sześciu lat – pojawiły się podejrzenia, że Christine pomaga Marco ukrywać jego autodestrukcyjne zachowania przed rodzicami. „Gdy widziałam wiecznie zamknięte okiennice, nie mogłam jej nie zapytać: »Czy z Marco wszystko w porządku? Gdzie on jest?«, a ona odpowiadała: »Tak, tak, wszystko w porządku«, a przecież w porządku nie było. Może gdybym wcześniej zrozumiała, co się dzieje…”. Nagle straciłem pewność, czy choć przez chwilę rozmawialiśmy o tym, jak Marco i Christine się poznali. W pamięci Toniny wydarzenia z przeszłości są zniekształcone tymi, które nastąpiły później. Śmierć jej syna jest zdecydowanie zbyt silnym filtrem, by mogła spokojnie wracać myślami do tego, co działo się wcześniej.

Willa w miejscowości Sala to budynek przeciekawy architektonicznie. Ściana bez drzwi oddzielała część przeznaczoną na większe mieszkanie Marco od mieszkania jego rodziców. Co jeszcze bardziej zaskakujące, w swojej sypialni Pantani kazał zamontować drzwi antywłamaniowe. Wiele lat później miał zamykać się w tej bezpiecznej przestrzeni i urządzać sobie ucztę z olbrzymią ilością kokainy, kiedy jednak drzwi wstawiano, świadczyły one raczej tylko o jego paranoicznej naturze.

W okresie rehabilitacji po wypadku kontaktowali się z nim przedstawiciele wielu zespołów. Giancarlo Ferretti, były zawodnik klubu Rinascita Ravenna, a obecnie dyrektor MG-Technogym, wspomina: „Po wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn Marco dał mi znać, że chciałby dla mnie jeździć. Spotkaliśmy się trzykrotnie, ale nie doszliśmy do porozumienia w kwestiach finansowych. Oczekiwał sumy, która w jego przypadku była zupełnie zrozumiała, ale ja nie mogłem mu jej zagwarantować, bo wiedziałem, jakim dysponuję budżetem. Pamiętam, że zgłosił się do mnie, bo jako jedyny przedstawiciel potencjalnie zainteresowanego zespołu nie prosiłem go

o zdjęcia rentgenowskie i nie planowałem poddawać go badaniom lekarskim, żeby sprawdzić, czy nadal jest materiałem na mistrza. Tylko się uśmiechnąłem i stwierdziłem, że nie mam najmniejszych wątpliwości, że znowu będzie wybitnym kolarzem". Marco poszukiwał dyrektora sportowego, który uwierzy w niego w ciemno i długoterminowo, a jednocześnie poszukiwał sponsora z takim samym podejściem i głębokimi kieszeniami. Już bardzo niedługo miało mu się powieść.

Luciano Pezzi, powszechnie nazywany Stano, urodził się 7 lutego 1921 roku w Russi, 15 kilometrów na zachód od Rawenny. Z wykształcenia był mechanikiem, ale ostatecznie został zawodowym kolarzem, jednym ze znakomitych *domestiques* Fausto Coppiego, tyle że nie w jego zespole klubowym, a w reprezentacji narodowej startującej w Tour de France. Gdy w 1959 roku zakończył karierę zawodniczą, został dyrektorem sportowym i w 1965 roku poprowadził Felice Gimondiego do zwycięstwa w Tour de France. Pezzi był również biznesmenem. Jego firma handlowała urządzeniami elektrycznymi, a prowadził ją ze wspólnikiem, Romano Cennim. Gdy Pezzi odszedł ze stanowiska dyrektora sportowego zespołu Salvarani, w barwach którego Tour wygrał Gimondi, wziął się do kierowania jedną z firm, których razem z Cennim był współwłaścicielem, Germanvox-Wega. Później prowadził zespół sponsorowany przez inną należącą do nich firmę, Mercatone Uno. Między tymi dwoma projektami, w latach 70., Pezzi wspomagał klub Rinascita Ravenna. To między innymi dzięki jego wsparciu Giancarlo Ferretti, zawodnik klubu Rinascita w latach 1960—1964, został później legendarnym dyrektorem sportowym.

W 1994 roku 73-letni wówczas Pezzi zadzwonił do Pino Roncucciego. „To było w lipcu albo sierpniu. Pezzi wiedział, że

kontrakt Marco wygasa na koniec roku, więc zadzwonił do mnie z pytaniem, czy nie pomógłbym mu przekonać Pantaniego, żeby ten nową umowę podpisał z nim. Powiedziałem mu, że nad tym pomyślę. Gdy Marco i jego ojciec zapytali mnie o zdanie, odparłem: »W Carrerze jesteś szczęśliwy, a zespół pomaga ci się rozwijać. Przeanalizuj obie oferty, a potem podejmij decyzję, ale nie rezygnuj z pieniędzy, bo pieniądz to jest pieniądz«. Ostatecznie Carrera złożyła mu taką ofertę, że został".

Osiem miesięcy później, po wypadku z Santarcangelo z maja 1995 roku, Pezzi odwiedził Marco w jego domu. Firma Mercatone Uno chciała wrócić do sponsorowania kolarstwa, ale tylko pod warunkiem, że to on zostanie liderem ich zespołu. Cierpliwe zaloty Pezziego zostały wreszcie skonsumowane z początkiem kwietnia 1996 roku, gdy Marco zgodził się jeździć w Mercatone Uno. Media donosiły w tym czasie, że doszło do nieodwracalnego zerwania relacji między Pantanim a Boifavą i Chiappuccim.

W tym czasie Marco wrócił już do treningów – 23 marca 1996 roku sfilmowano go, jak po raz pierwszy od październikowego wypadku wsiada na rower. Wystąpił jeszcze w barwach Carrery. Powiedział wtedy na wizji: „Zdążyłem zapomnieć, jak cudownie jest jeździć na rowerze". Był na tyle popularnym sportowcem, że w taki czy inny sposób musiał zostać uwzględniony w relacjach telewizyjnych z Giro. Mediaset, stacja nadająca ten wyścig, nakłoniła go, by wiosną wziął udział w nagraniu muzycznego motywu przewodniego wyścigu. Dzięki umiejętnościom zdobytym w ramach karaoke Marco przyćmił swoich rywali w tym wyścigu, ani razu nie obracając korbą.

W 1996 roku Marco Ceriani, sponsor i dietetyk Pantaniego, kilkukrotnie odwiedzał Rimini, by promować swoje suplementy diety. Marco pojawił się gościnnie na Festiwalu Dobrej Kondycji, organizowanym w czerwcu w Rimini. Ceriani i jego ludzie zamieszkali wtedy w hotelu Residence la Rose przy samej promenadzie, gdzie dysponowali przestronnymi pokojami i mogli w spokoju rozmawiać o pracy. Potem, innym razem, Marco spotkał się tam z Cerianim. Jeśli to miejsce zapadło mu jakoś w pamięć, to powinno mu się ono kojarzyć pozytywnie. Teraz wiedział już, że tamtego dnia na Superdze jego kariera sportowa nie dobiegła końca, wznowił treningi i na początku lata w gronie sponsorów i wielbicieli optymistycznie spoglądał w przyszłość, czyli na swój powrót do ścigania.

W sierpniu Marco pojawił się na swoim pierwszym wyścigu w Nove Colli. Była to amatorska impreza, której trasę poprowadzono najtrudniejszymi podjazdami w okolicach Cesenatico. Marco pojawił się na starcie przebrany za kobietę, w czarnej peruce i obcisłym kostiumie dla triatlonistów. Nikt nie miał powodów, by przyglądać mu się nadmiernie uważnie, przynajmniej dopóki nie wjechali na pierwsze wzgórza i ich „rywalka” bez problemu odjechała najmocniejszym amatorom w prowadzącej grupie. Później Marco żartował sobie w dialekcie z Savinim: „Nie poznałeś mnie, co?”. Pojawiał się również na innych półoficjalnych wyścigach, w których z pewnością dostawał pieniądze za to, że stawał na starcie. Były to: duatlon w Cesenatico, pętla w Misano Adriatico, kryterium w Arezzo. Pod koniec sezonu wrócił do zawodowego ścigania się w Hiszpanii, gdzie zajął 15. miejsce w Llodio Grand Prix, przejechał też dwa pierwsze etapy wyścigu Vuelta a Burgos.

Po raz ostatni jako zawodnik teamu Carrera wystartował w listopadzie 1996 roku w wyścigu charytatywnym, którego współorganizatorem był Roberto Pregnolato. Chodziło

o zebranie środków na pomoc ofiarom trzęsienia ziemi, które 15 października nawiedziło Modenę i Reggio Emilię. W imprezie startowały trzyosobowe drużyny złożone z jednego amatora, jednego zawodowca i jednego dziennikarza. Trzykilometrową czasówkę wygrała drużyna Marco w składzie: Pantani, Pregnolato i Francesco Conconi.

Pod nieobecność Marco w środowisku kolarskim pojawiało się coraz więcej podejrzeń o powszechne stosowanie dopingu hormonalnego. Szczególnie kontrowersyjna była nowa substancja – genetycznie zsyntetyzowana „kopia" erytropoetyny, hormonu regulującego wytwarzanie czerwonych krwinek. W maju 1996 roku, podczas Tour de Romandie, wyścigu etapowego biegnącego przez francuskojęzyczne kantony Szwajcarii, zawodnicy odmówili współpracy z grupą kanadyjskich badaczy antydopingowych, którzy na potrzeby prowadzenia badań naukowych chcieli pobrać od nich próbki krwi. Potem przygotowano dokumenty gwarantujące anonimowość uczestników badania oraz dokumenty zabraniające nieautoryzowanego wykorzystania próbek i projekt ruszył wreszcie podczas czerwcowego Tour de Suisse. Przed etapami czwartym i siódmym próbki krwi do badań oddało 77 zawodników. Giro d'Italia ruszało już w warunkach sporych kontrowersji. Jakiś tajny informator doniósł Nucleo Antisofisticazione e Sanità (NAS) – oddziałowi *carabinieri* specjalizującemu się w dochodzeniach w sprawach nieprawidłowości związanych z lekami – że w związku z Giro zespoły powszechnie stosują rekombinowaną ludzką erytropoetynę (r-EPO) oraz inne substancje oparte na hormonie wzrostu. Prokurator generalny prowincji Arezzo, przez którą prowadziła trasa wyścigu, zatwierdził przeszukanie u wszystkich osób związanych z wyścigiem, gdy tylko po trzech

pierwszych etapach w Grecji zawodnicy wjechali na teren podległy jego jurysdykcji. Przeszukania nigdy się nie odbyły. Dowiedzieli się o nich dziennikarze „La Gazzetta dello Sport”, opublikowali te plotki i tak udaremnili cały nalot.

W normalnych warunkach EPO powstaje w ludzkich nerkach, a za kontrolowanie produkcji tego hormonu odpowiada mechanizm wykrywający spadek poziomu tlenu we krwi. EPO krąży we krwi, aż napotka w zagłębieniach kości komórki progenitorowe, nazywane też prekursorowymi, wyposażone w specjalne receptory erytropoetyny. Gdy dojdzie do ich połączenia, komórki progenitorowe zaczynają się dzielić. Tak oto powstają dziesiątki komórek progenitorowych, z których powstają potem setki czerwonych krwinek. W ostatnich dwóch lub trzech dniach, zanim niedojrzałe jeszcze czerwone krwinki trafią do krwioobiegu, receptory EPO znikają i są zastępowane nowymi receptorami, dostosowanymi do wychwytywania transferryny, białek przenoszących żelazo. Kolejne białko, „globina”, łączy się z czterema cząsteczkami hemu, czyli żelazoporfiryny, i tak oto powstaje hemoglobina (Hb). Każdy hem zawiera cząsteczkę żelaza, które może łączyć się z tlenem za każdym razem, gdy czerwona krwinka pojawia się w płucach. Następnie przenosi tlen do tkanek i tam go uwalnia. Czerwone krwinki stanowią zatem coś na kształt floty transportującej paliwo ze źródła w płucach do pieców w mięśniach.

Rekombinowana postać erytropoetyny, r-EPO, jest podawana za pomocą zastrzyku podskórnego, do wykonania którego wystarczy osoba z wykształceniem pielęgniarskim. U pacjentów ze spowodowanym chorobą niskim poziomem EPO rekombinowana postać tego hormonu uzupełnia erytropoetynę fizjologiczną. U znakomicie przygotowanych sprawnościowo sportowców dodatkowa porcja r-EPO atakuje komórki

progenitorowe, które zaczynają produkować takie ilości czerwonych krwinek, że krew osiąga barwę głębokiego szkarłatu – zamienia się w dopracowany technologicznie żel zdolny transportować olbrzymie ilości tlenu, jednego ze składników paliwa mięśniowego ATP (trifosforanu adenozyny). Do produkcji ATP *nie potrzeba* tlenu, ponieważ może on być wytwarzany *anaerobowo*, ale bez tlenu wytwarzanie ATP skutkuje powstawaniem niepożądanego produktu ubocznego: kwasu mlekowego, który potrafi w krótkim czasie sparaliżować mięśnie. Wysiłek anaerobowy powoduje niedotlenienie, objawiające się gwałtownym nabieraniem powietrza w celu uzupełnienia ATP w mięśniach z wykorzystaniem tlenu pobieranego z powietrza. Stosowanie r-EPO w celach dopingowych pozwala na znacznie większy wysiłek przez znacznie dłuższy czas, i to *bez* niedotlenienia i *bez* odkładania się w mięśniach kwasu mlekowego. To trochę tak, jak gdyby po autostradzie zaczęła jeździć dodatkowa flota ciężarówek dostarczających dodatkowe ilości paliwa do pieców, rozgrzanych teraz do czerwoności.

Po raz pierwszy naukowcy wyizolowali erytropoetynę w 1977 roku. Pierwszy patent na r-EPO przyznano w roku 1984, a w europejskim urzędowym spisie leków substancja ta pojawiła się w roku 1988. W 1994 roku podejrzewano, że w kolarstwie r-EPO stosuje się powszechnie. Całe zespoły kolarskie niemal z dnia na dzień stawały się znacznie lepsze od innych. Podczas jednodniowego wyścigu Flèche Wallonne trzech kolarzy teamu Gewiss-Ballan – Moreno Argentin, Giorgio Furlan i Jewgienij Bierzin, rywal Marco w Giro – wyprowadziło równoczesny atak i wygrało tę imprezę. Lekarz ich zespołu, doktor Michele Ferrari, należał do byłych uczniów Conconiego. Greg LeMond, triumfator Tour de France w latach 1986, 1989 i 1990, uważa, że EPO pojawiło się na tym wyścigu już w 1991

roku. Jak twierdzi: „W pamięć zapadł mi w szczególności etap z Saint-Brieuc do Nantes. Średnia prędkość wyniosła 31 mil na godzinę [50 kilometrów na godzinę], a przecież dwukrotnie zatrzymały nas pociągi. W peletonie coś się zmieniło". LeMond zaczynał ten wyścig w znakomitej formie i celował w zwycięstwo. Próbując utrzymywać prędkości, które nawet jemu wydawały się nadzwyczajnie wysokie, zachorował i musiał się wycofać.

Wielkie ilości tlenu dostępnego dzięki r-EPO pozwalały zawodnikom na dopingu na wielokrotne powtarzanie wysiłku anaerobowego. Umożliwiały im na przykład dynamiczne przyspieszenia. Za każdym razem krew ponadstandardowo bogata w tlen uzupełniała zapasy ATP w mięśniach. Średnie prędkości osiągane na trasie zauważalnie wzrosły. W kolarstwie przestały występować martwe okresy, w których zawodnicy regenerowali siły. W sumie były to znakomite wieści dla kibiców i dla samych sportowców, przynajmniej za dnia. Krew o konsystencji zbliżonej do żelu znakomicie nadaje się do maksymalizowania wydajności organizmu, ale jest absolutnie nieodpowiednia do odpoczynku. W nocy, gdy serce zwalnia, już sama gęstość tej krwi staje się problemem. Można to porównać do sytuacji, w której wielka flota samochodów ciężarowych zwalnia na autostradzie do żółwiej prędkości i tworzy się katastrofalny w skutkach zator. Sportowiec biorący EPO musi spać z monitorem pracy serca, który włączy alarm za każdym razem, gdy puls zawodnika spadnie poniżej określonego poziomu, na przykład 35 uderzeń na minutę. Gdy alarm się rozlegnie, taka osoba musi się obudzić i zacząć ćwiczyć, żeby podnieść sobie tętno. W przypadku kolarzy oznacza to, że po całym dniu walki na trasie etapu muszą zasuwać po nocach na trenażerze, żeby przeżyć do rana.

Podawane w odpowiedni sposób pacjentom z anemią r-EPO nie wywołuje zauważalnych skutków ubocznych ani nie jest toksyczne. U sportowców na dopingu natomiast reagują detektory tlenu w organizmie, które wysyłają do nerek sygnał powodujący całkowite wstrzymanie naturalnej produkcji EPO. Ponowne uruchomienie fizjologicznego wytwarzania erytropoetyny może potrwać całe tygodnie. Nie ma żadnych oficjalnych wyników badań nad wpływem stosowania r-EPO na pracę serca, ale śmierć kilku holenderskich sportowców z początków lat 90. przypisywano właśnie stosowaniu tej formy dopingu. Przełom nastąpił w momencie, gdy lekarze specjalizujący się w sztucznym wspomaganiu organizmu znaleźli sposób na istotne rozrzedzenie krwi po prostu za pomocą aspiryny.

Sportowcy i ich lekarze starają się sztucznie zwiększać wydolność organizmu już od czasów starożytnych. Skuteczne substancje tego typu pojawiły się zapewne w czasie drugiej wojny światowej, wraz z wynalezieniem amfetaminy. Następnie pojawiły się sterydy anaboliczne, a wśród nich najlepiej znany Dianabol. Wraz z rozwojem inżynierii genetycznej i opracowaniem rekombinowanych hormonów białkowych, których nie dało się odróżnić od tych występujących naturalnie, w historii stosowania dopingu otworzył się zupełnie nowy rozdział. Mimo to brakowało wiarygodnych badań nad stopniem przewagi uzyskiwanej dzięki r-EPO. Pojawiły się one dopiero pod koniec lat 90. Badań brakowało z uwagi na problemy natury etycznej: ilości substancji przyjmowane przez sportowców znacznie przekraczały dawki, jakie uznano by za bezpieczne w ramach kontrolowanych eksperymentów. W czerwcu 2000 roku w czasopiśmie branżowym „Haematologica” australijscy badacze zaczęli publikować artykuły, w których pisali o nowej metodzie wykrywania r-EPO

oraz określania jego wpływu na wyniki sportowców. W ramach pierwszego dużego eksperymentu naukowcy podzielili biorących w nim udział sportowców (żaden z nich nie był członkiem żadnej reprezentacji narodowej, wszyscy podpisali zgody i oświadczenie, że przekazano im wszystkie możliwe informacje) na trzy grupy. Grupa pierwsza otrzymywała zastrzyki z 50 U/kg trzy razy w tygodniu przez pięć tygodni, do tego 100 mg żelaza raz w tygodniu oraz placebo rzekomo będące żelazem w tabletkach. Druga grupa dostawała r-EPO w takich samych dawkach, placebo mające uchodzić za żelazo w zastrzykach oraz prawdziwe żelazo w tabletkach. Trzecia zaś otrzymywała placebo w zastrzyku i placebo w tabletkach. Była to próba podwójnie ślepa, to znaczy ani osoby podające substancje, ani sportowcy je przyjmujący nie wiedzieli, kto co dostaje.

Już w trzecim tygodniu eksperymentu w obu grupach otrzymujących r-EPO stwierdzono istotny wzrost dwóch wartości, których nie stwierdzono w grupie otrzymującej wyłącznie placebo. Pierwszą z tych wartości była liczba hematokrytowa albo w skrócie po prostu hematokryt (Hct), skomplikowane słowo, które jednak wkrótce stało się znakomicie znane wszystkim kolarzom i fanom kolarstwa. W XIX wieku nazwa „hematokryt” odnosiła się do szklanej rurki z otworem, w której odwirowywało się krew w celu skoncentrowania czy też „upchania” czerwonych krwinek w jednym końcu naczynia. Wysokość nagromadzonych w ten sposób czerwonych krwinek wyrażano jako odsetek całkowitej wysokości badanej krwi w rurce i tak otrzymywano wskaźnik nazywany „objętością upchanych czerwonych krwinek”. Z czasem określenie *hematokryt* przestało być używane jako nazwa szklanego naczynia i zaczęło odnosić się do samego pomiaru. W ramach klasycznego testu, opracowanego w 1929

roku przez amerykańskiego lekarza Maxwella Wintrobe'a, płytki krwi i białe krwinki tworzą pierścienie tuż ponad czerwonymi krwinkami. Nie uwzględnia się ich w pomiarze. Australijscy badacze, którzy podawali ochotnikom r-EPO, zauważyli średni wzrost hematokrytu o sześć punktów. Badania wykonane cztery tygodnie po zakończeniu podawania r-EPO wykazały, że hematokryt utrzymywał się jeszcze trzy punkty powyżej poziomu bazowego.

Drugim parametrem, w przypadku którego zaszła zmiana, była hemoglobina (Hb), mierzona jako g/dl krwi pełnej. Hematokryt i hemoglobina były nadal istotnie podwyższone nawet po 21 dniach od zakończenia pięciotygodniowej terapii. Skutki okazały się zatem bardzo długotrwałe. Na koniec terapii w grupach otrzymujących r-EPO stwierdzono istotny wzrost masy hemoglobiny, głównego wskaźnika efektywności dostarczania tlenu, o siedem do 12 procent, a maksymalnej konsumpcj tlenu – o sześć do siedmiu procent. Stwierdzone u uczestników badania wzrosty wskaźników kojarzonych z możliwościami przyswajania i konsumowania tlenu wykazały, że terapia z wykorzystaniem r-EPO daje sportowcom istotną przewagę.

Sześć do siedmiu procent, może trochę więcej – wydaje się, że to nie jest drastyczna zmiana, no ale wyobraź sobie, jak wygląda wygrana w biegu na dziesięć tysięcy metrów z przewagą sześciu procent nad rywalem albo co w praktyce oznacza siedem procent przewagi po 200 kilometrach wyścigu kolarskiego. Można też bezpiecznie założyć, że autorzy eksperymentu nie mogli zagęścić krwi uczestników do poziomu zagrażającemu ich życiu, więc stosowali umiarkowane ilości r-EPO przez stosunkowo krótki czas. Niektórzy sportowcy za szansę na zwycięstwo są gotowi zapłacić każdą cenę, więc sześć

czy siedem procent w laboratorium może dać w prawdziwej rywalizacji dziesięć albo i 12 procent.

Zimą 1996 roku Giovanni Gibosini, konsultant ds. sponsoringu, który pracował w zespołach Marco od początku jego kariery zawodowej, zaprosił go do San Severino nieopodal Maceraty w regionie Marche. Gibosini, mężczyzna o tubalnym głosie i niezmordowany koordynator spotkań oraz wydarzeń, w rozmowie ze mną powiedział: „Karierę Marco śledziłem od momentu, gdy przeszedł na zawodowstwo, aż do samego końca. Stwierdził, że lubi polować, więc zaprosiłem go na polowanie. On i kilku innych kolarzy przyjeżdżali do mnie w grudniu i styczniu 1996, 1997 i 1998 roku. W zielonym stroju myśliwskim Marco wyglądał bardzo fachowo. Ze strzelbą obchodził się po mistrzowsku i nader dokładnie, był perfekcjonistą. Robiliśmy zakłady, a Marco podczas jednego wyjścia zabijał sześć czy siedem bażantów. Pewnego razu wspinaliśmy się na piechotę. Szedł dziesięć metrów przede mną. Nagle pod moimi nogami pojawił się bażant, Marco gwałtownie odwrócił się w moją stronę, a ja natychmiast rzuciłem się w bok. Od tamtego dnia zachowywałem już dużą ostrożność. Podkreślam jednak, że był mistrzem polowania, moim zdaniem był nawet lepszy od ludzi, którzy robią to codziennie. Czuł się tam bardzo szczęśliwy. Szliśmy wiele kilometrów, a potem zatrzymywaliśmy się w Trattoria da Marisa w Stigliano, gdzie zamawiał *cappellacci al tartufo* [makaron z truflami], a potem szliśmy polować dalej, aż do zmroku”.

Gibosini zapamiętał Marco jako człowieka zrelaksowanego, ekstrawertyka: „Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział w nim nieśmiałość. Zawsze chętnie się śmiał i żartował. Przez niemal pięć lat co roku w Morrovalle organizowałem

uroczystość »Co Roku Mistrz«, wtedy zapraszałem na poczęstunek od 100 do 150 osób. Raz pojawił się u mnie Chiappucci, kiedyś był Alberto Tomba. Marco przyjechał po tamtym trzęsieniu ziemi w Umbrii [27 września 1997 roku], miał prezenty dla dzieciaków z Colfiorito di Foligno. Wieczorem zjedliśmy kolację na jego cześć. Marco i jego znajomi korzystali z hotelu San Cristino w Morrovalle. Nigdy nie poprosił mnie choćby o lira, nawet o zwrot kosztów paliwa. Nigdy".

# Rozdział 8.
# Z powrotem na szczyt

## 1997 ROK

W 1997 roku Marco wrócił do ścigania z nową ksywą, „Il Pirata", „Pirat", oraz z nowym dodatkiem, którym była bandana. Ludzie z jego otoczenia nadal się spierają, skąd się one wzięły. Roberto Pregnolato twierdzi, że ukuł tę ksywkę podczas jednego z wywiadów, a pierwszą bandanę zrobiła jego siostra Oriella, znakomita krawcowa, by chronić świeżo ogoloną głowę Marco przed słońcem. Tonina utrzymuje, że Marco nie mógł znaleźć czapki kolarskiej pasującej na swoją małą głowę, więc zaproponowała mu, żeby użył chusteczki. Stąd miał się wziąć pomysł na bandanę. Yuri Scarpellini, artysta, który wymyślił dla Marco logo Pirata, mówi, że wydrukował projekt na kawałku materiału, a kolarz założył to sobie na głowę. Na pewno wiadomo tylko jedno: jako że Marco rzadko korzystał z kasku albo z „oficjalnej" bandany, mocno irytował obu dostawców tego sprzętu.

Zmienił się również charakter jego związku z Christine. Często wyjeżdżał z domu na wyścigi, a tam potrzebował samotności, by móc się skoncentrować. Gdy wracał, był zwykle tak zmęczony, że po prostu padał na łóżko. To on zaproponował, by Christine zaczęła pracować w prowadzonym przez Toninę kiosku z *piadine*. Być może liczył, że dwie najważniejsze kobiety w jego życiu w końcu się dogadają. Być może chodziło również o jakąś formę nadzoru, bo Il Pirata bywał zazdrosny.

Zmieniło się również kolarstwo. Na podstawie próbek krwi pobranych w 1996 roku podczas Tour de Suisse średni poziom hematokrytu ustalono na 46,11 procent. Według podręczników, ta wartość mieści się w normie: w *Clinical Diagnosis and Management by Laboratory Methods* autorstwa Todda i Sanforda czytamy, że normę wyznacza przedział od 40 do 54 procent, a w *Clinical Haematology* Wintrobe'a czytamy, że wynosi ona od 41 do 51 procent. Były to jednak dane zawyżone, prawdopodobnie dlatego, że ustalono je na próbie tylko 77 osób. Dane zebrane przez Komisję Naukowo-Antydopingową przy Włoskim Komitecie Olimpijskim (CSAD) wykazały, że średni hematokryt w grupie 500 sportowców z czołówki wyniósł 42 procent. Dane uzyskane podczas Tour de Suisse tylko dodatkowo wzmogły podejrzenia co do powszechnego stosowania r-EPO w kolarstwie zawodowym.

Dwudziestego czwartego stycznia 1997 roku, w porozumieniu z kolarzami, komisja antydopingowa działająca przy Międzynarodowej Unii Kolarskiej (UCI, Union Cycliste Internationale), organizacji regulującej światowe kolarstwo, podjęła decyzję, która w przyszłość miała się okazać decydująca dla Marco. Wobec braku możliwości bezpośredniego wykrywania r-EPO w organizmie wprowadzono obowiązkowe badania krwi i sztywny próg dopuszczalnej wartości hematokrytu na poziomie 50 procent (47 procent w przypadku kobiet). Zawodnicy z hematokrytem powyżej tego poziomu mieli być zawieszani na 15 dni. Po tym okresie zawodnik musiał poddać się drugiemu testowi i jeśli hematokryt spadł mu do dopuszczalnego poziomu, mógł wrócić do ścigania. Procedurę tę nazywano środkiem zdrowotnym, przynajmniej oficjalnie. Żaden kolarz nigdy nie powiedział na głos, co myśli o tym limicie, ale z pewnością wiele osób poważnie obawiało

się rosyjskiej ruletki, do zabawy w którą zmuszali ich zespołowi lekarze.

Dwa lata później, w Madonna di Campiglio, Marco miał nie zmieścić się w tym limicie. Wstrząśnięty nagłym zawieszeniem, podczas telewizyjnego wywiadu prowadzonego przez włoskiego dziennikarza Gianniego Minę, miał opowiedzieć o przebiegu spotkania, na którym zawodnicy zgodzili się na tamtą decyzję:

*MARCO Pamiętam, że to my, kolarze – nikt inny, ani federacja, ani CONI, nikt inny tylko my – to my podjęliśmy decyzję, z własnej nieprzymuszonej woli, że się temu poddamy… Pamiętam, że obecny był Bugno, był Fondriest, był Chiappucci… Postanowiliśmy, że poddamy się tej kontroli, że będziemy dostępni dla kontrolerów. Tak oto powstało całe to badanie krwi.*

*MINÀ Czyli jeszcze zanim stało się to faktem w innych dyscyplinach sportu?*

*MARCO Tak. Naszą gotowością udowodniliśmy, że chcemy rozprawić się z dopingiem. Ustalono wtedy protokoły, co być może było dyskutowane, no ale przecież my, sportowcy, nie jesteśmy biologami, nie jesteśmy naukowcami, by wiedzieć, jakie wartości są bezpieczne dla zdrowia. Jacyś lekarze uznali, że liczba hematokrytowa powyżej 50 jest szkodliwa, a my, co oczywiste, po prostu to uznaliśmy, no bo przecież nie byliśmy ekspertami w tej dziedzinie.*

Podobnie jak Marco, Bugno, Fondriest i Chiappucci znajdowali się pod opieką medyczną pracowników kierowanego przez Francesco Conconiego Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych przy Uniwersytecie w Ferrarze. W rozmowie ze mną Conconi powiedział, że ten 50-procentowy limit był jego

pomysłem. Warto podkreślić, że rozważał on wprowadzenie znacznie wyższego dopuszczalnego poziomu hematokrytu. Dwudziestego czwartego czerwca 1996 roku Conconi przefaksował Heinowi Verbruggenowi, prezydentowi UCI, następującą wiadomość:

*Jestem zdania, że w oczekiwaniu na opracowanie metod wykrywania komercyjnego EPO w moczu UCI może podjąć inne działania. UCI mogłaby podczas losowo wybranych wyścigów kolarskich zorganizować badania zawodowców i amatorów, by ustalić ich poziom hematokrytu. Można to zrobić szybko, niedrogo i wiarygodnie. Proponuję również, aby zawodników przekraczających jakiś ustalony poziom hematokrytu (na przykład 54 procent) uznać za zagrożonych wystąpieniem stanów tromboembolicznych i tym samym czasowo wykluczać z rywalizacji. Takie wykluczenie należałoby uznać za zdrowotny środek zapobiegawczy, a nie dyskwalifikację sportowca.*

Marco rozpoczął sezon w Hiszpanii. Siódmego marca zajął drugie miejsce na drugim etapie Vuelta a Murcia. Zaraz po powrocie do Włoch pojechał do Mediolanu, by być obecnym przy przedłużaniu kontraktu Marco Cerianiego z zespołem. Razem z nim samochodem jechał Davide Cassani, menedżer ds. marketingu w zespole Mercatone Uno i były kolarz, urodzony w Faenzie. Cassani zadzwonił do Cerianiego i powiedział mu: „Jadę samochodem z Marco. Minęliśmy Bolonię, w Mediolanie będziemy za nieco ponad godzinę”. Ceriani twierdzi, że do Mediolanu dojechali szybciej, niż się spodziewał, a przecież z Bolonii do Mediolanu jest 210 kilometrów. Odejmijmy od tego 50 kilometrów, skoro minęli Bolonię, a i tak otrzymujemy *średnią* prędkość 160 kilometrów na godzinę, i to nawet

pomimo tego, że w centrum Mediolanu z uwagi na duży ruch Marco musiał znacznie zwolnić. Nic dziwnego, że – jak ujmuje to Ceriani – Cassani dotarł na miejsce „rozradowany, ale też lekko oszołomiony prędkością jazdy".

Marco przystąpił do długiego szeregu wyścigów, które – zgodnie z planem – miały zagwarantować mu szczyt formy na Giro d'Italia. Piętnastego kwietnia w Belgii znalazł chwilę, by publicznie opowiedzieć o swoich nadziejach na nadchodzące Giro: „Najbardziej obawiam się tego, że moja lewa noga nie jest jeszcze w pełni wygojona. Jest obecnie o 10 procent słabsza. Po skrajnym wysiłku istotnie bardziej się zakwasza. Już nigdy nie będę tym samym zawodnikiem, którym byłem w 1994 roku. Nigdy się nie dowiemy, co mógłbym osiągnąć, gdyby nie tamten wypadek". Mimo to w następnym tygodniu uzyskał najlepsze w karierze wyniki w najbardziej pagórkowatych z północnych klasyków: 16 kwietnia zajął piąte miejsce w Flèche Wallonne, a 20 kwietnia był ósmy w wyścigu Liège–Bastogne–Liège. Po powrocie do Włoch wystartował w Giro del Trentino i zajął tam 36. miejsce, ale z pewnością jechał tam własnym tempem, by zregenerować organizm po świetnych występach w Belgii.

Przed rozpoczęciem Giro d'Italia 1997 Claudio Chiappucci, były partner treningowy Marco i kolega, z którym dzielił hotelowe pokoje, oddał próbkę krwi do nowego badania pod kątem hematokrytu. Od razu został zawieszony na dwa tygodnie, co w praktyce oznaczało, że nie wystartuje w Giro. Ogłosił publicznie, że zamierza pozwać „La Gazzetta dello Sport" oraz FCI. Był drugim podopiecznym Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych Conconiego, który został tej wiosny zawieszony za hematokryt powyżej 50 procent. Wcześniej ten sam los spotkał Mauro Santaromitę z teamu MG-Technogym podczas wyścigu etapowego Paryż–Nicea.

Giro d'Italia 1997 startowało w Wenecji. Na etapach pierwszym i drugim triumfował sprinter Mario Cipollini. Na etapie trzecim zaplanowano indywidualną jazdę na czas na krótkiej trasie z Santarcangelo do San Marino, czyli na drogach, które Marco świetnie znał. Etap ten zdecydowanie wygrał Rosjanin Pawieł Tonkow, triumfator Giro w 1996 roku. Trasę tę pokonał o 21 sekund szybciej od Jewgienija Bierzina. Marco stracił tam trochę czasu i zespołowego partnera, który upadł przy dużej szybkości i musiał wycofać się z wyścigu. Dwa dni później znowu wygrał Tonkow, tym razem po 215 kilometrach jazdy z metą na szczycie Terminillo. Marco był tam trzeci z tym samym czasem co Rosjanin. Giuseppe Martinellemu, swojemu dyrektorowi sportowemu, powiedział, że jego forma wzrośnie przed ostatnim tygodniem wyścigu, na który zaplanowane były wysokie góry.

Potem, 24 maja, Marco znalazł się w sporej grupie zawodników, którzy upadli na zjeździe z przełęczy Chiunzi, na jakieś 20 kilometrów przed metą etapu w miejscowości Cava de' Tirreni. Roberto Conti wspomina to następująco: „Jechaliśmy w grupie około 30 osób, właśnie mówiłem Marco: »To niebezpieczne drogi. Jedźmy albo z przodu, albo z tyłu, bo jeśli ktoś się wywróci…«. Ledwo skończyłem to mówić, gdy kot skoczył pod koła Enriquo Zainy, który się wywrócił i skosił jadących za nim kolarzy".

Marcello Siboni dodaje: „Marco rzadko się wywracał, ale kiedy już miał wypadek, to poważny". Ukończył etap dzięki pomocy kolegów z zespołu, ale podczas upadku mocno poobijał sobie lewe udo i musiał wycofać się z wyścigu. Zdjęcia pokazywały mocno naderwany mięsień. Pregnolato upierał się, że na zdjęciu widać cień żyły i że ten uraz da się wyleczyć. Ku frustracji jego i samego zawodnika jego zdanie zostało zignorowane, więc Marco wrócił do pustego domu. Pregnolato

twierdzi, że Pantani był do tego stopnia zależny od matki (albo innej kobiety odgrywającej jej rolę), że po prostu nie jadł śniadania, jeśli nie było nikogo, kto mógłby mu je przygotować. Gdy Tonina i Christine akurat pracowały, Marco chodził głodny – choć gotował znakomicie, gdy już komuś udało się go do tego namówić.

Do połowy czerwca Marco nie miał nic do roboty, a potem, 17 czerwca, wystartował w Tour de Suisse, z którego również się wycofał. Mimo to był wystarczająco mocny, by 29 czerwca zająć dziesiąte miejsce w GP Larciano, wyścigu odgrywającym jednocześnie rolę mistrzostw Włoch w kolarstwie szosowym. Piątego lipca, po raz pierwszy od dwóch lat, Marco stanął na starcie Tour de France. Impreza miała dwóch zdecydowanych faworytów. Pierwszym z nich był Duńczyk Bjarne Riis, zwycięzca Touru z 1996 roku, który był kiedyś pacjentem Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych Conconiego, a drugim Jan Ullrich, 24-latek, który w 1996 roku zajął w Tour de France drugie miejsce. Ullrich był kolejnym Indurainem: niesamowicie mocny w czasówkach, szybki, a do tego nie gubił tempa w górach. Indurain zaczynał mieć już swoje lata i choć ciągle jeszcze znajdował się w znakomitej formie, nikt nie wątpił, że prędzej czy później dopadnie go metryka. Ullrich był produktem systemu kształcenia młodzieży we wschodnich Niemczech: był twardy i umięśniony, a do tego miał przed sobą dziesięć, może 15 lat kariery. Kiedy na podjeździe pod Arcalis w Pirenejach zostawił Pantaniego w tyle, kwestia spuścizny po Indurainie wydawała się rozstrzygnięta. Marco był na tym etapie drugi, ze stratą jednej minuty i ośmiu sekund do niepowstrzymanego rywala. Osiemnastego lipca Ullrich wygrał ponownie, tym razem 55-kilometrową indywidualną jazdę na czas na pętli ze startem i metą w Saint-Étienne. Przewaga, z jaką wygrał ten etap, była niesamowita: trzy minuty i pięć

sekund. Nawet sam Indurain nigdy nie dominował tak bardzo na czasówce w Tour de France. Marco przeszedł sam siebie i był na tym etapie piąty.

Następnego dnia czekał ich 203-kilometrowy etap z metą w Alpe d'Huez. Mario Traversoni, jego partner zespołowy, powiedział mi: „Pellicioli, Siboni i ja dyktowaliśmy tempo, przez pierwsze 180 kilometrów utrzymywaliśmy średnią prędkość 40 kilometrów na godzinę". Gdy pomocnicy Marco zrobili już swoje i odpadli, tempo zaczął nadawać sam Ullrich, który w pierwszych agrafkach podjazdu jechał bardzo mocno. Marco jechał za Niemcem przez pięć kilometrów, a potem zaatakował. W pogoń za nim ruszyli Ullrich, Virenque i Riis. Gdy do pokonania pozostało jeszcze 16 z 21 agrafek, odpadł Riis. Na 12 agrafek przed metą poddał się Virenque. Wkrótce potem na kole Marco nie utrzymał się także Ullrich. Na siedem kilometrów przed szczytem Pantani miał nad nim 22 sekundy przewagi. Na kresce zacisnął dłonie w pięści i wrzasnął z radości – *to* był jego powrót po wypadku z 18 października 1995 roku. Marco ustanowił przy okazji nowy rekord tego podjazdu, 37 minut i 35 sekund, który zwłaszcza po tak długim etapie musiał robić wrażenie. Drugi na mecie był Ullrich, ze stratą 47 sekund do Pantaniego, który w klasyfikacji generalnej zajmował teraz trzecie miejsce.

Dzień później, na etapie prowadzącym z Le Bourg-d'Oisans u podnóża Alpe d'Huez do kurortu narciarskiego Courchevel, Ullrich wziął odwet. Na początku etapu zaatakował Richard Virenque, drugi w generalce, ale ze stratą ponad sześciu minut do Niemca. Ullrich, wspierany przez Riisa, w końcu go dopadł, a potem obaj finiszowali razem w Courchevel. Virenque dostał zwycięstwo etapowe, a Ullrich umocnił się na prowadzenia w klasyfikacji generalnej. Marco, który zmagał się z zapaleniem

oskrzeli, stracił trzy minuty i sześć sekund, choć na mecie zameldował się szósty.

Następnego dnia zaatakował na Col de Joux Plane, pomknął w dół po drugiej stronie przełęczy i po odważnym zjeździe finiszował samotnie w Morzine. Ullrich i Virenque ukończyli etap razem, ze stratą jednej minuty i 17 sekund. Na dalsze zmiany w klasyfikacji generalnej nie było już szans, więc 27 lipca Marco wjechał do Paryża jako trzeci zawodnik Tour de France, już po raz drugi w karierze.

# Rozdział 9.
# Wreszcie w różowym!

## KOŃCÓWKA 1997 ROKU–LIPIEC 1998

Z końcem 1997 roku zespół przeszedł rozbudowę. Giuseppe Martinelli i Alessandro Giannelli, dyrektorzy sportowi Mercatone Uno, zostali wzmocnieni przez Orlando Mainiego, byłego kolarza, który prowadził Marco w Giro d'Italia amatorów w 1992 roku. Z zespołu odszedł natomiast Davide Cassani, który postanowił zostać ekspertem kolarskim w telewizji. Pojawił się Alessandro Samek, nowy menedżer ds. marketingu, z wykształcenia prawnik, z dużym doświadczeniem w badaniach rynku, który jednak nie miał wcześniej do czynienia z kolarstwem. Dla niego Marco był enigmą: „Bezpośrednio po wyścigu mogę nim bez problemu pokierować. Jest absolutnie posłuszny. Pójdzie na kontrolę antydopingową albo do strefy medialnej, bez zająknięcia robi wszystko, co mu powiem. Ale to nie trwa długo. Gdy tylko dojdzie do siebie, dystansuje się od wszystkich wokół i nagle trudno się od niego dowiedzieć, co chce dostać na kolację. Moim zdaniem z nim niemalże nie da się pracować".

Wiosną 1998 roku doszło do kilku sytuacji, które mogły sugerować, że Marco robi się już nie tyle wygadany, ile wręcz nieostrożny w swoich wypowiedziach. W jednym z wywiadów zażartował, że jeśli chodzi o suplementy diety, to sięga tylko po *piadine* swojej mamy, czym zdenerwował Marco Cerianiego, oficjalnego dostawcę suplementów diety dla zespołu i jednego ze sponsorów. Podczas formalnego przyjęcia w siedzibie Ferrari Marco stwierdził, że woli Porsche. To wszystko były reakcje na

narastającą wokół niego komercję. Należąca do Cerianiego firma produkująca suplementy nie mogła już wykorzystywać w reklamach twarzy samego Pantaniego – ten przywilej zarezerwowano dla sponsorów gotowych słono za to zapłacić. Gdy Ceriani się poskarżył, Marco tylko spuścił wzrok i pokiwał głową, ale nie zrobił nic, by obniżyć cenę.

Pierwszy obóz treningowy ekipy w nowym, powiększonym składzie odbył się w miejscowości Terracina, na południe od Rzymu. Było to w grudniu 1997 roku. Pojechał tam również Mario Traversoni, który zapamiętał niesamowitą szybkość, z jaką Marco dochodził do najwyższej formy: „Ja miałem już w nogach dziesięć tysięcy kilometrów, bo musiałem być gotowy na pierwszą część sezonu. Byłem w formie wyścigowej. Marco nie wsiadał na rower przez dwa, może nawet trzy miesiące. Pojechaliśmy na długą przejażdżkę treningową, jechaliśmy obok siebie, ale Marco w końcu stracił cierpliwość i na najbliższym podjeździe przyspieszył. Jako jedyny byłem w stanie wytrzymać jego tempo, ale na 300 metrów przed szczytem przyspieszył ponownie i mi odjechał”.

Na drugi obóz treningowy zespół poleciał do Walencji, tam też mieli wziąć udział w pierwszych wyścigach nowego sezonu. Na początku marca Marco był w znakomitej formie, wygrał czwarty etap Vuelta a Murcia i zajął trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej tej imprezy. Dziesiątego kwietnia, w ulewnym deszczu, zszedł z trasy wyścigu Vuelta al País Vasco. Nie chciał ryzykować występu w Giro. Później w tym samym miesiącu Ceriani miał wykład w szkole kolarskiej Davide Cassaniego na adriatyckim wybrzeżu, osiem i pół kilometra od Cesenatico. Niespodziewanie podczas tego wykładu do sali wszedł Marco i sprawił wielką radość wszystkim uczniom. Pod koniec kwietnia zajął zaś czwarte miejsce w Giro del Trentino i był genialnie przygotowany do startu w Giro d’Italia.

Największym rywalem Marco w walce o triumf w Giro d'Italia 1998 miał być Szwajcar Alex Zülle. Zawodnik ten był drugi w Tour de France w 1995 roku, a w latach 1996 i 1997 wygrywał Vuelta a España. Prezentował podobny styl jak Indurain i Ullrich, w górach bronił wyniku, a zyskiwał na czasówkach. Okazał się zdecydowanie najlepszy w prologu, sześciokilometrowej indywidualnej jeździe na czas po ulicach Nicei. Pawieł Tonkow, zwycięzca z 1996 roku, ograniczył straty do 23 sekund. Marco stracił tam 39 sekund.

Pierwszych pięć etapów prowadziło trasami wzdłuż wybrzeża liguryjskiego i tyrreńskiego. Przez te pięć dni zawodnicy przejechali z Nicei we Francji do Frascati na południe od Rzymu. Pociągi rozprowadzające sprinterów poszczególnych ekip zadbały o to, by każdy z tych etapów kończył się sprintem w grupie. Różnice czasowe dzielące Zülle, Tonkowa i Marco pozostały względnie stabilne aż do etapu szóstego. Ten zaczynał się w Maddaloni, na przedmieściach Caserty, i prowadził na południe nad Lago di Laceno. Marco odrzucił na bok czapkę, a potem samotnie zaatakował. Zülle zareagował zdecydowanie: szybko go dogonił, a potem – coś niesamowitego – zaczął mu odjeżdżać niczym Ullrich przed rokiem na podjeździe na Arcalis. Po krótkim zjeździe ostatnie kilometry etapu biegły już po płaskim. Zülle, jako ekspert od czasówek, mocno naciskał pedały i powiększył przewagę. Marco był na mecie czwarty i zajmował szóste miejsce w klasyfikacji generalnej.

Potem przejechali na drugą stronę półwyspu, do Lecce, następnie wybrzeżem adriatyckim do Maceraty. Najwyższe lokaty w klasyfikacji generalnej ani różnice czasowe nie zmieniły się. Etap 11. prowadził do San Marino. Na ostatnim podjeździe Marco przyspieszył, zostawiając z tyłu Tonkowa

oraz Zülle, by zająć drugie miejsce. W generalce przeskoczył Tonkowa i był w niej teraz czwarty, ze stratą 51 sekund do Zülle.

Na ostatnich dziesięciu kilometrach etapu z metą w Schio, miasteczku leżącym 23 kilometry na południe od Vicenzy, Marco zaatakował w ulewnym deszczu, ale dwukrotnie upadł na zdradliwym ostatnim zjeździe. Na mecie pierwszy był Michele Bartoli, Marco i Tonkow stracili do niego 16 sekund, a Zülle 24 sekundy. Różową koszulkę lidera wdział Noè, który na tym etapie był drugi. W klasyfikacji generalnej Marco był dziewiąty z przewagą jednej sekundy nad Tonkowem i nadal 43 sekundami straty do Zülle.

Na etapie 14. Marco wjechał na swoje ulubione tereny. Na samym dole ostatniego podjazdu na Piancavello przyspieszył i ruszył przed siebie. Tonkow próbował reagować na każdą zmianę tempa przez Pantaniego, choć Giuseppe Saronni, dyrektor jego zespołu, mu to odradzał. Zülle pojechał z głową, pokonał podjazd we własnym tempie i uzyskał najlepszy czas na ostatnich sześciu kilometrach. Marco wygrał ten etap, ale włożył w to mnóstwo energii, a zyskał jedynie 13 sekund nad Szwajcarem, który odzyskał różową koszulkę. Dla Marco był to pierwszy wygrany w Giro etap od Apriki cztery lata wcześniej, a mimo to na mecie wydawał się rozdrażniony. „Strategia jest prosta: atakuję. Inni na te ataki odpowiadają albo przynajmniej próbują. Taka jazda jak moja wymaga odwagi i charakteru”. Narzekał, że trasa tej edycji Giro została ułożona pod Szwajcara. Orlando Maini opowiadał później: „Gdy zaczynał marudzić, denerwować się, to zawsze oznaczało, że łapie najwyższą formę”. W klasyfikacji generalnej Marco zajmował teraz drugą pozycję i tracił do Zülle 22 sekundy. Tonkow był trzeci ze stratą 18 sekund do Pantaniego.

Następnego dnia zaplanowano indywidualną jazdę na czas. Alfredo Martini, trener reprezentacji Włoch, stwierdził:

„Górskie podjazdy nie pozwalają już wypracować takich różnic czasowych jak dawniej. […] Czasówka taka jak dzisiejsza może bardziej namieszać w klasyfikacji generalnej niż góry”. Niejako dla przypieczętowania słuszności tych słów, Zülle pojechał czasówkę życia. Trasa powadziła w okolicach Triestu, więc nie była jakoś szczególnie pagórkowata, ale nie była też idealnie płaska. Mimo to Zülle pokonał dystans 40 kilometrów ze średnią prędkością 53,771 kilometra na godzinę, czyli nawet szybciej niż w którymkolwiek z rozegranych wcześniej prologów. Marco wyjechał na trasę trzy minuty przed Szwajcarem, a i tak musiał patrzeć, jak jego główny rywal go dogania, a potem mu odjeżdża. Pantani stracił tam trzy minuty i 26 sekund, zajmując na tym etapie 24. miejsce. Trzeci był Tonkow, który pobił Pantaniego o dwie minuty. Marco skomentował to następująco: „Wyszło dokładnie tak, jak oczekiwałem. Ta czasówka była za szybka. Gdy zobaczyłem tę trasę, poczułem zaskoczenie, oczywiście negatywne. Nie jestem w stanie osiągać takich prędkości. Na razie to Giro należy do Zülle, no chyba że dopadnie go jakiś kryzys. Jeżeli jednak będzie stawiał opór, chyba zbyt wiele nie zdziałam”.

Co więcej, nie była to ostatnia czasówka w tym wyścigu. Na przedostatnim etapie zawodnicy mieli pokonać w tym trybie kolejne 34 kilometry. Wcześniej jednak czekały ich trzy etapy w wysokich górach, przeplecione dwoma etapami przejazdowymi. Można było trzymać kciuki za to, by Marco odrobił tam cztery minuty straty do Szwajcara i nawet zyska ze dwie minuty zapasu przed tą końcową czasówką, ale do pokonania pozostawał jeszcze Tonkow, znakomity góral, regularnie szybszy od Pantaniego w jeździe na czas. Marco spodziewał się, że tego wyścigu wygrać nie może, więc otwarcie zrzucał to na karb trasy: „Giro d’Italia z tak nielicznymi podjazdami nie może być wyścigiem Pantaniego. W dzisiejszych

czasach wielkie imprezy etapowe układa się z myślą o specjalistach od jazdy na czas". Dla Marco kolarstwo powinno dawać ludziom rozrywkę, a jeśli jej nie ma, to nie ma też kolarstwa. „Jako jedyny usiłowałem robić show na każdym podjeździe, nawet na tym najmniejszym. Nie wydaje mi się, żeby Gotti i inni robili to samo". Oczywiście „robienie show" oznaczało dla niego nie zaplanowane ataki z niewielkim marginesem błędu, ale ekstrawaganckie pokazy siły, mające świadczyć o czyjejś wyższości.

Drugiego czerwca trasa Giro wiodła do kurortu narciarskiego Val Gardena. Roberto Conti wspomina to tak: „Powinien zaatakować na podjeździe na Marmoladę, ale jechał tam pierwszy raz w życiu. To trudny, naprawdę trudny podjazd. Zapytałem go: »Kiedy chcesz zaatakować?«, na co on: »A kiedy zaczyna się Marmolada?«. Mówię mu wtedy: »Połowę tego podjazdu mamy już za sobą«". Marco od razu przyspieszył, zabierając za sobą Giuseppe Gueriniego. Razem zbudowali sobie niemal minutę przewagi nad Tonkowem. Zülle zaliczył ostry spadek formy, tracił do Marco i Gueriniego cztery minuty i 37 sekund. Ostatecznie Marco oddał zwycięstwo etapowe Gueriniemu, wiedząc, że na mecie tego etapu czeka na niego większa nagroda: różowa koszulka. Wdział ją po raz pierwszy w karierze. Pierwszy w historii lider Giro z kolczykiem w uchu i w nosie miał 30 sekund przewagi nad Tonkowem i 31 nad Zülle.

Jeśli nie liczyć czasówek, etap 18. z Selva di Val Gardena do Pampeago był najkrótszym na trasie tej edycji Giro. Pawieł Tonkow wykorzystał go, by wrócić do gry o końcowy triumf, i wygrał. Na starcie do etapu 19. przewaga Marco w klasyfikacji generalnej była minimalna. Ostatni podjazd na trasie, Montecampione, liczył 19 kilometrów, co dawało niemal godzinę nieustannej jazdy pod stromą górę. Tego dnia było tam

upalnie. Gdy zawodnicy zbliżyli się do tej góry, asfalt pod ich kołami niemalże drżał z gorąca.

Po mniej więcej siedmiu godzinach na rowerze Marco odrzuca bandanę i z zaskakującą lekkością katapultuje się przed siebie. W pierwszej chwili widać jedynie prędkość, dopiero potem oko rejestruje łysą głowę i różową koszulkę. Jakieś trzy długości za nim widać Tonkowa, który próbuje dostać się w próżnię wytwarzaną za rowerem Marco. Obaj wstali z siodełek. Kadencja Marco jest wysoka i gwałtowna, osiąga ponad 86 obrotów na minutę. Tonkowowi idzie nieco słabiej, ma zapięty większy bieg i kręci pedałami o pięć obrotów na minutę wolniej. Marco jedzie wyprostowany, a plecy Tonkowa są wygięte w łuk, co sugeruje, że cierpi znacznie bardziej. Dwadzieścia pięć sekund później obaj siadają w ostrym lewym łuku. Śledzący ich motocykl z operatorem kamery jedzie z prędkością 25,7 kilometra na godzinę, choć nachylenie trasy sięga ośmiu–dziewięciu procent. Na pierwszych fragmentach tego podjazdu zgodnie współpracują, zmieniają się na prowadzeniu, budują przewagę nad resztą. Chcą sobie zagwarantować, że kwestię triumfu w Giro rozstrzygną wyłącznie między sobą.

Potem zaczyna się pojedynek. Niczym stworzenie, które ewolucja uzbroiła w jedną śmiercionośną broń, Marco zaczyna kolejne kąśliwe ataki. Z każdym takim przyspieszeniem otwiera się między nimi luka na metr, dwa metry, po czym Tonkow tę lukę zamyka, choć idzie mu to wolniej. Za każdym razem Marco błyskawicznie ogląda się przez ramię. Już po ukończeniu etapu mówił w rozmowie z Fabrizio Borrą: „Nie chciałem się obrócić i spowodować, że pomyśli, że nie mam już sił. Po każdym przyspieszeniu zerkałem tylko na jego cień, by zobaczyć, czy jeszcze się trzyma. Trzymał się”.

Podjazd na maksymalnej szybkości jest bardzo obciążający fizycznie, ale wymaga też sporej wyobraźni. W przypadku Marco ten drugi element dał o sobie znać w momencie, gdy odrzucał bandanę. To był gest świadczący o nieodwracalności, o tym, że odtąd liczy się już tylko atak. Było to również wyzwanie – rzucone nie tylko rywalom, lecz także samemu sobie. Ivan Gotti powiedział kiedyś: „Normalni kolarze boją się podjazdów. Marco się ich nie bał". Gdy tylko rozpoczął atak, Pantani zaczynał pozbywać się wszystkiego, co nie było mu niezbędne. Wydawał się maksymalnie wyczulony na oddziaływanie siły grawitacji. Na Montecampione pozbył się nie tylko bidonów z wodą i okularów przeciwsłonecznych, lecz także kolczyka z diamentem, który wyjął z nosa. Rzucił go gdzieś między drzewa. Potem wyznał, że miał poczucie, że diament niepotrzebnie go dociążał. Mówił również, że na tym podjeździe usłyszał głos dziadka Sotero – to on miał mu doradzić pozbycie się tego kolczyka. Z pewnością nadal leży w tamtej ściółce.

W lewym zakręcie na 2,8 kilometra przed metą Marco raz jeszcze dynamicznie przyspiesza. Tonkow natychmiast wstaje na pedały. Luka między nimi sięga dwóch długości. Tonkow odrabia tę stratę i wsiada na koło Pantaniemu, który nadal stoi na pedałach i znowu przyspiesza. Nagle Tonkow odpada. Na mecie powie, że nie czuł już dłoni ani stóp. „Musiałem przestać, zgubiłem jego cień aerodynamiczny. Dłużej nie dałem rady". Marco wyznał Romano Cenniemu, że czuł smak krwi. Jego jazda na szczyt Montecampione była już bliska samookaleczeniu.

Na 700 metrów przed metą kamera ustawiona po wewnętrznej stronie ostatniego, prawego zakrętu wychwytuje Marco z odległości 200 metrów i pokazuje go przez jakieś 50 metrów. Widzimy 15-sekundowe zbliżenie, ziarniste i niewyraźne w świetle późnego popołudnia. Samochód

i motocykl przejeżdżają operatorowi pod nosem, a za nimi wyłania się Marco. Realizator przeskakuje na inną kamerę i pokazuje Pantaniego, jak wyjeżdża na ostatnią prostą, by pięć sekund później pokazać już szerokie ujęcie finiszu: Marco w otoczeniu rozradowanych fanów plus linia mety bogato przyozdobiona logotypami sponsorów. W ich centrum znajduje się największe z nich – logo „La Gazzetta dello Sport", a po jego bokach widnieją znaki firm produkujących herbatę mrożoną oraz żele pod prysznic i świadczących usługi telefoniczne.

Potem widzimy wszystko raz jeszcze, ale w zwolnionym tempie. Pięć sekund od momentu pojawienia się Marco na ostatniej prostej do przecięcia linii mety zostaje rozciągnięte do 15 sekund. Realizator pokazuje nam jego głowę i nic więcej, ujawniając tym samym szczegóły niedostrzegalne w transmisji na żywo i w normalnej rozdzielczości: kroplę potu kapiącą mu z policzka, gdy pokonuje zakręt, otwarte usta, pomarszczone czoło i zmarszczki przy oczach, które tylko się pogłębiają, gdy Marco usiłuje wycisnąć z tej góry jeszcze więcej prędkości. Jedzie po zwycięstwo w Giro d'Italia i w związku z tym zmusza się do tak olbrzymiego wysiłku fizycznego, że zupełnie znika cała niezręczność okazywana zwykle przez niego przed kamerami. W pewnym momencie – zapewne dokładnie wtedy, gdy wpada na kreskę – zaczyna podnosić się z dotychczasowej agonii. Prostuje plecy, rozkłada ręce, jak gdyby miał zawisnąć na krzyżu, opuszcza powieki. Jego twarz, naznaczona mrokiem wynikającym z bezdechu, wznosi się teraz ku światłu.

Powtórki w zwolnionym tempie były tylko jedną z nowinek technologicznych, dzięki którym Marco stał się legendą. Relacja ze śmigłowców, która oferowała teraz większą stabilność i rozdzielczość obrazu, pomagała w dramatyczny sposób pokazać różnicę skali między ogromem terenu, który

pokonywali kolarze, a ich malutkimi postaciami. Metafora kolarza Dawida rzucającemu wyzwanie górze Goliatowi przybrała nową, zapierającą dech w piersiach formę wizualną. Dzięki tym lepszym zdjęciom spokój, jaki panuje w peletonie na dojazdach do trudnych wzniesień – na jakiś czas w praktyce neutralizując wyścig – też nabrał nagle dodatkowej dramaturgii. Powtórki w zwolnionym tempie uwydatniły dramaturgię innej sceny, która często była jej pozbawiona – chodzi o moment przecinania linii mety przez zwycięzcę. Wcześniejsza technologia odtwarzania obrazu w zwolnionym tempie pozwalała odtwarzać standardowe telewizyjne 25 klatek na sekundę w tempie ośmiu klatek na sekundę. Nowe kamery tego typu rejestrowały 75, a potem 200 klatek na sekundę, które potem można było odtworzyć w tempie 25 klatek na sekundę. Zyskaliśmy zatem szczegółowe obrazy w wysokiej rozdzielczości, które trwale zapadały w pamięć. Zanim pojawiły się porządne powtórki w zwolnionym tempie, radość zawodników na mecie pojawiała się, znikała i wszyscy o niej zapominali. Kibice rozsiani byli wzdłuż całej trasy, a koledzy zespołowi znajdowali się zwykle daleko z tyłu, więc zwycięzcy nie bardzo wiedzieli, do kogo powinni tę radość kierować. Poza tym po zwycięstwie zawsze następowała niepewność i oczekiwania na praktyczny wymiar tego triumfu, czyli wartość przewagi czasowej nad rywalami. Na etapach sprinterskich, w których o wynikach decydują tysięczne sekundy, ostatnie metry przedstawione w bardzo zwolnionym tempie nabierają nowego znaczenia sportowego. Inaczej wygląda to w górach, gdzie etapy wygrywa się o całe minuty. Tak czy owak, na powtórkach w zwolnionym tempie w kadrze nie mieści się zwykle ani zegar, ani linia mety. Nie dowiemy się z nich niczego o tym, jak pracują mięśnie zwycięzcy, jaką generują moc ani gdzie na trasie znajdują się inni zawodnicy.

W epoce obrazu w zwolnionym tempie dochodzi do połączenia ikonicznych cech fotografii z niesamowitą jakością transmisji telewizyjnych, co razem tworzy coś niezapomnianego. Radość Lance'a Armstronga w Limoges w 1995 roku, trzy dni po śmierci jego zespołowego kolegi Fabio Casartellego, wyglądała tak, jakby została zaplanowana specjalnie z myślą o powtórce w zwolnionym tempie, a z pewnością została przez nią uwieczniona.

Obraz w zwolnionym tempie z finiszu Marco na Montecampione pozwala nam uważnie przyjrzeć się jego twarzy – spojrzeć tak, jak matka patrzy na twarz dziecka, albo tak, jak patrzą na siebie kochankowie, gdy po raz pierwszy jedno deklaruje, że odwzajemnia uczucie drugiego, nawet jeśli w tym przypadku o odwzajemnianiu uczuć nie może być mowy. Dostrzegamy bezwarunkowe mikroekspresje, których normalnie nie da się dostrzec, bo pojawiają się i znikają zbyt szybko – mikroekspresje, których dana osoba nie chce nam pokazać. Tym samym mamy wrażenie, że poznajemy *prawdę* wykraczającą poza suchy wynik wyścigu. Rozciągnięte w czasie obrazy pod pewnymi względami mogą kojarzyć się z procesami biologicznymi, w ramach których mamy poczucie, że czas zwalnia, a które uruchamiają się w sytuacjach zagrażających naszemu życiu, gdy jesteśmy napompowani adrenaliną. Możemy nawet dać się zwieść i skojarzyć te obrazy z towarzyszącymi traumatycznym zdarzeniom przemyśleniami nad kruchością ludzkiego życia. Obrazy w zwolnionym tempie pełne są pragnienia i śmiertelności, pozwalają zrozumieć, jak to się stało, że genialny pojedynek Marco z Tonkowem przemówił do wyobraźni całego pokolenia. Powtórka z tego finiszu wyznaczyła początek nowych relacji Pantaniego z włoską opinią publiczną.

Na starcie do ostatniej czasówki, na liczącej 34 kilometry trasie z Mendrisio do Lugano we włoskojęzycznym kantonie Szwajcarii, przewaga Marco nad Tonkowem wynosiła minutę i 28 sekund. Można było bezpiecznie założyć, że to za mało. Tonkow wyruszył na trasę na trzy minuty przed Marco. Za nim jechał Orlando Maini i co trzy kilometry przekazywał czasy z punktów pomiarowych Martinellemu. Po pierwszych trzech kilometrach okazało się, że Marco ma trzy sekundy przewagi nad Tonkowem. Po dziewięciu ta przewaga wzrosła do sześciu sekund. Po 12 kilometrach był szybszy od Tonkowa o dziesięć sekund. Potem, w połowie dystansu, sytuacja się odwróciła. Tonkow odzyskał osiem sekund. Wyglądało to tak, jakby Marco zaczął tę czasówkę za mocno. Gdyby teraz spuchł, zwycięzcą Giro zostałby Tonkow. Do mety zostawało 13 kilometrów, a Tonkow był tylko trzy sekundy przed Marco. Wszystko było jeszcze możliwe.

Potem ich czasy się wyrównały. Jakimś sposobem Marco złapał rytm rywala i go utrzymywał. Na dziesięć kilometrów przed metą mieli identyczny czas. Ta informacja musiała podłamać Tonkowa, bo na ostatnich dziesięciu kilometrach Marco nadrobił kolejnych pięć sekund. Ostatnim zagrożeniem dla jego triumfu w Giro był już tylko pies, który przebiegł mu drogę na cztery kilometry przed końcem etapu. Marco wyminął go w ostatniej chwili, ale samochód Martinellego nie był już tak zwinny. Marco nie odpuszczał do samego końca i po tym etapie w klasyfikacji generalnej miał minutę i 33 sekundy przewagi nad Tonkowem. Nie wiadomo, co stało się z psem, ale Marco wygrał Giro d'Italia.

Tego wieczoru Marco zdołał narazić się oficjalnemu dostawcy monitorów pracy serca, mówiąc dziennikarzom, że podczas czasówki nie korzystał z tego urządzenia. „Postanowiłem zaufać własnym odczuciom". Na tym etapie jego zespołowi partnerzy

Massimo Podenzana i Marco Velo zajęli odpowiednio drugie i czwarte miejsce. Niestety, ten znakomity występ jego zespołu przyćmiły podejrzenia dopingowe wobec innego z jego kolegów, Riccardo Forconiego, u którego jeszcze przed startem etapu podczas obowiązkowych badań krwi wykryto hematokryt powyżej progu 50 procent.

Analiza tego etapu, wykonana przez ekspertów telewizyjnych z programu *Il processo alla tappa* (Proces etapu) nie miała wiele wspólnego z podejściem naukowym, żeby nie powiedzieć, że graniczyła wręcz z czystą głupotą. Ktoś coś wspomniał o podwyższonym poziomie czerwonych krwinek, ale nikt nie podjął nawet próby połączenia tego faktu z próbami zwiększania wydolności organizmu, dozwolonymi czy nie. Pokazano zdjęcia hotelu, w którym mieszkał zespół, a potem zdjęcie innego zawieszonego zawodnika, Nicoli Micelego, a w tym czasie w tle Nino Farolfi komentował, jak gdyby oba stwierdzone przypadki były prawdziwe: „Nikogo tu nie ma, nikt nie chce z nami rozmawiać, nawet jeśli nie o chodzi o doping, a zwykły środek zapobiegawczy…”. Potem pokazano, jak do hotelu przyjeżdżają Roberto Conti i Marcello Siboni, ale w materiale nie pokazano, żeby reporterzy próbowali ich zagadnąć. Farolfi mówił dalej: „Forconi ciągle tu jest. Być może wyjedzie dziś wieczorem. Na razie w swoim pokoju ogląda pojedynek, który już się rozpoczął. Radość z sukcesu Marco zapewne choć na chwilę pozwoli mu zapomnieć o smutku”. Nikt nie wspomniał o potencjalnej zależności między dominacją kolegów Forconiego na trasie tego etapu a jego zawieszeniem. W studiu w charakterze gościa pojawił się Giuseppe Martinelli. Inny gość programu, Gianfranco Josti z „Corriere della Sera”, zapytał go o sprawę Forconiego, ale wtedy w słowo wszedł mu prowadzący, Claudio Ferretti. „Nie, Josti. Uzgodniłem z Martinellim, że pojawił się tutaj wyłącznie po to, by mówić

o Pantanim. Uważam, że tego typu deklaracje i porozumienia należy szanować. Rozumiem oczekiwania dziennikarzy, ale to moje osobiste zobowiązanie wobec Martinellego".

Obecny był również Paolo Savoldelli, dziesiąty zawodnik klasyfikacji generalnej. Zapytano go, co sądzi o tym, że kontrola odbyła się tak wcześnie rano. Powiedział, że dla niego to nie problem: „Nikt nie wyrwał mnie ze snu. Gdy przyjechali, byłem już na nogach. Doktor wezwał mnie na kwadrans po ósmej". Pantani wydawał się mniej zadowolony. W jego obronie natychmiast wystąpił inny gość, Beppe Conti: „Ósma piętnaście to akceptowalna pora, ale lider klasyfikacji generalnej został wezwany na za kwadrans siódma". Claudio Ferretti zauważył wtedy: „Cóż, jest pierwszy w klasyfikacji. To logiczne, że zaczęli od niego". Martinelli i prawdopodobnie nikt z obecnych w studio nie wiedział, że wynik tamtego badania krwi u Marco informował o hematokrycie na poziomie 49,3 procent. Wezwano go o wpół do siódmej, żeby zjawił się na pobranie próbki o siódmej lub wcześniej. Test wykonano o 7:17, nie podjęto dalszych kroków.

Dziennikarze prowadzący *Processo alla tappa* nie byli przedstawicielami niszowej gazety czy czasopisma, którzy musieliby zabiegać o dostęp do zawodników i zespołów, ale pracowali w głównej ogólnokrajowej stacji telewizyjnej. Mieli naprawdę spore możliwości, a mimo to nie wykorzystali okazji, by otwarcie poruszyć kwestii dopingu za pomocą r-EPO.

Przed ostatnim etapem wszyscy członkowie zespołu Mercatone Uno – zawodnicy, mechanicy, masażyści – w hołdzie dla Pantaniego ogolili głowy. Po końcowym przejeździe do Mediolanu Marco zadedykował swój triumf śmiertelnie choremu Luciano Pezziemu, który ostatecznie zmarł 26 czerwca. Marco nie miał w życiu zbyt wielu autorytetów: był nim oczywiście Amaducci, być może Savini, z pewnością

Roncucci, no i naturalnie dziadek Sotero oraz Guerrino Ciani, dziadek przyszywany. Pezzi wypełnił próżnię pozostawioną przez nich wszystkich. Teraz, gdy Marco wkroczył na ścieżkę swych największych sukcesów, zmarł ostatni z ludzi mających na niego cucący wpływ. Wiele lat później Romano Cenni powie: „Gdyby nie umarł Luciano, gdyby mógł towarzyszyć Marco kilka lat dłużej, wszystko ułożyłoby się inaczej". Roberto Conti stwierdził, że „Luciano był dla Marco niczym ojciec".

Marco wiecznie towarzyszyło poczucie straty. Jego pierwsze zwycięstwo w karierze wypadło tuż przed śmiercią Guerrino Cianiego, a jego największy triumf w karierze amatorskiej, czyli Giro d'Italia amatorów w 1992 roku, przypadł na chwilę przed śmiercią Sotero. Udział w Tour de France 1998 miał być dla Marco sposobem na żałobę po śmierci kolejnego mentora.

We Włoszech zaczęło się bandanowe szaleństwo: oficjalne bandany Mercatone Uno szły jak woda. Krótko po zakończeniu Giro Candido Cannavò, redaktor naczelny „La Gazzetta dello Sport", pojechał na spotkanie do Watykanu. Chciał poprosić o możliwość zorganizowania startu jubileuszowego Giro 2000 właśnie w tym miejscu. Cannavò obawiał się, że będzie musiał zacząć od wyjaśnienia, co to za impreza i na czym polega jej znaczenie, ale okazało się, że kardynał Crescenzio Sepe, sekretarz generalny Watykanu i człowiek, który na co dzień miał kontakt z papieżem Janem Pawłem II, był znakomicie zorientowany w kwestiach Giro d'Italia i osiągnięć Marco. Po tamtym spotkaniu Cannavò zadzwonił do Castellano, dyrektora Giro, i powiedział mu: „Jeśli w czasie dwóch dni załatwisz różową koszulkę z podpisem Pantaniego i wyślesz ją kardynałowi Sepe, nasz projekt dostanie zielone światło". Koszulka była w Watykanie już następnego dnia.

# Rozdział 10.
# Dublet

## CZERWIEC–SIERPIEŃ 1998

Gdy Marco triumfalnie wrócił z Giro do Cesenatico, zastał Christine w kiosku. Było już późno, ale zgodzili się zapozować fotoreporterom. Potem wstąpił do domu, żeby się przebrać, ale zamiast wrócić do Christine, zwiał tylnym oknem i wraz z kumplami zanurzył się w nocnym życiu riwiery. Następnego ranka znów był w ramionach Christine, gdy pozowali do zdjęć prasowych nad Port Canal. To w sumie niesamowite, że ich związek przetrwał tak długo.

W latach 1992 i 1993, kiedy po dublet Giro-Tour sięgał Indurain, koniec pierwszego i początek drugiego wyścigu dzieliło tylko 20 dni. Ale w 1998 roku 10 czerwca we Francji ruszały finały Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej. Żeby uniknąć konfliktu terminów z meczem finałowym tego turnieju, który zaplanowano na 12 lipca w Paryżu, start Tour de France zlokalizowano w Dublinie i przesunięto na 11 lipca. Tak oto Marco zyskał 34 dni na imprezowanie i rozpoczęcie przygotowań do Touru.

W tym samym czasie Jan Ullrich, zdecydowany faworyt do zwycięstwa w tej imprezie, przeszedł na drastyczną dietę. Po zwycięstwie w Tour de France w 1997 roku, odniesionym w wieku zaledwie 24 lat, został obsypany nagrodami i wyróżnieniami. W ankiecie przeprowadzonej przez „Der Spiegel” wielu badanych uznało, że Ullrich rozwinie się w najwybitniejszego sportowca wszech czasów. Całe to świętowanie uwydatniło jednak także inny jego wielki talent,

a mianowicie talent do przybierania na wadze. Jego próby osiągnięcia najwyższej formy wyścigowej na wiosnę sprowadzały się do kolejnych cykli głodówek, chorowania i ponownego tycia. W listopadzie i grudniu 1997 roku Ullrich mocno się przeziębił, a potem rozwinęło mu się z tego bolesne zapalenie ucha zewnętrznego. W styczniu na skutek gorączki musiał wycofać się z wyścigu dookoła Majorki. Z marcowego Tirreno–Adriatico wycofał się już po pierwszym etapie ze względu na alergię, a z Vuelta al País Vasco zrezygnował po trzecim etapie, bo dopadło go zapalenie oskrzeli. Mimo to stanął na starcie Tour de France i wyglądał tak szczupło, jakby zaszedł jakiś cud.

W sobotę 11 lipca o 14:45 mało znany francuski kolarz Denis Leproux zainaugurował Tour de France 1998, ruszając z rampy startowej w Dublinie na trasę prologu liczącego 5,6 kilometra. W tym momencie jednak cała impreza odbywała się w oparach skandalu.

Trzy dni wcześniej, w środę 8 lipca, francuscy celnicy w Neuville-en-Ferrain, miejscowości leżącej w odległości 200 metrów od granicy z Belgią, zatrzymali pierwszy tego dnia samochód. Był to fiat marea oblepiony logotypami Festiny, wówczas najlepszego na świecie teamu kolarskiego, w barwach którego startowało trzech pretendentów do zwycięstwa: Richard Virenque (drugi w 1997 roku), Alex Zülle i Laurent Dufaux. Szybko ustalili, że kierowca, *soigneur* Willy Voet, prowadził bez prawa jazdy, które zostało mu zatrzymane za przekroczenie prędkości w styczniu 1998 roku. Funkcjonariusze postanowili przeszukać pojazd. To, co w nim znaleźli, miało całkowicie zmienić stosunek opinii publicznej do kolarstwa. W pojeździe znajdowały się 82 fiolki substancji Saizen (somatropiny, czyli ludzkiego hormonu wzrostu, 60 kapsułek Pantestone'u (epitestosteronu), 248 fiolek serum

fizjologicznego, osiem napełnionych strzykawek ze szczepionką przeciwko zapaleniu wątroby typu A, dwa opakowania po 30 tabletek Hyperlipenu (substancji obniżającej zawartość tłuszczu we krwi), cztery kolejne dawki somatropiny, cztery ampułki Synacthene'u (zwiększającego tempo wydzielania kortykosteroidów przez nadnercza) oraz dwie fiolki amfetaminy. Znaleziono tam także 234 dawki rekombinowanej ludzkiej erytropoetyny (w postaci dziesięciu fabrycznie napełnionych strzykawek z substancją Eprex 4000), 139 fiolek NeoRecormonu w proszku oraz 85 fiolek z proszkiem Erantin 2000.

Ta apteka na kołach zmierzała do Calais, skąd o 11:45 odpływał prom do Dublina. Voet spędził jednak cały dzień w towarzystwie przesłuchujących go śledczych w Neuville, a następnie noc w celi policyjnej w Lille, z pijakami i narkomanami. Wieści o jego aresztowaniu dotarły do Dublina dopiero w piątek 10 lipca, po tym, jak Voet stanął przed sędzią Patrickiem Keilem w sądzie w Lille i usłyszał zarzuty importowania kontrabandy oraz nieautoryzowanego wprowadzania do obrotu substancji niedozwolonych. Opinia publiczna o jego zatrzymaniu dowiedziała się z oświadczenia wydanego w sobotę, w dniu prologu, przez Jeana-Marie Leblanca, dyrektora Tour de France. Siedem lat później francuski zawodnik Philippe Gaumont opowiedział, co o zbierających się nad ich głowami czarnych chmurach myśleli sami kolarze. Po aresztowaniu Voeta początkowo zawodnicy zachowywali się wręcz nonszalancko: „Niemalże mówiliśmy wtedy: »Tak? I co z tego?«. […] Całe środowisko kolarskie było przekonane, że jest nietykalne". Pamiętajmy, że Gaumont był Francuzem, więc o ile mniej doniosłym wydarzeniem aresztowanie Voeta musiało wydawać się Pantaniemu, Włochowi we włoskim zespole, który – przynajmniej w tamtej

konkretnej chwili – rywalizował w Irlandii, gdzie uzyskiwane przez niego wyniki mogły być odczytane jako efekt dystansowania się zarówno wobec wyścigu, jak i całej tej burzy.

Marco nie zadał sobie nawet trudu zapoznania się z 5,6-kilometrową trasą prologu ulicami Dublina i ukończył ten etap ze stratą 48 sekund do zwycięzcy, Chrisa Boardmana, oraz 43 sekund do Jana Ullricha, z którym przegrywał o ponad siedem sekund na każdym kilometrze. Na 189 uczestników wyścigu Marco zajął 181. miejsce.

Etap pierwszy i drugi – najpierw przez pola w okolicach Dublina, a następnie na trasie z Enniscorthy do Cork – wygrali sprinterzy. Rankiem 14 lipca peleton był już z powrotem we Francji. Na etapach prowadzących przez Bretanię i Wandeę Marco trzymał się w jego środku, jechał w otoczeniu zespołowych kolegów, w tym Riccardo Forconiego, który trafił do drużyny na Tour pomimo dodatniego wyniku testu z 6 czerwca. Ullrich zawsze finiszował gdzieś w czołówce peletonu, Marco wiecznie jechał z tyłu.

Potem, 15 lipca o piątej po południu, po zakończeniu etapu czwartego policja zabrała na przesłuchanie Bruno Roussela, dyrektora sportowego Festiny, oraz Erica Rijckaerta, oficjalnego lekarza tego teamu. Jednocześnie funkcjonariusze weszli do zajmowanego przez ten zespół hotelu w Cholet i przeszukali jego pokoje. Marco pałętał się gdzieś na dole klasyfikacji generalnej, ani do Ullricha nie zyskując, ani nie tracąc, a w tym czasie Roussel i Rijckaert odpowiadali na pytania policjantów. Wyciągnięcie od nich zeznań potrwało dwa dni. Rijckaert zaczął mówić 16 lipca o 17:30, a Roussel do składania wyjaśnień dał się namówić o 21:20. Nazajutrz o 20:30 przed budynkiem sądu w Lille M. Thibault de Montbrial wydał oświadczenie, które na zawsze zmieniło oblicze kolarstwa: „Bruno Roussel powiedział dysponującym dowodami śledczym, że dostarczanie

środków dopingujących kolarzom odbywało się w sposób kontrolowany przez kierownictwo zespołu Festina, jego lekarzy, masażystów oraz samych zawodników. Celem stosowania tych substancji była optymalizacja osiąganych wyników w warunkach ścisłej kontroli medycznej, aby uniknąć indywidualnego stosowania dopingu i podawania go przez osoby niekompetentne, co mogłoby zagrażać zdrowiu zawodników i co już się w przeszłości zdarzało".

De Montbrial zadzwonił następnie do Michela Grosa z Festiny, który był na Tourze z zawodnikami. Poinformował go, że Roussel przyznał się do wszystkiego, dając mu tym samym czas na dobrowolne wycofanie zespołu z imprezy i uniknięcie publicznego wstydu związanego z nieuchronną dyskwalifikacją. Richard Virenque, lider ekipy i jeden z najpopularniejszych francuskich sportowców, zdecydowanie odmówił. Jean-Marie Leblanc, dyrektor Tour de France, wydał oświadczenie, w którym poinformował, że organizatorzy wyścigu podjęli decyzję o wykluczeniu Festiny z imprezy. Nazajutrz rano Virenque zadzwonił do Leblanca i powiedział mu, że zawodnicy nie przyjmują tej decyzji do wiadomości i zamierzają normalnie stanąć na starcie do indywidualnej jazdy na czas. Leblanc umówił się z nimi na spotkanie w kawiarni Chez Gillou na dworcu kolejowym Corrèze. Virenque wyszedł z tej rozmowy zalany łzami. Philippe Gaumont wspomina: „Wtedy wreszcie do nas dotarło, że to poważna sprawa".

Osiemnastego lipca – w cieniu oświadczenia Thibault de Montbriala oraz wykluczenia Virenque'a – rozpoczęła się pierwsza długa czasówka tej edycji Touru, na 58-kilometrowej trasie z Meyrignac-l'Église do Corrèze. Wyścig został pomyślany tak, aby czasówki znajdowały się na jego początku i końcu. Pierwszego sierpnia kolarze mieli ponownie pojechać na czas,

tyle że tym razem na 52-kilometrowym etapie. Oczywiście, miała to być już zupełnie inna zabawa, bo najsilniejsi sprinterzy mieliby wtedy za sobą kilka morderczych dni polegających na wwożeniu ich ciężkich, umięśnionych ciał na górskie szczyty. Mimo to i tak należało się spodziewać, że Marco straci tam niemal równie dużo, co na pierwszej czasówce.

Przez pierwszych sześć dni ścigania jego 43-sekundowa strata do Ullricha pozostawała niezmienna. Indywidualna jazda na czas do Corrèze miała stanowić ważny sygnał na temat jego formy. Marco ruszył o 11:36. Na kresce pojawił się dokładnie godzinę, 19 minut i 46 sekund później. „Nie dałem z siebie wszystkiego – powiedział za metą. – Zapłaciłbym za to bardzo wysoką cenę, a nie jestem w najwyższej formie".

Trzy i pół godziny później na trasę wyjechał Jan Ullrich. Jego kombinezon kolarski – różowe rękawy i materiał na barkach, białe plecy i trzy paski biegnące w poprzek ramion – dodatkowo uwidaczniał to, jak płuca kolarza pompowały powietrze do krwi. Ullrich wyglądał przez to trochę niczym jakiś ogromny żuk. Dzięki znakomitej jeździe wyszedł na prowadzenie w wyścigu. Marco zajął 33. miejsce i stracił do Niemca cztery minuty i 21 sekund, co oznaczało stratę w klasyfikacji generalnej na poziomie pięciu minut i czterech sekund oraz 43. lokatę.

Na skutek wykluczenia Festiny w wyścigu nie jechali już Zülle, Virenque i Dufaux, ale oprócz Ullricha i Marco grono potencjalnych pretendentów do końcowego triumfu tworzyli jeszcze inni zawodnicy: Laurent Jalabert, zwycięzca Vuelta a España 1995, był czwarty; na dziewiątym miejscu plasował się Abraham Olano, drugi zawodnik Vuelta a España 1995, trzeci w Giro d'Italia 1996 i czwarty w Tour de France 1997; dwunastą pozycję zajmował Jewgienij Bierzin, triumfator Giro d'Italia 1994; 14. był Francuz Luc Leblanc, zdobywca szóstego miejsca

w Tour de France 1996; a na 20. miejscu plasował się Bjarne Riis, kolega zespołowy Ullricha i zwycięzca Tour de France 1996. Do tego dochodzili dwaj inni kolarze o sporym potencjale: Bobby Julich, który był aktualnie drugi, oraz Michael Boogerd na 16. pozycji. Wyglądało na to, że Marco może liczyć co najwyżej na zwycięstwa etapowe.

Po czasówce Pantani zwrócił się do dziennikarzy z następującym apelem: „Sprawą Festiny zajmą się policja i sądy. Chciałbym, aby dziennikarze skupili się na wyścigu". Nie wiedział jeszcze, że wcześniej tego dnia wybuchł drugi skandal. Czwartego marca celnicy w okolicach Reims dokonali przeszukania samochodu należącego do zespołu TVM, którym jechali dwaj mechanicy tej ekipy. Tak oto natknęli się na podobne zapasy co w pojeździe Voeta. Znalezione produkty, w tym 104 strzykawki napełnione r-EPO, zostały zatrzymane, a mechaników zwolniono i nie podjęto wobec nich żadnych dalszych kroków. Rewelacje dotyczące teamu Festina skłoniły śledczych do ponownego otwarcia sprawy TVM, co jeszcze bardziej zaszkodziło reputacji wyścigu i całego kolarstwa.

Gdy Tour miał wjechać wreszcie w Pireneje, Marco oświadczył: „Wszyscy mnie proszą, żebym ratował Tour, żebym coś zrobił. Wreszcie zrozumieli, że bez Festiny ten wyścig może być mniej widowiskowy. Wyścig, w którym Ullrich jedzie w żółtej koszulce do samego Paryża, byłby po prostu nudny. Szkoda, że to nie dociera do organizatorów, którzy konsekwentnie faworyzują sprinterów, a zapominają o góralach. Nie proszę o wiele, jedynie o więcej równowagi". Do poranka przed startem etapu dziesiątego Marco tracił do Ullricha pięć minut i 24 sekundy. Narzekał, że przez dwie ostatnie noce prawie w ogóle nie spał. Mówił też, że na etapie dziewiątym panował taki upał, że przesadził z nawadnianiem. Teraz liczył jednak na pierwsze zwycięstwo etapowe, zwłaszcza

że w jednym z samochodów dla gości wyścigu jechał włoski premier Romano Prodi, zapalony fan kolarstwa.

Marco nie czuł się najlepiej, zarówno mentalnie, jak i fizycznie – kłopoty wprawiał mu żołądek. Do tego na Col d'Aubisque, Col du Soulor i Col du Tourmalet napotkali gęstą mgłę, więc pierwszych 168 kilometrów przejechał asekuracyjnie. Na Col d'Aspin mgła wreszcie ustąpiła. Potem wjechali na ostatni podjazd tego dnia, Col de Peyresourde. Liczy on 9,8 kilometra, więc nie jest największym kolarskim wzniesieniem, nawet jeśli jego nachylenie sięga miejscami 10 procent. Warto jednak podkreślić, że zawodnicy mieli już w nogach 168 kilometrów, z czego 50 pod górkę. Marco jechał swoje, a Ullrich, jego młodszy rywal, zaczynał popełniać błędy. W połowie podjazdu na Col de Peyresourde Niemiec sam wyjechał na czoło, rozciągnął prowadzącą grupę i narzucił dość mocne tempo. Marco zaatakował na półtora kilometra przed szczytem przełęczy i odjechał samotnie. Przed nim znajdowali się tylko Vasseur i Massi. Vasseura dopadł jeszcze przed szczytem. Najwyższy punkt przełęczy Marco pokonał sam, a potem zawisł nad tylnym kołem do zjazdu. Po 42 sekundach na przełęczy pojawił się Ullrich, prowadzony jedynie przez Riisa. Do mety zostało 15,5 kilometra, z czego większość stanowił zjazd.

Massi znajdował się zbyt daleko z przodu, by dało się go dogonić. Marco ukończył ten etap samotnie, ale pogoń, w której zgodnie brali udział Ullrich, Robin, Leblanc, Boogerd, Julich i Escartín, spowodowała, że jego przewaga wyniosła tylko 23 sekundy. Znacznie później komentował: „Gdybym wygrał tamten etap, pojechałbym do domu". Wtedy jednak, na bieżąco, mówił inaczej: „Chciałbym wygrać ten Tour, ale muszę być realistą. Spoglądałem na etapy górskie i nie ma tam wystarczająco trudnych podjazdów. Nie brakuje tam znanych,

legendarnych gór, ale wszędzie, na wszystkie z nich można podjechać na wysokim biegu. Dla nas, górali, nie ma za bardzo pola do popisu". Albo po prostu umiejętnie rozgrywał rywali, albo chronicznie wątpił we własne możliwości, jak szybko dowiodły uzyskiwane przez niego wyniki: nazajutrz liczne podjazdy już na początku etapu – Col de Monte, Col du Portet-d'Aspet, Col de la Core i Col de Port – pozwoliły odsiać najsłabszych. Po 154 kilometrach Marco znalazł się na początku podjazdu do kurortu narciarskiego Plateau de Beille, a w jego grupie jechali również Ullrich, Jalabert, Julich, Piepoli, Boogerd, Escartín i Rinero. Do przejechania pozostawało jeszcze 15,7 kilometra, a grupa pościgowa była wyraźnie szybsza od swojej ofiary, Rolanda Meiera, szwajcarskiego kolarza z zespołu Cofidis, który miał dwie minuty i 40 sekund przewagi. Potem, jeszcze w pierwszych fazach podjazdu do Plateau de Beille, Ullrich złapał gumę. Wezwał przez radio samochód serwisowy swojego zespołu, ale musiał się zatrzymać i przepuścić peleton. Gdy dostał wreszcie nowe koło, zaczynał już panikować. Slalomem wyprzedził wszystkich kolarzy w peletonie i dołączył do grupy pościgowej, po drodze gubiąc zespołowych partnerów, którzy też się zatrzymali, żeby na niego zaczekać – zgubił wtedy nawet Bjarne Riisa. Marco nie zwrócił uwagi na problem Ullricha i właśnie miał zaatakować, gdy Roberto Conti, jego partner zespołowy, powiedział mu, żeby zaczekał. Marco poczekał, aż Ullrich na nowo odnajdzie się w grupie, i dopiero wtedy ruszył do przodu, przyspieszając naprawdę mocno. Grupa nie odpowiedziała na ten zryw. Ullrich nie miał już sił. Dogonił ich zbyt szybko i teraz pod jego oczami widać było przekrwione plamy, jak u człowieka, któremu dotkliwie brakuje snu. Marco jechał w zadziwiającym tempie: bez problemu wyprzedził Rolanda Meiera i na mecie pojawił się samotnie, świętując triumf przyklaskiem dłoni. Meier finiszował minutę

i 26 sekund później, a za nim na mecie zameldowali się Julich, Boogerd, Escartín i Rinero. Ullrich musiał dać im odjechać. Stracił do nich siedem sekund, a do Marco minutę i 40 sekund. Jeśli to był zły dzień Ullricha, to uszedł mu na sucho, bo Niemiec utrzymał prowadzenie w klasyfikacji generalnej, w której drugie miejsce zajmował Julich. Jalabert i Marco mieli teraz dokładnie taki sam czas, tracili do niego trzy minuty i jedną sekundę. Zwycięstwo etapowe spowodowało, że Marco wrócił do rywalizacji o końcowy triumf. Ullrich nie mógł już sobie pozwolić na jeszcze jeden gorszy dzień.

Później Pantani mówił dziennikarzom: „Przed startem w Tour de France moim celem było wygranie tego etapu, bo to najpiękniejsza wspinaczka w całym wyścigu. Teraz chciałbym wygrać kolejny etap z metą w wysokich górach, ten za tydzień, do Les Deux Alpes. Jeśli chodzi o triumf w klasyfikacji generalnej, to wydaje mi się, że straciłem za dużo energii na zwycięstwo w Giro".

Partnerzy zespołowi Ullricha zaczęli narzekać. Zarządzanie peletonem okazało się znacznie trudniejsze niż w poprzednich latach, a zespół Marco im przecież nie pomagał. Roberto Conti wspomina to tak: „Nazajutrz rano podszedł do mnie jeden z *domestiques* Ullricha i powiedział: »Nieźli z was spryciarze, dwie minuty dzisiaj, dwie minuty jutro, ale krok po kroku będziecie się zbliżać do żółtej koszulki i wtedy będziecie musieli zacząć nam pomagać w kontrolowaniu wyścigu«. Udzieliłem mu dyplomatycznej odpowiedzi, że interesują nas tylko zwycięstwa etapowe. »Generalka nas nie interesuje«". Wkrótce miało się to zmienić.

Nazajutrz, w Tarascon-sur-Ariège, wypadał dzień odpoczynku, który okazał się bardzo pracowity dla policji, dziennikarzy i działaczy UCI. Policja weszła do hotelu w Pamiers, zajmowanego przez zespół TVM. Cees Priem, były

mistrz Holandii, a wówczas *directeur sportif* TVM, oraz doktor Andriej Michajłow, lekarz tej ekipy, zostali zabrani na przesłuchanie. Potem przewieziono ich do Foix, gdzie oczekiwali na transport do Reims. Rzecznik prasowy policji poinformował, że w hotelu znaleziono środki dopingujące.

Wieczorem w dniu odpoczynku UCI wydała okólnik informujący wszystkie zespoły, że zapadła decyzja o przyspieszeniu wprowadzenia nowego systemu monitorowania zdrowotnego. Miał on zacząć obowiązywać od początku sezonu 1999, ale zostanie zastosowany już w najbliższą sobotę. Potem na antenie stacji France 2 wyemitowano materiał poświęcony dopingowi podczas Tour de France. Pokazano reporterów grzebiących w workach ze śmieciami pozostawionymi przez włoski team Asics. Znaleźli sporo pustych opakowań po farmaceutykach.

Nazajutrz rano grupa zawodników, między innymi Jalabert i Marco, zorganizowała strajk. Po dwóch godzinach część z nich udało się przekonać, by stanęli na starcie etapu. Liderem tych kolarzy był Bjarne Riis, partner zespołowy Ullricha. Jedną z pierwszych ekip, która wyłamała się ze strajku, okazał się Telekom. Potem ruszyły inne małe grupy, sześć i dziesięć minut za grupą prowadzącą. Marco wyjechał na trasę jako jeden z ostatnich. Z przodu Leblanc przekonał liderów, żeby zwolnili. Dzięki korzystnemu wiatrowi maruderzy w końcu ich dopadli. Niewiele brakowało, by Tour de France 1998 zakończył się w tym miejscu. Tak się jednak nie stało, a Marco, Jalabert i Luc Leblanc – liderzy zbuntowanych ekip i kolarze lubiący ryzyko – uznali Ullricha za łamistrajka. Taka koalicja przeciwko niemu mogła uniemożliwić mu zwycięstwo w klasyfikacji generalnej.

W Pirenejach Marco choć częściowo odrobił straty, ale mimo to rankiem przed etapem 15. z Grenoble do Les Deux Alpes – ostatnim w tej edycji Touru, którego meta wypadała na

szczycie – potrzebował aż trzech minut, żeby w ogóle zrównać się z Ullrichem. No a potem zostawała jeszcze druga, długa czasówka. W pierwszej czasówce pojechał wolniej od Niemca o cztery minuty i 21 sekund, więc w drugiej powinien spodziewać się podobnej dysproporcji. Innymi słowy, jeśli Marco chciał choćby marzyć o triumfie w klasyfikacji generalnej, musiał na jednym etapie wyprzedzić urzędującego mistrza Tour de France o co najmniej siedem i pół minuty. Siedem i pół minuty! Różnica po prostu szalona i we współczesnym kolarstwie *niewyobrażalna*. Co oczywiste, Marco podjął się tego wyzwania.

Rankiem 27 lipca w Grenoble pogoda nie dopisała. Kolarze ruszyli w mżawce i skuleni jechali w kierunku wioski Vizille. Kiedy wjechali w wąwóz rzeki Romanche, dziewięciu zawodników urwało się peletonowi. Ullrich polecił swoim partnerom podkręcić tempo. Niewykluczone, że był to jego pierwszy błąd, i to popełniony, jeszcze zanim rozpoczął 31-kilometrowy podjazd na Col de la Croix de Fer (a zaczyna się on w sposób niemal niedostrzegalny, bo tylko jednoprocentowym nachyleniem).

Gdy zaczęły się pierwsze pojedynki, z nieba spadł grad, a nachylenie wzrosło do siedmiu procent, potem do ośmiu-dziewięciu, wreszcie do dziesięciu procent. Wtedy rywali postanowił sprawdzić Bobby Julich. Za nim pojechał Christophe Rinero, partner Julicha z zespołu Cofidis, który wyprowadził potem własny atak. Duża część jadących w peletonie zawodników miała na sobie mało atrakcyjne peleryny przeciwdeszczowe, gdy Daniele Nardello z zespołu Mapei ześlizgnął się z asfaltu i wypadł na kamienisto-szutrowe pobocze po wewnętrznej stronie drogi. Razem z nim upadł Marco. Czas na chwilę się zatrzymał, ale tylko na chwilę. Pantani bezzwłocznie wsiadł na rower i dogonił grupę.

Na szczycie Croix de Fer pierwszy pojawił się Rinero. Po 111 kilometrach jazdy, w wiosce Saint-Michel-de-Maurienne, zaczynał się dwuczęściowy podjazd na północną stronę Col du Galibier. Kolarze mieli najpierw do pokonania 11,5-kilometrowy podjazd na Col du Télégraphe. Rinero doścignęło pięciu rywali. Z tyłu, w grupie Ullricha, jako pierwszy do ataku ruszył Luc Leblanc. Ullrich wysłał za nim swoich partnerów, a konkretnie Aldaga, Böltsa i Riisa. Podbitego tempa nie wytrzymał Jalabert. Tym samym Marco stracił jednego z konkurentów do żółtej koszulki.

Na szczycie Col du Télégraphe pojawiła się grupa liderów z Rinero. Po krótkim, pięciokilometrowym odcinku na złapanie oddechu dojechali do początku wielkiego, 17-kilometrowego podjazdu na Col du Galibier, na wysokość 2646 metrów. Trzy minuty za nimi z grupy Ullricha wyskoczył znakomity hiszpański góral, José María Jiménez. Potem drugi raz zaatakował Leblanc, a za nim pojechali Escartín i Boogerd. Tak oto Ullrich został sam i sam musiał prowadzić pościg. Aldag, Bölts i Riis, którzy za wcześnie dostali polecenie zbyt szybkiej jazdy, teraz nie mieli już sił. Niemiec narzucił tak mocne tempo, że pojechał z nim tylko Bobby Julich. Za nimi otworzyła się luka, ale ostatecznie Marco poprowadził resztę grupy i dogonili Julicha. Tak oto powstała sześcioosobowa grupa pościgowa: Leblanc, Escartín, Boogerd, Ullrich, Julich i Pantani.

Następny zaatakował Escartín. Zostawił Leblanca na czele grupy i z zawrotną prędkością ruszył przed siebie, ciągnąc za sobą Ullricha i Pantaniego. Co chwila otwierały się i zamykały jakieś luki. Julich dogonił Marco. Krople deszczu na obiektywie kamery powodowały, że obraz się rozmywał i zawodnicy zamieniali się w jakieś abstrakcyjne wzory, oświetlone reflektorami motocykli. Ullrich, być może chcąc zastraszyć

rywali, ruszał w pogoń za każdym atakiem, trwoniąc przy tym energię – co było korzystne dla Marco.

Jechali w zawrotnym tempie i tak mijały kolejne godziny, aż zrobiło się późne popołudnie. Otwiera się długi, prawy zakręt. Jest 15:56, do szczytu Col du Galibier zostaje jeszcze cztery i pół kilometra. Gdy grupa zawodników jedzie środkiem drogi w tym zakręcie, Marco wykrzywia twarz i mocno przyspiesza. Na ekranie widać w sumie tylko kolorowe pociągnięcie pędzlem na szarym tle. Ullrich instynktownie ustawia się w jego cieniu aerodynamicznym, ale nie próbuje przyspieszyć tak samo. Nawet nie wstaje z siodełka. Marco jedzie bardzo mocno przez dziesięć sekund, a potem ogląda się za siebie, by zobaczyć, jakie szkody wyrządził rywalom. Wygląda to trochę na test, coś zaplanowanego. Reaguje jedynie Leblanc. Pantani wydaje się na niego czekać, pozwala mu się dogonić, by od razu zaatakować jeszcze raz. Na to Francuz nie znajduje już odpowiedzi.

Z przodu jest już tylko pięciu kolarzy. Jako pierwszy ofiarą prędkości Marco pada Escartín. Włoch podjeżdża obok niego i zwalnia do jego tempa. Jadą tak przez sekundę, dwie, po czym Marco wyjeżdża na czoło i daje Hiszpanowi cień aerodynamiczny. Daleko z tyłu Ullrich nie wytrzymuje tempa kolejnych zawodników. Dwa i pół kilometra dalej po Escartínie nie ma już śladu. Ullrich pojawi się w tym samym miejscu minutę i 13 sekund później.

Marco unosi okulary na czoło. Przed nim, na czele, atakuje Rinero, który zostawia w tyle Serrano, Massiego i Jiméneza. Marco też przyspiesza, wtedy jednak obok niego pojawia się jakiś kibic, który biegnie kawałek razem z nim. W tych zdradliwych warunkach to po prostu niebezpieczne. Marco podnosi rękę z kierownicy, odwraca się w kierunku fana, krzyczy mu coś prosto w twarz, a potem odjeżdża. Dojeżdża do Rinero i na siedząco wyprzedza rywala, choć ten stoi na

pedałach. Chwilę potem Marco też wstaje i znów ostro przyspiesza. Rinero zrywa się do sprintu, przez kilka sekund utrzymuje tempo Pantaniego, ale w końcu musi odpuścić. Przy znaku wyznaczającym ostatni kilometr podjazdu na Galibier Ullrich pojawia się dwie minuty i cztery sekundy po Marco.

A ten jedzie teraz między tłumnie zebranymi kibicami, a z przodu i z tyłu eskortują go motocykle. Na szczycie z peleryną przeciwdeszczową i bidonem czeka na niego Orlando Maini. „Gdy zobaczyłem, jak się wyłania, bałem się, że nie dam rady podać mu tej peleryny, bo byłem bardziej zmęczony niż on. On robił coś wielkiego, coś ważnego, a ja czułem tylko, że nie dam rady. Gdy w końcu podałem mu tę pelerynę, poczułem się wolny. Nie popełniłem błędu". Hiszpan José María Jiménez wpada na szczyt przełęczy dziesięć sekund później niż Marco, który spokojnie staje na poboczu, ale ma tak zmarznięte dłonie, że potrzebuje pomocy w założeniu peleryny. Wyprzedza go Jiménez. Mimo gwałtowności swojego ataku Marco doskonale jednak wie, co robi.

Ullrich na Col du Galibier pojawia się w ośmioosobowej grupie dwie minuty i 49 sekund za Marco. Nie jadł od dziesięciu kilometrów – to jego drugi błąd – a teraz, przemoknięty na wylot od padającej mżawki, postanawia nie zakładać peleryny do zjazdu z Galibier.

Po 164 kilometrach, na 25 kilometrów przed metą etapu, przewaga Marco topnieje do dwóch minut i 11 sekund, bo zatrzymał się, żeby wdziać pelerynę. O 16:50 wyrównuje stratę z generalki, a potem powiększa przewagę ponad te trzy minuty i jedną sekundę. W dolinie współpracuje z Escartínem i Rinero, by zaatakować i urwać się im na początku podjazdu do Les Deux Alpes. Z tyłu na błędy Ullricha nakłada się jeszcze pech: łapie gumę na krętym i wąskim zjeździe z Galibier. Mknąc w dół mokrą drogą, widzi, jak Bobby Julich wpada w poślizg

i niemalże leci w przepaść. Marco pokonywał te same odcinki trasy cztery minuty wcześniej. Na kawałku łącznikowym prowadzącym do początku ostatniego podjazdu Ullrich jedzie bardzo mocno i dołącza do grupy pościgowej, ale tam pod oczami znów zaczynają mu się pojawiać te wielkie cienie. Różnica między nim a Marco rośnie.

Gdy Pantani wyjeżdża na ostatnią prostą najważniejszego etapu w swoim życiu, z brody spada mu wielka kropla wody – deszcz zmieszany z potem. Powieki ma zaciśnięte z bólu, usta otwarte w grymasie. A potem dochodzi do jego przeobrażenia: prostuje się na siodełku, rozkłada ramiona, jak gdyby wisiał na krzyżu, i z zamkniętymi oczami unosi twarz ku niebu. To wyjątkowy obraz, pełen pragnienia i śmiertelności.

Ullrich ma do mety jeszcze pięć kilometrów, wspina się apatycznie w gronie kolarzy podążających z różną prędkością, ale wydaje się od nich zupełnie oderwany. Przez kolejnych osiem minut i 57 sekund etap kończy 22 brudnych i przemoczonych zawodników. Wśród nich nie ma jednak Ullricha. Wreszcie pojawia się na horyzoncie, prowadzony przez swoich partnerów Böltsa i Riisa. W autobiografii *Ganz oder Gar Nichts* (Wszystko albo nic) Ullrich przyznał, że dodatkowy tydzień przed rozpoczęciem Touru pozwolił mu zejść z wagą do 71 kilogramów, co oznaczało, że ważył mniej niż w 1997 roku, choć nadal nie tyle, ile by chciał, bo celował w 67–68 kilogramów. Głodził się na pierwszych etapach Touru, by te dodatkowe trzy czy cztery kilogramy zrzucić. Jego kryzys na podjeździe pod Galibier z pewnością wynikał z tego, jak mocno naciskał Pantani, ale stanowił też zupełnie logiczny skutek tak szybkiego chudnięcia.

Marco, po raz pierwszy w karierze w żółtej koszulce lidera, stał się światową ikoną sportu. Miał nad Ullrichem przewagę sześciu minut bez czterech sekund. Drugie i trzecie miejsce

w klasyfikacji generalnej zajmowali Julich i Escartín, ale oni nie stanowili dla niego zagrożenia. Po zejściu z trasy etapu poszedł na godzinny masaż, potem na zabieg do fizjoterapeuty, a po wszystkim zjadł kolację w towarzystwie swojej ekipy oraz Felice Gimondiego. Wzniesiono oczywiście toast, ale nie było żadnej imprezy ani euforii. Martinelli ujął to następująco: „To nie w naszym stylu". Wiadomości we włoskiej stacji Rai 3, która transmitowała Tour, rozpoczęły się od informacji o triumfie Marco. Romano Prodi, premier Włoch, przebywał akurat z ważną misją dyplomatyczną w Turcji, ale poświęcony jej materiał został wyemitowany na drugim miejscu. „I słusznie" – skwitował Prodi. – „Jego wyczyn był niesamowity".

Nazajutrz Ullrich zaatakował z peletonu w połowie 20-kilometrowego podjazdu na Col de la Madeleine. Escartín i Piepoli usiłowali jechać za nim, ale szybko dopadło ich niedotlenienie. Tempo Niemca był w stanie utrzymać jedynie Marco. Podczas 15-kilometrowego zjazdu zaoferował Ullrichowi swój cień aerodynamiczny tylko dwukrotnie. Jechał obok niego i zamienił z nim kilka słów. Dopiero gdy droga się wypłaszczyła i zostały im już ostatnie kilometry do Albertville, Marco zaczął wymieniać się z rywalem na prowadzeniu, a jechali pod wiatr. Obaj zaczęli powiększać przewagę nad Julichem i Escartínem, co umacniało Marco na pozycji lidera przed ostatnią indywidualną jazdą na czas i zapewniało Ullrichowi drugie miejsce w generalce.

Sprint o zwycięstwo na tym etapie był mocno niejednoznaczny. Marco znajdował się z przodu. Gdy Ullrich wyskoczył z jego cienia aerodynamicznego, Włoch zerknął w prawo, wyprostował się na siodełku i przestał pedałować. Ullrich się z nim zrównał, wyprzedził go o kilkanaście centymetrów i wtedy Marco zaczął kręcić pedałami, ale w tempie nadawanym przez rower. Potem wrócił do sprintu,

jeszcze dwukrotnie zerkając na Niemca, zanim ten wypchnął rower na kreskę i wygrał (choć w jego ruchach też nie było widać walki). Podczas tego sprintu Marco toczył się siłą rozpędu przez całe dwie sekundy, co oznacza, że podarował ten etap Ullrichowi.

O 15:35 27 lipca – na 20 minut przed atakiem Marco na Galibier – Ceer Priem i doktor Andriej Michajłow z TVM po dziesięciogodzinnej podróży z hotelu w Foix zostali przetransportowani do sądu w Reims w Szampanii. O 21:00 rozpoczęło się przesłuchanie Priema. O północy postawiono mu zarzuty transportowania substancji toksycznych oraz przechowywania substancji niebezpiecznych. O trzeciej nad ranem Michajłow usłyszał zarzuty naruszenia francuskich przepisów antydopingowych z 1989 roku.

W tym czasie policja weszła do hotelu TVM w Albertville. O 18:05 21 funkcjonariuszy podjechało pod hotel Million. Część z nich poszła na zajmowane przez zespół drugie piętro, inni zajęli się przeszukaniem pojazdów ekipy. Hendrik Redant, zastępca dyrektora sportowego, i jeden z mechaników zostali zabrani na przesłuchanie. O 21:00 sześciu zawodników TVM zostało odeskortowanych do szpitala im. Pierre'a de Coubertina na pobranie krwi i włosów do badań. Do swoich hotelowych łóżek wrócili koło północy. Nazajutrz rano „Le Figaro" napisało, że policja planuje wejść również do hoteli innych zespołów uczestniczących w Tour de France. Kolarze odmówili dalszej rywalizacji, przejechali 32 kilometry w zwartej grupie, a potem się zatrzymali. Liderem strajkujących został Laurent Jalabert, który na oczach kamer zerwał z siebie plastron. Potem to samo zrobił Marco, a dalej już cały peleton. Następnie Jalabert jako pierwszy ogłosił, że w ramach protestu wycofuje się z Tour de France, a wraz z nim zrobił to cały jego zespół, ONCE. Gdy zawodnicy ONCE jechali powoli do swego hotelu w Aix-les-

Bains, reszta peletonu wznowiła etap, ale kolarze nadal nie rywalizowali, nie jechali nawet tempem wyścigowym. W strefie karmienia z wyścigu wycofały się dwie kolejne ekipy, Banesto i Riso Scotti. Potem doszło do kłótni między Bjarne Riisem z Telekomu a Leblankiem z Polti. Riis uważał, że zawodnicy powinni porozumieć się z organizatorami Touru, by peleton dojechał do Paryża, a Leblanc był zwolennikiem przerwania wyścigu. Potem po prostu się wycofał.

Dyrektor wyścigu Jean-Marie Leblanc zapewnił Riisa, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by policja nie wchodziła już do hoteli kolejnych ekip. Niedługo potem przez radio wyścigu poinformował zespoły, że otrzymał gwarancje, iż od tego momentu ewentualne przesłuchania zawodników będą prowadzone w ich pokojach hotelowych i że nie będzie już więcej medialnych nalotów policyjnych. Peleton kontynuował jazdę i na mecie w Aix-les-Bains pojawił się o 19:30. Czterem zawodnikom TVM pozwolono ukończyć ten etap przed peletonem.

Okazało się, że Leblanc blefował. Tego wieczoru policja weszła do hoteli ekip Casino (jeździł w niej Rodolfo Massi, lider klasyfikacji górskiej), La Française des Jeux i ONCE, którego dyrektor sportowy Manolo Saiz miał podobno zapytać stróżów prawa, dlaczego nie zrobili tego samego reprezentacjom narodowym podczas niedawnego mundialu.

Następnego dnia rano na starcie etapu z Aix-les-Bains do Neuchâtel w Szwajcarii stanęło tylko 103 zawodników. Dziesięć metrów za granicą francusko-szwajcarską z Touru wycofał się Jeroen Blijlevens z teamu TVM. Na mecie etapu jego zespołowy kolega Bart Voskamp powiedział dziennikarzowi holenderskiego radia: „Cieszę się, że jestem na terytorium neutralnym”. Etap zakończył się sprintem w grupie. Czołówka klasyfikacji generalnej nie zmieniła się. Zespół TVM nie stanął

na starcie 19. etapu, w każdej chwili spodziewano się tam aresztowań.

Ostatnią, 52-kilometrową jazdę na czas wygrał Ullrich. Drugi był Bobby Julich z 61 sekundami straty. Trzecie miejsce zajął Marco. „Nie jestem specjalistą od czasówek, ale nie mogłem stracić żółtej koszulki". Wygrał Tour de France. W hotelu cały zespół skoczył w ubraniach do basenu. Wszyscy przekłuli sobie lewe ucho i założyli pirackie kolczyki. Zatrudniono paryskiego fryzjera, by utlenił całej ekipie włosy, a potem ufarbował je na żółto. Niebieska pianka utleniająca mocno podrażniła im skórę czaszki.

Już po wyścigu zorganizowano połączenie na żywo z Cesenatico, podczas którego Marco miał okazję porozmawiać z Christine, ale wyszło to mocno sztucznie. Christine wydusiła z siebie: „Nie mam za wiele do powiedzenia. On wie, wszyscy to wiemy: czas, żeby wrócił do domu". Marco dodał wtedy: „Jest tak samo nieśmiała jak ja. Porozmawiamy na osobności". Raz jeszcze zadedykował zwycięstwo Luciano Pezziemu. Nawiązując do swojej awersji do wszelkiej presji, podziękował zespołowi i ludziom ze swojego otoczenia: „ponieważ otaczająca mnie atmosfera pomogła mi się koncentrować". Już po zakończeniu transmisji ktoś zapytał Marco, co planuje robić w najbliższym czasie. „Kupię karton viagry i zamknę się z Christine".

Piątego sierpnia spotkał się z Giorgio Squinzim, właścicielem firmy Mapei i sponsorem najlepiej dofinansowanego zespołu w całym kolarstwie. Dziennikarze donosili, że Pantani zażądał pięciu milionów euro rocznie, czyli dwukrotnie więcej niż w szczytowym okresie kariery dostawał Miguel Indurain. Trzy dni później ogłoszono, że Marco wolał zostać w Mercatone Uno, „w hołdzie Luciano Pezziemu".

Gdy sprawy biznesowe były już załatwione, mógł rzucić się w wir świętowania. Trzynastego sierpnia 1998 roku Cesenatico na jeden dzień stało się centrum całych Włoch – odbył się tam Dzień Pantaniego. Wszystkie miejskie stoiska z *piadine* przekazały na uroczystość darmowe produkty – no, *prawie* wszystkie, do akcji jako jedyni nie włączyli się rodzice Marco. Na krótko przed 10:00 na Piazza Andrea Costa w towarzystwie zwycięzcy pojawił się premier Romano Prodi i przemówił do tłumów: „W ostatnich dniach, w których tyle mówi się o dopingu, Marco mimo wszystko pozostaje popularny, bo jest uosobieniem ideału zdrowego, prawdziwego sportowca, który wygrywa dzięki wysiłkowi wkładanemu w jazdę na rowerze. Chciałbym mu podziękować w imieniu wszystkich Włochów". Berlusconi miał swój AC Milan, a Prodi miał Pantaniego, pozostającego pod opieką medyczną Francesco Conconiego, bliskiego przyjaciela Prodiego.

# Rozdział 11.
# Dominacja

## SIERPIEŃ 1998–4 CZERWCA 1999

Sukces spowodował, że Marco stał się gwiazdą pierwszego formatu. Jego telefon komórkowy niemal nie przestawał dzwonić. Z tego względu, a także z uwagi na zalew różnych ofert komercyjnych, Marco musiał znaleźć sobie agenta. Poruszył tę kwestię w rozmowie z Giovannim Gibosinim: „Odpowiedziałem mu: »Dzięki, ale nie jestem wystarczająco dobry, żeby być twoim menedżerem. Potrzebujesz wyspecjalizowanej agencji«". Marco odezwał się w tej sprawie do Alberto Tomby, którego siostra Alessia skierowała go do Manueli Ronchi, twardej i ambitnej młodej bizneswoman, słynącej ze znakomitych umiejętności negocjacyjnych. Kształciła się w językach i literaturze, ale po studiach zajęła się menedżmentem sportowym oraz konsultingiem wizerunkowym, ponieważ, jak sama to ujmuje, „mistrzowie wywołują natychmiastową empatię, nie ocenia się ich na podstawie z góry przyjętych założeń". Dbała o wizerunek motocyklisty Maxa Biaggiego, bilardzisty Gustavo Zito, siatkarza Maurizio Cacciatore, żeglarza Giovanniego Soldiniego oraz licznych piłkarzy. Kolarstwo szczególnie jej nie interesowało, ale na Marco nie mogła nie zwrócić uwagi, ponieważ był wtedy tak sławny, jak tylko sportowiec mógł być. „Gdyby wszedł do polityki, mógłby wygrać wybory – powiedziała w rozmowie ze mną. – Po doświadczeniach ze współpracy z Maxem Biaggim miałam ambicję pozyskać kolejną osobowość tego formatu". Inni jej klienci byli

czołowymi zawodnikami w swoich dyscyplinach, ale „gdy ktoś nie jest najlepszy w jednej z najważniejszych dyscyplin, jego rozpoznawalność jest ograniczona”. No i wtedy zadzwonił do niej Marco, niejako odpowiadając na jej modlitwy.

Po raz pierwszy spotkała się z nim w Bar dei Marinai przy Port Canal w Cesenatico. Uzgodnili, że Ronchi zrobi badania rynku i oszacuje wartość wizerunku Marco. Podczas drugiego spotkania podzieliła się z nim swoimi ustaleniami. Kolarz przemyślał sprawę, a potem ponownie się z nią skontaktował. Umówili się na spotkanie i wtedy nad talerzem z rybą oficjalnie został klientem Action Agency. W październiku 2004 roku Ronchi miała opublikować wspomnienia z czasów współpracy z Marco, która zaczęła się w sierpniu 1998 roku i skończyła w poniedziałek 9 lutego 2004 roku, czyli na pięć dni przed jego śmiercią. Ronchi stała się dla Marco ostoją. Gdy jego życie zaczęło się rozpadać, zawsze mógł na nią liczyć. Prawda jest jednak taka, że Marco żył w wielu różnych światach. Intymny portret Pantaniego autorstwa Ronchi to bez wątpienia ważny tekst, ale może być również interpretowany jako jednostronny obraz tamtych lat, mający przynieść korzyści autorce. Ktoś, kogo interesuje ostatnie pół dekady życia Marco, nie może zignorować wspomnień Ronchi, nawet jeśli przedstawianej w nich prawdzie daleko do całej prawdy.

Relacje Marco z Ronchi były w pewien sposób przewrotne. Nie licząc szkolnictwa i opieki społecznej, włoskie kobiety były mniej obecne od mężczyzn wśród przedstawicieli różnych grup zawodowych. Pod tym względem menedżment sportowy stanowił jedną z najbardziej zacofanych branż, a kolarstwo, podobnie jak boks, pozostawało jednym z najsilniej broniących się bastionów męskiego szowinizmu. Jakby tego było mało, Ronchi nie mówiła dialektem z Romanii – dla najważniejszej kobiety w życiu Marco, czyli jego matki, stanowiła osobę

z zewnątrz, jak zresztą większość kobiet w życiu Marco. Ronchi zadzwoniła do Romano Cenniego z Mercatone Uno i umówiła się na spotkanie. Ostatnie pozostałości rodzinnej atmosfery i regionalnego utożsamiania się Marco z zespołem miały niedługo zniknąć.

Trzeciego września zespół Mercatone Uno organizował uroczystą kolację z okazji zakończenia sezonu w hotelu Monte del Re w miejscowości Dozza, leżącej kilka kilometrów na zachód od Imoli. Hotel ten mieści się w byłym renesansowym klasztorze, stojącym dumnie na szczycie wzgórza porośniętego starożytnym cyprysowym gajem. Co oczywiste, wszyscy skupiali się przede wszystkim na Marco, a on nie znosił tego rodzaju oficjalnych uroczystości. Gdzieś w narożniku hotelowego ogrodu powiedział Marco Cerianiemu, że utracił całą prywatność. Narzekał, że ludzie robią mu zdjęcia, że mu przeszkadzają, że chowają się mu za samochodem, wyskakują z zarośli, nękają jego najbliższych, grzebią mu w śmieciach, urządzają na niego zasadzki, zamiast umówić się na spotkanie. Ta powszechna rozpoznawalność bez wątpienia stanowiła efekt uboczny sukcesu, ale dla niego względna utrata prywatności z pewnością była nie do zniesienia. Od Toniny usłyszałem: „Nie umiał uporać się z poczuciem, że ktoś go obserwuje”. Ronchi wspomina coś podobnego: „Czasami, gdy jechaliśmy autem, zdarzało mu się powiedzieć: »Świetnie: wreszcie siedzę w anonimowym samochodzie i to ja mogę obserwować ludzi, a nie oni mnie«”. Trzeba jednocześnie przyznać, że Marco umiał zadbać o to, by o nim mówiono, a poza tym był wystarczająco zamożny, by rozwiązać wiele problemów towarzyszących sławie, tak samo jak robili to inni celebryci – na przykład zatrudniając ochroniarzy albo ograniczając dostęp do siebie tym dziennikarzom i mediom, które usiłowały uzyskać go bez jego zgody.

Jeszcze we wrześniu Pantani pojawił się jako gość na wielkich targach rowerowych w Mediolanie. Alessandro Samek, zespołowy menedżer ds. marketingu, podzielił jego czas między poszczególnych sponsorów ekipy proporcjonalnie do ich wkładu do budżetu. Na każdym z tych stoisk Marco musiał podpisać stertę różowych i żółtych koszulek oraz bandan dla kierownictwa poszczególnych firm i ich dostawców. W rozmowie z Cerianim nazwał ten cyrk „torturami". Wcześniej Ceriani dowiedział się, że Marco pojawi się na jego stoisku między 10:15 a 10:30 i zostanie przez pięć minut. Ceriani miał go nie zatrzymywać. W praktyce wyszło tak, że kolarz stał, rozmawiał i nie chciał iść na kolejne stoiska tylko dlatego, że tego oczekiwali od niego jego opiekunowie. Tym samym położył cały harmonogram Sameka.

Gdy w listopadzie ogłoszono oficjalnie trasę kolejnej edycji Tour de France, Marco nie przebierał w słowach krytyki. Był oburzony, że trasa obejmowała aż 118 kilometrów jazdy na czas: „Powiedziałbym, że zrobili wszystko, co tylko mogli, żeby uniemożliwić mi ponowny triumf". Odmówił złożenia deklaracji, że stanie na starcie tej imprezy, i tym samym rozpoczął spór z organizatorami Touru, który miał się ciągnąć przez lata. Tydzień później pojawił się na prezentacji trasy Giro d'Italia 1999 i znów się skarżył, ale tym razem żartobliwie: „Pięć etapów z metą na szczycie i tylko dwie czasówki? Chyba trochę przesadzili!".

Potem poleciał z Christine na Seszele.

Czwartego lutego Ceriani przyjechał na obóz treningowy zespołu w Terracinie. Zastał tam Pantaniego spiętego i bardziej zamkniętego w sobie niż kiedyś, robiącego wrażenie, jakby nie ufał już nawet najbliższym osobom. Marco powiedział mu, że to nieustanne zamieszanie jest nie do zniesienia. Stwierdził, że

wyrzucił telefon komórkowy i nie zamierza kupować nowego. Miał wrażenie, że jest zakładnikiem, czuł się jak zwierzę, na które ktoś poluje – znaczące porównanie w ustach człowieka poświęcającego mnóstwo czasu na tropienie zwierzyny z bronią w ręku. Ceriani doszedł do wniosku, że Marco ma obsesję na tym punkcie.

Zespół Mercatone Uno na sezon 1999 został zaprezentowany 14 lutego w hotelu Monte del Re. Marco i jego partnerzy wyszli na zainscenizowany mostek kapitański pirackiego statku. Mieli opaski na oko, złote łańcuchy i kolczyki. Fabrizio Borra, fizjoterapeuta kolarza, mówił: „Rok 1998 był jego pierwszym bez upadku od roku 1994. W 1999 zobaczycie *prawdziwego* Pantaniego". Następnie Marco udzielił wywiadu dla sztandarowego piłkarskiego programu telewizyjnego.

Alessandro Samek nie był już wtedy pracownikiem zespołu. Jego miejsce w roli rzecznika prasowego zajął Andrea Agostini, stary znajmy Marco, ściągnięty zresztą na jego prośbę. Mimo to trudno powiedzieć, żeby w tej ekipie panowała przyjaźń. Ceriani protestował, bo jego zdaniem dawny rodzinny team Mercatone Uno został przekształcony w maszynkę do zarabiania pieniędzy. Sponsorzy musieli płacić dwa razy więcej, a i tak dotkliwie ograniczono im dostęp do zawodników. Ceriani był gotów wycofać się z tego interesu. Dzisiaj mówi, że do rezygnacji z tej decyzji przekonały go wyłącznie codzienne telefony od Martinellego, ale i tak musiał zagrozić, że nie podpisze umowy, żeby dostać zgodę na użycie w celach marketingowych zdjęcia z Marco na pierwszym planie.

Z zespołu odszedł również Mario Traversoni. „Nie przedłużyli ze mną kontraktu, choć wygrywałem wyścigi, a nawet ukończyłem Tour, ciężko pracując na podjazdach, choć byłem przecież sprinterem. Pojechałem na wakacje absolutnie przekonany, że gdy wrócę, umowa będzie czekać na mój podpis.

Marco chciał ze mną jeździć – on nie chciał nic zmieniać – ale wokół niego nie brakowało ludzi, którzy dzięki niemu realizowali własne interesy. Martinelli uwierzył nagle, że jest najlepszym dyrektorem sportowym na świecie. Grupa dawnych bliskich współpracowników Marco zaczęła się rozpadać, a ja dostałem kopa w tyłek jako pierwszy".

Tak samo jak w latach ubiegłych Marco rozpoczął sezon w Hiszpanii. Zdominował wyścig Vuelta a Murcia, wygrywając pierwszy etap, zajmując czwarte miejsce na drugim, triumfując w klasyfikacji górskiej oraz w klasyfikacji generalnej. Ostatniego dnia lutego zajął ósme miejsce w Clásica de Almería. W tym czasie we Włoszech Davide Cassani rzucił mu wyzwanie w sprawie wyścigu Mediolan–San Remo–Mediolan, bo jego zdaniem Marco mógł kiedyś tam wygrać. Założył się z nim o dom, że nie wygra edycji 1999. Dwudziestego marca na podjeździe do Cipressy Pantani urwał się peletonowi, a potem popędził w dół ku morzu. Zupełnie nie interesowało go, że został dogoniony i zajął dopiero 62. miejsce. Zależało mu tylko na tym, żeby Cassani poczuł się przez chwilę zaniepokojony.

Kolejny raz wygrał 23 marca, na drugim etapie wyścigu Setmana Catalana. Potem jednak można było odnieść wrażenie, że pomimo ogromnej mocy w nogach wyrzekł się zwycięstw aż do Giro. Podczas wyścigu Vuelta al País Vasco, rozgrywanego od 5 do 9 kwietnia, był czwarty na drugim etapie, trzeci na trzecim etapie i ósmy w klasyfikacji generalnej. Podczas Giro del Trentino, rozgrywanego w dniach 26–29 kwietnia, był czwarty na drugim etapie, drugi na trzecim i trzeci w klasyfikacji generalnej. Drugiego maja zajął 17. miejsce w Giro di Toscana, na trasie dookoła Arezzo.

Na drugim etapie Giro del Trentino triumfował Riccardo Forconi, kolega zespołowy Marco, który w 1998 roku podczas

Giro został zawieszony za dodatni wynik badań krwi. Siedemnastego maja w jednym z wywiadów Ivano Fanini, *directeur sportif* w zespole Amore e Vita, wezwał władze Włoskiego Stowarzyszenia Kolarzy Zawodowych do wydania oświadczenia potępiającego. Fanini utrzymywał, że podczas Giro 1998 to u Marco stwierdzono podwyższony poziom hematokrytu, ale że wynik ten został przypisany Roberto Forconiemu, a ten przyjął zawieszenie. Z jednej strony wydawało się to mało wiarygodne, bo podmiana wyników testu wymagałaby skorumpowania co najmniej dwóch, może nawet trzech lekarzy z zespołu antydopingowego i zapewne jeszcze jakiegoś działacza UCI. Z drugiej strony natomiast Forconi przed przejściem do Mercatone Uno z początkiem sezonu 1998 przez pięć lat jeździł w ekipie Faniniego, więc ten doskonale go znał. Przedstawiciele Mercatone Uno poinformowali, że spotkają się z Faninim w sądzie, ale pozew nigdy nie wpłynął.

To nie był jedyny czynnik, który rozpraszał Pantaniego. Odkąd zatrudnił agenta, by ten maksymalizował jego potencjalną wartość rynkową, twarz kolarza widniała dosłownie wszędzie: na kioskach z gazetami, w sklepach sportowych, w sklepach Mercatone Uno, w salonach Citroëna, w oddziałach Romagna Bank, który nowym klientom otwierającym rachunki rozdawał nawet żółte koszulki. W związku z nadchodzącym Giro Marco wziął udział w reklamie telewizyjnej Citroëna – spoglądał znacząco w obiektyw kamery i mówił: „Chciałeś rower, to teraz na nim jeźdź!”. Trenował do późnych godzin popołudniowych, więc potem do ciemnej nocy nagrywał spoty. Powszechnie uważano, że trasa Giro została ułożona pod niego, więc oczekiwano od niego kompletnej dominacji – wszelkie inne wyniki byłyby uznane za upokorzenie. Tyle że w okresie przygotowawczym Pantani tracił cenny czas na regenerację organizmu.

Przed startem Giro 1999 Marco zjawił się w salonie piękności Pregnolato, gdzie półtrwałą kredką podkreślono mu oczy, żeby jego spojrzenie stało się bardziej wyraziste. Tak zachowują się gwiazdy rocka, więc włoska prasa chętnie to podchwyciła, robiąc z niego ikonę mody. Diego Dalla Palma, „makijażysta gwiazd", na łamach „Corriere della Sera" jako ekspert wyjaśniał Włochom, że to nie jest makijaż funkcjonalny („Nie istnieje makijaż chroniący przed kurzem") i że jego celem było „uwypuklić wybrane aspekty twarzy".

Gdy Marco zajmował się swoim wyglądem zewnętrznym, ludzie z CSAD przygotowywali się do tego, by móc zajrzeć do żył zawodników podczas nadchodzącego Giro. Organizatorzy wyścigu publicznie zadeklarowali, że chcieliby bardziej rzetelnej kontroli, a przedstawiciele CSAD postanowili potraktować tę deklarację poważnie. Na trzy dni przed startem, 12 maja, doktor Pasquale Bellotti, sekretarz CSAD, wystosował w „La Gazzetta dello Sport" list do prezydenta oraz sekretarza CONI i FCI, a także do członków komitetu organizacyjnego Giro. Opisywał plan prowadzenia testów prozdrowotnych w trakcie Giro d'Italia i apelował o współpracę w tym zakresie. Planował jednoczesne badania krwi i moczu, które miały ujawniać próby rozcieńczania krwi w przypadku stwierdzenia niskiego stężenia kreatyniny w moczu. Po aferze z Festiną nikt nie chciał już publicznie wypaść jako ten, kto utrudnia działania CSAD, mimo że instytucja ta mogła badać jedynie zawodników narodowości włoskiej. Kolarze oczywiście się zbuntowali, twierdząc, że są już poddawani badaniom półrocznym, kwartalnym, miesięcznym oraz niezapowiedzianym testom antydopingowym, prowadzonym przez CONI, UCI oraz FCI.

Marco znajdował się w samym centrum tych i innych kontrowersji. W Agrigento, skąd miało ruszyć Giro, Andrea

Agostini musiał tłumaczyć się z cytowanych w prasie jego słów, które mogły zostać uznane za znieważenie sądu: zapewniał, że Pantani „nigdy nie zarzucał sędziom, że nadużywają władzy. Stwierdził jedynie, że jest trochę poirytowany decyzjami sędziów, na skutek których odbywały się naloty na jego dom. Marco mówił o zupełnie zrozumiałym rozdrażnieniu, ale ogólnie pokłada pełną wiarę w system sprawiedliwości i ma do niego szacunek".

Wyścig zaczynał się w sposób zbliżony do farsy, w atmosferze teatralnego wręcz narzekania najważniejszych zawodników i najróżniejszych głosów oraz opinii ludzi stojących z boku. Koniec miał być opłakany, a może nawet tragiczny. Tuż przed pierwszym etapem, w okropnym sycylijskim upale, gdy Marco przepychał się ze swoim rowerem na linię startu, reporter z pewnego satyrycznego programu informacyjnego podstawił mu pod nos kamerę i zapytał: „Czy przysięgasz, że nie masz nic wspólnego z jakimkolwiek dopingiem?". Pytał o to tak długo, aż w końcu Marco się zatrzymał, popatrzył prosto w obiektyw i powiedział: „Giuro" (Przysięgam). Wieczorem dosłownie kipiał z wściekłości: „Nie mają do nas, kolarzy, nawet krzty szacunku. Nikt nas nie chroni. Naprawdę ciężko pracujemy, a tu ktoś taki jak ten facet może nagle podejść do nas z kamerą i nas zaatakować. Nie powinno to tak wyglądać". Cóż, miał rację, ów dziennikarz telewizyjny gonił za tanią sensacją, a Marco nie bardzo mógł powiedzieć coś, co by go tej sensacji pozbawiło. Nie zmienia to faktu, że po skandalach z lipca 1998 roku wiarygodność kolarstwa została mocno nadszarpnięta. Jeszcze zanim ruszyło Giro 1999, dwóch następnych kolarzy zostało zawieszonych za hematokryt przekraczający dozwolony poziom 50 procent. Pytania zadawano może i w mało kulturalny sposób, ale nie dało się ich uniknąć. Jeśli Marco nie umiał tego zrozumieć, to znaczy, że oszukiwał sam siebie.

Gdy wyścig wreszcie ruszył, pierwsze trzy etapy zakończyły się sprintem w grupie. Od południa mocno wiało sirocco, co dokuczało zawodnikom, podobnie jak krążące nieustannie plotki. W tym samym czasie w mediach zaczęły pojawiać się fragmenty książki ze wspomnieniami Willy'ego Voeta, masażysty Festiny.

Osiemnastego maja w Terme Luigiane zwycięzcą etapu został Laurent Jalabert, który wcześniej przeprowadził się do Szwajcarii i w związku z tym nie podlegał procedurze długoterminowego monitoringu zdrowotnego, wprowadzonej 1 stycznia 1999 roku przez francuskie Ministerstwo ds. Młodzieży i Sportu. Było to triumf numer 133 w jego karierze. Dwudziestego maja, na szóstym etapie, najdłuższym w całym wyścigu, jadący w różowej koszulce lidera Jalabert został przytrzymany na trasie przez kraksę. Przy dość silnym wietrze zespołowi partnerzy Marco pociągnęli grupę z maksymalną szybkością, zmuszając lidera do panicznej pogoni. Udało mu się dopaść prowadzącą grupę, ale inni – ze szczególnym uwzględnieniem górali Virenque'a i Herasa – stracili tam prawie pięć minut. Ich rywalizacja z Marco skończyła się, jeszcze zanim zdążyła się zacząć.

Dziewiętnastego maja przedstawiciele CSAD ogłosili, że pierwsze testy w ramach kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem" odbędą się od 8:00 do 10:30 rano 21 maja, przed rozpoczęciem etapu. Lekarze mieli działać w hotelu President w Foggii. Od samego początku była to jedna wielka klapa. Dwudziestego maja o 18:00 zorganizowano spotkanie informacyjne dla zespołowych lekarzy. Obecny był na nim dyrektor wyścigu Carmine Castellano, koordynator wyścigu oraz przedstawiciele CONI. Problem w tym, że nikt nie poinformował zespołowych lekarzy. Organizatorzy utrzymywali, że nie mieli pojęcia, że mieli przekazać im wiadomość o spotkaniu. Prezentacja dla

lekarzy się zatem nie odbyła i uczestnicy spotkania przeszli od razu do losowania zespołów, które miały zostać poddane testom nazajutrz rano: okazało się, że będą to Mobilvetta-Northwave, Ballan-Alessio oraz Vini Caldirola-Sidermec. Przekazano tę informację dyrektorom sportowym oraz lekarzom tych ekip, a następnie pospiesznie zwołano spotkanie z nimi w porze wieczornej. Lekarzom pokazano pomieszczenia, w których odbędą się badania, a ci nie zgłosili zastrzeżeń. Późnym wieczorem w gronie wybranych zespołów omawiano możliwość zbojkotowania etapu zaplanowanego na następny dzień. Przeciwko temu pomysłowi zaprotestował zespół Mapei, którego *directeur sportif* Serge Parsani mówił: „Mamy nadzieję, że kontrole będą kontynuowane. Jeśli ktoś na nie narzeka, to znaczy, że ma coś do ukrycia". Andrea Tafi, mistrz Włoch, dodawał: „Mogą codziennie pojawiać się u mnie w domu i testować mnie do woli".

Nazajutrz rano na kontroli pojawiło się tylko 16 zawodników. Pobieranie krwi ruszyło o 8:30 rano i natychmiast pojawiły się trudności. Probówka użyta do pobrania próbki już od pierwszego badanego miała wadliwe zamknięcie, przez co krew rozchlapała się po stole i po podłodze. Kiedy osoby prowadzące badania skończyły sprzątać, okazało się, że nie zostało im wystarczająco dużo lateksowych rękawiczek, by w zgodny z procedurami sposób pobrać krew od wszystkich. Gdy zespołowi lekarze i dyrektorzy sportowi ekip zobaczyli, że zawodnikom krew pobiera personel bez rękawiczek, zaczęli ostro protestować, tym samym wywierając dodatkową presję na kontrolerów. Zbiórka krwi zakończyła się o 9:50. Próbki przewieziono do Bari, a wyniki były w rękach kontrolerów o 13:30.

Po zakończeniu etapu prowadzący badania spotkali się z lekarzami zespołowymi dwóch mniej znanych zawodników,

w których wynikach pojawiły się anomalie. Byli to Filippo Casagrande i Guido Trombetta. Obaj mieli hematokryt w normie – odpowiednio 43 i 48 procent – ale w ich moczu stwierdzono stężenie kreatyniny zdecydowanie poniżej dolnej granicy normy, wynoszącej cztery milimole/litr, wartość tak niską, że albo oznaczała chorobę, albo świadczyła o rozcieńczaniu krwi, a był to standardowy zabieg mający obniżać sztucznie zawyżony poziom hematokrytu. Casagrande i Trombetta zostali poproszeni o zastosowanie się do warunków kampanii, do której obaj przystąpili dobrowolnie – mieli wycofać się z wyścigu i poddać ponownym testom.

Trombetta zaakceptował decyzję o swoim zawieszeniu, ale Filippo Casagrande się opierał. Nazajutrz przefaksował do CONI następujące oświadczenie:

*Ja, niżej podpisany Filippo Casagrande, niniejszym wycofuję moją deklarację o przystąpieniu do narodowej kampanii CONI-FSN „Nie ryzykuję zdrowiem" z uwagi na to, że badania wykonane 21 maja 1999 roku nie [!] dają gwarancji wystarczającej dokładności, abym czuł, że moje prawa są należycie chronione. W związku z tym nie akceptuję decyzji o zawieszeniu mojego udziału w wyścigu.*

Czterech innych zawodników – Mauro Radaelli, Massimo Apollonio, Gianluca Siboni i Mauro Zanetti – wysłało faksem oświadczenia podobnej treści, tyle że bez ostatniego zdania zaczynającego się od „W związku z tym…". Co prawda, nie grożono już bojkotem mającego wystartować nazajutrz etapu, ale atmosfera była napięta. Rzecznikiem niezadowolonych został Marco: „Te testy przestały służyć monitorowaniu naszego zdrowia i zapobieganiu problemom. Chodzi w tym już o coś

innego”. W trakcie wywiadu telewizyjnego wdał się w kłótnię z Andreą Tafim z Mapei. Eugenio Capodacqua, dziennikarz „La Repubblica”, donosił później, że „niejeden jego rozmówca, w tym również zawodnicy, wyrażał silne podejrzenia co do niesamowitych osiągów niektórych uczestników wyścigu na podjazdach”.

Na starcie ósmego etapu Andrea Tafi został mocno zelżony przez grupę innych kolarzy, w której prym wiódł Marco. Tafi jechał potem w ogonie peletonu zalany łzami. Nie wycofał się z wyścigu tylko dlatego, że wsparli go zespołowi koledzy i szefostwo ekipy. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów dalej, na podjeździe na Gran Sasso d’Italia, Marco zaczął powoli podkręcać tempo. Nie było żadnego gwałtownego zrywu, a jedynie coraz szybsza jazda między wielkimi zwałami śniegu. Na ostatniej prostej jego twarz była wykrzywiona w strasznym grymasie. Potem Pantani uniósł rękę w geście zwycięstwa, drugi José María Jiménez miał do niego 23 sekundy straty.

Po ukończeniu etapu Marco tak uzasadniał swoje zachowanie względem Tafiego: „W zeszłym roku, na koniec Giro, przedstawiciel Mapei bardzo poważnie sugerował, że podmieniono próbki krwi. Tamte sugestie kładą się cieniem na wiarygodności całej tej kontroli. Jakim cudem ci sami ludzie mówią teraz: »Kontrolujmy«? A może w zeszłym roku ktoś za wszelką cenę chciał dostać głowę Pantaniego, ale jej nie dostał?”.

Na etapie dziewiątym rozegrano 32-kilometrową indywidualną jazdę na czas ze startem i metą w Anconie na wybrzeżu adriatyckim, 100 kilometrów na południe od Rimini. Trombetta i Filippo Casagrande postawili się przedstawicielom CSAD i stanęli na starcie etapu, choć Trombetta zakończył protest, schodząc z trasy i wycofując się z wyścigu. Spodziewano się, że Marco odnotuje stratę do takich

zawodników jak Jalabert czy Honchar, którzy w mistrzostwach świata w jeździe na czas w 1997 roku zajęli odpowiednio pierwsze i drugie miejsce. No i ją odnotował, ale jego występ okazał się równie znakomity jak podczas czasówki w Lugano w 1998 roku. I tam, i teraz w Anconie Marco był trzeci. Jalabert wdział różową koszulkę dzięki przewadze dwóch setnych sekundy.

Ancona okazała się też kolejnym polem bitwy dla przedstawicieli CSAD prowadzących testy. Dzień wcześniej Hein Verbruggen, prezydent UCI, oświadczył, że prowadzona przez CSAD kampania w rażący sposób narusza przepisy UCI, które zabraniają prowadzenia na imprezach międzynarodowych jakichkolwiek badań krwi innych niż te organizowane przez UCI. Jak nietrudno się zatem domyślić, trzy z czterech zespołów wybranych do testów przed czasówką w Anconie – Team Polti, Saeco i Lampre – odmówiły poddania się kontroli. Czwarta ekipa, Riso Scotti, ogłosiła, że jej zawodnicy są dostępni dla kontrolerów, ale sami kolarze podjęli indywidualne decyzje o uchyleniu się od badań. Potem do akcji wkroczyła ekipa Mapei: w obecności prezydenta oraz sekretarza generalnego FCI kierownictwo Mapei, personel medyczny oraz kolarze tego zespołu poprosili o poddanie ich kontroli i wyrażali się o kampanii z wielkim entuzjazmem. Filippo Casagrande tymczasem spokojnie jechał dalej.

Dwudziestego piątego maja Giro wjechało do Cesenatico. Na trzy ostatnie okrążenia pętli wytyczonej wokół miasteczka Marco skierował swoich kolegów na czoło peletonu, bo mieszkańcy jego rodzinnego miasta tłumnie ustawili się przy drodze, by przywitać swego najsłynniejszego syna. Etap wygrał sprinter Ivan Quaranta. Nazajutrz rano, o 7:35, za pośrednictwem swojego zespołu Marco został wezwany na

badanie krwi organizowane przez UCI. Zgodnie z przepisami UCI musiał się na nich stawić o 7:45. W 1998 roku UCI skróciła bowiem czas od wezwania do stawienia się na kontrolę z 30 do dziesięciu minut. Chciała w ten sposób dać kolarzom mniej czasu na rozcieńczenie krwi w celu zamaskowania podniesionego poziomu hematokrytu. Pantani pojawił się na kontroli o ósmej rano, czyli 15 minut po wyznaczonym limicie. Antonio Coccioni, lekarz reprezentujący UCI, usłyszał, że spóźnienie wynikało z faktu, że akurat tej nocy Marco spał u siebie w domu. Na zaświadczeniu z kontroli odnotowano tę godzinę, a Coccioni wystosował ostrzeżenie wobec kolarza oraz kierownictwa zespołu. Żadnych dalszych kroków nie podjęto. Warto podkreślić, że informacja o zespołach wybranych do kontroli już wcześniej wyciekła do prasy, więc testy, które z założenia miały być niezapowiedziane, nie były dla nikogo zaskoczeniem. Żeby formalności stało się zadość: hematokryt Marco wyniósł 47,4 procent.

Następny etap, do Rapallo, wygrał niezniszczalny Richard Virenque, który w procesie Festiny nadal podkreślał swoją niewinność, i to nawet pomimo rewelacji Willy'ego Voeta. Gdy cieszył się z tego zwycięstwa, dowiedział się, że postawiono mu w tamtej sprawie zarzuty. Liderem wyścigu pozostawał Laurent Jalabert, ale Pantani deptał mu po piętach. Dwudziestego ósmego maja, w dniu wolnym, Marco pojechał na rekonesans do Madonna del Colletto, na ostatni podjazd na etapie zaplanowanym na następny dzień. „Zjazd jest bardzo trudny i ciężki", skomentował, bo droga faktycznie była niezwykle kręta. Etap ten wygrał Paolo Savoldelli, kolarz słynący ze zjazdów na złamanie karku. Marco finiszował drugi, zyskał nad Jalabertem minutę i 41 sekund i objął prowadzenie w generalce.

Kolejny etap rozgrywał się tak, jakby miał być kanwą jakiegoś komiksu. U podnóża ostatniego podjazdu, na osiem kilometrów przed metą w sanktuarium w Oropie w północnym Piemoncie, Marco znajdował się w pobliżu prowadzącej grupy, gdy spadł mu łańcuch. Zanim dotarł do niego samochód serwisowy, uciekinierzy zdążyli mu odjechać. Został sam. W grupie znajdowało się pięciu jego zespołowych kolegów, którzy zjechali teraz na bok i czekali na niego, a potem ustawili się w równiutkim rządku, by go pociągnąć. Wkrótce dogonili ostatnich zawodników z ucieczki, ale partnerzy Marco zaczęli jeden po drugim opadać z sił i zostawali z tyłu. W końcu pędził pod górę sam. Linia wyścigowa prowadziła wzdłuż kamiennej ściany po lewej stronie drogi. Marco dopadł Jalaberta na dwa i pół kilometra przed metą. Wcześniej zdążył wyprzedzić 48 rywali. W geście szacunku Francuz oddał Pantaniemu linię wyścigową. Marco przemknął obok niego, Jalabert zawisł mu na kole, ale drobna sylwetka Pantaniego nie dawała zbyt wiele cienia aerodynamicznego. Jalabert przegrał z grawitacją, nie wytrzymał kolejnego przyspieszenia Marco. Pod sanktuarium w Oropie Marco nie okazał żadnej radości, nie uniósł nawet ręki. Stwierdził potem, że nie miał pewności, czy wygrał.

Podczas wywiadu zaraz za metą powiedział: „Byłoby łatwiej, gdybym miał chwilę na złapanie oddechu”. Potem się uśmiechnął, po raz pierwszy podczas całego wyścigu. Tego wieczoru zapytano go o Tour de France. Na trzecim etapie Deutschland Tour Jan Ullrich zahaczył o koło zespołowego kolegi Udo Böltsa i upadł. Nabawił się kontuzji kolana, która wyeliminowała go z udziału w Tour de France 1999. „Przykro mi, że miał pecha. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Ogólnie na razie w ogóle nie myślę o Tourze. Nie wydaje mi się, żebym miał w nim pojechać”. Nazajutrz Jalabert pokonał Marco

w sprincie i wygrał etap z metą w Lumezzane, 20 kilometrów na północ od Brescii.

Drugiego czerwca odbyła się 45-kilometrowa czasówka po równinach w okolicach Treviso. Przed startem przewaga Marco nad Savoldellim i Jalabertem, którzy byli specjalistami od jazdy na czas, wynosiła niewiele ponad dwie minuty. Po czasówce zaplanowano trzy ciężkie etapy górskie. Szczególnie wymagająco zapowiadał się przedostatni. Kolarze mieli wyjechać z Madonna di Campiglio, przejechać przełęcze Tonale i Gavia, potem pokonać horrendalnie stromy podjazd na Passo del Mortirolo, a potem przez Valico di Santa Cristina dotrzeć na metę w miejscowości Aprica. Miało to stanowić najbardziej spektakularne tło dla występu, którego spodziewano się po Marco. Na razie jednak przed czasówką w Treviso Pantani podkreślał: dwie minuty to za mało, żeby utrzymać prowadzenie w klasyfikacji generalnej.

Przed rozpoczęciem etapu przedstawiciele CSAD zaprosili na testy zespoły, których nie badano wcześniej. Były to Mercatone Uno, Liquigas, Amica Chips, Navigare i Cantina Tollo. Pierwsze cztery odmówiły bez ogródek, a kierownictwo Cantina Tollo dało swoim zawodnikom wolny wybór w tej kwestii, a kolarze jednogłośnie postanowili się nie badać. Marco pojechał bardzo dobrze, zajął siódme miejsce i stracił do zwycięzcy – Ukraińca Serhija Honczara – tylko minutę i 38 sekund. Savoldelii, drugi na tym etapie, odrobił 81 ze 125 sekund, które tracił na starcie do Marco, Jalabert zaś – 57 ze 126 sekund. Zajmowali teraz drugie i trzecie miejsce w generalce ze stratą odpowiednio 44 sekund oraz 69 sekund.

Trzeciego czerwca Zaina i Borgheresi, partnerzy zespołowi Marco, doprowadzili go w strategiczny punkt trasy, wypadający na cztery kilometry przed metą etapu w Alpe di Pampeago. Roberto Heras nie był w stanie utrzymać jego tempa i tak oto

Marco wygrał swój trzeci etap podczas wyścigu. Tego wieczoru powtórzył, że nie ma zamiaru startować w najbliższej edycji Tour de France. „Nie pojadę na Tour, żeby zająć tam trzecie czy czwarte miejsce. Trasa tego wyścigu nie sprzyja moim atakom. Podejmuję tę decyzję z rozmysłem, żeby dać do myślenia organizatorom. My, górale, na podjazdach harujemy z całych sił. To my tworzymy kolarski spektakl, ale jakoś nikt się nami nie przejmuje. Co miałbym niby robić na Tourze, na którym nie ma takich etapów, żebym mógł sobie poszaleć?". Słowo, którego użył Marco – *sfogarmi* – oznacza nawet trochę więcej: „dać upust emocjom", „otworzyć serce". Właśnie tak bowiem postrzegał swoje ataki – to był upust dla czegoś, co się w nim zbierało.

Czemukolwiek dał upust na Alpe di Pampeago, powiększył przewagę nad Paolo Savoldellim do trzech minut i 42 sekund. Nazajutrz czekały ich kolejne góry, na które trzeba się było wspiąć. Na dziewięć kilometrów przed metą w Madonna di Campiglio, gdy zrobiło się stromo, pięciu zespołowych kolegów Marco ciągnęło swojego lidera oraz jakichś 15 rywali. Mieli 35 sekund straty do niedobitków z grupy ucieczkowej. Pascal Richard, mistrz olimpijski, który jechał w tej ucieczce przez cały dzień, znalazł siły na jeszcze jeden atak i powiększył przewagę do 50 sekund. Razem z nim ruszył Kolumbijczyk Hernán Buenahora, choć zapewne podejrzewał już, że wszelki opór jest bezcelowy. Mimo to na cztery kilometry przed metą obaj mieli jeszcze całą wypracowaną przewagę. Najwyraźniej te cztery kilometry były receptą Marco na sukces na każdym etapie. Dokładnie tam gwałtownie przyspieszył, a za nim ruszył jeszcze Simoni.

Buenahora zgubił Richarda i był przekonany, że jedzie po etapowe zwycięstwo, ale nagle zobaczył, jak obok niego przemyka Marco. Kolumbijczykowi udało się załapać w cień

aerodynamiczny Pantaniego, ale tempo, które było dla niego sprintem, Marco mógł utrzymać przez całe kilometry. Kilka sekund później Marco przyspieszył raz jeszcze i tym samym zgubił rywala. Buenahora jechał imponująco szybko, ale kiedy dotarł do znaku ustawionego na trzy kilometry przed metą, Pantani miał już nad nim 37 sekund przewagi. Jeżeli na tych ostatnich czterech kilometrach przed metą Marco choć raz usiadł na siodełku, to w telewizyjnej relacji tego nie widać. Dał prawdziwy popis wspinaczki na rowerze: nagłe przyspieszenie, utrzymanie tempa, powtórka. Na trasie tego etapu nie było oczywiście Ullricha, ale rywalizowała z nim – a w zasadzie usiłowała, bo nikt nie potrafił mu sprostać – sama światowa śmietanka kolarskich górali, z Francji (Virenque), Hiszpanii (Heras i Jiménez), Włoch (Simoni i Gotti) i Kolumbii (González i Buenahora).

Na mecie Marco znów nie okazał ani odrobiny radości. Chował oczy za ciemnymi, lustrzanymi szkłami w ekscentrycznych żółtych oprawkach. Usta miał otwarte w grymasie.

# Rozdział 12.
# Madonna di Campiglio

## 4–6 CZERWCA 1999

Włochy wpadły w zachwyt. Nastrój udzielił się również Pierowi Bergonziemu z „La Gazzetta dello Sport", gazety będącej organizatorem wyścigu: „Tego typu zwycięstwa, jeden taki triumf za drugim, piszą historię kolarstwa". Candido Canavó, dyrektor „La Gazzetta" o zdecydowanie katolickim światopoglądzie, napisał felieton, który zaczął od dość nietypowego stwierdzenia: „Każdy kolejny atak był jak akt miłosny". Sponsorzy wyścigu i reklamodawcy też musieli być w znakomitych nastrojach, bo Marco zapewnił im kontakt z olbrzymią grupą odbiorców – transmisję telewizyjną z ostatnich 40 minut etapu w piątkowe popołudnie oglądało niemal pięć milionów osób. Wartość rynkowa Giro d'Italia musiała wtedy wzrosnąć. Marco osiągał nadzwyczajne wyniki, ale jakoś zupełnie nie okazywał emocji. Wygrał wszystkie etapy z metą na szczycie góry z wyjątkiem Monte Sirino, w dwóch czasówkach zajął trzecie i siódme miejsce. Drugi w klasyfikacji generalnej Paolo Savoldelli tracił do niego pięć minut i 38 sekund. W godnej tyrana postawie Marco było coś mechanicznego, żeby nie powiedzieć nieludzkiego. Teoretycznie nadal mógł przegrać wyścig, na przykład na skutek upadku czy jakiegoś katastrofalnego kryzysu formy, ale tak naprawdę jeśli chodzi o ostatni, mający odbyć się nazajutrz etap górski, trasę z Madonna di Campiglio do miejscowości Aprica, wszystkich interesowało tylko to, w jakim stylu i z jaką przewagą wygra Marco.

W niewielkim, zamkniętym świecie kolarskim uznanie nie było jednak aż tak entuzjastyczne. Przedostatnim zawodnikiem z grupy uciekinierów, którego wyprzedził Marco, był Pascal Richard, urzędujący mistrz olimpijski, powoli zbliżający się już do kresu kariery. Na mecie Richard stwierdził znacząco, że byłoby miło, gdyby mógł wygrać ten etap. Pantani odparł oschle: „Gdybym ja go nie wyprzedził, zrobiłby to ktoś inny". Miał rację: Richarda dopadły i zostawiły z tyłu dwie kolejne grupy pościgowe, a ostatecznie na mecie pojawił się w ogonie trzeciej takiej grupy, ze stratą minuty i 49 sekund do Marco. Niemniej jednak frustrację Richarda podzielało wielu innych zawodników. Filippo Grimaldi, dziennikarz „La Gazzetta dello Sport", zauważył: „Dwadzieścia etapów bez choćby jednej udanej ucieczki. Rekord". Podczas tamtego Giro ukuto termin *fuga da telecamera* – ucieczka telewizyjna – na opisanie ataków z góry skazanych na niepowodzenie, wyprowadzanych za przyzwoleniem peletonu, by mniej znani zawodnicy mieli swoje pięć minut, a ich sponsorzy mogli liczyć na kilka dłuższych chwil na wizji. Ronchi powiedziała mi: „Stałam wtedy na mecie z Fabrizio Borrą. Gdy Pantani zaatakował i wygrał, Borra stwierdził: »Spójrz, Marco jest niesamowity. Mógł sobie darować ten wysiłek, ale zobaczył tych wszystkich fanów, którzy przyjechali tu dla niego, więc miał poczucie, że gdyby nie wygrał, toby ich zdradził«. Wokół słyszałam jednak też inne głosy: »Przegina, nie da wygrać nikomu innemu«". Martinelli powiedział Ronchi, że Marco jest spięty i lepiej mu teraz nie zawracać głowy. Tego wieczoru już więcej go nie widziała.

Oznaki niezadowolenia zaczęły pojawiać się nawet na łamach „La Gazzetta dello Sport". Na trzeciej stronie pojawił się artykuł Angelo Zomegnana zatytułowany *Nienasycony*: „Wczoraj rano dawał do zrozumienia, że nie będzie gonił

zawodników, którzy nie stanowią dla niego zagrożenia w klasyfikacji generalnej. Mimo to na niecałe sześć kilometrów przed metą, sprowokowany zrywami Jalaberta i Simoniego, w końcu nie mógł już dłużej spokojnie jechać w cieniu aerodynamicznym swoich *domestiques*". Martinelli mówił przy innej okazji, że jego zespół chciał, aby uciekinierom się udało. „Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby dać im odjechać. To inni ich dogonili. Chłopaki z Vini Caldirola musieli bronić miejsca Honczara w klasyfikacji generalnej, a zespół Helme robił to samo dla Herasa. Wiem, jak to działa, kiedyś sam musiałem gonić ucieczki w obronie piątego albo szóstego miejsca. Tylko że gdy Marco widzi, jak przyspieszają na jego oczach, musi zareagować. Jest mistrzem, więc to zupełnie logiczne". Tytuł artykułu Piera Bergonziego stanowił parafrazę słów Pantaniego na konferencji prasowej: „Jeśli możesz wygrać, to musisz to zrobić". Marco mówił dalej: „Nie zamierzałem dzisiaj atakować, ale najpierw spróbował Simoni, za nim ruszył Jalabert i tak oto znalazłem się na kole tego drugiego". Do działania skłoniło go umiłowanie hierarchii. „Nie należę do zawodników, którzy w górach będą wisieć Jalabertowi na kole, więc mu odjechałem. Gdy jechałem już sam, czułem się jeszcze lepiej. To był jakiś stan łaski". Dalej wyjaśniał to tak: „To nie my podpaliliśmy lont. Mogłem puścić tę ucieczkę, mnie to odpowiadało. To inni postanowili ją gonić. Gdy zaatakowali Simoni i Jalabert, uznałem, że powinienem podjąć to wyzwanie. Żałuję tylko tego, że nie było bardziej stromo".

Po zakończeniu oficjalnej poetapowej konferencji prasowej Marco był wolny, mógł wrócić do hotelu na masaż, kolację i odpoczynek przed wymaganiami następnego dnia. Nie było po nim jednak widać satysfakcji. Antonio Dallagiacoma, właściciel hotelu Touring w Madonna di Campiglio, w rozmowie ze mną wyznał, że tamtego wieczoru w jego hotelu atmosfera była

daleka od euforycznej: „Marco wszedł bocznymi drzwiami, od strony, gdzie jego ojciec zaparkował kampera. Poznał moją żonę już w grudniu, gdy przyjechał do Madonna do Campiglio na treningi. Zatrzymał się wtedy w hotelu Zeledria, należącym do jej przyjaciółki. Gdy moja żona zobaczyła zatem, jak wchodzi do nas, powiedziała: »Brawo, Marco!«, na co on odparł »Grazie«, ale w ogóle nie wyglądał na zadowolonego". Dallagiacoma wspomina również, że jeden z najważniejszych członków ekipy Marco siedział na kanapie w hotelowym lobby, czekając na Pantaniego. Gdy ten się pojawił, przywitał go słowami w stylu: „Coś ty narobił?". „Marco poszedł wprost do swego pokoju – kontynuuje opowieść Dallagiacoma. – Zespół Mercatone Uno zarezerwował całe drugie piętro, a kolarze i masażyści sami rozdzielili pokoje między siebie. Z niektórych pokoi wystawili łóżka, by zrobić więcej miejsca do masowania. W ten sam sposób postąpili ludzie z Saeco, rozlokowani na pierwszym i trzecim piętrze, choć na poziomach zajętych przez Saeco kilka pokoi mieli też prywatni goście".

Żona Dallagiacomy porównuje nastrój Marco do nastroju innych kolarzy w czasie tamtego wieczoru: „Pamiętam, że zawodnicy Saeco byli raczej radośni, za to Marco Pantani miał poważną minę, podkrążone oczy i w ogóle się nie uśmiechał. Pomyślałam sobie, że to bardzo dziwne w przypadku kogoś, kto właśnie wygrał etap i umocnił się na prowadzeniu w klasyfikacji generalnej. Uznałam, że być może został skrytykowany za to zwycięstwo, że może zdaniem innych nie powinien walczyć o triumf na tym etapie".

Jeszcze zanim wieczorem czwartego czerwca 1999 roku Marco wrócił z konferencji prasowej do hotelu Touring, kilku gości zameldowało się w pobliskim hotelu Majestic. Grupę tę tworzyli między innymi dyrektor ds. medycznych w UCI,

Antonio Coccioni, znakomicie znany we włoskim środowisku kolarskim; trzech lekarzy, Mario Spinelli, Eugenio Sala i Michelarcángelo Partenope ze szpitala Sant'Anna w Como, były zawodnik Davide Cassani, obecnie pracujący jako komentator i ekspert dla włoskiej telewizji publicznej Rai, a także Angelo Francini, właściciel firmy zajmującej się marketingiem produktów podczas imprez sportowych, a od stycznia 1995 roku również doradca Włoskiego Związku Kolarskiego. Trzech lekarzy zamówiło budzenie na 5:30 rano, później już nikt ich tego wieczoru nie widział.

W hotelu Touring przedstawiciel jednej z dwóch nocujących tam ekip poprosił właściciela o otwarcie drzwi nazajutrz o 6:30 rano, ponieważ mieli wtedy przyjechać kontrolerzy z UCI. Dallagiacoma obejrzał zdjęcia ówczesnych członków ekip Saeco i Mercatone Uno, ale nie potrafił wskazać osoby, która przyszła do niego z tą prośbą. Umiał powiedzieć jedynie tyle, że na pewno nie byli to Martinelli, Rempi ani Corti. Stwierdził, że był to zapewne jakiś mechanik albo *soigneur* – ktoś, komu uważnie się nie przyjrzał. Na pytanie, dlaczego jego zdaniem ekipy spodziewały się wizyty kontrolerów, Dallagiacoma odpowiedział: „Moim zdaniem dlatego, że minęło już kilkanaście dni, a oni ciągle nie mieli kontroli".

Pewien gość, który spędził tę noc w hotelu Majestic, wspominał: „W hotelu pojawił się Antonio Coccioni, komisarz odpowiedzialny za niezapowiedziane kontrole prowadzone przez UCI. Nietrudno jest skojarzyć jego obecność z kontrolami, o których rozmawiamy. Chcę przez to powiedzieć, że moim zdaniem to on jest odpowiedzialny za większość tych kontroli. Pamiętam, że tamtego wieczoru spotkałem przypadkiem Coccioniego w hotelowym korytarzu, a on poprosił mnie, żebym nikomu nie mówił o jego obecności w tym miejscu. Muszę jednak podkreślić, że w tym samym hotelu zatrzymało się wielu

innych gości, w tym dziennikarze i oficerowie prasowi Giro d'Italia. Jest zupełnie prawdopodobne, że to ktoś z nich powiadomił ekipy o pojawieniu się Coccioniego, a jego obecność oznaczała przecież kontrolę antydopingową, która niniejszym przestawała być niezapowiedziana. Warto podkreślić, że podczas dużych wyścigów etapowych niezapowiedziane kontrole często przeprowadza się w dwóch ostatnich dniach imprezy i obejmują one zawodników na najwyższych miejscach w klasyfikacji generalnej".

Inne źródło twierdzi, że 4 czerwca ktoś zadzwonił do hotelu Majestic i przez telefon przekazał kontrolerom nazwiska kolarzy, którzy mieli zostać poddani badaniom. Telefon odebrał ktoś z działaczy, osoba trochę „przygłucha", która głośno powtarzała nazwiska wyznaczonych kolarzy, gdy nieopodal znajdowali się ich dyrektorzy sportowi.

Zawodnicy mający być poddani kontroli byli wybierani przez UCI lub FCI w porozumieniu z organizatorami wyścigu. Następnie o decyzji informowano inspektora medycznego lub dyrektora sportowego ekipy, w której dany kolarz jeździł. Zgodnie z protokołem UCI *directeur sportif* wybranego zawodnika powinien zostać powiadomiony nie wcześniej niż na dziesięć minut przed kontrolą, choć pojawienie się zawodnika minutę czy dwie minuty po czasie było zwyczajowo tolerowane. W tym przypadku wyglądało to jednak inaczej, ponieważ nie ulega najmniejszej wątpliwości, że późnym wieczorem 4 czerwca w Madonna di Campiglio nie tylko powszechnie wiedziano, że nazajutrz rano odbędą się rzekomo niezapowiedziane badania krwi, ale też dyrektorzy sportowi wybranych do kontroli ekip wiedzieli, że kontrolerzy przyjadą właśnie do nich. Być może znali nawet nazwiska konkretnych zawodników. Nie pierwszy raz zresztą. Na dzień przed kontrolą w Cesenatico nazwy zespołów, do których nazajutrz rano mieli

zapukać kontrolerzy, zostały opublikowane w ogólnokrajowej gazecie. Żeby ten przeciek zneutralizować, lista zespołów została zmieniona, z wyjątkiem Mercatone Uno; ekipa Pantaniego wiedziała zatem o kontroli z 24-godzinnym wyprzedzeniem.

Po trzech tygodniach ścigania, oczekując kontroli o 6:30 nazajutrz rano, przed zaczynającym się o 10:50 jakże trudnym 190-kilometrowym etapem z trzema wielkimi przełęczami do pokonania, można by się spodziewać, że Marco pójdzie spać raczej dość wcześnie. Tymczasem późnym wieczorem siedział w hotelowej restauracji i jadł 400-gramową porcję ryżu. Był pogrążony w rozmowie z Candido Cannavó. W felietonie opublikowanym rok po śmierci Marco Cannavó tak wspominał tamtą rozmowę: „Twarzą w twarz, nad nietkniętym stekiem, debatowaliśmy nad przyszłością i całym złem tego świata. Mówiliśmy o cierpiących dzieciach i planowaliśmy, że zainwestujemy jego sportową chwałę w projekty na rzecz solidarności społecznej". W praktyce ruszyło już domino, które miało pokrzyżować te szlachetne ambicje.

Dallagiacoma opowiadał mi: „Wszyscy przyjechali do nas, bo o tej godzinie w bardzo niewielu hotelach działała jeszcze kuchnia. Byli tu ludzie ze wszystkich najważniejszych zespołów. Wcześniej z Mercatone Uno dostaliśmy faksem preferowane przez nich menu, więc zakupiliśmy składniki na zapas, ale oni o 17:00 zmienili zdanie i zmodyfikowali menu. Drogi były zamknięte dla ruchu samochodowego, więc musieliśmy wziąć plecaki i zejść z nimi do miasta po nowe produkty, a potem wnieść wszystko na górę. Tamtego wieczoru mieliśmy do obsłużenia ponad 120 osób, więc kolację wydawaliśmy w dwóch turach. Ludzie jedli do północy. Nie wiedzieliśmy, kim są ani kto za to płaci, więc ostatecznie połowę rachunku

dopisaliśmy ekipie Saeco, a drugą połowę ekipie Mercatone Uno. Zapłacili firmowymi kartami kredytowymi”.

Fabrizio Borra pamięta, że jakoś po północy zapytał Marco, czy ten niepokoi się jutrzejszą kontrolą. Marco odparł: „Oczywiście, że jesteśmy przygotowani. Przecież nie jestem głupi. Giro mam już w kieszeni. Ale w sumie, tak dla pewności, sprawdźmy jeszcze raz”. Wtedy zupełnie normalne było to, że zawodnicy mają własne przyrządy do pomiaru ilości czerwonych krwinek i sami się badali przed oficjalnymi kontrolami. Ronchi twierdzi, że Marco badał sobie krew w towarzystwie ojca i Fabrizio Borry. Twierdzi też, że otrzymał wynik 48,6 procent. „Widzisz?” – miał rzekomo powiedzieć. – „Wszystko zgodnie z przepisami”.

W tym czasie Dallagiacoma widział, jak lekarz Mercatone Uno wychodzi z hotelu: „Pamiętam, że doktor Rempi wyszedł po północy. Nie wiem, o której wrócił. Gdy widziałem go po raz ostatni, sprawiał wrażenie spokojnego”. Żona Dallagiacomy dodała: „Doskonale pamiętam, że widziałam doktora Rempiego wychodzącego z hotelu około północy, był w towarzystwie hostessy pracującej przy wyścigu, dziewczyny z długimi czarnymi włosami o lekko orientalnej urodzie. Pomyślałem sobie wtedy, że to nieodpowiedzialne z jego strony, bo gdyby któryś z kolarzy nagle zachorował, trudno byłoby go znaleźć. Nie wiem, dokąd poszedł, nie widziałam też, kiedy wrócił”.

Ronchi powiedziała w rozmowie ze mną: „Od organizatorów Giro d’Italia dostałam zaproszenie na dyskotekę w Madonna di Campiglio, gdzie odbywało się przyjęcie. Około pierwszej w nocy natknęłam się tam na Agostiniego i doktora Rempiego, więc pomyślałam sobie: »Jutro etap z podjazdem na Passo del Mortirolo, a lekarz zespołowy bawi się na dyskotece«. Nie wydało mi się to zbyt profesjonalne”.

Santino Battaglia, hotelowy konsjerż, kładł się spać gdzieś między trzecią a wpół do czwartej. Do tego czasu Rempi nie wrócił jeszcze do hotelu. Dallagiacoma otworzył drzwi o czwartej rano, po czym poszedł do kuchni, żeby zacząć przygotowywanie śniadania. Jak sam podkreśla: „Na dole drzwi były otwarte na oścież, bo do zespołowych autokarów pociągnięto tamtędy przewody elektryczne i węże z wodą". Rempi mógł wrócić do hotelu zupełnie niezauważony w dowolnym momencie po czwartej rano. „Między wpół do ósmej a ósmą zeszli kolarze i zjedli osiem wielkich *crostate di marmellata* [domowej roboty tart z dżemem] oraz mnóstwo jedzenia w formie bufetu. Potem, przed wyjazdem na etap, jedli jeszcze makaron i omlety. Pod hotelem kręciły się dziesiątki dziennikarzy i fanów".

Lekarze Sala, Spinelli i Partenope zostali obudzeni o wpół do szóstej, zgodnie z życzeniem. Kontrole prowadzone przed etapami musiały odbywać się dokładnie według procedur UCI i z wykorzystaniem przyrządów dostarczonych przez FCI. Obejmowało to między innymi igły i probówki określone w przepisach UCI, a także przyrząd Coulter Ac*T8, służący do badań krwi. Zgodnie z przepisami UCI narzędzie to było kalibrowane i sprawdzane przed każdą rundą kontroli. Według tych samych przepisów pobrana krew trafiała do probówki, która była oznaczana numerem, a następnie tym samym numerem oznaczano dokumentację sportowca, od którego pobrano krew. Lekarze mieli obowiązek unikania kontaktu z zawodnikami przed kontrolą. Tożsamość sportowca poznawali z ust komisarza antydopingowego dopiero w momencie, gdy ten pojawiał się na pobranie krwi.

W dokumentacji wpisano, że Marco został wezwany na 7:35. Oznacza to, że Coccioni musiał powiadomić dyrektora sportowego Giuseppe Martinellego o wezwaniu dla Marco

o 7:25. Trzy godziny później Martinelli miał powiedzieć: „Gdyby komisarz zjawił się u mnie trzy minuty później, Marco jadłby już śniadanie i nie mogliby poddać go kontroli, bo badanie wykonuje się na czczo”. Najpierw pobrano próbkę od Marco Velo, zespołowego kolegi Marco, a dopiero potem wezwano jego samego. Pierwszy pojawił się Paolo Savoldelli i to jemu pobrano krew. Marco zjawił się dopiero po nim, o 7:46, czyli z 11-minutowym spóźnieniem. Wszedł do malutkiego pokoju i usiadł. Partenope wspominał, że obecny był tam Martinelli. Za Partenope stał doktor Sala, być może w drzwiach. Spinelli i Coccioni znajdowali się na korytarzu, bo nie zmieścili się w pokoju. Coccioni wspominał ten moment nieco inaczej: mówił, że próbka krwi została pobrana w jego obecności oraz że Martinelli albo stał w drzwiach, albo w korytarzu na zewnątrz.

Marco siedział z ręką na stole. Zgodnie z przepisami UCI probówka miała średnicę 4,9 milimetra i czerwone zamknięcie. Ich producentem była firma Sasted. Zawierała odpowiedni antykoagulant do prowadzenia badań hemochromocytometrycznych. Był to kwas edetynowy, czyli EDTA. Malutkie kropelki, rozmiarów wręcz mikroskopijnych, trzymały się ścianek naczynia i czekały. Partenope wziął do ręki ostatnią pustą probówkę oraz strzykawkę z igłą do pobierania krwi. Marco poprosił, żeby nie wiązał mu niczego na ręce, bo żyła była wystarczająco duża, a lekarz się zgodził. Zdezynfekował skórę, a następnie przebił ją igłą, wprowadził ją w żyłę i pociągnął za tłoczek. Do środka napłynęła krew. Następnie Partenope odpiął probówkę od strzykawki i podał ją Sali, który – w obecności Coccioniego i Marco – nakleił na niej etykietę z numerem UCI-IUML 11140. Pokazał obu mężczyznom, że ten sam numer widnieje w dokumentacji medycznej obok nazwiska Pantaniego. Marco i Martinelli

niczego nie kwestionowali. Następnie probówka została dodana do innych próbek pobranych tego ranka. Wszystko razem trwało może dwie minuty. Marco i Martinelli wyszli z pokoju. Wszystkie probówki były przechowywane w tym samym pojemniku, a ten znajdował się w torbie, którą mieli ze sobą kontrolerzy. Zespół lekarzy ani na sekundę nie spuścił jej z oka.

Potem pojechali do innego hotelu, by pobrać kolejne próbki. Mniej więcej godzinę po tym, jak pobrano próbkę od Marco, w pokoju w hotelu Majestic kontrolerzy przystąpili do kalibrowania urządzenia Coulter Ac*T8 z wykorzystaniem krwi kontrolnej o znanych parametrach. Następnie doktor Spinelli – nieobecny przy pobieraniu materiału, a więc nieznający tożsamości zawodników kryjących się pod poszczególnymi numerami – przystąpił do analiz kolejnych próbek.

Z każdej pobranej próbki badano dwie porcje krwi. Zgodnie z obowiązującą procedurą, wyższa z dwóch ustalonych w ten sposób wartości hematokrytu była odrzucana. Jeśli niższa wartość wynosiła poniżej 50 procent, uznawano, że krew mieści się w normie. W Madonna di Campiglio tylko w przypadku jednej próbki stwierdzono hematokryt przekraczający próg 50 procent. Z probówki oznaczonej numerem UCI-IUML 11140 pobrano kolejną porcję krwi i powtórzono badanie. Dopiero w tym momencie, gdy wynik został potwierdzony, Coccioni porównał numer z nazwiskiem widniejącym w dokumentacji. Tak oto stwierdził, że niespełniająca norm krew należy do Marco.

Zgodnie z przepisami UCI kontroler miał w takiej sytuacji obowiązek powiadomić dyrektora sportowego danego zawodnika, a następnie przeprowadzić trzy kolejne badania w jego obecności. Nie było potrzeby rekalibracji przyrządu pomiarowego po każdym badaniu – nie wymagała tego ani procedura UCI, ani specyfikacja określona przez producenta

sprzętu. Lekarze jednak postanowili nie wysyłać jeszcze Coccioniego z tymi wieściami. Dokonali ponownej kalibracji urządzenia i wykonali jeszcze trzy badania. Partenope miał później powiedzieć: „Chcieliśmy mieć pewność". Spinelli dodał: „Rozumieliśmy, że to nie jest błaha kwestia. To samo zrobilibyśmy pewnie z innymi próbkami, ale w tym przypadku miało to jeszcze większe znaczenie". Dopiero w tym momencie Coccioni poinformował zespół.

Kilka minut później badanie zostało wykonane trzy kolejne razy w obecności Roberto Rempiego, lekarza zespołu Mercatone Uno, oraz Giuseppe Martinellego, dyrektora sportowego tej ekipy. Żaden nie wydał oficjalnego komunikatu. Łącznie wykonano osiem analiz krwi pobranych z tej samej probówki i we wszystkich przypadkach wynik mieścił się w przedziale 52–53 procent. Biuletyn medyczny opublikowany niedługo potem przez UCI głosił: „Zespoły poddane kontroli: Ballan, Navigare, Cantina Tollo, Polti, Amica Chips, Mercatone Uno, Saeco, Once, Lampre. Badania przeprowadzono w godzinach od 6:40 do 8:05. Następujący zawodnicy zostali uznani za niezdolnych do startu: Pantani Marco".

# International Cycling Union

RIDER'S COPY

## BLOOD TEST

Nº 11440

Test certificate

1. Date: - 5 GIU. 1993
2. Place: Madonna di Camp.
3. Surname and first name of the rider: Pantani Marco
4. Trade Team: Mercatone Uno
5. Licence number: 214246E
6. Presentation time: 7.35
7. Time of sampling: 7.46
8. If so, time
   - of refusal:
   - of recorded absence:
9. Bottle code:
10. Author of sampling: PARTENOPE M.

11a. I confirm that the sample was taken in accordance with the UCI Regulations

Rider's signature:

Assistant's name and signature:

b. Riders and / or Team Manager's Comments

12. Results

Haematocrit: media 53.0 % - 1 → valore considerato 52.0 %

Able to ride: yes ☐ no ☑

The *Coulter Ac*T8* apparatus has been calibrated this day on the basis of the average of 5 measures with the *4C Plus* controls of Coulter, the expiry date of which is 11/9/94. These results can be consulted on demand.

The Head of science:

Name: SALA E. Signature:

Institute: O. S. ANNA - COMO

The Medical Inspector:

Name: Antonio COCCONI Signature:

Commissaire mandaté par l'UCI

Już wcześniej rozpętało się prawdziwe piekło. Jeszcze przed dziewiątą rano po wiosce startowej lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że niektórzy zawodnicy mieli dodatnie wyniki kontroli i że kontrolerzy znaleźli jakieś niedozwolone substancje. W plotkach pojawiało się nazwisko Marco. Ronchi pisze w swojej książce, że Fabrizio Borra, fizjoterapeuta Pantaniego i człowiek nim zauroczony, węszył spisek. Borra utrzymuje, że kontrolerzy byli dziwnie podenerwowani. Mówi, że agresywnie dobijali się do drzwi Pantaniego i kazali mu natychmiast wstać. Dodaje, że gdy próbka została już pobrana, trzy albo cztery razy nieprzyjemnym tonem kazali mu potwierdzić, że numer na probówce odpowiada jego danym. Zdaniem Borry to dziwne zachowanie. Jednocześnie fizjoterapeuta przyznaje, że wtedy Marco nic sobie z tego nie robił, był całkowicie rozluźniony. Borra dodaje, że gdy obaj siedzieli przy śniadaniu, zobaczyli grupę dziennikarzy biegnących w stronę hotelu. Jakim sposobem, pyta Borra, weszli w posiadanie tych informacji, jeszcze zanim został o tym oficjalnie poinformowany sam zainteresowany?

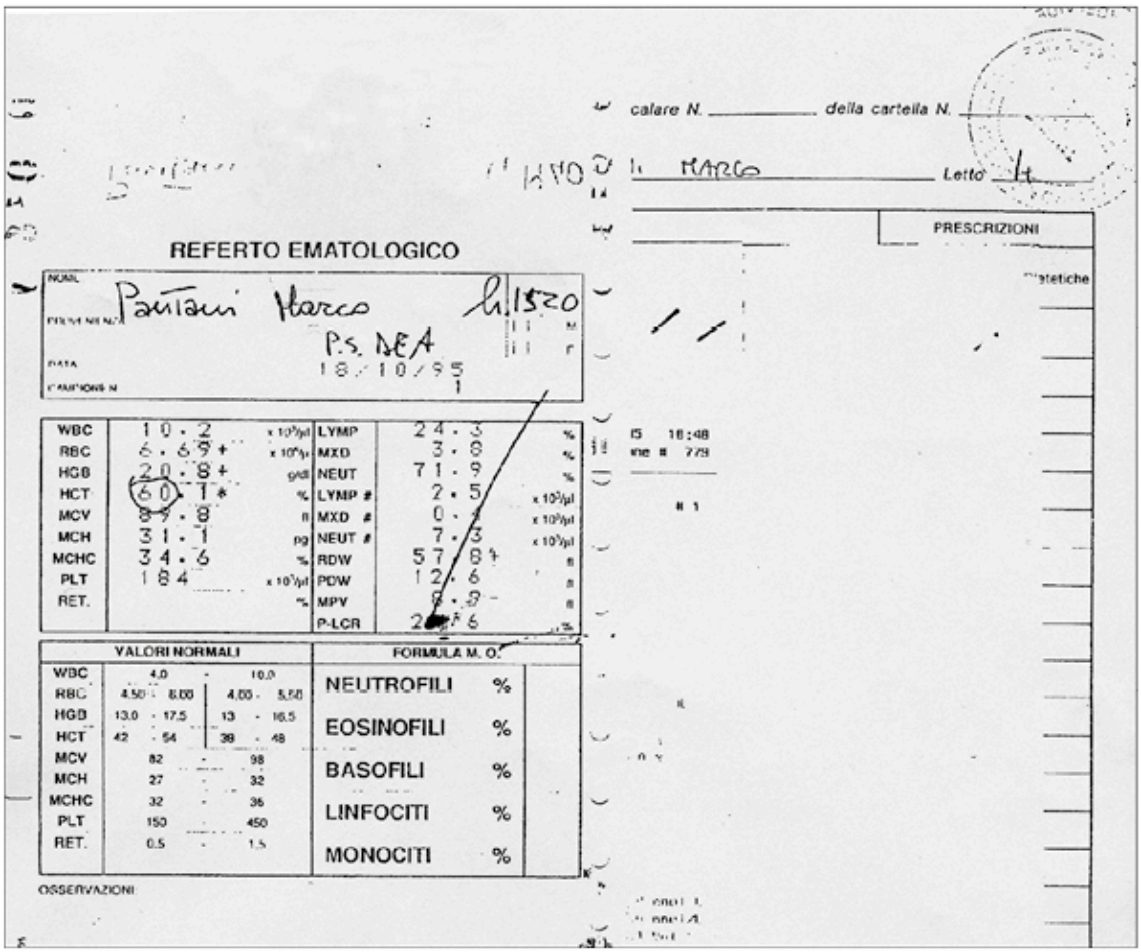


Ilustracja 1. Certyfikat badania krwi, UCI, Madonna di Campiglio, 5 czerwca 1999

Relacja Borry bardzo istotnie różni się od wersji przedstawionej przez kontrolerów. Kontrolerzy nie chodzą po pokojach i nie wzywają zawodników. Borra opowiada o dobijaniu się do drzwi i ich agresywnym tonie, choć sam nie był świadkiem tej sytuacji. Naiwnością z jego strony jest również przekonanie, że tamte wyniki dałoby się utrzymać w tajemnicy przed prasą. „Dlaczego – pyta Borra – kontrolerzy sprzeciwili się naszej prośbie o powtórzenie badań na nowej próbce, zwłaszcza że ich wyniki nie pokrywały się z naszymi?” Cóż, kontrolerzy nie mogli dać Marco dodatkowego czasu na rozcieńczenie krwi.

Jeśli chodzi o Mercatone Uno, sytuacja natychmiast wymknęła się spod kontroli. Manuela Ronchi przechadzała się po wiosce startowej, gdy nagle ludzie zaczęli patrzeć na nią oskarżycielsko i rzucać różne uwagi pod jej adresem. Wiadomość przekazał jej Davide De Zan, komentator wyścigu dla stacji Rai. Ronchi zadzwoniła do Martinellego, a ten tylko zaklął i się rozłączył. Ronchi twierdzi, że Martinelli chodził nerwowo po swoim pokoju, walił pięściami w ściany i krzyczał: „To nie powinno się zdarzyć!". Borra mówi, że to on przekazał wieści Marco. Pregnolato utrzymuje, że zrobił to on.

Dallagiacoma wspomina: „Gdy mu powiedzieli, wrzasnął. Siedział w swoim pokoju. Nie pamiętam dokładnie, co wtedy wykrzyczał, ale był zdesperowany. Chciałem zejść na dół i obejrzeć start, ale wtedy na górę wbiegło dwóch dziennikarzy, którzy rzucili w pośpiechu: »Stało się coś okropnego. Wykluczyli Pantaniego za doping«, Zamknąłem wyjścia pożarowe i wysłałem ludzi do obstawienia wszystkich wejść. Zadzwoniłem do *carabinieri* i powiedziałem do słuchawki: »Zatrzymali Pantaniego za doping. Przyślijcie tylu ludzi, ilu macie«. Była dziewiąta, może dziewiąta dziesięć".

Ronchi ruszyła na poszukiwania ojca Marco, poszła do jego kampera zaparkowanego pod hotelem. Zastała go szlochającego, z twarzą ukrytą w dłoniach. Powiedziała mu wtedy: „Marco cię potrzebuje". Wrócili do hotelu, gdzie zobaczyli Marco z zakrwawioną dłonią. Walnął w jedno z dwóch okien. Ronchi pisze w swojej książce, że gdy Pantani wspominał ten dzień kilka lat później, użył następujących słów: „Gdy wtedy, w Madonna di Campiglio, zobaczyłem wchodzącego do pokoju tatę, poczułem się, jakbym znowu stał się dzieckiem, jak wtedy, gdy coś przeskrobałem, a on przychodził mnie ukarać. Pomyślałem sobie nawet wtedy: »Teraz mnie uderzy«".

Tymczasem grupa funkcjonariuszy NAS z Brescii skontaktowała się z posterunkiem *carabinieri* w Riva del Garda, odpowiedzialnym za porządek na tym terenie. Pięciu czy sześciu funkcjonariuszy z Brescii przebywało akurat w Madonna di Campiglio, bo dostali wcześniej cynk. We wrześniu 1998 roku „Pietro S.”, kolarz amator, zgłosił się na policję w Brescii z zawiadomieniem, że naciskano na niego, by stosował środki dopingujące. Uruchomiono śledztwo, które wykazało wykorzystywanie r-EPO, ludzkiego hormonu wzrostu, ACTH, gonadotropiny i sterydów anabolicznych. Policja trafiła w ten sposób na Guido Nigrellego, trenera i farmaceutę podejrzewanego o dostarczanie Haemaccelu, środka rozcieńczającego krew, Tonkowowi i innym zawodnikom. Śledczy przyglądali się najważniejszym wyścigom z lat 1996–1999. Jeden z nich powiedział mi: „Dowiedzieliśmy się od informatora ze środowiska kolarskiego, że znajdziemy coś ciekawego w Madonna di Campiglio. Tego ranka byliśmy gotowi, żeby wkroczyć, ale doszły nas wieści, że Pantani został zawieszony. Wtedy poinformowaliśmy kapitana Console, dowódcę kompanii, że jesteśmy na miejscu, a on nam na to: »I bardzo dobrze!«”.

Kapitan Oronzo Console tak oto relacjonował później tamten dzień w formie raczej suchego raportu policyjnego: „Udaliśmy się do hotelu z grupą porządkowych i wojskowych, zabezpieczyliśmy budynek przed ciekawskimi. Dotyczyło to również dziennikarzy, którzy, co zrozumiałe, interesowali się tematem. Skontaktowaliśmy się z Pantanim i jego dyrektorem sportowym, który, o ile mnie pamięć nie myli, nazywał się Martinelli. Wezwaliśmy też wszystkich innych zawodników i pracowników zespołu. Panowała nerwowa i napięta atmosfera. Pamiętam dość wyraźnie, że z korytarza, w którym znajdował się pokój Marco Pantaniego, doszedł nas jakiś rumor,

a potem dźwięk rozbijanego szkła. Bezzwłocznie weszliśmy do pokoju i zobaczyliśmy wybite okno – pięścią zawodnika, jak już wiemy. Sam kolarz był skrajnie pobudzony, przez cały czas kopał w meble. Poprosiliśmy obecnych w pokoju o spokój, a sportowca o wyjaśnienie, dlaczego jest tak zdenerwowany. Przez cały czas spędzony przez nas w tym pokoju zawodnik wielokrotnie powtórzył, że wyszedł mu dodatni wynik kontroli. Później sytuacja była już opisywana w inny sposób. Zawodnik utrzymywał, że został oszukany. Zarówno on, jak i jego *directeur sportif* Martinelli używali sformułowań, które można streścić jako: »Jesteście *carabinieri*, waszym zadaniem jest zapobiegać takim sytuacjom« itd. Krótko mówiąc, obecne tam osoby – Pantani, Martinelli i inni pracownicy zespołu – utrzymywali, że padli ofiarą oszustwa. Zapytałem, czy chcą złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez nieznane osoby albo przez kogoś konkretnego w odniesieniu do domniemanego oszustwa. Zawodnik i Martinelli udzielili odpowiedzi twierdzącej, ja jednak w tamtym momencie nie miałem zamiaru dopełniać tych formalności”.

Zespół musiał rozwiązać pilny problem, a mianowicie wymyślić, co zrobić z Marco. Agostini chciał po kryjomu wyprowadzić go tylnym wyjściem, być może przyjmując rozwiązanie zaproponowane przez Dallagiacomę, który w rozmowie ze mną stwierdził: „Zaproponowaliśmy, że wywieziemy Pantaniego naszą terenówką przez łąkę i dalej prywatną drogą prowadzącą do Carlomagno i drogi publicznej. Trzeba to było jednak zrobić od razu. Niedługo wszystkie wyjścia zostały obstawione przez kamery telewizyjne i to rozwiązanie odpadło”.

O 10:12 przedstawiciele UCI wydali oficjalny komunikat dotyczący wyniku badania i zawiesili lidera klasyfikacji generalnej Giro d’Italia. Hein Verbruggen, prezydent UCI,

przyjechał do Madonna di Campiglio na start etapu. Po porażce Włoskiego Narodowego Komitetu Olimpijskiego poczuł się nagle samcem alfa ruchu antydopingowego. Wkrótce potem zespołowi koledzy Marco poinformowali, że nie wyjadą na trasę tego etapu. Roberto Rempi, lekarz ekipy, miał powiedzieć: „Być może jego hematokryt wzrósł, bo spędził dwie noce na dużej wysokości, a podczas wczorajszego etapu za bardzo się odwodnił. Wczoraj wieczorem wykonaliśmy własne badania i jego hematokryt wynosił około 48, czyli był w normie".

O 13:02, trzy godziny po oświadczeniu wydanym przez UCI, Marco wyszedł z hotelu wprost przed oblicze licznych kamer telewizyjnych. Dallagiacoma powiedział mi: „Zamierzaliśmy zamknąć drzwi, ale tamta kobieta [Ronchi] chciała, żeby wyszedł do dziennikarzy. Niemal nie był w stanie tego zrobić. Podtrzymywało go trzech mężczyzn". Potem Marco przemówił: „Kontrolowano mnie już dwukrotnie, miałem koszulkę lidera. Mój hematokryt wynosił 46. A dzisiaj budzę się i… niespodzianka. Moim zdaniem to bardzo dziwne. Muszę powiedzieć, że wznowienie startów w tym przypadku… Wracałem do startów po poważnych wypadkach, ale tym razem moralnie sięgnęliśmy samego dna".

Trzy minuty później wsiadł do szarego citroëna, za kierownicą którego siedział Giuseppe Martinelli. Przez trzy godziny jechali przed siebie i szlochali, nie odzywając się do siebie ani słowem. Gdy dojechali do Imoli, od razu poszli do szpitala Santa Maria della Scaletta, który wydał zaświadczenie o liczbie hematokrytowej między 47 a 48 procent. Wieczorem tego samego dnia zespół Mercatone Uno opublikował informację prasową, w której podważał kompetencje osób wykonujących testy w Madonna di Campiglio. Giorgio Squinzi, właściciel teamu Mapei, był mniej skłonny dopatrywać się tajemnicy w wydarzeniach, które rozegrały się tego dnia.

„Wreszcie doczekaliśmy się sprawiedliwości, tej boskiej i tej ludzkiej. Ten fenomen musiał prędzej czy później implodować. Przestrzegałem Verbruggena już cztery lata temu, że nie możemy dalej ciągnąć tego oszustwa i hipokryzji. U moich chłopaków hematokryt jest średnio o pięć punktów niższy, odkąd wyjechali z Agrigento. Nie pozwólmy sobie wciskać kitu; skoro na dwa dni przed końcem wyścigu ich hematokryt kręci się koło 50, to znaczy, że się wspomagają".

Ronchi spotkała się z Marco w magazynie zespołu w Imoli. Trzymał łysą głowę w dłoniach i masował ją, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia. Powtarzał coś w stylu: „Ktoś jest mi winien jakieś wyjaśnienie". Potem wrócił do domu. Znajdował się w szczytowej formie – być może był najlepiej dysponowanym fizycznie człowiekiem na całym świecie, a już z pewnością nie mógł się z nim równać żaden inny kolarz – ale nagle został pozbawiony możliwości wyładowania tej nadzwyczaj wielkiej energii. Poczucie wstydu kazało mu nie ruszać się z domu. Zamknął się tam, oblężony przez reporterów, fotografów i ekipy telewizyjne. Mógł co najwyżej pomarzyć o upragnionej prywatności. Zapewne mało co nie odszedł od zmysłów.

Lekarze wracali do Como i do szpitala Sant'Anna, coraz bardziej rozumiejąc powagę swego położenia. Marco był gwiazdą, więc gdyby okazało się, że zespół lekarski ekipy popełnił błąd, skutki okazałyby się dla niego opłakane. Doktor Partenope tłumaczył: „Chyba nietrudno sobie wyobrazić, że chcieliśmy mieć absolutną pewność, że nie doszło do żadnego błędu. Dotarliśmy zatem do szpitala w Como, gdzie mieliśmy przyrząd na okrągło wykorzystywany do prowadzenia tego rodzaju analiz. Wykonaliśmy dwa dodatkowe badania, co łącznie dawało ich dziesięć". Testy wykonane w tym szpitalu na

przyrządzie Abbot Celi Dun 3500 dokładnie pokrywały się z wynikami z Madonna di Campiglio.

Niedługo po ostatnich badaniach w szpitalu Sant'Anna w Como pojawili się *carabinieri* z Brescii wraz z kapitanem Console, który komentował to potem tak: „Zgodnie z obowiązującymi procedurami w okresie poprzedzającym złożenie zawiadomienia oraz wobec mojej oceny faktu, że możemy mieć do czynienia ze sprawą o oszustwo – a jeśli wziąć pod uwagę doniosłość sytuacji, mogłoby to być nawet oszustwo na dużą skalę – przedstawiłem sprawę prokuraturze, dołączając do akt list mojego autorstwa. Poprosiłem w nim, by prokurator, jeśli uzna to za stosowne, podjął działania na rzecz zabezpieczenia próbek krwi, zarówno tej należącej do sportowca Marco Pantaniego, jak i innych sportowców testowanych przez lekarzy. To samo dotyczyło zastosowanych instrumentów i innych materiałów, odczynników i wszystkiego, co mogło mieć związek z pobieraniem krwi, jej badaniem i przechowywaniem. […] Nakaz konfiskaty tychże przedmiotów otrzymaliśmy bardzo szybko. […] Tak się złożyło, że technicy wykonujący te badania wyszli już z pracy i zabrali cały materiał ze sobą, do Como". Sędzia podkreślił, że działania policji były niezbędne z uwagi na postawę przedstawicieli zespołu Mercatone Uno, którzy czuli się ofiarami w tej sprawie.

Console relacjonował dalej: „Dopisało nam szczęście i dotarliśmy do Como – dzięki pomocy współpracownika, pilota śmigłowca z Bolzano, który prowadził akurat szeroko zakrojone poszukiwania – gdzie namierzyliśmy techników i posiadane przez nich próbki krwi. Pokazaliśmy im nakaz konfiskaty, przejęliśmy próbki i zabraliśmy ze sobą. Stamtąd trafiły one do analizy w laboratorium wskazanym tymczasem przez prokuraturę".

Kilku minut po siódmej rano *carabinieri* dostarczyli zatrzymane materiały profesorowi Vittorio Rizzolemu, dyrektorowi Oddziału Hematologii w Centrum Przeszczepów Szpiku Kostnego przy Uniwersytecie w Parmie. Tam miały się odbyć ponowne badania albo – jak ujął to profesor Rizzoli – „coś w tym rodzaju…".

Z Rizzolim spotkałem się w jego gabinecie w Parmie. To gburowaty i lekko irytujący jegomość o ochrypłym głosie, na którym sława nie robi żadnego wrażenia i który w otoczeniu swoich przyrządów do badania morfologii krwi czuł się równie komfortowo, jak Marco z narzędziami, gdy rozbierał, a później składał sobie rower. Rizzoli przeprowadził badania wszystkich próbek pobranych w Madonna di Campiglio, zarówno z wykorzystaniem skonfiskowanego przyrządu Coulter Ac*T8, z którego korzystali technicy w tym górskim kurorcie, jak i z użyciem nowszego urządzenia Coulter MAXM, znajdującego się na wyposażeniu Centrum Przeszczepów. „Przeprowadziłem badania próbek krwi pobranych od grupy sportowców, dziewięciu lub dziesięciu, których nazwisk nie umiem sobie teraz przypomnieć, ale z pewnością w grupie tej znajdowali się Simoni, Pantani i inni, w tym zawodnicy zagraniczni. Do naszego laboratorium dostarczono przenośny przyrząd do badania morfologii krwi, na którym powtórzyliśmy badania przeprowadzone najpierw na moim sprzęcie. Było to urządzenie starszej generacji, mniejsze, zaprojektowane z myślą o łatwym transporcie. Ostatecznie dysponowaliśmy zatem trzema zestawami wyników: jednym uzyskanym na naszym sprzęcie i dwoma zestawami wyników z drugiego urządzenia. Jeden zestaw tworzyły wyniki badań przeprowadzonych w Madonna di Campiglio [przez analityków UCI], drugi – wyniki badań z Parmy [uzyskane przeze mnie]".

Wyniki były takie same w przypadku wszystkich dziesięciu próbek. Nie było mowy o jakimkolwiek błędzie.

# Rozdział 13.
# Zarządzanie kryzysowe

## CZERWIEC 1999–STYCZEŃ 2000

Wynik kontroli Marco stanowił dla wszystkich wielką zagadkę. Przecież praktycznie zagwarantował już sobie triumf w Giro, po co miałby stosować doping? Jeśli naprawdę był na dopingu, to dlaczego jego krew nie została rozcieńczona, by ukryć ten fakt? Nie ulega wątpliwości, że na etapie rozegranym poprzedniego dnia to nie on miał być zwycięzcą. Jego triumf w Madonna di Campiglio wzbudził niezadowolenie także w jego własnym zespole. Dość szybko okazało się, że kilku zamożnych sponsorów wyrażało gniew i frustrację z powodu dominacji Marco. Czy to możliwe, że uknuli spisek mający na celu jego zniszczenie? A co z bukmacherami, dla których wyrzucenie Marco z wyścigu oznaczało olbrzymie zyski? Tak czy owak, nawet jego zespołowi koledzy już *wieczorem przed kontrolą* słyszeli plotki, że nazajutrz rano Pantani zostanie zdyskwalifikowany. Hipoteza o spisku cieszyła się olbrzymią popularnością.

Ósmego i dziewiątego czerwca Marco dostał szansę przedstawienia własnej wersji wydarzeń, najpierw w wywiadzie telewizyjnym prowadzonym przez znanego włoskiego dziennikarza Gianniego Minę, a potem na konferencji prasowej zorganizowanej w Monte del Re. Wywiad telewizyjny okazał się bardzo trudny, Marco ledwie był w stanie zebrać myśli, a ich wyrażanie nie szło mu już w ogóle. „To dla mnie dość trudny, dość ciężki moment, myśli… kłębią mi się w głowie… – Tutaj zaczyna się jąkać: – K… k… k… kłębią się…

w tych ostatnich dwóch czy trzech dniach w mojej głowie… Wydaje mi się, że w domu miałem chwilę, żeby… schronić się i poszukać wyjaśnienia". Miał w głowie kompletny chaos, który z pewnością jeszcze się pogłębił, gdy reżyser programu postanowił pokazać zbliżenie jego twarzy, takie od brwi do podbródka. Marco widział na żywo swoją własną twarz na monitorze ustawionym z lewej strony za gospodarzem programu.

*Złość, frustracja, wstyd to… to… tylko niektóre emocje… jakie mam teraz w sobie. Sam fakt, że… wygrałem już Giro d'Italia… i to moim zdaniem w sposób nieskazitelny, po tak wielkim wysiłku… Usłyszeć nagle tego rodzaju werdykt to jak kubeł zimnej wody… Każdy, kto znalazłby się przed ścianą, która się na niego wali… Takie coś uderza w… w… w morale… w duszę. To z pewnością nie jest łatwa chwila… Tu nie chodzi o to, że ten incydent, ten incydent… To można porównać do wypadku, tyle że… Morale… Wydaje mi się, że tym razem muszę się wygrzebać ze znacznie głębszego dołka.*

Wszelkie spójne argumenty, na jakie Marco był w stanie się zdobyć, niewiele znaczyły. Powiedział, że najbardziej zabolało go, że „te same osoby, które wieczorem poprzedniego dnia miały mnie za gwiazdę, rankiem zepchnęły mnie do rynsztoka". Miał na myśli przede wszystkim Candido Cannavó, z którym wieczorem przed pamiętnym dniem hańby jadł kolację. Po ujawnieniu wyników Marco z kontroli podczas Giro Cannavó opublikował artykuł na pierwszej stronie, w którym ostro krytykował zespół Pantaniego i jego ekipę. Napisał, że ludzie ci nie uchronili „najważniejszego zasobu we włoskim sporcie" przed „ohydnym błędem". Utrzymywał, że choć mesjasz

kolarstwa już nigdy nie będzie taki sam jak dawniej, to jednak „misją nas wszystkich powinno być wspomóc Marco w odbudowie". Dodał, że Pantaniego czeka walka nie z siłami mroku, a „z hipokryzją, fałszem i nieuczciwością środowiska, które mu to piekło zgotowało". Cannavó zachował się wobec niego tak opiekuńczo, jak tylko mógł, jednocześnie nie odrywając się od prawdy. Marco miał mu tego nigdy nie wybaczyć.

Pantani był zdeterminowany, by znaleźć jakiś spisek. W rozmowie z Miną stwierdził, że na wyniki Giro 1999 postawiono 200 miliardów lirów (około 200 milionów euro). „Uważam, że dano mi bardzo niewielkie szanse" – stwierdził z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – „Człowieku, to mechanizm stworzony do nadużyć". Zasugerował, że ktoś mógł majstrować przy jego próbce krwi albo że do badania użyto niewłaściwego koagulantu.

Gdy Miná zszedł na temat udziału lekarzy w procederze dopingowym, Marco zaczął udzielać wymijających odpowiedzi. Wtedy dziennikarz zapytał: „Ale czy wy się nawzajem nie ostrzegacie? Nie powtarzacie sobie: »Musimy się ratować, strzec się przed ludźmi, którzy wykorzystują nas jako mięso armatnie«?". Marco odparł:

*W kolarstwie i w całym sporcie doping istnieje i moim zdaniem zawsze będzie istniał. […] Gdy tylko pojawi się jakieś nowe prawo, znajdują się sposoby na jego obejście. Jestem jednym z niewielu sportowców, którzy trenują bez monitora pracy serca, który… który… który… który jest trochę jak… jak rzemieślnik [uśmiecha się] pośród… pośród międzynarodowych korporacji [dalej się uśmiecha, potem przestaje]. Powinni znaleźć jakiś sposób na wykrywanie tych substancji w moczu albo we krwi*

*[…], bo dzisiejsze metody są moim zdaniem bardzo mało wiarygodne.*

W innej odpowiedzi daje o sobie znać ambiwalentny stosunek Marco do uprawianej przez niego dyscypliny:

*Kolarstwo… [przerywa, mamrocze pod nosem, szuka słów] uczyniło mnie wielkim… spowodowało, że cierpię, no ale powiedzmy, że najważniejsza jest w nim… najważniejsza jest duma człowieka, któremu udaje się wygrać… dwa tak słynne wyścigi jak Giro d'Italia i Tour, więc takie poczucie gratyfikacji, tak to nazwijmy, bardziej jako człowiek niż jako sportowiec.*

Miná pyta go, dlaczego nie pojedzie na Tour de France i nie wygra tego wyścigu:

*Bo zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie wątpił. Denerwuje mnie, że dzisiaj wszystko podaje się w wątpliwość. Już teraz fakt wystąpienia tej anomalii, która pojawia się u 80 procent ludzi, podaje w wątpliwość całą moją karierę – wygrane przeze mnie Giro, moje poświęcenia, moje kontuzje, wszystko, co do tej pory osiągnąłem, nagle jest podawane w wątpliwość. Człowiek… moja rodzina… zdaniem niektórych moja rodzina stała się arogancka i nie jest już tak otwarta jak kiedyś.*

Ronchi skarży się na kartach swojej książki, że nagranie tego wywiadu zostało jeszcze tego samego wieczoru przekazane do redakcji gazety „La Repubblica". Stanowiło to naruszenie zasad, na których go nagrano, i rozsierdziło inne gazety, które musiały

czekać na konferencję prasową zaplanowaną na popołudnie następnego dnia. Przeglądałem „La Repubblica” z 9 czerwca i nie znalazłem tam nawet śladu po wywiadzie przeprowadzonym przez Minę, może poza zdawkową informacją, że Marco rozmawiał z tym dziennikarzem „wczoraj” (we wtorek 8 czerwca) i że wywiad zostanie wyemitowany „jutro” (w czwartek 10 czerwca). Tegoż 10 czerwca oprócz relacji z konferencji prasowej Miná opublikował również własne przemyślenia dotyczące wywiadu sprzed dwóch dni.

Konferencja prasowa była transmitowana na żywo w radiu Rai, a w telewizji Rai 3 z 40-minutowym opóźnieniem.

Marco rozpoczął od ataku na to, w jaki sposób został potraktowany przez kontrolerów: „Zostałem wyrwany z łóżka i dostałem siedem minut na umycie twarzy, ubranie się i stawienie się na czymś, co przypominało raczej zasadzkę niż badanie lekarskie”. Jak wiemy, tak naprawdę zjawił się na kontroli 22 minuty po wezwaniu i jednocześnie 12 minut po oficjalnym terminie. Już tylko na tej podstawie można było podjąć kroki przeciwko niemu. W zasadzie te kroki powinny zostać podjęte już w Cesenatico.

Marco zaprzeczył, jakoby stosował jakiekolwiek zabronione substancje lub wykonywał takie działania. Podał cztery argumenty. Po pierwsze, doping nie jest w jego stylu. Po drugie, tylko głupiec podjąłby tak duże ryzyko. Po trzecie, wykonane badanie nie było zgodne z procedurami określonymi w przepisach. Po czwarte, przepisy UCI zostały źle sformułowane i wymagały reformy. „Z prostych obliczeń wynikało, że zostanę poddany kontroli albo w Madonna di Campiglio, albo dzień później. Za każdym razem gdy słyszałem, że komuś wychodziło 52 procent, nawet przez myśl mi nie przeszło, że to samo może spotkać mnie. Miałem czyste

sumienie. […] Trzy lata temu należałem do grona kolarzy domagających się wprowadzenia badań krwi. Po badaniu nie pobrali ode mnie wymaganej przepisami drugiej próbki, żeby potwierdzić wynik. Użyli do tego krwi z pierwszej próbki. Dwie i pół godziny później, w Imoli, dobrowolnie poprosiłem o pobranie dwóch kolejnych. Mój hematokryt wyniósł około 48 procent, przy hemoglobinie na poziomie 16,5. Ktoś z pewnością powie, że miałem dość czasu, żeby rozcieńczyć sobie krew. Tyle że zawartość hemoglobiny się nie zmienia. Przewozili próbki z hotelu do hotelu, w probówkach był antykoagulant, było gorąco… Wszystko mogło się zmienić. Wykonywane badania powinny uwzględniać wiele różnych parametrów. To jeden wielki chaos".

Wyobraźnia Marco pracowała na najwyższych obrotach. Badania zostały wykonane zgodnie z przepisami UCI, a certyfikat badania krwi wystawiony w Imoli o 16:30, czyli osiem godzin po badaniach z Madonna di Campiglio, miał stać się przedmiotem szczególnego zainteresowania hematologów śledczych, gdy sprawa trafiła wreszcie przed sąd.

Zyskawszy możliwość zaprzeczenia, jakoby stosował niedozwolone środki dopingujące, Marco odpowiadał płynnie i spójnie, co ewidentnie sugerowało, że po wywiadzie u Miny został do tej konferencji prasowej fachowo przygotowany: „Nigdy nie miałem nic wspólnego z dopingiem. Możecie całkowicie wykluczyć tę możliwość. Jestem czysty". Pantani odmówił odpowiedzi na pytanie, kiedy wróci do ścigania i czy w ogóle się na to zdecyduje. „Pod względem morale spadłem na samo dno. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. Zanim wrócę na rower, muszę to wiedzieć. Do wygrywania nie potrzebuję prochów, tylko gór".

Na pytanie, czy otrzymuje wyrazy solidarności ze strony innych kolarzy, Marco odparł: „Tak. Wszyscy się o mnie

troszczą, tyle że na ten moment solidarność na niewiele mi się zda”. Znów dawała o sobie znać ta sama jego skłonność do izolowania się, która zadecydowała o tym, że w 1998 roku odciął się od Pregnolato. W przyszłości miała się ona jeszcze nasilić.

Jako pierwsza do działania przystąpiła CSAD. Czternastego czerwca przesłuchała doktora Roberto Rempiego, lekarza zespołu Mercatone Uno, oraz dyrektora sportowego tej ekipy, Giuseppe Martinellego. Siedemnastego czerwca w siedzibie CONI w Bolonii przed komisją pojawił się sam Marco. Między tymi dwoma przesłuchaniami, w innej części Bolonii, sędzia śledczy Giovanni Spinosa postawił przed sądem 15 członków społeczności kolarskiej, którym zarzucano przestępstwa związane z dopingiem. Zamknął dochodzenie w sprawie Rempiego, dotyczące jego aktywności jeszcze z okresu poprzedzającego nawiązanie współpracy z Mercatone Uno, rekomendował natomiast postawienie zarzutów doktorowi Michele Ferrariemu, który opiekował się przyjaciółmi Marco, na przykład Mario Cipollinim, ale i jego rywalami, takimi jak Gotti, Tonkow, Olano czy Savoldelli. Zarzuty usłyszał również Orlando Maini, *directeur sportif*, który poprowadził Marco do triumfu w Giro d’Italia amatorów w 1992 roku i który podawał mu pelerynę na Galibier podczas Tour de France 1998. Maini miał później zostać oczyszczony z zarzutów, na razie jednak decyzja, żeby mu je postawić, musiała jakoś poruszyć Marco.

Z pewnością nie bez wpływu na niego pozostawał również raport CSAD, opublikowany 23 czerwca. Wszystkiego się w nim wyparł i podtrzymał teorię o spisku w Madonna di Campiglio.

*Pantani oświadczył, że nigdy nie poddał się żadnej terapii dopingowej, że monitorował swój hematokryt za pomocą wspomnianej wcześniej wirówki oraz że stanem jego zdrowia zajmował się wyłącznie doktor Rempi. Zawodnik nie umiał wyjaśnić wyniku kontroli UCI z Madonna di Campiglio. Sugerował, bo nie miał na to dowodów, że mogło dojść do manipulowania przy pobranej od niego próbce, zwłaszcza że w późniejszym badaniu wykonanym tego samego dnia, 5 czerwca 1999 roku, jego hematokryt mieścił się w dopuszczalnej granicy.*

Panel złożony z działaczy CSAD nie był przekonany:

*Istnieją poważne wątpliwości i niejasności dotyczące legalności zachowania zawodnika oraz jego uczciwości jako zawodowego sportowca. Nie przedstawił żadnych poważnych wyjaśnień potencjalnych przyczyn nagłego wzrostu hematokrytu, co oznacza, że nie wywiązał się z obowiązku pełnej współpracy w dążeniu do ustalenia prawdy.*

Martinelli został nazwany w raporcie „zdecydowanie nieskorym do współpracy", a nawet „nonszalanckim. […] Obrażał inteligencję osób obecnych na spotkaniu z nim, stwierdzając, że odsetek kolarzy stosujących doping wynosi zero". Niemniej „nie znaleziono żadnych przesłanek pozwalających przypisywać mu odpowiedzialność za wahania hematokrytu, które doprowadziły do wykluczenia Pantaniego z Giro d'Italia".

Doktor Roberto Rempi, zespołowy lekarz Mercatone Uno, został potraktowany bardziej surowo. Raport stwierdzał, że Rempi był „rzekomo" odpowiedzialny za monitorowanie

zdrowia Marco od 1996 roku, czyli od momentu, gdy zawodnik przeszedł z grupy Carrera do Mercatone Uno. W związku z tym powinien dysponować szczegółową wiedzą na temat historii medycznej Marco, a w przypadku tak obciążającego wydolnościowo sportu jak kolarstwo powinien w szczególności dysponować danymi na temat czerwonych krwinek zawodnika. Komisja zauważyła, że jakkolwiek na to spojrzeć, o hematokrycie już od lat mówiło się w mediach praktycznie codziennie.

*Tymczasem, jeśli wierzyć słowom doktora Rempiego, o Marco Pantanim nie wie on w zasadzie nic. Nie potrafił udzielić precyzyjnej odpowiedzi na żadne z pytań o poziom hematokrytu czy hemoglobiny zawodnika w okresie, w którym się nim opiekował. Nie wiedział też, czy zawodnik był poddawany terapii suplementami żelaza. […] Nie pamięta (albo pamięta bardzo niedokładnie) wyników badań Pantaniego w okresie, w którym zajmował się nim jako lekarz (chodzi o ostatnie trzy lata, ale tak naprawdę Rempi nie pamięta wyników Pantaniego nawet z ostatniego miesiąca: „Myślę, że gdzieś między x a y", brzmi jego odpowiedź). Wydaje się, że nigdy nie zadał sobie trudu zapoznania się z wynikami badań Marco Pantaniego z przeszłości. […] Na pytanie, czy zna zwyczajową wartość liczby czerwonych krwinek we krwi Marco Pantaniego, odparł: „Nie przypominam jej sobie".*

Rempi nie umiał też wytłumaczyć, jak mogło dojść do wzrostu hematokrytu u Marco. Przedstawił komisji dokumenty z sześciu badań krwi przeprowadzonych przez kontrolerów UCI w latach 1997–1999 (z których trzy przeprowadzono w trakcie Giro d'Italia 1999) oraz wyniki badań wykonanych w Imoli 5

czerwca 1999 roku po południu, po powrocie z Madonna di Campiglio. Przedłożył także kartę medyczną zawodnika na sezon 1999, wymaganą przez FCI. Gdy zapytano go o rozbieżność między minimalnym i maksymalnym hematokrytem Marco w 1999 roku – odpowiednio 44 i 53 procent – Rempi nie umiał podać wyjaśnienia. „Ograniczył się do stwierdzenia, że taka zmienność może wynikać z treningów, nie precyzując, co konkretnie miałoby to znaczyć".

Komisja skupiła się na certyfikacie z badań przeprowadzonych w Imoli, które miały świadczyć o niewinności Marco. Wynikało z niego, że stwierdzono u niego hematokryt na poziomie 47,6 i 48 procent. Odczyty hemoglobiny – 16,5 oraz 16,6 – tak czy owak były wysokie, przynajmniej w porównaniu z wartościami, jakich należało oczekiwać pod koniec trzytygodniowego wyścigu. Na karcie medycznej FCI Rempi wprowadził wyniki badań przeprowadzonych w szpitalu Sant'Orsola w Bolonii. Komisja zwróciła uwagę na bardzo wysoki hematokryt (49 procent) oraz na poziom ferrytyny wynoszący 1163 ng/ml, czyli znacznie więcej, niż wynosi norma dla dorosłego mężczyzny, określona w regulaminie zdrowotnym FCI jako 20–250 ng/ml. Chcąc pozostawać w zgodzie z tym regulaminem, Rempi powinien w styczniu 1999 roku – bo wtedy wykonano tamte badania – poinformować Krajową Komisję Zdrowia przy FCI o zbyt wysokim poziomie ferrytyny, prewencyjnie zawiesić zawodnika i zacząć szukać przyczyn. Stwierdził jednak, że nie podjął w związku z tym badaniem żadnych konkretnych działań. „Ewidentnie nie był tym poruszony, bo znał prawdziwą przyczynę wystąpienia tego wyniku [i] uznawał go za normalny", podsumowują autorzy raportu.

W temacie suplementów żelaza doktor Rempi odparł, że poziom ferrytyny jest u Marco naturalnie wysoki i nie było

potrzeby podawania mu ich. Sam zawodnik zeznał natomiast przed komisją, że w ciągu minionego roku często zażywał żelazo na zalecenie Rempiego.

Na pytanie, czy Marco i inni zawodnicy Mercatone Uno stosowali r-EPO lub inne niedozwolone substancje, doktor Rempi odpowiedział: „Według mojej wiedzy nie". W raporcie pada dalej stwierdzenie, że Rempi „nie umiał zadeklarować tego z całą pewnością, jaka powinna płynąć z prawdziwej i bliskiej znajomości zawodników powierzonych jego opiece medycznej, a także z uważnego monitorowania organizmów sportowców, bo tylko w ten sposób lekarz może mieć pewność, że pracuje w środowisku wolnym od problemów dopingowych, a zatem »czystym«".

Rempi dodał, że Pantani i czterech innych kolarzy Mercatone Uno regularnie sprawdzało swój hematokryt za pomocą wirówki. Jego zdaniem było to normalne, że tak wielu sportowców będących członkami tego zespołu posiadało prywatne wirówki.

*On ich pyta, a oni mu mówią, czy ich wyniki mieszczą się w normie, czy nie. […] Nie pyta o dokładną wartość, ponieważ wystarcza mu, gdy zawodnik stwierdzi, że »wszystko jest w normie«. […] Zeznał, że to nie on pobiera próbki krwi do badania, a także nie nadzoruje kolejnych etapów obrabiania krwi w wirówce. Jak z tego wynika, doktor Rempi ogranicza się do ślepego akceptowania wszystkiego, co powiedzą mu zawodnicy, gdy akurat sobie przypomni, żeby w ogóle ich o to zapytać.*

Komisja dowiedziała się również, że podczas Giro d'Italia Marco badał sobie hematokryt w dniu odpoczynku. Rempi zeznał: „Pantani nie podał mi wyniku tamtego badania". Jeśli chodzi

o hematokryt sprawdzony przez Marco wieczorem w Madonna di Campiglio, Rempi zeznał: „Wydaje mi się, że podał mi wtedy wartość między 48 a 49 procent". Trochę różni się to zatem od tego, co Rempi powiedział dziennikarzom w Madonna di Campiglio: „Wczoraj wieczorem *zrobiliśmy* badania i otrzymaliśmy wynik w okolicach 48 procent". „Tak czy owak" – czytamy dalej w raporcie – „doktor Rempi udowodnił, że nie rozumie doniosłości hematokrytu na poziomie 48–49 procent, który i tak jest bardzo wysoki, zwłaszcza w porównaniu z najlepszymi światowymi kolarzami niestosującymi dopingu, u których w zdecydowanej większości przypadków hematokryt wynosi około 42–43 procent, a czasem jeszcze mniej".

Jeśli chodzi o korzystanie przez zawodników z własnych wirówek, komisja stwierdziła: „Zdrowi sportowcy nie mają powodów do nieustannego kontrolowania poziomu hematokrytu, ponieważ ten nawet w warunkach ciężkiego odwodnienia nie podlega dużym wahaniom. Samokontrola hematokrytu przez zawodników wydaje się zatem praktyką całkowicie nieakceptowalną".

*Z zeznań doktora Rempiego wynika, że w zespole Mercatone Uno problem stosowania dopingu nie występuje. […] Ewidentnie nigdy się tym problemem nie zajmował, uważał, że go nie ma albo że nie trzeba się nim zajmować. Jeżeli kiedykolwiek się tą kwestią zajmował, najwyraźniej rozwiązał ją w jakiś inny sposób, którym nie zamierza się dzielić z opinią publiczną, a który z pewnością nie mieści się w kanonie etyki lekarskiej.*

Autorzy raportu stwierdzili na koniec, że „nie istnieją niepodważalne dowody na to, że wysoki poziom hematokrytu

u Pantaniego, skutkujący jego zawieszeniem, był spowodowany terapią medyczną prowadzoną przez doktora Rempiego", przez co lekarzowi nie postawiono żadnych zarzutów. Mimo to w raporcie znalazł się również poniższy fragment:

*Zachowanie doktora należy uznać za noszące cechy zaniedbania oraz naruszające postanowienia regulaminu zdrowotnego zatwierdzonego przez Radę Federalną FCI 15 lutego 1998 roku. […] Dane kliniczne dotyczące wyników badań krwi Pantaniego […] sugerują wysokie prawdopodobieństwo, że stwierdzony wysoki poziom hematokrytu wynikał ze stosowania sztucznej i egzogennej terapii – takiej, która nie jest dozwolona na mocy obowiązujących obecnie przepisów antydopingowych.*

*Wniosek ten wydaje się znajdować potwierdzenie w fakcie, że sam zawodnik ani inni przesłuchani świadkowie nie potrafią przedstawić żadnego innego wyjaśnienia tej sytuacji, które znajdowałoby poparcie w obiektywnych danych.*

Dwudziestego czwartego października 2005 roku rozmawiałem z doktorem Rempim i poprosiłem go, by przedstawił mi swoją wersję wydarzeń z Madonna di Campiglio i skomentował ów potępiający go raport. W odpowiedzi usłyszałem, że jest już najwyższy czas pozwolić Marco spoczywać w spokoju. Zagroził mi krokami prawnymi, jeśli tylko znajdzie w mojej książce podstawy do ich podjęcia.

Gdy tylko krytyczny raport CSAD został opublikowany, w obronie Marco stanęły znacznie potężniejsze instytucje. Pod koniec czerwca otrzymał on zgodę na prywatne spotkanie z Giannim Petruccim i Raffaele Pagnozzim, odpowiednio prezydentem i sekretarzem CONI. Petrucci oświadczył, że jego instytucja nie zamierza w jakikolwiek sposób ścigać Marco.

Ronchi pisze w swojej książce, że Petrucci określił Pantaniego mianem „sportowego dziedzictwa narodowego” i zaprosił go do reprezentacji Włoch na organizowane w Weronie kolarskie mistrzostwa świata w 1999 roku. Marco otrzymał to powołanie, choć udział w kampanii antydopingowej CSAD, którą tak zawzięcie bojkotował, oficjalnie stanowił warunek reprezentowania barw narodowych. Nazajutrz Marco odebrał z rąk premiera Massimo d’Alemy odznaczenie za szczególne zasługi dla włoskiego sportu. W lipcu organizatorzy kolarskich mistrzostw świata zaprosili go na konferencję prasową w charakterze wabika mającego pomóc wypromować imprezę. Tam Marco natknął się na Giancarlo Cerutiego, prezydenta FCI. Ronchi twierdzi, że obaj panowie umówili się wtedy na prywatne spotkanie. Pisze też, że na tym spotkaniu Ceruti doradzał Marco, by po prostu przyznał się do popełnienia błędu, bo to zamknęłoby całą sprawę. Ronchi napisała, że kolarz uznał to rozwiązanie za nieakceptowalne.

W następnych tygodniach po wydarzeniach z Madonna di Campiglio Marco popadł w głęboką depresję. Jak zwykle sytuację dodatkowo skomplikowały czynniki zewnętrzne. Niedługo po tym, jak usunięto go z Giro, padł ofiarą próby wyłudzenia, której dopuściła się kobieta w ciąży. Ronchi twierdziła, że to było zwykłe oszustwo i że nikt nic nikomu nie zapłacił, ale Paolo i Tonina opisywali tę sytuację nieco inaczej. Paolo powiedział w rozmowie ze mną: „To była jedna z tych kobiet […], które pewnie wtedy miewał [wykonuje gest, który interpretuję jako „a były ich setki”], no wiesz, te z gatunku impulsywnych przygód. Ta kobieta szantażowała go informacją, że jest ojcem jej nienarodzonego dziecka. Żądała od niego kilkuset milionów [kilkuset tysięcy euro]. Powiedziałem mu wtedy: »Na czym polega problem? Jeśli to twoje dziecko,

będziesz miał dziecko«, a on mi na to: »Ona mówi, że nie może go urodzić, bo chce pracować i nie chce mieć dzieci…«. Poradziłem mu: »Zrób badania genetyczne, sprawdź, czy to twoje dziecko, potem się dowiedz, ile chce, i podejmij decyzję«". Paolo stwierdził, że „ostatecznie dziecko okazało się nie jego".

– Może nawet w ogóle nie była w ciąży – wtrąciła się Tonina.

– Nie wdając się w szczegóły, przywieźli słoik z fragmentami… „To jest…"

Znów wtrąciła się Tonina:

– Trzymali – ma na myśli Marco i Christine – to przez trzy miesiące w lodówce. Niech pan to sobie wyobrazi!

– To był słój z płodem? – zapytałem zdumiony.

– Tak, z płodem. Poszłam tam otworzyć ten słoik i w środku były siki.

Wtedy wtrącił się Paolo:

– Kobieta dostała trochę pieniędzy i na tym sprawa się skończyła.

Później rodzice Marco dowiedzieli się, że Christine nieco wcześniej sama usunęła ciążę, być może wiosną 1999 roku. Paolo stwierdził lekko pogardliwym tonem:

– Powiedziała, że usunęła ciążę, bo chciała iść do szkoły w Rawennie.

– To nie było dziecko Marco – dodała Tonina.

– Tego nie wiem – zaprotestował Paolo – ale tak czy siak, ona chciała aborcji, a Marco chciał mieć dziecko. Chciał mieć syna. Wydawał się szczęśliwy: chciał mieć dziecko, syna.

– Nieprawda – oponuje Tonina. – W jego zapiskach znalazłam kiedyś taką notkę: „Dzieci? Powinni je mieć tylko ludzie, którzy ich chcą".

Publiczne upokorzenie, którego Marco doświadczył w Madonna di Campiglio, było dla niego nie do zniesienia. Dało początek

nieustannemu lękowi, jaki odczuwał aż do śmierci. W wywiadzie, który Christine sprzedała później magazynowi „Hebdo”, powiedziała: „Wrócił do domu i przez wiele dni płakał z czystej desperacji. W ogóle nie wychodziliśmy, bo wokół domu czyhało ze 150, może nawet 200 dziennikarzy. Porozstawiali namioty. Wydawało nam się, że to się nigdy nie skończy. Mieli urządzenia nasłuchowe i teleobiektywy, bo chcieli wiedzieć, co dzieje się w naszym domu. Widzieliśmy ich. Marco przesiedział cztery dni w ciemności, bez słowa. Nie umiałam do niego dotrzeć. Byłam zdesperowana, ale w końcu wróciłam do pracy w kiosku z *piadine*. […] Potem Marco zaczął wychodzić z domu nocami. Pewnie jakieś dziesięć dni później przyszedł do mnie i powiedział: »Wiesz co? Zacząłem brać kokainę«”.

Z jej opisu wynikałoby, że Marco zaczął brać kokainę 14 dni po powrocie z Madonna di Campiglio – cztery dni przesiedział w ciemności, a potem potrzebował dziesięciu kolejnych na wyjście z domu i zanurzenie się w nocnym życiu Cesenatico. Dawałoby to zatem 19 czerwca 1999 roku. Jeśli ta chronologia jest poprawna, oznaczałoby to, że Marco mógł wybierać między kokainą a Tour de France. Wybrał kokainę.

Zażywanie narkotyków nie musiało oczywiście oznaczać pogardy dla samego siebie czy skłonności autodestrukcyjnych. Niektórzy prawnicy, dentyści, biznesmeni pozwalali sobie na małą kreskę w piątkowy wieczór, co nie wywoływało u nich żadnych szkodliwych skutków zdrowotnych czy dotyczących życia zawodowego. Inni dążą do osiągnięcia podobnego efektu za pomocą drogiego koniaku albo cygara. Abstrahując od faktu, że od końca lat 70. upowszechnianie się narkotyków stało się poważnym problemem w zakresie zdrowia publicznego – pierwszą oficjalną śmierć z powodu przedawkowana heroiny odnotowano w 1973 roku – Włosi mieli tradycyjnie raczej liberalne podejście do ich zażywania. Do 1990 roku posiadanie

ich niewielkiej ilości na własny użytek było zgodne z prawem, nawet jeśli handel narkotykami traktowano już jako przestępstwo. W 1989 roku szacowano, że od 100 tysięcy do 250 tysięcy Włochów przyjmuje narkotyki drogą dożylną. Zdecydowanie liczniejsi byli ludzie zażywający kokainę i palący marihuanę. Gdy w 1990 roku, częściowo pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, wprowadzono karę aresztu za posiadanie więcej niż „dawki dziennej" narkotyków, włoski system karny stanął na krawędzi załamania. Już po dwóch latach jedną trzecią wszystkich skazanych przestępców stanowili ludzie zażywający narkotyki, a 14 tysięcy z nich osadzono w więzieniach. Mimo to dla młodego człowieka noc spędzona na mieście po zażyciu kokainy stanowiła natychmiastowe remedium na problemy w pracy czy na złamane serce. Prawdopodobnie właśnie taka motywacja przyświecała Marco i kilku jego znajomym, gdy sięgali po kokę. Ronchi relacjonuje te wydarzenia nieco inaczej, a w jej słowach widać jakiś niemądry mistycyzm: „Po Madonna di Campiglio ktoś – z szacunku powstrzymam się od podawania nazwisk – powiedział mu: »Wiesz co? Wystarczy, że wciągniesz odrobinę koki, a ona już odkryje przed tobą to, co znajduje się poza rzeczywistością«".

Kokaina pobudza między innymi wydzielanie dopaminy, substancji chemicznej wpływającej na działanie układu nerwowego (do tej samej grupy należą acetylocholina, noradrenalina i serotonina), która między innymi wiąże emocje z funkcjami fizycznymi i mentalnymi. Przyjemność odczuwana podczas pocałunku lub gorącej kąpieli wynika z tego, że komórki nerwowe w mózgu uwalniają przekaźniki dopaminowe do synaps. Normalnie uwolniony w ten sposób neuroprzekaźnik jest szybko wychwytywany przez transportery dopaminy, które ponownie magazynują go

w komórkach nerwowych. Kokaina łączy się z transporterami i zapobiega wypłukiwaniu przez nie dopaminy. Kokainowy haj trwa od 40 minut do godziny. Regularne zażywanie tego narkotyku powoduje, że organizm zaczyna go tolerować, ale tamte pierwsze doświadczenia z czerwca 1999 roku musiały być dla Pantaniego niezapomniane. Być może w kokainie Marco odnalazł odpowiednik emocjonalnego komfortu, którego tak pragnął.

Co najmniej jeden z jego znajomych uważa, że Pantani sięgnął po kokainę wcześniej niż w 1999 roku. Z pewnością znał ten narkotyk, do którego dostęp był na riwierze bajecznie prosty, wiedział też o destrukcyjnych skutkach jego zażywania. W styczniu 1998 roku, po wielu latach przyjmowania kokainy, zmarł Mario Schifano, zamieszkały w Cesenatico światowej sławy artysta (wspomnienia opisujące jego ekscesy ukazały się w tomie zatytułowanym *Kokaina na śniadanie*). Marco wysłał jego rodzinie kondolencje i bukiet kwiatów. Nie zachowały się żadne dowody, że kiedykolwiek się poznali. Schifano musiał się jednak interesować Marco. W latach 90. pośród prac artysty przedstawiających gwiazdy rocka i polityków, a także pośród pejzaży i pornografii, znalazły się przedstawienia scen ze świata sportu. Schifano wziął na warsztat żeglarstwo, wyścigi łodzi motorowych i motosport, ale co najmniej trzy dzieła poświęcił też kolarstwu. Interesował się również wpływem reklamy i logotypów firm na przestrzeń wizualną, no a Marco stanowił przecież chodzący billboard kilkudziesięciu sponsorów.

Pantani prawdopodobnie znał jego prace. Kiedyś sam zabrał się do malowania i jego prace pod względem techniki przypominały trochę dzieła Schifano. Ten drugi był zainteresowany zależnościami między obrazami powstającymi mechanicznie – zdjęciami, telewizją, kinem – a pamięcią.

Potrafił na przykład wziąć aparat Polaroid, zrobić zdjęcie obrazu na ekranie telewizora, wydrukować je potem na płótnie i całość zamalować. Nie przejmował się ostrością ani geometrią, uwypuklał i zniekształcał barwy, oszpecał obrazy technologiczne, wzbogacając je o ulotność pamięci zmysłowej. Niektóre dzieła Marco składają się z tła w jaskrawych kolorach, na które nakładał powierzchniową warstwę farby, a potem końcówką pędzla ją zeskrobywał, żeby ukazać, co jest pod spodem. Zależności między tym, co na powierzchni, a ukrytymi rzeczywistościami zajmowały mu umysł przez całe życie. Zajmowało go również przekonanie, że istnieje coś takiego jak prawda artystyczna. Podczas wywiadu potrafił powiedzieć, że rower jest dla niego tym samym co pędzel dla malarza – że odmawianie mu możliwości jazdy jest niczym tłumienie swobody wyrazu artystycznego. Stąd hipoteza, że kokaina przestała być dla niego jedynie używką, a stała się *koncepcją*, wokół której Marco zaczął budować swoją tożsamość. Być może dzieła Schifano stały się dla Pantaniego swego rodzaju szablonem, być może podobnym wzorem stała się dla niego śmierć artysty.

Kokaina była jedną z niezliczonych pokus na Riwierze Adriatyckiej. Gdyby Marco urodził się gdzieś indziej, na przykład w górach, jego życie mogłoby przybrać inny obrót. Znakomicie widać to choćby na kartach powieści *Rimini*, napisanej w latach 1983–1985 przez Piera Vittorio Tondellego, urodzonego w Emilii-Romanii. Pomimo tytułu Tondelli opisuje riwierę jako jedną całość, ciągnącą się od Riccione na południu aż po Lido di Classe na północy. Teren ten obejmował zatem także Bellarię, Bellarivę, Marebello, Miramare i Rivazzurrę. W swojej książce Tondelli opowiada o Beatrix, kobiecie z Niemiec, która w poszukiwaniu swojej siostry dotarła do Bellarii. Jadąc tam, spodziewała się kilkuset metrów piasku

i kilku hoteli, a na miejscu zastała 150 kilometrów plaż oraz „piekło moteli, domów i apartamentów, między którymi nieustannie przelewały się miliony ludzi".

Riwiera przedstawiona przez Tondellego to głównie alkohol, narkotyki, seks grupowy w pokojach hotelowych i homoseksualne orgie na plaży. Jego postacie natychmiast łączą się w pary, często od razu uprawiają seks. Miejscowy dziennikarz wyjaśnia, że tamtejsza branża erotyczna „działa dzień i noc: o każdej porze znajdziesz kogoś, z kim możesz się zabawić i kto spełni wszystkie twoje pragnienia, absolutnie wszystkie". Inny dziennikarz dodaje, że latem w największych miastach ciężko jest dostać heroinę, więc osoby od niej uzależnione kierują się na riwierę. Równolegle z seksem i narkotykami znakomicie funkcjonuje tam nielegalny hazard. Riwiera Tondellego jest tak rozwiązła, że pewien pobożny dziwak nazywa ją „wielką, ulokowaną nad oceanem dziwką" Objawienia. Tenże człowiek zwiastuje też zniszczenie miasta w dniu przewidzianym przez kabalistów. Na takim właśnie tle rozgrywa się akcja komedii o seksie i korupcji w przetargach publicznych. To oczywiście fikcja, ale oparta na znakomitym researchu oraz solidnych podstawach w rzeczywistości.

Kilka lat po wydaniu *Rimini* Tondelli wrócił na Riwierę Adriatycką w związku z pracami nad filmem *Sabato Italiano* (Włoska sobota), który został ukończony już po jego śmierci w 1992 roku. *Sabato Italiano* pokazane przez Tondellego i reżysera Luciano Menuzziego zaczyna się od dźwięków muzyki pogrzebowej i obrazów pokazujących autentyczne nagłówki prasowe, w których czytamy: „Tragiczny weekend", „Czternaście osób nie żyje, jedenaście jest rannych", „Siedemdziesiąt osiem ofiar od początku roku", „Wojna dyskotek" itd. To wszystko teksty dotyczące tzw. masakry sobotniej nocy, zjawiska występującego w latach 80. na

wybrzeżu adriatyckim. Młodzi ludzie wychodzili z nocnych klubów na haju po ecstasy, a następnie brali udział w wyścigach samochodowych po centrach miast. Film przedstawia losy trzech grup bohaterów, których ścieżki się krzyżują (dosłownie) i dochodzi do olbrzymiego, śmiertelnego wypadku na skrzyżowaniu. Jeden z bohaterów, pomocnik mechanika, chce zaimponować pewnej dziewczynie i w tym celu mówi jej, że do jego obowiązków należy pędzenie po wiejskich drogach z szaloną szybkością i rozwiewanie powietrza nawianego przez *garbino*, wiatr wiejący nad riwierą w letnie popołudnia, od którego wszyscy robią się nerwowi.

Skandal z Madonna di Campiglio w niczym nie umniejszył atrakcyjności komercyjnej Marco. Przedstawiciele Citroëna powiedzieli Ronchi, że w okresie emitowania reklamy z jego udziałem ich sprzedaż we Włoszech wzrosła o 25 procent. W związku z tym byli oczywiście zainteresowani przedłużeniem umowy z zawodnikiem. Pod koniec lipca firma Albacom chciała, by Marco pojawił się na jej stoisku na targach w Rimini. Tego wieczoru Ronchi umówiła się z nim na spotkanie, ale kolarz się na nim nie zjawił. Poszedł do mieszkania znajomego, szukać dowodów, że tenże znajomy i Christine mają romans. W ramach próby przezwyciężenia kryzysu w związku Marco i Christine wsiedli do kampera i pojechali w podróż dookoła Włoch. Wyjazd okazał się katastrofą.

Jedenaście dni po aferze z Madonna di Campiglio Raffaele Guariniello z prokuratury w Turynie rozpoczął dochodzenie na podstawie dokumentacji medycznej pozostawionej przez Marco w tamtejszym CTNR po wypadku z października 1995 roku. Przed operacją, której celem było nastawienie złamanych kości, Marco pobrano krew do standardowych badań. Wyniki okazały

się dalekie od oczywistości. Morfologia krwi wykazała wartości, których nie można uznać za normalne: jego hematokryt, czyli stężenie czerwonych krwinek, wynosił 60,1 procent, hemoglobina – 20,8 g/100 ml, a liczba czerwonych krwinek w milimetrze sześciennym wynosiła 6 690 000. Tej skrajnej hemokoncentracji usiłowano zaradzić poprzez wlew pięciu i pół litra roztworu elektrolitów z glukozą i Haemaccelem, który podawano pacjentowi jeszcze przez 16 godzin po zabiegu. Drugie badanie krwi, przeprowadzone 18 października o 7:40 rano, dało już normalne wyniki: hematokryt wynosił 42,3 procent, hemoglobina 14,6 g/100 ml, a liczba erytrocytów – 4 730 000 na milimetr sześcienny. W następnych dniach po zabiegu u Marco wystąpiła anemia. Dwudziestego piątego października jego liczba erytrocytów spadła do tak niskiego poziomu, że zagrażało to życiu kolarza. Żeby go ratować, konieczna była transfuzja krwi. Później chirurg komentował: „Nie rozumiem, dlaczego nie wystąpił u niego wzrost hematologiczny, jaki obserwujemy zwykle u pacjentów w jego wieku z podobnymi problemami”.

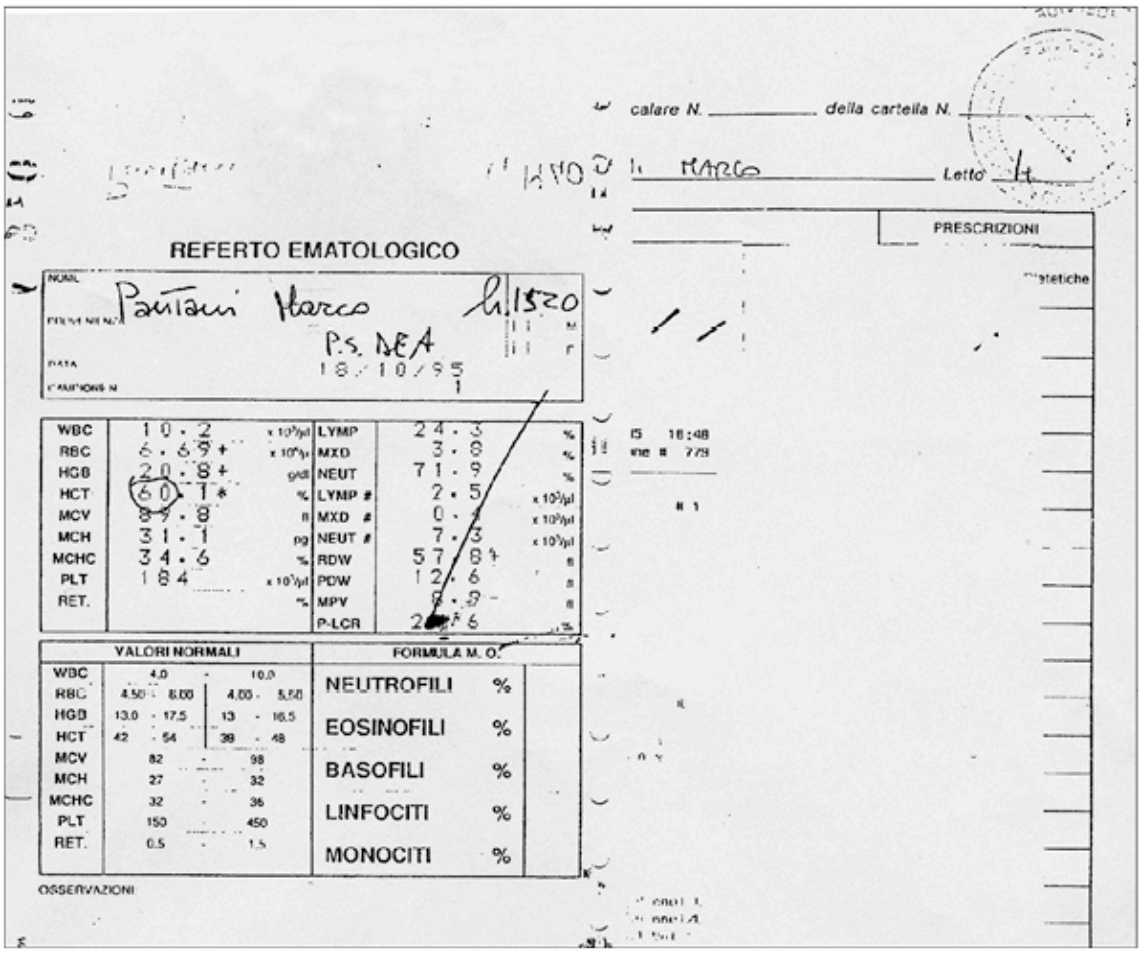


Ilustracja 2. Wyniki badania krwi w CTNR w Turynie, 18 października 1995

Z punktu widzenia śledczych była to sytuacja podejrzana już choćby dlatego, że dokumenty z wynikami badania krwi zniknęły. Gdy 12 czerwca 1999 roku Guariniello otrzymał dokumentację medyczną Pantaniego, nie było tam kartki z tymi wynikami. Anestezjolog przysięgała, że widziała te wyniki przed operacją, a jej słowa znajdują potwierdzenie w zapiskach, które wtedy wykonała, dotyczących stwierdzonego u Marco poziomu hematokrytu. Dwudziestego drugiego września 1999 roku sąd otrzymał wreszcie te wyniki od firmy Reale Assicurazione, ubezpieczyciela Marco. Dokument z wynikami

musiał znajdować się w jego dokumentacji medycznej w CTNR od 18 października 1995 roku co najmniej do 8 listopada, ponieważ to wtedy wykonano jego kserokopię i wysłano ją do Marco – lub kogoś go reprezentującego – by ten przesłał dokument dalej, do ubezpieczyciela. Na kserokopii widać, że w chwili kopiowania kartka ta była przyczepiona do reszty dokumentacji medycznej. Dziewiętnastego lipca 1999 roku profesor Gian Martino Benzi, jeden z biegłych hematologów występujących w roli eksperta w procesie sądowym, zdobył własną kopię tego dokumentu bezpośrednio z CTNR. Dotarła ona z następującym wyjaśnieniem lekarza kierującego laboratorium badania krwi w CTNR: „Przesyłam niniejszym kopię wyników badań hematologicznych przeprowadzonych w trybie pilnym 18 października 1995 roku u pacjenta Marco Pantaniego, obecnych w jego dokumentacji, a także wydruk z naszej dokumentacji komputerowej – rutynowe badania – za okres od 19 do 27 października 1995 roku". Kartka z tymi wynikami została rzekomo odłożona w nieodpowiednie miejsce w listopadzie 1995 roku, być może w związku z wykonywaniem jej kserokopii. Być może była to zwykła pomyłka, ale z uwagi na status Marco wiele osób odnosiło się do tego incydentu z podejrzliwością. Sędzia określił to czasowe zagubienie dokumentu jako „niepokojące".

Już skandal z Madonna di Campiglio okazywał się ponad siły Marco, a gdy ogłoszono rozpoczęcie dochodzenia w sprawie jego wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn, mógł odebrać to jako atak na jego tożsamość. Uważał, że tamten wypadek i walka o powrót na wyścigowe trasy zdefiniowały go jako kolarza i jako człowieka. W związku z tym mógł postrzegać śledztwo jako wykalkulowaną próbę publicznego upokorzenia go. Jeśli wierzyć chronologii, która bazuje na wypowiedzi Christine,

Marco sięgnął po kokainę trzy dni po rozpoczęciu śledztwa w sprawie wyścigu Mediolan–Turyn.

Pod koniec 1999 roku Pantani wykonał niespodziewany telefon do Marcello Lodiego, eksperta w zakresie biomechaniki, z którym współpracował w okresie występów w teamie Carrera. Lodi wspomina to tak: „Był środek nocy. Telefon się gdzieś ładował, więc potrzebowałem dłuższej chwili, żeby go znaleźć. Gdy wreszcie odebrałem, w pierwszej chwili nie poznałem Marco. »Marce, tu Marco«. »Cześć, jak się masz?« Pogadaliśmy przez kilka minut, a potem powiedział: »Marce, jeśli mam z tego wszystkiego wyjść, będę potrzebował twojej pomocy«. Zapytałem, go, gdzie jest. Odpowiedział, że w Modenie, razem z Pregnolato. Dwa dni później pojechałem tam, żeby się z nim spotkać. Sądziłem, że ma na myśli wydarzenia z Madonna di Campiglio. Nie miałem pojęcia o kokainie".

W Modenie Pantani poprosił Lodiego, by ten porozmawiał z Cennim i omówił z nim plan wsparcia Marco w powrocie do formy. „Powiedział mi: »Marce, to ty mi pomogłeś, gdy miałem problemy na początku kariery«". Lodi nie znał osobiście Cenniego, więc zadzwonił do Italo Mazzacuratiego, który kiedyś jeździł jako *domestique* dla Felice Gimondiego pod kierownictwem Luciano Pezziego. Mazzacurati pośredniczył w organizacji spotkania, w którym udział mieli wziąć Pantani Lodi i Cenni. Wieczorem na dzień przed spotkaniem Marco znów zadzwonił do Lodiego. „Zapytał, czy nie będę miał nic przeciwko, jeśli się nie zjawi. Powiedziałem, że owszem, mam coś przeciwko. On mi na to, że zamiast niego chce iść Manuela. »Twoja dziewczyna chce iść na to spotkanie?« »Ona nie jest moją dziewczyną, tylko zarządza moim wizerunkiem«". Spotkanie się odbyło, a zamiast Marco była na nim Ronchi. Lodi

opisał na nim plany, które nie obejmowały Giro. „Chciałem usunąć Marco z włoskiego światka kolarskiego, odsunąć go od świata dopingu. Chciałem pomóc mu przewietrzyć głowę, więc zamierzałem zabrać go na ryby do Hiszpanii, a potem rozpocząć przygotowania do Tour de France”. Lodi już wcześniej dogadał się z Eduardo Castello Vilanovą, byłym kolarzem i mistrzem Hiszpanii z 1971 roku, który miał posiadłość w okolicy Castelló de la Plana, na południe od Walencji.

Spędziłem z Lodim jedno popołudnie, łowiliśmy szczupaki. Przyglądałem się, jak zarzuca wędkę zza pleców i celuje pięć, dziesięć, potem 15 metrów od siebie, w zacienione miejsca przy brzegu, gdzie czaiły się te drapieżniki. „Przestajesz myśleć o czymkolwiek” – powiedział nagle. – „Jak gdyby czas przestawał istnieć”. Marco zaprosił Lodiego na wspólne połowy szczupaka i bassa wielkogębowego w jeziorach w okolicach Cervii oraz Milano Marittima. Teraz to Lodi proponował wędkarstwo jako terapię mającą wspomóc go w powrocie do równowagi, z dala od włoskiego środowiska kolarskiego i jego szemranych nawyków. Zależało mu, by Marco nie brał na siebie presji i insynuacji związanych z Giro. Mieli się przygotowywać wyłącznie do Tour de France.

Lodi wspomina, że na samym spotkaniu Ronchi słuchała i nie odzywała się ani słowem. Wyszedł stamtąd w przekonaniu, że dostał od Cenniego zielone światło. „Po wszystkim usłyszałem od niej: »Musimy się spotkać jeszcze raz, ty i ja«. Byłem trochę zniesmaczony, że tak po prostu zwróciła się do mnie na *ty*. Zapytałem Cenniego, czy mogę już iść, a potem już nigdy więcej żadne z nich się do mnie nie odezwało. Gdy wiele miesięcy później doszły mnie wieści, że Marco wystartuje w Giro, napisałem do Cenniego, że moim zdaniem to błąd, że nie powinno go tam być. Nie dostałem odpowiedzi”.

Jedenastego listopada 1999 roku Marco miał stawić się przed obliczem Guariniello w związku z wypadkiem na trasie wyścigu Mediolan–Turyn. Guariniello pozyskał dokumentację medyczną Marco z każdego poważnego wypadku od czasu kraksy pod Supergą. Sąd mógł zdeprecjonować wszystko, co kolarz osiągnął przez ostatnie pół dekady.

Zgodnie z chronologią zaproponowaną przez Ronchi, na dwa dni przed terminem wezwania do sądu pojechała po Marco i właśnie wtedy dowiedziała się, że zaczął brać narkotyki. W rozmowie ze mną opowiadała: „Powiedział mi: »Nie, Manu, nigdzie nie jedziemy, bo wydarzyło się coś bardzo poważnego. Nigdzie się stąd nie ruszymy«. Zabrał mnie do mieszkania swojej dziewczyny, której nie było. Zniknęła prawdopodobnie dlatego, że sama wzięła z nim kokainę i wtedy zrozumiała, że po niej on przestaje się kontrolować. Tak przestraszyła ją reakcja Marco, który chciał poznać prawdę, że się zmyła. Weszliśmy do mieszkania i wtedy on, zapewne dlatego, że było mu wstyd, powiedział: »Manu, przepraszam, zawiodłem cię. Teraz już nic się nie da poradzić, jestem narkomanem, zacząłem brać kokainę, to już koniec, już nic nie da się zrobić«”. Ronchi opowiadała dalej: „Od razu, gdy tylko Marco powiedział: »Pomocy«, postanowiłam, że będę jego przyjaciółką”.

Następnie stwierdziła coś niesamowitego: „Od tamtej pory [czyli od listopada 1999 roku] już nigdy nie żądałam od Marco pieniędzy, a przecież relacje agenta ze sportowcem polegają zwykle na tym, że agent zatrzymuje dla siebie jakiś odsetek zarobków zawodnika. Tyle że w jego przypadku moja rola nie ograniczała się tylko do bycia agentem. Pełniłam też obowiązki administracyjne w zespole. Byłam agentem zespołu, agentem Marco oraz szefową komunikacji w biurze prasowym. Pełniłam cztery różne funkcje, na które zespół powinien wyasygnować ze swojego budżetu cztery osobne pensje. Nigdy nie brałam

pieniędzy za pracę w żadnej z tych ról. Jeździłam do Cesenatico cztery razy w tygodniu. I co? Miałam na koniec miesiąca domagać się zwrotu wydatków na benzynę? Jak by to wpłynęło na moją wiarygodność jako osoby, która chce mu pomóc, gdyby ważne były dla mnie pieniądze? Ostatecznie postanowiłam: »Przyjacielowi nie chodzi o zarobek«". Pracowałam dla zespołu, więc czysto teoretycznie wynagrodzenie powinnam dostawać od niego, a nie od Marco Pantaniego. Problem w tym, że firma nie miała forsy na wypłaty dla kolarzy, więc jak mogłabym brać od nich pieniądze? Wychodziłam z założenia, że jestem agentem Marco Pantaniego, więc prędzej czy później będę coś z tego miała. Ostatecznie uznałam, że zapłacił mi w dniu, w którym miał cały świat u swoich stóp, ale wybrał właśnie mnie".

Skoro w listopadzie 1999 roku problem Marco z kokainą był już tak duży, że branie od niego pieniędzy byłoby nieetyczne, to dlaczego Ronchi od razu nie powiadomiła o tym jego sponsorów? Dlaczego czekała, jak sama twierdzi, aż do stycznia 2002 roku? Ona sama twierdzi, że w grudniu 1999 roku Pantani powiedział jej, że napisał do Romano Cenniego, właściciela Mercatone Uno, i poinformował go, że regularnie zażywa kokainę. Ronchi nie zrobiła nic, żeby to potwierdzić. Dopiero w styczniu 2002 roku dowiedziała się, że okłamał ją w tej sprawie. Jak to możliwe, że temat problemów Marco z kokainą nie wypłynął podczas negocjowania umów sponsorskich na sezony 2000, 2001 i 2002? Ostatecznie kokaina znajduje się na liście substancji zakazanych przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Co więcej, w sierpniu 1999 roku, czyli dopiero co, stała się przyczyną wielkiego skandalu z udziałem Javiera Sotomayora, legendarnego kubańskiego skoczka wzwyż. Marco nawykowo i nieustannie łamał zasady etyki sportowej i przepisy antydopingowe. Jeżeli sponsorzy podpisujący sowite

umowy sponsorskie wiedzieli o jego problemach z kokainą, oznaczałoby to, że postępowali nieetycznie, finansując jego dalszą aktywność w sporcie. Jeżeli natomiast Ronchi miała tego rodzaju wrażliwe informacje i nie przekazała ich sponsorom, narażała się na zarzut złamania zasad pracy agenta.

Jeżeli 11 listopada Marco miał cokolwiek do powiedzenia sędziemu Raffaele Guariniello, to postanowił zachować to dla siebie. Z siedziby sądu wyszedł dziesięć minut po tym, jak do niej wszedł. Zapytany przez jednego z czekających tam dziennikarzy, czy skorzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień, odparł krótko: „Tak". Na kolejne pytanie: „Dlaczego?", odpowiedział: „Tak jest lepiej. Nie mam nic do ukrycia. Złożyłem pisemne wyjaśnienia, by precyzyjniej przedstawić moje stanowisko w tej sprawie". W opublikowanej informacji prasowej zespół Mercatone Uno podważał podstawy do wszczęcia śledztwa w całej sprawie, a wysoki hematokryt stwierdzony u Marco po wypadku w Mediolan–Turyn przypisywał wstrząsowi organizmu. Ujawniono również, że 12 lipca na ręce Stefano Rodoty, urzędnika odpowiedzialnego za kwestie związane z wykorzystywaniem danych osobowych, złożono wniosek o zapobieżenie publikowaniu wszelkich informacji dotyczących zdrowia Marco. Chodziło o dziennikarzy. Pantaniemu nadal groziła kara pozbawienia wolności do lat dwóch i grzywna w wysokości do 50 milionów lirów.

Ogólnie jego sytuacja miała się jeszcze zmienić na gorsze. Trochę później, 27 i 28 grudnia, po pierwszych, niepełnych informacjach opublikowanych w magazynie „GQ", dziennikarz Eugenio Capodacqua opublikował szereg szkodliwych dla niego artykułów na łamach „La Repubblica", wyciągając na światło dzienne kolejne śledztwo dotyczące Marco. Sędzia Pierguido Soprani z Ferrary przyglądał się trzem ważnym postaciom

włoskiego sportu: naukowcowi Francesco Conconiemu, rektorowi Uniwersytetu w Ferrarze i dyrektorowi Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych Na Potrzeby Sportu przy tej uczelni, doktorowi Michele Ferrariemu, byłemu asystentowi Conconiego, oraz Mario Pescante, dawnemu prezydentowi CONI, którego organizacja finansowała działanie Centrum. Już w październiku 1998 roku Soprani poinformował Conconiego, Ferrariego oraz Pescante, że wszczęto przeciwko nim śledztwo w sprawie związanej z dopingiem. Dochodzenie to uruchomiono w związku ze śledztwami wokół Giro, rozpoczętymi jeszcze przed startem tego wyścigu w 1996 roku. Jako główny punkt zaopatrzenia w środki dopingujące wskazano aptekę Giardini Margherita z Bolonii. Przeprowadzono przeszukania i znaleziono dokumenty świadczące o powszechnym stosowaniu dopingu podczas Giro d'Italia 1996 i Tour de France 1996. Dochodzenie okazało się o tyle niezwykłe, że – choć nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że łamane są zasady etyczne i dochodzi do niepoprawnego gospodarowania środkami publicznymi (placówka Conconiego w latach 1990—1996 otrzymała finansowanie z CONI w kwocie 660 milionów lirów) – nie do końca było wiadomo, pod jaki paragraf włoskiego Kodeksu karnego można by tę sprawę podciągnąć. Śledczy odbili się od muru milczenia, choć tajni informatorzy i dziennikarze śledczy zaczęli odkrywać zarysy finansowego przez państwo tajnego układu dopingowego. Pod pewnymi względami przypominało to Program 1425, niesławny program dopingowy realizowany w latach 1960–1990 w NRD. Na polecenie tamtejszych najwyżej postawionych polityków, którzy pragnęli dominacji sportowców z własnego kraju, ponad dziesięciu tysiącom nieświadomych młodych ludzi podawano sterydy. W porównaniu z tamtą operacją program włoski, jeśli można w ogóle o czymś takim

mówić, był bardzo skromny, poza tym dotyczył wyłącznie najlepszych sportowców zawodowych i olimpijskich. Nie zmienia to faktu, że doszło do drastycznego naruszenia zasad etyki sportowej.

Mniej więcej do 1979 roku doping był indywidualną sprawą każdego sportowca, któremu być może doradzał w tych kwestiach trener lub lekarz. Wszystko się zmieniło, gdy upowszechniły się transfuzje krwi. Pionierami tego rozwiązania byli jeszcze w latach 70. Finowie. Transfuzje krwi wymagały wykwalifikowanego personelu medycznego, dostępu do laboratoriów oraz znacznie większego budżetu. Świadkowie (a było ich bardzo wielu) zeznali w ramach dochodzenia, że Conconi przetaczał włoskim sportowcom krew od 1979 roku. Aktywny w tej kwestii był szczególnie w trakcie igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 roku oraz przed igrzyskami w Los Angeles w 1984 roku. W marcu 1985 roku minister zdrowia Włoch wprowadził przepisy zakazujące transfuzji krwi w celu poprawy wydolności organizmu sportowców. Oficjalnie przedstawiciele władz włoskiego sportu zobowiązali się zaprzestać tej praktyki, ale z zeznań samych sportowców wynikało, że nielegalne transfuzje krwi powadzono w Ferrarze aż do 1988 roku, i to nawet pomimo tego, że wśród sportowców poddawanych tej terapii pojawiały się przypadki zarażenia żółtaczką. Praktyka ta była najwyraźniej stosowana aż do początku lat 90., gdy pojawiło się skuteczniejsze rozwiązanie, czyli r-EPO.

W kilka dni po wydarzeniach z Madonna di Campiglio, w czerwcu 1999 roku, ekipa szwajcarskiej telewizji nagrała jednego z członków zespołu Lampre, jak podczas Tour de Suisse wyrzuca z zespołowego samochodu worek odpadów medycznych. W śmieciach tych znajdowały się między innymi puste strzykawki i opakowania po środkach dopingujących.

Materiał został wyemitowany i skłonił Sopraniego do wysłania funkcjonariuszy NAS, którzy zrobili naloty na terenie całych Włoch. Pod koniec czerwca przeszukano domy wielu najbardziej utytułowanych kolegów i rywali Marco. Znaleźli się wśród nich Ivan Gotti, Pawieł Tonkow, Paolo Savoldelli i Mario Cipollini. Funkcjonariusze wzięli na cel także zespoły Mapei, Saeco i Mercatone Uno. W lodówce Gianluki Bortolamiego, byłego zawodnika Festiny, znaleziono r-EPO. Bortolamiemu wcześniej się upiekło, bo w ostatniej chwili nie załapał się do drużyny Festiny na Tour de France i w związku z tym nie brał udziału w skandalu, do jakiego doszło podczas tamtego Touru.

Potem, pod koniec grudnia, „La Repubblica" opublikowała rewelacje Capodacquy. Opierały się one na obciążających danych skopiowanych z dysku twardego komputera podczas nalotu, jaki policja wykonała na Centrum Conconiego 29 października 1998 roku. W pierwszym artykule Capodacqua podał imiona i nazwiska 22 sportowców korzystających z usług Centrum i opisanych jako „poddany terapii EPO" w pliku o nazwie „epo.wks". Na liście tej znalazło się wielu najbardziej utytułowanych włoskich zawodników minionej dekady, między innymi Gianni Bugno, Claudio Chiappucci, wybitny duński specjalista od klasyków Rolf Sørensen, były mistrz świata Maurizio Fondriest i jego wierny *domestique* Marco Zen. Gdyby te zarzuty się potwierdziły, historia włoskiego kolarstwa w latach 90. musiałaby zostać napisana od nowa.

Nazajutrz Capodacqua miał wyprowadzić cios, który nie pozostał bez wpływu na resztę życia Marco. Dziennikarz ujawnił, że drugi plik, „dblab.wdb", zawierał wyniki setek analiz krwi wykonanych w latach 1992–1995 na próbkach pobranych od kilkudziesięciu sportowców, znanych i mniej znanych. Wśród najgłośniejszych nazwisk w tym pliku znalazł się Marco Pantani. Szesnastego marca 1994 roku jego

hematokryt wynosił 40,7 procent, a już 68 dni później, 23 maja – czyli w połowie Giro d'Italia – 54,5 procent. Nazajutrz po tym, jak Marco cieszył się z drugiego miejsca na podium w Mediolanie, zbadany u niego hematokryt wyniósł aż 58 procent. Sześć tygodni później, gdy zajął trzecie miejsce w swoim debiutanckim występie w Tour de France, jego hematokryt utrzymywał się niemal na tym samym poziomie i wynosił 57,4 procent. Innymi słowy, w okresie od 23 maja do 25 lipca jego wyniki badań krwi regularnie przekraczały normy. W tym czasie Marco startował w Giro d'Italia, mistrzostwach Włoch oraz Tour de France. Po 25 lipca do końca 1994 roku Pantaniemu nie robiono już badań krwi. W marcu 1995 roku jego hematokryt wyniósł 45 procent, ale przez wypadek w Santarcangelo z 1 maja Marco nie wziął udziału w Giro d'Italia. Tuż przed rozpoczęciem Tour de France, 22 czerwca, jego hematokryt wrócił na poziom 56 procent. Niedługo miał wygrać etapy do Alpe d'Huez i Guzet-Neige. To był jeden z ostatnich wpisów dotyczących Marco w pliku „dblab.wdb". Minimalna wartość odnotowana w tym pliku (40,7 procent z 16 marca 1994 roku) i wartość maksymalna (58 procent z 25 lipca 1995 roku) dawały zmienność na poziomie 42,5 procent. Capodacqua napisał, że maksymalna zmienność występująca z przyczyn naturalnych wynosi 10 procent. Kiedy 18 października przyjmowano Marco do CTNR w Turynie, jego hematokryt wynosił 60,1 procent, co jeszcze zwiększa podaną przed chwilą zmienność. Wśród kolarzy, których dane znalazły się w pliku „dblab.wdb", nie był żadnym wyjątkiem. Hematokryt Claudio Chiappucciego 8 stycznia 1994 roku wyniósł 35,7 procent, a 17 czerwca tego samego roku wyniósł 60,7 procent, co daje zmienność na zatrważającym poziomie *70 procent*. U Guido Bontempiego zmienność odczytów hematokrytu sięgnęła 54 procent, u Pēterisa Ugrjumovsa 40,2

procent, u Nicoli Minalego wyniosła 42,5 procent, a u Ivana Gottiego – 40 procent. Zmienność tego wskaźnika na tak dużym poziomie mogła wynikać jedynie z jakiejś bardzo poważnej choroby – a nic nie wiadomo, żeby którykolwiek z nich się z taką zmagał – albo z jakiejś formy manipulowania tymi wartościami. Niemniej to Marco był gwiazdą i w związku z tym mógł liczyć na specjalne traktowanie – Capodacqua skupił się przede wszystkim na nim.

Jak dotąd Marco nie usłyszał żadnych zarzutów, nadal jeszcze mógł się wszystkiego wyprzeć. Ta publikacja uświadomiła mu jednak trzy wstrząsające rzeczy: że po badaniach krwi z trzech pierwszych lat jego kariery zawodowej został ślad w dokumentacji; że dokumentacja ta – a wraz z nią wszystkie jego dokonania sportowe – stała się teraz przedmiotem zainteresowania policji; a wreszcie – że włoska prasa miała bieżący dostęp do postępów w prowadzonym śledztwie. To przygniatające poczucie, że jest obserwowany, miało się tylko nasilać.

Trzynastego stycznia 2000 roku Marco obchodził 30. urodziny na obozie treningowym na Kanarach. Podczas imprezy z innym zawodnikami wyciągnął skądś woreczek z kokainą. Impreza zakończyła się spłukaniem narkotyku – który Pantani zawsze nazywał eufemistycznie *la roba*, „towarem” – w toalecie przez Ronchi. Zapłakany Marco przepraszał, że ją zawiódł. Jeżeli wierzyć jej słowom, od tego momentu wszyscy w zespole wiedzieli, że ma on problem z kokainą. Wszyscy oprócz lekarzy i sponsorów.

# Rozdział 14.
# Pętla się zaciska

## STYCZEŃ–GRUDZIEŃ 2000

Upokorzenie, jakie spotkało Marco w Madonna di Campiglio, obudziło w nim głos, krzyk – „Patrzcie, co oni mi zrobili. Patrzcie, jak mnie upodlili” – który zaczął pożerać go od wewnątrz. Przejmował nad nim kontrolę na całe dnie i skutecznie utrudniał mu normalne życie. W kokainowym delirium wypisywał te słowa w książkach, na skrawkach papieru, a nawet na pościeli. Te wszystkie odręczne notatki kojarzyły się z wołaniem o pomoc albo z zostawionymi z kilkuletnim wyprzedzeniem listami samobójczymi. Jedną z takich wiadomości Marco zaadresował do Ambrogio Fogara, byłego podróżnika z porażeniem czterokończynowym, którego poznał w 1996 roku.

Zaczął się również częściej spotykać z przyjacielem, którego znał od wielu lat. Nevio Rossi chodził do szkoły z Alfio Vandim, raczej przeciętnym kolarzem zawodowym z lat 70. i 80. Vandi opowiada anegdotę o przejażdżce treningowej z Giambattistą Baronchellim, który dwukrotnie kończył Giro d’Italia na drugim miejscu. Wraz z grupą nastoletnich zawodników pojechali w długą trasę przez wzgórza Toskanii. Jakieś pięć czy sześć godzin później obejrzeli się, żeby sprawdzić, kto jeszcze z nimi jedzie. Zobaczyli tylko Marco. Pantani natychmiast się wtrącił: „Mam jeszcze mnóstwo siły. Trzymam się za wami wyłącznie z szacunku”. Vandi i Baronchelli zakończyli kariery w 1989 roku, więc Marco musiał mieć wtedy nie więcej niż 19 lat.

Nevio poznał Marco jakoś na początku lat 90. albo przez Vandiego, albo nad Port Canal w Cesenatico – Nevio miał tam łódź, choć ryby go nie interesowały. W 1996 roku Marco i Christine po raz pierwszy byli u niego w domu na polach nieopodal węzła autostradowego Rimini Północ. Nevio zajmował się wtedy także rzeczami, które musiał trzymać w absolutnej tajemnicy. Policja dowiedziała się o nich dopiero w lipcu 1999 roku dzięki zeznaniom dwóch mężczyzn, którzy – przy pomocy Rossiego – od 1993 roku importowali duże ilości kokainy. W tym celu aż pięciokrotnie jeździli na Karaiby. Zarzuty znalazły potwierdzenie w dowodach, gdy policjanci weszli na łódź Nevio, już w pełni przygotowaną do kolejnej wyprawy. Rossi i jeden z mężczyzn, który go wsypał, zostali prewencyjnie aresztowani i trafili do więzienia Civitavecchia. Ostatecznie Rossi usłyszał zarzuty udziału w operacji przemytu kokainy na dużą skalę. Zarzucano mu, że w latach 1994–1997 sprowadził z Wenezueli do Włoch 334 kilogramy tego narkotyku w płynnej postaci. Nagrano go, jak działającemu pod przykryciem agentowi wypłaca 566 milionów lirów (283 tysiące euro).

Po siedmiu miesiącach w Civitavecchia, więzieniu o zaostrzonym rygorze, Rossi został zwolniony na ostatnie pięć miesięcy do aresztu domowego, choć śledczym nie powiedział w tym czasie ani słowa. To właśnie w tym okresie regularnie odwiedzał go Marco. Uwielbiał słuchać opowieści o przygodach Rossiego. Niewykluczone, że dzięki niemu – podobnie jak dzięki Mario Schifano – Marco stworzył w głowie chorą wizję awanturniczej i artystycznej kreatywności towarzyszącej zażywaniu kokainy.

Wyniki badania DNA próbki UCI-IUML 11140, pobranej w Madonna di Campiglio, zostały przedstawione w sądzie 24

stycznia 2000 roku. Ustalono, że taki genotyp występuje u 0,000000000041074 procent populacji. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że była to próbka Marco Pantaniego. Pętla się zaciskała. Życie Marco rozpadało się właśnie na kawałki, bo nieustannie dręczyły go wspomnienia z Madonna di Campiglio i wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn (zresztą w obu tych sprawach prowadzono przeciwko niemu śledztwo). Stawką w tej grze był między innymi jego związek z Christine. Marco regularnie zażywał kokainę i skarżył się dręczące go problemy fizyczne, których być może tak naprawdę nigdy nie było. Zaczął jeździć samochodem jeszcze bardziej nieostrożnie. Dwunastego września 1999 roku na zakręcie stracił panowanie nad swoim mercedesem 600 i go skasował. W styczniu 2000 roku wypadł z trasy adriatyckiej w ferrari, a 5 marca 2000 roku rozbił mercedesa 320 na słupie telegraficznym, niedaleko swojej willi w Sala. Wymieniam tu jedynie te wypadki, o których dowiedziała się prasa. Z każdego z nich Marco wyszedł bez szwanku. Dwudziestego marca opublikował następujące oświadczenie: „Na dziś, choć fizycznie jestem gotów do ścigania, przechodzę trudny okres naznaczony wewnętrznym cierpieniem. Moi bliscy wkładają ogromny wysiłek w to, żeby mi pomóc, ale tylko ja mogę się z tym uporać”. Czytając ten list, można odnieść wrażenie, że nie napisał go Marco, a właśnie ktoś z jego bliskich. Dwudziestego kwietnia śledczy prowadzący sprawę jego występu podczas wyścigu Mediolan–Turyn w 1995 roku zarekomendowali postawienie mu zarzutu oszustwa sportowego.

Czwartego maja 2000 roku Marco opublikował oświadczenie, w którym poinformował, że nie pojedzie w Giro. Jeszcze przed rozpoczęciem wyścigu za zbyt wysoki hematokryt zawieszony został Jewgienij Bierzin, dawny rywal Pantaniego. Impreza rozpoczęła się 13 maja, a Marco stanął jednak na starcie.

Ewidentnie nie miał formy, by móc rywalizować tam o wysokie lokaty, za to nieoczekiwanym pretendentem do triumfu w klasyfikacji generalnej został jego zespołowy kolega, Stefano Garzelli. Na pierwszym trudniejszym etapie, prowadzącym przez wzgórza Toskanii, Marco został z tyłu. Oskarżał kolegów, że mu nie pomagają, groził wycofaniem się z wyścigu, a potem, na etapie 19., na morderczej trasie przez Alpy do Briançon we Francji, nabrał przekonania, że ktoś w zespole celowo sabotował jego rower. Zagroził, że przejedzie 30 kilometrów, a potem zrezygnuje. Zrobił jednak inaczej. Kilkukrotnie mocno przyspieszał na podjeździe na Col d'Izoard, pozbawiając sił głównych rywali Garzellego, a potem zwolnił i zaczekał, by podciągnąć swego zespołowego kolegę na ostatnim podjeździe. Na koniec zaatakował jak za starych czasów i pomknął solo po drugie miejsce na tym etapie, przegrał jedynie z rywalem, który wcześniej rozpoczął samotną ucieczkę. Wyścig zakończył jako ten, który pomógł wygrać Stefano Garzellemu. Sam zajął 28. miejsce, tracąc do zwycięzcy godzinę bez 21 sekund.

Nagle Marco stał się czarnym koniem Tour de France 2000, przynajmniej do pierwszego etapu górskiego, na którym zaatakował w deszczu, ale bez problemu wyprzedził go Lance Armstrong. Wyglądało na to, że kariera Marco jako najwybitniejszego górala w całym kolarstwie jest już skończona. Dwa dni później teoria o spadku formy znalazła potwierdzenie na podjeździe na Mont Ventoux, gdzie Marco już na mniej nachylonych stokach nie był w stanie utrzymać się za czołową grupą. Podjął trudną decyzję, że zostanie z tyłu i będzie jechał sam, łatwiejszym do utrzymania tempem. Gdy liderzy opadli z sił, dogonił ich i zaatakował. Na dystansie czterech kilometrów zafundował im pięć zabójczych przyspieszeń. Jako pierwszy w pogoń za nim ruszył Kolumbijczyk Santiago Botero, ale Marco miał nad nim 30 metrów przewagi i jej nie tracił. Za

ich plecami jechali Jan Ullrich, Joseba Beloki, Roberto Heras i Lance Armstrong. Po zewnętrznej w prawym łuku Armstrong wyprowadził atak, na który nikt nie znalazł odpowiedzi. Z każdymi trzema obrotami korbą odjeżdżał o jedną długość Ullrichowi i o jedną długość zbliżał się do Botero. Wyprzedził go w tym samym tempie, spoglądając mu przy okazji głęboko w oczy. Potem zaczął doganiać Marco, a gdy dzieliło go od niego już tylko dziesięć metrów, ponownie usiadł na siodełko. Gdy go wyprzedzał, odwrócił się do niego i coś powiedział, a potem wyjechał przed niego i zaoferował mu swój cień aerodynamiczny. Marco musiał stanąć na pedałach, by utrzymać prędkość Armstronga. Mimo to Amerykanin obrócił się i obejrzał, chciał się upewnić, czy rywal ciągle jeszcze za nim jedzie. Pokazywał palcem na powiększającą się lukę między nimi, sugerując, że nie jedzie przeciwko Marco, że chce mu pomóc w powiększeniu przewagi. Była to jednocześnie taka delikatna próba onieśmielenia rywala, jak gdyby Armstrong chciał powiedzieć: „Zobacz, nawet przy tej prędkości mam pełną kontrolę nad sytuacją”.

Na ostatnim kilometrze Marco jechał obok Teksańczyka i spoglądał mu w oczy, ale ten nie reagował. Na twarzach obu malował się charakterystyczny dla każdego wyraz zmęczenia: wygłodzone, blade policzki u Armstronga oraz zmarszczki na czole Marco, kontemplacyjne spojrzenie i dziwnie wykrzywione usta. Obaj jechali na absolutnej granicy swoich możliwości. Armstrong wysunął się na prowadzenie i obejrzał się przez ramię na Marco, który olbrzymim wysiłkiem wyprzedził Amerykanina i na kresce był pierwszy. Tak oto odniósł pierwsze zwycięstwo od 13 miesięcy i ośmiu dni. Za metą czekali na niego Pregnolato i Stefano Chiodini, drugi masażysta zespołu, była tam również Manuela Ronchi, którą jego występ poruszył do łez. Pregnolato wspomina: „Nie lubił patosu wokół siebie.

Nie chciał widzieć, że ktoś płacze, nie chciał słuchać wzniosłych peanów. Interesowało go tylko to, by inni byli obecni. Wiele osób mówiło, że po etapowym zwycięstwie Marco nigdy nie okazywał radości. Po prostu wolał cieszyć się na końcu, po triumfie w całym wyścigu".

Podczas wywiadu poetapowego powiedział Alessandrze Di Stefano z Rai: „Towarzystwo Armstronga mi nie odpowiadało. To wielki mistrz, ale wolałbym wjechać na metę sam". Armstrong odpowiedział mu tak: „Nie wiem, co on sobie myśli… Wiem natomiast, że lubi zrobić gównoburzę". Tak oto między oboma kolarzami zaczęły się niesnaski. Później Giuseppe Martinelli miał tłumaczyć: „Marco zawsze miał szacunek dla Armstronga. Nie umiał jedynie zaakceptować tego, że Armstrong jeździł za szybko. Powiedział mi: »To niemożliwe, że na tych wszystkich podjazdach on jedzie tak wyraźnie szybciej ode mnie, gdy ja wkładam w to tyle wysiłku«".

Na etapie 15., na podjeździe do Courchevel, przy drodze stanęła Tonina, a to nie zdarzało się często. Gdy Marco ją mijał, przyspieszył tak gwałtownie, że nagle został sam. Na prowadzeniu jechał hiszpański góral José María Jiménez. Marco go dogonił, zostawił z tyłu i wygrał etap samotnie. Wskoczył tym samym na szóste miejsce w generalce, ze stratą dziewięciu minut i trzech sekund do Armstronga. Jeszcze tydzień wcześniej był skończony, a teraz znów wydawał się cudotwórcą. Znów wszystko wydawało się możliwe.

Nazajutrz, na etapie z Courchevel do Morzine, przypuścił absurdalnie śmiały atak na 130 kilometrów przed metą. Przypominało to jego zwycięski ruch na wygranym etapie do Les Deux Alpes w 1998 roku. Armstronga dopadł wtedy kryzys. Amerykanin był zszokowany szalonym atakiem Marco i znalazł się w fizycznym dołku, jednym z zaledwie dwóch w jego siedmioletniej dominacji w Tour de France. Skontaktował się

nawet ze swoim doradcą Michele Ferrarim, były współpracownikiem Conconiego. Prosił go o rady taktyczne. Tym razem jednak szaleństwo w wykonaniu Marco nie dało mu triumfu. Ani na chwilę nie wypracował sobie więcej niż dwóch minut przewagi nad peletonem. Jego ucieczka zakończyła się w momencie, w którym dopadły go skurcze żołądka. Mimo to na skutek jego nieprzewidywalności Armstrong stracił minutę i 37 sekund do Ullricha, minutę i 34 sekundy do Roberto Herasa i 50 sekund do Joseby Belokiego. Tego wieczoru Armstrong opisywał pokonany właśnie etap słowami: „najtrudniejszy dzień w całym moim życiu". Marco zszedł z trasy. Courchevel miało być jego ostatnim zwycięstwem w karierze.

Mimo to dalej niczym magnes przyciągał widzów przed telewizory. Jego zwycięstwo na etapie z Briançon do Courchevel podczas Tour de France 2000 zdetronizowało jego wygraną na etapie z Merano do Apriki z Giro w 1994 roku w rankingu włoskich kolarskich transmisji telewizyjnych o największej oglądalności (prowadzonym od 1985 roku). W 11 na 15 najchętniej oglądanych wydarzeń kolarskich to właśnie on był największą atrakcją. Oficjalne dane nie uwzględniają osób oglądających transmisje poza domem, a jako że Giro i Tour są imprezami rozgrywanymi latem, rzeczywiste wyniki oglądalności były zapewne istotnie wyższe. Warto również pamiętać, że to dość skomplikowana dyscyplina sportu oraz że długość etapów utrudnia atrakcyjne pokazywanie ich w telewizji.

Oto podane przez firmę Auditel dane o oglądalności (legalnych) włoskich transmisji kolarskich, uporządkowane malejąco:

| Średnia | Udział (%) | Data | Miejsce (Impreza) | Stacja | Główna atrakcja |
|---|---|---|---|---|---|

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| 6 046 000 | 54,15 | 16.07.2000 | Briançon–Courchevel (Tour) | Rai 3 | Marco |
| 5 847 000 | 50,90 | 5.06.1994 | Merano–Aprica (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 5 835 000 | 58,07 | 7.06.1998 | Mendrisio–Lugano (Giro) | Rai 3 | Marco |
| 5 102 000 | 49,70 | 11.06.1994 | Les Deux Alpes–Sestriere (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 4 793 000 | 28,62 | 28.05.1995 | Val Senales–Lenzerheide (Giro) | Italia 1 | Ivan Gotti |
| 4 617 000 | 30,13 | 5.06.1994 | Merano–Aprica (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 4 557 000* | 51,03 | 4.06.1994 | Cavalese–Montecampione (Giro) | Rai 3 | Marco |
| 4 465 000 | 52,22 | 25.08.1991 | Stuttgart (mistrzostwa świata) | Rai2 | Gianni Bugno |
| 4 ٠٠٠ ٣٩٦ | 37,82 | 10.10.1987 | (próba bicia rekordu świata w jeździe przez godzinę) | Rai1 | Francesco Moser |
| 4 369 000 | 44,70 | 10.06.1994 | Cuneo–Les Deux Alpes (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 4 362 000 | 50,83 | 3.06.1998 | Selva V. Gardena–Pampeago (Giro) | Rai 3 | Marco |
| 4 356 000 | 33,59 | 8.06.1996 | Cavalese–Aprica (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 4 292 000 | 42,97 | 28.07.1998 | Vizille–Albertville (Tour) | Rai 3 | Marco |
| 4 291 000 | 48,74 | 4.06.1994 | Lienz–Merano (Giro) | Italia 1 | Marco |
| 4 282 000 | 40,96 | 7.06.1997 | Malè–Edolo (Giro) | Rete 4 | Ivan Gotti |

* Najwyższa oglądalność w dniu roboczym od czasu rozpoczęcia pomiarów.

Przed igrzyskami olimpijskimi w Sydney w 2000 roku pewien przedstawiciel kierownictwa telewizji Rai miał powiedzieć: „Pantani to dla mnie przydatne narzędzie zwiększania oglądalności”. Już tylko to tłumaczy, dlaczego trafił do reprezentacji Włoch na tę imprezę. Nigdy nie był przecież specjalistą od wyścigów jednodniowych, a trasa olimpijskiego wyścigu szosowego też nie pasowała do jego preferencji. Jakby

tego było mało, potencjalni włoscy olimpijczycy mieli obowiązek przystąpić do kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem”, którą Marco przed rokiem tak zdecydowanie bojkotował. Oznaczało to konieczność poddania się szeregowi badań krwi, po których kontrowersje wokół niego tylko się nasiliły.

Pierwszemu takiemu badaniu Marco poddał się 1 sierpnia 2000 roku.

„Nie ryzykuję zdrowiem”, wyniki badań z 1 sierpnia 2000:

| | Norma | Wyniki Marco z 1.08.2000 |
|---|---|---|
| Hct | 40–52% | 44,5% |
| Hb | 12–16 g/dl | 14,5 g/dl |
| sTfR | 0,83–1,76 ng/dl | 1,05 ng/dl |
| EPO | 2–16 mU/ml | 22 mU/ml |
| Retikulocyty całkowite | 30–80 miliardów/l | 6 miliardów/l |
| RDW | 11,6–14,8% | 15,6% |
| Ferrytyna | 15–250 ng/ml | 636 ng/ml |
| s-LH | 9–22 mUl/ml | 8,7 mUl/ml |
| MCV | 82–92 fl | 93,6 fl |
| Płytki krwi | 180–400 x 109/l | 141 x 109/l |
| Wysycenie transferryny | 17–52% | 70% |

Na jedenaście badanych parametrów tylko trzy – hematokryt, hemoglobina i rozpuszczalny receptor transferryny (receptor obecny na powierzchni ludzkich komórek o zapotrzebowaniu na żelazo – mieściły się w normie. Wysoki był między innymi poziom EPO, co budziło podejrzenie, że Marco stosuje terapię r-EPO. Miał też skrajnie niski poziom retikulocytów. Niepokój budziła również wysoka wartość szerokości rozkładu objętości czerwonych krwinek (RDW), czyli informacja na temat tego, jak zróżnicowana jest objętość tych krwinek. Wzrost tego wskaźnika sugeruje obecność nadmiernie zróżnicowanych wielkościowo erytrocytów, co również jest kojarzone ze

stosowaniem r-EPO. Stężenie ferrytyny informuje o tym, ile żelaza magazynuje organizm, więc bardzo wysoka wartość tego wskaźnika może wynikać ze stosowania suplementów żelaza, niezbędnych w terapii r-EPO. Badanie obejmowało również poziom hormonu luteinizującego w surowicy (s-LH). Hormon luteinizujący to hormon gonadotropowy, wydzielany przez przysadkę mózgową, a jego stężenie w surowicy określa się – na potrzeby naukowe, bo test ten nie ma żadnej podstawy prawnej – jako pośredni wyznacznik świadczący o dopingu hormonem wzrostu. Oczywiście wyłącznie nieformalnie, ale jednak, pozanormatywny odczyt s-LH mógł oznaczać, że oprócz r-EPO Marco stosował także hormon wzrostu.

Piątego września w Salice Terme potencjalnych włoskich olimpijczyków w kolarstwie poddano kolejnym badaniom. W wynikach Marco znów pojawiły się istotne anomalie, zarówno w porównaniu z normą, jak i z wynikami z 1 sierpnia.

„Nie ryzykuję zdrowiem”, wyniki badań z 1 sierpnia 2000:

| | Norma | Wyniki Marco z 1.08.2000 | Wyniki Marco z 5.09.2000 |
|---|---|---|---|
| Hct | 40–52% | 44,5% | 49% |
| Hb | 12–16 g/dl | 14,5 g/dl | 16 g/dl |
| RDW | 11,6–14,8% | 15,6% | 16,1% |
| Ferrytyna | 15–250 ng/ml | 636 ng/ml | 1019 ng/ml |
| Wysycenie transferryny | 17–52% | 70% | 83,5% |
| Retikulocyty całkowite | 30–80 miliardów/l | 6 miliardów/l | 6,5 miliarda/l |
| sTfR | 0,83–1,76 ng/dl | 1,05 ng/dl | 0,71 ng/dl |
| Żelazo całkowite | 65–170 µg/dl | – | 238 µg/dl |
| Retikulocyty | 5–20 2x103/RBC | – | 1,2 2 x 103/RBC |

Znów nie brakowało anomalii. Od 1 sierpnia hematokryt Marco podskoczył z 44,5 procent do 49 procent, a jego i tak wysoki poziom ferrytyny wzrósł jeszcze bardziej. Oba te odczyty sugerowały stosowanie r-EPO. Trzynastego września pewien hematolog kliniczny, który miał dostęp do wyników badań, napisał list do członków kierownictwa CONI. Stwierdzał w nim, że wyniki badań krwi sportowca MN8916GC – a był to Marco Pantani – wykazują „istotne zmiany parametrów hematologicznych, sugerujące stan chorobowy nazywany nadkrwistością, kojarzony z tłumieniem erytropoetynowej aktywności szpiku kostnego i ostrą postać nadmiernego odkładania żelaza. Jako hematolog kliniczny zalecałbym natychmiastowe zawieszenie zawodnika we wszelkiej aktywności sportowej".

CSAD miała możliwość zawieszania sportowców, ale tylko na podstawie odchyleń od normalnych wartości „wyjściowych". Problem polegał na tym, że wyniki obu badań zawierały szalone anomalie, w związku z czym CSAD nie dysponowała żadnymi wartościami „wyjściowymi" i nie mogła nic zrobić. Interweniować mogli natomiast szefowie CONI, ale oni postanowili nie podejmować żadnych kroków. Wieczorem w dniu badań przeprowadzonych w Salice Terme o ich wynikach telefonicznie poinformowany został naczelny lekarz FCI. Usłyszał, że lekarze CSAD przygotowali dla Pagnozziego, sekretarza CONI, nieformalną informację, że wyniki badań Pantaniego budzą niepokój. Sekretarz generalny i szef ds. walki z dopingiem później utrzymywał jednak, że nie pamięta żadnego listu, w którym rekomendowano by mu zawieszenie Marco. Sprawa trafiła na pierwsze strony gazet, gdy już w Sydney Pagnozzi publicznie wyraził wątpliwości co do wyników badań krwi znanego włoskiego sportowca, którego tożsamości nie chciał ujawnić. Marco zaprzeczył, że chodzi

o niego. Potem Hein Verbruggen, prezydent UCI, dolał oliwy do ognia, wyprowadzając osobisty atak na kluczowych działaczy CSAD. Agencja prasowa ANSA opublikowała 18 września następującą wypowiedź Verbruggena: „Atakowanie kogokolwiek nie jest w moim stylu, ale nie mogę godzić się na to, żeby zawodnik klasy Pantaniego, prawdziwy symbol kolarstwa, padał ofiarą insynuacji i manipulacji mogących wytrącić go z równowagi". Dalej mówił tak: „Zaczynam się zastanawiać, jakim sposobem CONI, która w mojej ocenie ponosi całą odpowiedzialność za tę sytuację, może tolerować w swoich szeregach takie postaci jak [Pasquale] Bellotti czy [Sandro] Donati". Ten pierwszy pełnił obowiązki sekretarza komisji, a drugi był dyrektorem ds. badań w School of Sport przy CONI. Był to ni mniej, ni więcej tylko atak na cały ruch antydopingowy. Donati odpowiadał za ujawnienie nielegalnych praktyk Conconiego związanych z transfuzjami krwi w latach 80. oraz jego finansowanego ze środków publicznych programu dopingowego z lat 90. On i jego współpracownicy nie byli milionerami ze środowiska sportowego, a zaangażowanymi, kompetentnymi i coraz bardziej marginalizowanymi aktywistami, stawiającymi czoła potężnym ludziom i ich interesom. Niewyważone opinie Verbruggena położyły się cieniem na całym ruchu olimpijskim.

Trzeba podkreślić, że już sam wyjazd Marco do Sydney był mocno kontrowersyjny. Zaświadczenie lekarskie dopuszczające go do startu w igrzyskach olimpijskich nosiło datę 28 września 2000, czyli oficjalnie zostało wystawione już *po* rozegraniu olimpijskiego wyścigu szosowego. W ramach późniejszego śledztwa Marco przedłożył zaświadczenie lekarskie z czerwca 2000 roku, chcąc przy okazji udowodnić w ten sposób, że poziom ferrytyny był u niego naturalnie wysoki, tyle że z dokumentów tych wynikało coś innego. Owszem, pokazywał

on stężenie EPO na poziomie 72 mU/ml (czyli grubo ponad normę wynoszącą 2–16 mU/ml), było to również stężenie istotnie odbiegające od odczytu z 1 sierpnia 2000 roku, który wyniósł 22 mU/ml. Potem miało wyjść na jaw, że w lipcu i sierpniu 2000 roku CONI nie przeprowadziła ani jednego standardowego testu antydopingowego – w kluczowym okresie poprzedzającym igrzyska olimpijskie kontrole antydopingowe zostały w praktyce zawieszone. Badania prowadzone w ramach kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem" zostały wstrzymane we wrześniu, gdy pojawiły się przecieki informujące o nienaturalnie wysokim poziomie hormonu wzrostu u członków włoskiej kadry olimpijskiej. O przecieki te obwiniono CSAD i wykorzystano je jako pretekst, żeby zakończyć działanie organizacji. Komisja Naukowo-Antydopingowa przy Włoskim Komitecie Olimpijskim przestała istnieć 26 października 2000 roku.

Sprawa, która wywołała wszystkie te kontrowersje – postawa Marco na igrzyskach olimpijskich – okazała się całkowicie pomijalna. Pantani zajął 69. miejsce.

Niedługo po powrocie do domu Marco brał udział w kolejnej przedziwnej serii wypadków samochodowych. Rankiem 3 listopada jechał swoim srebrnym SUV-em, mercedesem ML320, na posterunek policji w Cesenie, gdzie zaliczył kilka drobnych stłuczek przy wjeździe na parking i przy wyjeździe z niego. Około południa wjechał w ulicę jednokierunkową pod prąd. Corso Ubaldo Comandini to niewielka, wąska uliczka w centrum Ceseny, która o tamtej porze dnia była zastawiona zaparkowanymi samochodami. Marco przejechał nią z prędkością przekraczającą 30 kilometrów na godzinę, a takie właśnie ograniczenie obowiązywało samochody jeżdżące legalnie w przeciwnym kierunku. Jeden ze świadków

relacjonował później: „Usłyszałem głośny huk. Myślałem, że wybuchła jakaś bomba, więc padłem na ziemię. No a potem zobaczyłem mercedesa na samochodzie marki Peugeot". Marco otarł się o małą furgonetkę zaparkowaną przy ulicy, potem uderzył w volkswagena golfa stojącego po drugiej stronie, a następnie przednimi kołami wjechał na peugeota 405, który od tego uderzenia potoczył się do tyłu i zapoczątkował kolizje czterech kolejnych samochodów, ot, taki mały efekt domina. Ten sam świadek dodał: „Na oko zachowywał się normalnie". To samo orzekli policjanci z patrolu, który pojawił się na miejscu zdarzenia. Najwyraźniej zatem Marco nie znajdował się pod wpływem kokainy, więc przyczyną wypadku musiała być jego impulsywność, która w tamtym okresie zaczynała już graniczyć z patologią. Być może była ona wczesnym objawem problemów psychicznych.

Tymczasem w Forlì do końca zbliżał się proces w sprawie wyników badania krwi Marco przeprowadzonego po wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn 18 października 1995 roku. Powołanie przed sąd profesora Giana Martino Benziego oraz profesor Adriany Ceci ewidentnie sugerowało, że nie należy spodziewać się taryfy ulgowej. Oboje należeli do CSAD, a ponadto profesor Ceci była pierwszą sygnatariuszką białej księgi z 1988 roku, zatytułowanej *Prawo w walce z dopingiem oraz na rzecz ochrony zdrowia w sporcie*, pełniła również funkcję eksperta w Senackiej Komisji Zdrowia podczas procesu zatwierdzania przez Senat nowych przepisów antydopingowych, ostatecznie zaaprobowanych 16 listopada 2000 roku, choć nie były one jeszcze oficjalnie opublikowane. W marcu 1985 roku Ceci wystąpiła z interpelacją parlamentarną do ówczesnego ministra zdrowia, który podjął decyzję o delegalizacji transfuzji krwi w celu zwiększania wydajności organizmu sportowca.

Benzi i Ceci porównali wyniki badań krwi Marco z zebranymi przez CONI oraz UCI w latach 1998 i 1999 wynikami innych czołowych sportowców. W przypadku kolarzy zawodowych ustalili na tej podstawie średnią wartość hematokrytu na poziomie 44,6 procent, hemoglobinę na poziomie około 15, a liczbę erytrocytów na około 4,85 miliona. Dla porównania, biegły powołany przez obronę powiedział sędziemu: „W ogóle nie interesuję się sportem".

Przyjęto założenie, że naturalne dla Marco wskaźniki powinny kształtować się następująco: hematokryt około 45 procent, hemoglobina około 15,2, a erytrocyty – 4,94 miliona. Wartości te pokrywają się z wynikami badań przeprowadzonych przez Grazziego 6 czerwca 1995 roku. Sędzia w Ferrarze podejrzewał, że zostały one sfałszowane, ale fałszerstwo to miało polegać na podstawieniu sztucznie zawyżonych faktycznych wartości wartościami, jakie występowały u Marco naturalnie.

Hematolog, który badał Marco 26 października 1995 roku, powiedział na sali rozpraw: „Pacjent, u którego hematokryt wynosi 60,1 procent, musi zostać uznany za wykraczającego poza normę, nawet jeśli jest sportowcem. Takie wartości hematokrytu nie występują u zdrowych osób, mogą natomiast świadczyć o nadkrwistości pierwotnej lub wtórnej albo o terapii farmakologicznej". Prawnicy reprezentujący Marco nie próbowali nawet podnosić argumentu, że ich klient cierpi na nadkrwistość i że stąd wynika jego wysoki hematokryt. Przygotowali za to cztery inne linie obrony – cztery możliwe przypadki, w których hematokryt Marco mógł wzrosnąć o kilka punktów procentowych. Do wyjaśnienia mieli różnicę 15-punktową, bo jego wynik 60,1 procent z 18 października właśnie o tyle różnił się od poziomu naturalnego Pantaniego (45 procent). Doszli do wniosku, że jednoczesne wystąpienie

wszystkich czterech czynników mogło skutkować wzrostem hematokrytu do tak wysokiego poziomu. Były to kolejno: *odwodnienie* (odpowiedzialne za wzrost hematokrytu o pięć punktów procentowych), *wysokość* (wzrost o cztery punkty procentowe, co razem daje już dziewięć), wysięk albuminowo-globulinowy, *plasmorrhagia* (zaburzenia wydzielania lub przepływu osocza; nie wykazano konkretnego oddziaływania na wzrost Hct, ale z prostych obliczeń wynika, że obrona potrzebowała tu dwóch punktów procentowych, by łącznie osiągnąć ich 11), wreszcie *wady metody pobierania krwi* (4 punkty procentowe, co daje razem 15).

## ODWODNIENIE

Hipoteza o odwodnieniu bazowała częściowo na uwadze sformułowanej podczas zabiegu operacyjnego przez anestezjolog, która zasugerowała, że Marco mógł być odwodniony. Sąd orzekł, że obrona potraktowała tę uwagę jak prawdę absolutną, choć nie znajdowała ona poparcia w żadnej literaturze fachowej. Obrońcy podnosili argument, że odwodnienie mogło przełożyć się na wzrost hematokrytu o pięć punktów procentowych. Dwudziestego ósmego listopada 2000 roku prowadzący tę sprawę śledczy przesłuchali doktora Daniele Tarsiego, który od 15 lat pełnił obowiązki lekarza zespołów kolarskich. Jeden ze śledczych napisał w raporcie, że pytania o doping w kolarstwie wzbudzały u Tarsiego widoczne zażenowanie. Opisywał on prowadzone przez UCI badania hematokrytu po intensywnych treningach na Sycylii, w koszmarnym upale, w których wykazano średni wzrost tego wskaźnika o dwa–trzy punkty procentowe. Był to zatem wzrost istotnie niższy niż ten, o którym mówili prawnicy Marco, i to

pomimo warunków klimatycznych znacznie bardziej sprzyjających ciężkiemu odwodnieniu organizmu. Benzi i Ceci dali oskarżeniu dodatkowy oręż, stwierdzając, że odwodnienie spowodowałoby nie tylko wzrost hematokrytu, ale również wzrost poziomów sodu, potasu i kreatyniny. U Marco wartości sodu, potasu i kreatyniny mieściły się w normie, a więc odwodnienie u niego nie wystąpiło. Anestezjolog potwierdziła później, że podejrzewała odwodnienie na podstawie głównych wyników badań krwi, nie zagłębiała się natomiast w szczegółowe dane kliniczne i hematologiczne.

Innymi słowy, odwodnienie nie mogło spowodować ani nawet przyczynić się do zwiększenia hemokoncentracji krwi Marco. Obrona straciła niniejszym pięć punktów procentowych.

## WYSOKOŚĆ

Od 23 września do 10 października Marco przebywał w kolumbijskim departamencie Boyacá, około 2500 metrów nad poziomem morza, bo rozgrywano tam mistrzostwa świata w kolarstwie. Na wysokości prężność tlenu jest niższa, co wywołuje hipoksję nerek, a ta skutkuje zwiększeniem wydzielania erytropoetyny. Obrona uważała, że wyprawa Marco do Kolumbii mogła spowodować wzrost jego hematokrytu o cztery punkty procentowe. Poświęcono temu zagadnieniu wiele badań naukowych; w badaniach z 1994 roku Instytutu Badań Sportowych oraz szpitala Sant'Orsola z Bolonii wzięli udział sportowcy, którzy trenowali przez trzy do czterech tygodni w Ekwadorze na wysokości 2900 metrów nad poziomem morza. Stwierdzono, że po pierwszych czterech–pięciu dniach ich hematokryt wzrastał o trzy–cztery punkty procentowe, a potem stabilizował się na nowym poziomie.

Benzi i Ceci twierdzili jednak, że potem, od 10 do 18 października, Marco przebywał już we Włoszech mniej więcej na poziomie morza, a to oznaczałoby, że jego hematokryt powinien spaść o jeden lub dwa punkty procentowe. Dawałoby to maksymalny zbilansowany wzrost hematokrytu o trzy punkty procentowe oraz wzrost hemoglobiny o 0,4–0,7 punktu procentowego. Obrona straciła kolejny punkt.

## WYSIĘK ALBUMINOWO-GLOBULINOWY, PLASMORRHAGIA

Trzecia i zarazem najmocniejsza hipoteza obrony opierała się na tym, że nietypowy skład chemiczny krwi Marco mógł wynikać z obrażeń zawodnika, w związku z którymi trafił do CTNR w Turynie. Plasmorrhagia mogła spowodować spadek stężenia białek w osoczu, tyle że w chwili przyjęcia Marco do CTNR wartości białek w jego krwi mieściły się w normie.

Benzi wyjaśniał, że bezpośrednio po odniesieniu urazu spadek stężenia białek we krwi nie wystąpił – poziom ten obniżył się dopiero po drugim zdarzeniu urazowym, czyli po zabiegu operacyjnym, który miał na celu poskładanie podwójnego złamania złożonego. Wykonanie tego zabiegu wiązało się z utratą osocza (i związanym z nią obrzękiem) oraz krwi. Wyniki badań krwi z godziny 15:20 pokazują stężenie białek na poziomie 7 g/dl, czyli w normie wynoszącej 6,5–7,8 g/dl. Wyniki z 19 października wykazały białko całkowite na poziomie 4,9 d/dl, czyli nastąpił oczekiwany przez Benziego spadek.

# METODA POBORU KRWI

Obrona podnosiła również argument, że wzrost hematokrytu mógł wynikać z zastosowanej metody poboru krwi. Obrońcy twierdzili, że ten czynnik mógł wpłynąć na wzrost hematokrytu aż o cztery punkty procentowe. Śledczy ustalili, że pielęgniarz, który pobierał krew od Marco, ściśle przestrzegał obowiązującego protokołu. Lekarka odpowiedzialna w CTNR za laboratorium morfologii krwi dodała, że w przypadku stwierdzenia wartości patologicznych badania rutynowo się powtarza i że regularnie sprawdzana jest kalibracja sprzętu pomiarowego. Stwierdziła również: „Pilnie zleconym badaniom poświęcamy zapewne nawet nieco więcej uwagi niż badaniom rutynowym".

Eksperci powołani przez sąd uznali, że w przypadku wyników z ponadnormatywnym hematokrytem, ale wszystkimi innymi wartościami hemochemicznymi mieszczącymi się w normie, nie ma powodów, by podejrzewać niepoprawne pobranie krwi. Co więcej, dwaj pozostali kolarze – Secchiari i Dell'Ollio – zostali przetransportowani do CTNR mniej więcej w tym samym czasie co Marco. Krew została od nich pobrana przez te same osoby i tą samą metodą, ale ich wyniki w całości mieściły się w normie.

Obrona Marco legła w gruzach. Adwokatom nie udało się wyjaśnić różnicy 15 punktów procentowych w poziomie hematokrytu. Skoro wszystkie inne możliwości zostały przeanalizowane i odrzucone, zostawała już tylko jedna – stosowanie w dużych ilościach rekombinowanej erytropoetyny.

Sąd przyjrzał się również zagrażającej życiu Marco anemii, która rozwinęła się u niego w kolejnych dniach pobytu w CTNR w Turynie. Badanie z 25 października ujawniło, że jego hematokryt spadł do 15,9 procent, a hemoglobina do 5,8

procent. O 11:00 tego dnia Marco wyraził zgodę na transfuzję krwi, której celem było ratowanie życia. Gdyby nie pilnie przetoczona krew, Marco prawdopodobnie zmarłby w wieku 25 lat na skutek stosowania dopingu.

Potem anemia cudownie ustąpiła. Na cztery godziny przed transfuzją w szpitalnym laboratorium zmierzono Pantaniemu poziom erytropoetyny. Wynik był niezrozumiały: 86, podczas gdy norma dla zdrowego człowieka wynosi 6–16. Marco powinien mieć we krwi mnóstwo czerwonych krwinek, a tymczasem nie miał ich prawie w ogóle. Obrona chwyciła się tej wysokiej wartości erytropoetyny, bo jej zdaniem był to dowód, że szpik kostny Marco funkcjonował w sposób poprawny. Profesor Ceci podkreślała jednak, że wysoki poziom erytropoetyny nie świadczył o poprawnym funkcjonowaniu szpiku kostnego, a o stosowaniu r-EPO. Napisała: „Pod koniec pobytu w szpitalu stan Marco zaczął się poprawiać, i to szybciej, niż można by oczekiwać po przetoczeniu dwóch jednostek krwi, a wraz z poprawą stanu ogólnego odnotowano wzrost retikulocytów [młodych czerwonych krwinek], które w pierwszym badaniu wyniosły 1,5 procent, a w drugim już 4,5 procent. […] Albo szpik kostny zaczął funkcjonować, co wystąpiłoby dość późno, jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia z wcześniejszych dni, albo […] można podejrzewać, że Pantani wznowił stymulowanie erytropoezy, a to pomogło mu zawrócić z drogi ku śmierci”. Do tego samego wniosku, zupełnie niezależnie od biegłych sądowych, doszedł Massimo Cartesegna, chirurg, który operował Marco. W sali sądowej opisywał niewytłumaczalny brak niepokoju ostrym spadkiem liczby czerwonych krwinek u lekarzy kolarza i u niego samego. Stwierdził, że ich zachowanie było dla niego zdumiewające. Sędzia zapytał go wtedy: „Czy różne opisane przez świadka czynniki skłoniły świadka do wniosku, że było możliwe, iż ktoś

bez świadka wiedzy, na terenie szpitala w Turynie – i nie mam na myśli nikogo z podwładnych i pracowników świadka – podał Pantaniemu erytropoetynę?". Cartesegna odpowiedział: „Przyznaję to z przykrością, ponieważ stało się to bez mojej wiedzy, ale odpowiedź brzmi: tak".

Zeznał, że możliwość ta przyszła mu do głowy pod koniec ośmiodniowego pobytu Marco w szpitalu. Do tego wniosku doszedł wyłącznie na podstawie danych hematologicznych, bo nie miał żadnych świadków. Davide Dell'Ollio, który leżał tuż obok Marco, utrzymywał, że nie widział, aby ktokolwiek inny niż pracownicy szpitala podawali tamtemu cokolwiek. Nikomu nie postawiono z tego tytułu żadnych zarzutów. Mimo to po wielomiesięcznych rozważaniach technicznych sąd uznał, że Pantaniemu podawano r-EPO. On był sportowcem na dopingu.

Szóstego listopada obrońcy Marco złożyli wniosek o zmianę sędziego. Czternastego listopada Sąd Apelacyjny w Bolonii ten wniosek oddalił. Następnie, 11 listopada, w dniu wydania wyroku, obrońcy Marco przedstawili podpisane przez niego oświadczenie, że nigdy nie stosował substancji ani praktyk dopingujących, czego dowodzą wyniki kontroli antydopingowych, którym poddawał się przez całą karierę. Oświadczenie to nic nie dało. Marco został uznany winnym oszustwa mającego na celu osiągnięcie – poprzez sztuczne zwiększanie możliwości organizmu – wyniku innego niż ten, który osiągnąłby, gdyby przestrzegał wszystkich zasad rywalizacji. Otrzymał karę pozbawienia wolności na trzy miesiące w zawieszeniu, grzywnę w wysokości 1,2 miliona lirów (600 euro) oraz sześciomiesięczny zakaz występów w imprezach sportowych oraz kierowania organizacjami sportowymi.

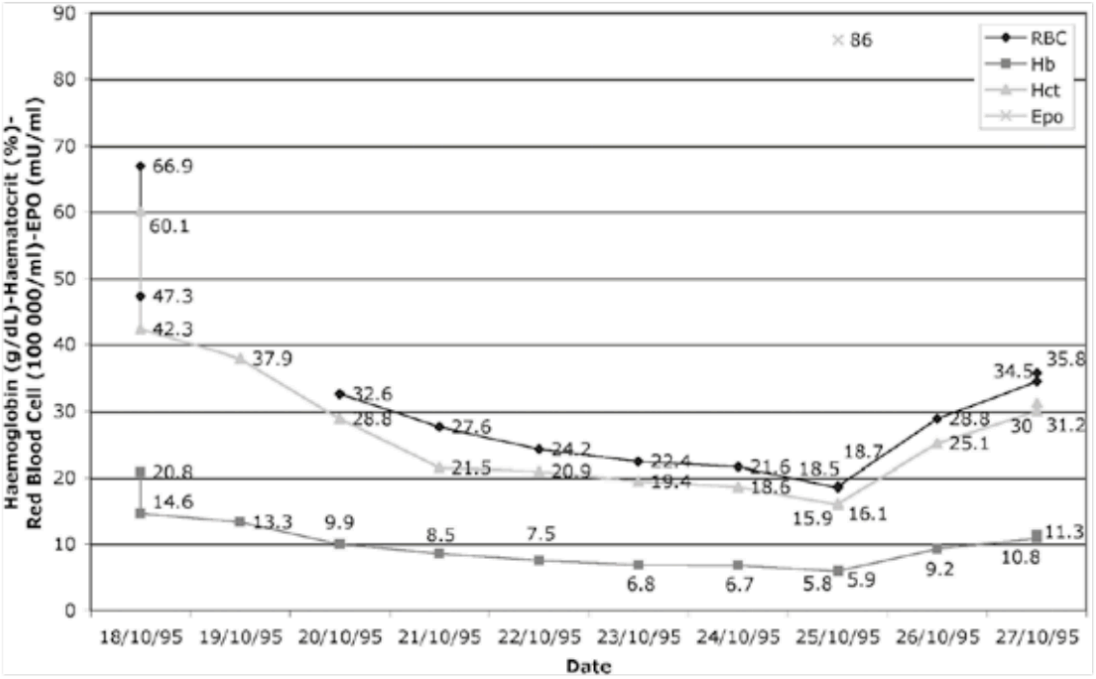


Ilustracja 3. Anemia u Marco o wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn

Sąd przeoczył pewien incydent o niewielkim znaczeniu prawnym, za to bardzo ciekawy z biograficznego punktu widzenia. Zanim lekarze przystąpili do rekonstrukcji nogi kolarza, musieli zebrać wywiad chorobowy, w tym wywiad rodzinny. Odpowiedzi Marco na ich pytania zawierają ważne sygnały zapowiadające to, jak dalej potoczyło się jego życie. Potwierdził, że nie pali, następnie przekazał informację, która w zwięzłym żargonie medycznym została zapisana jako *potus saltuario*. *Potus* oznacza „intensywne picie”, a *saltuario* oznacza „sporadycznie”. Jak z tego wynika, Marco sam siebie określił mianem kogoś, kto od czasu do czasu pije bardzo dużo. Na koniec w notatkach klinicznych znajduje się pytanie: „Czy jest pan poddawany jakiejś terapii medycznej?”. Odpowiedź na to pytanie zdaje się o tyle ważna, że Marco po raz pierwszy został oficjalnie zapytany, czy stosuje środki dopingujące. Nie mamy wglądu w to, co działo się wtedy w jego głowie, ale możemy

podejrzewać, że odpowiedzi „Nie” udzielił bez najmniejszego zawahania.

Sąd orzekł, że Marco jest winny, ale werdykt opierał się na mocno spornej interpretacji prawa, którą jego obrońcy spodziewali się odwrócić w ramach apelacji. O ironio, uchwalenie prawa antydopingowego, do czego doszło dosłownie kilka dni po skazaniu Marco, ostatecznie okazało się dla nich zbawienne.

Ustawa 376, datowana na 14 grudnia 2000 roku (Ustawa 376/2000), nie była bezprecedensowa. Jej tytuł – *Dyscyplina na rzecz ochrony zdrowia w sporcie oraz w walce z dopingiem* – nawiązywał do Ustawy 1099/1971, zatytułowanej *Ochrona zdrowia w sporcie*. Zgodnie z artykułem 3 ustawy z 1971 roku zabronione było „stosowanie substancji niebezpiecznych dla zdrowia sportowca w celu sztucznego modyfikowania naturalnej wydolności jego organizmu”. Za złamanie tego przepisu przewidywano jedynie drobne kary finansowe, więc przepis ten mało kogo odstraszał. W 1981 roku doping w rozumieniu Ustawy 1099/1971 został zdepenalizowany, razem z wszelkimi innymi wykroczeniami karanymi jedynie grzywną. Następnie, w 1989 roku, uchwalono Ustawę 401/1989, zwaną „ustawą o zakładach piłkarskich”, której celem było zapobieganie ustawianiu meczów piłki nożnej. Część ekspertów od prawa uważała, że użyte w tekście przepisów określenie „oszustwa” powinno być interpretowane w sposób obejmujący również doping, który rozumiano jako sprzeniewierzanie się uczciwym zasadom rywalizacji. Zarzuty postawione Marco w związku z wydarzeniami z Madonna di Campiglio oraz wyścigu Mediolan–Turyn bazowały na interpretacji przepisów Ustawy 401/1989.

Tak się jednak złożyło, że kontekst legislacyjny towarzyszący Ustawie 376/2000 takiej interpretacji przeczył. W listopadzie 1996 roku senator Fiorello Cortiana z Federacji Zielonych przedstawił białą księgę zatytułowaną *Normy na rzecz walki z dopingiem oraz ochrony zdrowia w sporcie*. Projekt ten odwoływał się do wcześniejszych prób „wyjścia poza istniejące dotychczas normy (*vide* Ustawa 1099 z 26 października 1976 roku)", tym samym jawnie sugerując, że parlament nie uznaje przepisów z 1989 roku za przepisy antydopingowe.

Na podstawie białej księgi Cortiany sporządzony został projekt ustawy, który 21 lipca 1999 roku uzyskał aprobatę Stałej Komisji Senackiej ds. Zdrowia i Higieny. Przepisy te brały na cel dostawców środków dopingujących oraz podających je praktyków. Dwudziestego dziewiątego marca 2000 roku Pierwsza Komisja Konsultacyjna ds. Konstytucji poparła zapisy tego projektu, pod warunkiem wszakże, że nie będą one przewidywać kar dla samych sportowców. Cztery miesiące później, 12 lipca 2000 roku, Druga Komisja Konsultacyjna ds. Sprawiedliwości również poparła te przepisy, ale pod warunkiem dokładnie odwrotnym. Po długiej i mało przyjemnej debacie na forum parlamentu do projektu wprowadzono tekst zaproponowany przez Komisję Sprawiedliwości, a artykuł 9 zyskał wówczas następujące brzmienie:

*O ile dane działanie nie stanowi poważniejszego przestępstwa, ten, kto dostarcza innym, podaje, zażywa lub w dowolny sposób ułatwia zażywanie leków oraz substancji aktywnych biologicznie lub farmaceutycznie [...] bez uzasadnienia w postaci choroby, a mogących zmieniać wyniki zawodnika w rywalizacji sportowej albo mających na celu zmianę wyników badań służących do*

*wykrywania przypadków stosowania takich leków lub substancji, podlega karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do trzech lat oraz karze grzywny w wysokości od pięciu milionów do 100 milionów lirów.*

Ustawa 376/2000 uzgadniała włoskie prawodawstwo z Konwencją Antydopingową Rady Europy, której Włochy były sygnatariuszem. Ustawa czyni doping przestępstwem oraz go penalizuje. Wśród stosowanych sankcji znalazły się czasowe, a nawet dożywotnie zakazy brania udziału oraz pojawiania się na imprezach sportowych, a także pracy w dziedzinach związanych z medycyną.

Marco odegrał epizodyczną rolę w powstawaniu Ustawy 376/2000, choć nie poprzez aktywny udział w ruchu antydopingowym, ale przez fakt, że jego nazwisko pojawiało się w dokumentach skonfiskowanych w Centrum w Ferrarze. Wizja finansowanego przez państwo systemu dopingowego, prowadzonego z Uniwersytetu w Ferrarze, a także brak konkretnych przepisów delegalizujących tego rodzaju systemy spowodowały, że zrobiono wszystko, aby projekt nowej ustawy był realistyczny politycznie. Nowa ustawa wypełniała lukę we włoskim Kodeksie karnym, ale w pracach nad nią parlament wyraził przekonanie, że na mocy wcześniej obowiązującego prawa – a konkretnie Ustawy 401/1989 – doping *nie* był we Włoszech zakazany. Tak oto Marco oraz wielu innym sportowcom, którym stawiano zarzuty dopingowe przed wejściem w życie Ustawy 376/2000, niespodziewanie rzucono koło ratunkowe.

# Rozdział 15.
# Naloty z San Remo

## LUTY–PAŹDZIERNIK 2001

Prezentacja zespołu Mercatone Uno na sezon 2001 odbyła się 10 lutego w hotelu w nowo wybudowanym wieżowcu w Cesenatico. Rozeszła się wieść, że Marco trenuje już od listopada. Na podjeździe do Madonna della Querce, sanktuarium leżącego 20 kilometrów od Terraciny, tylko dwóch partnerów zespołowych było w stanie utrzymać mu się na kole. Sam Marco wypowiadał się dziwnie, żeby nie powiedzieć mistycznie: „Niczego mi nie brak do dobrego startu. Ciągle mam jeszcze wiele do powiedzenia, ale sam jestem swoim największym przeciwnikiem. Jeśli tylko odnajdę siebie, wszystko będzie w porządku, i jeśli wtedy będę zajmował drugie, trzecie albo dziesiąte miejsce, będzie to dla mnie miało drugorzędne znaczenie. Najważniejsze jest dla mnie to, żeby rozpocząć powrót na szczyt. Każdą okazję wykorzystam najlepiej jak się da. Wydaje mi się, że po wszystkim, co przeszedłem, zrobiłem, co w mojej mocy, żeby ten sezon był dobry".

Chwilę potem wypowiedział się o swojej sytuacji prawnej, używając w tym kontekście określenia „wyrządzona mi niesprawiedliwość": „Nie jestem w stanie walczyć jak równy z równym z osobami, które mogą zastawiać na mnie pułapki dzięki swojej sprytnej argumentacji i wykształceniu. Dlatego zostawiam to moim prawnikom. Ich zadaniem jest wykazać, że tamci nie mogą tak po prostu oskarżać i potępiać innych, nie dysponując żadnymi dowodami. Walczył o mnie będzie mój

prawnik. Ja w tym czasie będę jeździł i rywalizował zgodnie z wszystkimi obowiązującymi zasadami, czyli dokładnie tak samo, jak robię od 20 lat. Niemal nigdy się nie broniłem, może z wyjątkiem wywiadów prasowych i telewizyjnych. Nigdy nie czułem takiej potrzeby, bo moje sumienie zawsze było czyste. Ja widzę to tak, że zrobiono ze mnie kozła ofiarnego. Mam oczywiście swoje zdanie. Wszyscy inni muszą wyrobić sobie własne". Na pytanie, czy uważa, że popełniał jakieś błędy, Marco udzielił odpowiedzi, która dla osób nieświadomych jego problemów z kokainą musiała być kompletnie niezrozumiała: „Dzień w dzień łajam się za błędy, które popełniam. Nie jestem ideałem, zdecydowanie nie. Popełniłem wiele błędów, choć zawsze robiłem to w dobrej wierze i dlatego, że chciałem zachować się właściwie. Żałuję tylko tego, że we wszystkie te sprawy zamieszani zostali ludzie, którzy nie mają z tym nic wspólnego – moja rodzina i moi przyjaciele oraz wszyscy ci, którzy zupełnie bez powodu musieli sobie radzić z niewiarygodną presją. Przez cały ten okres w jakimś stopniu miałem ograniczoną swobodę wypowiedzi i swobodę wyrazu. Podkreślę raz jeszcze: może wynika to z moich błędów, może zrobiono ze mnie kozła ofiarnego, a może ktoś źle ocenił fakty. Nie raz zdarzało mi się oddalać od kolarstwa. Teraz chciałbym raz jeszcze odnaleźć sam siebie. Muszę odzyskać dawny entuzjazm".

Jeden z obecnych na prezentacji, piszący o kolarstwie na łamach gazety „La Repubblica" Eugenio Capodacqua, przeprowadził wnikliwą analizę wypowiedzi Marco:

*Teorię o „nagonce" obalają obiektywne dane, pokazujące istotny wzrost liczby czerwonych krwinek w wynikach wielu badań. […] Trzeba by również doprecyzować, co ma na myśli*

*Pantani, mówiąc o „czystym sumieniu". Czy można mieć czyste sumienie, gdy jeździło się na dopingu – jak orzekł sąd w Forlì – tylko dlatego, że wszyscy inni też się wspomagali? […] Doskonale rozumiem, że to wkurzające, gdy Pantani staje się obiektem ataków, a bardzo wielu innych nie ma żadnych problemów. W końcu nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Pantani nie był wyjątkiem w tym sporcie, w którym wiele zespołów budowano wyłącznie na podstawie liczby hematokrytowej. Wszyscy jeździli napompowani r-EPO, czyli po prostu na dopingu.*

W wywiadach telewizyjnych Marco wyraził nadzieję, że wystartuje i w Giro d'Italia, i w Tour de France. Przyspieszył program treningów zimowych i już w połowie stycznia pojawił się na obozie przygotowawczym zespołu w Riccione, który miał być potem kontynuowany w Terracinie. Z dala od uwagi opinii publicznej nad głową Pantaniego gromadziły się jednak kolejne czarne chmury natury prawnej. Po tym ciosie Marco miał się już nigdy nie podnieść. W grudniu 2000 roku Bruno Giardina, śledczy z Trydentu, który zajmował się sprawą wyników kontroli Marco w Madonna di Campiglio, przesłuchiwał w Riva del Garda jego zespołowych kolegów. Co oczywiste, prawo nie działa wstecz, więc Marco nie mógł być ścigany na mocy przepisów nowej ustawy. Dwudziestego czwartego stycznia Giardina doszedł zatem do wniosku, że należy go ścigać wedle przepisów Ustawy 401/1989, na mocy której już wcześniej został skazany w Forlì w związku z wyścigiem Mediolan–Turyn. Nikt nie wiedział, do czego to wszystko zmierza, jedno było natomiast pewne: sprawa w Forlì zakończyła się wyrokiem skazującym i karą w zawieszeniu, więc gdyby Marco został skazany ponownie, nie mógłby już liczyć na zawieszenie wykonania kary – następnym razem poszedłby do więzienia.

Dwa dni później Pierguido Soprani, sędzia z Ferrary, zarekomendował postawienie przed sądem Francesco Conconiego oraz siedmiu jego współpracowników pod zarzutem dostarczania r-EPO i innych środków dopingujących dużej grupie sportowców. Na liście nazwisk, zamieszczonej w dokumencie podsumowującym śledztwo, figurował również Marco. Gdyby proces doszedł do skutku, mogłoby to dla niego oznaczać kolejne upokorzenie.

Prasa publikowała kolejne teksty o jego kłopotach z prawem, co musiało podkopywać jego morale. Dwunastego lutego w Bolonii sędzia Massimo Poppi zarekomendował postawienie przed sądem doktora Michele Ferrariego za przestępstwa związane z dopingiem. Na długiej liście kolegów i rywali Marco, którzy znajdowali się pod opieką Ferrariego, byli między innymi Lance Armstrong, Claudio Chiappucci, Mario Cipollini, Ivan Gotti, Axel Merckx, Abraham Olano, Tony Rominger, Paolo Savoldelli i Paweł Tonkow. Poppi stwierdził, że zarzuty te można postawić nie tylko na mocy przepisów Ustawy 401/1989, lecz także na mocy przepisów określających nielegalne praktyki w zawodzie farmaceuty. Marco miał zapewne poczucie, że klientów Ferrariego traktowano jako świadków w sprawie o potencjalne przestępstwo, a tylko jego ścigano jako przestępcę. W gronie potencjalnych oskarżonych w tej sprawie znajdował się również Orlando Maini, dyrektor sportowy Pantaniego podczas Giro d'Italia amatorów w 1992 roku, a potem w Mercatone Uno od 1998 roku.

W tym okresie zespół monitorował już zażywanie przez Marco kokainy za pomocą badań moczu. Kontrola z 17 lutego 2001 roku dała wynik dodatni. Cztery dni później kolarza dopadło kolejne wydarzenie z przeszłości. Dwudziestego pierwszego lutego *carabinieri* weszli do Instytutu Badań Sportowych CONI w Rzymie i skonfiskowali całą dokumentację

związaną z wynikami kontroli zdrowotnych sportowców przed igrzyskami olimpijskimi w 2000 roku. Sprawa dotyczyła zatem także Marco.

Vuelta Valenciana, jego pierwszy wyścig od występu w Sydney, ruszała 27 lutego. Na 20 kilometrów przed metą pierwszego etapu czterech zawodników urwało się i zapowiadało się na to, że kwestię zwycięstwa rozstrzygną między sobą. Marco jechał spokojnie w peletonie, a tuż przed samym podjazdem zrobił sobie nawet przerwę toaletową. Koledzy na niego zaczekali i ostatecznie ukończył etap tempem niemalże spacerowym, ze stratą ponad dziewięciu minut do zwycięzcy Michaela Boogerda. Było to nad wyraz dziwne zachowanie – albo Marco czuł się bardzo pewny siebie, albo coś było nie tak. Po sześciu tysiącach kilometrów przejechanych na treningach w ramach przygotowań do sezonu tempo głównej grupy nie powinno mu sprawiać najmniejszych problemów. Okazało się, że miał zapalenie oskrzeli. Za metą etapu uskarżał się: „Mam serdecznie dosyć jeżdżenia z miejsca na miejsce i udowadniania, że w sprawie dopingu jestem niewinny. Ubiegły rok był dla mnie bardzo trudny. Nie mogłem się skupić na pracy, no bo gdy nie musiałem się stawić przed jakimś sędzią, to musiałem się spotkać z prawnikiem. Mam nadzieję, że ten koszmar skończy się raz na zawsze i że będę mógł w końcu nadrobić stracony czas”.

Uwaga sformułowana przez Capodacquę mogła sugerować, że włoskie środowisko dziennikarskie coś tam o jego kokainowym nałogu wiedziało: „Zgorzknienie i dyskomfort Pirata są zrozumiałe, nawet jeśli Marco zapędził się w kozi róg i sam będzie musiał znaleźć wyjście z tej sytuacji, *o ile za jego słowami nie kryje się coś innego*”. Na drugim etapie Marco uskarżał się na trudności z oddychaniem i stracił do zwycięzcy

11 minut i 31 sekund. Rankiem 1 marca, tuż przed startem etapu czwartego, wycofał się. Czwartego marca zrezygnował ze startu w Clásica de Almería, a tydzień później – z wyścigu Vuelta a Murcia. Wrócił do Włoch, gdzie od razu został wezwany do Florencji. Funkcjonariusze *carabinieri* mieli go przesłuchać w związku z wynikami badań krwi wykonanymi przed igrzyskami olimpijskimi w 2000 roku.

Trzydziestego marca UCI ogłosiła nowe procedury walki z dopingiem wykorzystującym r-EPO. Jak dotychczas kolarze z hematokrytem powyżej 50 procent mieli być zawieszani na 15 dni ze względów zdrowotnych. W przyszłości jednak hematokryt na poziomie 47 procent lub wyższym albo ponadstandardowo wysoka liczba retikulocytów miały automatycznie skutkować przeprowadzeniem opracowanego we Francji badania moczu, który pozwalał wprost wykrywać obecność r-EPO. Badanie to było skuteczne tylko pod warunkiem, że przeprowadzono jest trzy, maksymalnie cztery dni od ostatniego zastrzyku z r-EPO. Tymczasem żywotność czerwonych krwinek wytworzonych dzięki r-EPO wynosiła od 90 do 120 dni, więc wystarczyło zaprzestać podawania tego środka na cztery–pięć dni przed zawodami, żeby stosowanie tej formy dopingu nadal nie wiązało się z żadnymi poważnymi konsekwencjami. Ósmego kwietnia 2001 roku zawieszony na 15 dni został Fabiano Fontanelli, kolega zespołowy Marco, u którego przed startem do Ronde van Vlaanderen wykryto hematokryt powyżej 50 procent. W 1996 roku stwierdzono u niego wysoki poziom testosteronu, było to zatem jego drugie przewinienie dopingowe. Wyniki badań moczu Fontanellego opublikowano 13 kwietnia: śladów r-EPO nie stwierdzono. Jego 15-dniowe zawieszenie ze względów zdrowotnych zdążyło już dobiec końca i mógł wrócić do normalnej rywalizacji.

Wyrok skazujący z Forlì oraz proces, który ruszył w Trydencie, były wystarczającymi powodami, by Mercatone Uno mogło mieć problemy z uzyskaniem zaproszenia na Tour de France. Sprawa Fontanellego jeszcze bardziej zaszkodziła reputacji zespołu. Francuzi prowadzili już dochodzenie w sprawie Lance'a Armstronga (ostatecznie miało zostać zamknięte z powodu braku dowodów), triumfatora Tourów z 1999 i 2000 roku. Sponsorzy imprezy i tak domagali się renegocjacji warunków, więc Jean-Marie Leblanc, dyrektor wyścigu, chciał uniknąć wszelkich dodatkowych kontrowersji. Do tego dochodziły występy Marco w pierwszej części sezonu:

| | | |
|---|---|---|
| 27 lutego–3 marca | Vuelta Valenciana | Wycofał się |
| 7–11 marca | Vuelta a Murcia | Wycofał się |
| 24 marca | Mediolan–San Remo | 89. miejsce |
| 26–30 marca | Vuelta Catalana | Wycofał się |
| 9–13 kwietnia | Vuelta al País Vasco | Wycofał się |
| 20–24 kwietnia | Settimana Lombarda | Wycofał się |

Gdy Jean-Marie Leblanc został zapytany, czy należy spodziewać się zaproszenia na Tour de France dla Marco Pantaniego, odpowiedział krótko: „Pantani? A to on jeszcze jeździ?". Wiosną w życiu Marco jedynym godnym odnotowania wydarzeniem było spotkanie z Lance'em Armstrongiem w związku z wyścigiem Vuelta a Murcia 2001. Spotkanie to umówił Pier Bergonzi, włoski dziennikarz, który zamierzał doprowadzić do zażegnania konfliktu między tymi zawodnikami. Jak wspominał później sam Armstrong, spotkanie było przedziwne: „Usiłowałem rozmawiać z nim po włosku: »E allora, com'è la forma?« – Jak tam u ciebie z formą? – Tylko się roześmiał: »Sìì, la forma – la forma di formaggio…« – Taaaaak, forma w formaggio (serze)".

Leblanc ogłosił swoją decyzję 2 maja: Marco nie otrzyma zaproszenia na Tour de France. Uzasadnienie brzmiało następująco: „Mercatone Uno bez Pantaniego nic sobą nie reprezentuje […], a Pantani od dłuższego czasu nie osiągnął absolutnie nic". Marco dowiedział się o tym w trakcie Giro del Trentino. Tamtego wieczoru wściekał się i wylewał żale w rozmowie ze mną i Philippe'em Brunelem, dziennikarzem „L'Équipe". Atakował szefów kolarstwa, którzy według niego zabijali ten sport. Usiłował łączyć brak zaproszenia dla siebie z wykluczeniem Mario Cipolliniego, zawodnika przez organizatorów niechcianego, bo choć swoje liczne Toury zaczynał znakomicie, to jednak żadnego nie ukończył. „Wykluczenie mnie i Cipolliniego oznacza dla Touru śmierć. Fani chcą oglądać show, a nie biznes. Sądziłem, że Pantani i Cipollini mają prawo udziału w tej imprezie chociażby przez wzgląd na to, co dawali jej dotychczas, od 1994 roku do dziś. Monsieur Leblanc zdaje się zapominać, że w 1998 roku osobiście prosił mnie o pomoc w promowaniu Touru, gdy wyścig miał kłopoty z uwagi na skandal dopingowy". Zespół Mercatone Uno na swoim oficjalnym kanale telewizyjnym wydał następujące oświadczenie: „Wdzięczność i uznanie to przymioty dawnego kolarstwa". Najwyraźniej kierownictwo tej ekipy też żyło przeszłością.

Rozwój wypadków nie miał za to wpływu na liryzm Marco: „Wszyscy jesteśmy więźniami zasad" – powiedział mi tamtego wieczoru. – „Każdy pragnie wolności, swobody zachowywania się w taki sposób, jaki sam uzna za właściwy. Jestem nonkonformistą i wiem, że niektórych ludzi inspiruję tym, jak swobodnie mówię, co myślę. Nigdy nie byłem drobiazgowy, nigdy nie kalkulowałem, ani na rowerze, ani poza nim. W moim codziennym życiu panuje chaos, a na rowerze kieruję się instynktem. Reaguję na to, co się w danej chwili dzieje.

Niestety, nie wszyscy widzą to tak samo jak ja". Miałem do czynienia ze spójnym połączeniem inspiracji, żalu i szaleństwa. Pantani w najczystszej postaci.

Ronchi uważała, że brak Marco na Tour de France to prawdziwa katastrofa. „Kolarstwo było dla niego jedyną terapią, tylko ono umiało trzymać go z dala od narkotyków" – twierdzi. – „Potrzebował potężnej motywacji, więc mu taką znaleźliśmy: spróbować pokonać Armstronga, choćby na jednym etapie. Pojedynek z Armstrongiem miał szczególne znaczenie, bo pozwalał mu się porównać z najlepszym. Do treningów mogliśmy nakłonić go jedynie wizją satysfakcji, jaką poczuje, oglądając się przez ramię i widząc, że mu uciekł, tak jak wtedy w 2000 roku". Ronchi pisze o terapii, tak naprawdę jednak była to ryzykowna zabawa poczuciem własnej wartości Pantaniego: przecież szanse na to, że zostanie zaproszony na Tour de France, od samego początku wydawały się nikłe. Jego relacje z organizatorami tej imprezy nie były najlepsze, w tym sezonie osiągał żałosne wyniki, a do tego zespoły francuskie, bliższe organizatorom, też nie pozostawały bezczynne. Potem pojawiła się jeszcze standardowa gadanina o utworzeniu zespołu łączonego, z Pantanim i Cipollinim w składzie, ale jak zwykle nic z tego nie wyszło. Tydzień później na łamach hiszpańskiej gazety sportowej „As" Claudio Chiappucci tak oto podsumował karierę Marco: „Ludzie zapamiętają Pantaniego jako walecznego zawodnika, który potem miał problemy z hematokrytem". Marco musiał być wściekły.

W tym samym dniu, w którym Leblanc poinformował o wykluczeniu Marco z wyścigu, sędzia z Brescii zarekomendował postawienie zarzutów dopingowych 18 podejrzanym. W tym gronie znalazło się wielu najstarszych rywali Włocha. W następnych dniach pojawiły się pierwsze

ofiary nowego badania moczu na obecność r-EPO: Bo Hamburger z zespołu CSC–World on Line i Roland Meier z Team Coast. Obaj zostali poddani kontroli w belgijskim Liège 19 kwietnia, czyli nazajutrz po zakończeniu Flèche Wallonne. Giro d'Italia 2001, rozgrywane od 19 maja do 10 czerwca, miało być pierwszym wielkim tourem, na którym prowadzone będą badania na obecność r-EPO.

Mimo to wojna z dopingiem nie należała do łatwych. Dziewiętnastego maja Pierguido Soprani, sędzia nadzorujący śledztwo w sprawie Francesco Conconiego, z niezrozumiałych powodów umorzył to dochodzenie. Dwudziestego pierwszego czerwca 2001 roku Soprani tłumaczył na antenie cotygodniowego magazynu informacyjnego *Panorama*: „W ostatnich miesiącach wytworzyła się ciężka atmosfera. W zeszłym roku Wyższa Rada Sędziowska wszczęła postępowanie przeciwko mnie, co wynikało prawdopodobnie z tego, że wcześniej złożyłem w tym samym organie wyjaśnienia obciążające mojego przełożonego. Wolałem odejść samemu, nie wdając się w dalsze przepychanki". Soprani zarzucał swojemu szefowi, że utrudnia prowadzenie śledztwa. Dodawał też, że dochodzenie komplikuje pozycja polityczna Conconiego. Tłumaczył, że nie ma na myśli „znakomicie wszystkim znanej przyjaźni Conconiego z Prodim", ale „rozpoznawalność Conconiego i jego władzę w roli rektora Uniwersytetu w Ferrarze".

Wykluczenie Cipolliniego z Tour de France nie miało nic wspólnego z dopingiem, ale Soprani ujawnił, że u drugiej gwiazdy kolarstwa wykluczonej z Tour de France 2001, czyli właśnie Mario Cipolliniego, również stwierdzono anomalie w wynikach badań krwi. Badanie przeprowadzone w styczniu 1996 roku dało normalne odczyty hematokrytu i hemoglobiny, czyli 43,1 procent i 14 procent. Dwudziestego piątego czerwca

tego samego roku w badaniach przeprowadzonych w Policlinico Sant'Orsola-Malpighi w Bolonii stwierdzono hematokryt na poziomie 54,4 procent i hemoglobinę wynoszącą 18. Podczas igrzysk olimpijskich w 1996 roku Cipollini albo był chory, albo jechał na dopingu.

Gdy Marco zajmował 29. miejsce w Giro del Trentino, które odbyło się od 30 kwietnia do 4 maja, we Włoszech wielkimi krokami zbliżały się wybory. W trakcie kampanii Silvio Berlusconi, lider centroprawicy, przeciwko któremu również toczyło się dochodzenie, sprytnie promował siebie oraz innych kandydatów Forza Italia jako ofiary upolitycznionego systemu sądownictwa, który wtrącał się w życie zwykłych obywateli, pilnując jedynie własnego nosa. Epoka sędziów bohaterów miała się ku końcowi. Trzynastego maja Berlusconi odniósł słynne zwycięstwo w wyborach. Giro d'Italia startowało tydzień później.

Etap 12. miał się zacząć 27 maja o 12:10 w kurortowym miasteczku Montecatini w Toskanii. Około 11:00 Marco jako ostatni z członków ekipy Mercatone Uno opuścił hotel Francia e Quirinale. Gdy tylko wyszedł, do budynku weszli *carabinieri* z jednostki NAS we Florencji, dysponujący nakazem przeszukania pokoi zawodników. Tego ranka funkcjonariusze pojawili się w 12 hotelach we Florencji, Prato i w Montecatini. Znaleźli sporo strzykawek, a w części z nich – niedozwolone substancje, takie jak kortykosteroidy. Po 12. etapie Marco zajmował 15. miejsce w klasyfikacji generalnej ze stratą minuty i 11 sekund do lidera, Dario Frigo. Nazajutrz czekała ich 225-kilometrowa trasa z czterema wielkimi podjazdami. Pantani z lat 90. byłby tym etapem zachwycony, ale tym razem na mecie pojawił się dopiero na 26. miejscu, ze stratą sześciu minut i 46 sekund do Gilberto Simoniego, który przejął różową koszulkę

lidera. Wieczorem tego dnia policja weszła do kampera należącego do teścia Ivana Gottiego i znalazła tam tyle leków, że potrzeba było trzech stron drobnym drukiem, by je wszystkie wymienić.

Rankiem 6 czerwca, przed startem etapu zaczynającego się i kończącego w San Remo, zawieszony został Riccardo Forconi, zespołowy kolega Marco, bo 19 maja, w dniu prologu, przeprowadzono u niego kontrolę i stwierdzono wysoki hematokryt. Marco tymczasem cierpiał na kolejne zapalenie górnych dróg oddechowych, co jest klasyczną przypadłością w dyscyplinach wymagających dużej wytrzymałości organizmu. Na drugim z dwóch przewidzianych na ten etap podjazdów został w tyle i kończył ten dzień na 24. miejscu w klasyfikacji generalnej. Jego strata do Simoniego wynosiła już 29 minut i 19 sekund.

Martinelli był wściekły. Ronchi relacjonuje, że po tamtym etapie wparował do pokoju Marco i wrzeszczał tak długo i mówił tak ostre rzeczy, że ich relacje zmieniły się na zawsze. Pantani leżał na łóżku cały we łzach. Dziennikarze zebrani w lobby hotelu przyglądali się, jak Pregnolato pakuje walizkę Marco i jego rower do samochodu. Chwilę później pojawił się Felice Gimondi i oznajmił, że Marco nocuje w San Remo. Kiedy Pantani zszedł na kolację, wyglądał na niezwykle przygnębionego.

Tamtego wieczoru w San Remo ponad 200 oficerów NAS oraz Guardia di Finanza wykonały niezapowiedziane naloty na hotele i pojazdy wszystkich zespołów. Akcja ta została potem nazwana „nalotami z San Remo”. Przeszukania prowadzone przez funkcjonariuszy Guardia di Finanza stanowiły element dochodzenia prowadzonego w Padwie w sprawie dopingu stosowanego w kolarstwie amatorskim. Nalot na kampera teścia Ivana Gottiego też stanowił element tego śledztwa.

Funkcjonariusze NAS kontynuowali operację rozpoczętą wieczorem po tamtym etapie. Do hotelu zajmowanego przez Mercatone Uno, Grand Hotel Des Anglais, dotarli o 21:05. Marco nie dojadł kolacji, bo któryś z funkcjonariuszy polecił mu wrócić do pokoju. Wszyscy członkowie ekipy stali na korytarzu, a w ich pokojach trwały przeszukania. O 23:15 Marco wyszedł z hotelu w towarzystwie zespołowego kolegi Ermanno Brignolego, upominając przy okazji reporterów: „Co? Nie wolno nam już wyjść na lody?". Tak naprawdę szli na spotkanie zawodników, któremu mieli przewodzić Marco i Cipollini. Obaj byli zwolennikami pomysłu, by natychmiast przerwać tę edycję Giro. Po tym spotkaniu z Cipollinim skontaktowała się jednak dyrekcja wyścigu i przekonała go do zmiany zdania. Marco nic o tym nie wiedział, więc gdy nazajutrz rano poinformował publicznie o rozpoczęciu strajku, okazało się, że jest w tej walce osamotniony, i zaczął się wykłócać ze swoim byłym sojusznikiem.

Dwunastego czerwca, po gorącej czterogodzinnej dyskusji z udziałem zawodników i organizatorów wyścigu, Petrucci – prezydent CONI, Włoskiego Narodowego Komitetu Olimpijskiego – wezwał FCI do zawieszenia całego włoskiego kolarstwa zawodowego do czasu opracowania kodeksu etycznego, którego postanowienia zostaną potem wprowadzone do kontraktów zawodników. UCI zdystansowała się od tych działań, wydając oświadczenie następującej treści: „Wszelkie środki zastosowane przez FCI będą dotyczyć wyłącznie kalendarza włoskiego". Przedstawiciele UCI skrytykowali również CONI za „przedwczesne wyrażenie opinii w sprawach, w których toczą się śledztwa i sprawy sądowe". Warto podkreślić, że komisja mająca opracować nowe przepisy

antydopingowe nie zdążyła się jeszcze nawet po raz pierwszy zebrać.

Czternastego czerwca doszło do zjazdu FCI, na którym miano omówić apel CONI o wprowadzenie moratorium. Na to spotkanie do Rzymu jechał również Marco. Nieco na północ od Perugii, na autostradzie E45, policjanci z wydziału ruchu drogowego zatrzymali go za przekroczenie prędkości. Na odcinku, na którym wolno było jechać 110 kilometrów na godzinę, odczyt z radaru wyniósł 187 kilometrów na godzinę. Pantaniemu zatrzymano prawo jazdy, otrzymał też mandat w wysokości 600 tysięcy lirów (300 euro). Funkcjonariusze wydali mu też tymczasowy dokument, uprawniający do dokończenia podróży do Rzymu i powrotu do domu.

Po zakończeniu zjazdu Giancarlo Ceruti, prezydent FCI, ogłosił, że począwszy od poniedziałku 18 czerwca przez co najmniej tydzień odwołane będą wszystkie wyścigi kolarskie w kraju we wszystkich kategoriach, od juniorów po imprezy dla zawodowców. Włoskie zespoły zostały poproszone o to, by nie brać w tym okresie udziału w wyścigach organizowanych poza granicami kraju. Zapadła decyzja, że wszyscy członkowie reprezentacji Włoch zostaną poddani niezapowiedzianej kontroli krwi pośrednią metodą australijską (opartą na wynikach badania krwi) w celu wyłapywania przypadków dopingu z wykorzystaniem r-EPO. Były to wszystko odważne kroki, podjęte na przekór niezadowolonemu Verbruggenowi.

Szczegółowe zapisy nowego kodeksu etycznego wyciekły do prasy już 20 czerwca. Definiowały one prawa i obowiązki zawodników, lekarzy zespołowych, organizatorów wyścigów i zespołów. Dwa dni później okazało się, że naloty z San Remo stały się przyczynkiem do wszczęcia formalnych dochodzeń przeciwko 18 na 20 zespołów. Dochodzenia objęły też 64 kolarzy. Ostatecznie zarzuty miano postawić 51 zawodnikom

i pracownikom zespołów, w tym Marco i jego masażyście, Roberto Pregnolato.

Dwudziestego drugiego czerwca w „Sette Sere", tygodniku wydawanym w Faenzie, ukazał się niezwykle krytyczny wywiad z pewnym wieloletnim członkiem sztabu medycznego Mercatone Uno. Doktor Marco Magnani w latach 1997–2000 pracował w tym zespole jako asystent medyczny, a od sezonu 2001 pełnił obowiązki lekarza zespołowego. Z czasem coraz bardziej wyzbywał się jednak złudzeń i w końcu postanowił podzielić się swoją wiedzą z opinią publiczną. Stwierdził, że nad Marco nie da się zapanować. „Nie mogłem go nawet nakłonić na coś tak prostego i oczywistego jak ważenie. Żeby postawić go na wadze, musiałem wymyślić jakiś bzdurny konkurs typu: kto waży najmniej. Dopiero w ten sposób ustaliłem, że ma nadwagę – sześć kilogramów". Przy tak niewielkich gabarytach jak u Marco to naprawdę sporo i dodatkowe kilogramy mogły tłumaczyć jego słabe występy wiosną. Wywiad ten wzbudził jednak spore zainteresowanie przede wszystkim ze względu na oskarżenia Magnaniego, że mniej więcej od początku kwietnia znajdował się pod presją – „nie ze strony sponsorów, ale kierownictwa zespołu" – by „stosować środki farmakologiczne w celach innych niż przewidywały ich zastosowania medyczne". Twierdził, że zespół nie zabrał go na Giro d'Italia, ponieważ odmawiał ulegania tym naciskom.

Gdy rozmawiałem z Magnanim wiosną 2005 roku, tamte kontrowersje ciągle jeszcze były dla niego świeżym wspomnieniem: „Krnąbrność Marco musiała sięgać daleko wstecz. To przecież nie tak, że w 2000 roku nagle zrobił się trudny we współpracy. W środowisku kolarskim było powszechnie wiadomo, że miewał wielkie wahania nastroju. To musiało wynikać z jakichś problemów psychicznych". Najbliżsi

przyjaciele Marco mówili to samo. Marcello Siboni wspomina: „Nie był zbyt gadatliwy. Człowiek od razu się o tym przekonywał. Mówiło się coś do niego, on nie odpowiadał i od razu było wiadomo, że woli być sam i milczeć". Fabiano Fontanelli mówi: „Rano w dniu wyścigu do Marco w zasadzie lepiej było nie podchodzić".

Magnani nie został poinformowany, że Pantani ma problemy z kokainą: „Zwróciłem uwagę na jego dziwne zachowania w pierwszych miesiącach 2001 roku. Bardzo trudno było porozmawiać z nim przez telefon. Trudno go było złapać, często nie odbierał, a gdy już odebrał, trudno było go skłonić, żeby cokolwiek powiedział. O jego problemach z kokainą dowiedziałem się dopiero w 2002 roku, a przecież tego rodzaju informacje były dla mnie, lekarza zespołowego, absolutnie fundamentalne. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale dzisiaj rozumiem, że zachowanie Marco nie było normalne już w 2001 roku". Magnani doskonale pamięta, jak w 2001 roku naciskano na niego, by zawodnikom zespołu przepisywał niewskazane dla nich leki: „Na przykład usłyszałem, że mam podawać zawodnikom środki przeciwzapalne z cząsteczkami stosowanymi do leczenia zapalenia stawów. Miałem też podawać im inne środki, na przykład przeciwutleniacze stosowane w schorzeniach wątroby. To wszystko pomimo tego, że żaden z nich na nic z tych rzeczy nie cierpiał. Chodziło jedynie o to, by złagodzić ból związany z wysiłkiem mięśniowym. Mówimy tu również o produktach, które nie mają nic wspólnego z dopingiem". Magnani oczywiście nie twierdził, że ten ostatni problem nie istniał. „Doping mógł być tam obecny. Byłem człowiekiem z zewnątrz. Nigdy niczego takiego nie zauważyłem, ale trzeba wziąć pod uwagę, że w najważniejszym momencie sezonu, podczas Giro, zespół nie zabrał mnie ze sobą. Nie wiem, co mogło się tam dziać". Wynika

z tego, że oficjalni lekarze zespołowi byli tylko na pokaz, a podawaniem dopingu zajmowali się inni lekarze, freelancerzy.

W dniu publikacji tego artykułu gruchnęła jeszcze jedna potencjalnie katastrofalna wiadomość. Dzień wcześniej profesor Francesco Conconi został przesłuchany przez sędziego Piero Messiniego D'Agostiniego, którego zadaniem było ocenić wyniki wstępnego śledztwa Sopraniego i osądzić, czy dochodzenie będzie kontynuowane. Ta kwestia miała wisieć Marco nad głową już do końca jego dni.

Dwudziestego dziewiątego czerwca we Florencji Pantani został przesłuchany w charakterze świadka przez śledczych prowadzących dochodzenia po nalotach z San Remo. Kilka dni wcześniej w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że w pogoni za coraz lepszymi wynikami sportowymi kolarstwo sięgnęło wreszcie po substancje niedozwolone. „Te substancje są nielegalne dopiero w momencie, gdy ktoś przyłapie cię na ich stosowaniu", zauważył. Gdy Marco wyszedł z czterogodzinnego przesłuchania, powiedział dziennikarzom, że ma serdecznie dość stawiania się „przed każdym sądem we Włoszech".

W sierpniu Marco wziął udział w mało znanym wyścigu Vuelta a Burgos, w którym zajął 81. miejsce, a potem, 19 września, wycofał się z Vuelta a España, w którym też kompletnie mu nie szło. Dwudziestego trzeciego października 2001 roku sąd rozpatrzył jego apelację od wyroku z 11 grudnia 2000 roku. Sąd apelacyjny, rozpatrując interpretację przepisów Ustawy 401/1989, wziął pod uwagę nie tylko intencje ustawodawcy, lecz także treść debaty parlamentarnej z okresu prac nad nowym prawem antydopingowym, czyli Ustawą 376/2000. Na tej podstawie sąd stwierdził, że „czyny przypisywane Marco Pantaniemu z 1995 roku nie stanowiły przestępstwa w świetle

obowiązującego wówczas prawa”. Tym samym wyrok z 11 grudnia 2000 roku został uchylony na podstawie proceduralnego drobiazgu. Mimo to po uważnej analizie materiału dowodowego sąd apelacyjny nie dopatrzył się błędów ani uchybień w materiale dowodowym świadczącym o tym, że Marco stosował r-EPO.

# Rozdział 16.
# Nowy zespół Pantaniego

## SIERPIEŃ 2001–STYCZEŃ 2002

Do sierpnia 2001 roku relacje między Manuelą Ronchi, agentką Marco, a Giuseppe Martinellim, jego dyrektorem sportowym, pogorszyły się do tego stopnia, że nie było już czego naprawiać. Ronchi przedstawiła następujący pomysł: rozwiązać zespół i zbudować nowy. Marco miał pozostać główną postacią nowej ekipy – bo to gwarantowało dalsze wsparcie Romano Cenniego i Mercatone Uno – oraz otrzymać możliwość podejmowania decyzji. Ronchi z dumą opowiadała o „innowacyjnym modelu zarządzania". Pomysł został zaczerpnięty wprost z zespołu Mapei, który właśnie ubiegał się o certyfikację ISO dla swoich procedur zarządczych. Najwyraźniej stare poczucie rywalizacji i kompleks niższości miały się świetnie. Ronchi i Mercatone Uno prowadzili rozmowy z Franco Zappellą, właścicielem firmy Saeco, producenta ekspresów do kawy. Zappella wyraził zainteresowanie finasowaniem ekipy Mercatone Uno-Saeco, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Gdy Marco wycofał się z Vuelty, negocjacje utknęły w martwym punkcie.

Gdy nowy zespół Mercatone Uno wreszcie został powołany do życia, Ronchi była niezadowolona z budżetu oraz z warunków umowy sponsorskiej. Całkiem słusznie argumentowała, że dzięki Marco sieć supermarketów zyskała ogromną rozpoznawalność – której osiągnięcie za pomocą konwencjonalnych form reklamy wymagałoby kolosalnie większych nakładów. Nie dopuszczała natomiast do siebie myśli, że jej podopieczny nie wygrał nic od 2000 roku i że jego

sława chwilowo sprowadzała się przede wszystkim do licznych dochodzeń w sprawach dopingowych. Pantani stał się dla innych obciążeniem. Gdyby spojrzeć na to czysto biznesowo, dla Mercatone Uno dalsze identyfikowanie się z nim w najlepszym razie wydawało się skalkulowanym ryzykiem, a w najgorszym – było po prostu nieodpowiedzialne. Tak czy owak, gdy rozmowy z Saeco spełzły na niczym, zabrakło już czasu na poszukiwania alternatywnego drugiego sponsora, więc Ronchi musiała przyjąć warunki, na mocy których Marco był osobistym gwarantem finansowym zespołu i które przewidywały kary umowne za każdy wyścig, w którym zejdzie z trasy. W rozmowie ze mną stwierdziła: „Gdybym powiedziała Marco, jakiego rodzaju kontrakt musiałam podpisać, straciłby swoją ostatnią podporę: Cenniego".

Zachwalany przez Ronchi „innowacyjny model zarządzania" opierał się w głównej mierze na braku doświadczenia. Na prośbę Marco nowym *directeur sportif* został Riccardo Magrini, który od 13 lat w ogóle nie zajmował się kolarstwem, ale postanowił wrócić, bo poprosił go o to Pantani. Wiedział, że będzie popełniał błędy, dlatego od razu poinformował Ronchi, że powinna uzbroić się w cierpliwość i że będzie potrzebował pomocy. Jego asystentem został Massimo Podenzana, który dopiero co zakończył karierę zawodniczą i nigdy wcześniej nie pełnił obowiązków dyrektora sportowego. Ronchi też nigdy wcześniej nie kierowała zespołem kolarskim. Rekrutacją sztabu medycznego zajął się Fabrizio Borra. Na stanowisko lekarza zespołowego – w co aż trudno uwierzyć – zatrudnił człowieka, który specjalizację robił w Centrum Conconiego w Ferrarze. Chodzi o Mauro Vezzaniego, byłego ginekologa, który – podobnie jak wielu innych lekarzy tej specjalizacji – swoją szczegółową wiedzę na temat hormonów postanowił wykorzystywać w obszarze medycyny sportowej. W rozmowie

ze mną Magrini przyznał: „Wewnętrzna organizacja zespołu odstawała od ówczesnych standardów. Nie mieliśmy sprzętu. Pod koniec stycznia Manuela ciągle jeszcze poszukiwała drugiego sponsora, ale największym naszym problemem było to, że Marco znajdował się w opłakanym stanie".

Jego problem narkotykowy zaczął rozwijać się w nowym kierunku. Ronchi utrzymuje, że w latach 2000 i 2001 Marco nie mówił zbyt wiele o swoim uzależnieniu od kokainy, nawet pomimo wyników badania moczu z lutego 2001 roku. W listopadzie członkowie nowego zespołu Mercatone Uno spotkali się w Montecatini Terme na obóz treningowy. Marco był w znakomitym nastroju, Ronchi nigdy nie widziała go tak świetnie dysponowanego. Dzisiaj wiadomo już, że był to jedynie sygnał ostrzegawczy, który zwiastował nadchodzący kryzys. W kilka dni po zakończeniu obozu treningowego Marco przestał odbierać telefon, stał się nieosiągalny. Jego ojciec, Paolo, powiedział Ronchi, że syn ma się dość dobrze, choć miewa gorsze momenty.

Na początku grudnia w Terracinie planowano rozpoczęcie drugiego obozu treningowego. Ten niewielki kurort położony mniej więcej w połowie drogi między Rzymem i Neapolem stał się popularnym celem zespołów kolarskich przygotowujących się do nowego sezonu. Być może to przypadek, ale tam też znajdowały się zakłady największego producenta r-EPO Marco nie przyjechał, a Fabrizio Borra dostał od niego SMS-a następującej treści: „Drogi Fabrizio, masz moją zgodę, by powiedzieć lekarzom o moich problemach psychicznych i kokainowych: pomocy". Borra bezzwłocznie wsiadł w samochód, przejechał 430 kilometrów do Cesenatico i przywiózł go do Terraciny. Wyglądało na to, że wcześniej odeszła od niego Christine. Członkowie zespołu podejrzewali, że Marco spotykał się z dilerami kokainy nawet w Terracinie.

W życiu kolarza to był bardzo ważny moment – po raz pierwszy otwarcie i wprost poprosił o pomoc. Jego lekarze na początku musieli zadecydować, co z nim zrobią. Uznali, że powinien dostać dwuosobowy pokój i że przez całą dobę ktoś musi mu towarzyszyć. Od tego momentu miał żyć w warunkach nieustającego obozu treningowego, by jego dni były uporządkowane. Marco zdecydowanie odmówił. Wtedy przeniesiono go do mieszkania w opuszczonym apartamentowcu wakacyjnym w Lérici, nieco na południe od La Spezii na wybrzeżu liguryjskim. Niewykluczone, że otaczająca go tam pustka dodatkowo wzmacniała w nim poczucie straty po odejściu Christine. Potem Ronchi przeniosła jego i cały zespół do hotelu Europa, bo ojciec Marco zadzwonił do niej z niepokojącymi wieściami: w willi Pantanich w Sala pojawili się *carabinieri* z dwoma wezwaniami. Pierwsze dotyczyło nalotów z San Remo z 6 czerwca, bo wtedy ktoś widział, jak Roberto Pregnolato wyrzucał worek do kubła na śmieci na ulicy przed hotelem. Pregnolato twierdził, że znajdowały się tam wyłącznie nieszkodliwe odpady medyczne, policja utrzymywała natomiast, że znaleziono tam śladowe ilości środków dopingujących. Drugie wezwanie miało związek ze strzykawką znalezioną 27 maja w pokoju 401 hotelu Francia e Quirinale w Montecatini. Przez 15 tygodni nikt się nią nie zajmował. Badania przeprowadzone 7 września 2001 roku wykazały, że strzykawka zawierała śladowe ilości insuliny, hormonu stosowanego przez kulturystów razem ze sterydami anabolicznymi, na przykład testosteronem lub ludzkim hormonem wzrostu, w celu zapobiegania uszkodzeniom nowej tkanki mięśniowej, a także przez sportowców wytrzymałościowych razem z glukozą, bo pozwalało to przed ważnymi imprezami naładować mięśnie paliwem w postaci glikogenu. Z dokumentacji komputerowej otrzymanej z hotelu

wynikało, że Marco otrzymał pokój 418, ale w lobby znaleziono też ręcznie sporządzoną rozpiskę przydziału członków zespołu do pokoi. Na niej Marco miał pokój nr 401. Tak oto nad głową zawisło mu kolejne policyjne śledztwo.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia spędził w domu rodzinnym Massimo Podenzany, a kolejny tydzień w hotelu, w towarzystwie kolegów z zespołu. Musiał mieć świadomość, że trzyma ich z dala od rodzin, od ludzi, którym na nich zależało i którzy na nich polegali. Musiał mieć świadomość, że to on stanowi problem bez rozwiązania. W sylwestra nie wytrzymał. Zażądał jednego dnia wolnego na przywitanie Nowego Roku i uciekł do Cesenatico. Nazajutrz rano Ronchi odebrała telefon od Christine. Była dziewczyna Pantaniego powiedziała, że odprawiła go z kwitkiem, że Marco jest teraz w domu i – jak to ujęła – „robi sobie krzywdę". Fabrizio Borra i Danilo Manari, drugi lekarz zespołu, rzucili wszystko i pognali do Cesenatico. Potem całą sprawę bagatelizowali. Mówili, że zastali Marco w niezłym stanie. Nie zmienia to jednak faktu, że sięgnął po kokainę z pełną świadomością, że jednym z elementów procedury odnowienia jego licencji wyścigowej są badania medyczne, które miał przejść za dwa dni. Konsekwencje dla całej ekipy mogły być bardzo poważne. Szczegółowych postanowień umowy sponsorskiej nigdy nie podano do wiadomości publicznej, ale jest całkiem możliwe, że gdyby Marco nie odnowiono licencji, cały zespół musiałby zakończyć działalność. Wydaje się, że nikt nigdy nie wziął pod uwagę możliwości, iż ten połowiczny autosabotaż mógł być celowy.

Trzeciego stycznia 2002 roku Marco i sześciu czy siedmiu jego kolegów z ekipy miało pojawić się na oddziale kardiologii szpitala Santa Maria Nuova w Reggio Emilii. W rozmowie ze mną Ronchi stwierdziła: „Postanowiliśmy przeprowadzić badania kontrolne UCI w placówce publicznej, żeby pokazać

wszem wobec, że wszystkie nasze działania są całkowicie przejrzyste". Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, to stawianie sobie tego rodzaju celów mogło być wyłącznie wynikiem tego, że oszukiwała samą siebie. Wieczorem 2 stycznia Borra zabrał Marco do Best Western Hotel w Reggio Emilii, gdzie mieli spotkanie z całym zespołem. Przy kolacji Pantani przez cały czas był spięty, co chwila wstawał od stołu, nie wypuszczał z dłoni telefonu komórkowego. Nie chciał spędzać czasu z kolegami. Ronchi odciągnęła go na bok i powiedziała mu, że jego związek z Christine jest już nie do uratowania. Co jednak ważniejsze, on wyznał jej, że dojrzał do zakończenia kariery. Ronchi wspomina, że jako osoba odpowiedzialna za źródło utrzymania wszystkich osób pracujących w zespole w pierwszej chwili pomyślała sobie: „Czy może być na tyle nieodpowiedzialny, żeby pogrzebać całe to przedsięwzięcie?".

W jej książce to pierwsza wzmianka o tym, że Marco był gotów zrezygnować z kolarstwa. W rozmowie ze mną stwierdziła jednak: „Już wtedy, gdy zabieraliśmy go na tamto Giro d'Italia [w 2001 roku], nie chciał wracać na siodełko". Najwyraźniej Marco już od dwóch lat mówił o tym, że chce zrezygnować, ale dopiero teraz jasna jak słońce stała się rozbieżność interesów ludzi, którzy zarabiali na życie dzięki budowanemu przez niego bogactwu, a własnymi potrzebami Pantaniego, człowieka z problemami psychicznymi i wyniszczającym go nałogiem narkotykowym.

Tego wieczoru Manari widział, jak pod hotel podjechał samochód na tablicach rejestracyjnych z Rawenny i wysiadł z niego Marco z jakąś paczką w rękach. Gdy Pantani dostrzegł Manariego, natychmiast wsiadł z powrotem i auto odjechało. Nazajutrz rano Marco nie otwierał drzwi do swojego pokoju. Gdy jego opiekunowie wreszcie weszli tam na siłę, zastali go palącego crack. Badania w szpitalu na nie wchodziły oczywiście

w grę. Inni zawodnicy je przeszli i dostali zielone światło, Marco jednak nie pojechał. Oficjalnie Vezzani poinformował, że zawodnik przez całą noc zmagał się z biegunką. Nowy termin badań wyznaczono na 30 stycznia.

Rankiem 4 stycznia Ronchi i Magrini ubrali Marco, a następnie wraz z resztą zespołu zabrali go na lotnisko w Bolonii, skąd odlatywali do Hiszpanii. Był poirytowany, nerwowy i niezwykle rozmowny. Wypłakiwał się do telefonu: „Gdzieś mnie wywożą! Jestem na lotnisku!". Ronchi podejrzewała, że rozmawiał z dilerem. Zostawiła go przy bramce i wróciła do Mediolanu, by spotkać się tam z jego prawnikiem, Cecconim. Miał jej opowiedzieć, jak postępuje sprawa Montecatini. Później Marco zadzwonił do niej z Madrytu. Żądał wyjaśnień, dlaczego nie leciał pierwszą klasą. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że w samolocie nie było miejsc pierwszej klasy. W nadchodzących dniach to szaleństwo miało trwać dalej. Wziął kluczyki od samochodu zespołowego, żeby pojechać do apteki, ale wjechał w autokar stojący na hotelowym parkingu. Ronchi przekonała Vezzaniego, by udał się z nią do Hiszpanii. Z jej opisów wynika, że ludzie z otoczenia Marco nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Nie dawało się nad nim zapanować, emocjonalnie był w strzępach, w desperacji, „zabunkrował się w swoim wnętrzu". Ronchi pisze jednak, że mimo to potrafił jechać przez sześć godzin i zostawić w tyle wszystkich zespołowych partnerów. „To był ten prawdziwy Marco", dodaje. Na tym też polegał problem. Pantani miał tak silny organizm, że mógł wyniszczać sobie umysł i tożsamość za pomocą kokainy i cracku, a przy tym przez cały czas podtrzymywać pozory profesjonalizmu. Prędzej czy później osoby czerpiące niemałe korzyści finansowe z jego występów sportowych musiały zrozumieć, że kluczem do jego odbudowy jest utrzymywanie tej fasady.

Trzydziestego stycznia rano Marco pojawił się w kawiarence szpitala Santa Maria Nuova w Reggio Emilia i zjadł tam śniadanie. Rozdawał autografy, zdawkowo odpowiadał na pytania, a potem we właściwym momencie udał się na badania. W korytarzu zatrzymał go członek jego zespołu: badania zostały przełożone po raz drugi. Po śmierci Marco ordynator kardiologii szpitala ujawnił prawdę, dlaczego tak się stało: „Na podstawie informacji przekazanych nam przez członka zespołu poinformowaliśmy z wyprzedzeniem, że jako placówka publiczna nie możemy dać Pantaniemu zgody na kontynuowanie ścigania. dlatego nie stawił się na badania i jako wymówkę podał chorobę".

Marco został odwieziony do pokoju hotelowego, gdzie wrzeszczał na każdego, kto ośmielił się do niego zbliżyć. Ronchi uznała, że to najwyższa pora, by wtajemniczyć Cenniego, który nie wiedział o niczym od 1999 roku. Według niej pierwsze pytanie prawnika brzmiało: „Czy będzie w stanie pojechać w Giro d'Italia?". Danilo Manari uważał, że pierwszym i niezbędnym krokiem do powrotu Marco do zdrowia byłoby publiczne przyznanie się do nałogu narkotykowego. Pantani odmówił. Ale istniał jeszcze drugi problem: na mocy nowej umowy sponsorskiej uzależniony od kokainy i cracku Marco był osobistym gwarantem finansowym zespołu. Nikt nie mógł mu mówić, co ma robić.

# Rozdział 17.
# Obłęd

## GRUDZIEŃ 2001–LISTOPAD 2002

Ponieważ Marco nie dostał od lekarzy zielonego światła dla dalszych występów, Vezzani zadzwonił na państwową infolinię dla osób z problemami narkotykowymi w Reggio Emilii i otrzymał tam numer telefonu do doktora Mario Pissacroi, psychoanalityka specjalizującego się w leczeniu uzależnień. W rozmowie ze mną Pissacroia powiedział: „Vezzani zjawił się u mnie w gabinecie w Modenie jakoś pod koniec 2001 roku i stwierdził: »Jest taki jeden sportowiec, mistrz, który uzależnił się od kokainy«. Zapytałem, o kogo chodzi, a on mnie pyta, czy się nie domyślam. Odpowiedziałem mu: „Jest ich tak wielu!”. Wtedy powiedział: »Chodzi o Pantaniego«”.

Na początku nowego roku Pissacroia spotkał się z Vezzanim w lobby Best Western Hotel w Reggio Emilii. Zaprowadzono go do pokoju Marco. Wspomina to tak: „Marco stał pomiędzy dwoma pojedynczymi łóżkami, plecami do drzwi. Kątem oka przyglądał się obcemu sobie człowiekowi. Był w bardzo złym stanie, wydawał się totalnie przygnębiony. Przykucnął w kącie pokoju. Patrzył na mnie niczym bite dziecko, które oberwało wiele razy. W jego oczach była podejrzliwość”. Pissacroia wiedział co nieco o dzieciach z problemami. Wcześniej zajmował stanowisko dyrektora centrum ds. opieki nad agresywnymi i uzależnionymi nastolatkami w Toskanii, był też autorem pracy naukowej z dziedziny psychopatologii nastolatków. Vezzani miał pełną świadomość, że jego zadanie polega na tym, aby powstrzymać Marco od zażywania kokainy

i pomóc mu odzyskać licencję wyścigową. Należało zagwarantować, że kolarz ani razu nie weźmie kokainy przez dwa lub trzy miesiące. Niezbyt to sprzyjające okoliczności do pracy psychoanalitycznej, ale był to też przypadek na tyle poważny, że doktor nie mógł po prostu odprawić pacjenta z kwitkiem.

Pissacroię martwiło przede wszystkim to, że Marco nie panował nad swoimi impulsami. „Nie chodziło wyłącznie o depresję, cierpiał na zaburzenia afektywne dwubiegunowe – na depresję maniakalną – i w tamtej konkretnej chwili najważniejszym problemem było zażywanie kokainy. Dość szybko nabrałem przekonania, że zażywał crack już od dłuższego czasu".

Marco lubił eksperymentować z seksem. Przecież po Tourze z 1998 roku sam powiedział w wywiadzie, że chciałbym spróbować zwiększyć możliwości swojego niesamowitego organizmu za pomocą viagry. W związku z tym z pewnością nie mógł przejść obojętnie obok tego, co mówiło się o cracku. Substancja aktywna zawarta w tym narkotyku poprzez płuca trafia do mózgu dosłownie w czasie kilku sekund. Ludzie, którzy go próbowali, opisują doznania po cracku jako przyjemność ostateczną, doświadczenie, z którym orgazm nie jest w stanie się równać – przynajmniej przez pierwsze dwie minuty. Po pierwszym, hiperorgazmicznym haju, następuje kilkunastominutowa euforia, a potem włącza się depresja. Jak najszybciej się z nią uporać? To proste: za pomocą kolejnej dawki cracku. Gdy haj przestaje być tak wspaniały, a depresja się pogłębia, osoba zażywająca crack robi się coraz bardziej skryta, podejrzliwa i wrogo nastawiona do świata. Marco, facet z głęboką paranoją na punkcie spisków, zatruwania żywności i inwigilacji, przejawiał klasyczne objawy uzależnienia od cracku.

Pissacroia wkrótce dowiedział się, że crack był codziennym towarzyszem Pantaniego już od lat. Od dłuższego czasy zastanawiano się, czy Marco nie powinien trafić do San Patrignano, ośrodka o zaostrzonym rygorze, ukrytego między wzgórzami w okolicach Rimini. W ekipie Pantaniego nie było ludzi kompetentnych w zakresie rozwiązywania problemów, z jakimi się on borykał. Pissacroia zaczynał zatem wszystko od zera. „Już wcześniej chodził na wizyty do psychoanalityków, nie odzywał się ani słowem, a potem mówił Vezzaniemu, że dalsze wizyty go nie interesują. Kiedy spotkaliśmy się ponownie, Vezzani mnie pochwalił: powiedział, że jestem pierwszym, którego Marco nie odesłał".

Niewykluczone, że kolarz zgodził się na współpracę z Pissacroią z uwagi na wspomnienia poważnej kontuzji i strach przed niepełnosprawnością; Pissacroia, wtedy 49-latek, miał bujne siwe włosy, ciemne, przenikliwe oczy, orli nos i wyraźnie kulał, bo przeszedł kiedyś polio. Marco potrzebował pomocy, to nie ulegało wątpliwości. „Spędzałem tam po dwa, trzy dni tygodniowo. Dwa, trzy razy w tygodniu badano mocz Marco na obecność kokainy. Próbki były anonimowe, a do szpitalnego laboratorium woził je Vezzani. Diagnozę wieloosiową też sporządziliśmy z Vezzanim oraz z psychologami klinicznymi z ośrodka leczenia uzależnień w Reggio Emilii. Pracowaliśmy w całkowitej tajemnicy".

Diagnoza psychiatryczna została przygotowana na podstawie standardowych kryteriów zebranych w czwartym wydaniu klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, lepiej znanym jako DSM-IV. Zostało tam zdefiniowanych pięć osi:

Oś I: Zaburzenia kliniczne i inne stany wymagające uwagi klinicznej.

Oś II: Zaburzenia rozwojowe i zaburzenia osobowości, rozumiane jako syndromy kliniczne o długotrwałych objawach charakteryzujących sposób interakcji pacjenta ze światem.

Oś III: Stany ogólnomedyczne, wpływające na rozwój, trwanie lub nasilanie się zaburzeń z osi I i II.

Oś IV: Problemy psychospołeczne i środowiskowe: wydarzenia z życia pacjenta mające wpływ na występowanie zaburzeń z osi I i II.

Oś V: Poziom przystosowania, oceniany przez specjalistów z wykorzystaniem „Globalnej oceny funkcjonowania" w chwili stawiania diagnozy na podstawie najwyższego poziomu funkcjonowania w roku wcześniejszym. Ocena ta ma na celu zrozumienie wpływu czterech poprzednich osi na życie pacjenta oraz próbę prognozowania możliwych zmian w tym zakresie.

W ramach osi I diagnoza stanu Marco była lekko optymistyczna: „Uzależnienie od kokainy w początkowym stadium częściowej remisji", a towarzyszyła jej inna informacja: „Wywoływane kokainą zaburzenia nastrojów o różnych przejawach". W ramach osi II po raz pierwszy zdiagnozowano u niego chorobę psychiczną: „Niespecyficzne zaburzenia osobowości z elementami narcystycznymi, antyspołecznymi i obsesyjnymi, częstym zaprzeczeniem i manipulacją".

Narcystyczne zaburzenia osobowości to swego rodzaju schemat poczucia wielkości w fantazjach lub zachowaniach, potrzeby bycia podziwianym i braku empatii. Pojawiają się one na wczesnym etapie dorosłości. W przypadku Marco był to okres, w którym kolarstwo stało się dla niego zewnętrzną personą czy też maską, pomagającą mu stawiać czoła światu. Impulsywność Pantaniego, jego całkowity brak dbałości o własne bezpieczeństwo oraz brak wyrzutów sumienia to charakterystyczne objawy antyspołecznych zaburzeń

osobowości, podczas gdy obsesyjno-kompulsywnych zaburzeń osobowości należy upatrywać w przywiązaniu nadmiernej wagi do porządku, perfekcjonizmie i próbach kontrolowania relacji międzyludzkich, co odbywa się kosztem elastyczności, otwartości oraz efektywności i zaczyna występować u młodych dorosłych. Wiele tego rodzaju schematów zachowań to naturalny element uprawiania sportu na najwyższym poziomie, a to oznacza, że istniejąca od lat choroba psychiczna Marco była częściowo ukrywana przez realia świata sportu, w którym funkcjonował.

W ramach osi III, obejmującej stany ogólnomedyczne, które wpływają na rozwój, trwanie lub nasilanie się zaburzeń z osi I i II, znalazło się odważne stwierdzenie: „Traumatyczne pozostałości po wypadkach sportowych". Od 15. roku życia Pantaniemu często przytrafiały się podczas treningów i podczas wyścigów urazy głowy, a także liczne urazy biczowe, powstałe podczas wielu wypadków samochodowych. Nikt nigdy nie zadał sobie pytania, czy te liczne traumatyczne incydenty nie wywołały jakichś trwałych urazów w mózgu kolarza.

Czynniki psychospołeczne i środowiskowe, zaliczane do osi IV, kreślą bezprecedensowy obraz historii psychicznej Marco. Pierwszy z wymienionych elementów, „konflikty rodzinne w okresie dojrzewania", to rzecz powszechnie znana. O drugim z nich już się jednak nie mówiło: „Historia zażywania marihuany i amfetaminy". Brakuje informacji, czy Marco zażywał amfetaminę jako środek mający zwiększać wydolność organizmu na wczesnym etapie kariery, czy też traktował ją jako używkę rekreacyjną. Do tego należy dopisać sporadyczne upijanie się, do którego przyznał się w październiku 1995 roku, gdy przyjmowano go do CTNR. Sięganie po amfetaminę, marihuanę i alkohol raczej nie powinno dziwić w przypadku młodego mężczyzny, który dorastał na riwierze. Dopiero kiedy

nałoży się na nie chorobę psychiczną Marco, można potraktować to jako wstęp do późniejszego nałogowego zażywania twardych narkotyków.

Dalej na liście znajdują się „dziedziczne stany lękowe i depresja". O tym, że jego choroba miała podłoże dziedziczne, też niewiele się mówiło. Dwa ostatnie czynniki na liście to: „niestabilne i zależne zaburzenia afektywne", co powinno być dla wszystkich oczywiste, oraz „duży stres wynikający z rywalizacji", co z kolei powinno bardzo zaskakiwać osoby z jego otoczenia. Rywalizacja kolarska została uznana przez lekarzy nie za strukturę, w której wrażliwemu Marco łatwiej było się odnaleźć i zachować równowagę, ale za czynnik sprzyjający nasilaniu się jego problemów.

Uwagi w ramach ostatniej osi zawierały sugestie dotyczące leczenia. Proponowano między innymi zastępczą terapię farmakologiczną, której uzupełnieniem miała być „terapia psychopedagogiczna z udziałem rodziny, partnerki oraz zawodników i pracowników technicznych zespołu".

**SCHEDA DI VALUTAZIONE MULTIASSIALE**

Paziente
Marco Pantani

Reggio Emilia
Dicembre 2001

**ASSE I**

| **ICD 10** | | **DSM IV** |
|---|---|---|
| F. 14.2x | DIPENDENZA DA COCAINA<br>IN REMISSIONE INIZIALE PARZIALE | 304.20 |
| F 14.8 | DISTURBO DELL'UMORE INDOTTO DA COCAINA<br>CON MANIFESTAZIONI MISTE | 292.84 |

**ASSE II**

| | | |
|---|---|---|
| F 60.9 | DISTURBO DI PERSONALITA' N.A.S.<br>CON TRATTI NARCISISTICI, ANTISOCIALI E OSSESSIVI<br>USO FREQUENTE DELLA NEGAZIONE E DELLA MANIPOLAZIONE | 301.9 |

**ASSE III**

LESIONI TRAUMATICHE DA INCIDENTI SPORTIVI

**ASSE IV**

CONFLITTI FAMILIARI NELLA FANCIULLEZZA, ABUSO PREGRESSO DI ANFETAMINE E CANNABIS, CONTATTI CON AMBIENTI ANTISOCIALI, EREDITARIETA' ANSIOSO-DEPRESSIVA, FORTE STRESS DA COMPETIZIONE, CONDIZIONE AFFETTIVA INSTABILE E DI DIPENDENZA.

**ASSE V**

VALUTAZIONE FUNZIONAMENTO RELATIVO AGLI ASPETTI PSICOLOGICI
60/100

**INDICAZIONI PER L'APPROFONDIMENTO DIAGNOSTICO E ILTRATTAMENTO**

1. PROTOCOLLO FARMACOLOGICO A. P. A. SOSTITUTIVO
2. TRATTAMENTO PSICOPEDAGOGICO DI COUNSELING (COINVOLGENDO LA FAMIGLIA, LA FIDANZATA E IL TEAM TECNICO-SPORTIVO)
3. ACCERTAMENTI CLINICO-LABORATORISTICI SPECIFICI CON FREQUENZA SETTIMANALE
4. DIAGNOSTICHE PER IMMAGINI MIRATE RX, RMN

Ilustracja 4. Certyfikat diagnozy wieloosiowej, 2001 rok

W rozmowie ze mną Ronchi komentowała to następująco: „Po analizie historii medycznej całej jego rodziny, w tym samego Marco, a także po rozmowach z nimi okazało się, że Marco już jako dziecko wykazywał zachowania świadczące o skłonności do znalezienia się w stanie, w którym się znalazł, mam na myśli narkotyki. Nie zapominajmy o incydencie z jego przeszłości, z okresu, kiedy się urodził. Tonina usiłowała podciąć sobie żyły itd., itd., takie rzeczy zapisują się w psyche dziecka, nawet jeśli nikt tego nie chce".

Pissacroia wspomina: „Pierwsza faza terapii wymagała olbrzymiego zaangażowania – Marco mówił niewiele, a gdy już się odzywał, zachowywał się bardziej jak podczas wywiadu telewizyjnego: nie dopuszczał nas do swojego życia prywatnego. Rozmawialiśmy o najróżniejszych porach, w dzień i w nocy. Starałem się kierować go ku naturalnej rozmowie, bez żadnej sztuczności: trzeba było naprowadzić go na niego samego jako na osobę. Rozmawialiśmy całymi godzinami. Zdecydowanie można go było określić mianem pacjenta trudnego, bardzo trudnego. Postawiliśmy mu podwójną diagnozę, bo do uzależnienia od narkotyków dochodziły zaburzenia osobowości. Te sesje terapeutyczne, skrojone specjalnie pod potrzeby pacjentów uzależnionych od kokainy, stanowiły jeden z elementów formalnego programu terapeutycznego, obejmującego również Ronchi, Vezzaniego, masażystów i pozostałych kolarzy. Dowiedziałem się, że kokainę dostarczał jeden z byłych mechaników, dlatego uwzględniałem w terapii cały zespół, zawodników i masażystów. Stworzyliśmy wokół niego *cordon sanitaire*. Powszechnie jednak wiadomo, jak działa taki zespół – jest w nim lider i są jego *domestiques*. Lider bierze pieniądze sponsorów i mówi: »Chcę tego zawodnika, a tego zawodnika nie chcę«. *Domestiques* to trochę tacy niewolnicy, a jeśli ktoś nie

chce być niewolnikiem, wylatuje z roboty. Ten hierarchiczny system tylko dodatkowo wzmacniał nałóg Marco. Marco korumpował innych i wiedział, jak to robić. Dawał komuś zegarek albo jakąś nokię i mówił: »Wróć z kokainą«. Wszyscy kolarze wiedzieli o jego nałogu".

Terapia prowadzona przez Pissacroię oraz zorganizowany przez niego nadzór przynosiły pierwsze efekty. Problemy Marco z nałogiem ewidentnie osłabły. W lutym 2002 roku Vezzani mógł zawieźć do laboratorium próbki krwi i moczu już na nazwisko Marco, wynik okazał się negatywny. Vezzani zaświadczył o dobrym stanie zdrowia kolarza, a lekarze ze szpitala w Reggio Emilii przyjęli jego wniosek o wydanie nowej licencji wyścigowej, którą FCI wystawiła kilka dni później. Vezzani i Pissacroia utrzymali wszystko w najściślejszej tajemnicy i nie doszło do żadnych przecieków. Marco-sportowiec wrócił do gry. Pissacroia dodaje: „Od 2001 roku sporadycznie przyjmował trójcykliczne antydepresanty, których nie cierpiał. Czuł, że te leki zmieniają mu osobowość i tłumią wszelkie doznania, no ale bez nich nie przeżyłby bez kokainy".

Ronchi pisze, że około 10 lutego Romano Cenni wziął ją na stronę i jej podziękował. Niemniej wyniki badania moczu Marco na obecność kokainy dalej były dodatnie. Później policja miała znaleźć dodatnie markery kokainowe z datami: 26 stycznia, 3 lutego i 16 lutego. Nazajurz po ostatnim z tych badań Marco stanął na starcie wyścigu Ruta del Sol w Andaluzji. Po ostatnim etapie, który odbył się 21 lutego, został sklasyfikowany na 102. miejscu. Potem wystartował w Trofeo Luis Puig (106. miejsce) i w wyścigu Vuelta a Murcia (57. lokata). Po kokainę zdarzało mu się sięgać nawet między wyścigami. Do tego dochodziły poważne problemy natury organizacyjnej. Najpierw zawodnicy skarżyli się, że nie dostarczono im butów kolarskich,

potem Mercatone Uno nie dostało zaproszenia na jedną z ulubionych wczesnosezonowych imprez Marco, czyli na wyścig Vuelta Valenciana. Magrini powiedział w rozmowie ze mną: „Kontaktowałem się z organizatorami, ale powiedzieli, że mają naciski, żeby zapraszać zespoły hiszpańskie, a nie włoskie. Nie otrzymałem nawet formularzy rejestracyjnych". Ronchi uważała, że to wina Magriniego, ale chyba niesłusznie, bo ten od samego początku zastrzegał, że od bardzo dawna nie zajmował się kolarstwem.

Po powrocie z Murcji do Włoch Marco razem z resztą zespołu zatrzymał się w należącym do Cenniego hotelu Monte del Re. Pissacroia był tam regularnym gościem: „Koordynowaliśmy cały zespół tak, by ktoś nieustannie miał Marco na oku. Do tego mieliśmy obserwować drzwi wejściowe do hotelu pod kątem kręcących się tam podejrzanych typów. Znajdująca się na tyłach hotelu sala śniadaniowa została zamknięta i oddana do wyłącznego użytku zespołu na wszystkie posiłki, choć Marco dostał zgodę na prywatne kolacje w głównej jadalni w towarzystwie Christine". Ich chybotliwy związek akurat znów był na tapecie. To szczególne traktowanie lidera zespołu – w kolarstwie rzecz absolutnie normalna – mogło jedynie wzmocnić nierozsądne oczekiwania Marco co do tego, że inni będą automatycznie podporządkowywać się jego życzeniom. Zgodnie z DSM-IV był to charakterystyczny symptom zdiagnozowanych u niego narcystycznych zaburzeń osobowości.

Dwudziestego trzeciego marca wystartował w wyścigu Mediolan–San Remo i zajął na nim 76. miejsce, a prosto stamtąd pojechał do Francji na rozgrywane 30 i 31 marca Criterium International, w którym był 65. Marco znów zażywał kokainę. Ewidentnie nie miał zamiaru z niej zrezygnować. Pissacroia powiedział mu: „Jeśli będziesz brał kokainę, już nigdy nie

zostaniesz mistrzem”. Marco zapytał go wtedy: „Dobra, ale kiedy nie będę już jeździł, to mogę brać kokę?”, na co Pissacroia odpowiedział: „Wtedy już nigdy nie będziesz mężczyzną”. U Marco wykształciła się dziwna obsesja: wieczorami w Reggio, a potem w Monte del Re wiecznie zaciągał zasłony i wypatrywał zza nich funkcjonariuszy NAS. To była jakaś paranoidalna fantazja, bez wątpienia przynajmniej częściowo spowodowana długim zażywaniem kokainy.

W Monte del Re miejsce Magriniego zajął Marino Amadori. Ronchi nadal nie miała drugiego sponsora. Pokłóciła się o to z Marco i zrezygnowała. Potrzeba było kilku tygodni, by zaleczyć te rany. Beznadziejne zadanie powstrzymywania Pantaniego przed znalezieniem dostępu do kokainy dzielili między siebie Pissacroia (pomiędzy zawodami) i Vezzani (na wyścigach). Vezzani wykonywał badania próbek moczu Marco przed każdym startem. Pissacroia stał się *de facto* koordynatorem zespołu, bo przed podjęciem jakichkolwiek decyzji zasięgano jego opinii. Był łącznikiem z Ronchi, która zajmowała się finansami, dbał też o relacje z innymi zawodnikami, jednocześnie pamiętając, że niektórzy z nich również mogą dostarczać kokainę swojemu liderowi. Gdy Marco wyjeżdżał za granicę, Pissacroia instruował Vezzaniego, Ronchi i jednego czy dwóch zawodników, którym ufał, żeby zawsze towarzyszyli Marco i na bieżąco go o wszystkim informowali.

Ta swobodna w formie psychoterapia – jedyna, jaką Marco był skłonny zaakceptować – musiała konkurować z innymi czynnikami wywierającymi presję na jego zdrowie psychiczne. W kwietniu ponownie wypłynęła sprawa strzykawki w hotelu Francia e Quirinale w Montecatini podczas Giro d’Italia 2001. Jedenastego kwietnia 2002 roku funkcjonariusze *carabinieri* z Florencji, oddelegowani do walki z dopingiem, wezwali Marco

na kolejne przesłuchanie. Pantani dalej konsekwentnie zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek przyjmował jakiekolwiek zabronione substancje. Twierdził, że ta strzykawka nie mogła należeć do nikogo z zespołu, bo w jego ekipie „stosowano surowe procedury pozbywania się odpadów medycznych, które Andreazzoli, lekarz zespołowy, zbierał do specjalnego pojemnika". Stałym punktem jego obrony był rozdział pokoi. Marco twierdził, że w celu zapewnienia zawodnikom większej prywatności, zamieniali się oni na pokoje z innymi członkami zespołu. Zajmował się tym Giacomo Andalò, *soigneur* i jednocześnie człowiek nieformalnie odpowiedzialny za bezpieczeństwo ekipy. Marco twierdził, że na czas Giro 2001 zamieniał się na pokoje z mechanikiem Dino Falconim.

Andalò potwierdził, że codziennie brał do ręki plan hotelu i listę pokoi zarezerwowanych dla zespołu, a potem dokonywał roszad, tak żeby wszystkim było wygodnie i żeby wszyscy mogli liczyć na spokój. W hotelowej recepcji zostawiał prawdziwą listę, wraz z dokumentami zawodników, a obok windy przypinał fałszywą, by chronić prywatność kolarzy. Ta fałszywa lista nie miała jednak wyłącznie znaczenia kosmetycznego. Jej kopia trafiała również do pracownika hotelu, by ten mógł dokonać odpowiednich zmian w dokumentacji elektronicznej, no bo wtedy można było właściwie łączyć rozmowy telefoniczne itd.

Fabrizio Settembrini, inny *soigneur*, pamiętał tylko tyle, że sportowcy zajmowali jedno piętro, a kierownictwo zespołu drugie. Wszyscy potwierdzali, że zamianę pokoi prowadzono rutynowo, ale nikt nie umiał sobie przypomnieć, gdzie konkretnie spał 26 maja 2001 roku.

Na dzień przed przesłuchaniem Marco na posterunek *carabinieri* we Florencji zadzwonił konsjerż hotelu Francia e Quirinale. Poinformował, że tego popołudnia odebrał już kilka

telefonów od członka zespołu Mercatone Uno, który przedstawiał się jako Giacomo i chciał koniecznie wiedzieć, czy da się dotrzeć do pierwotnej listy pokoi przydzielonych przez hotel 26 maja 2001. Konsjerż powiedział mu, że wszystkie związane z tym pobytem dokumenty zostały zniszczone w marcu, bo wtedy uregulowany został rachunek za ten pobyt. Z dziewięciomiesięcznym opóźnieniem! Konsjerż powiedział funkcjonariuszom: „»Giacomo« prosił mnie wprost, czy zgodziłbym się potwierdzić, że alokacja pokoi na 26 i 27 maja pokrywała się z naszymi dokumentami. Odmówiłem. Wiedziałem, że tak nie było, ponieważ pozmieniali przydzielone im pokoje. Powiedziałem mu: »Nie ma takiej możliwości«".

Dwunastego kwietnia przesłuchano Dino Falconiego, który pracował w zespole Mercatone Uno od pięciu lat. Zeznał on: „[Członkowie zespołu] są zwykle informowani o przydzielonych im pokojach za pomocą zawieszonej obok windy rozpiski, sporządzonej na wydrukowanym wykresie struktury organizacyjnej zespołu". Nikt nie prosił go o zamianę pokoi. Stwierdził wręcz, że jakakolwiek zamiana pokoi wydawała mu się „absurdalnym pomysłem". Falconi nie przypominał sobie, na którym spał piętrze, pamiętał natomiast, że zajmował pokój przydzielony mu na liście zawieszonej obok windy i że na piętrze, na którym się ten pokój znajdował, nie nocowali żadni zawodnicy. Jego wersja pokrywała się z zeznaniami Settembriniego, że sportowcy i pozostali członkowie zespołu spali na różnych piętrach. Bajeczka o „fałszywej liście" upadła.

Zeznania pracowników hotelu dodatkowo rozjaśniły całą sprawę. Hotelowy konsjerż, signor Terreni, zamierzał przydzielić Pantaniemu jeden z największych pokoi na czwartym piętrze, czyli pokój 409 albo 421. Właścicielka hotelu, signora Nencini, utrzymywała, że bardzo zależało jej na tym,

żeby Pantani otrzymał apartament VIP o numerze 418. Terreni powiedział policji: „Ostatecznie Pantani wybrał pokój 401, jeden z najmniejszych na całym piętrze". Nencini również była zaskoczona, gdy Andalò wręczył jej zmienioną listę przydziału pokoi, na której Marco miał pokój 401, „jeden z najmniejszych i najmniej prestiżowych" (to cytat z Nencini). Mimo to ani Terreni, ani Nencini nie widzieli na własne oczy, żeby do tego pokoju wchodził.

Terreni relacjonuje to tak: „Funkcjonariusze NAS weszli do hotelu dokładnie wtedy, gdy opuszczali go ostatni członkowie Mercatone Uno. Osobiście towarzyszyłem [funkcjonariuszom NAS] podczas przesłuchań. Inspekcja rozpoczęła się na czwartym piętrze, wjechaliśmy od razu na ten poziom. Zatrzymaliśmy personel sprzątający, bo panie zdążyły już zebrać śmieci z pokoi 406, 407 i 409. Poprosiliśmy, żeby dalej nie sprzątały. Potem zaczęliśmy chodzić po pokojach. Jest zupełnie prawdopodobne, że zaczęliśmy od pokoi 401 i 402". Trzy tygodnie później Terreni powiedział urzędowi antydopingowemu przy Włoskim Komitecie Olimpijskim: „Pokój 401 został sprawdzony około jedenastej rano, czyli w chwili, w której z hotelu wyszedł ostatni kolarz Mercatone Uno, Marco Pantani".

Funkcjonariuszy *carabinieri* zaintrygowała jedna rzecz: dlaczego pokój Marco został w zeznaniach fałszywie przypisany Falconiemu, który najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru kłamać w celu zapewnienia mu ochrony? Chodziło prawdopodobnie o to, że Falconi był cukrzykiem, w związku z tym z uzasadnionych względów używał insuliny i dlatego stanowił dla Marco ostatnią szansę. Jeśli na tym opierała się cała ich strategia obrony, to była z góry skazana na porażkę. Falconi zeznał bowiem, że cukrzycę leczył lekami przyjmowanymi doustnie.

Ustalenia śledztwa zostały przekazane do CSAD, która rozpoczęła własne procedury dyscyplinarne. Drugiego maja komisja przekazała sprawę Włoskiemu Związkowi Kolarskiemu, rekomendując minimalny wymiar kary za celowe stosowanie dopingu, określony w artykule 130 paragraf 2 regulaminu UCI: dyskwalifikacja na cztery lata.

Jak zareagował Marco na groźbę kary, która mogła oznaczać koniec jego kariery? Natychmiast i zdecydowanie odparł zarzuty. Pissacroia komentuje: „On widział to tak: »To oni powinni prosić *mnie*, żebym *im* wybaczył«". W tym konkretnym okresie kalendarz wyścigowy powodował, że w życiu Marco zapanował jako taki ład, a rola lidera zespołu dawała mu jakiś sens i cel, choć trzeba przyznać, że jego oczekiwania wynikające z odgrywania tej roli dalece wykraczały poza to, co pokazywał na rowerze. On sam musiał bardzo mocno odczuwać tę rozbieżność. W kilka dni po tym, jak został przesłuchany, zażądał przelotu prywatnym odrzutowcem na dwa belgijskie klasyki, Flèche Wallonne (17 kwietnia) i Liège–Bastogne–Liège. Ostatecznie zespół poleciał tam samolotem rejsowym. Na miejscu Marco niczego wielkiego nie pokazał. Nie wyprowadzał ataków sondujących na słynnych Muurs, nie szukał słabych punktów u rywali. W Flèche Wallonne zajął 81. miejsce, a w Liège–Bastogne–Liège, imprezie przygotowanej przez organizatorów Tour de France, przejechał 50 kilometrów, a potem zszedł z trasy. Tymi występami niemal zagwarantował to, że Mercatone Uno nie otrzyma zaproszenia na Tour, ale w sumie może właśnie o to mu chodziło. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby chciał ukarać tych, którzy kazali mu jeździć. Dla tych, dla których jego kariera stanowiła źródło utrzymania, to musiało być głęboko niepokojące.

Po powrocie do Włoch pod koniec miesiąca Marco został przesłuchany przez członków CSAD w związku ze sprawą

strzykawki z Montecatini. Po godzinie wyszedł stamtąd i osobiście zaapelował do premiera Silvio Berlusconiego, by ten „uważnie przyjrzał się kolarstwu". Giro del Trentino (25–28 kwietnia) Marco ukończył na miejscu 87.

Giro d'Italia zbliżało się wielkimi krokami. Marco zażądał osobistego trenera, którego samochodem miał wozić jego przyjaciel Nevio Rossi, były przemytnik kokainy. Zespół zadeklarował, że jest w stanie co najwyżej zapewnić mu kampera. Ronchi zatrudniła trenera, któremu zapłaciła 200 milionów lirów (100 tysięcy euro). Giro ruszało 11 maja w holenderskim mieście Groningen. Etap trzeci startował z Luksemburga, gdzie gościnnie pojawił się Charly Gaul, przyjaciel Marco i starzejący się już były triumfator Giro i Touru. Trzy dni później, po długim transferze na południe, wyścig wjechał do Włoch, z metą etapu na szczycie w Limone Piemonte. Marco spisał się słabo. Na 24 kilometry przed metą, na pierwszym stromym fragmencie przedostatniego podjazdu na Colletto del Moro, został z tyłu. Na mecie etapu pojawił się w towarzystwie trzech kolegów zespołowych ze stratą siedmiu minut do zwycięzcy, swego byłego protegowanego, Stefano Garzellego. Dziennikarzom powiedział tyle: „Po prostu w tej chwili nie jestem dość dobry".

Pantaniemu towarzyszył zawsze jakiś „ochroniarz". Co najmniej jeden z nich był funkcjonariuszem policji z Forlì po służbie, który później musiał się z tej swojej obecności na Giro tłumaczyć. Twierdził, że zrobił to w charakterze przysługi dla Marco i dla czystej radości wynikającej z udziału w imprezie. Na wyścigu obecny był również kucharz, który dbał o to, by jedzenie Marco nie zostało niczym zatrute ani skażone środkami dopingującymi. Rossi mówi, że kucharz za bardzo się nie napracował. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że część tych ludzi po prostu Marco wykorzystywała, by na nim zarobić.

Tyle że też miał na nich różne haki, więc mógł ich kontrolować. Co istotne, wszyscy podlegali bezpośrednio jemu i Ronchi nie miała na nich najmniejszego wpływu.

Pissacroia opisuje wysokiego mężczyznę z ciemnymi włosami, który jeździł mitsubishi L200. Pojawiał się w hotelach i dostarczał tam od jednej do trzech walizek, które krążyły później między zawodnikami. Walizki te mogły zawierać środki dopingujące używane przez kulturystów i sprzedawane na siłowniach. W Viareggio Pissacroia nie mógł znaleźć zespołu Mercatone Uno, bo ten w ostatniej chwili zmienił hotel. Wieść niesie, że tego dnia po nowym hotelu też krążyły wspomniane wyżej walizki. Pissacroia wspomina to tak: „Hotele zespołów były intensywnie obserwowane przez funkcjonariuszy NAS. Plotki o walizkach krążących po hotelach nieustannie zaprzątały myśli jego lekarza, Vezzaniego. Nie mam pojęcia, jak on to znosił. Nie sądzę, żeby zarabiał szczególnie dużo". Dzień odpoczynku, który wypadał 27 maja, Marco i reszta zespołu spędzili w kurortowym miasteczku Abano Terme, na wzgórzach na południe od Padwy.

Tam Marco spotkał się z nowym prawnikiem, którego zamierzał zatrudnić. Był nim Veniero Accreman, jeden z najlepszych specjalistów od prawa karnego w Rimini. Accreman reprezentował między innymi Michaela Rocchiego, który skontaktował Marco z adwokatem, oraz Nevio Rossiego, który również zaangażował się w organizację tego spotkania. Accreman w towarzystwie syna i jeszcze jednego współpracownika był umówiony na 16:00, ale się spóźnił. Wcześniej zespół zmienił hotel, zresztą nie po raz pierwszy w czasie tej edycji Giro. Accreman w rozmowie ze mną tak opisywał to pierwsze spotkanie: „Zrobił na mnie wrażenie osoby skrajnie zmartwionej, wystraszonej i spiętej. Powiedziałem wtedy do syna: »Jak to możliwe, żeby sportowiec

rywalizował w takim stanie?«”. Marco polecił im skontaktować się z jego byłym prawnikiem, Cecconim, bo to on miał dokumenty związane ze sprawą z Montecatini. Ronchi wspomina, że brała udział w tym spotkaniu, choć wcześniej nic o nim nie wiedziała i nie dopuszczono jej do głosu. To tylko wzmacnia wrażenie, że Marco starał się stopniowo uwalniać spod jej kontroli.

Nazajutrz, zmagając się z zapaleniem oskrzeli, osłabiony antybiotykami, Marco zsiadł z roweru i wsiadł do samochodu Mercatone Uno, prowadzonego przez Marino Amadoriego. Zajmował 75. miejsce i do Jensa Heppnera, lidera wyścigu, tracił 58 minut i 43 sekundy. Gdy tylko się wycofał, natychmiast dopadły go kolejne problemy prawne. Dwudziestego dziewiątego maja zakończyło się wstępne dochodzenie w sprawie wyników badań krwi z Madonna di Campiglio. Śledczy rekomendowali postawienie Marco przed sądem za oszustwo sportowe, czyli złamanie przepisów Ustawy 401/1989. Tego samego dnia funkcjonariusze *carabinieri* z Brescii, którzy badali sprawę aresztowania jednego z zawodników teamu Panaria oraz zawieszenia Roberto Sgambelluriego, zespołowego partnera Marco, w dniu startu Giro, udali się na metę etapu w Corvarze i dokonali przeszukania pokoju hotelowego Mauro Vezzaniego, lekarza zespołu Mercatone Uno. Nazajutrz pojawili się w zajmowanych przez niego pomieszczeniach w Reggio Emilii. Szczegóły tego dochodzenia przedstawiono na łamach „Gazzetta di Reggio-Emilia”, w której napisano, że w kuchennej szafce w domu Vezzaniego znaleziono 35 fiolek i 20 tabletek morfiny, substancji ścisłego zarachowania. Vezzani wyjaśnił, że zabrał ją z domu pacjenta, który zmarł na raka. Posiadanie morfiny było przestępstwem nawet w przypadku lekarza, więc Vezzaniemu postawiono zarzuty. Funkcjonariusze zatrzymali też dokumentację dotyczącą leczenia Marco w styczniu i lutym.

Znajdowały się tam między innymi dodatnie wyniki badań moczu na obecność kokainy, wystawione na nazwisko jego oraz innego zawodnika Mercatone Uno. Tak oto Marco został uwikłany w następne dochodzenie. Wkrótce po wybuchu tego skandalu Vezzani odszedł z zespołu.

Vezzani był jednym z filarów podtrzymujących Marco w jego dziwnym stanie równowagi. Jego odsunięcie musiało istotnie zagrozić stabilności stanu umysłowego Pantaniego. Mimo to charakter opieki medycznej, którą Vezzani go otaczał, pozostaje dyskusyjny. W czerwcu 2005 roku zhańbiony francuski kolarz Philippe Gaumont w swoich wspomnieniach z okresu stosowania dopingu napomknął właśnie o Vezzanim. Gaumont twierdzi, że w maju 1998 roku, w środku przygotowań do Tour de France, jego zespół – Cofidis – zatrudnił Vezzaniego, ponieważ „zabronione farmaceutyki" można było łatwiej pozyskać za granicą niż we Francji. Gaumont utrzymuje, że Vezzani pakował r-EPO i hormon wzrostu do lodu, dodawał wskazówki użycia, a potem błyskawicznymi przesyłkami dostarczał zakazane środki zawodnikom Cofidis.

Ronchi pisze, że po Giro Pissacroia tak pesymistycznie zapatrywał się na przyszłość Marco, że powiedział jej, że powinna z niego zrezygnować. Wersja przedstawiana przez Pissacroię wygląda zupełnie inaczej. Opowiada on o ostrym konflikcie między osobami zarządzającymi pieniędzmi i karierą sportową Marco a medykami walczącymi o jego powrót do zdrowia. Pokrywa się to ze sformułowaną wcześniej diagnozą psychopatologiczną: „Od początku uważałem, że naleganie, aby Marco jeździł, było błędem. Środki, jakie podjęto, by dać mu choć najmniejszą szansę na wyrównaną walkę z rywalami, były niesamowicie skomplikowane. Jego prawie nie dało się kontrolować, a cały zespół został zorganizowany ściśle wokół niego. Mimo to niemal nieustannie sięgał po kogoś z zewnątrz.

Utrzymywał kontakty z własnymi dostawcami kokainy, prawdopodobne miał też własne źródło zaopatrzenia w środki dopingujące. Niewykluczone, że zaopatrywali go w nie ci sami ludzie, zapewne związani z przestępczością zorganizowaną. Nawet na moment nie można go było spuścić z oka. Jakby tego mało, sam Marco nie miał przekonania, że chce kontynuować karierę zawodową. Gdyby usunąć z tego równania starty w wyścigach – a przecież Marco był bardzo zamożny, nie musiał już jeździć – do rozwiązania zostałby tylko problem kokainy. Niewykluczone, że nad samym problemem nałogu dałoby się zapanować".

Miał jednak jeździć, co nie było zadaniem łatwym. Ronchi pisze, że podstawowa rola zespołu polegała na zapewnianiu Marco wsparcia psychologicznego i że kryteria czysto sportowe miały znaczenie drugorzędne. Problem w tym, że wykorzystywanie zespołu zawodowych kolarzy jako narzędzia komunikacji to strategia nad wyraz złożona, a przecież już sam stosunek Marco do kolarstwa nie był prosty. W różnych momentach i w rozmowach z wieloma osobami mówił o nienawiści, obojętności lub wielkiej pasji do tego sportu. Żył dla chwil uniesienia, które dawało mu kolarstwo, no ale przecież nie było wątpliwości, że postępujący wiek i nałóg kokainowy będą już tylko pogarszać jego wyniki, a zatem bardziej prawdopodobne od uniesień wydawały się jednak rozczarowania. A Marco znał tylko dwa sposoby radzenia sobie z rozczarowaniem: pierwszym było wciąganie kokainy, a drugim – palenie cracku.

Doping stanowił dla niego po prostu kolejną postać narkomanii. Warto przy okazji podkreślić, że w pierwszej połowie 2002 roku zespół Mercatone Uno był zamieszany w dwa nowe skandale dopingowe. Dwudziestego czwartego kwietnia kontrola przeprowadzona u Roberto Sgambelluriego

wykazała obecność „darbepoetyny”, czyli nowej odmiany r-EPO, znanej również jako NESP. Potem, 12 czerwca, podczas Bank Austria Tour, u Valentino Foisa wykryto nandrolon. Dziewiętnastego października Komisja Dyscyplinarna Włoskiego Związku Kolarskiego zbadała sprawę Foisa i zdyskwalifikowała go do 11 czerwca 2005 roku. Jednocześnie komisarze nałożyli karę trzech tysięcy franków szwajcarskich na zespół „Mercatone Uno Sitar SA” z tytułu „obiektywnej odpowiedzialności”.

Powiedziałem o tym Ronchi, na co ona stwierdziła: „Nie, mylisz się”. Tyle że się nie myliłem: raport z postępowania w tej sprawie można znaleźć na stronie internetowej Włoskiego Związku Kolarskiego. Ronchi zaczyna zatem od nowa: „Gdy jakiś zawodnik zostaje przyłapany na dopingu, zawsze odpowiedzialny jest on, a zespołowi zawsze przypisuje się »odpowiedzialność obiektywną«, no bo zawodnik jest od swojego zespołu niezależny. Taka jest już procedura, to wszystko”.

Na stronie Włoskiego Związku Kolarskiego wszedłem w archiwum Krajowej Federalnej Komisji Dyscyplinarnej i wyszukałem wszystkie postępowania dopingowe w kilku tygodniach przed sprawą Foisa i po niej. Chciałem sprawdzić zapewnienia Ronchi. Sprawa Foisa nosiła numer 94 w 2002 roku. Przejrzałem wszystkie sprawy dotyczące dodatniej kontroli antydopingowej oraz sprawy o posiadanie niedozwolonych środków dopingujących od numeru 71 do numeru 128. Nie znalazłem ani jednego innego przypadku, żeby na zespół nałożono karę z tytułu „obiektywnej odpowiedzialności”.

Na początku czerwca – dosłownie na kilka dni przed rozpatrzeniem sprawy z Montecatini przez komisję

dyscyplinarną – Accreman otrzymał potrzebne mu dokumenty. Poprosił komisję o odroczenie obrad i dostał tydzień. Poinformowano go też, że obecność Marco zostałaby dobrze przyjęta. Pantani otrzymał nieformalne zaproszenie do złożenia wyjaśnień przed komisją. W rozmowie ze mną Accreman powiedział: „Poruszyłem tę kwestię z Ronchi i Pantanim. On odniósł się do niej niechętnie, a ona była zdecydowanie przeciwna temu pomysłowi. Odniosłem wrażenie, że ma nad nim wielką władzę. Gdy rozmawiałem z Pantanim, wydawało mi się, że prawie doszliśmy do porozumienia. Mieliśmy się spotkać w Rzymie na dzień przed przesłuchaniem. Mieliśmy nawet zarezerwowany hotel. Potem Ronchi poinformowała mnie, że Marco postanowił się jednak tam nie wybierać".

W rzeczywistości było tak, że na dzień przed wyjazdem Marco wziął kokainę i jego stan uniemożliwiał mu udział w przesłuchaniu. Accreman opowiada dalej: „Powiedziałem im wtedy, że to wielki błąd. Wtedy uważałem, że jego decyzja o niestawieniu się ma związek z czymś, co powiedział kiedyś u mnie w gabinecie. Mówił wtedy o sędziach sprawujących pieczę nad włoskim kolarstwem i rzucił coś w stylu: »Przecież włoskie kolarstwo to *ja*«. Biła od niego duma, która stanowiła zasłonę dymną dla niezwykle kruchej osobowości".

Przesłuchanie odbyło się 17 czerwca 2002 roku. Accreman wnioskował o oddalenie zarzutów z uwagi na brak dowodów, że Marco przebywał w pokoju, w którym znaleziono strzykawkę. Powołana biegła, profesor Giovanna Berti Donini z Uniwersytetu w Ferrarze, zeznała, że od dnia znalezienia strzykawki (27 maja 2001) do dnia jej przebadania (7 września 2001) w jej wnętrzu mogły zajść zmiany chemiczne. Podkreśliła również, że nadal możliwe było przeprowadzenie testów DNA i ustalenie, czy Marco faktycznie jej używał, czy nie.

Komisja ostatecznie podjęła następująca decyzję: „Posiadanie i używanie substancji dopingujących (insuliny) przez Marco Pantaniego zostało dowiedzione”. Marco otrzymał karę grzywny w wysokości trzech tysięcy franków szwajcarskich i został zdyskwalifikowany na osiem miesięcy. Informację o dyskwalifikacji obwieściła Manuela Ronchi. Potem sam zamieścił na stronie internetowej Mercatone Uno następujące oświadczenie: „Dowiodę mojej niewinności, ale tak się zastanawiam, kto wtedy odda mi wszystko to, co zostało mi odebrane”.

Poinformowana o tej decyzji, firma Mercatone Uno zawiesiła sponsorowanie zespołu. Ronchi twierdzi, że stanowiło to naruszenie umowy sponsorskiej, ale w praktyce niczego nie zmieniało. Spotkała się z Marco w Milano Marittima i tam przekazała mu te wieści. Przyjął to źle, zwiesił ramiona na znak frustracji, a potem wsiadł na motocykl i odjechał.

Pissacroia twierdzi, że Vezzani, który oficjalnie nie był już pracownikiem zespołu, zgłosił się do niego z prośbą o pomoc w walce z dyskwalifikacją Marco. Wydawało się, że nie pozostaje już nic innego jak znaleźć jakiegoś wpływowego polityka, który byłby przychylny sprawie. W 1999 roku Marco został odznaczony za szczególne zasługi dla włoskiego sportu, więc Vezzani wpadł teraz na pomysł, żeby uzyskać dla niego coś w stylu „amnestii za szczególne zasługi dla włoskiego sportu”. Udało mu się umówić na spotkanie z Carlo Giovanardim, ministrem ds. relacji z parlamentem oraz bardzo wpływowym mieszkańcem Modeny. Chciał, żeby Pissacroia pojechał razem z nim. W dniu tego spotkania Pissacroia czekał na ulicy przed gabinetem Giovanardiego, ale Marco się nie zjawił. Pissacroia skomentował to następująco: „Marco wykształcił w sobie całkowitą bezdecyzyjność, a jego rozbudowane poczucie dumy

spowodowało, że nie umiał poprosić o pomoc kogoś ze swojego regionu”.

W czerwcu 2002 roku Pissacroia załatwił Pantaniemu przyjęcie do prywatnej kliniki w Rzymie. Dwóch psychologów z antynarkotykowej organizacji charytatywnej opiekowało się Marco przez 24 godziny na dobę, by pomóc mu przejść detoks. Udało się zadbać o jego anonimowość, media nie dowiedziały się o jego pobycie w placówce. Przeszedł tam kompleksowe badania lekarskie. Zachowywał się poprawnie. Pissacroia odwiedzał go tam dwukrotnie. W dniu przyjęcia wyniki badań wykazały obecność kokainy, co normalnie kosztowałoby go odebranie licencji wyścigowej, ale jego nazwisko zapisano błędnie jako „Patani”. Gdy badano go po raz drugi, wynik okazał się już negatywny. Badanie prowadzili specjaliści z kliniki, a że nie byli lekarzami sportowymi, nie mieli interesu w podrasowywaniu wyników. Cóż, Marco miał prawo być zaniepokojony. Jego hematokryt mieścił się w przedziale 38–42 procent, ciśnienie krwi też miał w normie, za to tętno spoczynkowe, które powinno wynosić około 50–55 uderzeń na minutę, sięgało 70 uderzeń na minutę. Zmagał się z bezsennością, jego ciało reagowało w ten sposób na odstawienie kokainy. Próba występu w Giro lub Tourze z takim organizmem – o parametrach charakterystycznych dla normalnego dorosłego, a nie elitarnego sportowca – mogłaby się bardzo mocno odbić na jego zdrowiu. Pulmonolog stwierdził, że całkowita pojemność płuc Marco jest w porządku, ale dostrzegł też pierwsze objawy ich zwłóknienia: wyglądały na stare, miały ograniczoną elastyczność tkanki i nieodwracalnie zmniejszony potencjał w zakresie dostarczania tlenu do krwioobiegu. Marco przyjął tę informację z uśmiechem i rzucił: „To pewnie przez cały ten *polvere*, jaki połknąłem”. *Polvere* to w tym kontekście „proszek”, tyle że

Marco nie miał na myśli kokainy, a kurz z ulic. Ostatecznie opuszczał klinikę wściekły. Uważał, że zmarnowano tam tylko jego czas, a do tego ubezpieczalnia nie chciała za to zapłacić.

Pissacroia wspomina: „Zachował się jak każdy narkoman, czyli od razu po zakończeniu detoksu poszedł w czterodniowe tango. Byłem wściekły, a Marco się mnie bał. Gdy zobaczyłem się z nim ponownie, w Cesenatico, powiedział do mnie: »Chyba mnie nie uderzysz, co?«. Typowa reakcja bitego dziecka".

Dwunastego lipca 2002 roku odwołanie od decyzji o dyskwalifikacji Marco złożono w dwóch sądach apelacyjnych: w sądzie działającym w ramach FCI oraz w Sportowym Sądzie Arbitrażowym (CAS) w Lozannie. Sprawa pierwszej z tych dwóch apelacji rozwiązała się praktycznie natychmiast. Nazajutrz odbyło się spotkanie na welodromie Monti w Padwie, na którym Sąd Apelacyjny FCI uchylił karę dla Marco i oczyścił go z wszystkich zarzutów. W uzasadnieniu orzeczenia znalazło się stwierdzenie, że wszystkie stawiane mu zarzuty „opierały się na czystych hipotezach oraz na zeznaniach złożonych po fakcie przez funkcjonariuszy, ale oskarżenie nie potrafiło ich w wystarczającym stopniu udowodnić". Ponadto: „Świadek wezwany przez oskarżycieli zaprzeczył, jakoby widział na własne oczy Marco Pantaniego wchodzącego do pokoju 401 lub z niego wychodzącego"; „Nie ma pewności, że zawodnik zajmował ten właśnie pokój, istnieje tylko takie domniemanie"; „Nie ma żadnych dowodów, że rzeczoną strzykawkę można przypisać albo w jakikolwiek sposób powiązać z Marco Pantanim". Nikt nie wspomniał ani o Falconim, który zaprzeczył wersji o fałszywej liście, ani o wielokrotnych telefonach Andalò do hotelu.

Jednym z trzech sędziów w tym sądzie był Celestino Salami, pełniący wówczas funkcję prezydenta oddziału Włoskiego Związku Kolarskiego w Emilii Romanii. Salami był znajomym

Marco i jego wielkim wielbicielem od 5 sierpnia 1984 roku, kiedy to przegrał z nim w wyścigu Forlì–Val di Noce. Zresztą do dziś wypowiada się o Pantanim w samych superlatywach. „Jeździłem z nim przez 14 lat, od 1980 do 1993 roku. Od zawsze był zjawiskowy, a ci, którzy oskarżają go o stosowanie dopingu, najwyraźniej o tym zapominają". Ktoś inny mógłby uznać, że osobista znajomość z Pantanim i podziw dla niego kreują konflikt interesów, więc wyłączyłby się z rozpatrywania tej sprawy.

Nikt nie przyjął tej decyzji z radością. Na posiedzeniu sądu apelacyjnego obecny był Giacomo Aiello, przewodniczący CDFN. Kiedy ogłoszono werdykt, wstał, oświadczył, że rezygnuje z zajmowanego stanowiska, i wzburzony wyszedł z sali, trzaskając za sobą drzwiami. Marco powiedział niemalże to samo co po wyroku skazującym z 17 czerwca: „Nawet jeśli uzyskam sprawiedliwą decyzję, kto zwróci mi wszystko to, co zostało mi zabrane?". W rozmowie ze mną Salami przyznał: „Nie takiej reakcji się spodziewałem. Nie było w nim ani krzty radości. Moim zdaniem człowiek zrównoważony zareagowałby inaczej".

Obecny na rozprawie prawnik reprezentujący CSAD oświadczył, że komisja będzie się odwoływać. UCI natomiast 26 lipca wysłała Marco list następującej treści:

*Z wielkim zaskoczeniem i zadziwieniem przyjmujemy decyzję Sądu Apelacyjnego FCI o oczyszczeniu pana z zarzutów. UCI nie uznaje Sądu Apelacyjnego FCI, w związku z czym werdykt tego organu z 13 lipca 2002 roku nie jest przez UCI akceptowany. Wyrok wydany przez sąd UCI pierwszej instancji (CDFN) z dnia 17 lipca 2002 roku pozostaje w mocy i obejmuje:*

- *dyskwalifikację na osiem miesięcy od 18 czerwca 2002 roku do 17 maja 2003 roku,*

- *grzywnę w wysokości 3000 franków szwajcarskich.*

Gdy FCI i UCI toczyły spór kompetencyjny, Marco pozostawał w stanie dyskwalifikacji. Apelacja w CAS w Lozannie była już w toku, ale miało to potrwać jeszcze kilka miesięcy. Tymczasem życie toczyło się dalej. Pissacroia opowiadał mi: „Gdy Marco nie mógł startować w wyścigach, nikt nie badał mu moczu. Po kilku miesiącach sportowej bierności Pantaniego zaczęły nachodzić wątpliwości. Zaczął się zastanawiać: »Czy w moim wieku ciągle jeszcze mogę walczyć o zwycięstwa? Nawet gdybym odstawił kokainę?«. Moim zdaniem odpowiedź na to pytanie brzmiała raczej »nie« niż »tak«. Doszło wtedy do swego rodzaju przeciągania liny. Po jednej stronie znaleźli się ojciec Marco, który uważał, że jego syn powinien jeździć dalej, bo może jeszcze dużo osiągnąć, oraz Ronchi, którą kusiła wizja, że Marco zostaje osobą publiczną, występuje w reklamach, zalicza gościnne występy itd. Po drugiej stronie stał sam zawodnik, który myślał o tym, by poślubić Christine i mieć z nią dzieci. Kupiłby jacht i żeglowaliby wspólnie po Adriatyku”. Pissacroia oceniał, że stan umysłu Marco dawał duże nadzieje, że kolarz z tego wyjdzie, że pojawiały się przebłyski pozwalające dostrzec innego Marco, takiego, który nie jest uzależniony ani od środków dopingujących, ani od kokainy.

Gdy jego prawnicy pracowali nad apelacją, on sam stanął przed problemem wypełnienia jakoś wolnych dni. Przebywał teraz w Cesenatico. Nie postrzegał się już jako kolarza. A pod nieobecność Pantaniego jego zespół nie istniał. Cenni nie wiedział, co począć. Ronchi czuła się mocno przygnębiona, nie

była w stanie znaleźć nowych sponsorów. Nikt nie chciał zadeklarować współpracy z ekipą w następnym sezonie.

Marco interesowało wyłącznie to, aby odbudować związek z Christine. Oddaliła się od niego mniej więcej na początku okresu dyskwalifikacji, a jako powód podawała nałóg kokainowy Marco oraz chaos w jego życiu. Znalazła pracę jako kelnerka w barze w centrum Rawenny. Pod koniec lipca 2002 roku Pissacroia był na wakacjach na Korfu. Marco dzwonił do niego pięć razy, aż w końcu Pissacroia postanowił wcześniej zakończyć urlop. Po drodze do Cesenatico zatrzymał się w Rawennie, żeby porozmawiać z Christine. Potrzebował całego tygodnia, żeby przekonać ją do spotkania z Marco, a jego wyciągnąć zza jego pancernych drzwi, za którymi brał olbrzymie ilości kokainy. Siedział tam na haju, jak gdyby w świecie zewnętrznym mógł sobie poradzić tylko poprzez nieistnienie w nim.

„Stwierdził, że wynajmie mieszkanie w Rawennie, żeby być blisko Christine. Nie wiem, czy to ostatecznie zrobił. Na tamtym etapie miał już regularne problemy psychiczne, tylko częściowo powiązane z kokainą". Pod koniec tamtego tygodnia Christine zjawiła się nad Port Canal. Pissacoria przyszedł na to spotkanie razem ze swoim podopiecznym. Dzieciaki na ulicy krzyczały: „To Pantani! To Pantani!". Pissacroia wszedł w rolę pośrednika: „Dopilnowałem, żeby zaczęli rozmawiać, a potem zostawiłem ich samych. Wróciłem na resztę tego, co zostało z moich wakacji".

Pissacroia mówi, że tożsamość Marco była w kompletnej rozsypce. „Nie odczuwał więzi ani z ludźmi, ani z przedmiotami. Wycofał się do infantylnego stanu emocjonalnego charakterystycznego dla narkomanów, opartego na skrajnie archaicznych, pierwotnych emocjach: »Kocham mamusię, z tatusiem się kłócę« albo »Rozumiem mamusię, nie

rozumiem tatusia«. W tej rodzinnej fantazji jego zespołowi koledzy byli jego braćmi. Kokaina tylko te skłonności pogłębiała. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo, ale dzielił się nimi tylko z osobami, które dostarczały mu prochy lub kobiety. Często płacił im jakimś zegarkiem albo łańcuszkiem.

Musiałem przekonać rodziców Marco, aby zlecili precyzyjne i drobiazgowe czyszczenie tego olbrzymiego domu, bo miał kryjówki z kokainą nawet pod listwami przypodłogowymi. Można było odnieść wrażenie, że sami proszą się o nalot. Gdyby z nakazem przeszukania zjawili się tam *carabinieri*, byłoby już po Marco. Musiałem ich naprawdę długo przekonywać, zanim się zgodzili. Poem zapytali mnie, co mają zrobić z tym, co znajdą. Powiedziałem, że mogą to wciągnąć.

Marco nie był już mistrzem z problemami dopingowymi, ale eksportowcem z problemami narkotykowymi i uczuciowymi. Było ich wręcz dwóch: starzejący się sportowiec, wielokrotnie oskarżany o doping, oraz Marco uzależniony od kokainy. Ani jeden, ani drugi nie mieli przed sobą za bardzo przyszłości. Dlatego chciałem zrobić miejsce na jeszcze innego Marco – zdrowego, ludzkiego Marco. Nie miało dla mnie większego znaczenia, co ten zdrowy Marco zrobi ze swoim życiem. Dla mnie liczyło się wyłącznie jego zdrowie psychiczne.

Bez kokainy potrafił wytrzymać do tygodnia, a potem ulegał pokusie i fundował sobie niemalże samobójcze dawki. Zamykał się za pancernymi drzwiami sypialni. Taki już po prostu był. Mimo to te tygodniowe okresy przerwy były dla niego wielkim krokiem naprzód. Poprosiłem pewnego wolontariusza, żeby go odwiedzał, ale Marco nawet nie chciał o tym słyszeć. Oskarżył mnie, że chcę otoczyć go szpiegami. Ogólnie jednak sieć wsparcia wokół niego nadal istniała i na tyle, na ile było to możliwe, okazała się skuteczna”.

Ronchi przestała płacić Pissacroi z pieniędzy zespołu w czerwcu 2002 roku. Jako powód podała to, że udzielał nieustannie tych samych rad, które nie dawały żadnych konkretnych efektów. Jakie rady wolałaby słyszeć i jakich konkretnych rezultatów oczekiwała? Tego nie wiemy. Zaburzenia osobowości opisane w diagnozie psychopatologicznej były schorzeniami długotrwałymi, z którymi Marco zmagał się co najmniej od wczesnej dorosłości. Zalecana w niej »terapia psychopedagogiczna« ledwie zdążyła się rozpocząć, a poza tym była prowadzona w warunkach stresu związanego ze ściganiem się oraz z licznymi wezwaniami, przesłuchaniami i szalejącymi plotkami. Pissacroia dalej odwiedzał Marco, ale ich spotkania zrobiły się sporadyczne. Pod koniec czerwca za leczenie Marco płacił jego ojciec, Paolo. Pissacroia wspomina: „Do dyspozycji Marco i jego rodziny pozostawałem do listopada 2002 roku. Pod koniec tamtego roku zadzwonił Marco i zapytał, co robię na święta i Nowy Rok”. Potem wszystko się skończyło, a Pantani zaczął swobodnie spadać.

# Rozdział 18.

Rzucić to czy jeździć dalej?

## SIERPIEŃ–GRUDZIEŃ 2002

Manuela Ronchi była akurat na wakacjach w Chorwacji, gdy 26 sierpnia również odebrała wiadomość od Marco. Zadzwoniła do Toniny, a ta poprosiła ją, żeby jak najszybciej przyjechała. Marco kilkukrotnie rozbił samochód, prawdopodobnie pod wpływem kokainy. Jako że Ronchi podziękowała Pissacroi, zwróciła się po pomoc do kogoś innego. Tym razem nie był to wykwalifikowany psychiatra, a inny z jej klientów – Renato Da Pozzo, o siedem lat starszy od Pantaniego wspinacz i miłośnik przygód. W latach 80. startował w Pucharze Świata we wspinaczce skałkowej. Przecierał nowe szlaki na ścianach skalnych w Patagonii i doszedł do ścisłej światowej czołówki w tej dyscyplinie sportu. Z czasem jednak stracił serce do rywalizacji zawodowców i odhaczania kolejnych ścian, więc zaczął poszukiwać alternatywnych pomysłów. Pewnego razu pojechał do Kolumbii Brytyjskiej, gdzie przed próbą zdobycia świętego dla miejscowej ludności szczytu poprosił miejscowych o zgodę. To był punkt zwrotny w jego karierze. Początkowo planował pojawić się tam tylko przejazdem, ale ostatecznie postanowił zostać, poznać mieszkańców tych terenów, zgłębić charakter relacji między człowiekiem a otaczającą go przyrodą. Potem wyruszył na trwającą 11 dni 320-kilometrową wyprawę subarktyczną przez Norwegię, Szwecję i Finlandię. Eksperymentował z minimalizowaniem ilości snu i zszedł do

trzech cykli po 45 minut na dobę. Dzięki medytacji, poznawaniu lokalnych kultur oraz lekturze tekstów Krishnamurtiego i innych mistyków opracował program kontemplacyjno-terapeutyczny, oparty na metodzie zanurzenia się w przyrodzie. W 2001 roku zaczął pracować ze zdrowymi ludźmi, którym zależało na relacji z naturą w warunkach braku rywalizacji. Zapraszał ich do swojego ośrodka w Norwegii, leżącego 300 kilometrów w głąb północnego koła podbiegunowego.

Stworzona przez niego transcendentna wizja sportu wydawała się harmonizować z samotnymi przejazdami Marco przez góry. W 1997 roku Da Pozzo opublikował autobiografię zatytułowaną *Storie di aria, di spazio, di luce* (Opowieści o powietrzu, przestrzeni i świetle), w której przedstawił swoją filozofię sportu jako poznawanie zależności między wewnętrzną rzeczywistością sportowca – nazywa go „człowiekiem sportowcem" – a otaczającym go światem. Ruch ma być formą prowadzenia dialogu z tymże światem. Kiedy jednak przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że promowane przez Da Pozzo holistyczne wartości skrajnie różnią się od tego, o co chodziło Marco. Pantaniemu zależało przed wszystkim na tym, na czym Da Pozzo zależało najmniej – na wygrywaniu. Do tego dochodził fakt, że w sporcie zawodowym, czyli na przykład w kolarstwie, w przeciwieństwie do sportu amatorskiego, na przykład wspinaczki skałkowej, wygrywanie oznaczało pieniądze, i to duże. Pieniądze stały się dla Marco podstawowym środkiem kontrolowania relacji z innymi ludźmi. Za kokainę płacił więcej, niż wynosiła obiegowa cena na ulicy – ale może chciał w ten sposób zapewnić sobie czystszy towar. Poza tym, czy proponowana przez Da Pozzo wizja sportu jako drogi ku oświeceniu mogła w jakikolwiek sposób uwzględniać doping? Mimo to Ronchi często rozmawiała z nim o Pantanim, często dzwoniła do niego późno w nocy, prosząc go

o radę. Zgodził się w końcu przyjąć Marco w swoim ośrodku w Norwegii i opracować program, który pomoże mu wydostać się z wielkiego egzystencjalnego dołka. Niestety, rano w dniu wyjazdu do Norwegii przebywający w Cesenatico Marco znajdował się w opłakanym stanie. Miał jakieś omamy, że w wiadomościach podano informację o wypadku samochodowym z udziałem Christine i że na – jak sam to ujął – „liście winnych" znajdują się Ronchi i jej mąż. Ronchi zagroziła wtedy, że odwoła cały wyjazd. Rodzice Marco stwierdzili, że już sobie nie radzą i błagali ją, żeby go wzięła. Zadeklarowała, że bez męża nie leci, więc ten musiał wziąć wolne. Pojechali do Mediolanu, on spakował się tam w walizkę i polecieli. Podczas podróży na północ Marco spał tyle, ile mógł. Budził się tylko na jedzenie i żeby wziąć przepisane mu leki. Polecieli do Oslo, potem na północ do Bodø, a stamtąd do Narviku. Przy każdej przesiadce musieli podtrzymywać Marco, bo sam nie był w stanie iść. W Narviku odebrali samochód z wypożyczalni i pojechali na spotkanie z Da Pozzo.

Da Pozzo okazał się kojąco konkretny: podobnie jak wcześniej Pissacroia, uważał, że Pantani powinien odnaleźć w sobie człowieka. Był wobec niego surowy. Powiedział mu, że może sam siebie prowadzić ku zgubie, ale nie powinien ciągnąć za sobą innych. Da Pozzo wygłosił długi, bezkompromisowy wykład o tym, jak widzi sytuację Marco i na jakie warunki ten musi przystać. Uwzględniały one monitoring medyczny prowadzony w San Marino przez lekarza wskazanego przez Da Pozzo. Tak jak Pissacroia, Da Pozzo podkreślał, że presja związana ze ściganiem się tylko utrudniała Pantaniemu powrót do równowagi. *Musiał przestać jeździć.*

Marco, przyzwyczajony do opływania w luksusy, zapytał go: „Jak możesz tak żyć?", a potem razem z Ronchi i jej mężem pojechał do hotelu, by się nad tym wszystkim zastanowić.

Nazajutrz rano spanikowany pojawił się w drzwiach pokoju Ronchi. Wydawało mu się, że go tam zostawiła i wyjechała. Powiedział, że chce wracać.

Marco tak naprawdę słuchał tylko swego dziadka Sotero oraz dwóch innych mężczyzn, którzy byli dla niego niczym dziadkowie: Guerrino Cianiego i Luciano Pezziego. Być może do rozsądku przemówić mógłby mu również Charly Gaul. Pissacroia też jakoś się do niego przebijał, pewnie dlatego, że miał siwe włosy i utykał na jedną nogę. Barczysty Da Pozzo z długimi włosami i o zdecydowanych rysach twarzy nie miał na to najmniejszych szans. Marco, który kilka tygodni po tym spotkaniu miał przejść zabieg korekcji odstających uszu, musiał dostrzec uderzający kontrast między nimi – w porównaniu z Da Pozzo wyglądał jak mieszkający na plaży menel.

Polecieli do Kopenhagi, gdzie Marco spotkał się z siostrą Christine, bo ciągle jeszcze liczył na uratowanie tego związku.

Jesienią 2002 roku pojechał z rodzicami do Grecji. W swojej książce Ronchi nie napisała wprost, że też była na tych wakacjach, ale pod jednym ze zdjęć znalazł się następujący podpis: „Powyżej nasze wspólne zdjęcie z wycieczki kamperem do Grecji". To właśnie tam, w tym towarzystwie, Marco zdecydował się wrócić do ścigania. Z opisu Ronchi wynika, że niekoniecznie sam ją podjął: „Nie było innego wyboru. Do dzisiaj czuję złość na myśl o tym, że tylko ja myślałam w pewien konkretny sposób. Tylko utrzymując go na rowerze, można było utrzymać go z dala od narkotyków. Najlepiej świadczy o tym fakt, że gdy trenował, sięgał po nie co jakiś czas, a latem, gdy nie jeździł, brał non stop. Oprócz kolarstwa nie miał żadnych innych zainteresowań".

Pojawiły się pogłoski, że Mercatone Uno może zostać sponsorem zespołu prowadzonego przez Bjarne Riisa, triumfatora Tour de France z 1996 roku. W składzie mieli

znaleźć się Marco i Jan Ullrich, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Potem Ronchi wydawało się, że znalazła innego sponsora w Holandii. Podpisała z nim umowę opiewającą na dziesięć milionów euro na sezon, ale potem okazało się, że „sponsor” jest oszustem. Ostatecznie Marco trafił do teamu Carrera, prowadzonego przez Davide Boifavę, jego pierwszego dyrektora sportowego w zawodowej karierze. Ronchi mówi: „Marco wolałby już nigdy więcej nie pracować z Boifavą, ale tego wyboru dokonali ludzie z Mercatone Uno. Marco nazywał go »najgorszą możliwą opcją«”.

Przez pozostałą część roku Marco krążył między Kopenhagą, Cesenatico i swoją posiadłością w Saturnii w Toskanii. Pojawił się również w Paryżu, gdzie 24 października 2002 roku wziął udział w prezentacji Tour de France 2003. Wtedy spotkałem go po raz ostatni. Jak zwykle był w towarzystwie Ronchi, robił wrażenie wycofanego. Miał tiki nerwowe i często się marszczył. Podobno rozmawiał z Gregiem LeMondem o depresji.

Apelacja w Sportowym Sądzie Arbitrażowym w Lozannie się przeciągała, sprawa trwała przez lato i przeszła na jesień. Marco z pewnością był na bieżąco informowany o rozwoju sytuacji, ale ogólnie wszystkim zajmowali się jego prawnicy. On sam nie mógł za wiele zrobić.

Piątego listopada Marco był sam w domu. Wybrał numer ratunkowy 118. Do willi w Sala przyjechała karetka, a zaraz po niej *carabinieri* i strażacy. Marco został zabrany do szpitala, skąd wypisano go po kilku godzinach. Prasa przytaczała wypowiedzi członków jego rodziny, którzy twierdzili, że Marco obawia się o swoje bezpieczeństwo. Willą już wcześniej interesowali się złodzieje. Pod koniec czerwca 2001 roku dysponujący szczegółową wiedzą na temat wnętrza willi włamywacze próbowali dostać się do sejfu Marco. Zaczęli od wywiercenia dziury w dachu, a potem weszli do domu

i próbowali wwiercić się przez ścianę. Wibracje uruchomiły instalację alarmową i złodzieje uciekli z pustymi rękoma. Potem, na cztery dni przed Giro d'Italia 2002, mniej ogarnięci przestępcy napadli na willę, gdy rodzice Marco spali. Znaleźli tam portfel Marco, zabrali kilkaset euro i uciekli należącym do Paolo i Toniny SUV-em marki Mercedes.

# Rozdział 19.
# W pogoni za niebytem

## STYCZEŃ 2003–PAŹDZIERNIK 2003

W styczniu 2003 roku – być może dlatego, że na skutek zażywania narkotyków zaczął inaczej postrzegać sam siebie – Marco poddał się zabiegowi chirurgicznej korekty nosa i odstających uszu. Świadczyło to o tym, jak wiele cierpienia w sobie nosił i jak bardzo nieznośne były dla niego przytyki Armstronga, który nazywał Włocha „Dumbo". Po zabiegu Pantani wyglądał jak słabsza kopia samego siebie, przez co *de facto* zagwarantował sobie kpiące spojrzenia, których tak bardzo się obawiał.

Niedługo potem wokół jego byłego psychoanalityka wybuchł skandal. Dwudziestego drugiego lutego 2003 roku rzymska gazeta „Il Messaggero" napisała o „znanym psychiatrze z licznymi publikacjami naukowymi na koncie, nie tylko zwykłym teoretyku, lecz także praktykującym specjaliście w dziedzinie uzależnień od narkotyków, który zajmował stanowisko superwizora w ośrodku leczenia uzależnień w jednym z miast w centralnych Włoszech". Dalej czytamy, że *carabinieri* z jednostki NAS w Rzymie „ustalili, że 51-letni psychiatra X.Z. (inicjały zmienione) nie ma wykształcenia medycznego: krótko mówiąc, w ogóle nie jest lekarzem. W jego CV znajduje się świadectwo ukończenia szkoły średniej, a potem nic. Najprawdopodobniej ten uznany naukowiec okazał się jedynie genialnym oszustem". Nazajutrz „Gazzetta di Reggio" napisała: „M.P., lat 51, został ujawniony i usłyszał zarzuty […]. Okazało się, że to genialny oszust".

Mario Pissacroia miał 51 lat, był autorem kilkudziesięciu prac naukowych, a także specjalistą w dziedzinie narkomanii i superwizorem w ośrodku terapii uzależnień w Reggio Emilii. Rzeczywiście nie miał dyplomu lekarza medycyny, zresztą jak wielu włoskich psychoanalityków do 1989 roku, gdy zmieniły się regulacje w tej kwestii. Jego nabyte we Francji i w Stanach Zjednoczonych kwalifikacje zawodowe nie miały we Włoszech dobrego odpowiednika. Na tym prawda się kończy, bo Pissacroia ani nie „został ujawniony", ani nie postawiono mu zarzutów. W rzeczywistości przypominało to raczej scenariusz taniej opery mydlanej: porzucona kochanka z koneksjami rozesłała te informacje do lokalnych gazet wszędzie tam, gdzie Pissacroia miał swoje gabinety. Wykorzystała też relacje rodzinne, by zaangażować w sprawę policję. Po krótkim dochodzeniu policja stwierdziła, że Pissacroia jest człowiekiem uczciwym i zamknęła wszystkie postępowania (pokazał mi właściwe dokumenty). Jeden z jego byłych współpracowników z ośrodka leczenia uzależnień w Reggio Emilii zapewnił mnie, że kompetencje psychiatryczne Pissacroi nie budzą najmniejszych wątpliwości.

Pissacroia uznał, że najlepiej dla niego będzie milczeć, i to nawet pomimo tego, jak dużym ciosem dla jego reputacji była ta afera. Marco oberwał rykoszetem. Ktoś poinformował go o tym skandalu, a wtedy Pantani tylko umocnił się w swojej niechęci do psychoterapii i psychoterapeutów.

Dwunastego marca Sportowy Sąd Arbitrażowy rozpatrzył wreszcie odwołanie Marco w sprawie znalezionej w hotelu strzykawki z insuliną. Decyzja mocno trąciła Realpolitik – pięć dni później Marco mógł znowu startować w wyścigach. Ronchi pisze w swojej książce, że CAS oczyścił go z zarzutów z uwagi na brak dowodów. Mimo to w paragrafie 6 na stronie 58 wyroku

znalazły się stwierdzenia, które nie mogły być już chyba bardziej jednoznaczne:

*Sportowy Sąd Arbitrażowy:*
*a. Skazuje Marco Pantaniego na karę grzywny w wysokości 3000 franków szwajcarskich.*
*b. Zawiesza Marco Pantaniego na okres sześciu miesięcy.*
*c. Określa, że okres zawieszenia kończy się 17 marca 2003 roku.*

Tak więc 26 marca 2003 roku, po 300 dniach nieobecności, Marco wystartował w wyścigu Settimana Internazionale Coppi & Bartali. Na piątym etapie zajął drugie miejsce, a całą imprezę ukończył na miejscu dziesiątym. Zdaniem Mario Pissacroi uzyskiwane przez niego wyniki stanowiły nieistotny przyczynek do destrukcji Marco. Uważał on, że z dniem, w którym Pantani wrócił na siodełko, został zabity potencjalnie autonomiczny Marco, wolny od uzależnienia od kokainy i środków dopingujących. „Zabił go ten ostatni rok startów".

Marco kontynuował przygotowania do Giro d'Italia pod okiem Boifavy. W kwietniu pojechał w wyścigu Vuelta al País Vasco, potem w imprezie Vuelta a Aragón, gdzie udało mu się zająć piąte miejsce na etapie drugim i czwarte miejsce na etapie trzecim. Pod koniec kwietnia wrócił do Włoch na dzień przed planowanym terminem. Boifavie powiedział, że chce się spotkać z Christine. W rzeczywistości spędził wieczór w klubie nocnym na riwierze, zażywając kokainę. Christine stała się jego standardową wymówką za każdy razem, gdy nie umiał już dłużej opierać się głodowi kokainowemu. Nazajutrz Boifava pojechał do Cesenatico i zastał Marco w godnym pożałowania

stanie. Start w Giro del Trentino w ogóle nie wchodził w grę. Jego nieobecność została oficjalnie wytłumaczona problemami dentystycznymi.

Dziesiątego maja w Lecce wystartowało Giro d'Italia. Pantaniemu ta impreza upłynęła pod znakiem zazdrości. Widział, że jego rywale korzystają z lekkich kół, więc pytał, dlaczego on takich nie ma. Widział Stefano Garzellego, dawnego kolegę zespołowego, teraz prawdziwą gwiazdę peletonu. Garzelli miał ogoloną głowę i lepszy sprzęt, który dostarczyła mu należąca do Boifavy firma Carrera. Giancarlo Ferretti, były podopieczny Luciano Pezziego, wspomina spotkanie z Marco, do którego doszło pod koniec Giro 2003. „Wpadłem na niego w hotelu, był zupełnie sam, smutny i nieobecny. Przypomniałem mu, że my, *romagnoli*, jesteśmy trochę wyjątkowi, mamy silne charaktery. Powiedziałem mu, że dzięki temu silnemu charakterowi przezwyciężymy wszystkie trudności. Zareagował smutnym uśmiechem i w tym momencie zrozumiałem, że nie ma już sił, by walczyć".

Po upadku na 18. etapie Marco stracił wysokie miejsce w generalce. Nazajutrz zaatakował na podjeździe do Cascata del Toce, ale był zbyt dumny, by poprosić o etapowe zwycięstwo lidera wyścigu i swego dawnego rywala, Gilberto Simoniego. Pierwszego czerwca ukończył Giro na 14. miejscu w klasyfikacji generalnej, ale już kilka dni później jego życie znów legło w gruzach. Organizatorzy Tour de France odrzucili podanie jego zespołu. Rozmowy o udziale w Tourze w barwach innej ekipy nie przyniosły żadnych konkretów. Christine, która podczas Giro zbliżyła się do Marco, teraz znów się od niego oddaliła, więc siedział sam w swojej willi w Sala i raczył się kokainą.

Nazajutrz rano miał halucynacje. Roberto Conti, jego były kolega zespołowy, skontaktował się ze swoim dawnym

lekarzem zespołowym, Tino Casettim, a ten dał im namiary na Giovanniego Greco, psychiatrę z ośrodka leczenia uzależnień w Rawennie. Conti nie podał mu nazwiska Marco, ale odmowna reakcja na propozycję przyjęcia pacjenta do kliniki sugerowała, że chodzi o celebrytę. Gdy dodać do tego informację, czym zawodowo zajmował się Conti, dość łatwo było odgadnąć, o kogo chodzi. Krążyły plotki, że Marco bywał już w ośrodku terapii uzależnień w Rawennie. Greco doradził Contiemu, by zadzwonił na numer ratunkowy, byłoby to jednak równoznaczne z poinformowaniem opinii publicznej o problemach Marco. Na miejsce pofatygował się zatem Greco.

Na tym etapie życia Pantani posiadał nieruchomości warte co najmniej 12 milionów euro i otrzymywał stałe wypłaty idące w setki tysięcy euro rocznie. Tylko na bieżącym rachunku rozliczeniowym miał 20 milionów euro. Był jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy w światowym sporcie, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu postanowił zwrócić się po pomoc do włoskiej publicznej służby zdrowia i bardzo dobrego, ale też skrajnie zabieganego lekarza.

Greco zastał Marco w stanie ostrego zatrucia kokainowego, Pantani miał halucynacje i objawy psychozy. Otrzymał potężny lek przeciwpsychotyczny, żeby odzyskał nad sobą kontrolę, oraz leki rozkurczowe, które miały przeciwdziałać skutkom ubocznym środków przeciwpsychotycznych. Wcześniej na własną rękę brał benzodiazepiny, bo doradził mu to inny miłośnik kokainy. Cały Marco – metod leczenia szukał też poza oficjalnymi kanałami.

Kilka dni później pojechał do Saturnii, gdzie znów uraczył się kokainą. Jego ojciec zadzwonił do Greco, a ten zarekomendował im klinikę specjalizującą się w leczeniu pacjentów z zaburzeniami tożsamości wywołanymi przyjmowaniem narkotyków. Chodziło o Parco dei Tigli (Park Lipowy) na

wzgórzach na południowy zachód od Padwy. Paolo mówił potem Ronchi, że udało mu się przekonać Marco, by ten pojechał do kliniki. Tyle że sam Pantani, przyjechawszy na miejsce, zadzwonił do niej i stwierdził: „Rodzice powiedzieli mi, że jedziemy do term, a przywieźli mnie tutaj. Nie chcę tu zostać".

Nawet tam jego nałóg nie ustępował. Marco zaprzyjaźnił się z 25-latkiem z Padwy z pokoju obok, który przedstawił mu się jako „Luca". Marco zapytał go, czy jest w stanie zorganizować kokainę. Luca zadzwonił do swojego dilera z miasteczka Bassano del Grappa, leżącego 80 kilometrów na północ od Padwy. Marco poprosił jednego ze swoich znajomych z Cesenatico, niejakiego „B.G.", by został pośrednikiem. Dał mu dwa tysiące euro, a ten po godzinie wrócił z – jak opisuje to Luca – „torebką wielkości pięści, ważącą jakieś 50–60 gramów. Trochę zażyliśmy, a potem zaopiekowałem się resztą". Nazajutrz rano Luca uzyskał dodatni wynik badania moczu na kokainę i został usunięty z kliniki. Marco niedługo potem też się wyniósł. W rozmowie ze mną Ronchi powiedziała: „Dostałam od niego SMS-a: »Manu, stoję na balkonie i rozmyślam nad przyszłością«. Gdy wysyłał mi tego typu mistyczne wiadomości, coś zawsze było nie tak. Potem zadzwonił i powiedział: »Manu, musisz po mnie przyjechać. Wydarzyło się coś poważnego i nie mogę tu zostać«". Ktoś poinformował media, że przebywa w klinice. Tego samego wieczoru Italia 1 prowadziła relację na żywo spod bramy placówki. W domowym zaciszu zobaczył to Mario Pissacroia. Zareagował odruchowo: „Marco od lat miał obsesję na punkcie szpiegów i zdrady. Gdy zobaczyłem ekipy telewizyjne przed kliniką, od razu pomyślałem sobie: »Straciliśmy tego pacjenta«".

Ronchi odebrała go stamtąd, a potem Marco opublikował list otwarty do fanów:

*Po długich i trudnych rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że najwyższa pora, by podjąć decyzję uczciwą względem samego siebie, sponsorów i wszystkich moich fanów. Kolarstwo to cały mój świat, ale chcę wrócić do niego w sposób autentyczny i z entuzjazmem. Obecnie, nawet gdybym fizycznie był zdolny do rywalizacji, przechodzę bardzo trudny okres, naznaczony zbyt dużym wewnętrznym cierpieniem, które przezwyciężyć mogę tylko ja sam, nawet jeśli moi najbliżsi bardzo starają się mi pomóc. W tym celu potrzebuję przerwy, w moim obecnym stanie nie umiem stwierdzić, jak długo potrwa.*

*Jestem w pełni świadomy, jak poważną podejmuję decyzję. Mam jednocześnie wielką nadzieję, że ten gest pokory, wyrażający się w uznaniu tego trudnego momentu w moim życiu, zostanie zinterpretowany jako chęć zaczęcia wszystkiego od nowa, tym razem we właściwy sposób.*

*Do zobaczenia już wkrótce, Marco Pantani*

Tymczasem jego ojciec skontaktował się z dawnym kolegą syna, z którym razem polowali, Michaelem (imię to wymawia się z francuska: „miszel") Mengozzim. Mengozzi był menedżerem klubu nocnego i zgodził się spędzić trochę czasu z Marco. Poznali się w 1993 roku podczas imprezy zespołowej w klubie Mengozziego w Forlì. Mengozzi był synem zamożnego rolnika z terenów na południe od Forlì i od 15 lat prowadził kluby nocne. Zimą kierował klubem Contrasenso, który mieścił do dwóch tysięcy gości, a latem kierował klubem Fragole amare (Kwaśne truskawki, co oznacza coś w stylu: „No pech!") w Lido di Classe na riwierze, miejscem na tyle dużym, że może pomieścić cztery tysiące gości. W obu lokalach Mengozzi zatrudniał 70 osób. W rozmowie ze mną powiedział: „Całe życie

pracuję w dyskotekach i nigdy nie miałem problemów z narkotykami”.

Ronchi wspomina: „Wydawało się, że to idealne rozwiązanie. Marco nie można było powierzyć komuś świętemu, bo nigdy by kogoś takiego nie zaakceptował. Potrzebny był ktoś, kto pomoże mu się zabawić w zdrowy sposób, a jednocześnie zna to środowisko i będzie umiał trzymać go z dala od niewłaściwych osób. Żeby komuś w tym pomóc, trzeba umieć tych ludzi rozpoznać”.

Mengozzi utrzymuje tężyznę fizyczną, ćwicząc na prywatnej siłowni, ale gdy gadałem z nim o Marco, niewiele brakowało, żeby się rozpłakał. „Ważę 95 kilogramów, więc gdy przedstawili Marco jako sportowy fenomen, nie mogłem w to wierzyć. »Jak to możliwe, żeby taki drobny dzieciak osiągał cokolwiek na rowerze?« Marco kilka razy wracał do mnie, w końcu się zaprzyjaźniliśmy. Zaczęliśmy razem polować i chodzić na ryby. Nigdy nie interesowałem się kolarstwem, więc ze mną o tym nie rozmawiał, ja też nigdy nie zabiegałem o jego towarzystwo. Nie martwiło mnie, gdy nie odzywał się przez pół roku. No i wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, odebrałem od niego telefon: »Co robisz dzisiaj wieczorem? Spotkamy się i zjemy jakąś rybę?«. Na polowanie wybraliśmy się pewnie ze 20 razy, z czego co najmniej 18 razy to Marco szedł ze mną, a nie ja z nim”.

Mengozzi ewidentnie zrobił na Marco duże wrażenie. Marzenia o zakupie jachtu i żeglowaniu po Adriatyku prawdopodobnie pochodziły właśnie od niego: „Miałem 16-metrową łódź, wartą jakieś trzy–cztery tysiące euro. Była szybka, ale dużo paliła. Marco powiedział mi: »Sprzedaj ją. Nie jestem dobry w pływaniu, ale kupimy nową łódź i będziemy robić sobie wycieczki«. Znalazłem coś fajnego, a on stwierdził: »Kupmy ją razem, ty zapłacisz 30–40 procent, ja wyłożę resztę«.

Nic z tego nie wyszło. To nie był dobry pomysł, a poza tym nie miałem wtedy wolnej gotówki".

Michel pomagał już kiedyś komuś uzależnionemu od heroiny. „Udało mi się wtedy pomóc, ale mówimy o kimś, kto nie miał pieniędzy. Wystarczy zabrać takiej osobie telefon i kasę, by mieć nad nią kontrolę". Przypadek Marco był znacznie bardziej skomplikowany: „Problem z Marco polegał na tym, że miał pieniądze. Gdy mu się je zabrało, szedł do bankomatu i wypłacał z niego dziesięć tysięcy euro. A gdy ma się w kieszeni dziesięć tysięcy euro, nietrudno znaleźć kokainę. Pierwsze tygodnie to było prawdziwe piekło. Marco miał znajomych, z którymi chodził do nocnych klubów. Gdy tylko znaleźli gdzieś gram kokainy, od razu go wciągali, żeby się lepiej bawić. Próbowałem im tłumaczyć, żeby nie robili tego z nim".

Początkowo w większość dni Mengozzi jeździł do Cesenatico, ale nie zamieszkał z Marco. Potem w pewien weekend Marco ostro pokłócił się z Mengozzim i Toniną. Poprosił jednego ze swoich znajomych z Rimini, by ten zawiózł go do Saturnii. Już dwie godziny po przybyciu na miejsce ów znajomy dzwonił do Ronchi. Marco go wyrzucił – „Chcę zostać sam, jestem wolnym człowiekiem i mogę robić, co mi się podoba" – i zamknął się w pokoju. Mengozzi pojechał po niego do Saturnii i zastał go palącego crack. Wspomina to tak: „Wywaliłem drzwi. Pokazałem mu, że mam charakter i że nie obchodzi mnie, kim jest. Chciałem go ratować. Od tamtej pory słuchał mnie uważniej".

Dwudziestego pierwszego lipca pojechał do Ronchi do jej domu w Mediolanie; była w zaawansowanej ciąży. W Mediolanie spotkał się ze starym znajomym, Carlo, i jego siostrą, Cristiną. Stawił się też w Katedrze Medycyny Sądowej Uniwersytetu w Modenie, najprawdopodobniej po to, żeby sprawdzić, czy może prowadzić samochód. Greco skontaktował

go również z pewnym lekarzem z Parmy, z którym Marco rozmawiał przez kilka godzin. Ronchi wspomina, że na tamtym etapie nie chciał już widzieć Fontanellego ani Contiego. Chciał się kontaktować z ludźmi spoza zespołu. Mengozzi stwierdził, że Marco miał wielu znajomych, ale niewielu z nich potrafiło go poskromić.

W sierpniu Marco wrócił do Saturnii. Nie otworzył drzwi ani matce, ani lekarzowi. Mengozzi przekonał go, żeby przeprowadził się na jego farmę w okolicach Fiumany, na wzgórzach na południe od Forlì. Od września to on opiekował się Marco przez całą dobę. W rozmowie ze mną powiedział: „Moja pomoc wykraczała poza to, co robi się normalnie dla przyjaciół. Dlatego postanowił się do mnie przenieść". Marco znalazł w Fiumanie nowych przyjaciół i zaczął rozmawiać z pośrednikami w handlu nieruchomościami o nowym domu. Zaczął nawet trenować w siłowni Mengozziego.

Od Ronchi usłyszałem: „Tak czysto teoretycznie, doktor Greco miał spotykać się z Marco co najmniej raz w tygodniu, rozmawiać z nim, doradzać mu i przepisywać leki". Problem polegał na tym, że Greco nie dysponował rzetelnymi informacjami. Nigdy nie otrzymał nic ponad anegdotyczne wycinki z historii chorobowej Marco, i to wyłącznie od jego rodziny, znajomych i zespołowych kolegów. Greco zalecił zatrudnienie stałej pomocy pielęgniarskiej albo doradcy z doświadczeniem w uzależnieniach od narkotyków. Marco bez zastanowienia odmówił i tak oto Mengozzi został sam. „Plan nie zakładał, że Marco będzie ze mną przez 24 godziny na dobę przez całe miesiące, bez żadnego dodatkowego wsparcia czy doradztwa. Musiałem dzwonić do Greco regularnie co osiem godzin. Za każdym razem należało znaleźć jakąś wymówkę, żeby móc rozmawiać tak, by Marco mnie nie słyszał". Jakby tego było mało, Greco miał mnóstwo obowiązków w swoim

ośrodku terapii uzależnień, więc często trudno go było złapać. Jego rachunki za pracę z Marco też nie zawsze regulowano od razu.

Mengozzi spotkał się również z Christine: „Zrobiła na mnie wrażenie bardzo uczuciowej. Pewnego razu coś dla nas ugotowała, nie wyszło jej najlepiej, a Marco skomentował to chłodno: »To jest obrzydliwe«". Mengozzi starał się wypełniać Pantaniemu czas „prostymi zajęciami", czyli tak naprawdę czymkolwiek, od polowań na dziki po imprezy w towarzystwie dziewczyn, najczęściej striptizerek.

Na początku października Mengozzi i Marco pojechali do domku letniego Ronchi nad jeziorem Garda i poznali tam jej nowo narodzonego syna. Marco podarował mu złoty łańcuszek z gwiazdką. Podobny kupił dla siebie.

Dziewiątego października 2003 roku w wypadku samochodowym w Pisignano nieopodal Rawenny zginął stary znajomy Marco, Jader Del Vecchio. Miał 39 lat. Po pogrzebie Pantani szlochał nad jego grobem. Mengozzi też dobrze znał Jadera, ale w żałobie Marco dostrzegał jakiś element użalania się nad samym sobą: „Przez cały czas trzymał w dłoniach zdjęcie Jadera, chociaż wcale nie byli tak blisko. Powiedziałbym, że nie widzieli się od trzech lat".

Niedługo po tamtym pogrzebie Marco i Mengozzi pojechali polować na kaczki do Požarevacu w Serbii („niedaleko Dunaju"). „Pokłóciłem się tam z Marco, bo za wszystko płaciłem. Latem jeździłem do Saturnii dwa razy w tygodniu i każdego ranka to ja wstawałem wcześnie, szedłem kupić pieczywo, robiłem kawę, robiłem zakupy, kupowałem paliwo i płaciłem za utrzymanie basenu. Serbia też mnie sporo kosztowała, więc w końcu poprosiłem go o 1500 euro na pokrycie wydatków. Poświęcałem dla niego część mojego życia,

dawałem mu swój czas i nie robiłem tego dla przyjemności. Tyle że Marco takie 1500 euro na wydatki potrafił wykorzystać przeciwko mnie, gdy tylko mu to pasowało”.

Po Serbii była Kuba. Franco Corsini, restaurator i towarzysz Mengozziego na polowaniach, co roku latał tam, by polować. Zatrzymywał się wakacyjnej wiosce przy Playa Girón, gdzie polował z przewodnikiem, Sebastiánem Urrą Delgado. W połowie października razem z Marco na Kubę polecieli Corsini, Mengozzi i kolarz amator, Emilio Faede. Zatrzymali się przy Playa Girón i polowali tam na kaczki oraz turkawki.

Mengozzi opowiadał mi: „Wstawaliśmy o wpół do piątej i szliśmy wystrzelić po 1500 ładunków na głowę”. Mówił, że nie imprezowali. „Gdy wstajesz o wpół do piątej, nie uganiasz się po nocach za kobietami. To był zupełnie normalny wyjazd”.

Urra relacjonował to zgoła inaczej, jego zdaniem mieli miejsce i czas na wiele innych form rozrywki: „Spędzili u mnie trzy tygodnie, a na polowanie zabrałem ich osiem razy”. Marco poznał tam piękną młodą kobietę imieniem Olguita, ostatnich kilka dni spędził w towarzystwie jej rodziny. Mengozzi wspomina to tak: „Marco był w jej rodzinnym domu przez cały wieczór, siedział z nią przed telewizorem i ją obejmował. Zapewne tak komfortowo jak z nią nie czuł się od dłuższego czasu”. Corsini dodał: „To były wspaniałe dni. Marco czuł się szczęśliwy”.

W klinice La Pradera w Hawanie, położonej nieopodal pola golfowego, Marco namierzył Diego Maradonę. Udało mu się jakoś przekazać mu wiadomość, że jest znajomym jednego z jego dawnych kolegów z drużyny. Tak wywabił Argentyńczyka. Zamienili przez płot kilka słów, to wszystko.

Przynajmniej podczas jednej z ostatnich nocy Marco brał viagrę, a może i coś więcej. Potem wrócili do Włoch. Mengozzi zabrał go na komisariat policji w Forlì, bo Marco chciał się

dowiedzieć, w jaki sposób mógłby ściągnąć Olguitę do Włoch. Dowiedzieli się, że potrwałoby to co najmniej miesiąc, i to nie z uwagi na formalności tu w kraju, bo te specjalnie dla Marco dałoby się przyspieszyć, ale z uwagi na kubańską biurokrację.

Mengozzi twierdzi, że udało mu się utrzymać Marco z dala od kokainy przez 64 dni, od początku września do powrotu z Kuby. Być może sukces ten zawdzięczał specyficznemu doborowi zajęć mających wypełniać czas Pantaniemu. Marco sam siebie określał mianem zwierzęcia podczas obławy, więc być może polowanie na dzika z bronią palną w rękę dawało mu poczucie siły. Z pewnością przypominało mu to też lata dziecięce i wyprawy z dziadkiem Sotero. Komunistyczna Kuba też mogła mu się kojarzyć z poglądami politycznymi i społecznymi Sotero. A na imprezach zaspokajał swoje najbardziej pierwotne pragnienia seksualne. Niewykluczone, że nie był to okres zbyt rozwojowy – strategia Mengozziego równie dobrze mogła po prostu na kilka tygodni cofnąć Marco w świat podstawowych fantazji.

# Rozdział 20.
# Campiglio raz jeszcze

## 2 PAŹDZIERNIKA 2003

Drugiego października 2003 roku w niesatysfakcjonujący sposób zakończyła się sprawa zawieszenia z Madonna di Campiglio. Podobnie jak w kwestii wyników badań po wypadku w wyścigu Mediolan–Turyn, także w tym przypadku Marco został oczyszczony z zarzutów, ponieważ zarzucane mu czyny nie były w chwili ich popełnienia uznawane za przestępstwo. Sam werdykt stanowił jednak króciutki dodatek do szczegółowej analizy naukowej, przygotowanej przez dwóch powołanych biegłych: profesora Vittorio Rizzolego, ordynatora Oddziału Hematologii w Centrum Przeszczepów Szpiku Kostnego przy Uniwersytecie w Parmie, oraz profesora Giovanniego Meliolego, dyrektora Jednostki Immunoterapii Komórkowej w Centrum Biotechnologii Zaawanasowanych w Genui. Analizując ich ustalenia, można zupełnie zapomnieć o samym Marco, pamiętajmy jednak, że obaj profesorowie zabierają nas do wnętrza jego żył i pokazują nam dokładnie to, jaki Marco był w środku.

Rizzoli i Melioli zaczęli od zebrania wartości dziewięciu parametrów: 1. czerwonych krwinek (RBC); 2. hematokrytu (Hct); 3. hemoglobiny (Hb); 4. średniej objętości krwinki czerwonej (MCV); 5. rozkładu objętości czerwonych krwinek (RDW); 6. płytek krwi produkowanych przez szpik kostny, by wspomagały proces krzepnięcia krwi; 7. erytropoetyny (EPO) obecnej w organizmie, tej naturalnej i tej wstrzykniętej (r-EPO); 8. rozpuszczalnego receptora transferryny (sTfR), czyli

receptora obecnego na powierzchni komórek o zapotrzebowaniu na żelazo; 9. ferrytyny, czyli białka występującego w wątrobie i śledzionie, a zawierającego żelazo.

Od razu zwrócili uwagę, że w pobranej od Marco próbce znacznie poniżej normy był wynik erytropoetyny. Innymi słowy, wszystkie pozostałe parametry – RBC, Hct, Hb, MCV – sugerowały bardzo intensywną produkcję czerwonych krwinek, tylko że prawie w ogóle nie odnotowano hormonu, który tę produkcję uruchamiał. Była to zatem niemal dokładna odwrotność wyników badań wykonanych po wypadku Marco w wyścigu Mediolan–Turyn, bo wtedy zbyt wysokiemu poziomowi erytropoetyny towarzyszyła ostra anemia, co budziło podejrzenia, że ktoś spoza pracowników szpitala skrycie podawał Marco r-EPO. Rizzoli i Melioli brali pod uwagę wszystkie zwyczajowe hipotezy – odwodnienie, oddziaływanie obecnego w probówce antykoagulantu EDTA oraz metodę pobierania krwi – i wszystkie je wykluczyli. Doszli do wniosku, że „oprócz jakichś mechanizmów fizjopatologicznych, całkowicie nieznanych środowisku naukowemu, jedynym sposobem pobudzania erytropoezy pomimo braku naturalnej erytropoetyny i występującym wyłącznie u elitarnych sportowców” jest stosowanie r-EPO. Wysoka wartość sTfR i – paradoksalnie – skrajnie niska wartość EPO sugerują, że zastrzyku r-EPO dokonano niedługo przed badaniem. Mechanizm inhibicyjny organizmu, czyli coś na kształt wewnętrznego termostatu, zablokował naturalne wytwarzanie EPO w ciele Marco.

| | Norma | Marco (próbka 11440) |
|---|---|---|
| EPO | 2–16 mU/ml | 0,3 mU/ml |
| RBC | 4,4–5,4 x 1012/l | 5,44 x 1012/l |
| Hct | 40–52% | 52,5% |

| | | |
|---|---|---|
| Hb | 14–18 g/dl | 17,1 g/dl |
| MCV | 82–92 fl | 96,5 fl |
| RDW | 11,6–14,8% | 17,4% |
| Płytki krwi | 180–400 103/l | 109 ١٠3/l |
| sTfR | 0,83–1,76 ng/dl | 2,349 ng/dl |
| Ferrytyna | 15–250 ng/ml | 437,7 ng/ml |

Następnie Rizzoli i Melioli porównali wyniki badań krwi każdego z dziesięciu zawodników poddanych kontroli w Madonna di Campiglio z tym, co w tamtym czasie było najbardziej zbliżone do testu na obecność r-EPO. Tak po prawdzie to chodziło o aż trzy testy. Pierwszym z nich był test opracowany przez francuskiego naukowca, doktora Gérarda Dine'a. Z jego badań wynikało, że gdy trzy z ośmiu parametrów przekraczały normy, można było założyć, że badany z 90-procentowym prawdopodobieństwem stosował r-EPO. W przypadku Marco normę przekraczało aż pięć na osiem parametrów. Drugim uwzględnionym testem był protokół kontrolny przyjęty w ramach programu „Nie ryzykuję zdrowiem", organizowanego przez CSAD. W ramach tych wytycznych próbkę krwi uznawano za podejrzaną, gdy w normie nie mieściły się dwa z pięciu parametrów. W przypadku Marco w normie nie mieściły się cztery. Trzeci był test opracowany przez komisję medyczną Włoskiego Związku Piłki Nożnej (FIGC). Próbka Marco była jedyną z dziesięciu, która oblała ten konkretny test. Tym samym jako jedyna nie przeszła wszystkich trzech testów.

Przez całe życie Marco stał na stanowisku, że wystarczającym dowodem na oczyszczenie go z zarzutów powinien być test wykonany kilka godzin po dramacie z Madonna di Campiglio. Na dokumencie widnieje hematokryt na poziomie 47,6 procent, widnieje na nim też godzina 16:30. Ta druga informacja jest

wpisana długopisem przez tę samą rękę, która naniosła tam imię i nazwisko Marco.

Rizzoli i Melioli zwrócili uwagę, że na dokumencie nie ma ani dającego się odczytać podpisu lekarza, ani oficjalnej pieczątki szpitala. Doszli też do wniosku, że niektóre zbadane parametry – zwłaszcza objętość czerwonych krwinek – budzą wątpliwości co do tego, czy użyto właściwych przyrządów, czy zostały one odpowiednio skalibrowane oraz czy obsługiwał je wykwalifikowany personel, a także czy badana próbka w ogóle należała do Marco. W związku z tym wszczęto nowe dochodzenie, w toku którego wykluczono dokument z Imoli z materiału dowodowego. Śledztwo to miało wykazać, czy technicy z laboratorium w Como dopilnowali wszystkich procedur – ustalono, że tak – oraz co było przyczyną stwierdzonego u Marco wysokiego hematokrytu – ustalono, że doping r-EPO. W ramach pierwszej sprawy sąd orzekł, że stosując doping, Marco złamał przepisy włoskiego Kodeksu karnego, ale już sąd apelacyjny stwierdził, że owszem, stosował on doping, ale w tamtym czasie Kodeks karny tego nie zabraniał. Wiele pytań nie doczekało się jednak odpowiedzi. Oczywiście, część z tych tajemnic tak naprawdę w ogóle nie jest tajemnicza. Niektórzy pytali, po co Marco miał stosować doping, skoro wygrywał tę edycję Giro? Odpowiedź jest prosta: na podniesienie hematokrytu u kolarza potrzeba kilku miesięcy, a potem hematokryt spada do normalnego poziomu dopiero po kilku tygodniach. Efektów stosowania r-EPO nie da się wyłączyć z dnia na dzień.

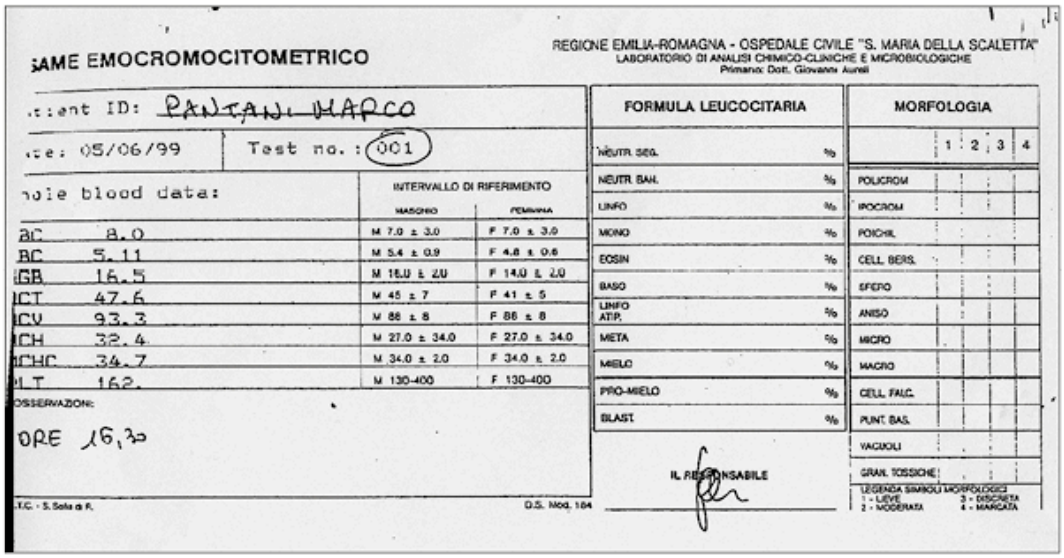

ESAME EMOCROMOCITOMETRICO

REGIONE EMILIA-ROMAGNA - OSPEDALE CIVILE "S. MARIA DELLA SCALETTA"
LABORATORIO DI ANALISI CHIMICO-CLINICHE E MICROBIOLOGICHE
Primario: Dott. Giovanni Aureli

Patient ID: PANTANI MARCO

Date: 05/06/99 Test no.: 001

Whole blood data:

| | | INTERVALLO DI RIFERIMENTO MASCHIO | FEMMINA |
|---|---|---|---|
| WBC | 8.0 | M 7.0 ± 3.0 | F 7.0 ± 3.0 |
| RBC | 5.11 | M 5.4 ± 0.9 | F 4.8 ± 0.6 |
| HGB | 16.5 | M 16.0 ± 2.0 | F 14.0 ± 2.0 |
| HCT | 47.6 | M 45 ± 7 | F 41 ± 5 |
| MCV | 93.3 | M 88 ± 8 | F 88 ± 8 |
| MCH | 32.4 | M 27.0 ± 34.0 | F 27.0 ± 34.0 |
| MCHC | 34.7 | M 34.0 ± 2.0 | F 34.0 ± 2.0 |
| PLT | 162. | M 130-400 | F 130-400 |

OSSERVAZIONI:
ORE 16,30

| FORMULA LEUCOCITARIA | | |
|---|---|---|
| NEUTR. SEG. | % | |
| NEUTR. BAN. | % | |
| LINFO | % | |
| MONO | % | |
| EOSIN | % | |
| BASO | % | |
| LINFO ATIP. | % | |
| META | % | |
| MIELO | % | |
| PRO-MIELO | % | |
| BLAST | % | |

IL RESPONSABILE

| MORFOLOGIA | 1 | 2 | 3 | 4 |
|---|---|---|---|---|
| POLICROM | | | | |
| IPOCROM | | | | |
| POICHIL | | | | |
| CELL. BERS. | | | | |
| SFERO | | | | |
| ANISO | | | | |
| MICRO | | | | |
| MACRO | | | | |
| CELL. FALC. | | | | |
| PUNT. BAS. | | | | |
| VACUOLI | | | | |
| GRAN. TOSSICHE | | | | |

LEGENDA SIMBOLI MORFOLOGICI
1 - LIEVE 3 - DISCRETA
2 - MODERATA 4 - MARCATA

I.C. - S. Sola e F. D.S. Mod. 184

Ilustracja 5. Wyniki badania krwi, Imola, 5 czerwca 1999 roku

Inni zastanawiali się, czy plotki krążące wieczorem na dzień przed kontrolą – że wyniki Marco będą za wysokie – nie dowodzą istnienia jakiegoś spisku. Problem w tym, że od czasu afery z Festiną plotki krążyły w zasadzie nieustannie. Nic dziwnego, że ich przedmiotem był między innymi Marco, jeden z najlepszych kolarzy na świecie, zdolny wyczyniać na trasie niesamowite rzeczy. Kontrolerów UCI znano w środowisku, podobnie jak funkcjonariuszy NAS, którzy wtedy od dwóch lat prowadzili już dochodzenie w sprawie stosowania dopingu w kolarstwie amatorskim. Już sama ich obecność wystarczyła, by wszyscy zaczęli plotkować. Pewna grupa świadków twierdziła, że wielu dużych sponsorów odczuwało złość z powodu dominacji Marco podczas tamtej edycji Giro, ale nie istnieje żaden sposób, aby tego rodzaju spisek – prawdziwy lub tylko wyimaginowany – połączyć z pobieraniem próbek krwi do kontroli. To samo dotyczy bukmacherów.

Pojawiły się również pogłoski, że przed kontrolą w Madonna di Campiglio wirówki używane przez UCI zostały przekalibrowane o jeden punkt procentowy, co poskutkowało

zawieszeniem Marco. Przeciwko tej teorii przemawiają trzy argumenty. Po pierwsze, wszelki brak dokładności w kwestiach tak podstawowych jak kalibracja przyrządów miałby poważne skutki zawodowe dla kontrolerów, którzy na co dzień pracowali normalnie w szpitalu. Do tego dochodzi jeszcze kwestia wiarygodności takiej instytucji jak UCI oraz prawne umocowanie prowadzonych kontroli. Wraz z dokumentem z wynikami badań krwi kontroler UCI podpisywał deklarację następującej treści: „Urządzenie Coulter Ac*T8 zostało skalibrowane dziś na podstawie średniej z pięciu badań próbek kontrolnych 4C Plus firmy Coulter, których data przydatności została określona jako _____. Wyniki te zostaną przedłożone na żądanie”. Po drugie, ta teoria niewiele wyjaśnia. Hematokryt Marco przekraczał normę nie o jeden, a o dwa i pół punktu procentowego. Po trzecie, jak powiedział mi profesor Melioli: „Przyrząd Coulter stosowany wówczas przez kontrolerów UCI był zautomatyzowanym przyrządem do liczenia czerwonych krwinek, który nie wymagał stosowania wirówki. Hematokryt obliczał w drodze mnożenia objętości czerwonych krwinek (MCV) razy ich liczbę. W ten sposób uzyskuje się zawartość procentową komórek w dowolnej jednostce objętości cieczy. Moim zdaniem »rekalibracja przyrządu« jest technicznie niemożliwa”.

Na to wszystko nakłada się uwaga Antonio Dallagiacomy, właściciela hotelu Touring, która może zostać uznana za potwierdzenie, że tego wieczoru w hotelu w żyłach zawodników płynęła gęsta od tlenu zupa: „Panie zajmujące się sprzątaniem stwierdziły, że w niektórych pokojach widziały rowery na trenażerach, ale nie wiem, czy należały one do Mercatone Uno czy do Saeco”. Gdy przez trzy tygodnie jeździ się codziennie (z jednym dniem przerwy), to kto chciałby jeszcze jeździć nocami? No chyba że zależało od tego jego życie.

Zostało potwierdzone, że o planowanej kontroli było wiadomo z wyprzedzeniem, a w związku z tym pozostaje tylko jedno poważne pytanie, na które nie znamy odpowiedzi: dlaczego nie zastosowano żadnej ze sprawdzonych metod oszukiwania kontroli, takich jak choćby rozrzedzenie krwi? Można było podać dożylnie substancję rozcieńczającą krew, na przykład Haemaccel, albo roztwór soli fizjologicznej. (Rizzoli powiedział mi wręcz: „Gdyby Pantani po prostu *wypił* litr wody na dwie godziny przed kontrolą, jego hematokryt okazałby się o trzy punkty procentowe niższy"). Wszystkie te metody nawadniania organizmu były proste i – co ważne – niewykrywalne w ramach kontroli, która miała na celu wyłącznie badanie hematokrytu (inaczej wyglądało to w ramach kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem", co tłumaczyłoby, dlaczego Marco ją bojkotował). Gdybyśmy znali odpowiedź na to pytanie, wiedzielibyśmy, co naprawdę wydarzyło się w Madonna di Campiglio.

Można oczywiście założyć, że Marco i jego ludzie uznali, że będą mieć mnóstwo czasu, żeby to zrobić. Z dużym prawdopodobieństwem należy stwierdzić, że w przeszłości mieli dość czasu na reakcję. Do października 1998 roku zawodnicy musieli stawić się na kontrolę w ciągu 30 minut od wezwania. To wystarczająco dużo czasu na zastosowanie dożylnej metody rozcieńczania krwi. Mimo to Marco regularnie ten czas przekraczał, ale nikt nigdy nie wyciągał z tego konsekwencji. Na wystawionym przez UCI certyfikacie badania krwi z 8 lipca 1997 roku w Caen we Francji widnieje informacja, że Marco powinien stawić się na badanie o 6:56, a próbkę pobrano od niego o 7:07. Innymi słowy miał 41 minut na podjęcie działań zaradczych. Certyfikat z 6 czerwca 1998 roku, czyli z dnia, w którym rozegrano czasówkę z Mendrisio do Lugano, wskazuje termin stawienia się na badanie na 7:00,

a termin pobrania próbki na 7:17, co daje 47 minut na intensywne nawodnienie organizmu. Podobnie wyglądało to w Cesenatico. Rankiem 26 maja 1999 roku Marco miał się stawić na kontrolę o 7:40, ale pojawił się na niej dopiero o ósmej i nikt nie miał o to do niego pretensji. Obowiązywała już nowa reguła dziesięciu minut, więc od wezwania do pobrania próbki minęło łącznie 30 minut. Niewykluczone też, że Marco spodziewał się, że kontrola w ogóle się nie odbędzie. Martinelli miał przecież powiedzieć wtedy: „Gdyby komisarz zjawił się u mnie trzy minuty później, Marco jadłby już śniadanie i nie mogliby poddać go kontroli, bo badanie wykonuje się na czczo".

Przedstawiłem tę teorię szanowanemu włoskiemu hematologowi, Giuseppe D'Onofrio, profesorowi patologii klinicznej na Wydziale Medycyny i Chirurgii przy Katolickim Uniwersytecie Najświętszego Serca w Mediolanie w Rzymie, a także dyrektorowi Oddziału Hemotransfuzji na Poliklinice Uniwersyteckiej Agostino Gemelli w Rzymie. Usłyszałem od niego: „Nie rozumiem, dlaczego między 7:20 a 7:47 nie zrobiono wlewu roztworu fizjologicznego. Czasu było wystarczająco dużo". Czy to możliwe, by rozwiązanie tej zagadki okazało się proste? Wiemy, że drzwi do pokoju używanego przez kontrolerów były otwarte. Być może po prostu nie dało się przenieść korytarzem narzędzi niezbędnych do wykonania wlewu w taki sposób, aby przedstawiciele UCI tego nie zauważyli.

Oczywiście, tego rodzaju przeszkoda nie występowała, *zanim* kontrolerzy zjawili się w hotelu. Przedstawiciele UCI mieli pojawić się w hotelu już o 6:30. Jak wiemy, ktoś z Mercatone Uno poprosił o otwarcie drzwi do hotelu właśnie o tej godzinie, by kontrolerzy mogli wejść do środka. Być może miał w pamięci poranek z przedostatniego etapu Giro z 1998 roku, gdy Marco

jako lider wyścigu został wezwany pierwszy, właśnie o 6:30 rano. Przypuśćmy jednak, że nie „zaryzykował” ani że tego ranka nie doszło do żadnej nieudanej próby manipulowania przy jego krwi – przypuśćmy, że jego krew *została* rozcieńczona i że gdyby kontrolerzy przybyli wtedy, kiedy się ich spodziewano, wyniki Marco zmieściłyby się w normach. Jak wiemy, nie przyjechali ani o 6:30, ani o 6:50, nie przyjechali też o 7:10. O 7:15 też jeszcze ich nie było. Do tego czasu efekty podjętych wcześniej działań mogły zacząć zanikać. Dodatkowa ciecz mogła zacząć przenikać do pęcherza.

W Madonna di Campiglio Marco został wezwany o 7:25. Nie zdążył stawić się w terminie, czyli do 7:35, ale tym razem kontrolerzy nie zamierzali tolerować spóźnienia. Wystawiony przez nich certyfikat informuje, że próbkę pobrano o 7:46 – 11 minut po terminie, ale dziewięć minut szybciej niż w Cesenatico i 21 minut szybciej niż w 1998 roku. Czy została podjęta jeszcze jedna, paniczna próba rozcieńczenia krwi Marco, której nie udało się doprowadzić do końca z uwagi na kontrolerów nalegających na natychmiastowe poddanie się przez zawodnika badaniu? Jeśli tak, to ile jego hematokryt wynosił *przed* tą próbą? Pięćdziesiąt osiem procent? Sześćdziesiąt? Jeszcze więcej?

D’Onofrio przyznał, że co do zasady wzrost hematokrytu był w tych okolicznościach fizjologicznie możliwy. „Moim zdaniem to zupełnie prawdopodobne, że między 6:30 a 7:45 dożylne metody nawadniania mogły przestać działać”. Melioli odnosił się do tego sceptycznie: „Obawiam się, że to raczej mało prawdopodobne, żeby dożylne nawadnianie mogło skutkować zmianą wartości hematokrytu o kilka punktów procentowych. Nie wydaje mi się, żeby dało się zmienić tę wartość o trzy punkty procentowe w kilka minut. Mechanizmy regulujące poziom płynów w organizmie są bardzo skuteczne, ale raczej

nie aż tak błyskawiczne”. Mimo to dodał: „Ta rekonstrukcja brzmi jednak w miarę przekonująco”. Teorię tę potwierdzałby fakt, że w tabeli wyników badań krwi sporządzonej tamtego ranka najwyższe wartości hematokrytu wykryto w próbkach o późniejszych oznaczeniach kodowych: 11440 (Marco) i 11442. Co więcej, to nie ja tę teorię wymyśliłem. Pewien informator, który chciał pozostać anonimowy, przedstawił ją policji. Ten sam informator twierdził, że taki, a nie inny wynik kontroli był pożądany przez dyrektorów innych zespołów, którzy mieli utracić niemałe dochody – wcześniej przedstawiciele Mercatone Uno obiecali im rzekomo zwycięstwa, ale się z tego nie wywiązali. Być może tak to właśnie wyglądało, ale jeśli do fatalnego w skutkach opóźnienia faktycznie doszło wskutek spisku, to był to spisek najłagodniejszy z możliwych, bo w sumie nikt nie zrobił niczego niewłaściwego. Skoro kontrola jest niezapowiedziana, to nieznana jest godzina jej przeprowadzenia, a więc kontrolerzy nie mogli się spóźnić. Spisek mógłby się nie powieść, ale do tego hematokryt Marco nie mógł być tak groteskowo i niebezpiecznie wysoki.

Istnieje również inna możliwość, uwzględniająca charakterystykę etapu mającego się rozpocząć tego dnia. Etap 21., z Madonna di Campiglio do Apriki, stanowił dla stosujących doping krwi zawodników nie lada dylemat. Pierwszy poważny podjazd, Tonale, zaczynał się już 25 kilometrów za startem. Potem trzeba było wjechać na Gavię, gdzie wypadał najwyższy punkt tego etapu, i to dobrze przed jego półmetkiem. Przewaga sportowa wynikająca z zagęszczonych czerwonych krwinek była potrzebna stosunkowo wcześnie, więc nikt z pretendentów do wysokich lokat nie mógł ruszyć na etap z mocno rozcieńczoną krwią. Stwierdzona u Marco wartość RDW, czyli rozkładu objętości czerwonych krwinek, która informuje o heterogeniczności tychże krwinek, była skrajnie wysoka: 17,4

procent przy normie wynoszącej 11–13 procent. Wspomniany już wyżej test Gérarda Dine'a zakładał, że RDW powyżej 15 procent powinno budzić podejrzenia o doping za pomocą r-EPO. Obecnie RDW jest jednym z parametrów stosowanych przez Światową Agencję Antydopingową w testach na autologiczne transfuzje krwi.

D'Onofrio i Melioli są zgodni co do tego, że tak wysoka wartość RDW mogła zostać spowodowana transfuzją około litra krwi. Rzeczywiście, łączenie dwóch niedozwolonych metod dopingu krwi – czyli stosowanie r-EPO wraz z autologicznymi transfuzjami krwi – może zaowocować wzrostem skuteczności wspomagania organizmu i spadkiem ryzyka wykrycia dopingu. Można sobie spokojnie wyobrazić, że u Marco stosowano autologiczne transfuzje krwi wzbogaconej o r-EPO (EEAT). Co oczywiste, przetaczaną krew trzeba przechowywać w warunkach chłodniczych. Nadałby się do tego celu dowolny pojazd z lodówką, a takich za wyścigiem jechała przecież cała masa. Stworzenie mobilnego banku krwi naprawdę nie nastręczałoby jakichś większych trudności.

Transfuzja krwi przeprowadzona wieczorem przed etapem dałaby wystarczająco dużo czasu, aby nadmiarowy płyn mógł się odsączyć, a przecież potem można by sztucznie rozrzedzić krew za pomocą roztworu fizjologicznego. Nazajutrz rano dzięki zespołowej wirówce mogło się jednak okazać, że hematokryt u Marco jest za wysoki. Gdyby należało koniecznie rozcieńczyć mu krew, niezbędny byłby do tego lekarz, a przecież zespołowego lekarza gdzieś wcięło. Jak wiemy, Ronchi spotkała Roberto Rempiego na imprezie o pierwszej w nocy. Pracownicy hotelu kategorycznie stwierdzali, że do trzeciej nad ranem na pewno nie wrócił do hotelu. O tej godzinie nocny portier kładł się spać. Od czwartej rano na nogach był już właściciel hotelu, Dallagiacoma. Nie widział

wracającego Rempiego, mógł go jednak przeoczyć, bo krążył między recepcją a kuchnią. Policja natomiast przyjęła następujące zeznanie świadka z hotelu Majestic, znajdującego się w centrum Madonna di Campiglio:

*Między ósmą a dziewiątą rano w hotelu pojawił się ktoś, kto przedstawił się jako lekarz w zespole Pantaniego. Poszedł na górę do pokoju Coccioniego. Później, w stanie wyraźnego pobudzenia, ten sam mężczyzna powiedział mi, że za chwilę wydarzy się coś bardzo poważnego i poprosił mnie o numer telefonu do hotelu Touring, w którym nocował zespół kolarski Mercatone Uno.*

Skoro na miejscu nie było osoby kompetentnej w zakresie stosowania dożylnych metod rozcieńczania krwi, można sobie wyobrazić, jak Marco w akcie desperacji pije jak najwięcej i jak najdłużej opóźnia pobranie krwi. Zwlekał tak długo, że Paolo Savoldelli, zawodnik teamu Saeco, poddał się kontroli między Velo, zawodnikiem Mercatone Uno, a Marco. Mimo to czasu było za mało i lekarze UCI stwierdzili u niego zbyt wysoki hematokryt. Sami w to nie dowierzali, może nawet trochę się wystraszyli, bo wielokrotnie powtarzali badanie. Potem poinformowali o wynikach zespół Marco.
Mogłoby się wydawać, że o Madonna di Campiglio wiadomo dużo, i to z wielu różnych źródeł. Dzięki wsparciu ekspertów z wyników badań krwi Marco można bardzo wiele wywnioskować. Niby udało nam się zidentyfikować wszystkie czynniki: produkty, transfuzje, rozcieńczanie krwi, czas niezbędny na to, by to wszystko zadziałało. Dodajemy i odejmujemy, wydłużamy i skracamy, zbliżamy się – choć tak naprawdę nie do tego dramatu, który pięć lat później miał

zakończyć jego życie. Prawda jest taka, że tajemnica wydarzeń z Madonna di Campiglio nie wynika z przyczyn naturalnych – to dzieło człowieka. Być może pewnego dnia, kiedy ta prawda przestanie budzić wreszcie takie emocje, jedna z wtajemniczonych osób wreszcie opowie, jak było naprawdę. Problem w tym, że prawda – zwłaszcza mająca oczyścić czyjeś sumienie – ma ograniczony czas półtrwania. Kiedy wreszcie (jeśli kiedykolwiek) zostanie ujawniona, może być już nie do zweryfikowania, a wtedy fakty staną się nieodróżnialne od nic niewartych plotek.

W rok po śmierci syna Tonina opowiedziała mi o czymś, co potencjalnie mogłoby świadczyć o spisku w sprawie wyników badań krwi Marco z Madonna di Campiglio. Stwierdziła, że jeden z kontrolerów pracował wcześniej w Mapei. Potem zginął w tajemniczym wypadku narciarskim. Marco mówił, że jego ciało znaleziono w głębinach górskiego jeziora. Na pierwszy rzut oka wydawało się to mocno podejrzane, no ale potem osobiście spotkałem się z kontrolerami UCI w Como i okazało się, że wszyscy żyją i mają się świetnie. Ustaliłem, że to klasyczny przypadek pomyłki: wspomnianym przez rodziców Marco ekslekarzem zespołu Mapei był Massimiliano Sala (choć on też okazał się cały i zdrowy), a kontroler również nazywał się Sala, tyle że miał na imię Eugenio, był młodszy, nie specjalizował się w medycynie sportowej i z powodu całej tej afery został bardzo niesprawiedliwie potraktowany, podobnie jak wszyscy jego współpracownicy.

Ronchi mimo wszystko broni Pantaniego przed zarzutami o stosowanie dopingu: „Marco, w przeciwieństwie do wszystkich innych kolarzy, był rowerowym artystą. Nigdy nie miał trenera przygotowania fizycznego, nigdy nie miał stałego lekarza i nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek zażywał środki dopingujące. Nie wykluczam takiej możliwości, ale nigdy

niczego takiego nie widziałam ani nawet nie słyszałam, by ktoś o tym rozmawiał. Nie mogę tego zatem ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć. Na zdrowy rozsądek wydaje mi się jednak, że – tak samo jak wszyscy inni – on też się wspomagał. Wysiłek niezbędny do tego, by stawić czoła wymaganiom tego systemu – przejechać 20 etapów Giro d'Italia, na których wszyscy oczekują szybkości i widowiska – byłby moim zdaniem dla normalnego człowieka niemożliwy".

Jeśli chodzi o wydarzenia z Madonna di Campiglio, to Ronchi sama zadaje pierwsze, retoryczne pytanie: czy to możliwe, że Marco czuł się nietykalny i zaryzykował z pełną świadomością, że jego hematokryt przekracza normę? I odpowiada na nie najlepiej, jak potrafi: „Z miejsca taką możliwość odrzucam, bo Marco był na to zbyt inteligentny. Wiedział, na czym to wszystko polega, miał już to Giro w kieszeni i naprawdę nie musiał przesadzać". Inteligencja nie gwarantuje jednak, że nie doszło do popełnienia zwykłego ludzkiego błędu.

Ronchi opowiada dalej: „Zaczęłam się zatem zastanawiać, jak to możliwe, że Marco Pantani, zawodnik zespołu Mercatone Uno, funkcjonującego na takim poziomie [?], mając pełną świadomość, że nazajutrz zostanie poddany kontroli, nie zrobił nic, aby zadbać o to, że nie będzie miał żadnych problemów". Już samo to pytanie stanowi pośrednią formę przyznania, że Marco albo był chory, albo na dopingu. W przeciwnym razie po co miałby podejmować jakieś kroki zaradcze? Ronchi brnie jednak dalej: „Rano przyjechali po niego, zjawili się tam [w hotelu Touring w Madonna di Campiglio] i powiedzieli mu: »Weź tę probówkę i uważnie się jej przyjrzyj«. Nie zaproponowano mu pięciu czy sześciu probówek, żeby sobie jedną z nich wybrał, jak to zwykle robiono". Problem w tym że w policyjnym śledztwie, w późniejszym procesie sądowym oraz apelacji materiał dowodowy został bardzo uważnie

przeanalizowany i na każdym z tych etapów uznano, że kontrolerzy trzymali się wszystkich obowiązujących procedur. „Pojawił się szereg okoliczności – twierdzi dalej Ronchi – których nie można uznać za dowody, ale na pewno są to poszlaki, które pojawiły się już na samym początku Giro d'Italia, gdy Marco sprzeciwił się dublowaniu kontroli antydopingowych UCI i CONI. To zaprowadziło nas do wniosku, że oni chcą zatrzymać Marco Pantaniego, bo to on stanął na czele buntu […]. Naraził się, zbyt żywiołowo protestując przeciwko dublowaniu kontroli antydopingowych. Przecież nie mówił: »Nie chcemy poddawać się kontrolom«. Chciał tylko większej przejrzystości tego systemu i uniknięcia zgodnej z ówczesnymi przepisami, ale – jak wszyscy wiedzieli – niesłusznej sytuacji". Ronchi w żaden sposób nie nawiązuje do faktu, że kontrola prowadzona w ramach kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem" – w przeciwieństwie do badań UCI – pozwalała wykryć fakt rozcieńczania krwi i tym samym stanowiła nieporównywalnie większe zagrożenie dla zawodników jeżdżących na EPO. Nie wspomina, że liderzy CONI nieustannie walczyli z organizatorami kampanii „Nie ryzykuję zdrowiem" i gdy tylko nadarzyła się okazja, zlikwidowali CSAD, organ prowadzący tę kampanię.

W rozmowie ze mną Ronchi powiedziała: „Marco Pantani żył w takim, a nie innym środowisku i w takich, a nie innych czasach. Wtedy, w Madonna di Campiglio, usiłował powiedzieć: »Panowie, zatrzymajmy się na chwilę, bo jeśli będziemy ciągnąć to dalej, zniszczymy samych siebie i całe kolarstwo«. Okazało się, że nikt go nie poparł. System nie może powiedzieć ludziom: »Widzicie? Nie zatrzymamy się nawet przed najlepszym z was, przed liderem Giro d'Italia, bo chcemy oczyścić nasz sport«, skoro tak naprawdę nikt nic nie robi, żeby ten sport oczyścić. Po prostu poświęcono jednego zawodnika, jedna osoba zapłaciła

za wszystkich, którzy to robili i robić nie przestali. Prawdziwym problemem Pantaniego nie było EPO, a to, że jako jedyny chciał ten sport naprawić. Tylko on jeden by na tym nie stracił, bo był mistrzem i wygrywał wyścigi, odkąd skończył osiem lat".

Ta argumentacja jest bełkotliwa, niespójna i wewnętrznie sprzeczna. Czyż rywale Marco – na przykład Virenque i Zülle, żeby wymienić tylko dwóch zawodników na bardzo mocnym dopingu – też nie wygrywali wyścigów jeszcze jako chłopcy? Jeśli trzymać się faktów, to trzeba powiedzieć, że Marco nie miał w dorobku jakoś nadzwyczajnie wielu triumfów. Gdyby brać pod uwagę jedynie wyniki, to Pantani stanowiłby jakieś odległe kolarskie tło, za to wygrywając Giro i Tour de France, prawdopodobnie bardziej skorzystał na zażywaniu dopingu niż inni – być może skorzystał najbardziej ze wszystkich. Nawet z relacji Ronchi wynika, że Marco jeździł na dopingu: no bo gdyby tak nie było, to na jakiej podstawie miałby uważać, że niszczy siebie i całe kolarstwo? Czyli co? Największy oszust w tej dyscyplinie i jednocześnie człowiek, który „jako jedyny chciał ten sport naprawić"?

Ronchi usiłuje zrównywać Marco z takimi zawodnikami jak Christophe Bassons, Francuz, który w 1998 roku jeździł w Festinie. Nie chciał uczestniczyć w programie dopingowym tej ekipy i w końcu został z kolarstwa wypchnięty. Zrównuje go z kimś takim jak Charly Mottet, inny Francuz, który odmówił przyjmowania dopingu, a mimo to zajął w Tour de France czwarte miejsce. Tymczasem Marco nie można ustawić w jednej linii nawet z takimi kolarzami jak Alex Zülle, David Millar czy Filippo Simeoni, którzy jeździli na dopingu, a potem wzięli na siebie konsekwencje i odpokutowali. Trzeba jasno powiedzieć, że nie zdobył się na żaden heroiczny, istotny ani choćby zauważalny gest w walce z dopingiem – można powiedzieć, że jego jedyną zasługą jest to, że dał się złapać.

Mimo to Ronchi nie ustawała: „Ponieważ na łożu śmierci nie mówi się o rzeczach, których nie jest się pewnym, jestem przekonana do tego, co Marco utrzymywał do samego końca: że uzyskał inne wyniki [krwi] niż tamte [z Madonna di Campiglio] i że wydarzenia owego ranka trzeba interpretować w kontekście informacji z poprzedniego wieczoru, w kontekście krążących plotek, że zostanie powstrzymany…". Opowiada tak bez końca, z desperacją, w sposób nie do obrony (lojalnie, nawet jeśli trudno określić, jakiej wyższej wartości moralnej ta lojalność dotyczy), w sprzeczności z logiką i dowodami, w poczuciu przyjaźni i pewnie okropnej straty, doszukując się kontrowersji tam, gdzie ich nie ma.

Na koniec dochodzimy do choroby psychicznej Marco, wewnętrznego cierpienia, od którego szukał ucieczki w kokainie – raz za razem pozwalał sobie na szalone, autodestrukcyjne sesje narkotykowe, których celem był niebyt następujący po stanie braku świadomości. W tej kwestii Ronchi też ma gotową odpowiedź: „Choroba psychiczna? Na pewno nie. […] Psychicznie Marco był bardzo, ale to bardzo zdrowy, ręczę za to. Nawet zbyt zdrowy". Po chwili dodaje dość tajemniczo, jakbyśmy się w ogóle nie rozumieli i jakbyśmy całe popołudnie rozmawiali o dwóch różnych rzeczach: „Być może był zbyt inteligentny, żeby być kolarzem".

# Rozdział 21.
# Koniec nadziei

## LISTOPAD 2003–9 LUTEGO 2004

Wyjazd na Kubę wywołał u Marco niepokój i sprawił, że zaczął obracać się w kręgach, do których Mengozzi nie miał już dostępu. Wystarczyły cztery dni listopada, by cała wypracowana przez Mengozziego równowaga zniknęła. Winił Nevio za destabilizację Marco oraz Ronchi za to, że dała mu wyjście. Marco skontaktował się z Nevio, być może powodowany chęcią zobaczenia się z Olguitą. Mengozzi wspominał to tak: „W czwartkowy wieczór Nevio zorganizował wieczorne spotkanie z Sibonim i innymi ludźmi, których nie znałem. Nie byłem zachwycony tym pomysłem, ale powiedziałem Marco: »Wróć, jak impreza się skończy«". On postanowił jednak przenocować u Nevio. Mengozzi zadzwonił do niego nad ranem: „Wściekłem się. Powiedziałem mu, że albo wraca od razu, albo niech nie wraca w ogóle, choć tak naprawdę wiedziałem, że nie jest jeszcze gotowy, by funkcjonować samodzielnie. Powiedziałem mu: »Marco, to nie hotel. Jeśli zostaniesz u niego do piątku, zostań do soboty«. Marco zadzwonił w niedzielę i powiedział: »Nie zamykaj bramy, przyjadę po moje rzeczy«. Kiedy się pojawił, stwierdził: »Zatrzymam się u Manueli«, a ja mu na to: »Posłuchaj, pokłóciliśmy się, ale porozmawiajmy, naprawmy to«. Ale Manuela dała mu wyjście, więc z niego skorzystał. Wychodząc, trzasnął za sobą drzwiami".

Ronchi zaaranżowała w Mediolanie spotkanie z kolarzem Giovannim Lombardim w sprawie występów Marco w innym

zespole. Mengozziemu powiedziała: „Nie mów Marco, że jest tu Lombardi, bo wtedy nie przyjedzie”.

W niedzielę Pantani wziął trochę swoich rzeczy z domu Mengozziego i przeniósł się do Mediolanu, do Ronchi. Lombardi rozmawiał z nimi o tym, żeby zabrać go na obóz treningowy do Argentyny. Marco jednak – być może wciąż opłakując śmierć Jadera, a być może w przekonaniu, że odpowiedzią na ten smutek będzie spotkanie z Olguitą – uciekł do Madrytu, a stamtąd poleciał na Kubę. Pojechał tam sam i zatrzymał się w miejscu zorganizowanym mu przez Pregnolato. Olguita wyszła po niego na lotnisko, ale już po dwóch dniach go zostawiła. Bała się jego nieustannego chaotycznego ględzenia. Nawet spora gotówka, którą miał przy sobie Marco, nie skusiła ją, żeby przy nim wytrwać. Chciał znowu porozmawiać z Maradoną, podobno nawet wspominał, że mógłby dołączyć do niego w klinice. Ostatecznie nie doszło do ich drugiego spotkania, bo Maradony nie było już na wyspie.

Marco znalazł się na niebezpiecznym zakręcie. Odrzucenie przez Olguitę tylko podkreśliło, że nie umiał skutecznie zabiegać o uczucia kobiety. Nie potrafił tego również jako nastolatek, a w 1994 roku sprowokowało go to do wygłoszenia takiej oto uwagi w rozmowie z Roberto Contim: „Kiedyś kobiety w ogóle nie zwracały na mnie uwagi, a teraz dosłownie się za mną uganiają. Wystarczyły dwa przyspieszenia podczas Giro, żebym i ja został *bello*!”. Znajdował się jednak w obcym kraju, gdzie jego status celebryty niewiele znaczył. Być może właśnie to popchnęło go na skraj przepaści. Zamknął się w wynajętym mieszkaniu i z niego nie wychodził. Tymczasem z Rimini przyjechał Nevio. Towarzyszył mu Enzo, syn hotelarza z Riccione. Obaj wprowadzili się do innego domu. Nevio, Enzo i Marco spotykali się z kobietami. Nevio ma fotografie Marco

z atrakcyjną ciemnoskórą Kubanką, wykonane właśnie podczas tamtego drugiego wyjazdu. Niestety, to już nie było to.

Pewnej nocy Marco uciekł Nevio i rozpłynął się w powietrzu. Gdy wrócił, miał halucynacje. Właścicielka wynajmowanego przez niego mieszkania zaniepokoiła się do tego stopnia, że wezwała lekarza pracującego w jednym z luksusowych hoteli w Hawanie. Poprosiła też przyjaciela José, który kiedyś jeździł rikszą, by miał oko na Marco. Jednej z kolejnych nocy obaj zostali zatrzymani przez policję. José spędził tę noc w celi, a Marco trafił do kliniki, by tam wytrzeźwiał. Pantani podarował José swój rower, a synkowi właścicielki mieszkania wręczył zegarek – rolexa daytonę, zdaniem jego przyjaciół warty 16 tysięcy euro. Innego chłopca zabrał do sklepu odzieżowego i ubrał go od stóp do głów. Marco chciał skontaktować się z Jaderem, więc dostał namiary na niewidomego jasnowidza, ale seans zakończył się katastrofą. Jasnowidz powiedział mu, że ma kupić kwiaty oraz perfumy i wrzucić je w konkretnym miejscu do morza. Pojechali razem, ale gdy jasnowidz kazał mu zatrzymać samochód, Marco nie umiał zrozumieć, jak to możliwe, że ktoś niewidomy może wiedzieć, gdzie się znajdują. Wściekły porzucił samochód i poszedł przed siebie. Szybko stwierdził, że zgubił się w ubogiej dzielnicy Hawany. Zatrzymał radiowóz i poprosił policjantów, żeby odwieźli go do mieszkania.

Gdy Mengozzi usłyszał, że Marco wrócił na Kubę, był wściekły: „Najbardziej wkurzyło mnie to, że Ronchi nie raczyła mi o tym powiedzieć. W czwartek zadzwoniła do mnie Tonina i spytała: »Wiesz, gdzie on jest?«. Odparłem, że u Ronchi, a wtedy usłyszałem: »Nie, pojechał do Hiszpanii«. Zadzwoniłem do Ronchi, a ta stwierdziła: »Marco jest na Kubie, nie wiedziałeś?«. Przez ostatnie trzy miesiące cztery razy dziennie rozmawiałem z Toniną i dwa razy dziennie z Ronchi, ale jakoś

nikt nie kwapił się, żeby mi o tym powiedzieć. Przecież Ronchi pomagała mu zdobyć bilety na samolot. Wtedy zacząłem patrzeć na nią inaczej. Zrozumiałem, że rozgrywa własną grę, że chce spowodować, żeby Marco wrócił na rower. W końcu mnie olśniło, że po prostu się mnie pozbyła, gdy było jej wygodnie". Zazdrość i bierność sprawiły, że sieć osób chroniących Marco zaczęła się rozpadać.

Marco zaczął wypisywać niespójne, czasem strasznie trudne do czytania rzeczy w swoim paszporcie, a potem wyrywał z niego zapisane kartki. Wykonywał nieskładne telefony do Włoch, prowadził ciągnące się bez końca rozmowy z Pregnolato, który wykończył dwie baterie w telefonie, żeby dojść, o co mu chodzi. Marco zadzwonił jeszcze do Greco i Ronchi, a potem zniknął. Po kilku dniach bez żadnych wieści – Mengozzi twierdzi, że po dziesięciu – Tonina poszła za radą Greco i poprosiła Mengozziego, żeby poleciał na Kubę i go przywiózł. Mengozzi zadzwonił do przebywającego na Kubie Nevio i posunął się do gróźb: „Powiedziałem mu: »Jeśli Marco cokolwiek się stanie…«. Cóż, po 15 latach prowadzenia nocnych klubów znam odpowiednich ludzi". W niedzielę rano Mengozzi zaczął poszukiwania biletów na samolot na Kubę. Wolne miejsca były tylko w klasie biznesowej, po 2200 euro za sztukę. Zadzwonił do Franco Corsiniego, a Corsini skontaktował się z Urrą, ich przewodnikiem na polowaniach. Ten popytał i namierzył Marco, który chorował z powodu zażywania narkotyków, ktoś go też obrabował. Mengozzi zadzwonił do Toniny i powiedział: „Będę potrzebował dwóch samochodów, ośmiu ludzi i pewnie jakichś pieniędzy na łapówki. Potrzebuję 20 tysięcy euro".

Mengozzi mówi, że gdy wraz z Corsinim, Urrą i grupą byłych wojskowych dotarli pod mieszkanie wynajmowane przez Marco, wyglądało to „jak przyjazd papieża. Podjechaliśmy

dwoma terenówkami. Marco rzucił mi się w ramiona. Przez godzinę rozmawiałem przez telefon z Toniną, a potem przez dwie godziny z lekarzem, który ustalił nowe dawki leków i tak dalej". Mengozzi zapłacił właścicielce mieszkania za zniszczone przez Marco meble, razem z Corsinim odzyskali jego rower, a potem Corsini rzekomo jeździł przez pięć godzin samochodem, by namierzyć zegarek. Mengozzi twierdzi, że za jedno i drugie zapłacili po 500 dolarów. Nevio utrzymuje, że odzyskał rolexa dosłownie w kilka minut. Urra potwierdza przedstawioną przez niego wersję: „Nevio dokładnie wiedział, gdzie wszystko było".

Wyjęli z kosza na śmieci brakujące strony z paszportu Marco. Oprócz nieczytelnych uwag na temat santeríi, kubańskiej wersji voodoo, w bazgrołach można było też dostrzec ślady krzywd, jakie wyrządziły mu ciągnące się procedury prawne: „Zostałem upokorzony zupełnie bez sensu. Przez cztery lata zaciągnęli mnie przed każdy możliwy sąd. Reguły, tak, ale takie same dla wszystkich". Marco został przeniesiony do jednego z bungalowów Urry przy Playa Girón. Obstawa w jednym samochodzie została na straży, a reszta pojechała na objazd Hawany, żeby pospłacać długi. Corsini znalazł renault 9, które Marco wynajął, a potem rozbił i porzucił.

Kolarz spał przez trzy dni. Budził się tylko na tortillę z papają i ziemniakami oraz żeby napić się wody. Urra musiał uruchomić kontakty, żeby ułatwić wyjazd Marco na jego podartym paszporcie. W rozmowie ze mną powiedział: „Z włoskimi turystami pracuję już od dziesięciu lat, więc znam trochę osób w służbach granicznych. Tamtejsi *compañero* zadbali, żeby nie było żadnych problemów".

Mengozzi zabrał Marco do Fiumany. „Zgubił dziesięć kilo. Przez całe dwa dni tylko spał, martwiłem się o niego. Kiedy zawiozłem go do domu, do rodziców, pierwsze, co mu

powiedzieli, to: »Mengozzi chciał 20 tysięcy euro za sprowadzenie cię z powrotem«”. Mengozzi nie zamierzał ustępować. „Wyprawa na Kubę kosztowała 13 tysięcy euro. Marco narobił też niemałych kosztów w Fiumanie: wiele rzeczy zniszczył, nabił horrendalnie wysoki rachunek telefoniczny. Przywiozłem im z powrotem żywego syna, a oni zarzucali mi, że chciałem na nim zarobić”.

Drugiego grudnia, gdy Marco był już we Włoszech, wypłacił duże kwoty z różnych rachunków bankowych: o 15:37 pobrał 15 tysięcy euro, a o 15:56 – dziesięć tysięcy. Pięć dni później wypłacił jeszcze dziesięć tysięcy. Zaczął też dzwonić po starych znajomych. Pierwszego grudnia zatelefonował do Christine, by złożyć jej życzenia urodzinowe. Rozmawiał z Ronchi, skontaktował się nawet z Mario Pissacroią, który zapamiętał tamtą rozmowę ze szczegółami:

*MARCO Pronto, sono Marco Pantani.*

*PISSACROIA Beppe Fanfani? [Włoski polityk, który od czasu do czasu wynajmował od Pissacroi dom].*

*MARCO Nie, Marco. To ja, Marco, nie poznajesz mnie?*

*PISSACROIA Ach, Marco! Co u ciebie?*

*MARCO U mnie dobrze. Mam kogoś, kto się mną opiekuje. O co chodziło z tym artykułami w gazetach?*

*PISSACROIA Zwykłe bicie piany, sprowokowane przez zazdrosnych kolegów po fachu.*

*MARCO Więc wszystko OK?*

*PISSACROIA Tak.*

*MARCO A jak twój syn? [Chłopak chorował na chłoniaka nieziarniczego].*

*PISSACROIA Tak sobie. Co robisz na Boże Narodzenie?*

*MARCO Nie wiem. Może zaplanujemy coś razem?*

*PISSACROIA Dobrze. Zadzwoń do mnie. Tylko powiedz jeszcze, gdzie jesteś.*

*MARCO Trochę tu, trochę tam. Przemieszczam się.*

*PISSACROIA To co? Odezwiesz się niedługo?*

*MARCO Tak, zadzwonię.*

*PISSACROIA Gdybyśmy mieli się jednak do tego czasu nie zobaczyć, to życzę ci Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.*

Marco nigdy nie oddzwonił.

Siódmego grudnia, gdy Marco odsypiał swój kubański koszmar, w klinice psychiatrycznej w wieku 32 lat zmarł jego dawny rywal, wybitny hiszpański góral José María Jiménez. On też był uzależniony od kokainy. Jego śmierć spowodowała, że Pantani jeszcze bardziej zniechęcił się do wszelkich klinik.

W grudniu i w styczniu Marco pomieszkiwał to u Mengozziego, to w swojej willi w Sala. Za każdym razem, gdy zbliżał się do autodestrukcji, wzywano Greco. Mengozzi organizował Marco damskie towarzystwo na wieczory i noce. Pewnego razu zaprosił pochodzącą z Polski striptizerkę, która występowała u niego już kiedyś podczas imprezy po polowaniu. Miała spędzić z Marco wieczór w domku na farmie. Została tam na trzy dni. Czwartego dnia Marco poprosił ją, aby przyprowadziła jakąś koleżankę dla Mengozziego. Znajoma polskiej striptizerki także pochodziła z Europy Wschodniej, była tancerką, używała imienia „Barbara” i jeździła drogim kabrioletem. Marco szybko zamienił Polkę na Barbarę, a ta zasugerowała, że przydałoby się im coś na rozkręcenie imprezy. Mengozzi powiedział jasno i wyraźnie, że nie wyraża zgody na kokainę w domu. Jeśli Barbara chciała spotykać się z Marco, musiała obiecać, że nie przyniesie mu kokainy. Jego prośby na nic się jednak zdały.

Mengozzi i Tonina zaczęli identyfikować numery jego dilerów na podstawie kontaktów zapisanych w jego telefonie komórkowym. Udało im się usunąć tych ludzi z Cesenatico i Ceseny, ale Marco zupełnym przypadkiem trafił na nowego dostawcę. Już drugiego wspólnego wieczoru on i Barbara pojechali razem do Pinety, znanego klubu nocnego w Milano Marittima. Barbara przedstawiła go czterem osobom – byli to Fabio Carlino, Marco Cappelli, Rossano Giandomenico i Fabio Miradossa. Dwudziestoześcioletni Carlino z Lecce był menedżerem klubu nocnego Le Scuderie w Castelfranco Emilia; razem z 38-letnim Cappellim, nazywanym również Puccim, prowadził także Angels Agency.it, agencję modelek, w której pracowała kiedyś Christine Jonsson. Dwudziestodziewięcioletni Miradossa z Neapolu mieszkał w mieszkaniu Carlino w Rimini. Śledczy opisywali później ten lokal jako „dobrze zorganizowaną bazę logistyczną" dystrybucji kokainy. W toalecie Miradossa usypał dla Marco kreskę, wymienili numery telefonów i od tego wieczoru Miradossa został dilerem Marco.

Z bilingów wynika, że 26 grudnia o 22:46 Pantani zadzwonił z Fiumany do Barbary, która znajdowała się w Riccione. Między tą godziną a 0:35 telefonował do niej z komórki siedmiokrotnie. Ona oddzwaniała do niego trzy razy. Mengozzi telefonował do niej raz. Dane na temat tych połączeń pokazują, jak Barbara się przemieszczała. O 23:50 była w Cesenie, 15 minut później dotarła do Forlì. O 0:22 była już we Fiumanie. Marco i Barbara spędzili razem noc i umówili się na kolejny wieczór w hotelu Touring w Miramare na riwierze. To ona zaproponowała to konkretne miejsce, bo kiedyś tam pracowała. Tego wieczoru o 21:24 Marco korzystał z telefonu, co pozwoliło zlokalizować go przy bramce na autostradzie A14. Właśnie ruszał w stronę Forlì, do tego hotelu.

Miradossa zorganizował dostawę ponad 70 gramów kokainy do pokoju hotelowego Pantaniego. Marco wiedział tylko tyle, że prochy przywiezie niejaki „Peru”. Inni goście widzieli kolarza i Barbarę szalejących na korytarzu, dziewczyna miała być rzekomo naga. Nazajutrz, 27 grudnia, pod wpływem kokainy Pantani zaczął łapać dziwne nastroje, a wtedy ona się przestraszyła i uciekła z hotelu. Marco wysyłał SMS-y do Mengozziego, najpierw o 15:59, potem o 16:27. O 18:00 Mengozzi zadzwonił do Barbary, która była już z powrotem w Riccione. Powiedziała mu, że Marco ciągle przebywa w hotelu. O 18:43 Barbara do niego oddzwoniła. Wróciła do hotelu.

Greco zjawił się na miejscu około 19:30. Ronchi poleciła mu, żeby *nie* stosował nakazu przymusowego leczenia. Dołączył do niego Mengozzi i razem poszli do pokoju Pantaniego. Gdy weszli do środka, Marco, jakby im na przekór, na ich oczach wciągnął ostatnią kreskę kokainy. Ogrzewanie rozkręcił na maksa, więc w środku był ukrop, a wokół panował okropny chaos. Znaleźli tam sprzęt do palenia cracku. Wszędzie wokół leżał proszek, znaleźli też torebkę z kokainą o wadze około 50 gramów, którą Mengozzi i Greco od razu zniszczyli. Marco bełkotał po włosku i hiszpańsku, wcześniej wypisywał też coś na prześcieradle. Greco nawiązał z nim kontakt dopiero wtedy, gdy namówił go na przyjęcie kilku kropli haloperydolu, potężnego środka antypsychotycznego. Wtedy jednak Marco wyszarpał się Mengozziemu i zdołał połknąć pięć miligramów alprazolamu, preparatu przeciwlękowego. Po konsultacji telefonicznej z Ronchi postanowili, że Marco powinien wrócić do domu Mengozziego na farmie. Mengozzi zapłacił za pościel i inne szkody, ale potem potrzebowali jeszcze dwóch godzin, żeby przekonać Marco, by z nimi pojechał.

Następnego wieczoru Barbara pojawiła się w mieszkaniu Carlino w towarzystwie Cappellego i samego Carlino. Na miejscu był również najemca, Rossano Giandomenico. Policjantom zeznał: „Powiedziała nam, że tamtej nocy w hotelu Touring przeraziła się zachowaniem Pantaniego, który kompletnie stracił nad sobą panowanie. Stwierdziła, że po zażyciu kokainy zrobił się jakiś inny i niepokojący. Zaczął bełkotać, stracił świadomość. Uciekła z pokoju tak szybko, jak się dało. Pamiętam, że jeśli chodzi o samą kokainę, to powiedziała coś w stylu: »Ale jaki rodzaj mu dałeś?«".

We wtorek 30 grudnia Greco spotkał się z rodzicami Marco w Rawennie. Wyjaśnił im ryzyko sprzeciwiania się nakazowi przymusowego leczenia, doradził też, że powinni zatrudnić do pomocy Mengozziemu kogoś z odpowiednimi kwalifikacjami. Mengozzi bez żadnego wsparcia zajmował się Marco już od sześciu miesięcy, ewentualnie co jakiś czas konsultował się telefonicznie z Greco. Na tym etapie Marco zażywał już tygodniowo nawet do 100 gramów kokainy, bardzo sprytnie pochowanej po całej posiadłości Mengozziego. Mengozzi kłócił się z Marco, sprzeczał się też z jego rodzicami. Gdy w sobotę 3 stycznia 2004 roku Greco spotkał się z Ronchi i rodzicami Marco we Fiumanie, Mengozzi trzymał się na uboczu. Jedynym wnioskiem z tego spotkania była wysunięta przez Paolo i Toninę sugestia, by ich syn pojechał na jeszcze jedne wakacje – do Hiszpanii albo do Ameryki Południowej.

Mengozzi był jednak coraz bardziej zdesperowany: „Gdy Marco znów zaczął brać, poprosiłem, żeby go wzięli. Nie przestrzegał zasad. Zostawili go samego, bez kontroli na dziewięć czy dziesięć miesięcy. To już nie było wspólne przedsięwzięcie. Na kilka dni Marco wrócił do domu. Zadzwoniła do mnie Tonina i powiedziała, że kupił kolejną porcję kokainy. Odparłem jej, że nie chcę go u siebie. Zrobiła się

z tego zabawa w kotka i myszkę. On chciał mi się wyrwać, ja usiłowałem przewidywać jego posunięcia. Byłem już tym zmęczony. Zapadła decyzja, że coś się wydarzy w poniedziałek [5 stycznia]. Ronchi wspomniała o jakiejś klinice w Londynie, ale Marco jakoś nigdzie nie wyjechał".

Nevio Rossi zeznał policji, że Marco odwiedził go w Rimini jakoś na początku stycznia 2004 roku („W piątek, wydaje mi się, że to był 2 stycznia"). Powiedział: „Marco pojawił się u mnie w domu i pokazał mi dłoń. Miał na niej z 15 kresek kokainy. Dla żartu zapytał, czy nie zapłacił za to za dużo. »Kupiłem to w Rimini«, stwierdził. Wydaje mi się, że zaopatrywał się tam po raz pierwszy". Po śmierci Marco Rossi stał się łatwym celem dla żądnej zemsty opinii publicznej. Bronił się argumentem, że oczekiwał na rozprawę sądową, w której groziła mu kara więzienia, więc naprawdę nie należy podejrzewać akurat jego, że to właśnie on zapatrzył Pantaniego w kokainę. Obwiniano go i dotknął go ostracyzm, ale on też miał niedługo stracić przyjaciela.

Marco w styczniu jeszcze dwukrotnie spotykał się z Barbarą. Podczas pierwszego z tych spotkań, gdy dziewczyna wysiadała z samochodu, zatrzymała ją Tonina uzbrojona w jedną ze strzelb Marco. Tonina chciała mieć pewność, że znajoma syna nie wnosi do domu kokainy, więc kazała jej rozebrać się do naga, zanim ją wpuściła. Barbara zareagowała na to wszystko niezbyt elegancką ripostą: „Przychodzę do niego z cipą, nie z kokainą". Gdy była tam po raz drugi, wywiązała się między nimi kłótnia, do której zostali wezwani *carabinieri*.

Mengozzi wspominał: „Pewnego wieczoru Marco wyszedł z domu i wiedziałem, że coś wtedy wziął. Powiedziałem mu, że nie chcę go już u siebie widzieć. Jego rodzice poprosili, żeby mógł zostać przynajmniej do swoich urodzin, bo nie wiedzieli, co mają z nim zrobić". Siódmego stycznia Marco zrealizował

czek na dziesięć tysięcy euro w banku w Predappio, nieopodal Fiumany. „Chcę sobie kupić prezent urodzinowy", powiedział Mengozziemu. Trzynastego stycznia miał skończyć 34 lata. Mengozzi zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i postanowił zorganizować dla niego przyjęcie urodzinowe. Chciał otoczyć Marco najbliższymi mu ludźmi i dać w ten sposób do zrozumienia, że jeśli tylko będzie tego chciał, wszyscy mu pomogą. Problem polegał jednak na tym, że każdy ze znajomych Marco podejrzewał pozostałych, że organizują mu kokainę. Trzeba było nie lada zdolności dyplomatycznych, by pozapraszać ludzi na to przyjęcie. Mimo to Marco nie okazał wdzięczności. Weekend 10 i 11 stycznia spędził w Verbanii, wiosce nad Lago Maggiore na północ od Mediolanu, z której pochodziła Ronchi. Krótko po 21:00 wyjechał do Mengozziego. O 21:07 zadzwonił do Miradossy, spotkali się na węźle autostradowym Rimini Południe krótko po północy. Potem Marco zadzwonił do Ronchi i Mengozziego, z pewnością po to, by dać im znać, że jest prawie na miejscu.

Dwunastego stycznia Mengozzi znalazł śladowe ilości narkotyku. Zadzwonił do Greco, który przyjechał na miejsce i też znalazł znaki świadczące o tym, że Marco cały czas brał. Ronchi opowiadała: „Doktor Greco od samego początku podkreślał, że pracuje w ośrodku terapii uzależnień w Rawennie i że nie prowadzi prywatnej praktyki. W związku z tym nie mógł zajmować się wyłącznie Pantanim. Wydaje mi się jednak, że po kilku sesjach z Marco Greco zaczął trzymać się od niego na dystans. Nie twierdzę, że nie był dobrym lekarzem, ale chyba uważał, że to trudy przypadek". Przedstawiłem tę krytyczną uwagę samemu Greco, ale ten nie zgodził się z tą opinią: „Proszę mi pokazać drugiego lekarza, który 27 grudnia jedzie do hotelu i ryzykuje własnym bezpieczeństwem i reputacją zawodową, żeby zająć się zniszczeniami

i narkotykami. Wielokrotnie w środku nocy jeździłem do Predappio, prowadziłem niekończące się rozmowy telefoniczne o drugiej nad ranem. Powiedziałby pan w związku z tym, że byłem niedostępny? Zarzuca mi się to prawdopodobnie dlatego, że wytyczyłem granice".

Podczas urodzinowej kolacji jeden z najstarszych znajomych Marco z Cesenatico poprosił, żeby ten powiedział wszystkim otwarcie, czy kiedykolwiek załatwiał mu kokainę. Marco się roześmiał i odrzekł: „Kobiety, owszem, ale nigdy nie potrzebowałem twojej pomocy, żeby zdobyć *la roba*!". Z doświadczeń Mengozziego wynika, że większość znajomych Marco miała z nim kontakt tylko przelotnie. „Już taki był, że spędzał z kimś cały miesiąc, a potem przez pół roku niemal się nie odzywał". Ogólnie Mengozzi wspomina, że przyjęcie nie wyszło najlepiej: „Marco był w słabej formie, podczas kolacji opowiadał wszystkim o swoich kłopotach, o narkotykach, depresji, problemach emocjonalnych i sportowych. Dla wszystkich było to bardzo trudne". Pantani, często niespójny w swych wypowiedziach, powiedział jednemu z najbliższych znajomych: „Nie wiem już, komu mogę zaufać".

W środę wieczorem 14 stycznia Marco znów raczył się kokainą. Mengozzi wspomina: „O wpół do piątej rano zadzwoniłem do znajomego z Predappio, żeby pomógł mi go ogarnąć. Gdy weszliśmy do jego pokoju, zaczął się z nami szarpać. Zadzwoniłem do Greco, a on powiedział, żebym wystąpił o nakaz przymusowego leczenia". Mengozzi zadzwonił do rodziców Marco, ale ponownie odmówili. Do jego domu dotarli o dziesiątej rano. W trakcie tego dnia Ronchi i rodzice Marco kilkukrotnie dzwonili do Greco, a ten mówił im, że będzie rekomendował zastosowanie nakazu przymusowego leczenia. Oni nadal byli przeciwni. Mengozzi powiedział, że jeśli Marco ma zostać, musi się zgodzić, że odda wszystkie pieniądze

oraz telefon komórkowy i nie będzie sam wychodził z domu. Musiał spróbować przetrwać bez kokainy. „Myślałem, że się dogadaliśmy – mówi Mengozzi – ale po chwili Marco wyszedł ze swojego pokoju i oznajmił, że mąż Ronchi już po niego jedzie. Znowu dała mu wyjście z sytuacji. Jego rodzice zaczęli go pakować. Gdy przyjechał mąż Ronchi, Marco wziął walizkę, zapasy kokainy i wyjechał". Do Mediolanu dotarł 16 stycznia. Mieszkał u Ronchi przez dwa tygodnie. Mengozzi już nigdy więcej go nie widział. Ronchi twierdzi, że decyzja o zabraniu go od Mengozziego była uzasadniona, ponieważ dochodziło między nimi do fizycznych spięć.

Ronchi miała nadzieję, że u niej w Mediolanie Marco dojdzie do równowagi: „Gdy do mnie dotarł, był w stanie sugerującym, że brał kokainę nieprzerwanie od wielu miesięcy". Ronchi w rozmowie ze mną nie stroni od przesady: „Dzwoniłam do Greco 40 razy dziennie, nie zawsze dało się z nim łatwo skontaktować". Przez kilka dni Marco tylko jadł, spał i przyjmował przepisane przez lekarza leki. Mengozzi powiedział mi: „Był agresywny. Cały czas mówił i ciągle wulgarnie krytykował ją za popełnione błędy". Ronchi raz jeszcze skontaktowała się z Renato Da Pozzo, ale znów nie doszli do porozumienia. W swojej książce pisze, że Da Pozzo żądał „astronomicznych sum", a to z miejsca zniechęciłoby do niego Marco. W żaden sposób nie wyjaśnia, dlaczego Pantani – osoba bardzo chora i niemożliwie bogata – w ogóle musiał cokolwiek wiedzieć o kosztach leczenia. Jeśli chodzi o działania autodestrukcyjne, nie miał problemu z wydawaniem dużych pieniędzy. Próby ratowania go wymagały zapewne takiej samej, a może nawet większej rozrzutności.

Marco dalej palił crack w dużych ilościach. Greco wspomina, że zdecydowanie nalegał na jego rodziców, by wystąpili

o wydanie nakazu przymusowego leczenia, żeby Marco trafił do szpitala. Ronchi powiedziała mi natomiast: „Nigdy nie doszliśmy do punktu, w którym przymusowe leczenie było konieczne”.

Marco po raz ostatni zadzwonił do Barbary w niedzielę 25 stycznia o 19:03. Nazajutrz rano poprosił Ronchi, żeby pożyczyła mu samochód. Chciał jechać do domu po swoje ubrania. Dwudziestego szóstego stycznia o 11:57 zjechał z autostrady w Cesenie. O 12:12 wypłacił z banku w Cesenatico 12 tysięcy euro. Stamtąd pojechał prosto do Rimini. Po 15-sekundowej rozmowie z Miradossą obaj spotkali się przy Viale Regina Elena. Z bilingów telefonicznych wynika, że Miradossa był tam o 12:53, a Marco dotarł o 13:13. Doszło do wymiany kokainy i pieniędzy. O 17:48 Marco był już z powrotem w Mediolanie. Od tego momentu do piątku Ronchi obserwowała widoczne zmiany w jego zachowaniu: siedział przed telewizorem i miał halucynacje, co chwila też coś bełkotał.

Greco już wcześniej umówił Marco i Ronchi na wizytę u doktora Ravery z kliniki Le Betulle w Appiano Gentile, pod Mediolanem. Mieli się u niego pojawić w piątek 30 stycznia o 14:30. Marco miał zostać przyjęty do kliniki 2 lutego. W rozmowie ze mną Ronchi powiedziała: „Doktor Greco zarezerwował miejsce w Le Betulle jako opcję rezerwową, bo w Parco dei Tigli jest nieco lżej, a terapia stosowana w Le Betulle wygląda znacznie poważniej. Marco zareagował tak: »Wy, lekarze, nic nie rozumiecie. Kim jesteście, żeby mi mówić, jak mam wrócić do zdrowia? Nie wierzę w kliniki…«”.

Po tamtej wizycie Marco rozpłakał się w samochodzie Ronchi. Odebrała to jako wyraz rezygnacji. Potem okazało się, że nie miała racji.

W sobotę 31 stycznia o 18:00 w jej mieszkaniu zjawili się rodzice Marco. Zaprosiła ich, żeby pomogli przekonać syna do

hospitalizacji w Le Betulle. Ronchi wspomina, że na schodach „doszło do wielkiej awantury. Z szacunku dla innych nie będę tej kwestii rozwijać”. Marco i Paolo ostro się pokłócili, Marco skarżył się później, że ojciec go uderzył. Ostatecznie Pantani rzucił telefonem i wyszedł w ubraniu, w którym akurat był. Miał przy sobie tylko kartę kredytową, prawo jazdy i znaczną kwotę w gotówce. Ronchi wezwała karetkę do Toniny, która zemdlała. Marco gdzieś zniknął.

Drugiego lutego Tonina, będąc w posiadaniu jego telefonu, zaczęła wysyłać SMS-y pod numery, pod które Marco ostatnio dzwonił. Jeden z nich dotarł do Miradossy (Tonina wzięła go za Albańczyka; „A może nie, w każdym razie nie był z Romanii”), a ten odpisał, że nie zna jej syna i że jeśli nie przestanie go nękać, to zgłosi sprawę na policję. Rodzice Pantaniego skontaktowali się z ośrodkiem leczenia uzależnień od narkotyków w San Patrignano. Od Ronchi usłyszałem: „Andrea Muccioli, dyrektor tego ośrodka, powiedział im, że Marco zgodzi się na leczenie w warunkach szpitalnych dopiero wtedy, kiedy sięgnie samego dna. »To nie tak, że waszym synem jest Marco Pantani. Wasz syn ma niestety problem z uzależnieniem od narkotyków i tak samo jak wszyscy inni wymaga tego, żeby się od niego odwrócić«”. Po raz pierwszy zaakceptowali radę doświadczonego specjalisty. Spakowali kampera i wyjechali do Grecji.

Marco przez tydzień nie dawał znaku życia, a potem, 6 lutego, zadzwonił do Greco. Był w hotelu Jolly Touring w Mediolanie. Ronchi przeszukiwała hotele w całym mieście, ale ten jakoś jej umknął, i to pomimo tego, że w hotelu o tej samej nazwie wydarzył się jego dramat w Madonna di Campiglio. Tak samo nazywał się też hotel, w którym Marco zaliczył świąteczną przygodę z Barbarą w Miramare. Marco zameldował się krótko

po 23:30 w sobotę 31 stycznia. Stwierdził, że zostaje na kilka dni. Otrzymał pokój 344. Opuścił rolety i włączył ogrzewanie.

Greco poinformował Ronchi, że właśnie rozmawiał z Marco. Zadzwoniła do Pantaniego, a on ją przeprosił i zapytał, czy przywiezie mu ubrania i leki. Pojechała z tym do niego nazajutrz rano. Zostawiła mu rzeczy w lobby, dołączyła do nich list. Na kopercie zapisała numery telefonów do Greco, rodziców Marco i Fabrizio Borry. „W liście napisałam mu: »Nie chcę patrzeć, jak zabierają cię w kaftanie bezpieczeństwa. Zależy mi na tobie i dlatego chciałabym, żebyś pojechał ze mną do kliniki. Razem przejdziemy detoks i razem zaczniemy wszystko od nowa«". W niedzielę 8 lutego Marco zadzwonił do niej i poinformował, że postanowił nie iść do kliniki. „Powiedział mi: »Rodzice traktują mnie jak dziecko. Wiecznie przyjeżdżają mnie ratować. Jestem dorosłym mężczyzną i sam podejmuję takie decyzje, jakie chcę«. Odpowiedziałam mu: »W porządku, ale skoro sam możesz podejmować decyzje, to powinieneś dać radę wrócić do domu pociągiem. Nie potrzebujesz menedżera, żeby rezerwował ci samochód albo wzywał taksówkę«. To nie tak, że nie chciałam mu pomóc. Chciałam, żeby wywiązał się ze swoich obowiązków. Odparł: »W porządku, widzimy się w poniedziałek rano«".

W poniedziałek 9 lutego Marco zadzwonił do Ronchi i poprosił, żeby to ona przyjechała do niego. Powiedziała, że może być na miejscu najwcześniej o 14:00. Gdy zjawiła się w hotelu, już go tam nie było. Znowu gdzieś zniknął. „Już nigdy więcej go nie widziałam", powiedziała mi.

# Rozdział 22.

Ostatnie dni Marco Pantaniego

## 9–14 LUTEGO 2004

Marco wysiadł z taksówki, czarnego mercedesa klasy E, w okolicy Piazzale Gondar w Rimini, i odnalazł mieszkanie Carlino przy Via Regina Elena 23, bo tam mieszkał jego diler, Fabio Miradossa. Potem ruszył pieszo na południe, aż dotarł do Residence Le Rose, hotelu, w którym przed laty zatrzymał się Marco Ceriani.

O 14:43 zadzwonił do Miradossy z pokoju 5D. Połączenie trwało 11 sekund. Pół minuty później zadzwonił raz jeszcze. Tym razem rozmawiali 23 sekundy, czyli wystarczająco długo, żeby Miradossa przekazał mu, że jest w Neapolu. Silvia De Luigi, recepcjonistka w Residence Le Rose, powiedziała: „Pan Pantani wyszedł na jakieś 20 minut po 14:30. Zapamiętałam godzinę, bo oglądałam akurat telewizję. Potem wrócił do pokoju. Pamiętam, że wychodząc i wracając, przywitał się gestem dłoni". Marco wrócił wzdłuż Viale pod numer 23. Zadzwonił do drzwi Carlino. Giandomenico opowiadał potem policji: „Otworzyłem i zobaczyłem w nich Pantaniego. Zapytał, czy jest Fabio Miradossa. Gdy powiedziałem, że go nie ma, stwierdził: »Właśnie przyjechałem w pewnej sprawie z Mediolanu, a jego nie ma?«. Powtórzyłem, że Miradossy nie ma, że wyjechał na południe i że powinien wrócić pod koniec tygodnia".

O 18:00 Marco zadzwonił ze swego pokoju do recepcji. Zapytał, czy jest w pobliżu jakaś restauracja, zszedł do lobby, a potem zmienił zdanie. Poprosił, żeby nowy recepcjonista, Daniele Mangioni, zamówił mu pizzę margheritę. Mangioni zeznał: „Rzucił jeszcze żartobliwym tonem, że to pod warunkiem, że pizza będzie dobra. Odparłem mu równie żartobliwie, że da się zjeść. W tamtym momencie Pantani robił wrażenie zrównoważonego".

Tego wieczoru doszło do mnóstwa rozmów telefonicznych między Marco, Miradossą i wspólnikami Miradossy: o 19:03 Carlino zadzwonił z Rimini do Miradossy w Neapolu, dwie minuty później Miradossa oddzwonił z telefonu swojej dziewczyny. Rozmawiali przez sześć minut. O 19:29 Miradossa zadzwonił do Marco z budki telefonicznej przy Torre del Greco w Neapolu, nieopodal miejsca, w którym po południu odebrał dwa połączenia od Marco. O 19:43 i 19:49 Carlino dzwonił do Miradossy, wybierając numer jego dziewczyny. O 20:56 Marco zadzwonił do Pucciego, wspólnika Carlino, a minutę później wybrał numer samego Carlino. O 21:35 odebrał w swoim pokoju telefon od znajomego Miradossy. W czasie następnych 25 minut tenże znajomy dwukrotnie dzwonił na numer dziewczyny Miradossy, a potem, o 22:10, zadzwonił do pokoju Marco z budki telefonicznej przy Viale Regina Elena 83 – naprzeciwko hotelu. Chwilę potem wszedł do Residence Le Rose. Jego wizyta trwała dwie minuty.

Recepcjonista Mangioni opisał go jako „młodego mężczyznę, 28–30 lat, dobrze zbudowanego, 160–165 centymetrów wzrostu, z jasną karnacją, krótkimi ciemnymi włosami, ciemnymi oczami, zarostem, bez żadnego wyraźnego akcentu. Ubrany był w dżinsy, ciemny sweter – chyba brązowy – spod którego wystawała jasna koszula". Pantani powiedział recepcjoniście, żeby wysłał gościa na górę. Policja przygotowała potem zdjęcia

dziesięciu osób pasujących do tego opisu. Recepcjonista rozpoznał na nich Ciro Veneruso, 31-letniego robotnika fabrycznego z Neapolu. O 23:41 Marco, który był już w posiadaniu mającej go zabić kokainy (być może około 30 gramów), zadzwonił do Fabio Carlino. Rozmawiali przez półtorej minuty, potem Marco odłożył słuchawkę. Miał już nigdy więcej do nikogo nie zadzwonić.

Przez cztery dni Marco zachowywał się spokojnie, uprzejmie, pozostawał mniej lub bardziej niewidoczny. Potem, 13 lutego, wyłonił się z pokoju i rozmawiał z trzema osobami zajmującymi pokój nieopodal. Jedną z nich był Nelson Inglés, zawodowy koszykarz, który występował w klubie z Rimini. Marco wyszedł, gdy Inglés czekał na windę. Pantani stał w drzwiach pokoju i gapił się na korytarz. Inglés zapytał go, czy może przeszkadza mu jego muzyka. „Powiedział: »Nie«, ale dodał, że słyszał głosy z pokoju obok. Uważał, że za ścianą jego pokoju ktoś mieszka”. Sąsiedni pokój był jednak pusty. „Powiedział, cytuję: »Oszalałem«”. Emanuele Lunedei, kolega zespołowy Inglésa, zapamiętał następujące słowa Marco: „Otworzyłem drzwi, bo usłyszałem hałas. Chciałem zobaczyć, kto tak hałasuje”. Lunedei zeznawał dalej: „Robił wrażenie zdezorientowanego, mówił nielogicznie. Kilkukrotnie gwałtownie zmieniał mu się nastrój”. Gianandrea Pazzini zapamiętał, że Marco wdał się w szaloną debatę filozoficzną z samym sobą, coś w stylu: „Byt lub niebyt… Nie wiem, czy byt jest tym samym co niebyt, więc gdy tu jesteś, jesteś też gdzieś indziej, ale oni i tak na ciebie patrzą i widzą, co robisz… Z tego tunelu nie ma wyjścia…”. Powiedział to po włosku. Potem przestawił się na dialekt: „A ne só sui sará un altr dí per me”. Pazzini zrozumiał to jako: „Nie wiem, czy będzie dla mnie jakieś jutro”. Coś podobnego Marco powiedział Oliverowi Laghiemu,

restauratorowi, który przyniósł mu ostatni posiłek. Wszyscy czterej uznali, że Marco był niezrównoważony psychicznie albo przynamniej cierpiał na depresję.

Nazajutrz o 10:30 Marco zadzwonił do recepcji. Poprosił, by ktoś niezwłocznie do niego przyszedł. Recepcjonistka Lucia starała się przypomnieć sobie dokładnie jego słowa: „Jacyś ludzie mu przeszkadzali". Na górę poszły recepcjonistka i Larysa, Ukrainka z personelu sprzątającego. W środku panowała cisza. Wielokrotnie pukały do drzwi jego pokoju, ale Pantani im nie otworzył. Zadzwoniły do niego z pokoju obok. Odebrał i powtórzył, że „jacyś ludzie mu przeszkadzają". Lucia zaproponowała, że wezwie jakąś pomoc, ale Marco odparł: „Teraz to już niczego nie zmieni". Krótko po 11:00 Marco zatelefonował znowu. „Powiedział, że ktoś go nieustannie niepokoi, że to niedopuszczalne i że mam zadzwonić po *carabinieri*". Lucia zadzwoniła do właściciela hotelu, który wyjechał na weekend. Powiedział jej, że ma iść na górę i spróbować otworzyć drzwi, żeby z nim pomówić. Marco nie reagował na pukanie, więc Lucia i Larysa otworzyły drzwi za pomocą głównego klucza i próbowały je otworzyć. Stwierdziły, że są zablokowane. Marco powiedział do nich coś niezrozumiałego.

Potem nastała cisza. O 17:30, po zmianie na recepcji, na górę poszedł Pietro Buccellato i długo dobijał się do drzwi. Marco nie otworzył, nie odebrał też żadnego z licznych telefonów od Buccellato. Potem znowu zadzwonił właściciel i tym razem nalegał już, żeby jego pracownik coś zrobił. O 20:45 Buccellato wziął dwa ręczniki i poszedł na górę. Otworzył drzwi kluczem i siłą przepchnął meble, którymi było zastawione wejście. Znalazł Marco martwego w kałuży krwi obok łóżka. Tym razem Marco przesadził – z tego samookaleczenia, z tego wyzbycia się

wszystkiego, co ziemskie, nie mogło go podnieść nawet jego niezniszczalne serce.

Buccellato zadzwonił na numer alarmowy policji i powiedział coś w stylu: „Mamy w pokoju osobę, która nie daje oznak życia. Wydaje nam się, że to kolarz Marco Pantani". Operator centrali bezzwłocznie zadzwonił do Giuseppe Lanciniego, dowódcy Pierwszej Sekcji Jednostki Mobilnej policji w Rimini, specjalizującej się w zabójstwach: „Wezwali mnie do przedawkowania. Dopiero potem się dowiedziałem, że chodzi o Pantaniego. Pojechałem na miejsce, zobaczyłem, że to nie jest typowe przedawkowanie, i dopiero wtedy wezwałem współpracowników. Przed hotelem zaczęli się zbierać fani i reporterzy. Chcieliśmy osobiście poinformować rodzinę, więc skontaktowaliśmy się z *carabinieri* w Cesenatico i poprosiliśmy, by namierzyli jego krewnych. Dowiedzieliśmy się od nich, że willa jest zamknięta i że rodzina wyjechała do Grecji. Skontaktowaliśmy się z siostrą, Manolą. Przyjechała z Mengozzim i jeszcze jednym mężczyzną. Przez nią skontaktowaliśmy się z rodzicami. Rozmawialiśmy z matką, a ta potem przekazała telefon ojcu. Zapytałem, kiedy wrócą. Ojciec powiedział, że we wtorek. Byłem tym zaskoczony. Spodziewałem się, że zrobią to natychmiast. Ojciec odparł, że nie ma gdzie zostawić kampera. Telefon wziął ode mnie mężczyzna towarzyszący Manoli i powiedział, że pojedzie do Grecji po tego kampera, ale ojciec konsekwentnie powtarzał, że wrócą najwcześniej we wtorek".

Tymczasem skontaktowano się z sędzią Paolo Gengarellim z sądu w Rimini, który przejął kontrolę nad dochodzeniem.

„Każdy denat po przedawkowaniu ma jakiegoś dilera" – tłumaczył Lancini. – „Przeprowadzilibyśmy drobiazgowe śledztwo bez względu na to, czy chodziło o Pantaniego, czy nie. Znaleźliśmy ewidentne ślady po dużych ilościach kokainy na

nocnym stoliku i na podłodze, znaleźliśmy też opakowania leków psychoaktywnych. Od tego momentu wszystko robili już moi ludzie, a nie mundurowi. Wezwano techników kryminalistycznych, którzy sfilmowali miejsce zdarzenia. Upadając, Pantani uderzył o podłogę. Miał również obrażenia na ramieniu. Nie dziwiły nas one, bo pokój był kompletnie zniszczony. Wymontował nawet przykręconą do mebli mikrofalówkę, żeby zabarykadować nią drzwi. Stłukł lustro w łazience i zdjął pokrowiec z materaca. [W rzeczywistości lustro było całe].

Na balustradzie schodów prowadzących do sypialni na antresoli, na której znaleziono ciało, Marco przywiązał prześcieradło oraz rurę wyjętą z klimatyzatora. Dochodzenie koncentrowało się na tym, czy zanim przedawkował, usiłował popełnić samobójstwo. Nie wykluczam, że chciał się powiesić, nawet jeśli prześcieradło znajdowało się za nisko i nie było pod nim żadnego mebla".

Doktor Marisa Nicolini określiła czas zgonu na 21:20. Doktor Francesco Toni, patolog sądowy, oszacował czas zgonu między 14:00 a 17:00. Jego wstępna diagnoza zakładała, że przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca wywołane trudnościami z oddychaniem z powodu nadużywania narkotyków.

W Le Rose Pantani zupełnie nieświadomie został sąsiadem swojego dawnego rywala, ostatniego klasycznego górala, który pokonał go, gdy Marco był w szczycie formy. Na piątym piętrze budynku stojącego naprzeciwko hotelu razem z żoną Anną mieszkał Pēteris Ugrjumovs, rosyjskojęzyczny Łotysz, który w Tour de France 1994 zajął drugie miejsce, za Indurainem i przed Pantanim.

W sobotę 14 lutego o 21:00 Ugrjumovs zszedł na dół, by odebrać pizzę od Olivera Laghiego, tego samego, który zaniósł ostatni posiłek Marco. „Oliver powiedział mi, że widział

Pantaniego i że ten zrobił na nim wrażenie przygnębionego lub nieobecnego. Rzuciłem: »Jutro pójdę z nim pogadać«. Gdy wróciłem na górę, zadzwonił telefon. Dzwonił pewien Rosjanin, który też mieszkał w Rimini. Usłyszałem od niego: »Pēteris, włącz telewizję. Pantani nie żyje«. Wyszedłem na balkon i na ulicy zobaczyłem tłum. Tej nocy nie mogłem spać. Znałem Marco, mieliśmy wspólnych znajomych. No ale do niego nikt nie mógł się zbliżyć. Czuł się atakowany i odizolowany. Potrzebował więcej pomocy, niż byłem w stanie mu dać".

Profesor Giuseppe Fortuni, wykładowca medycyny sądowej na Uniwersytecie w Bolonii, został poproszony o zbadanie zwłok oraz pokoju, w którym znaleziono Marco. Spotkałem się z nim w filii tej uczelni w Cesenie. Jego ciepłe brązowe oczy skojarzyły mi się z Nicolą Amaduccim, człowiekiem, który pracował z młodzieżą i jako pierwszy posadził Marco na rowerze. Ale młodą twarz profesora okalały siwe włosy i broda. To prawdziwy weteran z ponad 35 tysiącami autopsji na koncie. Można powiedzieć, że całe życie upłynęło mu w towarzystwie ludzi, którzy dopiero co zmarli.

„Każda powierzchnia płaska była pokryta cienką warstwą kokainy, nawet te znajdujące się z dala od łóżka. W ostatnim miesiącu życia zażywał ją w bardzo dużych dawkach. Długie zażywanie kokainy prowadzi do uszkodzenia błon śluzowych, więc przyjmowanie jej przez nos staje się mniej skuteczne. Dlatego oprócz wciągania kokainy Marco ją również jadł i wchłaniał przez dziąsła. W ostatnim miesiącu życia na samą kokainę wydał 20 tysięcy euro i zażył absolutnie wszystko, co za to kupił. Nie został nawet gram. Stężenie narkotyku w jego organizmie sześciokrotnie przekraczało dawkę śmiertelną. Ta odrobina, którą znaleźliśmy, znajdowała się w jego ustach

w formie kulki z narkotyku i okruchów pieczywa, najprawdopodobniej ją ssał.

Wszędzie znaleźliśmy ślady śluzu i krwi, co wynikało z podrażnienia błon śluzowych. Organy wewnętrzne znajdowały się w dobrym stanie, choć na sercu można było znaleźć małe obszary zawałowe – miejscowe fragmenty martwej tkanki – będące charakterystycznym symptomem uzależnienia od kokainy. Fizycznie jednak był w całkiem niezłej kondycji. Śmierć spowodowało zatrucie kokainowe, a nie fizyczne wyniszczenie organizmu, nawet jeśli można się było dopatrzyć oznak wieloletniego zażywania narkotyków. Poddała się jego głowa, nie ciało.

Nie zażywał innych środków odurzających. W całym pokoju nie było na przykład ani kropli alkoholu. Znaleźliśmy tam natomiast środki psychoaktywne zapisane przez doktora Greco. Jeśli chciał się zabić, to miał wszystko, co do tego potrzebne: barbiturany, tabletki nasenne, leki przeciwlękowe. Gdyby chciał, mógłby zrobić z tego zabójczy koktajl. Tymczasem on zażywał te leki w przepisanych mu dawkach. Podejrzewam, że był to już automatyczny odruch. Nie sądzę, aby umiał jeszcze trzeźwo ocenić sytuację.

Jeszcze jedno: wszyscy podkreślali, że sporo przytył. Słyszałem, że miał 30 kilogramów nadwagi, ale Pantani, który znalazł się przede mną, bardzo przypominał Pantaniego sportowca".

Fortuni opisywał, jak objawia się delirium kokainowe: „Rozmontował w pokoju dosłownie wszystko: meble, lustra, kontakty. Nie robił tego w gniewie, ale w delirium prześladowczym, to była czysta paranoja. Zabarykadował meblami drzwi, najprawdopodobniej po to, żeby powstrzymać przed wejściem do pokoju kogoś obcego". W pokoju nie

znaleziono sprzętu do palenia cracku, nie zostało też nic z 12 tysięcy euro.

Serce Marco, które nie chciało się poddać, najprawdopodobniej powodowało jedynie, że cierpiał dłużej. Fortuni wyjaśnia: „Jeśli chodzi o samobójstwo, kokaina nie jest najlepszym rozwiązaniem. Przedawkowanie heroiny pozwala zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Żeby zabić się za pomocą kokainy, potrzeba bardzo dużo pieniędzy, a i tak efekt nie będzie gwarantowany. Marco umierał zapewne przez dłuższy czas. To była paskudna śmierć".

Ronchi do dzisiaj ostro krytykuje autopsję Marco: „Gdy Marco umarł, zamówiono badanie szpiku kostnego. Nie przeprowadza się go rutynowo w każdym przypadku. Ktoś zadzwonił do sądu w Rimini i zawnioskował o wykonanie tego badania w przekonaniu, że ujawni ono fakt stosowania EPO przez całą jego karierę. No ale badanie nic takiego nie wykazało. Wykazało, że w ostatnich sześciu miesiącach życia Pantani nie stosował EPO. Autopsja wskazywała również na dobry stan organów wewnętrznych. Gdyby Pantani stosował EPO w trakcie kariery, badanie szpiku kostnego wykazałoby odpowiednie uszkodzenia organów wewnętrznych. Nic takiego nie znaleziono. Tak więc doktor Fortuni w swoim sprawozdaniu z autopsji stwierdza: »Wykluczam możliwość, że w ostatnich miesiącach życia Pantani stosował EPO, ponieważ nie znalazłem żadnych śladów, które mogłyby o tym świadczyć. Nie wykluczam natomiast, że stosował EPO wcześniej«. [Wydaje się, że w tym miejscu Ronchi kończy cytować]. No ale on nie stosował EPO, bo gdyby to robił, zostałyby po tym trwałe ślady w szpiku kostnym".

Przedstawiłem jej punkt widzenia Fortuniemu, który stwierdził: „Badanie szpiku kostnego nie zostało zlecone przez jakąś stronę trzecią, ale przez sąd zajmujący się tym śledztwem.

Pozwala ono zebrać przydatne dane dotyczące zażywania kokainy i w tym przypadku ujawniło, że Pantani zażywał ten narkotyk od dawna. W sprawozdaniu z autopsji nie ma choćby wzmianki o EPO, ponieważ nie było ono przedmiotem śledztwa. Dochodzenie dotyczyło wyłącznie przyczyn i okoliczności śmierci Pantaniego. Prawdą natomiast jest, nawet jeśli mało istotną, że badanie szpiku kostnego wykazało, że w ostatnich miesiącach życia Marco nie stosował EPO, przy czym mam tu na myśli ostatnie półtora, góra dwa miesiące. Nie znalazłem żadnych śladów stosowania EPO, ale też nie ma żadnych gwarancji, że takie ślady by były. Nie da się stwierdzić, czy przez całe życie Pantani stosował EPO i czy brał ten środek w małych, czy w dużych ilościach".

Co dziwne, nazajutrz po śmierci Marco w rozmowie z policją Manuela Ronchi wymieniła nazwisko Pissacroi: „Pissacroia powiedział, że to ważne, aby utrzymywać Pantaniego w warunkach rywalizacji sportowej i że nie wywoła to żadnych problemów fizycznych, a wręcz przeciwnie, wspomoże go pod względem psychicznym". Pissacroia odparł: „To nieprawda. Miałem dokładnie przeciwny pogląd na tę kwestię. Tak czy owak, od 20 czerwca 2002 roku nie byłem już nawet opłacany przez firmę Ronchi". Pissacroia uważa, że zrezygnowano z jego usług, ponieważ uważał, że życie Marco zależy od zakończenia przez niego kariery sportowej.

Ciro Veneruso, który dostarczył mu ostatnią, śmiertelną dawkę kokainy, dowiedział się o jego śmierci już feralnego wieczoru. O wpół do dwunastej wyłączył telefon komórkowy, wyjął z niego kartę SIM i ją zniszczył. Policjanci z Rimini zatrzymali go w piątek 18 maja, a wraz z nim aresztowali Miradossę i Carlino. Początkowo Veneruso powiedział śledczym: „Wtedy, 9 lutego 2004 roku, pojechałem do hotelu Residence Le Rose do

Marco Pantaniego, ale tylko z nim rozmawiałem, nie przekazałem mu kokainy". Śledczy wychodzili z założenia, że kokaina, po zażyciu której zginął Marco, pochodziła od Miradossy, Carlino i Veneruso. Na podstawie wcześniejszych dostaw, zeznań świadków oraz danych z rachunków bankowych śledczy nie uwierzyli w ilości podawane przez dilerów w zeznaniach. Podejrzanych oskarżono oficjalnie o dostarczenie 100 gramów kokainy.

Zatrzymano również „Barbarę". Okazało się, że nazywa się Elena Korowina, ma 30 lat i pochodzi z Moskwy. Do Włoch przyjechała w wieku 22 lat, wyszła za mąż – dostała włoskie obywatelstwo – a potem się rozwiodła. Zaniosło ją ku życiu nocnemu w Riccione, gdzie tańczyła w nocnych klubach i przyjmowała pieniądze w zamian za seks. Po śmierci Marco zeznała: „Nie przestawał mówić o Christine. Twierdził, że ją kocha i że jest jego miłością". Charakteryzując ich znajomość, Korowina nie była zbyt sentymentalna: „Spotkałam się z Pantanim siedem czy osiem razy, ale potem nabawił się paranoi i zrozumiałam, że jest z niego trudny przypadek".

Marco płacił jej rzekomo dwa tysiące euro za noc. Normalnie liczyła klientom jedną trzecią tej kwoty. Za kokainę Marco też płacił więcej, niż wynosiła cena rynkowa. W obu przypadkach usiłował kupić w ten sposób nie tylko seks i prochy, lecz także milczenie. Gdy Tonina sprzątała jego pokój w rodzinnej willi, znalazła papiery, które mogą odnosić się do Korowiny. W jednym z fragmentów Marco napisał: „Od jakiegoś czasu ludzie bardzo mi bliscy, którzy chcą mnie zniszczyć, zmuszają mnie do zażywania narkotyków, ale ja zawsze pozostanę czysty. Manipuluje mną najdroższa mi osoba". Na innej kartce napisał: „W tym okresie wiele osób zarobiło pieniądze, nawet jedna kobieta, która doprowadza mnie do szału".

Trzy dni później aresztowany został „Peru”, czyli Alfonso Gerardo Ramirez Cueva, 34-letni Peruwiańczyk, który 26 grudnia 2003 roku dostarczył kokainę do hotelu Touring Miramare.

Tonina nie była zadowolona z przebiegu śledztwa w sprawie śmierci syna. Wątpliwości zgłaszała całymi miesiącami, a nawet latami. We wrześniu 2005 roku w wywiadzie dla „La Voce di Cesena” zwróciła uwagę, że w pokoju, w którym zmarł Marco, nie znaleziono jego czapki baseballówki. Kilka tygodni później twierdziła, że znalezione tam dwie kurtki nie należały do niego. Podkreślała, że w pokoju musiał być z nim ktoś jeszcze.

Jej argumenty nie robiły wrażenia na śledczych, którzy dokładnie przeczesali pomieszczenie. Tonina ewidentnie nie umiała pogodzić się z tym, co się stało. Ale czy w śledztwie faktycznie były jakieś luki? Każdy autor powieści kryminalnych doskonale wie, że zawsze jest jakieś inne wyjście. Być może da się wejść do Residence Le Rose i wyjść stamtąd przez jakieś wyjście pożarowe, tak żeby recepcjonista tego nie zauważył. A co z przemytnikiem Nevio Rossim? Śledczy nie znaleźli śladu po kokainie, którą Marco pokazywał mu 2 stycznia. Czy Nevio to wszystko wymyślił? Czy to *on* był dostawcą kolarza w ostatnich dniach? A może w ogóle był to ktoś inny?

Marco wcześniej zażywał duże ilości kokainy i robił to wielokrotnie. Niszczył pokoje w Saturnii, na Kubie, u Mengozziego i w hotelu Miramare. Z billingów telefonicznych wynika, że w całej sprawie nie brał udziału nikt więcej. W świetle zarzutów z artykułu 586 włoskiego Kodeksu karnego – „spowodowanie śmierci lub poważnych obrażeń ciała na skutek innego przestępstwa” – Miradossa, Veneruso i Ramirez Cueva w zamian za złagodzenie wyroków przyznali się do winy i opowiedzieli policji wszystko, co wiedzieli. Zostali skazani 19

października 2005 roku. Miradossa, jako handlarz, usłyszał wyrok czterech lat i dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności. Veneruso, kurier, został skazany na trzy lata i dziesięć miesięcy. Ramirez Cueva trafił do więzienia na rok i 11 miesięcy. Wyroki skazujące zapadły na podstawie solidnego materiału dowodowego. Nie było w tym żadnej tajemnicy. Swojej niewinności usiłowały dowodzić jedynie uboczne postaci w tej sprawie, czyli pośredniczka Korowina i Carlino, który zapewnił handlarzom bazę logistyczną.

Mario Pugliese, kolega Marco z czasów szkolnych i główny reporter „La Voce di Cesena" w Cesenatico, uważał, że śmierci Pantaniego należało się spodziewać. Pugliese sporządził nekrolog Marco na tydzień przed jego śmiercią. W rozmowie ze mną powiedział: „To było zaskoczenie dla opinii publicznej, ale nie dla tych, którzy go znali. Rozmawiałem nawet z naczelnym, czy nie opublikować felietonu zatytułowanego *Milczenie zabija Pantaniego*. Niestety, za późno".

# Rozdział 23.
# Ostatnie niedomówienia

## 16 LUTEGO 2004

Szesnastego lutego 2004 roku w sądzie w Ferrarze zapadł wyrok w sprawie Conconiego. Marco nie żył od niecałych dwóch dni. Teraz można było spróbować zbliżyć się do prawdy o nim jako sportowcu. Wyrok sądu w tej sprawie (podobnie jak wiele innych dokumentów, które pozyskałem w ramach poszukiwań materiałów do tej książki) przedstawia historię zawodową Marco, która pod każdym względem kłóci się z jego publicznym wizerunkiem – nieskazitelnego sportowca i dziedzica złotej epoki kolarstwa, „artysty pośród globalnych gwiazd", jak sam się wyraził. Być może najbardziej doniosłym z tych dokumentów był raport sporządzony przez profesora Giuseppe Banfiego, dyrektora ds. zdrowia w Instytucie Klinicznym Villa Aprica w Como i wykładowcę w Szkole Biochemii Klinicznej przy Uniwersytecie w Mediolanie, oraz profesora Giuseppe D'Onofrio, patologa klinicznego z Rzymu, o którym pisałem już w rozdziale 19. Drugiego października 2001 roku zlecono im przygotowanie szczegółowej analizy naukowej materiałów dowodowych zebranych przez śledczych badających działalność Centrum Stosowanych Badań Biomedycznych na Potrzeby Sportu. Materiał dowodowy obejmował między innymi pliki dblab.wdb oraz epo.wks, zawierające dane Marco Pantaniego wraz z – jak wszystko na to wskazywało – autentycznymi wynikami badań krwi (choć obrona próbowała to podważać). Banfi i D'Onofrio ukończyli obszerny raport 12 lutego 2002 roku.

Większa część tego dokumentu dotyczy wyników badań krwi odnotowanych w bazie danych dblab.wdb. W grudniu 1999 roku w posiadanie części z nich wszedł Eugenio Capodaqua z gazety „La Repubblica”. Obrona zbudowała skomplikowaną teorię mającą uzasadniać, że danych tych nie można automatycznie uznać za autentyczne. Adwokaci utrzymywali, że pracownicy centrum prowadzili badania biochemiczne i hematologiczne na bardzo niewielkich próbkach krwi. Jakby tego było mało, próbki krwi zwykle docierały do nich częściowo odwirowane na skutek wstrząsów i wibracji występujących w transporcie. Teoria ta zakładała, że wskutek tego częściowego odwirowania mogło dojść do pękania czerwonych krwinek i zanieczyszczenia osocza, jeszcze zanim próbka mogła zostać poddana prawidłowemu badaniu w warunkach laboratoryjnych. Dlatego zamiast wykonać tę procedurę po badaniu krwi, pracownicy Centrum systematycznie usuwali niewielką ilość osocza dla celów badawczych jeszcze *przed* wykonaniem testów. W związku z tym wyniki badań krwi miały być zniekształcone, a konkretnie zawyżone miały być wartości hematokrytu, hemoglobiny i liczby czerwonych krwinek. Mimo to na podstawie tych wyników nadal można było badać średnią masę hemoglobiny w czerwonej krwince (MCH). MCH to podstawowy wskaźnik przetrenowania, a właśnie tą problematyką zajmowali się pracownicy Centrum.

Banfi i D’Onofrio szczegółowo przeanalizowali argumentację obrony. W obecności przedstawicieli sądu oraz biegłych wskazanych przez obronę przeprowadzili eksperymenty laboratoryjne, a do tego – co nie jest standardową praktyką – przesłuchali Conconiego, by dowiedzieć się więcej na temat jego nieortodoksyjnych metod. Sformułowali wiele argumentów obalających tezę obrony. Część z nich ma bardzo naukowy charakter: obrońcy podkreślali między innymi, że słuszność

teorii dotyczącej usuwania osocza z próbek krwi można wykazać na przykładzie analizy zależności między populacjami białych i czerwonych krwinek w próbkach, których wyniki badań znalazły się w pliku dblab.wdb. Banfi i D'Onofrio poświęcili tej kwestii 26 stron. Nie znaleźli absolutnie żadnej korelacji między liczbą białych i czerwonych krwinek, która potwierdzałaby, że usunięcie osocza spowodowało odchylenia innych wskaźników. Dwie analizowane wartości pozostawały zdecydowanie nieskorelowane.

Inne argumenty Banfiego i D'Onofrio były elementarne. Zauważyli między innymi, że w pliku dblab.wdb znajdują się kolumny dla 32 parametrów krwi. Badania te prowadzono przez co najmniej dwa lata, a mimo to nikt nie wpadł na to, żeby dodać tam 33. kolumnę, w której można by odnotowywać MCH, stanowiącą rzekomo podstawowy cel tworzenia tej bazy danych. Nie zrobiono tego nawet mimo faktu, że stosowany w laboratorium przyrząd Technicolor-Bayer H*2 automatycznie podaje wartość MCH przy każdym badaniu. Zauważyli również, że usunięcie osocza uniemożliwiłoby stwierdzenie anemii wśród dawców próbek, a żadne badania nad zdrowiem sportowców nie mogły pomijać tak powszechnie występującego problemu zdrowotnego. Zwracali uwagę, że Conconi i jego ludzie rzekomo prowadzili te badania *bona fide*, z myślą o publikacji ich wyników, ale przecież żadne szanujące się czasopismo naukowe nie opublikowałoby ich pracy bez rzetelnych i wiarygodnych wyników badań krwi. W ogromie dokumentów zajętych przez policję w siedzibie Centrum i przedstawionych do analizy przez obronę nie znaleziono niczego, co mogłoby sugerować, że którykolwiek z pracowników Centrum w ogóle interesował się wartościami MCH. Argumentacja obrony upadła.

Co ciekawe, w olbrzymiej ilości wyników badań biegli znaleźli próbki zupełnie normalne i takie ze skrajnie dużymi odchyleniami od normy. Żeby jakoś to uporządkować, podzielili dane według dyscyplin uprawianych przez sportowców: narciarze biegowi (39 badanych), biatloniści (11 osób) i kolarze (96 zawodników). Wtedy nagle zaczęli dostrzegać prawidłowości. W każdej z tych grup dało się wskazać podgrupę (byli to zwykle najbardziej utytułowani zawodnicy w swoich dyscyplinach), w przypadku których wahania wyników hematokrytu sięgały ponad 19 procent, a to zdecydowanie większa zmienność niż ta występująca naturalnie. Co więcej, fluktuacje te pokrywały się dokładnie z przebiegiem kalendarza sportowego w poszczególnych dyscyplinach. Poza sezonem nikt ich nie badał, pierwsze pomiary pojawiały się na początku sezonu i wtedy wartość hematokrytu u poszczególnych osób zaczynała stopniowo rosnąć. W szczycie sezonu występowały najwyższe wartości hematokrytu. Narciarze biegowi osiągali je co roku w lutym, biatloniści w grudniu, a kolarze – w maju, czerwcu i lipcu, czyli wtedy, gdy jechały Giro d'Italia i Tour de France.

Sezonowe zmiany wartości hematokrytu u 27 kolarzy o największej fluktuacji tego wskaźnika – 20 procent lub większej – zostały przedstawione na ilustracji 6 (w raporcie D'Onofrio i Banfiego jest to „Ilustracja 15"), przedrukowanym poniżej. Wykres znakomicie pokazuje dołki na początku i końcu sezonu oraz wyraźny wzrost w okresie od marca do października. Nie istnieje żaden znany stan patologiczny, który mógłby wywołać takie zmiany w organizmie jednej osoby, a co dopiero u 27 zawodników pokazanych na tym wykresie. Eksperci uznali: „Jakiś czynnik niefizjologiczny wywołuje zmiany poziomu hematokrytu w okresie od marca/ kwietnia do września. Zmiany te następują niemal zupełnie niezależnie od

wartości białych krwinek, do tego z większą intensywnością i jednorodnością w jednym zespole w porównaniu z pozostałymi [nie był to aluzja do teamu Carrera, który na »Ilustracji 15« miał dziesięciu zawodników, a do ekipy Gewiss, jej sportowców było na wykresie 11]. […] Skutki oddziaływania tego czynnika zewnętrznego nie mogły umknąć uwadze lekarzy i naukowców z Centrum w Ferrarze, którzy często zajmowali się kolarzami osobiście, na mocy różnych umów".

W grupie kolarzy, których wartości zostały przedstawione na wykresie, znalazło się dziewięciu byłych lub ówczesnych partnerów zespołowych Pantaniego, no i oczywiście on sam. Wykonane analizy prowadzą do jedynego oczywistego wniosku: „Jest wysoce nieprawdopodobne, aby przyczyną tych wahań mogło być systematyczne usuwanie osocza, skoro w tak wielu próbkach – w porównaniu z pozostałymi – ilość hematokrytu najpierw rosła, a potem malała, i to w wielu zespołach".

Wszelkie wątpliwości co do autentyczności wyników badań krwi zawartych w pliku dblab.wdb zostały rozwiane, gdy śledczy weszli w posiadanie korespondencji pracowników Centrum z doktorem Claudio Locatellim z Włoskiego Związku Sportów Zimowych. W wiadomościach tych Locatelli był informowany o wynikach badań krwi, które pokrywały się z wartościami odnotowanymi w bazie dblab.wdb. Wnioski płynące z „Ilustracji 15" Banfiego i D'Onofrio są zatem oczywiste: duża część międzynarodowego środowiska kolarskiego stosowała EPO w celu manipulowania wynikami wyścigów.

Te ustalenia pokrywały się z informacjami opublikowanymi w grudniu 1999 roku w gazecie „La Repubblica". Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że między majem 1994 roku a sierpniem 1995 roku Marco wspomagał się chemicznie. Jak

nakładało się to na zażywanie przez niego kokainy? Historia dopingu Pantaniego zaczyna się już w maju 1994 roku, jeśli nie wcześniej. Żył i pracował w środowisku, w którym sztuczne wspomaganie organizmu było czymś normalnym i akceptowanym. Gdy latem 1999 roku – a może wcześniej – zaczął regularnie zażywać kokainę, w jego życiu nie istniała już choćby jedna sfera, w której nie byłby uzależniony od jakichś środków chemicznych. Jest zupełnie możliwe, że po prostu nie wyobrażał sobie siebie samego bez tej formy wspomagania.

Niewykluczone, że stosował środki dopingujące nawet dłużej. Jego nazwisko znalazło się również w bazach danych wcześniejszych od słynnego pliku dblab.wdb, które zostały znalezione w Centrum w Ferrarze. Marco Pantani pojawia się w bazie danych diana.wdb, datowanej na 18 grudnia 1991 roku, czyli na osiem miesięcy *przed* jego debiutem w kolarstwie zawodowym (do którego doszło 5 sierpnia 1992 roku). Baza ta zawiera wartości białych krwinek dla kilku zawodników zakontraktowanych przez zespół Carrera, co mogło sugerować na przykład, że ktoś chciał monitorować reakcje układów odpornościowych tych kolarzy. Tylko po co? Być może odpowiedź na to pytanie kryje się już w samej nazwie pliku: „diana", która może nawiązywać do Dianabolu, sterydu anabolicznego. Jest zupełnie możliwe, że na progu jego kariery zawodowej ktoś postanowił zwiększyć mu masę mięśniową. Jeśli to prawda, to triumf Marco w Giro d'Italia amatorów z 1992 roku nie był wyłącznie jego zasługą i został osiągnięty dzięki wsparciu chemicznemu.

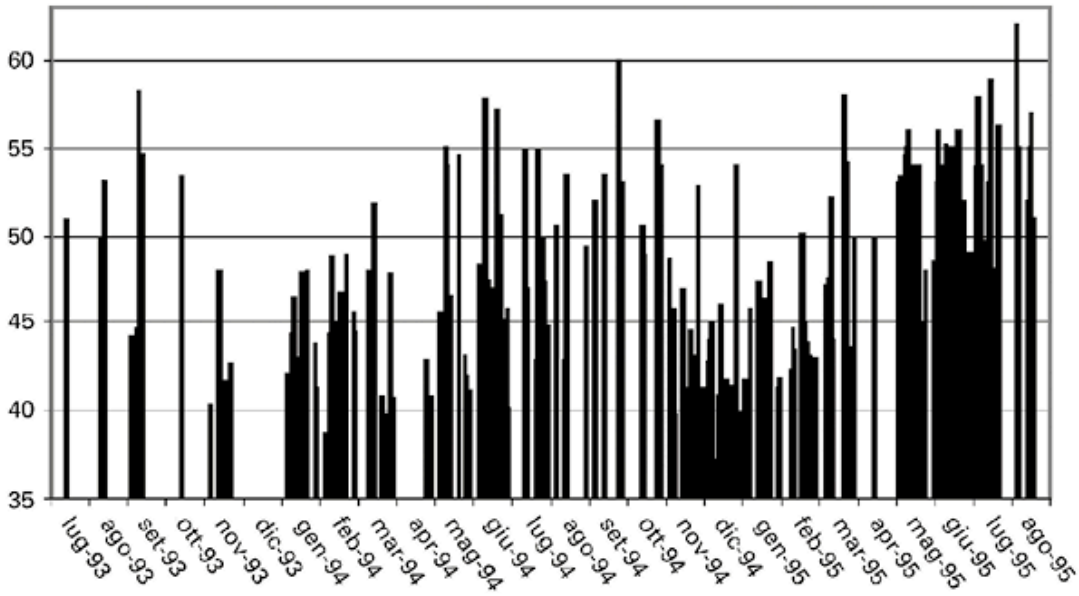


Ilustracja 6. Sezonowe wahania hematokrytu u kolarzy ze zmiennością tego wskaźnika na poziomie co najmniej 20 procent, na podstawie danych z dblab.wdb (D'Onofrio, Banfi)

W tym kontekście warto wspomnieć o jeszcze jednym pliku, epo.wks. Wpis z danymi Marco z 13 listopada 1992 roku zawiera zupełnie normalne wartości hemoglobiny (15,2 procent) oraz rozpuszczalnego receptora transferryny, markera krwi, któremu Pantani przyglądał się jako potencjalnemu pośredniemu wyznacznikowi stosowania terapii r-EPO (1,24 mg/l). W kolumnie z nagłówkiem „Poddany terapii: tak/nie" wpisano wartość „nie", podobnie jak przy wpisach z 3 lutego 1993 roku i 19 kwietnia 1993 roku. W tych dwóch ostatnich badaniach wartość rozpuszczalnego receptora transferryny jest za to dwukrotnie wyższa niż 13 listopada 1992 roku – wynosi odpowiednio 2,44 mg/l i 2,30 mg/l. Wyjaśnienie można znaleźć w zupełnie innej części bazy danych, schowanej głęboko, bo aż 48 kolumn na prawo. Tam w kolumnie „Poddany terapii: tak/nie" w przypadku obu dat – 3 lutego i 19 kwietnia 1993 roku – wprowadzono już wartość „tak".

Dowodziłoby to, że Marco został po raz pierwszy poddany terapii r-EPO właśnie w tamtym okresie. Bez wątpienia pomogła mu ona podczas intensywnych występów wiosną 1993 roku. Terapia zakończyła się 10 maja 1993 roku, w połowie Giro del Trentino, bo wtedy odnotowana u niego wartość rozpuszczalnego receptora transferryny spadła do 1,98 mg/l, a w kolumnie „Poddany terapii: tak/nie" podano wartość „nie". Wartości rozpuszczalnego receptora transferryny z 14 maja (ostatni dzień Giro del Trentino), 27 maja i 3 czerwca wynosiły odpowiednio: 1,65 mg/l, 2,27 mg/l oraz 1,93 mg/l. Za każdym razem Marco był opisany jako niepoddany terapii. Te trzy badania krwi, ostatnie w tym sezonie, zostały wykonane pod fałszywym nazwiskiem. W dwóch pierwszych przypadkach podano nazwisko „Ponti", a w trzecim „Padovani". Być może chodziło o to, żeby to samo nazwisko nie występowało w dokumentacji zbyt często. Marco ukończył tamtą edycję Giro del Trentino na piątym miejscu w generalce.

Ogólnie jednak wydaje się, że w jego pierwszym roku kariery zawodowej nikt nie stosował na nim intensywnego dopingu krwi. Być może wynikało to z faktu, że trafił do mocnego zespołu, który składał się z utytułowanego w wyścigach etapowych lidera (Claudio Chiappucci), dwóch jego porządnych zmienników (Stephen Roche i Władimir Pulnikow), doskonałego sprintera (Guido Bontempi) i znakomitego specjalisty od klasyków (Rolf Sørensen). W pliku epo.wks przy nazwiskach tych wszystkich kolarzy w kolumnie „Poddany terapii: tak/nie" widnieje wartość „tak". Mogło to również wynikać z faktu, że z uwagi na problemy z plecami, które leczył u fizjoterapeuty, nie uznawano go za zawodnika na tyle obiecującego, żeby warto było w niego tak dużo inwestować.

Jak już wiemy, wyniki badań krwi z lat 1994 i 1995 są podane w bazie danych dblab.wdb, istotnie większej od epo.wks

i sporządzonej w innym formacie. Oprócz kolumn informujących o nazwisku, ksywce, dyscyplinie i płci sportowca, a także dacie wykonania badania baza zawiera jeszcze 32 kolumny na parametry krwi. Pierwsze badanie wykonano 4 stycznia, w trakcie przedsezonowych treningów. Wykonano je pod zmodyfikowanym nazwiskiem „Panzani". Liczba czerwonych krwinek, hemoglobina oraz hematokryt – odpowiednio: 4,74 x 1012/litr, 14,4 g/dl i 43,5 procent – bezpiecznie mieszczą się w normach. Badanie wykonane miesiąc później, 3 lutego, pod nazwiskiem „Panti" dało już wyniki lekko zawyżone, ale ciągle jeszcze w granicach zmienności fizjologicznej: 4,83 x 1012/litr, 15,0 g/dl i 45,3 procent. Badania wykonane 16 marca pod prawdziwym nazwiskiem wykazały u Marco najniższe wartości ze wszystkich w tym pliku: liczba czerwonych krwinek wyniosła 4,41 x 1012/litr, hemoglobina – 13,7 g/dl, a hematokryt – 40,7 procent. Trzy dni później Marco wycofał się z jednodniowego wyścigu Mediolan–San Remo.

Kolejne badanie krwi odnotowane w bazie danych dblab.wdb jest opatrzone datą 23 maja 1994. Był to drugi dzień tej edycji Giro d'Italia, w której Marco miał wygrać dwa etapy górskie i zająć drugie miejsce w klasyfikacji generalnej. W czasie 63 dni między 16 marca a 23 maja zawodnik przeszedł prawdziwą przemianę. Jego liczba czerwonych krwinek wzrosła z 4,41 do 5,59 x 1012/litr, co oznacza wzrost o 26,8 procent. Hemoglobina podskoczyła mu z 13,7 g/dl do 17,2 g/dl, co daje wzrost o 25,5 procent. Hematokryt poszybował u niego z 40,7 procent do 54,5 procent – wzrost o 33,9 procent. W tym samym okresie, wraz ze wzrostem wartości wspomnianych markerów krwi, Marco uzyskiwał coraz lepsze wyniki na rowerze.

| | | |
|---|---|---|
| 4–8 kwietnia | Vuelta al País Vasco | 55. miejsce w generalce |

| | | |
|---|---|---|
| 17 kwietnia | Liège–Bastogne–Liège | 67. miejsce |
| 30 kwietnia | GP Industria e Commercio di Prato | 6. miejsce |
| 1 maja | GP Larciano | 4. miejsce |
| 11 maja | Giro del Trentino, etap 2 | 4. miejsce |
| 10–13 maja | Giro del Trentino | 4. miejsce w generalce |
| 15 maja | Giro di Toscana | 4. miejsce |

Badanie z 30 maja, czyli dziewiątego dnia Giro, potwierdziło te nowe wartości: czerwone krwinki – 5,56 x 1012/litr, hemoglobina – 16,9 g/dl, hematokryt – 52,6 procent. Kolejne badanie, z 13 czerwca, wykonane dzień po ostatnim etapie Giro, wykazało jeszcze wyższe wartości: czerwone krwinki – 5,87 x 1012/litr, hemoglobina – 18,6 g/dl, hematokryt – 58 procent. W porównaniu z wynikami z 16 marca hematokryt Marco wzrósł o 17,3 punktu procentowego, czyli o 42,5 procent. Było to trzy- lub czterokrotnie więcej, niż zdaniem ekspertów wynosiła maksymalna możliwa zmienność naturalna. Z tymi właśnie wynikami odniósł pierwsze w karierze zwycięstwo etapowe w Merano, a nazajutrz drugie, w Aprice.

Niebotycznie wysokie wartości markerów krwi Marco były podtrzymywane – na pewno za pomocą niewielkich dawek r-EPO – między końcem Giro a początkiem Touru. Dwudziestego siódmego czerwca jego liczba czerwonych krwinek wynosiła 6 140 000, hemoglobina sięgnęła 18,2 g/dl, a hematokryt – 57,2 procent. Potem zapadło czterotygodniowe milczenie. W tym okresie Marco dwukrotnie zajmował drugie miejsca na etapach Tour de France i zakończył tę imprezę na trzecim miejscu w klasyfikacji generalnej. Tour trwał do 23 lipca 1994 roku. Kolejne badania wykonano 25 lipca – wykazały niemal niemienione wartości liczby czerwonych krwinek, hemoglobiny i hematokrytu. Wyniki uzyskane przez niego w Tour de France, podobnie jak wcześniej w Giro d'Italia, były w całości wspomagane r-EPO. Co więcej, wyniki z 25 lipca – jako jedyne

w całym okresie udokumentowanym w pliku dblab.wdb – uwzględniają wartość testosteronu u Marco: 8,5. Budzi to podejrzenia, że oprócz terapii r-EPO stosowano u niego również jakąś formę wspomagania hormonami. Badanie z 25 lipca było ostatnim w 1994 roku. Dla Marco był to koniec sezonu, więc z pewnością przestano mu podawać r-EPO. Na mistrzostwach świata rozgrywanych 28 sierpnia Marco zszedł z trasy na 15. okrążeniu pętli.

Ponownie Marco pojawia się w tej bazie przy okazji badań z 4 lutego 1995 roku. Jego wyniki mieszczą się w normach, czyli wszystko jest zgodnie z oczekiwaniami: czerwone krwinki – 4,66 x 1012/litr, hemoglobina – 14,6 g/dl, hematokryt – 42,8 procent. Są niemal identyczne jak w badaniu z 4 stycznia 1994 roku. Delikatnie wyższe wartości pojawiają się 42 dni później, 18 marca 1995 roku (czerwone krwinki – 4,89 x 1012/litr, hemoglobina – 14,9 g/dl, hematokryt – 45 procent). Są niemal identyczne jak te z 3 lutego 1994 roku. Oczekiwany gwałtowny wzrost następuje między 18 marca a 1 maja 1995 roku – to tego dnia Marco został potrącony przez samochód w Santarcangelo podczas treningu i przewieziony do szpitala. Badania wykonane w szpitalu dały następujące, wysokie wyniki: czerwone krwinki – 6,00 x 1012/litr, hemoglobina – 18,2 g/dl, hematokryt – 57,6 procent. Wychodzi na to, że farmaceutycznie Marco był gotowy na Giro d'Italia, które ruszało 13 maja. Oczywiście, z powodu poniesionych obrażeń nie wziął udziału w tym wyścigu. Dwudziestego drugiego czerwca 1995 roku, w dniu, w którym Pantani wygrał długi górski etap w Tour de Suisse, dużym wyścigu uznawanym za imprezę przygotowującą do Tour de France, w bazie dblab.wdb jego nazwisko pojawia się obok następujących wartości: czerwone krwinki – 6,09 x 1012/litr, hemoglobina – 18 g/dl, hematokryt – 56 procent.

To ostanie wyniki Marco, jakie znalazły się w bazach danych i innych dokumentach stanowiących materiał dowodowy w trakcie procesu w Ferrarze. Wyczerpujące dowody potwierdzające sztuczny doping krwi z wykorzystaniem r-EPO sięgają do 22 czerwca 1995 roku. *Carabinieri*, którzy zajmowali dokumenty w październiku 1998 roku, nie mieli doświadczenia w przeszukaniach komputerów i zamiast zarekwirować twarde dyski, ograniczyli się do ich skopiowania. Gdyby na tych dyskach ktoś wcześniej pousuwał jakieś pliki, być może dałoby się je odzyskać. Z dokumentów wynika, że Marco zjawił się w Centrum w Ferrarze 13 stycznia i 14 marca 1997 roku na testy na trenażerze, a zatem współpraca trwała dalej, ale danych o wynikach badań krwi nie ma.

Doping krwi został znakomicie przedstawiony na wykresie z ilustracji 7. Podobnie jak na „Ilustracji 15" Banfiego i D'Onofrio, dołki pozasezonowe oraz szczyty przebiegu wykresu pokrywają się z najważniejszymi wydarzeniami sportowymi w karierze Marco. Eksperci nie znają stanu patologicznego, który mógłby spowodować taki przebieg zmian poziomu hematokrytu w jakiejkolwiek populacji, a co dopiero mówić o grupie najlepszych sportowców, którzy cieszą się doskonałym zdrowiem.

Dane zbierane w latach 1997, 1998 i 1999 w ramach badań kontrolnych prowadzonych przez UCI pokazują, że u Marco hematokryt fluktuował między 45,7 a 47,4 procent, oczywiście z jednym wyjątkiem: badaniem z 6 czerwca 1998 roku, wykonanym rano przed przedostatnim etapem Giro d'Italia, w którym hematokryt sięgnął 49,3 procent. Kontrole te badały wyłącznie poziom hematokrytu i można było je łatwo obejść, po prostu rozcieńczając krew. Na ilustracji 8. zostały one zaznaczone kursywą. Do tego dochodzą dane z Madonna di Campiglio (53 procent) oraz wartości 45,5 oraz 49 procent

z okresu przedolimpijskiego. Tak oto otrzymujemy pełen obraz kariery zbudowanej na zmiennych wartościach hematokrytu.

Te wykresy prowadzą do jeszcze jednego, ostatniego wniosku. Po wydarzeniach z Madonna di Campiglio naturalne wyniki badań krwi Marco pozostawały nieznane. We wrześniu 2000 roku tylko brak obiektywnych danych porównawczych spowodował, że CSAD nie podjęła przeciwko niemu kroków dyscyplinarnych. Szóstego czerwca 1995 roku doktor Giovanni Grazzi dostarczył FCI następujące wyniki Marco: hematokryt – 45 procent, hemoglobina – 15,2 g/dl, czerwone krwinki – 4,94 x 1012/litr. Tymczasem wyniki z 1 maja i 22 czerwca 1995 roku – innymi słowy, wprowadzone do bazy dblab.wdb wyniki uzyskane na pięć tygodni przed badaniem z 6 czerwca i dwa tygodnie po nim – są znacznie wyższe: hematokryt – 57,6 i 56 procent, hemoglobina – 18,2 i 18,0 g/dl, czerwone krwinki – 6,00 i 6,09 x 1012/litr. Można z tego wnioskować, że wartości z 6 czerwca nie są wiarygodne.

Da się natomiast przyjąć, że baza dblab.wdb zawiera wartości bazowe Marco – że są nimi wyniki badań prowadzonych na początku obu sezonów. Załóżmy, że hematokryt na poziomie 40,7 procent z 16 marca 1994 roku jest wartością aberracyjnie niską, być może wynikającą z reakcji inhibitorów na pierwsze dawki eksperymentalnej terapii r-EPO, której istnienie podejrzewałem we wcześniejszych rozważaniach. Ogólnie jednak wartości 43,4 procent (z 4 stycznia 1994 roku) i 42,8 procent (z 4 lutego 1995 roku) można prawdopodobnie uznać za naturalne dla Marco. W związku z tym jako hematokryt „bazowy” Pantaniego moglibyśmy przyjąć ich średnią, czyli 43,1 procent. Na ilustracji 8. wartość ta została oznaczona linią kreskowaną, opisaną jako „Przypuszczalny hematokryt naturalny”. Pozwala nam ona precyzyjniej oceniać faktyczne odczyty hematokrytu Marco niż przyjęta odgórnie wartość

progowa 50 procent. Jeżeli przyjmiemy, że maksymalna naturalna fluktuacja – w przypadku braku stanu chorobowego albo jakiejś formy dopingu krwi – wynosi dziesięć procent (a tak uważa większość fachowców), wówczas u Marco każda wartość powyżej 47,6 procent powinna zostać uznana za patologiczną albo stanowiącą efekt zewnętrznych ingerencji. Dotyczy to zatem każdego punktu powyżej linii oznaczonej jako „Maksymalna zmienność naturalna". Do podejrzanych wartości należą zatem wartości z trzech certyfikatów badań kontrolnych UCI, jedna z wartości uzyskanych w ramach badań „kandydatów na olimpijczyków", a także – co istotne – wartość 47,6 procent, naniesiona na dokument wystawiony w Imoli po południu tego samego dnia, w którym wydarzył się dramat z Madonna di Campiglio (dokument ten nie został włączony do materiału dowodowego podczas procesu). Obrona Marco uważała, że jest to dowód na jego niewinność, a tymczasem, gdyby został on dopuszczony, mógłby pomóc oskarżeniu.

Co oczywiste, Marco nie był chory. Cieszył się świetnym zdrowiem, tryskał energią i pod tym względem miał znakomite geny. Szczytowe wartości jego hematokrytu zawsze dokładnie pokrywały się z najważniejszymi wydarzeniami sportowymi. Nawet najmniejsze wahania tego wskaźnika budzą bardzo duże podejrzenia.

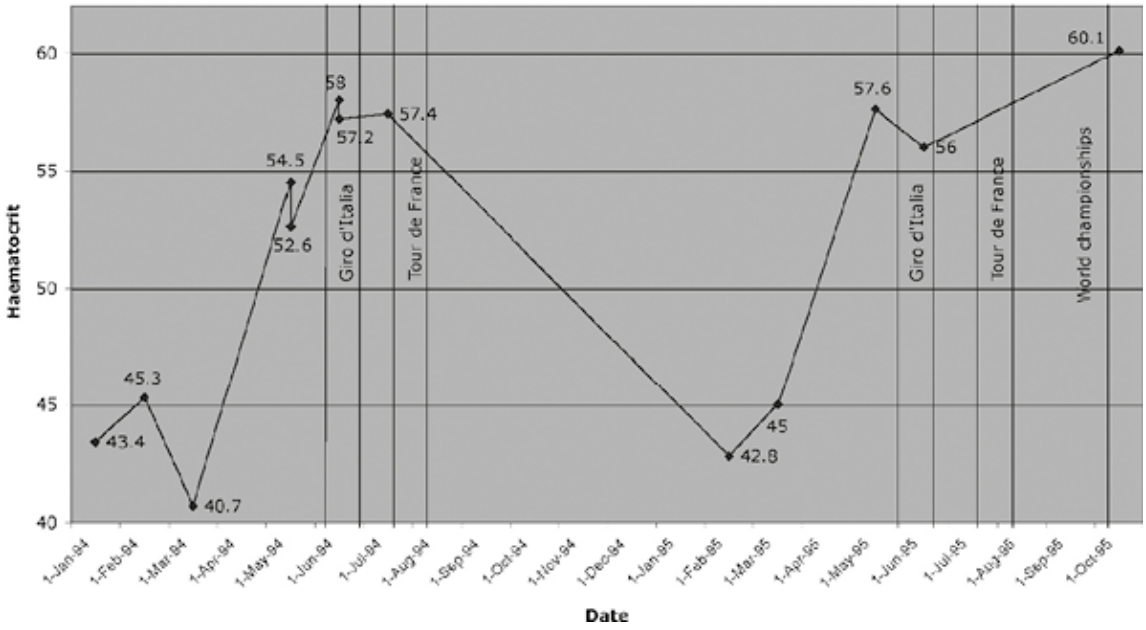


Ilustracja 7. Zmienność wartości hematokrytu w bazie dblab.wdb, lata 1994–1995

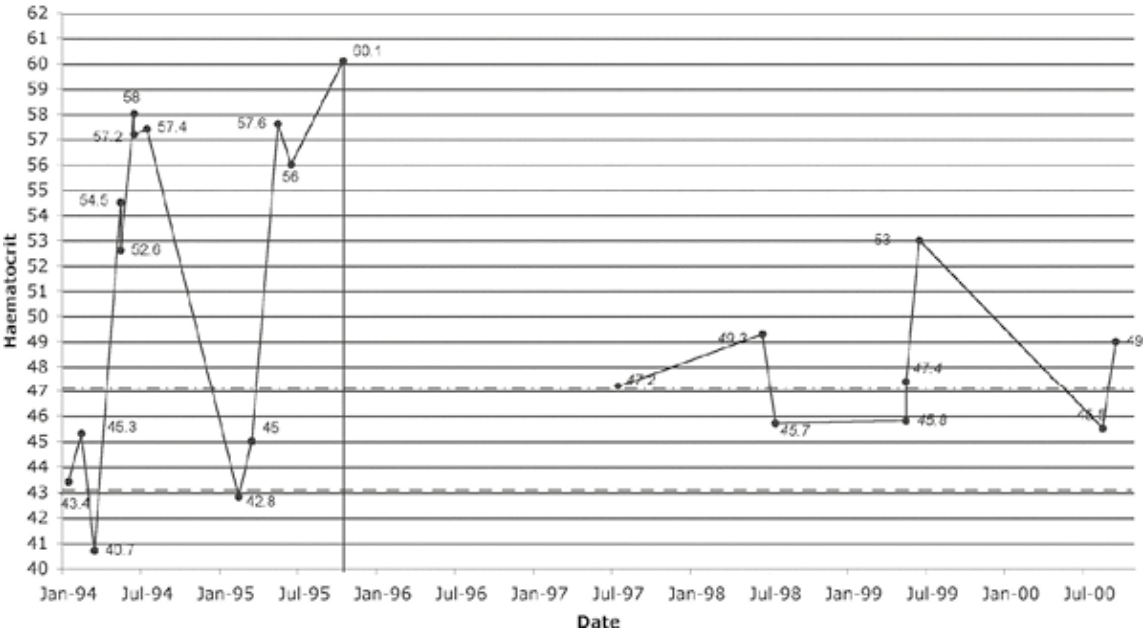


Ilustracja 8. Marco Pantani: wahania hematokrytu w trakcie kariery

Jeszcze wiele lat później krążyła plotka, że wieczorem przed wykluczeniem Marco z Giro d'Italia 1999 ktoś z pracowników zespołu Mercatone Uno wszedł do pokoju zajmowanego przez zawodników Saeco w poszukiwaniu jakiegoś specjalnego

produktu, który miał zostać użyty nazajutrz. Czyż ta tajemnicza substancja może tłumaczyć wysoki wynik hematokrytu na kontroli u Marco? Odpowiedź może być tylko jedna: nie. Nie potrzebujemy żadnej tajemniczej substancji, dysponujemy niepodważalnymi dowodami, że Pantani przez całą karierę stosował r-EPO, które było nie tylko skuteczne, lecz także do 2001 roku niewykrywalne przez testy stosowane w kolarstwie zawodowym. Czyż można rozsądnie zakładać, że okres jego największych sukcesów – od roku 1998 do 5 czerwca 1999 – mógł bazować na czymś innym?

# Epilog

Marco umierał przez długi czas. Policyjne śledztwo dotyczące jego autodestrukcji objęło tylko siedem ostatnich tygodni jego życia. Tak naprawdę miał wiele tajemnic, nawet przed swoimi bliskimi. Obracał się w różnych kręgach towarzyskich: kolegów zespołowych i sponsorów, rodziny i swojej agentki, kolegów od polowania, znajomych od imprezowania w nocnych klubach w Cesenatico, Rimini i Modenie; ludzi, którzy podawali mu doping, ludzi, którzy dostarczali mu prochy; ludzi, którzy organizowali mu kobiety. Wszystkich ich trzymał na osobnych orbitach i dbał o to, by nie wiedzieli o nim nic ponad to, co chciał im pokazać. Marco wpadł w spiralę prowadzącą go ku samounicestwieniu i sam za to odpowiada, choć miał w tej podróży wielu towarzyszy: nieetyczni farmaceuci oraz pseudolekarze przepisywali mu środki dopingujące, a to sprawiało, że osiągnięcia Pantaniego nie były tak do końca jego zasługą, handlarze kokainą dawali mu narzędzie autodestrukcji, wszelcy siewcy złudzeń, ludzie całkowicie obojętni na cokolwiek, co mogłoby być prawdą, przy każdej możliwej okazji odciągali go od rzeczywistości.

Piątego czerwca 1999 roku, już w pierwszych sekundach po tym, jak z kropli krwi uzyskano niekorzystny wynik badania, Marco i część osób z jego najbliższego otoczenia postanowili uznać ten wynik kontroli za efekt spisku. Te puste oskarżenia pod adresem nieznanych z imienia i nazwiska prześladowców towarzyszyły mu już do końca życia. Fakt, jakim był wynik jego testu, został zbyt szybko zestawiony z krążącymi pogłoskami o niechęci innych zespołów wobec Pantaniego, a proste badanie medyczne zostało poddane nadinterpretacji w takim stopniu, że

stało się intrygą obliczoną na jego zniszczenie. Sporo osób z otoczenia Marco na wiele lat wpadło w spiralę zaprzeczeń, wskazując jakąś „morderczą rękę", która miała doprowadzić go do upadku. Prawda była jednak inna – gdyby do zguby miała doprowadzić go kontrola antydopingowa w Madonna di Campiglio, to jej mordercza skuteczność była dziełem jej ofiary.

Koncepcja sportu, którą uosabiał Marco, nie była koncepcją zachęcającą sportowców do stawiania czoła prawdzie o ich życiu. W tej koncepcji sport rozumiano raczej jako treści medialne (w szczególności telewizyjne), a samych sportowców i imprezy sportowe postrzegano jako billboardy reklamowe, sport zaś – jako ruch ciała wyreżyserowanego przez naukowców, zwłaszcza tych od stosowanych nauk *medycznych*. Utalentowany sportowiec miał nie tylko dysponować nadzwyczajnymi możliwościami fizycznymi, lecz także odpowiednio reagować na środki dopingujące i być gotowy na zabawę w rosyjską ruletkę z hormonami, transfuzjami krwi i sterydami. W tej grze o najwyższe stawki przewagę miał ten, kto gotów był posunąć się do rzeczy szalonych. Tak rozumiany sport prawdopodobnie nie istniał przed 1970 rokiem, w którym to Marco się urodził, ale z pewnością razem z nim takie postrzeganie sportu nie umarło.

Doktor Giovanni Grazzi, który był lekarzem prowadzącym Pantaniego przez cały okres objęty bazą danych dblab.wdb, nie zgodził się na wywiad, gdy zgłosiłem się do niego w ramach zbierania materiałów do książki. Ograniczył się tylko do następującej uwagi: „To nie jest jeszcze właściwy czas, żeby wyjaśnić, co usiłowaliśmy wtedy robić". Rozmawiałem z nim 16 miesięcy po zakończeniu procesu Grazziego, Conconiego i ich współpracownika Ilario Casoniego – z powodu przedawnienia. Mimo to sędzia Franca Oliva napisała w orzeczeniu:

*Oskarżeni [Grazzi, Conconi i Casoni] przez wiele lat systematycznie wspierali podawanie r-EPO sportowcom wymienionym w akcie oskarżenia, wspomagali ich w samodzielnym przyjmowaniu tej substancji i zachęcali do tego, organizując wspomagający system kontroli medycznych, badań, analiz i testów mających na celu monitorowanie i maksymalizowanie skuteczności terapii w kontekście wyników sportowych. Tym samym brali czynny udział w terapii i ją promowali, nie wspominając o organizacji całego procederu od strony logistycznej, niezbędnej dla stosowania terapii w długim okresie.*

Jeżeli Grazzi uzna kiedyś, że wreszcie nadszedł czas, by o tym mówić, to co powie? Że raz otwartej naukowej puszki Pandory nie da się już zamknąć i że doping w sporcie jest równie nieunikniony jak jądrowy wyścig zbrojeń?

Niewykluczone, że tak to właśnie wygląda. Prawdopodobnie błędem jest zakładać, że istnieją dyscypliny przyciągające „dobrych" sportowców, którzy się nie wspomagają, oraz dyscypliny przyciągające „złych" sportowców, stosujących doping. Istnieją sportowcy wrażliwi i hojni, ludzie godni podziwu, którzy mimo to startują na dopingu, bo inaczej nie byliby w stanie rywalizować. Ten podział należałoby przeprowadzić raczej inaczej: na dyscypliny, w których doping jest bardzo skuteczny, oraz na dyscypliny, w których jego skuteczność jest ograniczona. Marco miał tego pecha, że był wyjątkowy w dyscyplinie z tej pierwszej grupy.

Otaczała go kultura oszustwa, która stała się tłem dla jego choroby umysłowej – od lekko szalonej ambicji, charakteryzującej większość wybitnych sportowców, aż po kliniczną genezę jego najbardziej intymnych problemów

wewnętrznych – i maskowała jego chorobę. Ta sama lekkomyślność, która popychała go do zażywania dużych ilości kokainy, napędzała go na zjazdach, kiedy to gnał na złamanie karku. Ta sama impulsywność, która sprawiła, że w ogóle sięgnął po kokainę, i z której wynikały jego rozrzutność, nierozważna jazda samochodem i nieodpowiedzialne podejście do seksu, powodowała, że jako kolarz był dla rywali zupełnie nieprzewidywalny. Niechęć do uznawania emocji i potrzeb innych ludzi plus jednostronny charakter zjawiska, jakim jest sława, wywoływały właściwy mu chłód w momentach triumfów. Cechą charakterystyczną jego instynktu sportowca była zazdrość, którą czuł wobec innych, a jednocześnie zazdrość, którą jego zdaniem inni czuli wobec niego. Obowiązujący w kolarstwie podział na lidera i *domestiques* sprawiał, że Marco mógł sam układać sobie harmonogram wyścigów, zabierać partnerki seksualne do hoteli, jeść w samotności i popijać posiłki winem, podczas gdy jego zespołowi partnerzy żyli w grupie i byli pozbawieni tych przywilejów. Taki układ tylko powiększał jego rozbudowane poczucie uprzywilejowania i oczekiwania co do tego, że będzie traktowany wyjątkowo.

Uczestniczył w zakrojonych na szeroką skalę programach dopingowych, ale szczerze obawiał się, że jego jedzenie może zostać skażone jakąś substancją, która wyjdzie na kontroli antydopingowej i doprowadzi do jego upadku. Po wydarzeniach z Madonna di Campiglio wmówił sobie, że zawiązano przeciw niemu spisek. To straszne, a ostatecznie śmiertelne oderwanie od rzeczywistości maskował fakt, że – przynajmniej przez półtora sezonu – Marco był najlepszym kolarzem na świecie.

Poczucie własnej ważności, które udzieliło się także osobom z jego otoczenia, sprawiało, że oczekiwał, że inni będą dla niego

całkowicie dyspozycyjni. We wrześniu 2005 roku w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi gazety „La Voce di Cesena” Manuela Ronchi stwierdziła, że przestała przyjmować jakiekolwiek pieniądze, odkąd dowiedziała się, że Marco ma problemy z kokainą (w jej książce nie ma na ten temat nawet wzmianki). Moim zdaniem predatowała swój altruizm do listopada 1999 roku. Zastanawiałem się już tutaj, jak to możliwe, że skoro w listopadzie 1999 roku problemy Marco były na tyle poważne, że inkasowanie od niego wynagrodzenia przestało być etyczne, Ronchi nie uznała za stosowane poinformować o tym sponsorów i (co już wręcz zadziwiające) lekarzy. Zrobiła to dopiero w styczniu 2002 roku. Jej słowa w tej sprawie budzą jednocześnie podejrzenia, że Marco i ludzie z jego otoczenia nabrali przekonania, zgodnie z którym każdy, kto oczekiwał od niego zapłaty, naruszał jego zaufanie.

Realia sportowe, które umożliwiły tę katastrofę, nie ograniczały się ani do kolarstwa, ani do Włoch. Nie należą one również do przeszłości. Długa lista skandali – od Bena Johnsona po aferę BALCO, od dawnych wschodnich Niemiec po dzisiejsze Chiny – sugeruje, że koncepcja sportu jako dziedziny przesiąkniętej intensywnym dopingiem jest jednym z tych sekretów definiujących nasze czasy, o których każdy wie.

Po losach Marco pozostała długa lista dowodów, więc było po prostu nieuniknione, że w końcu zostanie zdemaskowany i że rozpocznie się przeciwko niemu szereg dochodzeń. On sam skarżył się – a inni się z tym zgadzali – że został wyróżniony, że zrobiono z niego przykład. W sumie został wyróżniony, tyle że mechanizm tego wyróżnienia nazywa się wymiarem sprawiedliwości. To błąd myśleć, że system prawny był wrogo nastawiony do Marco. Na łamach tygodnika „L’Espresso” z 11 czerwca 1999 roku pisał o tym Walter Veltroni, znany włoski

polityk. Zauważył, że lekarze, którzy 5 czerwca 1999 roku powstrzymali Pantaniego, „prawdopodobnie ocalili go przed śmiercią". Dalej pisał tak: „Jest mi przykro, bo stał się już bohaterem legend, a sport jest między innymi po to, by budzić w nas marzenia". Mimo to podkreślał: „Dzisiaj dyskutujemy nad losem znanego mistrza, ale nikt nie mówi o licznych nastoletnich amatorach, których szprycuje się dopingiem, wykorzystuje, a potem zostawia samym sobie".

Piętnastego czerwca 2005 roku Alessio Galletti, kolarz z pokolenia Marco, zmarł podczas pokonywania podjazdu w Hiszpanii. Prowadzono wówczas w jego sprawie dochodzenie w związku z przestępstwami dopingowymi. Gdyby policja dysponowała wystarczającym materiałem dowodowym, by go aresztować, być może udałoby się uratować mu życie. Czyż *oni* nie byli jego najprawdziwszymi przyjaciółmi? Kim są prawdziwi przyjaciele ludzi żyjących w świecie fantazji – ci, którzy robią wszystko, co w ich mocy, by tę ułudę podtrzymać, czy ci, którzy usiłują ściągnąć ich na ziemię?

Obciążenie spowodowane koniecznością pompowania zagęszczonej krwi mogło przyczynić się do szeregu ataków serca, do których doszło w miesiącach przed śmiercią Marco czy po niej. Przypadki te dotyczyły kolarzy, którzy albo postradali zmysły, albo zmarli bez żadnego wyraźnego powodu. Oto kilka przykładów:

10 stycznia 2003, Denis Zanette (Włochy), 32 lata, zespół: Fassa Bortolo

Zatrzymanie akcji serca w czasie leczenia dentystycznego. Zapalenie mięśnia sercowego wywołane lub spotęgowane przez zapalenie płuc. Śladów środków dopingujących nie znaleziono.

5 maja 2003, Marco Ceriani (Włochy), 16 lat

Atak serca na 30. kilometrze wyścigu rozgrywanego 25 kwietnia. Zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

3 czerwca 2003, Fabrice Salanson (Francja), 23 lata, zespół: Brioches la Boulangère

Atak serca podczas snu. Badania moczu, krwi i włosów nie wykazały stosowania środków dopingujących.

14 listopada 2003, Marco Rusconi (Włochy), 24 lata, zespół: Ceramiche Pagnoncelli

Atak serca podczas imprezy urodzinowej. Autopsja nie wykazała śladów środków dopingujących, a jako przyczynę śmierci wskazano niewydolność serca.

6 grudnia 2003, José María Jiménez (Hiszpania), 32 lata, zespół: Banesto/ iBanesto.com

Atak serca w szpitalu psychiatrycznym w Madrycie, w trakcie pokazu slajdów z historią jego kariery. Jiménez, genialny góral (mistrz Hiszpanii z 1995 roku, siedem zwycięstw etapowych w wyścigu Vuelta a España), zmarł po długiej walce z depresją. W 1994 roku zdyskwalifikowany na krótko za doping kofeiną.

29 grudnia 2003, Michel Zanoli (Holandia), 35 lat, zakończył karierę sportową

Atak serca. Mistrz świata juniorów z 1986 roku, zwycięzca etapu w Vuelta a España w 1991 roku. Miał problemy psychiczne, odsiedział wyrok za szmuglowanie marihuany.

12 lutego 2004, Johan Sermon (Belgia), 21 lat, zespół: Daikin

Atak serca we śnie po ośmiogodzinnym treningu. Nie znaleziono śladów środków dopingujących. O śmierci Sermona opinię publiczną poinformowano nazajutrz po śmierci Marco Pantaniego.

15 czerwca 2005, Alessio Galletti (Włochy), 37 lat, zespół: Naturino-Sapore di Mare

Problemy z sercem w trakcie hiszpańskiego wyścigu Subida al Naranco. Galletti doznał zapaści i zmarł.

9 października 2005, Ubaldo Mesa (Kolumbia), 32 lata, zespół: Tecos de Mexico

Zatrzymanie akcji serca podczas rozgrzewki przed Clásico Banfoandes w Wenezueli, wywołane nadciśnieniem tętniczym. Nie znaleziono śladów środków dopingujących.

Z dzisiejszej perspektywy sukcesy Marco – podobnie jak wiele innych rekordów świata, złotych medali czy pasm zwycięstw – mają wartość fantomową. Nie są tym, za co je początkowo uważano, i zostałyby skreślone, gdyby tylko ich prawdziwa natura wyszła na jaw. Tak naprawdę się nie zdarzyły, to fantasmagoryczne doświadczenia, zupełnie oderwane od jakiejś jasno definiowalnej rzeczywistości. Istniały głównie w sferze emocji wywołanych w milionach pojedynczych umysłów. Emocją najczęściej kojarzoną z Marco jest euforia, ale dzisiaj wiemy już, że wywoływała ją trucizna płynąca w jego żyłach – trucizna, dzięki której jego ekstrawagancki styl był w ogóle możliwy. Można powiedzieć, że my, oglądający go fani, byliśmy pośrednio poddawani terapii dopingowej przez ludzi podających te środki Pantaniemu. Podobnie jak euforia wywołana narkotykami, nasza euforia minęła, gdy tylko środki chemiczne przestały działać. Pozostały po niej jedynie wspomnienie i odczuwana przez nas wielka pokusa, by oszukiwać samych siebie.

Jeden z biorących udział w dochodzeniach antydopingowych oficerów NAS powiedział mi: „Co roku pojawiają się nazwiska tych samych lekarzy. Nasze działania są

absurdalne, powodują jedynie to, że oni robią się coraz lepsi w tym procederze". Oficer złożył podanie o przeniesienie do innych spraw, bo w sprawach antydopingowych nie widzi perspektyw, a ma przecież dzieci, którym trzeba będzie kiedyś sfinansować studia. Walka z dopingiem nie jest też nośnym hasłem dla polityków. Na jej korzyść przemawiają jedynie szczytne cele publiczne, jak zdrowie społeczeństwa czy przejrzystość w sporcie. Masowa euforia wywoływana przez najlepszych sportowców na dopingu jest znacznie potężniejsza – choć sponsorzy, którzy promują dzięki niej swoje produkty, a także politycy, którzy wykorzystują ją do realizacji własnych celów, powinni być świadomi, że połączenie masowej euforii ze zjawiskiem masowego oszukiwania samych siebie prowadzi do powstania najróżniejszych ekstremizmów.

Obecne zajęcia zawodników ujętych w pliku dblab.wdb, których wahania hematokrytu przekroczyły 20 procent, każą podejrzewać, że kolarstwem rządzą dzisiaj ludzie, którzy podchodzili do tego sportu tak samo jak Marco: Claudio Chiappucci jest doradcą Stowarzyszenia Włoskich Kolarzy Zawodowych (ACCPI), Guido Bontempi, Bruno Cenghialta, Bjarne Riis, Alberto Volpi i Mario Chiesa są dyrektorami sportowymi w dużych zespołach zawodowych, Giorgio Furlan jest dyrektorem sportowym znanego zespołu amatorskiego. Jeśli chodzi o zawodników opisanych w pliku epo.wks jako poddanych terapii EPO, to Gianni Bugno reprezentuje kolarzy, Rolf Sørensen jest ich agentem, a Maurizio Fondriest – znanym telewizyjnym ekspertem kolarskim. Manuela Di Centa, mistrzyni narciarstwa, której wysokie wyniki badań krwi występują w bazie danych dblab.wdb, trafiła do Parlamentu Europejskiego z ramienia partii Forza Italia Silvio Berlusconiego, a następnie w 2005 roku została

wiceprezydentką Włoskiego Narodowego Komitetu Olimpijskiego.

Od śmierci Marco ugruntowało się przekonanie, że tak jak w realiach, w których wszyscy jeździli na dopingu, także w świecie, w którym wszyscy byliby czyści, on i tak okazałby się najlepszy. To kolejne złudzenie – pewności nie będziemy mieć nigdy, bo uniemożliwia nam to fakt, że doping jednak stosowano. Zespół australijskich naukowców opublikował w lutym 2001 roku w czasopiśmie „Haematologica" artykuł, w którym znajduje się następujące stwierdzenie: „Na typ i liczbę łańcuchów globinowych syntetyzowanych w fazie polichromatofilnej, która następuje po proliferacji komórki macierzystej pod wpływem r-EPO, wpływ mają geny, w związku z czym należy się spodziewać w tym względzie różnic indywidualnych".

Ta wariancja indywidualna oznacza, że w warunkach powszechnego stosowania r-EPO najlepsze wyniki będzie najprawdopodobniej osiągał nie ten sportowiec, który jest najlepszy, tylko ten, którego organizm najlepiej reaguje na r-EPO. Innymi słowy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że terapia r-EPO zaburzyła hierarchę wśród kolarzy. Jeżeli uznać sport za swego rodzaju narrację, to doping zmienił sposób snucia tej opowieści, pokazał nam nowe, fantastycznie atrakcyjne, acz powierzchowne oblicze sportu. Miesiąc po tym, jak Hein Verbruggen wyprowadził osobisty atak na Sandro Donatiego i Pasquale Bellottiego przy okazji igrzysk olimpijskich w 2000 roku, biegły powołany przez sąd rozpatrujący sprawę związaną z wyścigiem Mediolan–Turyn zeznał, że r-EPO uznawano początkowo za lek o bardzo niewielu zastosowaniach, ale w chwili składania tych zeznań było ono trzecim najlepiej sprzedającym się farmaceutykiem na świecie. Na włoskiej liście sprzedaży leków r-EPO w 1998 roku

zajmowało 15. miejsce, a w roku 1999 wspięło się na miejsce 13., choć 50 procent sprzedaży tego leku nie zgłaszano odpowiednim organom i w związku z tym nie była ona ujęta w tych statystykach. Niewykluczone, że ten zalew trucizny przyzwyczaił nas do występów zawodników na poziome bez niej nieosiągalnym. Czymkolwiek sport jednak by był, z pewnością nie jest tylko tym, co widać na powierzchni. Sport to między innymi akt przezwyciężania, w którym ważne są koniec i początek. Gdy opadnie maska, jak stało się to w Madonna di Campiglio, upadek z podium do rynsztoka jest takim samym elementem współczesnego sportu jak wspinaczka młodego talentu ku triumfom.

Wielu fanów Marco było do tego stopnia rozczarowanych całym sportem zawodowym, że 5 czerwca 1999 roku po prostu się od niego odwróciło. Jednym z nich był Giorgio Fagioli, organizator pierwszego wygranego przez niego wyścigu. W rozmowie ze mną powiedział: „Od tamtej pory już nigdy więcej nie oglądałem Giro d'Italia, nawet w telewizji". Istnieje jednak alternatywa dla tego bezwzględnego odrzucenia sportu, która może nieść również ze sobą pewne cechy wybawienia. Oglądanie współczesnego sportu oznacza akceptowanie tej powierzchownej rzeczywistości jako stanu przejściowego, podlegającego ponownej ocenie, nawet jeśli dojdzie do niej dopiero w odległej przyszłości. Wymaga innej formy patrzenia, swego rodzaju widzenia podwójnego czy też spojrzenia poza centrum wydarzeń. Na sport należy patrzeć trochę tak, jak Inuita patrzy na śnieg. Chodzi o to, aby powierzchowny obraz występów zawodników odbierać nie jako rzeczywistość, lecz jako bramę prowadzącą do innych, potencjalnie nieprzewidywalnych prawd. Nie możemy zatracać się w ekstazie wywołanej końcem widowiska, powinniśmy natomiast smakować bardziej ograniczone uroki tego, co

niewiadome. Ten sposób oglądania sportu wiąże się z hamowaniem samego siebie, ale tylko jeśli chodzi o uczucie euforii, jakie może generować sport. Postrzeganie świata przez tego rodzaju filtr sceptycyzmu rodzi określone koszty – niewykluczone, że nie będziemy już potrafili zatracić się w emocjach tłumu. To, co kiedyś było pewne i w porównaniu z czym teraźniejszość wydaje się tak iluzoryczna, pozostaje pewne jedynie pod warunkiem, że nie zaczniemy się nad tym dobrze zastanawiać. Dzisiaj już nic nie wydaje się tym, na co wygląda. Znane powiedzenie głosi, żeby nigdy nie pisać o swoich idolach. Może to i racja. Być może jednak po prostu powinniśmy trochę mniej w nich wierzyć, a wtedy przyznamy im odrobinę więcej pierwiastka ludzkiego. Być może przy okazji okaże się, że odrobinę bardziej wierzymy w samych siebie.

Sama wysokość nagród finansowych i wynagrodzeń w tej dziedzinie przekonuje niektórych, że warto pogodzić się z tą dwoistą naturą współczesnego sportu. Na pierwszy rzut oka widać, że na truciźnie krążącej w żyłach Marco korzystali wszyscy: sponsorzy, nadawcy i ich reklamodawcy, fani doświadczający uniesień dzięki jego występom, no i oczywiście on sam. Ta pokusa miała jednak swoją cenę. W studio telewizyjnym Rai 3, zanim Gianni Minà przeprowadził wywiad z kolarzem, Mario Sconcerti z włoskiej gazety sportowej „Corriere dello Sport” uskarżał się: „Przez lata zainwestowałem w Pantaniego wiele emocji, a teraz coś takiego. Jest mi winny wyjaśnienie, mnie i fanom takim jak ja”. Metafora użyta przez Sconcertiego sugeruje, że bierzemy kawałek siebie i niejako oddajemy w depozyt, trochę tak, jakbyśmy wpłacali pieniądze do banku. Potem oczekujemy zwrotu z tego kapitału. Ta sama wypowiedź sugeruje jednak istnienie przeciwnego elementu, takiego, o którym się nie mówi. Mam na myśli roszczenie sobie prawa własności – tę idiotyczną zaborczość, przed którą tak

bronił się Marco i która zebrała żniwo w jego psychice. Gdy poruszy się tę kwestię otwarcie, jego dług wobec fanów przestaje być już tak oczywisty.

Tak, Marco mógł, rzecz jasna, zająć wyraźne stanowisko i sprzeciwić się temu, co dzieje się w kolarstwie. W praktyce jednak on i ludzie z jego otoczenia – pozbawieni zacięcia rewolucyjnego – postanowili wypierać rzeczywistość. Nie zmienił tego nawet fakt, że po wydarzeniach z Madonna di Campiglio całe zespoły śledczych bardzo szczegółowo przenalizowały osiągnięcia Pantaniego i zawartość jego żył. Nic nie zmieniło nawet to, że zaprzeczenia stawały się coraz mniej wiarygodne.

Istnieje również inna wersja upadku Marco, istniejąca w dużej mierze w sferze plotek. Latem 2002 roku, gdy Pantani raczył się kokainą i opłakiwał związek, który się rozpadł, zaczął szukać pocieszenia, być może z niedoboru uczucia. Uparcie krąży pewna plotka, ale nie ma na jej potwierdzenie żadnych dowodów, choć rzekomo pochodzi z kręgów policyjnych. Podobno w aucie Pantaniego, rozbitym podczas jednego z jego licznych wypadków samochodowych, razem z nim znajdował się jakiś transwestyta. Czy to możliwe, żeby Marco był homoseksualny i dążył do autodestrukcji z powodu wstydu?

Naprawdę nietrudno jest wyobrazić sobie potajemne eksperymenty Marco z homoseksualizmem: mieliśmy cross-dressing podczas Nove Colli 1996, mieliśmy kredkę do oczu przed Giro w 1999 roku. Z pewnością od czasu do czasu Pantani miał kontakt z transwestytami, którzy pojawiali się w salonie piękności Pregnolato w Modenie. Potem zrezygnował z dość atrakcyjnej polskiej striptizerki o dziewczęcej urodzie, wybierając wyższą, bardziej męską Korowinę o dużych dłoniach, która we właściwych kręgach słynęła z zamiłowania

do brutalnego seksu. Mówiło się o tym, że na grobie Marco ktoś zostawił bukiet z dedykacją: „Od mężczyzny, o którym nigdy nie szepnąłeś ani słowa”. Istnieje też w tej teorii wątek psychologiczny: gdy dziecko dorasta w przekonaniu, że matka go odrzuci, jeśli nie stanie się ono takim dorosłym, jakiego chciałaby widzieć, może się nabawić zaburzeń narcystycznych, może się u niego wykształcić fantazja, w której autorytet ojca i matki zlewają się w jeden i powstaje w ten sposób mężczyzna pełniący funkcję kobiety.

W okolicach parkingu dla samochodów ciężarowych, pod wielkimi różowymi lampami układającymi się w litery „GROS”, transwestyci zastąpili kobiety, chodząc po ulicach i oferując seks za pieniądze, by w ten sposób sfinansować swoją transformację. Ogólnie ludzie szybko się tam zmieniają, ale powiedziano mi, że pewna blondynka na rogu może coś wiedzieć. Wypożyczyłem samochód – z dieslem pod maską, czasem niechcący gasząc przez to silnik, bo zdejmowałem nogę ze sprzęgła, wcześniej nie zwolniwszy hamulca ręcznego prawą ręką, jako że dla kierowcy brytyjskiego jest to ręka niewłaściwa. Wybudzając silnik do życia, rozrusznik za każdym razem rzęził jakby nieco bardziej. Oczyma wyobraźni widziałem już, jak muszę później zażenowany dzwonić po pomoc i tłumaczyć się żonie z tego, gdzie i jak mnie aresztowano. Okrążyłem okolicę wiele razy, ale nie namierzyłem rzeczonej blondynki. Załóżmy jednak, że ona istnieje i że nawet byłaby skłonna ze mną porozmawiać – jak miałbym zweryfikować to, co bym od niej usłyszał? Tak czy owak, na riwierze – na całym świecie – nie brakuje mężczyzn (i pewnie kobiet też, no bo czemu nie?), którzy marzą w tajemnicy o hermafrodycie. Niekoniecznie muszą być nieszczęśliwi. Z pewnością niektórzy dożywają stu lat.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z potencjalnych przyczyn problemów Marco było uczucie, a właściwie jego brak. Kiedy sport rozwiązał już wszystkie jego problemy materialne, Pantani musiał jedynie nauczyć się być szczęśliwym, choć to bez wątpienia najtrudniejsza ze wszystkich umiejętności, jakie można posiąść. Ronchi sugeruje, że chodziło o miłość: „Gdyby tylko miał kobietę, która naprawdę by go kochała, zapewne dzisiaj nadal byłby z nami". Być może nie ma sensu tego bardziej komplikować, w końcu uczucie to fundament tożsamości każdego człowieka. Problem w tym, że Marco nigdy nie zdołał zbudować żadnego stabilnego związku. Uzależniony od Christine i chronicznie jej niewierny miesiącami trzymał rzekomo w lodówce słój z usuniętym z jej ciała płodem, dziełem innego jej kochanka. Pod koniec życia płacił za towarzystwo kobiet. Marco brakowało nie tylko miłości, lecz także odpowiednio uporządkowanej duszy, by dało się go pokochać.

Być może w całej tej historii skłonność do perwersji należy przypisać tym, którzy te plotki rozsiewają. Z pewnością dodatkowo podsycają oni kontrowersje wokół pamięci o Marco, co samo w sobie świadczy o patosie ziemskiej sławy. Po śmierci ma on wielu rzeczników gotowych w każdej chwili bronić jego reputacji, a być może tylko swojej roli w jego historii. Manuela Ronchi i jej fundacja, Amici di Marco Pantani Roberto Pregnolato, Magic Club Vittorio Saviniego, pomnik w Cesenatico, liczne książki… Wszędzie wokół sklepowe lady i stragany uginają się pod ciężarem statuetek Marco, jego logotypów, znaczków, długopisów, breloczków, naklejek, medalionów i innych gadżetów. Popularność tych przedmiotów, pomimo przytłaczających dowodów na to, że Pantani jeździł na dopingu, wiele mówi o estymie sportu w dzisiejszym świecie.

Marco, który standardowo przywdziewał kilka korporacyjnych tożsamości naraz i którego jednocześnie

ciągnęło do tego, co dziwne i niewypowiedziane, prowadził więcej niż podwójne życie. Na przykład taka Manuela Ronchi nigdy nie widziała, jak zażywa kokainę w celach czysto rekreacyjnych. Zakłada zatem, że nigdy tego nie robił – że zażywał olbrzymie ilości tego narkotyku wyłącznie po to, by robić sobie krzywdę. Pogląd ten za śmieszny uznają na przykład Mengozzi czy Rossi, a także wszyscy ci, którzy znali Marco w inny sposób, niż znała go Ronchi.

Po triumfie w Tour de France w 1998 roku Marco, wspominając drugie miejsce zajęte na dziesiątym etapie, powiedział: „Gdybym tam wygrał, pojechałbym do domu. Miałbym moje zwycięstwo etapowe i wracałbym do domu". Być może właśnie tak wyglądało całe jego życie: gdy osiągnął już to, po co w swoim mniemaniu się urodził, nie widział sensu w robieniu tego dalej. Po wielu latach uwięzienia w stanie wiecznych nadziei i obietnic, swoistym poranku jego kariery, który upłynął pod znakiem licznych wypadków, doświadczył krótkiej, przedpołudniowej chwili satysfakcji. Potem nadzieja, której nieodłącznym towarzyszem jest lęk przed niespełnieniem, ustąpiła miejsca strachowi, i to takiemu, na którego pokonanie nie było większych szans. Z dzisiejszej perspektywy widać, że jego występy na rowerze zawsze obciążał jakiś fatalizm. Wygrywał bądź przegrywał na trasie dzięki szalonym, lecz jednocześnie natchnionym atakom, w których nie było za wiele strategicznej kalkulacji. W jego niezapomnianych zwycięstwach na Montecampione czy w Les Deux Alpes zawsze pozostawała jakaś nutka rezerwy, jakby dawała już o sobie znać nadchodząca noc. Dla każdego innego kolarza udział w wyścigu etapowym polega na szacowaniu potencjalnej wartości i trudności poszczególnych etapów, by je odpowiednio pojechać. Można powiedzieć, że inni jeździli, myśląc o przyszłości. Marco

o przyszłości nie myślał. Jego styl życia – tak samo jak jego nałóg kokainowy i śmierć – był liryczny, a nie narracyjny. Zatracił się w czasie, a siły, które pozwoliły mu w tym czasie (lub poza nim) żyć, w końcu pochłonęły go tak samo, jak pochłaniają każdego z nas.

# Posłowie do wydania z 2015 roku
# Życie po śmierci – o pamięci i zapominaniu

*Barbara d'Urso (gospodyni talk-show): Kiedy się pani dowiedziała?*

*Tonina Belletti (matka Marco Pantaniego): Gdy pani mówiła, miałam ten przebłysk świadomości, bo ja wiedziałam już wcześniej.*

*Antonio De Rensis (prawnik rodziny Pantanich): Nie, po prostu proszę powiedzieć, jak się pani dowiedziała.*

Matka Marco, która już wkrótce miała być znana we Włoszech po prostu jako „Mamma Tonina", w dniu śmierci syna przebywała w Grecji. Dekadę później razem ze swoim nowym prawnikiem siedziała na planie włoskiego talk-show *Domenica Live*, którego prowadzącą była Barbara d'Urso, znana włoska osobowość telewizyjna. Tonina opisywała w programie tamten pamiętny wieczór. Zbliżenia, mroczny ton i mistycyzm (przerwany szybko przez prawnika: „Nie, po prostu proszę powiedzieć, jak się pani dowiedziała") mówiły więcej niż słowa.

*Tonina: Tamtego popołudnia właśnie wjechaliśmy do Grecji. Usiadłam przy stoliku i zaczęłam dzwonić po znajomych Marco. Pytałam ich, czy ktoś go nie spotkał.*

*D'Urso: Dlaczego? Intuicja?*

*Tonina: Czułam, że coś się stało. Wyjechałam. Nie wiedziałam, gdzie jest Marco. Jego menedżerka powiedziała: „Wyjedźcie,*

*a Marco wróci do domu", ale nie wiem, czy wrócił. […] Tamtego wieczoru byliśmy w odwiedzinach u znajomych…*

*D'Urso: Niewykluczone, że już wtedy nie żył. Podobno to była 23:00…*

*De Rensis: Owszem, być może właśnie umierał.*

*Tonina: […] Mocno bolał mnie brzuch, więc powiedziałam do męża: „Idę spać". Zapewniam, że od wydarzeń z Madonna di Campiglio w 1999 roku ani razu nie wyłączyłam komórki. Zawsze miałam ją włączoną. Tego wieczoru ją jednak wyłączyłam.*

*D'Urso: Dlaczego?*

*Tonin: Nie wiem, nie wiem. Jakoś pomyślałam, że ją wyłączę. Zwykle mój mąż wyłączał swój telefon, a tym razem zostawił go włączonego. Poszłam do kampera i położyłam się do łóżka, wtedy zadzwonił telefon męża.*

*D'Urso: Która to była godzina?*

*Tonina: Wydaje mi się, że jakaś 21:30, może 22:00…*

*De Rensis: Było trochę później, ale to nieistotne.*

*Tonina: Nie wiem.*

*De Rensis: Krótko po dziesiątej wieczorem.*

*Tonina: Usłyszałam menedżerkę Marco: „Paolo, Marco nie żyje".*

*D'Urso: Tak po prostu.*

*Tonina: Tak. Wtedy miałam ten przebłysk, taki przebłysk świadomości, a potem powiedziałam: „Zabili go, zabili go". Od dziesięciu lat powtarzam, że go zabili. […] Miałam przeczucia dotyczące Marco. Wydarzyło się wszystko, co przewidywałam, że się wydarzy. […] Wyjeżdżał na trening, ja miałam przeczucie, że upadnie, i on upadał.*

*Domenica Live (Canale 5), 19 października 2014*

Przebłyski i przeczucia, przepowiednie i ich interpretacje, wszystko to uważnie przećwiczone i na wpół wyreżyserowane z myślą o telewidzach. Oglądalność tego programu sięgnęła 19,18 procent. Po przerwie reklamowej d'Urso rozmawiała z Matteo Renzim, prezydentem Włoch. Liczba widzów spadła wtedy z 2 351 000 do 2 006 000.

W przeciwieństwie do Miradossy, Veneruso i Ramireza, Carlino (oskarżony o spowodowanie śmierci w rezultacie popełnienia innego przestępstwa) oraz Korowina (oskarżona o dostarczanie narkotyków Pantaniemu w grudniu 2008 roku) postanowili bronić się przed sądem. Korowinę oczyszczono z zarzutów, a Carlino został skazany. W styczniu 2008 roku usłyszał wyrok czterech lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Do tego musiał zapłacić grzywnę w wysokości 19 tysięcy euro oraz wypłacić rodzinie Pantanich zadośćuczynienie w kwocie 300 tysięcy euro.

Mamma Tonina kwestię tych wyroków zbywała stwierdzeniem: „Nie oni są winni śmierci Marco, nie oni nas interesują. Chcę, żeby śledztwo zostało przeprowadzone jeszcze raz, od początku".

Stwierdziła, że ma poczucie, że ktoś mógł zmuszać syna do zażywania kokainy, choć ta hipoteza stała w sprzeczności z opinią wszystkich biegłych, którzy wypowiadali się w tej sprawie. Dwóch pierwszych lekarzy, którzy widzieli ciało Marco – doktor skierowany przez operatora numeru alarmowego i wysłany na oględziny miejsca zdarzenia patolog sądowy – wykluczyli użycie przemocy. Raport z autopsji sporządzony przez profesora Giuseppe Fortuniego (badanie było wykonywane w obecności profesora Giorgio Gualandriego, który reprezentował rodzinę Pantanich i w pełni zgadzał się ze wszystkimi wnioskami Fortuniego) wymieniał 11 ran, z których wszystkie okazały się „powierzchowne i bez

większego znaczenia”. Były to cztery rany głowy: zasinienie i rozcięcie lewego łuku brwiowego, spuchnięty nos (obie rany powstały, gdy Marco upadł) oraz dwa obtarcia, jedno po przeciwnej stronie głowy, a drugie z tyłu, na karku. Pozostałe siedem ran odnotowano na kończynach dolnych: obtarcia na obu kostkach, na kolanie i na dużym palcu, do tego trzy na podbiciu stopy. Sugerowały one, że Marco albo był nieuważny, albo miał problemy z równowagą. Zgadzało się to z zażywaniem kokainy oraz faktem, że pod antresolą sufit był nisko, w pokoju nie brakowało też wystających fragmentów ścian.

Nie stwierdzono krwotoków wewnętrznych ani złamań kości odpowiadających obrażeniom zewnętrznym, nie znaleziono żadnych innych śladów obrażeń. Przegroda nosa nie była złamana, nie odnotowano żadnych obrażeń obronnych – ani czynnych (na dłoniach), ani biernych (gdy ktoś zasłania się rękami przed ciosami napastnika). Nie doszło tam do żadnej walki.

Sześć lat później, w dziesiątą rocznicę śmierci Marco, włoska stacja Italia 1 wyemitowała późnym wieczorem bełkotliwy program, dziwne połączenie dokumentu z talk-show, zatytułowany *Il Mistero Pantani* (Tajemnica Pantaniego). Mamma Tonina szczegółowo opowiadała tam o swojej teorii, że Marco był zmuszany do zażywania kokainy: „Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś złapał go od tyłu i ścisnął”. W jej ocenie dowodziły tego dwa niewielkie trójkąty w okolicach szyi, dobrze widoczne na zdjęciu wykonanym przez patologa, które ktoś niefachowy mógłby uznać za ślady naciskania palcami na szyję. Lekarze byli natomiast zgodni co do tego, że są to pierwsze oznaki rozkładu tkanek. Interpretacja Mammy Toniny okazała się jednoznacznie błędna.

W kraju takim jak Włochy, z długą historią korupcji i nieprawidłowości w wymiarze sprawiedliwości, powstanie teorii spiskowych było zapewne nieuniknione. Z pewnością sprzyjał temu również fakt, że Pantani był osobą publiczną o niezwykle kontrowersyjnej przeszłości. W pierwszych tygodniach i miesiącach po 14 lutego 2004 roku śmierć Marco przypisywano rosyjskiej mafii (być może dlatego, że w Rimini mieszka spora populacja Rosjan, a kolarz utrzymywał znajomość z Rosjanką, Korowiną), Comorrze z Neapolu (prowadzącej syndykaty hazardowe), a nawet takim czy innym interesom wielkich firm we Włoszech (na przykład któremuś z rywali sponsora Marco, firmy Citroën). Potem posądzano również jednego lub większą grupę jego sponsorów, w zasadzie w dowolnej kombinacji. Do sądu trafił co najmniej jeden pozew o zniesławienie w związku z publicznym wysuwaniem takich szalonych oskarżeń, który zakończył się zasądzeniem odszkodowania.

W 2007 roku Philippe Brunel, francuski dziennikarz specjalizujący się w kolarstwie, kwestionował wyniki dochodzenia na kartach swojej książki *Vie et mort de Marco Pantani* (Życie i śmierć Marco Pantaniego):

*Samotność, kokaina, barbiturany, długie noce i dziwki, wszystko to rozumiem.*

*Rozumiem rozwiązłe metody odreagowania stylu życia mistrza kolarstwa, któremu na co dzień niewiele brakuje do mnicha.*

*Rozumiem pękające serce, dyshonor, nawet irracjonalne pragnienie publicznego poniżenia.*

*Wszystko to rozumiem. Ale nie rozumiem jego śmierci. Nie w taki sposób.*

*To po prostu kwestia stylu, kwestia godności.*

Innymi słowy, Francuz nie potrafił zaakceptować autodestrukcji Pantaniego z powodów estetycznych. Książka ta została przetłumaczona na włoski i wydana w formie komiksu, na jej podstawie powstała nawet sztuka teatralna. Publikacja cieszyła się wielkim powodzeniem wśród specjalizujących się w kolarstwie dziennikarzy, którzy najwyraźniej albo nie chcieli zapoznać się z dowodami, albo zabrakło im wiedzy i umiejętności, by to zrobić.

Podobnie jak Mama Tonina, Brunel zaczął od wniosków, a potem zaczął szukać dowodów na to, że są to wnioski słuszne. Twierdzi, że w pokoju znaleziono opakowanie po chińskim jedzeniu na wynos. Pantani miał rzekomo nigdy nie jadać chińszczyzny, więc opakowanie automatycznie zostało uznane za dowód, że w pokoju przebywał z nim ktoś inny. Brunel przekreślił w ten sposób całą drobiazgową pracę policji, która ustaliła, że w ostatnich czterech dniach życia Pantani był sam. Gdyby Francuz poszukał trochę głębiej, dotarłby do następujących wyjaśnień Fortuniego: „To było zwykłe opakowanie z aluminium, puste, ale ewidentnie używane. Dla jasności nazwałem je »opakowaniem po chińskim jedzeniu«, rozumiejąc to jako synonim dania na wynos. Nie mam pojęcia, czy znajdowała się w nim chińszczyzna czy coś innego. Na pewno nie czuć było z tego opakowania zapachu chińskiej kuchni”.

Pojemnik można zobaczyć na zdjęciach wykonanych przez Jednostkę Techniki Kryminalistycznej – to aluminiowe korytko, w którym przyniesiono Marco jego ostatni omlet.

Brunel twierdzi również, że znalazł sposób, w który mordercy mogli wejść do hotelu i dostać się do pokoju Pantaniego tak, by nie zostali zauważeni przez pracownika recepcji. Gdyby także w tej sprawie poszukał uważniej, przekonałby się, że policyjni śledczy byli w pełni świadomi

istnienia wejścia przez garaż. Wzmianka na jego temat pojawia się na jednej ze stron opasłego raportu z opisem miejsca zgonu. Dwudziestego pierwszego lutego 2007 roku, podczas procesu Carlino i Korowiny, szczegółowo omówiono kwestię wejścia przez garaż. Pantani nigdy wcześniej nie był w tym hotelu i nikt nie pokazał mu garażu, ponieważ nie miał samochodu. Wejście to wyposażono w domofon. Drzwi otwierało się za pomocą nieoznakowanego przycisku, umieszczonego w pewnej odległości od nich. Miały samozamykacz, więc goście – którym pokazano, jak z nich korzystać – mogli tamtędy samodzielnie wyjść z budynku, ale wrócić już nie. Parking był objęty monitoringiem, a obraz z kamer trafiał na monitor recepcjonisty, choć materiału tego nie rejestrowano. Czternastego lutego Pantani – który tak czy siak nie znał drogi – musiałby o umówionej godzinie zejść do garażu i otworzyć drzwi swoim zabójcom. Tymczasem nie miał telefonu komórkowego, a od 9 lutego ani nie wykonał, ani nie odebrał żadnego połączenia zewnętrznego, taki scenariusz uznano więc za mało prawdopodobny.

Brunel zauważa również, że w pokoju, w którym zmarł Marco, nie zebrano odcisków palców. Śladowe ilości kokainy znajdowały się tam na niemal każdej powierzchni, więc zbieranie odcisków palców byłoby równoznaczne z niszczeniem dowodów. W związku z tym śledczy postanowili zaczekać. Pokój pozostawał zapieczętowany przez niemal trzy tygodnie, podczas gdy oni zbliżali się do zatrzymania dilerów, którzy dostarczyli Marco ostatnią, śmiertelną dawkę. Gdyby w tym czasie pojawiła się wiarygodna hipoteza morderstwa – na skutek odkrycia dowodów materialnych, takich jak rany obronne, albo dowodów poszlakowych, jak zeznania świadka – technicy kryminalistyczni mogliby przystąpić do zbierania odcisków palców. Ostatecznie wyszło tak, że zebrano solidny

materiał dowodowy bez odcisków palców, oparty na wnioskach z raportu z autopsji oraz danych bankowych, telefonicznych i pochodzących z autostradowego systemu Telepass.

W związku z dziesiątą rocznicą śmierci Marco, która przypadała 14 lutego 2014 roku, w telewizji wyemitowano wiele specjalnych programów. Stacja Rai Sport 1 poświęciła Pantaniemu pierwszą część programu *Popołudnie mistrzów*, a Rai Sport 2 wyemitowała kompilację wywiadów z kolarzem, zatytułowaną *Ja, Marco…*, jego wypowiedzi, a następnie program *Pamiętam cię: Pantani, Il Pirata*. Należąca do firmy Mediaset Stacja Italia 2 pokazała *Narodził się mit Pantaniego*, pięciogodzinny dokument przedstawiający najważniejsze momenty z kariery kolarza, w tym powtórki pełnych transmisji z podjazdów do Merano i Apriki z Giro d'Italia 1994.

*Il Mistero Pantani*, kolejny pięciogodzinny maraton, rozpoczął się tuż przed północą w Italia 1, innym kanale należącym do Mediaset. Wystąpiło w nim trio, które wkrótce miało stać się doskonale znane interesującym się sportem Włochom: Mamma Tonina, Davide De Zan i Antonio De Rensis. Tonina dzięki połączeniu satelitarnemu pojawiła się na wielkim ekranie w tyle studia. Realizator bardzo często pokazywał ją w wielkim zbliżeniu, dzięki czemu jej krytyczny wyraz twarzy stanowił tło dla rozmowy w studio. Prowadził ją Antonio De Rensis, jej nowy prawnik i przy okazji celebryta. Reprezentował między innymi Antonio Conte, selekcjonera włoskiej reprezentacji w piłce nożnej, poza tym w sądzie cywilnym reprezentował grupę rodzin ofiar katastrofy wycieczkowca Costa Concordia ze stycznia 2012 roku. Do końca 2014 roku razem z Mammą Toniną i Davide De Zanem pojawił się w mediach tyle razy, że został jednym z najbardziej rozpoznawalnych prawników we Włoszech.

Tego wieczoru w studio obecny był również Andrea Rossini, który od 1993 roku był reporterem ds. prawnych ukazującej się w Rimini gazety „Corriere Romagna”. Rossini to jedyny dziennikarz w całych Włoszech, który pisał o śmierci Pantaniego, śledztwie, procesie i wszystkich późniejszych wydarzeniach. Jego nieustanne zainteresowanie tym tematem dawało mu bardziej szczegółową wiedzę na temat akt policyjnych niż samym policjantom. To właśnie Rossini obalił opartą na chinszczyźnie hipotezę Brunela, wyjaśnił kwestię alternatywnego wejścia i dokładnie wytłumaczył, dlaczego nie zostały zebrane odciski palców.

Już na początku dokumentu *Il Mistero Pantani*, nakręconego przez reportera Salvatore Filippone, wymieniano liczne wątpliwości dotyczące tej sprawy. Filippone mówił, że „podziela je wiele osób”, ale nie podał szczegółów. „Śmierć Marco Pantaniego nadal otaczają niewyjaśnione tajemnice”, stwierdził, choć w rzeczywistości prawie wszystkie przedstawione niejasności zostały rozwiane w toku śledztwa z 2004 roku. Rekonstrukcja ostatnich godzin życia kolarza została przeanalizowana i zaakceptowana przez dwóch sędziów – prowadzącego proces Carlino i Korowiny oraz prowadzącego sprawę Carlino przed sądem apelacyjnym.

Filippone powtarzał bezpodstawne podejrzenia Mammy Toniny dotyczące obrażeń: „Czy to możliwe, że Marco Pantani nabawił się wszystkich tych obrażeń, wyłącznie upadając na ziemię? A może raczej wystąpiły one na skutek szamotaniny, której celem było zmuszenie go do zażycia narkotyków?”. Filippone poruszył też dwie inne kwestie: alternatywne wejście i odciski palców, czyli w zasadzie zacytował Brunela. Dalej tłumaczył tak:

*Marco Pantani zmarł na skutek zażycia dużych ilości kokainy. Jak to możliwe, żeby ktoś połknął taką ilość, zamiast wciągnąć ją nosem, jak to się zwykle robi?*

*Dlaczego nikt nie zadzwonił po carabinieri, gdy około 10:30 Marco dwukrotnie telefonował i prosił wprost o ich pomoc?*

*W pokoju 5D znaleziono trzy kurtki należące do Pirata. Zdaniem jego rodziców tych kurtek nie powinno tam być. Według nich powinny znajdować się w Mediolanie. Co robiły zatem w tym pokoju? Kto je tam przyniósł?*

*Dlaczego recepcjonista, który znalazł ciało, w pierwszym zeznaniu twierdził, że drzwi były zabarykadowane, a w drugim mówił, że owszem, były zastawione, ale nadal dawało się przez nie przejść?*

*Jak to możliwe, że pomimo tych obrażeń i dużej ilości krwi policja od razu przeszła do upatrywania przyczyny śmierci w przedawkowaniu?*

*Dlaczego – co widać na filmie z miejsca zdarzenia – nikt oprócz jednej osoby nie nosi w tym pokoju stroju ochronnego, który zapobiegłby zanieczyszczeniu potencjalnego materiału dowodowego?*

*Jak to się stało, że od wszczęcia alarmu przez Marco do znalezienia jego ciała minęło dziesięć godzin? Co działo się w tym czasie? Dlaczego nikt nie próbował otworzyć drzwi?*

*Czy to możliwe, że ktoś wszedł na miejsce zdarzenia i je zanieczyścił?*

*Liczne przedmioty, które znaleziono na podłodze pokoju, w tym lustro i telewizor, były nienaruszone, pomimo że – według oficjalnej wersji – Marco znajdował się w kokainowym delirium. Panujący tam chaos wygląda na upozorowany.*

Wszystkie te wątpliwości miały służyć przemyceniu wersji Mammy Toniny, wedle której jej syna zmuszano do zażywania narkotyków, połączonej z teorią o wejściu przez garaż. Ani słowem nie wspomniano o długiej walce Pantaniego z uzależnieniem, ani o tym, że 9 lutego pojechał do Rimini wyłącznie w jednym celu – żeby kupić kokainę od Miradossy. Nie powiedziano, że jego pokój hotelowy zabarykadowano od wewnątrz, że wszystkie okna były szczelnie zamknięte i zasłonięte. Merytoryczna wartość tych „wątpliwości" była nieistotna, bardziej chodziło o ich liczebność – to ona miała sugerować, że coś wymaga wyjaśnienia. Kompletna niewiarygodność teorii o zmuszeniu Marco do zażycia narkotyków w ogóle nie została poruszona.

Co gorsza, stawiane w tym filmie pytania były pełne błędów co do faktów oraz ich interpretacji. Sugestia, jakoby Marco nie zażył śmiertelnej dawki kokainy przez nos, była niezgodna z prawdą. Pobrano wymazy z jego nosa i potwierdzono, że zażył narkotyk tą drogą. Rzekomo duże ilości krwi wokół zwłok w rzeczywistości sprowadzały się do pięciu–dziesięciu centylitrów, czyli było jej tyle, ile mieści się w filiżance do espresso. Pracownicy hotelu kilkakrotnie próbowali wejść do pokoju, zanim ostatecznie znaleziono ciało. Opisany przez profesora Fortuniego stan delirium kokainowego nie był aktem wściekłości, gniewu i niszczenia, a polegał na drobiazgowym rozmontowywaniu pokoju w napędzanych paranoją poszukiwaniach ukrytych kamer, podsłuchów i tym podobnych.

Gdyby Rossini miał możliwość ustosunkowania się do tych wszystkich teorii, całym Włochom oszczędzono by wielu miesięcy nierzetelnego dziennikarstwa i wywiadów, w których było za mało faktów. Jego wkład w tę sprawę ograniczono jednak do minimum. Kiedy miał szansę wypowiedzieć się w tym filmie, dopiero po 16 minutach, wszystkie „wątpliwości"

Filippone zostały powtórzone co najmniej dwukrotnie (tajemnica związana z obecnością w pokoju kurtek narciarskich pojawiła się w tym obrazie aż cztery razy). Prowadzący rozmowę Claudio Brachino przyrównał nawet sprawę Pantaniego do autentycznego morderstwa Chiary Poggi, słynnej sprawy, w której próby skazania głównego podejrzanego, jej chłopaka Alberto Stasiego, okazały się bardzo trudne z uwagi na mocno zanieczyszczone miejsce zbrodni.

*Brachino: Wysłuchajmy zatem Rossiniego.*

*Rossini: Myślę, że…*

*Brachino: [Wchodząc mu w słowo] Czy jest pan przekonany… [Brachino się poprawia] Czy jesteś przekonany – w końcu jesteśmy kolegami po fachu – że dochodzenie zostało przeprowadzone właściwie? Przecież są w nim błędy…*

*Rossini: [Próbując wejść w słowo Brachino, który cały czas mówi] Uważam, że w każdym śledztwie…*

*Brachino: …zanieczyszczone miejsce zdarzenia… Przecież to już zdarzało się w innych medialnych sprawach w najnowszej historii Włoch, choćby w sprawie Stasiego, nawet jeśli…*

*Rossini: Tak, ale w tym przypadku mamy do czynienia z konkretnymi kwestiami. W materiale pokazanym na początku tego programu jako pierwszy wypowiadał się doktor Gengarelli, sędzia śledczy, który nadzorował dochodzenie. Wyjaśnił, że nie kierował się żadną z góry sformułowaną hipotezą. Wspomniał o lekach na receptę znalezionych w pokoju. Pośród innych rzeczy znalezionych w pokoju…*

*Brachino: [Wchodząc w słowo] Przepraszam, że wchodzę ci w słowo. Nie chcę być niegrzeczny, ale chciałbym pokazać grafikę sprzed kilku dni z „La Gazzetta dello Sport”, na której Gengarelli stwierdza [na ekranie pojawia się grafika], o, już widzimy:*

*„Wątpliwości? Rozumiem je, ale nie budzą one mojego niepokoju". Skoro je rozumie, to znaczy, że nie jest całkowicie negatywnie nastawiony do kwestii ponownego przeprowadzenia procesu. A skoro już przy tym jesteśmy, to jako dziennikarze mamy swoją robotę, ale naszym obowiązkiem jest również…*

*Rossini: [przerywając] Być może możemy rozmawiać o powtórzeniu dochodzenia, ale nie o powtórzeniu procesu, bo ten się zakończył. Zakończył się z chwilą, gdy osoby odpowiedzialne przyznały się do winy i zostały skazane, więc z tego punktu widzenia…*

*Brachino: Mógłbyś nam przypomnieć oficjalny werdykt w tej sprawie?*

*Rossini: Oficjalny werdykt? Wolałbym zacząć od waszego pierwszego materiału, ponieważ…*

*Brachino: Ale nie możemy pokazać go jeszcze raz…*

Od początku nikt nie miał zamiaru poddawać wątpliwości Filippone rzetelnej analizie dziennikarskiej. Co zadziwiające, jeśli nie liczyć Rossiniego na łamach „Corriere Romagna" oraz na kartach książki, którą opublikował w listopadzie, ani dokument *Il Mistero Pantani*, ani dziesiątki opiniotwórczych gazet i innych mediów we Włoszech i za granicą, które o tych „wątpliwościach" donosiły, nie zadały sobie trudu porównania tych rewelacji z dokumentami z policyjnego śledztwa ani protokołami z procesu sądowego.

De Rensis, któremu w słowo nikt nie wchodził, użył *Il Mistero Pantani* jako argumentu na poparcie swojej głównej tezy – że śledczy zbyt szybko poprzestali na scenariuszu zakładającym przedawkowanie i wykluczyli wszystkie inne możliwe hipotezy, także tę dotyczącą morderstwa, które Tonina widziała w swoim „przebłysku":

*Ktokolwiek wszedł do tego pokoju, mam na myśli pierwszą osobę […], ktokolwiek tam wszedł, w pierwszej chwili nie miał najmniejszej możliwości zrozumienia, co dokładnie się tam wydarzyło, ponieważ ta osoba tego nie wie. Profesor Fortuni tam nie wszedł. Profesor Fortuni włączył się w tę sprawę po 48 godzinach. No więc ten, kto tam wszedł, zobaczył zniszczony pokój, zwłoki, krew. W takiej sytuacji należy zacząć od wielu różnych [teorii], a potem je zawężać…*

Brzmi to zupełnie sensownie, tyle że wystarczyłaby chwila zastanowienia popartego wiedzą, by temu wszystkiemu zaprzeczyć. Zacznijmy od tego, że wieczorem 14 lutego 2004 roku sędzia śledczy Paolo Gengarelli wyszedł przed hotel do dziennikarzy. Wielokrotnie pytano go tam o możliwą przyczynę śmierci, aż w końcu odpowiedział: „Na tę chwilę nie ma żadnych hipotez. Na miejscu znaleziono leki przeciwlękowe, które mogą mieć jakiś związek ze zgonem. Jednakże – i będę wam to powtarzał do znudzenia – wszystko zostanie zweryfikowane podczas autopsji". Trzy tygodnie później, 6 marca, gdy raporty biegłych ciągle jeszcze nie były gotowe, Gengarelli napisał w wewnętrznym dokumencie, wniosku o podsłuch telefoniczny, że w pokoju „znaleziono jakąś substancję, prawdopodobnie kokainę". Gengarelli ewidentnie zachowywał otwarty umysł przez trzy tygodnie, nawet w kwestii kokainy.

Warto podkreślić, że absurdem byłoby nie przyjmować za prawdopodobną hipotezę przypadkowego przedawkowania. W dokumentacji nie został żaden ślad po rozmowie telefonicznej wieczorem w dniu śmierci między policją z Rimini a Manuelą Ronchi, choć na pewno do niej doszło. Przecież ostatecznie to Ronchi poinformowała rodziców Marco o jego

śmierci. Dowiedziawszy się, co się stało, Ronchi nie mogła raczej nie powiedzieć policji o jego uzależnieniu od narkotyków oraz niedawnych przypadkach niemal śmiertelnego przedawkowania. Z pewnością to samo zrobił Michael Mengozzi, który gdy tylko otrzymał te wieści, popędził na miejsce zdarzenia i stawił się przed policją.

Widzowie *Il Mistero Pantani* nie dostali jednak możliwości wyciągnięcia wniosku, że ta kluczowa informacja, i to przekazana bardzo wcześnie, mogła znacząco przyczynić się do szybkości i efektywności prowadzenia śledztwa.

Przez kilka miesięcy nic się nie działo, a potem, 24 lipca 2014 roku, całe Włochy znów zaczęły mówić i czytać o kolarstwie, bo po zwycięstwo w Tour de France pomknął ich rodak, Vincenzo Nibali. W tym samym czasie De Rensis przedłożył w prokuraturze w Rimini 54-stronicowe akta, zawierające teorię Mammy Toniny o zmuszeniu Marco do konsumpcji kokainy, tyle że ubraną w odpowiedni prawniczo-medyczny żargon.

Zaczynało się to od fragmentów raportu badawczego przygotowanego na zlecenie De Rensisa przez profesora medycyny sądowej Francesco Avato. Zadaniem Avato było obrać na cel autora oryginalnego raportu z autopsji, profesora Giuseppe Fortuniego – taka zagrywka strategiczna w ramach teatru prawnego. Avato zyskał sławę w 1990 roku, udowadniając, że śmierć innego znanego sportowca, piłkarza Donato Bergaminiego, nie była samobójstwem, jak początkowo zakładano, a stanowiła skutek morderstwa. Profesor pojedynkował się potem z Fortunim w wielu głośnych sprawach, a najsłynniejsza z nich dotyczyła Federico Aldrovandiego, 18-latka, który zmarł w areszcie policyjnym w 2005 roku. W tamtej sprawie Avato występował jako

przedstawiciel rodziny, a Fortuni był biegłym powołanym przez policję. Ostatecznie ośmiu funkcjonariuszy trafiło do więzienia, czterech za morderstwo Aldrovandiego, a pozostała czwórka za różne formy korupcji.

De Rensis nie potrafił podać motywu morderstwa Pantaniego ani wskazać potencjalnego podejrzanego, nie potrafił nawet sklecić wiarygodnego scenariusza alternatywnego, więc zatrudnienie Avato było dla niego sposobem na pozyskanie jakże potrzebnej mu wiarygodności (choć jego praca była obarczona wieloma błędami proceduralnymi). Gdy pod koniec 2013 roku zaczynał analizy, użyte podczas autopsji tkanki z ciała Marco nadal były dostępne, i to pomimo faktu, że 5 lipca 2007 roku sędzia prowadzący proces podjął decyzję o ich zniszczeniu, a 9 listopada 2011 roku sąd apelacyjny tę decyzję podtrzymał. Wystarczyło zatem złożyć zwykły wniosek w prokuraturze w Rimini, by zyskać dostęp do tych tkanek, ale De Rensis tego nie zrobił. W związku z tym w maju 2014 roku technik zatrudniony w sądzie w Rimini, instytucji niezależnej od prokuratury, dokonał zniszczenia tego materiału. Zachowały się płytki z próbkami krwi, na których można było przeprowadzić badania, ale po nie też nikt się nigdy nie zgłosił. De Rensis nie wnioskował także o udostępnienie mu zdjęć w wysokiej rozdzielczości, wykonanych przez techników kryminalistycznych. Wydaje się, że dostarczył swoim ekspertom gorszej jakości wydruki wykonane na drukarce laserowej na podstawie skanów oryginalnych odbitek. Pomimo tych wszystkich ograniczeń Avato twierdził, że znalazł nowe dowody, które pierwotnie pominięto na miejscu zdarzenia. Na tej podstawie podważał wybrane główne wnioski Fortuniego.

Avato utrzymywał, że obrażenia Pantaniego sugerują szarpaninę z co najmniej jednym napastnikiem, a twierdzenie to obwarował zastrzeżeniem, sformułowanym

z wykorzystaniem charakterystycznej dla niego terminologii, która utrudniała zrozumienie treści: napisał, że poprawna ewaluacja obrażeń nie pozwala na „jednoznaczne oszacowanie modalności produktywnych". Innymi słowy, nikt nie może być absolutnie pewien, jak te obrażenia powstały. Obrażenia nosa i brwi mogły zostać spowodowane przez upadek na podłogę, ale równie dobrze mogły stanowić efekt uderzenia „tępym przedmiotem (kij? rurka?), być może również naturalnym (pięść? pięść z pierścieniem na palcu?)". Avato utrzymywał, że wszystkie cztery rany na głowie Pantaniego nie mogły powstać na skutek jego ostatniego upadku, choć w rzeczywistości nikt niczego takiego nie sugerował. Ślady krwi na podłodze obok ciała oraz krople krwi na schodach, niedostrzeżone rzekomo w 2004 roku, ale widoczne na zdjęciach, pozwoliły wręcz Avato na wysnucie wniosku, że w dniu śmierci Marco jego martwe ciało zostało przez kogoś przemieszczone wewnątrz pokoju między 15:30 a 18:30.

Profesor nie sięgnął do obszernych zeznań licznych przesłuchanych świadków, co negatywnie odbiło się na jego analizach. Doktor Toni oszacował czas zgonu między 14:00 a 17:00, a szacunki Fortuniego, określone na podstawie autopsji i uznane za najbardziej wiarygodne, zakładały godziny 11:30–12:30. Avato odsunął czas śmierci jeszcze bardziej, szacując ją na 10:45–11:45, choć z zeznań świadków wynikało, że o 10:55 Marco korzystał jeszcze z telefonu. Ponadto profesor napisał, że stężenie kokainy w organizmie zmarłego „dalece przekraczało maksymalne ilości odnotowane w literaturze medycznej jako efekt zażywania narkotyku przez nos". Trudno było mu „wyobrazić sobie celowe i dobrowolne, a nawet przypadkowe spożycie takich ilości kokainy". Stężenie tej substancji w organizmie Marco przyrównał do stężenia spotykanego u narkotykowych mułów, którzy zmarli, gdy w ich

wnętrzu doszło do pęknięcia woreczka z przemycaną substancją. Giovanni Greco, lekarz Pantaniego, powiedział policji coś innego: „Zachowanie Marco związane z zażywaniem kokainy miało charakter kompulsywny. Potrafił zamykać się gdzieś na całe dni i zażywać zadziwiające ilości tego narkotyku. Wydaje mi się, że mógł spożywać nawet do 100 gramów kokainy tygodniowo. Palił ją, brał przez nos, być może stosował również inne, wymyślne formy jej przyjmowania, jak wkraplanie do nosa kokainy pod postacią olejku. Mógł ją również jeść". W zeznaniach z 10 lutego 2005 roku kokainowy diler Fabio Miradossa stwierdził: „Pantani zawsze kupował po 100–150 gramów".

Ta część raportu Avato kończyła się następującym stwierdzeniem, które jakoś nigdy nie zostało opublikowane przez włoską prasę: „Analiza dokumentów nie pozwala na sformułowanie względnie pewnej hipotezy alternatywnej do tej zakładającej samobójstwo". Profesor ewidentnie nie był gotów kategorycznie oznajmić, że mamy tu do czynienia z morderstwem. Najwyraźniej był też nieświadomy, że nikt nigdy nie sugerował, jakoby Marco popełnił samobójstwo.

Raport przygotowany przez Avato zajmował pierwszych 15 stron akt De Rensisa. Pozostała część obejmowała jego własne interpretacje zeznań świadków oraz protokołów z procesu. Chcąc podać w wątpliwość delirium kokainowe Pantaniego oraz wiarygodność gości hotelowych, De Rensis przeprowadził absurdalnie drobiazgową analizę precyzji ich zeznań. Uznał na przykład za mało możliwe, aby świadek zapamiętał dokładnie słowa kolarza: „Byt lub niebyt… Nie wiem, czy byt jest tym samym co niebyt, więc gdy tu jesteś, jesteś też gdzieś indziej, ale oni i tak na ciebie patrzą i widzą, co robisz… Z tego tunelu nie ma wyjścia…". Potem z niezrozumiałych powodów napisał, że jeszcze trudniej wyobrazić sobie dokładne zapamiętanie słów:

„Nie wiem, czy będzie dla mnie jakiejś jutro”. Zwrócił uwagę, że świadkowie mówili o „silnym zapachu potu, charakterystycznym dla kogoś, kto nie mył się od kilku dni”, a w raporcie z autopsji znalazło się stwierdzenie, że pod względem higienicznym ciało było w dobrym stanie. Nie potrafił natomiast przedstawić żadnego potencjalnego powodu, dla którego świadkowie ci mieliby kłamać w zeznaniach. Nie wziął też pod uwagę możliwości, że Pantani mógł się po prostu wykąpać.

De Rensis usiłował ustalić, czy do pokoju kolarza dało się wejść w taki sposób, aby nie wiedział o tym pracownik recepcji. W tej kwestii dość mocno opierał się na liczbie kurtek znalezionych w pokoju, które zdaniem rodziców nie mogły tam zostać przyniesione przez Marco. Problem w tym, że przez ostatnią dekadę wersja z kurtkami bardzo często się zmieniała. We wrześniu 2005 roku Mamma Tonina powiedziała reporterowi „La Voce di Romagna”: „W pokoju w hotelu Residence znajdowały się dwie kurtki marek Diesel i Iceberg, które nie należały do [Marco]”. Dwudziestego pierwszego lutego 2007 roku okazało się jednak, że kurtki te należały do niego. Podczas procesu Carlino i Korowiny Mamma Tonina zeznała, że 26 stycznia w Cesenatico siedziała obok syna, gdy ten się pakował. „Otworzył walizkę i włożył do niej dwie kurtki i dwie bluzy […], ale jeśli chodzi o te dwie kurtki – skoro Marco wyjechał z Mediolanu bez walizek, to jak to się stało, że ja znalazłam je w Rimini?”

Kiedy Brunel ukończył prace nad rękopisem książki, która po francusku ukazała się 24 października 2007 roku, dwie kurtki rozmnożyły się do trzech i stały się kurtkami narciarskimi. Potem tak właśnie mówiła o nich Mamma Tonina w licznych wywiadach, tyle że nie były to już grube kurtki na bardzo niskie temperatury, tylko raczej lekkie kurtki na chłodniejszą pogodę.

W swoich aktach De Rensis konsekwentnie unikał podawania ich liczby.

W policyjnym spisie rzeczy znalezionych w pokoju figurują lekka kurtka polarowa w kolorach czerwonym i ciemnoszarym, czarna kurtka marki Diesel z pomarańczową podszewką oraz czarna kurtka Iceberg History z czerwonymi aplikacjami i szarym kolorem na rękawach. De Rensis napisał: „Kurtki były w Mediolanie, trafiły do Rimini, a Pantani przyjechał do Rimini bez bagażu". Nie pokrywa się to z zeznaniami taksówkarza, który mówił: „Miał ze sobą saszetkę biodrową i małą materiałową torbę". W policyjnym spisie rzeczy również widnieją: mała zielona torba marki Puma z paskiem, saszetka biodrowa oraz niebieska torba foliowa z dwoma parami bokserek, dwoma T-shirtami i kilkoma dokumentami.

Pantani nie miał przy sobie bluz ani koszul. Do Rimini przyjechał w lutym, mglistego i chłodnego dnia (temperatury wahały się wtedy między 1 a 11 stopniami Celsjusza, wiało z prędkością 5–15 kilometrów na godzinę). W związku z tym przynajmniej dwie z tych kurtek mógł mieć na sobie, jedną na drugiej (Veneruso zapamiętał, że Marco miał na sobie kurtkę, a pod nią „górę od dresu"), a trzecia kurtka mogła być upchnięta w niebieskiej torbie z lekami i ubraniami. Mógł nawet kupić kurtkę po drodze, gdy szedł do hotelu, choć najbardziej prawdopodobna jest wersja, że te kurtki w którymś momencie znajdowały się w domu Manueli Ronchi, a ona ich po prostu nie zapamiętała. Wygląda na to, że Pantani – w towarzystwie matki – 26 stycznia spakował nakrycia do walizki i zabrał je do Mediolanu (z danych z autostradowego systemu Telepass oraz billingów komórkowych wynika, że nigdzie się po drodze nie zatrzymywał). Kurtki mogły pojechać wyłącznie z nim. Jedyna inna możliwość jest taka, że kurtki dowiozła mu do Rimini jego menedżerka (jego rodzicie

przebywali w Grecji, a z Mengozzim Marco się nie kontaktował), ale nie było to możliwe o tyle, że ona nie wiedziała, gdzie jest Pantani.

De Rensis bardzo mocno zaakcentował prośbę Pantaniego, by recepcjonistka wezwała *carabinieri*. Kwestię tę po raz pierwszy poruszyła recepcjonistka Lucia D. w zeznaniach złożonych 15 lutego 2004 roku. Potem, 21 lutego 2007 roku, podczas procesu Carlino i Korowiny, w sprawie tych rzekomych prób wzywania pomocy szczegółowo przepytano właściciela hotelu i pięcioro jego pracowników.

Oto zeznanie Lucii D.:

*Jakoś przed wpół do jedenastej odebrałam telefon z pokoju Pantaniego. Poirytowanym tonem poprosił, żebym bezzwłocznie do niego przyszła, bo niepokoją go jacyś ludzie. [W sądzie 21 lutego 2007 roku Lucia D. wspominała: „Powtórzył to zdanie kilkukrotnie, ale nie powiedział, gdzie, kto i jak"]. Od razu poszłam do niego schodami [czyli nie czekała na windę], ale nie zastałam nikogo na korytarzu, z pokoju nie dochodziły też żadne odgłosy. Larysa, pani od sprzątania, powiedziała mi, że wcześniej kilkukrotnie pukała do tego pokoju, ale nikt się nie odezwał. Ja też zapukałam. Powiedziałam mu, kim jestem, i próbowałam go nakłonić, żeby mnie wpuścił, ale w ogóle nie zareagował.*

*Następnie weszłam do pustego pokoju obok i stamtąd zadzwoniłam do niego, żeby zapytać, co jest nie tak. Pantani mówił nerwowym, raczej ostrym tonem. Odparł, że niepokoją go jacyś ludzie. Nie słyszałam w tle żadnych głosów, więc zapytałam, kogo ma na myśli i gdzie ci ludzie są. Pantani powtórzył tylko, że jacyś ludzie go niepokoją, ale nie powiedział niczego konkretnego. Gdy zapytałam, czy mogę mu w związku*

*z tym jakoś pomóc, stwierdził: „Teraz to już nie ma znaczenia" i się rozłączył. [W sądzie Lucia D. zeznała: „Zadzwonił do mnie i powiedział: »Proszę wezwać carabinieri«. Zapytałam: »Co się stało?«, on powtórzył: »Proszę wezwać carabinieri«. Zapytałam go zatem: »Czy wszystko u pana w porządku?«, na co on po dłuższej chwili rzekł: »W sumie już nieważne«. Potem się rozłączył"]. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, bo mówił niespójnie, no i dlatego, że cała ta sytuacja była bardzo dziwna. Jako że nic więcej nie mogłam zrobić, wróciłam na recepcję.*

*Około 10:55 znowu odebrałam telefon od Marco Pantaniego. Zdenerwowanym i trochę wystraszonym głosem powiedział, że ktoś nadal go niepokoi, że tak nie powinno być i że powinnam wezwać carabinieri. Zaniepokoił mnie jego ton, no i jako że był to już drugi taki sam telefon, od razu zapytałam go, czy źle się czuje albo czy mogę coś dla niego zrobić, ale on, tym razem bardziej łagodnym głosem, odrzekł, że jeśli chcę, mogę wezwać carabinieri, a poza tym to już wszystko jedno. Potem się rozłączył.*

*Skonfundowana i zaniepokojona całą tą sytuacją zadzwoniłam do właściciela hotelu i o wszystkim go poinformowałam. Polecił, żebym poszła na górę, spróbowała otworzyć drzwi i porozmawiać z Marco Pantanim. Zrobiłam to bezzwłocznie, razem z panią od sprzątania.*

*Kilkukrotnie pukałam do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Pani od sprzątania próbowała otworzyć drzwi za pomocą głównego klucza, ale się nie dało. Drzwi uderzyły w coś, co je blokowało, być może jakiś mebel. Udało nam się otworzyć je na kilka centymetrów i wtedy usłyszałam, jak Pantani wymamrotał jakieś słowo, którego nie zrozumiałam.*

*Jeszcze bardziej nie rozumiałam, co się dzieje, ale zamknęłam drzwi, wróciłam na recepcję i kontynuowałam pracę. Czekałam na kolejną rozmowę z właścicielem, żeby uzgodnić z nim, co*

*robić, a w tym czasie dwa albo trzy razy poszłam jeszcze na piąte piętro i stałam pod drzwiami pokoju 5D, nasłuchując wszelkich niecodziennych odgłosów. Słyszałam tylko różne metaliczne dźwięki oraz odgłosy przesuwanych mebli. [W sądzie Lucia D. wyraziła się konkretniej: „…jak gdyby ktoś przesuwał krzesło, nie słyszałam żadnych uderzeń ani niczego takiego. […] Słyszałam, że ktoś w środku się przemieszcza, słyszałam czyjeś ruchy"].*

Pantani skarżył się na obcych, których nie widziały ani recepcjonistka, ani pani od sprzątania. Słyszał głosy, których nie słyszał nikt inny (nawet przysłuchując się pod samymi drzwiami). Ten obraz doskonale pasuje do zaburzeń percepcji wywołanych przez duże ilości kokainy. Podczas przesłuchania przez oskarżenie i obronę Lucia D. wyjaśniała:

*W pierwszej chwili zapytałam dlaczego, co się dzieje, ale kiedy niczego nie wyjaśnił, kiedy powiedział: „Nie, proszę się nie przejmować, to nieważne", naprawdę nie wiedziałam, co myśleć o całej tej sytuacji. Nie wiedziałam, co mam robić, ponieważ w tamtej konkretnej chwili nie wiedziałam, czego ode mnie chce. […] Prawdę powiedziawszy, nie rozumiałam, co się dzieje.*

Recepcjonistka postanowiła nie angażować się zbyt mocno, co prawdopodobnie było błędem. Właściciel hotelu poradził jej, żeby poczekała i nie niepokoiła znanego gościa:

*Właściciel (Sandrino D.): Nie poleciłem jej dzwonić po carabinieri, ponieważ brałem pod uwagę, o kim mowa. Wszyscy zawsze mówili, że Pantani to człowiek zamknięty w sobie,*

*zdystansowany. Pomyślałem, że może mieć problemy, uznałem więc, że powinniśmy dać mu spokój.*

Kwestia ta była podczas procesu w lutym 2007 roku szczegółowo rozważana, co znalazło wyraz w protokołach z rozprawy. Prowadzący ją sędzia kilkukrotnie interweniował i poprawiał prawnika reprezentującego Carlino.

*Obrona (Pan Venturi): Pantani dzwoni do recepcji i mówi: „Pomocy, ktoś mnie niepokoi, wezwijcie carabinieri". Człowiek prosi o pomoc, nie prosi, żeby zostawić go w spokoju.*

*[…]*

*Sędzia: Wydaje mi się, że nie było mowy o wzywaniu pomocy.*

*Obrona (Pan Venturi): Nie, ja to mówię. Człowiek dzwoni i prosi: „Wezwijcie carabinieri", czyż to nie jest wzywanie pomocy…?*

*Sędzia: Słowo „pomoc" dodał pan od siebie.*

*Obrona (Pan Venturi): W porządku, ale świadkowie, Wysoki Sądzie, mówią, że…*

*Sędzia: Na tej sali padły słowa: „Ktoś tu hałasuje", a to nie jest wołanie o pomoc.*

*Obrona (Pan Venturi): „Wezwijcie carabinieri". „Wezwijcie carabinieri".*

*Świadek (De Luigi, S. [właściciel hotelu]): Ci Argentyńczycy, koszykarze, oni raz skarżyli się na jakiś hałas. Pantani też raz narzekał, że jest za głośno. Uznałem, że chodzi o tego rodzaju niepokojenie.*

Warto się zastanowić, czy mordercy, którzy musieliby się znajdować w pokoju i przygotowywać do wlania w Marco na

siłę roztworu z kokainą, pozwoliliby mu dwukrotnie zadzwonić do recepcji i raz odebrać telefon, wszystko między 10:30 a 10:55. Do tego dochodzi zupełnie prozaiczna kwestia, która powoduje, że wszystkie hipotezy o morderstwie stają się już całkowicie absurdalne. Przecież Pantani wiedział, że ma linię z wyjściem na miasto. Pierwszego dnia pobytu w Residence sam z niej korzystał, żeby zadzwonić do Carlino. Obok aparatu telefonicznego znajdowała się lista numerów alarmowych, więc gdyby poważnie potrzebował pomocy *carabinieri*, mógł ich wezwać sam.

De Rensis w swoich analizach wyraża oburzenie, które wydaje się przesadzone. Znalezione za nocną szafką minimalne ilości haszyszu, niemal na pewno pozostawione tam przez poprzedniego gościa hotelu, skłoniły go do sformułowania następującego pytania: „Dlaczego Pantani miałby chcieć chować haszysz, skoro z kokainą w ogóle się nie krył?". Problem w tym, że nikt nigdy nie łączył haszyszu ze sprawą jego śmierci.

W innym miejscu podważał przesłuchanie Carlino przez policję, które odbyło się 21 maja 2004 roku. Carlino zaczął od stwierdzenia, że ma dwie teorie dotyczące śmierci Marco Pantaniego. Pierwsza z nich, którą nazwał „Hipotezą A", w dużej mierze pokrywała się z ustaleniami policji. Gdzieś w okolicach 94. strony protokołu Gengarelli zaczął raz za razem pytać go o „Hipotezę B". Początkowo Carlino uchylał się od odpowiedzi, ale potem stwierdził: „Już jej nie ma. Nie mam już hipotezy B". De Rensis był oburzony: „W jednej chwili zeznaje, że ma hipotezę B, a zaraz potem mówi, że już jej nie pamięta". „To nielogiczne" – ciągnął De Rensis. – „Cała ta sytuacja jest niewyobrażalna". A dalej napisał: „Przesłuchanie skończyło się chwilę później". Skoro przesłuchiwany konsekwentnie twierdził, że nie ma już hipotezy B, to co zdaniem De Rensisa miał zrobić prowadzący przesłuchanie?

W innym fragmencie De Rensis zwraca uwagę na zeznania Sandrino D., właściciela hotelu, z 17 marca 2014 roku: „Zaskoczyło mnie, że umywalka [z łazienki] była zdemontowana i położona pod drzwiami [pokoju]". De Rensis napisał: „Na policyjnym nagraniu wideo umywalka jest z powrotem na swoim miejscu [na ścianie w łazience]". Pantani nie miał narzędzi, żeby odłączyć umywalkę od rur, a potem ponownie podłączyć całą hydraulikę, więc najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to, że Sandrino D., przypominając sobie tamte obrazy po ponad dziesięciu latach, po prostu się pomylił. De Rensis wietrzył w tym jednak spisek: „Albo właściciel kłamał, albo po tym, jak wszedł do pokoju, wydarzyło się coś, co wydarzyć się nie powinno".

W ogólnych doniesieniach medialnych nie kwestionowano wartości zeznań świadków, składanych dziesięć lat po tamtych tragicznych wydarzeniach (może z wyjątkiem Andrei Rossiniego z „Corriere Romagna").

Jednym z wielu paradoksów nieodłącznie związanych z całą tą kampanią był fakt, że De Rensis sięgał po szczegółowe informacje zebrane przez policję po śmierci Pantaniego, często poruszał kwestie, które były przedmiotem postępowania sądowego, które szeroko opisywano w prasie i o których swobodnie dyskutowano w sferze publicznej, upatrując w nich dowodu, że ktoś próbuje zatuszować prawdę. Jedenastego listopada 2014 roku w *Matino Cinque*, emitowanym w Canale 5 porannym programie telewizyjnym omawiającym bieżące wydarzenia, pokazano fragment materiału policyjnego nakręconego na miejscu zdarzenia. W tle słychać odgłos spadających sztućców. Reporter najwyraźniej czytał 32. stronę akt De Rensisa:

*Gdy znacznik czasu pokazuje godzinę 23:39:45, a operator kamery kręci patologa badającego ciało Pantaniego na antresoli, widać przemieszczającą się w części parterowej postać bez stroju ochronnego, słychać również głośny odgłos upadających sztućców.*

*Kiedy operator zaczyna filmować część parterową, wykonuje zbliżenie na rozrzucone sztućce, ale nie pada zastrzeżenie, że tych sztućców nie upuścił Marco Pantani, a do tego wniosku można dojść nawet po jednokrotnym obejrzeniu tego materiału! [s. 32; wykrzyknik wstawił De Rensis].*

Fragment ten był odtwarzany raz za razem. Hałas kojarzył się z dokładną odwrotnością drobiazgowej dokładności i uważności, jakie powinny charakteryzować badania kryminalistyczne. Widz ma poczucie, że ogląda właśnie coś bardzo ważnego, ale nikt mu nie mówi, co to tak naprawdę znaczy. Siedzący w studio De Rensis wyjaśnia:

*Z nagrania jasno wynika, że początkowo tych sztućców tam nie ma. Funkcjonariusz – ubrany po cywilnemu, bo najwyraźniej w części parterowej wszyscy poruszają się bez strojów ochronnych i bez rękawiczek – podchodzi do szuflady stolika i ją podnosi. Część sztućców upada na lewo od stolika, a część na prawo. Problem polega na tym, że gdy schodzą na dół sfilmować te sztućce, nikt nie mówi: „To my je zrzuciliśmy", jak gdyby te sztućce znalazły się tam wskutek słynnego „delirium" Marco Pantaniego.*

Jeżeli jednak z filmu jasno wynika, że sztućce upuścili funkcjonariusze, to naprawdę trudno im zarzucać, że próbują

sugerować nam coś innego. Gdyby było tam cokolwiek do ukrycia, nagranie mogło zostać po prostu zniszczone, bo nie istnieje żaden obowiązek sporządzania dokumentacji wideo z miejsca zdarzenia. Nagranie to łatwa metoda inwentaryzacji przedmiotów znalezionych w pokoju, dodatek do zdjęć ciała i miejsca zbrodni oraz do bólu szczegółowego opisu, nie stanowi natomiast dokumentacji analizy ciała i miejsca zbrodni. Na tym etapie funkcjonariusze pracujący na dole przeszukują już pokój pod kątem narkotyków. Sprawdzają za meblami, tną materace. Wtedy właśnie na podłogę spadają sztućce. Na górze, na antresoli, ubrani w stroje ochronne funkcjonariusze w rękawiczkach zajmują się ciałem i tamtejszymi śladami. Na schodach stoi policjant w mundurze, którego zadaniem jest dbać, by nikt ani nic się tymi schodami nie przedostało. Po co miałby nosić na dłoniach rękawiczki?

Drugim paradoksem analizy De Rensisa jest fakt, że to materiał samospełniający się. Już wcześniej pisałem, że relacje medialne dotyczące sprawy Pantaniego miały szkodliwy wpływ na jej rozwój. Uchyliwszy w listopadzie 2011 roku wyrok skazujący dla Fabio Carlino, Oscar Cedrangolo, sędzia Najwyższego Sądu Apelacyjnego, napisał: „Odnoszę wrażenie, że status celebryty osoby, o którą chodzi [czyli Marco Pantaniego], oraz ciągłe relacje medialne mogły stanowić czynniki oddziałujące na przypisywanie oskarżonym winy". Zaczęło się od filmu dokumentalnego *Il Mistero Pantani*, zawierającego słynne „wątpliwości" Salvatore Filippone. Później pojawiły się kolejne programy telewizyjne, których producenci wykorzystali akta De Rensisa jako scenariusz dla dramatycznych rekonstrukcji wydarzeń, pokazywanych potem w talk-showach albo programach poświęconych bieżącym wydarzeniom.

Rzadko się zdarza, aby obrońcy oskarżonych, którzy usiłują powoływać się na nieprawidłowości w przebiegu dochodzenia lub procesu, z każdym znalezionym drobiazgiem od razu biegli do mediów. Oczywiście, niewielu ma w ogóle taką możliwość. Korzystanie z dokumentów dotyczących trwającego postępowania w charakterze scenariusza dla dramatycznych rekonstrukcji telewizyjnych należy uznać za ryzykowną strategię. Po części wynika to z faktu, że jest to niemal zaproszenie dla różnego rodzaju oszustów, naciągaczy, fanów i ludzi podatnych na urok mitów i skandali, ale także dlatego, że wszyscy doskonale wiedzą o istnieniu zjawiska podatności pamięci pierwotnie zupełnie wiarygodnego świadka na oddziaływanie retrospektywne.

Niektóre z tych czynników widać na przykładzie podejścia do znalezionej wraz z ciałem kulki kokainy i okruchów chleba. Opis miejsca zdarzenia sporządzony przez techników kryminalistycznych oraz sporządzona przez Fortuniego lista przedmiotów przekazanych do analizy uwzględniają „kawałek białawej substancji, kruszącej się i wilgotnej, o wadze około sześciu gramów, leżący blisko twarzy denata”. Okazało się, że była to kulka kokainy w otoczce z chleba. Siedemnastego listopada w emitowanym na antenie Italia 1 programie *Tiki Taka* prawnik rodziny Pantanich zdradził, że pojawiło się dwóch nowych świadków. De Rensis twierdził, że rewelacje podawane prze te dwie osoby są na tyle niesamowite, że nie tylko podają w wątpliwość oficjalne ustalenia śledczych z 2004 roku, lecz wręcz jawnie im przeczą.

Nowymi świadkami byli dwaj ratownicy medyczni z karetki, którzy jako pierwsi przedstawiciele służb ratunkowych pojawili się na miejscu zdarzenia. Obaj mężczyźni mieli rzekomo przysięgać, że gdy znaleźli się przy ciele Marco, kulki kokainowej tam nie było. Jakby tego było mało, żaden z nich nie

został wcześniej przesłuchany przez policję. De Rensis wypowiadał się bardzo kategorycznie: „Nikt nie ma chyba wątpliwości, że medycy są poza wszelkim podejrzeniem”.

To było doskonale wyreżyserowane telewizyjne show. Stop-klatki z policyjnego materiału wideo pokazywały idealnie białą kulkę z kokainy, niemal lśniącą, uwypukloną na tych obrazach albo przedstawianą na wypikselowanym tle. Tak czy owak, widz nie mógł nie zwrócić na nią uwagi. Sugestia wydawała się oczywista: ktoś celowo zanieczyścił miejsce zdarzenia. Nie wiadomo było natomiast, kto to zrobił i po co. Do tego funkcjonariusze prowadzący dochodzenie nie przesłuchali dwóch jakże ważnych świadków, co sugerowało niekompetencję i korupcję.

Kiedy potem okazało się, że lekarka z zespołu ratunkowego, która przyjechała do zwłok Marco i podpisała akt zgonu, również nie przypominała sobie kulki kokainowej, obraz był już pełen. „Filar, na którym opierała się cała oficjalna wersja wydarzeń, właśnie runął”, stwierdził triumfalnie De Rensis. Kto mógł umieścić tam tę kulkę po tym, jak załoga karetki odjechała? Albo jakaś osoba nieznana, pozbawiona motywu i przede wszystkim niewidzialna, albo ktoś z policji. Tylko po co? Nikt nigdy nie umiał znaleźć ewentualnego powodu.

Niechcący na trop wyjaśnienia tej tajemnicy wpadł w swojej książce Davide De Zan i zaprezentował go opinii publicznej 2 grudnia. Opisywał materiał z wiadomości stacji Sky Italia, który obejmował między innymi wywiad nagrany w maju 2014 roku.

*Wywiad prowadzono z lekarką zespołu ratunkowego, która weszła do pokoju Pantaniego po jego śmierci.*

*Jakkolwiek niewiarygodnie by to brzmiało, lekarka wyraźnie pamiętała kulkę kokainową obok ust Marco oraz w połowie*

*opróżnioną buteleczkę z „lekiem przeciwlękowym w kroplach”.*

Kiedy jednak tę samą lekarkę, Marisę Nicolini, przesłuchano 17 listopada w związku z nowym dochodzeniem, zmieniła zeznania. Teraz deklarowała, że tej kulki kokainowej nie pamięta.

Czy kilkutygodniowe zajmowanie się tym tematem przez media mogło podświadomie wpłynąć na jej wspomnienia? Intensywna kampania medialna mogła wywoływać dwa przeciwstawne sobie efekty: wzmacniać brak zaufania opinii publicznej do wyników pierwszego śledztwa oraz obniżać wiarygodność wszelkich zeznań zebranych od momentu jego wszczęcia. Zmiana wersji przez lekarza pełniącego wówczas dyżur nie musiała oznaczać końca walki o dochodzenie pod kątem morderstwa, ale mogła poważnie temu projektowi zaszkodzić.

Co więcej, przez kolejne tygodnie po sporządzeniu raportu z autopsji załoga karetki mogła przecież zgłosić się do śledczych ze swoimi wątpliwościami. W szpitalu, w którym pracowali ci ludzie, znajdował się również posterunek policji. Nawet gdyby nie chcieli iść tam, znalezienie komisariatu policji w centrum Rimini też nie było trudne. Dlaczego policja sama ich nie przesłuchała? Ponieważ pracownicy służb ratunkowych nie są świadkami w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Dziesięć lat po fakcie osoby te dotarły jednak do De Rensisa, który jako prawnik prowadzący ten bój, nie miał motywacji, by nie zadawać pytań naprowadzających.

Kilka tygodni później Fabio Lombardi, reporter programu *Mattino Cinque*, opowiadał o „kulce, niewytłumaczalnie białej, leżącej pośrodku kałuży krwi Pantaniego, na której nie było nawet śladu koloru brązowego, a powinien on być obecny,

gdyby kulka rzeczywiście została zwrócona”. Użyte przez niego włoskie słowo *rigurgitare* oznacza dosłownie „wypluć z ust” i nie jest synonimem wymiotowania, bo to określenie odnosi się konkretnie do treści żołądkowej. W teorii zakładającej morderstwo znaczenie słowa *rigurgitare* zostało zmienione, żeby uzasadnić teorię, że gdyby kulka z kokainy miała kontakt z kwasem solnym i enzymami zawartymi w sokach żołądkowych, byłaby odbarwiona. W 2004 roku Fortuni powiedział mi, że Pantani najprawdopodobniej ssał tę kulkę z chleba z kokainą w środku i że wypadła mu ona z ust. Nie sugerował, że Pantani połknął ją w całości, a potem zwymiotował.

Wróćmy do materiału filmowego z miejsca zdarzenia, już bez manipulowania kolorami i tłem. Na schodach widać Giuseppe Lanciniego, szefa Wydziału Kryminalnego, oraz jego najbardziej doświadczonego funkcjonariusza; stoją w odległości 60–70 centymetrów od rzeczonej kulki. Na antresoli pracują technicy kryminalistyczni i patolog sądowy, doktor Toni.

*Lancini: Widzicie to coś?*

*Pierwszy technik (zajęty czymś innym): Ta mała kulka? Wygląda jak odrobina bawełny.*

*Lancini: Wygląda jak odrobina bawełny? Nie dotykaliśmy tego, co?*

*Pierwszy technik: Dotknę tego.*

*Lancini: Jeszcze nie. Powiem ci kiedy. Czy to może być ta bawełna?*

*Pierwszy technik: Nie teraz. [Jest zajęty czymś innym]. Będę musiał tego dotknąć, ale wygląda jak bawełna.*

*Drugi technik: Mam iść po pincetę?*

*Inny głos: Najpierw skończmy to tutaj.*

*[Jakieś głosy rozmowy, po których jeden z techników mówi]: To bawełna.*

Przez pierwszych 48 godzin nie było mowy o żadnej kulce kokainowej. Nikt nie zidentyfikował tego przedmiotu inaczej niż jako niewielkiego, wilgotnego kawałka bawełny. Dopiero analizy laboratoryjne Fortuniego ujawniły w raporcie z sekcji zwłok, że to zlepek kokainy i chleba. Wcześniej był to nieistotny śmieć leżący obok zwłok jednego z najbardziej znanych sportowców na świecie, do tego w pokoju, w którym wszyscy skupiali się raczej na pozostałościach białego proszku.
Drugiego sierpnia 2014 roku „La Gazzetta dello Sport" przedstawiła treść akt De Rensisa, choć te ciągle leżały jeszcze w zamkniętej kopercie w prokuraturze w Rimini. Nagłówek wydrukowany w poprzek całej pierwszej strony brzmiał: „Fu ucciso" (Zamordowano go). Wewnątrz teoria o morderstwie została zilustrowana rysunkami przedstawiającymi dwóch napastników, którzy biją i kopią Pantaniego, a następnie zmuszają go, by wypił zawartość butelki po wodzie mineralnej.

*Uważa się, że [rzekomi mordercy] rozpuścili kokainę w wodzie w butelce, a następnie zmusili Pirata do wypicia śmiertelnej dawki. W pokoju znaleziono w połowie opróżnioną butelkę wody mineralnej, wyraźnie widać ją na policyjnym nagraniu wideo. Jej zawartości nigdy nie zbadano.*

Nieprzytomny człowiek nie może przełykać, więc Pantani musiałby być przytomny. Kokaina jest bardzo gorzka, więc jej roztwór byłby raczej nieprzyjemny do picia, ale w okolicach ust Marco nie znaleziono żadnych siniaków, które sugerowałyby, że

stawiał jakikolwiek opór. Nie było absolutnie żadnych śladów mogących wskazywać, że Marco coś takiego na siłę konsumował. Mieszanina wprowadzona do żołądka zostawiłaby zauważalne podczas autopsji ślady w postaci oparzeń. To raczej dziwne, żeby rzekomi mordercy wybrali tak niepewną metodę zabójstwa, której – tak przynajmniej wynika z historii kryminologii – nigdy dotąd nie użyto. Przecież w tym pokoju znajdowały się bardzo duże ilości trójcyklicznych antydepresantów, środków najczęściej stosowanych w próbach samobójczych.

Jedyna prawdziwa informacja w tamtej relacji dotyczy tego, że owej butelki nigdy nie przebadano. Butelka i stojąca obok niej szklanka znalazły się na liście 23 przedmiotów skierowanych do analizy. Dziewięć z nich, jako próbka reprezentatywna, zostało oddanych na testy toksykologiczne. Wszystkie te przedmioty oprócz haszyszu uzyskały wynik dodatni badania na kokainę, która była dosłownie wszędzie. Jej obecność na przedmiocie nie czyni jednak z niego narzędzia zbrodni.

Nawet rzetelna zazwyczaj „La Repubblica” postanowiła przewidzieć wnioski ze śledztwa, jeszcze zanim w ogóle się ono zaczęło. Opublikowała następujący nagłówek: „»To morderstwo«. Nowe dochodzenie w sprawie Pantaniego. Sędzia śledczy: »To nie było przedawkowanie«”.

Poniższy artykuł zaczynał się stwierdzeniem: „»Marco Pantani został zamordowany«. W dziesięć lat po jego śmierci ostatni rozdział smutnej i pełnej samotności historii jednego z najwybitniejszych mistrzów wszech czasów musi zostać napisany w całości od nowa”. Nikt nie ujmował niczego w trybie warunkowym. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli już, jaki będzie wynik dochodzenia.

Inne media, być może podążając za tropem Avato, przeinaczały znaczenie wniosków ze śledztwa z 2004 roku, które mówiły o „przypadkowej śmierci". Ansa, włoska agencja prasowa, zaczynała swój raport następująco: „Czternastego lutego 2004 roku Marco Pantani nie popełnił samobójstwa". W podobnym tonie pisał włoski portal informacyjny www.tgcom24.mediaset.it: „Pojawiają się podejrzenia, że Marco Pantani nie popełnił samobójstwa, a został zamordowany". Notka opublikowana przez szwajcarską agencję prasową SDA-ATS, a potem powielana na różnych włoskich stronach internetowych i w gazetach regionalnych podkreślała: „Rodzice Pantaniego ani przez chwilę nie wierzyli, że to było samobójstwo".

Jeśli chodzi o ludzi, którzy mieli wiedzę na temat tej sprawy, to mało kto się tym ekscytował. Danilo Mastrocinque, prawnik reprezentujący rodzinę Pantanich podczas procesu, tak opowiadał Rossiniemu z „Corriere Romagna" o wydarzeniach z sali sądowej w 2007 roku:

*Zadawałem dokładnie te same pytania [co De Rensis], jedno po drugim. Mam wymienić? Kurtki, drugie wejście, nawet nagranie wideo przygotowane przez techników kryminalistycznych […], jak dotąd nowy jest tylko przekaz medialny. Gdzie wtedy były ogólnokrajowe gazety i stacje telewizyjne? Wzywaliśmy na świadka każdego, kto potencjalnie mógł poszerzyć grono podejrzanych, ale nie znaleźliśmy żadnego sposobu, aby materiał dowodowy powiązać z jakimś motywem. Kto miałby chcieć go skrzywdzić? Nie miał długów u handlarzy narkotykami, mało tego, świetnie im płacił. […] Ciągle czekam na choć jeden nowy element…*

Nie zmienia to faktu, że krajowe i regionalne gazety, stacje radiowe, strony internetowe i telewizyjne programy informacyjne dosłownie trąbiły o tej sprawie, i to głównie w bezkrytycznym tonie. Temat wyszedł poza typowe programy informacyjne i zaczął być omawiany w talk-showach oraz w programach plotkarskich, a te potrafią zgromadzić olbrzymią widownię. Zwłaszcza jedna grupa stacji telewizyjnych – Italia 1, Rete 4 i Canale 5, których właścicielem była firma Mediaset – bardzo intensywnie inwestowała w kampanię, mającej na celu przekonać włoską opinię publiczną, że Pantani został zamordowany. Nowe wątpliwości w sprawie procesu były szczegółowo relacjonowane również w programie plotkarskim *SportMediaset* (Italia 1) oraz na stronie www.tgcom24.mediaset.it.

*Quarto Grado [Czwarty stopień] (17 października 2014, Rete 4 – 1 660 000 widzów [7,8 procent widowni]).*

*Domenica Live [Niedziela na żywo] (19 października 2014, Canale 5 – 2 351 000 widzów – [19,18 procent widowni]).*

*Mattino Cinque [Ranek na piątce] (11 listopada 2014, Canale 5 – 742 000 widzów [14,22 procent widowni]).*

*Tiki Taka (17 listopada, Italia 1 – 517 000 widzów [4,12 procent widowni]).*

*Tiki Taka (1 grudnia, Italia 1 – 527 000 widzów [6,53 procent widowni]).*

*Mattino Cinque (22 stycznia 2015, Canale 5 – 830 000 widzów [13,91 procent widowni]).*

To oczywiście nie tak, że inni nadawcy milczeli na ten temat. Sky Italia emitowała wywiady, filmy dokumentalne i programy, których gościem był De Rensis. To samo robiła telewizja Rai,

zwłaszcza w porannym programie informacyjnym i komentującym bieżące wydarzenia, *Uno Mattina* (Rai 1). Obszerny materiał na ten temat ukazał się również 26 października 2014 roku w programie *La Domenica Sportiva* [Sportowa niedziela] na kanale Rai 2 (1 381 000 widzów, 10,8 procent widowni). Firma Mediaset – wchodząca w skład należącej do rodziny Berlusconiego grupy Fininvest, podobnie zresztą jak Mondadori, wydawca książki De Zana – formułowała jednak pewne szczególne tezy: 17 października w programie *Tiki Taka* Brachino śmiało przypisał zasługi z tytułu ponownego otwarcia dochodzenia w sprawie Pantaniego „dziennikarskim i filozoficznym metodom działania" grupy Sport Mediaset.

Kampania Mediaset nadawała ton przekazowi we wszystkich włoskich mediach. Hipotezy wysuwane przez miłośników teorii spiskowych akceptowano jako oczywiste, a jednocześnie dochodzenie policyjne i ustalenia z procesu z 2007 roku przedstawiano jako podejrzane. Teoria zakładająca morderstwo nigdy nie została skonfrontowana z materiałem dowodowym ze śledztwa policyjnego, choć dokumentacja z tego dochodzenia była publicznie dostępna i można się było z nią zapoznać. Znakomicie poinformowani gospodarze programów i prowadzący wywiady ujmowali różne kwestie w taki sposób, żeby co bardziej naiwni widzowie nie mieli żadnych wątpliwości. Siedemnastego października 2014 roku Gianluigi Nuzzi – prezenter *Quarto Grado*, programu omawiającego wydarzenia bieżące, emitowanego na antenie Rete Quattro – rozpoczął swój materiał słowami: „Dziesięć lat temu znaleziono go martwego w pokoju hotelowym. Od razu stwierdzono, a potem przez dziesięć długich lat powtarzano, że zmarł na skutek przedawkowania. Ale na światło dziennie wychodzi inna prawda. Możemy już dzisiaj powiedzieć, że być może

został zamordowany”. Dwa dni później Barbara d’Urso, prowadząca program *Domenica Live*, powiedziała widzom: „Wszystkie gazety, ale to wszystkie, mówią o spisku. Nawet sędziowie prowadzący tamtą sprawę wierzą w spisek”. Siedemnastego listopada 2014 roku Davide De Zan, gospodarz wieczornego talk-show o tematyce sportowej, rozpoczął program od stwierdzenia: „W oficjalnej teorii na temat śmierci Pantaniego pojawiają się kolejne pęknięcia, a huragan dowodów wieje w zupełnie innym kierunku niż dotychczas”. Jak można się było spodziewać, ani Mamma Tonina, ani De Zan, ani De Rensis nie musieli obawiać się trudnych pytań ze strony dziennikarzy.

W *Il Mistero Pantani* zdecydowano się na eksperyment i zaproszono kompetentnego gościa o odmiennym punkcie widzenia (nawet jeśli Rossini był sam i miał troje oponentów, De Rensisa, Mammę Toninę i De Zana, a jeśli liczyć również prowadzącego Brachino, to czterech). W późniejszych programach znaleziono już prostszą metodę uciszania głosów, które mogłyby zaprzeczyć prawdziwości teorii o morderstwie. Rossini i wszyscy inni zwolennicy oficjalnej wersji po prostu przestali być zapraszani. W talk-show *Tiki Taka* doświadczony dziennikarz i pisarz Giampiero Mughini wysłuchał teorii o morderstwie i zgłosił do niej zastrzeżenia, ale jako że nie znał zawartości oficjalnych dokumentów, nie mógł przedstawić konkretnych kontrargumentów. Teoria o morderstwie stała się tyradą wymierzoną w milczących oponentów – urzędnicy publiczni i naukowcy powołani w roli biegłych, którzy brali udział w pierwotnym dochodzeniu, czyli takie osoby jak Paolo Gengarelli, profesor Giuseppe Fortuni czy funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego z Rimini, nie mogli angażować się w debatę publiczną z powodu zawodowych kodeksów etycznych albo po prostu zwykłej potrzeby zachowania

dyskrecji. Do tego po tym, jak w *Il Mistero Pantani* potraktowano Rossiniego, tylko głupiec wdałby się w debatę publiczną, w której argumenty układali miłośnicy teorii spiskowych i to oni decydowali, kto dostanie mikrofon.

To nie było dziennikarstwo w normalnym znaczeniu tego słowa – media nie były już instytucjami, których celem jest informowanie opinii publicznej z zachowaniem zasad rzetelności, uczciwości i sprawiedliwości. Nikt nigdy nie miał zamiaru prezentować wszystkich opinii, nikt nie dbał o równowagę. Pomimo pozorów we Włoszech nie było prawdziwej i rzetelnej debaty na temat śmierci Marco Pantaniego.

Na skutek tej kampanii funkcjonariusze Wydziału Kryminalnego z Rimini, którzy prowadzili dochodzenie, stali się przedmiotem bardzo ostrych ataków ze strony opinii publicznej. De Rensis wielokrotnie podkreślał, że nie do niego należy szukanie podejrzanego, podawanie motywu ani przedstawianie wiarygodnej rekonstrukcji zdarzeń. „Moim obowiązkiem jest znaleźć dowód, że dochodzenie przeprowadzono w nieodpowiedni sposób. Wydaje mi się, że taki dowód znalazłem. […] Każdy, kto był przedmiotem tego dochodzenia, ma powody do obaw" (*Quarto Grado*, Rete 4, 17 października 2004). Na łamach „La Gazzetta dello Sport" dziennikarz Francesco Ceniti opublikował rzekomo szokujący materiał na temat kontaktów Michaela Mengozziego z policją wieczorem w dniu śmierci Pantaniego:

*[Mengozzi] (który według Mammy Toniny nie należał do najbliższych przyjaciół Marco) wpadł do Residence Le Rose około 22:15. Na pewno policjanci go wpuścili i wprowadzili na teren,*

*gdzie trwało dochodzenie, a siostrę i ciotkę Pantaniego trzymali na dystans. Mengozzi miał rzekomo potwierdzić, że przyjaźni się z inspektorem Laghim, który przyjął jego zeznania rankiem 15 lutego. Mengozzi, biznesmen z Predappio – menedżer nocnych klubów – miał zeznać, że do Rimini ruszył zaraz po tym, jak dowiedział się z telewizji o śmierci przyjaciela. Być może warto przyjrzeć się bliżej, jak to wygląda na osi czasu. Mengozzi twierdzi, że jadł kolację w Milano Marittima. Miał rzekomo powiedzieć: „Pędziłem samochodem tak szybko, jak tylko się dało". Faktem jest, że już o 22:15 rozmawiał z policją, a pierwsze doniesienia agencyjne (a po nich pierwsze informacje telewizyjne) pojawiły się dopiero 15 minut później. Co więcej, przejazd z Milano Marittima do Rimini trwa co najmniej pół godziny. Stąd pytanie: kto wiedział o śmierci Pantaniego wcześniej?*

*„La Gazzetta dello Sport", 14 października 2014*

Problem w tym, że ten akapit, tak naprawdę rozwijający tezę ze strony 41 akt De Rensisa, był nierzetelny. W toku późniejszego dochodzenia wykazano, że na tamtym etapie Mengozzi i inspektor Daniele Laghi się nie znali. Przed 14 lutego 2004 roku żaden z oficerów Wydziału Kryminalnego nawet o Mengozzim nie słyszał. Mengozzi nie został poinformowany o śmierci Pantaniego przez policję, a do Residence Le Rose dotarł nie o 22:15, a przed północą. Przedstawił się funkcjonariuszom i został wpuszczony do hotelu, ale nie miał wstępu do pokoju, gdzie leżały zwłoki Pantaniego. Nie wszedł nawet do pomieszczenia operacyjnego, które zostało zorganizowane na piątym piętrze. Nieprawdą jest również, że siostrę Pantaniego trzymano na zewnątrz. W przeciwieństwie do Mengozziego ona weszła do pomieszczenia operacyjnego, skąd pozwolono jej zadzwonić do rodziców.

W tym samym artykule prasowym kwestionowano wartość nakręconego przez policję filmu z miejsca zdarzenia:

*Obraz ma łącznie 51 minut, ale nagrywany był w ciągu około trzech godzin. To olbrzymia różnica, tym bardziej że zwykle nie zezwala się na edycję tego typu materiałów. Eksperci pouczeni przez Antonio De Rensisa, prawnika rodziny Pantanich, spróbują ustalić, czy film poddano edycji, czy po prostu kamera była wielokrotnie zatrzymywana.*

Tekst ewidentnie ma sugerować, że śledczy mieli coś do ukrycia. Ale mogli przecież w ogóle tego materiału nie kręcić albo w całości go zniszczyć, co byłoby najprostszym rozwiązaniem. Tymczasem film został włączony do materiału dowodowego przez sędziego i przedstawiony wszystkim stronom procesu. Czy przerwy między kolejnymi ujęciami coś kryją? Nic. Pięciu detektywów widać tam przecież bez strojów ochronnych i bez rękawiczek, słychać ich dość swobodną rozmowę.

Tak czy owak, stwierdzenie: „zwykle nie zezwala się na edycję tego rodzaju materiałów", również było mylące. We Włoszech nie obowiązują żadne przepisy policyjne, które nakazywałyby nakręcenie takiego filmu albo określały, jak taki materiał ma wyglądać. Nagrywający ten film funkcjonariusze odpowiadali również za przygotowanie 23-stronicowego szczegółowego raportu, który opisywał hotel, drugie wejście do niego, miejsce zdarzenia oraz wszystkie podjęte tam działania. Dokument zawiera plan pokoju oraz opis 180 zdjęć wykonanych w pokoju, w którym zmarł Marco. Przerwy w kręceniu służyły temu, żeby dwaj funkcjonariusze mogli

robić notatki, nakreślić plan pokoju, zebrać dowody oraz wykonać zdjęcia.

Kilka tygodni później Mamma Tonina i De Rensis dostarczyli analizę kryminalistyczną filmu oraz zdjęć z miejsca zdarzenia do sądu w Rimini. Następnie omawiali sprawę w kolejnym odcinku *Mattino Cinque*, gdzie zostali przywitani entuzjastycznym aplauzem. Prezenterka Federica Panicucci osobiście znała Pantaniego i wykazywała wyraźne zrozumienie dla punktu widzenia prezentowanego przez jej gości.

*Prezenterka (Federica Panicucci): Ta nowa analiza ekspertów, którą złożyliśmy, weryfikacja tych zdjęć. Panie De Rensis, kto analizował te fotografie?*

*De Rensis: Są to najwybitniejsi eksperci, i to nie tylko włoscy, lecz także międzynarodowi. Stosują nadzwyczajne techniki, używane również…*

*Prezenterka: Co to za techniki? Za chwilę zobaczymy też same zdjęcia.*

*De Rensis: To techniki używane przez FBI w Stanach Zjednoczonych. W praktyce wygląda to tak, że powstaje skan […]. Proszę posłuchać, to absolutnie nie jest tak, że chodzi o obrazy komputerowe: mamy tu do czynienia z bardzo zaawansowanymi urządzeniami. Jeśli mogę sobie pozwolić na uproszczenie, przypomina to poszukiwania z dokładnością do jednej milionowej milimetra na powierzchni analizowanego przedmiotu.*

*Mattino Cinque (Canale 5), 22 stycznia 2015*

Tego samego dnia Cesare Marini z laboratorium, w którym wykonano analizy fotograficzne, w wywiadzie dla serwisu internetowego affaritaliani.it, kreślił zupełnie inny obraz:

„Dostarczono nam materiał fatalnej jakości. Film wyglądał tak, jak gdyby ktoś skopiował go na używaną kasetę wideo. Było na nim mnóstwo zakłóceń, jakość była okropna. Zdjęcia są jeszcze gorsze: nie dali nam oryginałów, tylko skany wydrukowane na drukarce laserowej, więc po powiększeniu widzimy linie pozostawione przez głowicę i kolorowe plamki, a nie czyjś włos". Sporo zatem brakowało do obiecywanej przez De Rensisa dokładności do milionowej milimetra.

Marini zarzucał pracownikom prokuratury z Rimini brak skłonności do współpracy: „To bardzo dziwne, nie rozumiemy tego rodzaju podejścia. […] Zajmuję się tym od 16 lat […] i normalnie prokuratorzy okazują się bardzo, ale to bardzo pomocni. Oczywiście, absolutnie niczego nie sugeruję ani niczego nie podejrzewam…" i tak dalej. Prawda jest taka, że do prokuratury w Rimini nie wpłynął żaden wniosek o udostępnienie tych zdjęć. Paolo Giovagnoli, szef tej prokuratury i jednocześnie człowiek kierujący nowo otwartym śledztwem, złożył pozew o zniesławienie przeciwko portalowi internetowemu, dziennikarzowi i Mariniemu.

Dwa dni później jeszcze śmielsze zapewnienia związane z analizami kryminalistycznymi pojawiły się w programie *Domenica Live*, prowadzonym przez Barbarę d'Urso.

*D'Urso: Już wkrótce zaprezentuję pewne nagranie wideo. Bardzo ważne nagranie, pokazujące moment, w którym on został znaleziony. […] Na tym nagraniu widać zegarek. Ten zegarek jest bardzo ważny. Marco miał go na nadgarstku w chwili śmierci.*

*Tonina: Tak.*

*D'Urso: Rozumiem, że masz go tutaj dzisiaj ze sobą.*

*Tonina: Tak, oto on.*

*D'Urso: Ten, który nam teraz pokazujesz?*

*Tonina: Tak.*

*D'Urso: Mogę go zobaczyć? Naprawdę mogę? Dziękuję. Przepraszam, czy mogę…? Albo… czy mogę go pokazać? To bardzo ważne, bo wiem, że na koniec tego programu pojawi się tu ekspert w zakresie kryminalistyki, żeby ten zegarek zbadać.*

*Tonina: Czuję takie emocje, że nie mogę go zdjąć.*

*D'Urso: No nie możesz. Popatrz, o tutaj. Więc… dziękuję, Tonino. Dziękuję też, że go przyniosłaś, ponieważ ten zegarek ma fundamentalne znaczenie. Już niedługo wyjaśnię, o co chodzi. Dobrze go zapamiętajcie. Powtarzam, będzie to na koniec programu. Może to potwierdzić prawnik, czyż nie?*

*De Rensis: Tak.*

*D'Urso: Pojawi się tutaj ekspert do spraw kryminalistyki i przyjrzy się właśnie temu zegarkowi.*

*Domenica Live (Canale Cinque), 19 października 2014*

Na stronie siódmej swoich akt De Rensis zacytował wnioski Avato, wyciągnięte przez niego na podstawie analizy zdjęć: „W okolicy kości łódeczkowatej lewej dłoni i jej nadgarstka, po stronie wewnętrznej, występuje mniej więcej czterocentymetrowy, odbarwiony, zaczerwieniony podłużny ślad, ułożony prostopadle do głównej osi kończyny". Analiza fotografii prowadzi do wniosku, że na dłoni widnieją ślady otarcia i urazu, które mogły zostać wywołane przez zegarek pana Pantaniego z metalową bransoletą. Można sobie wyobrazić, że otarcie zostało spowodowane gwałtownym zsunięciem bransolety zegarka lub jej tarciem".

Ten fragment został napisany tak, jak gdyby stanowił fragment scenariusza programu *Domenica Live*. D'Urso akcentowała i powtarzała najważniejsze sformułowania („naprawdę ważne", „bardzo ważne", „fundamentalne

znaczenie", „ekspert", „ekspert do spraw kryminalistyki"), wypadając niczym specjalista od technik indoktrynacji albo jakiś teatralny hipnotyzer, który wprowadza ludzi w trans za pomocą zegarka. Przedstawiała nam ten zegarek jak jakiś talizman, który przeniesie nas do rzeczywistości Marco. Poza prowadzącą, jej gośćmi i ludźmi niemalże wprowadzonymi w trans przez tę hipnotyczną scenę wszystkim innym trudno było zrozumieć, jaką wartość może mieć wykonana po dziesięciu latach analiza kryminalistyczna naprawianego już wcześniej zegarka. Niemniej opowieść brzmiała następująco:

*D'Urso: Dotychczas mówiło się, że Marco Pantani zmarł z powodu przedawkowania kokainy, być może nawet spożytej wraz z chlebem. Jego matka mówi teraz, zresztą powtarzała to od samego początku, że jej syn mógł zostać zmuszony do wypicia butelki wody, w której rozpuszczono kokainę. Zegarek ma tu fundamentalne znaczenie, ponieważ pokazuje dziwny czas.*

W ten sposób zasugerowano nam, że godzina pokazywana przez ten zegarek „przeczy" oficjalnej teorii, jakoby „Marco Pantani zmarł z powodu przedawkowania kokainy".

*D'Urso: Którą godzinę pokazywał zegarek na nadgarstku twojego syna?*
*Tonina: Piątą albo piątą…*
*De Rensis: Za pięć piątą.*
*Tonina: Za pięć piątą.*
*D'Urso: Czyli 16:55.*

D’Urso nie tylko zadawała pytania, lecz także próbowała korygować odpowiedzi. Problem polegał na tym, że rolex daytona Pantaniego nie miał 24-godzinnej tarczy ani funkcji kalendarza, więc nie dało się stwierdzić, czy zegarek zatrzymał się przed południem, czy po nim, ani też którego dnia się to stało.

*D’Urso: Rozumiem, że zastanawia cię, dlaczego skoro Marco umarł o 11:00, a jego zegarek…*
*Tonina: Dokładnie.*
*D’Urso: Powoduje tobą również opinia jednego z konsultantów w dziedzinie kryminalistyki, który stwierdził, że te zegarki są tak precyzyjnymi urządzeniami, że zatrzymują się tylko na skutek bardzo mocnego wstrząsu.*

Następnie widzowie obejrzeli materiał wideo na temat zegarka, który kończył się słowami:

*Głos w tle: Gdy znaleziono zegarek noszony przez Marco, z którym on nigdy się nie rozstawał, zatrzymał się on i pokazywał 16:55. Był zepsuty, wydaje się, że na skutek bardzo mocnego uderzenia. Skoro jednak Pantani zmarł około południa, to dlaczego jego zegarek zatrzymał się dopiero przed 17:00?*

Po chwili przerwy odzywa się Mamma Tonina:

*Tonina: Dlaczego?*
*D’Urso: Dlaczego?*
*Tonina: Może gdy go przenosili, uderzyli o coś tym zegarkiem.*

Przemieszczenie ciała, teoria bazująca wyłącznie na ustaleniach Avato, niniejszym stało się faktem. Godzina pokazywana przez zegarek tylko ten fakt umacniała. Co prawda, hipoteza ta wymagała, żeby do hotelu po mordercach dostała się – w sposób niezauważony – druga grupa ludzi. Musieli dostać się do pokoju, popełnić przestępstwo bez żadnego wyraźnego motywu, a potem opuścić pomieszczenie, raz jeszcze ustawiając barykadę blokującą drzwi od wewnątrz. Teoria morderstwa zakłada również, że potem do pokoju weszła jeszcze jedna, trzecia grupa, również przez nikogo niezauważona, która bez żadnego wyraźnego powodu położyła obok ciała kulkę z chleba i kokainy.

Jest jeszcze jeden problem. Dziesięć lat wcześniej Lucia D. powiedziała policyjnym śledczym, że 13 lutego, na dzień przed śmiercią Marco, „jakoś przed 10:30 odebrałam jeszcze jeden telefon z pokoju Pantaniego. Poprosił, żeby podano mu lunch do pokoju. Zadzwoniłam do pobliskiej restauracji, ale o tej godzinie była jeszcze zamknięta. Oddzwoniłam do Pantaniego i powiedziałam mu, że o tej porze to niemożliwe. Wtedy niewyraźnym głosem zapytał, która jest godzina".

Wszystko wskazuje na to, że jego zegarek już wtedy nie działał.

Wykonana przez eksperta analiza zegarka, którą tak entuzjastycznie zapowiedziano 2,3 miliona Włochów, nie została przedstawiona.

Na początku grudnia teoria dotycząca morderstwa Pantaniego musiała zmierzyć się z trzema przeciwnościami. Pierwszą z nich było oświadczenie prawników reprezentujących funkcjonariuszy Wydziału Kryminalnego z Rimini, którzy prowadzili dochodzenie w sprawie śmierci słynnego kolarza. Napisali o „medialnym linczu [...], podsycanym zwodniczymi

i dogmatycznymi rekonstrukcjami oraz jawnie nieprawdziwymi informacjami". Pojawiła się tam też deklaracja, że funkcjonariusze będą bronić swojego dobrego imienia. Pierwsze kroki podjęli wobec Francesco Cenitiego i „La Gazzetta dello Sport".

Drugim problemem była publikacja książki Andrei Rossiniego pod tytułem *Delitto Pantani*, która trzy tygodnie później ukazała się w angielskim tłumaczeniu w formie e-booka pod tytułem *Pantani: Debunking the Murder Myth* (Pantani. Obalenie mitu o morderstwie). Egzemplarze tej książki rozesłano do wszystkich największych gazet. Publikacja miała zagwarantować, że ludzie umiejący czytać nie będą mieli już żadnej wymówki, by na ślepo akceptować teorię o morderstwie.

Oprócz tego wieczorem 1 grudnia, na kilka godzin przed prezentacją książki Rossiniego, przedłożono wstępny raport patologa sądowego, profesora Franco Tagliaro, któremu Giovagnoli polecił analizę zarzutów w aktach De Rensisa. Raport Tagliaro był dla teorii w sprawie morderstwa po prostu miażdżący. Tagliaro przyznał rację Fortuniemu, że Pantani nie był przed śmiercią bity. Nie znaleziono żadnych śladów przemocy, a stan pokoju sugerował obsesyjne poszukiwania narkotyków, pieniędzy, ukrytych kamer lub mikrofonów albo tym podobnych przedmiotów. Nie było żadnych dowodów potwierdzających hipotezę, jakoby Marco został zmuszony do zażycia narkotyków.

Haszysz „nie miał związku ze sprawą", a kokaina znaleziona na szyjce butelki z wodą mineralną też o niczym nie świadczyła, bo Pantani rozsiał proszek po całym pokoju. Rana na jego lewym nadgarstku była „niewielka", a ślady na metalowej balustradzie, „przez niektórych interpretowanej jako ślady krwi, z braku obiektywnego opisu należy uznać za nieistotne". Tagliaro przychylił się również do sformułowanej

przez Fortuniego interpretacji plam krwi na podłodze: ślady ciągnięcia znajdowały się wyłącznie w okolicach prawego przedramienia i wyglądały tak, jakby to przedramię rozsmarowało krew po podłodze, a łokieć był punktem podparcia. Tagliaro uznał, że taki obraz jest całkowicie zgodny z ruchami przedśmiertnymi. Sposób potraktowania kwestii kulki kokainowej, której tyle uwagi poświęcili Avato i De Rensis, Tagliaro uznał za „bardzo niepewną interpretację".

Warto wspomnieć natomiast, że w jednej kluczowej sprawie Tagliaro zajął inne stanowisko niż Fortuni. Uznał, że stężenie kokainy w organizmie Pantaniego niekoniecznie musiało być śmiertelne. Zażywanie kokainy skutkuje zwiększaniem tolerancji na tę substancję, a to powoduje, że uzależniony może zażywać coraz większe dawki i nie doprowadzić się do stanu ostrego zatrucia. Uznał, że z tego względu użyte przez Avato porównanie do mułów narkotykowych jest nietrafione, bo tolerancji takiego przemytnika z oczywistych powodów ekonomicznych nie można porównywać z tolerancją sportowca tak zamożnego jak Pantani. Fortuni uważał, że śmierć Marco była spowodowana wyłącznie kokainą, Tagliaro natomiast stwierdził:

*Biologiczne przyczyny śmierci Marco Pantaniego można określić jako rozległy atak serca, wywołany połączeniem efektów toksykologicznych trimipraminy i wenlafaksyny [dwóch przepisanych mu antydepresantów] oraz kokainy. […] Podstawowa rola śmiertelnego zatrucia trimipraminą wydaje się niezaprzeczalna. Substancja ta wykorzystuje te same mechanizmy co kokaina, a to mogło doprowadzić do pozytywnego wzmocnienia jej toksyczności.*

Wenlafaksyna to nowszy i bezpieczniejszy lek niż trimipramina, ale jednoczesne zażywanie tych substancji, także we właściwych dawkach, prowadzi u niektórych pacjentów do wystąpienia drgawek. Stężenie trójcyklicznych antydepresantów w organizmie Marco mieściło się w zakresie określanym jako śmiertelny. Jego zgon można wytłumaczyć interakcją kokainy z antydepresantami. Jeśli rozpatrywać to w kontekście prześcieradła przywiązanego do balustrady, kabla antenowego i stwierdzeń typu „Nie wiem, czy jest dla mnie jakieś jutro", dowodów na zamiar popełnienia samobójstwa też nie brakowało.

Wnioski profesora Tagliaro zbiegły się z odkryciem poczynionym przez Andreę Rossiniego w dokumentach policyjnych. W czwartek rano 5 lutego Pantani wręczył hotelowemu portierowi odnawialną receptę oraz gotówkę, a ten kilka minut później wrócił z opakowaniami leków Tranquirit, Efexor, Surmontil, Flunox i Control, czyli z lekami przeciwlękowymi, antydepresantami, lekami nasennymi i uspokajającymi, bez których objawy odstawienia kokainy byłyby nie do zniesienia. Dzień później Marco zadzwonił do doktora Greco i go okłamał: powiedział, że prawie skończyły mu się lekarstwa. Greco dostrzegł okazję, by wyrwać Pantaniego z autoizolacji i ponownego połączyć go z grupą wsparcia, na której Marco tak długo polegał, zgodził się więc wysłać receptę do Ronchi. Nazajutrz, w sobotę 7 lutego, ona i jej mąż pojechali z przefaksowaną receptą do apteki, a następnie udali się do hotelu, zawożąc Marco już drugi pełen zestaw leków w ciągu trzech dni. Ronchi została w samochodzie, a jej mąż poszedł do recepcji i zostawił tam torbę z ubraniami, przyborami do golenia, listem od żony i przepisanymi lekami. Tak oto Marco wszedł w posiadanie dwóch zestawów potencjalnie zabójczych farmaceutyków.

Jedynym słabym punktem dochodzenia policyjnego z 2004 roku była niechęć do bardziej intensywnego śledztwa nakierunkowanego na teorię o samobójstwie. Po części wynikało to z tego, że samobójstwo trudno jest udowodnić, po części z faktu, że chodziło o reputację Pantaniego. Próba popularyzacji teorii o morderstwie przyniosła skutki odwrotne od zamierzonych – spowodowała jedynie to, że ponownie zaczęto na poważnie rozważać samobójstwo. Tagliaro poprosił o więcej czasu, bo chciał jeszcze wykonać badania toksykologiczne na płytkach z próbkami krwi, o które Avato nigdy nie wnioskował. Dostał na to 60 dni.

Kampania promująca teorię o morderstwie utknęła w miejscu, ale równocześnie ruszyło śledztwo w innej sprawie związanej z Pantanim. W październiku 2014 roku prokuratura w Forlì ponownie otwarła dochodzenie w sprawie telefonów, którymi nękano Vittorio Saviniego i inne osoby z otoczenia Marco. Pierwsze dochodzenie zostało zamknięte w 2008 roku, ale groźby pojawiały się rzekomo dalej, aż do pierwszej połowy 2014 roku. Dochodzenie rozpoczęło się od skargi złożonej przez matkę Pantaniego Toninę oraz cztery inne osoby, wezwane przez „obronę".

Głównym świadkiem w sprawie był Renato Vallanzasca Costantini, gangster z Mediolanu, z wieloma napadami, porwaniami i morderstwami na koncie. Za wszystkie te czyny otrzymał wyrok czterokrotnego dożywocia plus 290 lat pozbawienia wolności. W listopadzie 2007 roku Vallanzasca napisał do Mammy Toniny i stwierdził, że Camorra (mafia z Neapolu) doprowadziła do usunięcia Pantaniego z wyścigu, ponieważ służyło to organizowanym przez nią zakładom.

W 2014 roku w prowadzonym przez dziennikarkę Mediaset Gabrielę Simoni wywiadzie do programu *Domenica Live*

Vallanzasca powtórzył tę wersję:

*Podchodzi do mnie znajomy i pyta: „Renato, co byś powiedział na fajny prezent? Co myślisz o Pantanim?”.*

*Cóż, od tygodnia dokładał wszystkim równo w Giro d’Italia, więc odparłem: „Na moje oko wygląda na mocnego. Idzie jak przecinak”.*

*„A gdybym ci tak powiedział, że on przegra to Giro, żebyś mógł odpowiednio obstawić?”*

*„Ale jakim, kurwa, cudem miałby przegrać ten wyścig? Musiałbyś go zastrzelić, żeby go powstrzymać”.*

*Pozostawał jeszcze ostatni tydzień, obejmujący pięć naprawdę trudnych etapów górskich, a tam Pantani był w swoim żywiole.*

*Następnej soboty wstałem rano, a przecież tu nie mam ani gazet, ani telewizji. Miałem umówione widzenie, więc wziąłem prysznic i elegancko się ubrałem. W drodze pod prysznic przechodziłem obok celi tego znajomego, a ten mówi: „I jak? Słyszałeś już?”.*

*„Co się stało?”*

*„Powstrzymali Pantaniego”.*

*„Co masz na myśli?”, zapytałem.*

*„No, powstrzymali go”.*

*„Ale kto go, kurwa, powstrzymał? Ktoś go zastrzelił?”*

*„Powstrzymali go. Zdyskwalifikowali. Wzięli go na testy i wyszły dodatnio”.*

*Potem dodał: „A nie mówiłem?”.*

*Domenica Live, 19 października 2014*

Vallanzasca został przesłuchany w ramach dochodzenia z Trydentu w sprawie wydarzeń w Madonna di Campiglio. Z historią gangstera było dokładnie tak samo jak z kokainą

Miradossy, do której neapolitańskich dostawców policja nie miała jak dotrzeć. Załóżmy na chwilę, że Camorra faktycznie chciała zapobiec triumfowi Pantaniego w 1999 roku. Mafia miała do wyboru wiele innych metod, a manipulowanie wynikami badania krwi o kilka punktów procentowych wydaje się z nich najtrudniejszą i najmniej pewną. Wymagałoby to zaangażowania zbyt wielu ludzi, w tym kontrolerów, a ich nawet miłośnicy teorii spiskowych nie mieli odwagi oskarżyć. Wydarzenia z Madonna di Campiglio zostały przenalizowane przez detektywów, sędziów, naukowców i dziennikarzy. Nie znaleziono dowodów na słuszność teorii o manipulowaniu wynikami badań. Przecież mogli go po prostu zepchnąć z roweru.

Mimo to Mamma Tonina udała się na spotkanie z Vallanzascą, a ten jej powiedział: „Minęło tyle czasu, że może klan [Camorra] się jakoś rozpadł i teraz ktoś chciałby zacząć mówić". Dwudziestego pierwszego października Vallanzascę przesłuchali śledczy prowadzący nowe dochodzenie. Przedstawili mu nazwiska pięciu więźniów, którzy w 1999 roku przebywali w jego skrzydle więzienia w Novarze i pasowali do podanego przez niego opisu. Vallanzasca potwierdził skinieniem głowy, nie podając żadnych konkretów, że członek Camorry, o którego mu chodzi, to jedna z tych pięciu osób.

Vallanzasca cieszył się przez chwilę jakąś wiarygodnością, ale szybko się to skończyło. Pomimo wagi popełnionych przestępstw gangster miał zgodę na wykonywanie pracy dziennej poza murami więzienia. W listopadzie, już po przesłuchaniu przez śledczych z Forlì, usłyszał wyrok dodatkowych dziesięciu miesięcy więzienia. Zeznał wtedy, że w czerwcu 2014 roku został aresztowany za kradzież ze sklepu dwóch par majtek, za co groziła mu utrata przywilejów pracy poza murami więzienia. Kiedy okazało się, że być może będzie

musiał dokończyć wyrok bez możliwość opuszczania zakładu karnego, zeznał, że został w tę kradzież wrobiony przez Camorrę, która chciała zamknąć mu usta w sprawie Pantaniego. Dowodem na prawdziwość jego słów miało być to, że ukradziona bielizna była na niego o dwa rozmiary za duża.

Czternastego lutego 2014 roku De Rensis wypowiadał się w dość stonowany sposób: „Podczas mojej pierwszej rozmowy z signorą Pantani powiedziałem jej: »Zależy pani na jakiejś [konkretnej] prawdzie czy chce pani rozwiać wątpliwości, bez względu na to, jaki będzie rezultat?«. Usłyszałem, że to drugie. Odparłem: »W porządku, pomogę pani«. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z jakimś spiskiem. Uważam, że śmierć Marco nie ma związku z żadnym spiskiem". W styczniu 2015 roku ton jego wypowiedzi uległ zmianie. Dwudziestego drugiego stycznia w programie *Mattino Cinque* wyemitowano fragment wywiadu z taksówkarzem, który 9 lutego 2004 roku wiózł Pantaniego do Rimini. Jego relacja kończyła się słowami:

*Osoba, którą przywiozłem do Rimini, zachowywała się normalnie, nie była ani na prochach, ani pijana. […] Było dla mnie oczywiste, że on myślał bardzo jasno, był uporządkowany, spokojny, z pewnością nie wyglądał na kogoś, kto chce popełnić samobójstwo albo buja myślami gdzieś w obłokach.*

Davide De Zan skomentował: „Mamy tu zatem zupełnie inny obraz niż cień człowieka, o którym mówiło wielu innych".

De Rensis dodał: „Kiedy prokuratura skończy pracę, przekonamy się, co zostało zrobione, czy coś w ogóle zostało zrobione – jestem na przykład ciekaw, czy przesłuchany

zostanie taksówkarz. Jeśli okaże się, że nie, będę domagał się wyjaśnień”.

Jak zwykle brak przedstawienia szerszego kontekstu powodował, że autodestrukcja Pantaniego była dla widza niepojmowalna. Ani przez chwilę nie kwestionowano wartości wspomnień taksówkarza, który dziesięć lat wcześniej wiózł jakąś sympatyczną, obcą mu osobę. Nikt nie wspomniał o wieloletnim nałogu narkotykowym ani o olbrzymim, ale ostatecznie próżnym wysiłku, którego celem było uwolnienie Marco od uzależnienia. Nikt nie wspomniał o doktorze Greco, który na sześć tygodni przed śmiercią Pantaniego ostrzegał, że decyzja o niezastosowaniu nakazu leczenia przymusowego jest bardzo ryzykowna. Nikt nie wspomniał, że zdaniem lekarza rodzina powinna ubezwłasnowolnić Marco, ponieważ stawką w tej grze było jego życie. Nikt nie wspomniał o tym, że wcześniej Mengozzi i doktor Greco pięciokrotnie ściągali go ze skraju przepaści: w Cesenatico w czerwcu 2013 roku, kilka dni później w Saturnii, potem podczas drugiego wyjazdu na Kubę, 27 grudnia w hotelu Touring w Miramare i w Predappio, dzień po jego urodzinach. Nikt nie wspomniał, że Marco – jako gość w mieszkaniu swojej menedżer i jej męża, w którym przebywało również ich trzymiesięczne dziecko – potajemnie palił crack i ukrywał całe torebki kokainy. Nie znaleziono czasu antenowego, by przedstawić powracające obsesyjne zachowania, które towarzyszyły kolejnym przypadkom przedawkowania: izolowanie się, zamykanie drzwi i ich barykadowanie, włączanie ogrzewania na maksymalną temperaturę, beztroskie zażywanie olbrzymich ilości narkotyków, brak spójności wypowiedzi, nieskładne zapiski na papierze, pościeli i ścianach, następnie demontaż mebli i sprzętów w pokojach oraz zagrażający zdrowiu stan zatrucia organizmu, zanim – w pięciu przypadkach na sześć – pojawiał

się postawny Mengozzi i wyważał drzwi. Towarzyszył mu – osobiście lub przez telefon – Greco, który instruował go, jak ma przywrócić Marco do jako takiego stanu. Nikt nie wspomniał wreszcie, że oni być może uratowaliby Marco po raz szósty, gdyby tylko wiedzieli, gdzie go szukać.

Obrazu trzeźwo myślącego i zrównoważonego Marco nie można pogodzić z obrazem autodestrukcyjnego narkomana, który pędził ku zatraceniu. Podczas tamtego programu nikt nie spróbował ani tych wizerunków pogodzić, ani nawet wybrać spośród nich. Prezenterka Federica Panicucci nie miała żadnych wątpliwości.

*Prezenterka: Tonina, to był ten sam Marco co zwykle, tak?*

*Tonina: Marco do nas wrócił. Był tym samym Marco co zawsze. Mogą sobie mówić czy pisać, że było inaczej, ale to nieprawda. Tym razem jestem już bardzo rozzłoszczona. Jeśli znowu zamkną to dochodzenie, to przykuję się łańcuchem do budynku prokuratury i się stamtąd nie ruszę.*

*Prezenterka: Będziemy tam z tobą, ramię w ramię, nie opuścimy cię. [Aplauz].*

Na zakończenie De Rensis przyrównał swoją klientkę, Mammę Toninę, do członków rodziny Federico Aldrovandiego i innego młodzieńca, który zmarł w policyjnym areszcie, Stefano Cucchiego. Następnie, nie wymieniając autora z nazwiska, De Rensis odrzucił szczegółowe odpowiedzi na jego wątpliwości. Nie podał żadnych konkretnych powodów, wspomniał natomiast o jakimś braku szacunku. Potem poszedł znacznie dalej:

*Do dzisiaj mam przed oczami siłę matek Federico Aldrovandiego i Stefano Cucchiego, kobiet niesamowitych, tak samo jak ich siostry. W porządku, czy chcemy szanować te kobiety? Nie musimy koniecznie przyznawać, że mają rację, ale naszym obowiązkiem jest dać im sensowne odpowiedzi. Jeżeli nasze odpowiedzi dla signory Pantani sprowadzają się do tego, że nie wiemy, jak powstała dana plama krwi, że ktoś się pomylił, stwierdzając obecność czegoś w pokoju, że załoga karetki po dziesięciu latach nie pamięta, że kulka kokainowa to bawełna, a także że on miał na sobie trzy kurtki, założone jedna na drugą… Jeżeli to są nasze odpowiedzi – oczywiście, mówię tu czysto teoretycznie – to oznacza, że my signory Pantani nie szanujemy. Oznacza to, że nie szanujemy Włochów, w imieniu których te wyroki są wydawane. [Aplauz]*

*Teraz czekamy zatem na wyjaśnienia profesora Tagliaro. […] Teraz oni muszą nam te odpowiedzi dać. Jeśli nam ich nie dadzą, trudno, nie będzie problemu, ale wszyscy to zapamiętamy. Chciałbym również podkreślić, że pokładam pełną wiarę w działania podejmowane przez prokuraturę w Rimini, ale nie zmienia to faktu, że na niej sprawiedliwość się nie zatrzymuje. Jest jeszcze GIP [sędzia rozpatrujący wnioski o zakończenie dochodzenia], jest najwyższy sąd apelacyjny, więc przed nami wciąż długa walka, oczywiście przy założeniu, że nasze wnioski zostaną odrzucone. Mimo to w dobrej wierze oczekuję na wyniki prac profesora Tagliaro.*

Obejrzawszy ten program, zadzwoniłem do Andrei Rossiniego. Przebywał we Włoszech, ja byłem w Anglii, a mimo to obu nam przyszło na myśl to samo: mowa pogrzebowa Antoniusza z *Juliusza Cezara* Shakespeare’a:

*Gdybym próbował rozpalać*
*W sercach i mózgach waszych płomień buntu,*
*Skrzywdziłbym srodze Brutusa, Kasjusza*
*I innych – ludzi, jak wiecie, honoru*.*

Próba zdyskredytowania pracy policji i sądów stanowiła z pewnością wezwanie do wyrażania oburzenia, a może nawet i do buntu. Dwa tysiące lat po tym, jak rozegrały się wydarzenia z cytowanego powyżej dramatu, farsa w sprawie morderstwa Marco Pantaniego stanowiła jednocześnie atak na dobro publiczne we Włoszech. Antoniusz wygłasza swój słynny monolog w momencie, gdy odsłaniane jest ciało Juliusza Cezara, a kiedy De Rensis pojawił się w programie *Mattino Cinque*, telewizja pokazała zdjęcia zwłok Marco Pantaniego. Jego głowę i tors wypikselowano, co prawda, na czarno, ale widok nadal był makabryczny. Widzowie zobaczyli między innymi dłonie zaciśnięte w pięści (to efekt stężenia pośmiertnego, które po kilku godzinach dotyka wszystkie zwłoki, ale nie zostało to wyjaśnione) oraz ślady krwi na ramionach.

Dochodzenie, do którego wszczęcia doprowadziła rodzina Pantanich, miało przekonać włoską opinię publiczną, że w 1999 roku w Madonna di Campiglio Pantani nie jechał na dopingu i że w lutym 2004 roku w Rimini przyczyną jego śmierci nie było przedawkowanie narkotyków. Była to bardzo intensywna kampania i niektórzy zapewne w nią uwierzyli, no ale jeśli nadal należało przy tym pokazywać zdjęcia jego ciała, które z uwagi na makabryczność zapadały w pamięć równie mocno jak jego sportowe triumfy, to zachodziła poważna obawa, że pamięć o Marco zostanie zniszczona zamiast umocniona. Mimo to nadal czystym absurdem jest uznawać, że przez całe życie i karierę sportową Pantani nie był uzależniony od narkotyków

i nie stosował dopingu. W lipcu 2006 roku na jaw wyszła informacja, że w sezonie 2003 Marco znajdował się pod opieką medyczną Eufemiano Fuentesa, lekarza będącego w centrum prowadzonego przez policję dochodzenia Operación Puerto. Z dokumentów zajętych przez funkcjonariuszy Guardia Civil wynikało, że Fuentes obciążył Pantaniego (zakodowanego jako PTNI) kwotą 36 tysięcy euro za 40 tysięcy jednostek EPO, siedem dawek hormonu wzrostu, 30 dawek sterydów anabolicznych oraz cztery dawki hormonów używanych w trakcie menopauzy. W lipcu 2013 roku francuska komisja senacka, badająca stosowanie dopingu podczas Tour de France w 1998 roku, ustaliła, że Marco Pantani znajdował się w gronie 18 zawodników, których próbki dały dodatni wynik wykonanego sześć lat po wyścigu badania na obecność EPO.

Pod koniec marca 2015 roku Andrea Rossini otrzymał fragmenty raportu toksykologicznego Tagliaro, który potwierdzał podejrzenia sformułowane w jego wstępnym sprawozdaniu. Istniały jednoznaczne dowody, że krótko przed śmiercią Pantani zażył duże ilości przepisanej mu trimipraminy. Tagliaro twierdził, że główną przyczyną śmierci Marco było przedawkowanie antydepresantów. „Śmierć nastąpiłaby pewnie nawet bez kokainy, [choć] zażywanie kokainy w dużych ilościach odegrało prawdopodobnie bardzo szkodliwą rolę w powstaniu i rozwoju depresji, w związku z którą Pantaniemu przepisano te leki". Tagliaro uważał, że kolarz najprawdopodobniej usiłował popełnić samobójstwo poprzez przyjęcie zapisanych mu leków, „choć nie można wykluczyć koszmarnej pomyłki podczas próby samoleczenia".

Pod względem komercyjnym książka Andrei Rossiniego *Pantani: Debunking the Murder Myth* okazała się kompletną klapą. Tę historię można by sprzedać tylko pod warunkiem, że

okazałoby się, że Pantani został jednak zamordowany. Włoskie media doskonale to rozumiały. Jeśli w celu zarobienia na niej trzeba było poświęcić dziennikarskie ideały, to nikt nie miał z tym problemu, może z wyjątkiem gazety „Corriere Romagna". Mimo to niedługo po tym, jak Mamma Tonina i jej prawnik pojawili się w programie *Domenica Live*, Ordine dei Giornalisti – stowarzyszenie zawodowe włoskich dziennikarzy – obwieściło zamiar złożenia pozwu przeciwko Barbarze d'Urso, prezenterce tego programu, za niezgodne z prawdą przedstawianie samej siebie jako dziennikarki. Claudio Brachino, jej kolega po fachu, w związku ze swoimi występami w programach *Il Mistero Pantani* i *Tiki Taka*, postanowił nie informować o występującym w jego przypadku potencjalnym konflikcie interesów. Kiedy kręcono pierwszy z tych programów, dwóch funkcjonariuszy Wydziału Kryminalnego z Rimini przygotowywało przeciwko niemu pozew sądowy, a w chwili kręcenia drugiego programu pozew był już złożony w sądzie. Chodziło o pomówienie, jakiego miał się dopuścić na antenie telewizyjnej w 2008 roku, komentując dochodzenie w innej sprawie.

Brachino już wcześniej został zawieszony przez Ordine dei Giornalisti. Stało się to po emisji odcinka *Mattino Cinque* z 15 października 2009 roku. Zaprezentował wtedy materiał z nagrania ukrytą kamerą, pokazującego sędziego Raimondo Mesiano, który tydzień wcześniej nakazał należącej do Silvio Berlusconiego firmie Fininvest wypłacić rywalowi biznesowemu odszkodowanie w wysokości 750 milionów euro. Mesiano wszedł do zakładu fryzjerskiego, zapalił papierosa i zamówił golenie. Brachino w komentarzu do tego materiału nazwał go „ekscentrykiem", stwierdził, że sędzia pali „już entego" papierosa i że ma „dziwne" skarpetki w kolorze turkusowym. Nie pojawiła się natomiast żadna sugestia, jakoby

sędzia postąpił jakkolwiek niewłaściwie w sprawie Fininvestu. Całe to nagranie wykonane z ukrycia najwyraźniej miało na celu upokorzyć Mesiano. Firma Mediaset broniła się wówczas argumentem, że decyzja o emisji tego materiału była uzasadniona, ponieważ sędzia dzięki werdyktowi w tej konkretnej sprawie „zdobył sławę na arenie krajowej i międzynarodowej". Umberto Eco stwierdził, że to „klasyczny przykład obrzucania kogoś błotem: skupić się na jakimś nieistotnym detalu, by zdyskredytować przeciwnika". Na tym zasadzała się cała teoria o morderstwie Pantaniego. Zgłaszane wątpliwości albo dotyczyły szczegółów pozbawionych znaczenia z punktu widzenia śledztwa, albo stanowiły fikcyjny wytwór autorów pytań, którzy nie zadali sobie trudu zajrzenia do akt dochodzenia z 2004 roku. Między innymi na podstawie tego incydentu Eco napisał powieść *Temat na pierwszą stronę*, ostrą satyrę na funkcjonowanie włoskich mediów.

Także politycy zrozumieli, że mogą coś ugrać na teorii o morderstwie Pantaniego. Osiemnastego października 2014 roku Tiziano Arlotti z Partii Demokratycznej, poseł z Rimini, złożył pisemną interpelację do ministra sprawiedliwości Andrei Orlando oraz ministra kultury Dario Franceschiniego. Pytał, czy „rząd podejmuje działania w celu wyjaśnienia okoliczności śmierci mistrza". Trzy tygodnie później, 9 listopada, Matteo Salvini, który zastąpił Umberto Bossiego na stanowisku sekretarza Ligi Północnej, złożył symboliczny kwiat pod pomnikiem Pantaniego. Gdyby tylko udało się zakrzyczeć albo uciszyć tych, których zdaniem sportowców stosujących doping i narkomanów nie należy uznawać za szanowane osoby publiczne, Marco nawet po swojej śmierci mógłby generować korzyści komercyjne i polityczne, przynajmniej dla tych organizacji i ośrodków władzy, które mogły go w taki sposób wykorzystać.

Ręka w górę każdy, kto sądzi, że za życia Marco Pantani pochwaliłby takie podejście do sprawy.

Na dopingu w sporcie korzystali i nadal korzystają ludzie reprezentujący wpływowe interesy i duże pieniądze. Jeżeli jednak ostatnie akcenty tej historii do reszty szargają nasze wspomnienia o utalentowanym sportowcu, powinniśmy pamiętać, że w każdej dziedzinie dzieją się rzeczy nadzwyczajne. Nawet gdy ogarnia nas najgłębszy pesymizm, w historii naszych czasów olbrzymią rolę wciąż odgrywa najwyższa wartość ze wszystkich, czyli ludzka uczciwość. Ostatecznie okazuje się, że bohaterami opowieści przedstawionej w tej książce nie są bardzo zamożni sportowcy ani telewizyjni celebryci, tylko skromni ludzie, tacy jak Sandro Donati, Eugenio Capodacqua czy Andrea Rossini, a także stróże prawa tacy jak Renzo Ferrante, ludzie zmuszeni do tego, by w swoich dziedzinach iść pod prąd, bo w życiu kierują się nie wygodą, a najwyższymi zasadami uczciwości i prawdy. W ten sposób powiększają przestrzeń społeczną, w której zasady te mogą działać. Na tym powinna polegać społeczna rola dziennikarstwa oraz książek takich jak ta. Niestety, jak mieliśmy okazję się przekonać, ideał ten nie jest powszechnie podzielany.

# Adam Probosz
# Posłowie
# do polskiego wydania

Na początku października 2004 roku, tuż po mistrzostwach świata w Weronie, pojechałem do Cesenatico na grób Marco Pantaniego. Chciałem podziękować mu za przyspieszone bicie serca, za euforię, w jaką wprawiał mnie swoimi atakami na podjazdach, za szaleństwo i brak kalkulacji. Wizerunek bezkompromisowego i pełnego fantazji Pirata stającego samotnie przeciw światu uwiódł mnie, podobnie jak wiele milionów kibiców.

Grób Marco nietrudno było znaleźć, prowadziły do niego porozwieszane przed bramą, a później na terenie cmentarza tekturowe strzałki. Miejsce ostatniego spoczynku najsłynniejszego obywatela Cesenatico, jeszcze bez pomnika, zasypane było pochodzącymi z całego świata dowodami wdzięczności i szacunku. Przypomniał mi się natychmiast grób Jima Morrisona na cmentarzu Père-Lachaise, który odwiedziłem wiele lat wcześniej, podczas swojej pierwszej wizyty w Paryżu. Pomyślałem o Marco jako o Morrisonie kolarstwa, kolejnym meteorze, który spalił się błyskawicznie, przynosząc nam rozpalające serca światło. Nie wiedziałem wtedy wiele o ciemnych stronach kariery i życia bohatera tej książki. To były tylko jakieś strzępy informacji, wyłapywane z artykułów i rozmów z kolarzami i dziennikarzami. Większość z nich, jak opowieści jeżdżącego razem z Marco Sylwestra Szmyda, tylko budowały we mnie legendę tej nietuzinkowej postaci. Słuchałem z zafascynowaniem historii o tym, jak to Pantani przed wyścigami sam rozkładał na części i budował od

nowa swój rower, jak znikał na kilka dni, by pojawić się nagle na wyścigu 40 minut przed startem, kiedy dyrektorzy sportowi łapali się już za głowy, i… jechał swoje, wzbudzając entuzjazm i podziw. Do głowy mi nie przyszło, że w ciągu tych kilku dni nieobecności mógł rzucać się w wir nocnego życia, brać narkotyki, staczać się coraz bardziej na swojej drodze ku samozagładzie.

Po przeczytaniu książki Matta Rendella trudno było mi dojść do siebie. Autor wciąga nas w opowieść, malując tło niczym mistrzowie włoskiego renesansu, uwodząc pięknem otulonym lekko zamglonym światłem. Mamy więc sielskie nadmorskie Cesenatico, mamy rys historyczny, socjologiczny i kulturowy. To wszystko zanurzone w burzliwej włoskiej polityce, która – jak się później okaże – miała wpływ na każde z opisywanych w książce wydarzeń. Jest wreszcie sport łączący wszystkie te elementy, a jednocześnie będący wartością dodaną. A sport w wydaniu włoskim, szczególnie w latach kariery Marco Pantaniego, to splot pasji, emocji, widowiska i wielkich nadziei. To także coraz większe pieniądze, a co za tym idzie – interesy, zakrojony na wielką skalę doping, korupcja, bezwzględna walka o względy bożków oglądalności i skutecznego marketingu. To pokłosie rewolucji przemysłowej pociągającej za sobą niezwykły rozwój i wzrost znaczenia mediów.

Wrzucony w ten świat przyszły zwycięzca Giro d’Italia i Tour de France ma od początku niewielkie szanse na przetrwanie. Jego wrażliwość i zamknięcie w sobie przy jednoczesnej skłonności do ryzyka i testowania – czy też raczej przekraczania – własnych możliwości fizycznych to powoli tlący się lont, który wcześniej czy później musiał doprowadzić do wybuchu potężnego ładunku.

Wiele osób z otoczenia bohatera tej książki, tak jak miliony kibiców na całym świecie, wierzyło, że tym wybuchem czy też

kolejno odpalanymi fajerwerkami będą sukcesy sportowe Pirata. Wczesne lata jego kariery właśnie to zapowiadały. Otoczony jeszcze wtedy opieką ukochanego dziadka Sotero, Marco od najmłodszych lat pokazywał rywalom plecy na podjazdach. Jazda na płaskim terenie go nie interesowała, nie była żadnym wyzwaniem. Podobnie było wtedy, kiedy odnosił największe sukcesy. To mordercze podjazdy były terenem jego słynnych ataków, powtarzanych dopóty, dopóki nikt już nie mógł utrzymać mu się na kole. Podobnie było w życiu, w którym także szukał wciąż nowych doznań i uwielbiał balansować na krawędzi. Można powiedzieć, że i tutaj jazda po płaskim, czyli zwykła, ułożona codzienność, zupełnie go nie interesowała.

Kariera sportowa Pantaniego zakończyła się praktycznie po dyskwalifikacji w Madonna Di Campiglio. Co dokładnie stało się tego dnia? Matt Rendell zebrał relacje świadków i osób związanych w różny sposób z tymi wydarzeniami. Dotarł także do wielu dokumentów, ale jak sam przyznał mi podczas rozmowy w kawiarni w Bogocie – całej prawdy o tym dniu nie dowiemy się chyba nigdy. To klasyczna sytuacja pokazana pięknie w filmie *Rashōmon* Akiro Kurosawy, gdzie zeznania trójki świadków ukazują nam mocno różniące się od siebie wersje tego samego wydarzenia. Świadków czy osób zamieszanych bezpośrednio lub pośrednio w to, co wydarzyło się 5 czerwca 1999 roku w Madonna Di Campiglio, jest znacznie więcej, a ich wersje wydarzeń różnią się czasami skrajnie. Wiele osób do dziś wierzy w spisek mający na celu zniszczenie idola nie tylko włoskich kibiców. Takie historie będą żyć własnym życiem, mało tego – legenda Marco sprawi, że spiskowych teorii powstanie pewnie jeszcze więcej, a ich autorów i wyznawców nie przekonają żadne, najtwardsze nawet dowody. Pokazują to działania Toniny, matki Pantaniego,

która nigdy nie pogodziła się ze stratą syna i nie uwierzyła w opisane w tej książce przyczyny jego śmierci.

Jadąc trasą Giro d'Italia czy mniejszych włoskich wyścigów, wciąż napotykamy ślady legendy Marco. Są transparenty, napisy na murach i koszulkach. Są podjazdy, góry i premie nazywane dziś jego imieniem. Są pomniki i wmurowane tablice. Legenda żyje i dla wielu ludzi, szczególnie we Włoszech, zawarte w książce Matta Rendella fakty nie mają wielkiego znaczenia, oni po prostu je ignorują. Są i tacy, którzy mają autorowi za złe napisanie tej książki, chociaż moim zdaniem Matt wykonał po prostu niezwykłą pracę dokumentacyjną, zachowując przy tym szacunek, a nawet czułość do bohatera swojej pracy. Trudno się jednak dziwić kibicom czy bliskim Pantaniego, skoro fakty ignoruje także część dziennikarzy, którzy mają pełną świadomość, że każda zasiana przez nich wątpliwość wywoła zainteresowanie i zapewni im rozgłos. To właśnie owa włoska *dietrologia*, czyli – jak pisze autor tej książki – „przekonanie, że pod wszelkimi oficjalnymi stwierdzeniami kryje się jakieś drugie dno, ukryta prawda, której warto czasami wręcz szaleńczo poszukiwać". W ostatniej części Matt Rendell konfrontuje z faktami kilka powstałych po śmierci „Panta" teorii, pokazując jasno, że można je włożyć między bajki.

Niełatwo było stworzyć portret postaci tak skomplikowanej i niejednoznacznej jak Marco Pantani. Genialnego kolarza, jednego z najlepszych górali w historii kolarstwa, a jednocześnie człowieka o niezwykle delikatnej psychice, zmagającego się z depresją, z wyraźnymi skłonnościami do samozatracenia. Wspaniałego sportowca o wprost niezwykłych możliwościach fizycznych i narkomana staczającego się w przepaść, niszczącego związki z ludźmi i demolującego hotelowe pokoje. Matt Rendell zadał sobie trud ułożenia

niezwykle skomplikowanych puzzli z pełną świadomością, że pewnych elementów w tej układance zawsze będzie brakowało. Złożył jednak obraz, który fascynuje i poraża, wciąga, by chwilę potem odrzucić, spowodować niesmak. To nie jest łatwa lektura, a przebrnięcie przez medyczną i policyjną dokumentację to już prawdziwa tortura. Nie tylko dlatego, że mamy do czynienia ze spisanymi na zimno faktami, wymagającymi czasem długich i dokładnych analiz. Także dlatego, że ta lektura po prostu boli, a wyłaniający się z niej obraz, od wieloletniego dopingu aż po rozpisane co do minuty ostatnie dni życia Pantaniego, jest niezwykle przygnębiający. Jednym z moich największych kolarskich przeżyć była jazda samochodem w kolumnie Giro del Trentino trasą do Madonna Di Campiglio. Siedzący obok mnie Marco Pastonesi, jeden z najsłynniejszych dziennikarzy piszących o kolarstwie dla włoskiej „La Gazzetta dello Sport", dosłownie metr po metrze opowiadał mi o ostatnim wielkim ataku Pantaniego na tym podjeździe. Dzień po tym ataku zawalił się świat najsłynniejszego z włoskich Piratów.

Doktor Fortuni, opisując ostatnie chwile Pantaniego, mówi: „Marco umierał zapewne przez dłuższy czas. To była paskudna śmierć". Dziś wiemy, że ten „dłuższy czas" to były całe lata walki Marco z własnymi słabościami, ze światem, który jego zdaniem uparł się, żeby go zniszczyć, z ambicją, nałogami, a w końcu z szaleństwem.

Nie chcemy czytać takich książek o ludziach, których podziwiamy, o sportowcach, którzy przez lata dostarczali nam niezwykłych emocji, których styl opisywaliśmy w słowach bliskich poezji. Niechętnie konfrontujemy się z bolesną prawdą. Książka Matta Rendella jest jednak z pewnością warta lektury. Pozwala spojrzeć inaczej i głębiej nie tylko na życie Marco

Pantaniego, lecz także na otaczający go świat. Może więc mówi nam również coś o nas samych?

Dla mnie, także po przeczytaniu tej książki, „Elefantino” pozostanie artystą wśród kolarzy, artystą wielkim i tragicznym, podziwianym, ale w jego własnym odczuciu nigdy niezrozumianym.

Adam Probosz
komentator Eurosport

# Słowniczek terminów i skrótów medycznych

## Parametry morfologii wraz z jednostkami stosowanymi w tej książce

| | | |
|---|---|---|
| EPO | Erytropoetyna obecna w organizmie, czy to fizjologiczna (naturalna), czy podana sztucznie w postaci r-EPO. | Jedna tysięczna jednostki na mililitr (mU/ml) |
| Ferrytyna | Białko występujące w wątrobie i śledzionie, które zawiera żelazo. Poziom ferrytyny informuje o zapasach żelaza w organizmie. | Nanogramy na mililitr (ng/ml) |
| Hb | Stężenie hemoglobiny. | Gramy na decylitr (g/dl) |
| Hct | Hematokryt – stosunek objętości krwi zajmowanej przez czerwone krwinki wyrażony procentowo. Nazywany również objętością odwirowanych komórek (PCV). | Litry na litr albo % |
| MCV | Średnia objętość krwinki czerwonej. | Femtolitry |
| Pl | Płytki krwi – malutkie komórki wytwarzane przez szpik kostny, które wspomagają proces krzepnięcia krwi. | Liczba x 109 na litr |
| RBC | Liczba czerwonych krwinek, nazywanych również erytrocytami. | Liczba x 1012 na litr |
| RDW | Rozkład objętości czerwonych krwinek. | % |
| Retikulocyty | Młode, niedojrzałe komórki krwi. | Liczba x 109 na litr |
| r-EPO | Rekombinowana ludzka erytropoetyna – podawana dożylnie, sztucznie produkowana postać erytropoetyny. | |
| s-LH | Poziom hormonu luteinizującego w surowicy. | Jedna tysięczna jednostki międzynarodowej na litr (mIU/ml) |
| sTfR | Rozpuszczalny receptor transferryny – receptor występujący na powierzchni komórek, o zapotrzebowaniu na żelazo. Wskaźnik ten bywa uznawany za pośredni wskaźnik | Nanogramy na decylitr (ng/dl) |

| | | |
|---|---|---|
| | ponadnormalnej erytropoezy nawet do tygodnia po podaniu r-HuEPO, choć wpływ tego środka dopingującego na wyniki jest dłuższy niż wywoływany przez niego wzrost sTfR. | |
| Transferryna | Najważniejsze białko transportujące żelazo w krwiobiegu. | Miligramy na dl (mg/dl) |
| WBC | Liczba białych krwinek. | Liczba x 109 na litr |

# Podziękowania

Prace nad tą książką zapoczątkował felieton w kwietniowym wydaniu „Observer Sport Monthly”, napisany na zlecenie Jasona Cowleya. Na pomysł stworzenia przeze mnie tej biografii wpadła Francine Brody, to ona od początku do końca nadzorowała prowadzone pod olbrzymią presją czasu prace. Nieustanne wsparcie zapewniał mi Mark Rusher. W tle, dyskretnie, ale skutecznie, działał mój agent literacki John Pawsey. Na ostatnim kilometrze nieocenioną pomoc w zakresie wiedzy o kolarstwie niósł Nic Cheetham.

Rozmowy z doktorem Mario Pissacroią skłoniły mnie do sformułowania tezy stanowiącej oś całej tej książki: że Marco przez większość życia cierpiał na niezdiagnozowaną chorobę psychiczną, kamuflowaną realiami współczesnego sportu. Mario to tylko jeden specjalista z większej grupy psychiatrów, których reputacja ucierpiała, ponieważ zgodzili się leczyć pacjenta, któremu zdecydowanie wygodniej byłoby odmówić (nawet jeśli nie byłoby to etyczne). Chciałbym, aby ta książka choć trochę pomogła naprawić wyrządzone im krzywdy.

Niezwykle hojni okazali się rodzice Marco, Paolo i Tonina. Spodziewam się, że efekt końcowy mojej pracy raczej ich nie zadowoli. Mogę jedynie prosić, aby zaakceptowali fakt, że moim jedynym celem było przygotować rzetelny, obiektywny i pozbawiony emocji obraz życia ich syna. Marco każdemu ze swojego otoczenia pokazywał inny fragment siebie. Autor biografii może jedynie próbować nakreślić jak najwięcej tych różnych wersji opisywanej osoby.

Na etapie zbierania materiałów natknąłem się na wielu znakomitych ekspertów, którzy jakby tylko na mnie czekali.

Mieli gotowe teorie, rozwiązania i wyjaśnienia, potrzebowali jedynie kogoś, kto zada im właściwe pytania. Była to dość jednostronna transakcja, ponieważ wiele moich źródeł dało mi znacznie więcej, niż dostało w zamian.

Duża część rozdziału 1. opiera się na moich rozmowach z Mario Pugliese, reportera „La Voce di Cesena" z Cesenatico. Historię swojego przybranego miasta przybliżył mi Davide Gnola z biblioteki w Cesenatico. Podarował mi również egzemplarz swojej książki *Storia di Cesenatico* (Il Ponte Vecchio, Cesena 2001).

W Forlì godzinami rozmawiał ze mną legendarny Pino Roncucci. Dostarczył mi zdjęcia i wycinki prasowe, a także włożył mnóstwo wysiłku, żeby wykonać dla mnie kopie nagrań amatorskich wyścigów Marco. W Rawennie Medardo Bartolotti opowiedział mi o swoich wspomnieniach z Marco oraz klubem Rinascita Ravenna, jak również wysłał mi egzemplarz swojej książki *50 anni rossi e verdi' a cura di Medardo Bartolotti* (Società sportive ciclistica Rinascita-Ravenna–Edizioni Stear, Ravenna 2000). W Modenie długie rozmowy prowadził ze mną Roberto Pregnolato. Pożyczał mi płyty DVD, pozwolił skopiować zdjęcia i wycinki prasowe, skontaktował mnie z nowymi źródłami informacji i dał mi zerknąć do własnego rękopisu wspomnień o Marco. Pregno powiedział mi też o Giovannim Gibosinim, dawnym partnerze Marco od polowań, a także o doktorze Marcello Lodim. Marce chętnie przedstawił mi swoje wspomnienia dotyczące Marco i skontaktował mnie z fizjoterapeutą Giorgio Borghesanem i Mario Traversonim, który opowiedział mi trochę o tym, co motywowało Marco, a potem przyrządził mi pyszną pizzę na drogę powrotną do domu.

W Nonantoli Bruno Ronchetti dzielił się ze mną swoimi wspomnieniami i podarował mi egzemplarz książki *La 'Cursa*

*ed Nunántla' e altri sport*. Na spotkanie ze mną zgodził się profesor Francesco Conconi, choć to, co mi powiedział, niestety nie za bardzo przydało mi się w pracy nad tekstem. Daniel Friebe przekazał mi adres e-mailowy Sandro Donatiego. Wystarczyło kilka mądrych słów, by Sandro skierował mnie ku prawdzie leżącej u podstaw całej kariery Marco.

Jeśli chodzi o okres występów Pantaniego w Mercatone Uno, wywiadu udzielił mi Romano Cenni. Pokazał mi zbiór materiałów wideo i oprowadził po swoim muzeum w siedzibie Mercatone Uno w Imoli. Wiadomości na temat okresu od 1998 roku do śmierci Marco uzyskałem od Manueli Ronchi, która również zgodziła się na długą rozmowę i bez mrugnięcia okiem odpowiadała na trudne pytania. W Madonna di Campiglio na moje pytania odpowiadali Antonio Dallagiacoma i Santino Battaglia z hotelu Touring (gorąco polecam!). Doktor Michelarcángelo Partenope i Eugenio Sala, nazywani „wampirami" z UCI, spotkali się ze mną w szpitalu Sant'Anna w Como, potem udzielali mi jeszcze dodatkowych informacji telefonicznie. Moim ekspertem od kwestii hematologicznych został profesor Vittorio Rizzoli. Wielką pomoc okazali mi profesorowie Giuseppe D'Onofrio i Giovanni Melioli, przeczytali pierwszą wersję rozdziału *Campiglio raz jeszcze* i pomogli mi dopracować moje hipotezy. Dodatkowego wsparcia udzielił mi profesor Gian Martino Benzi. Wspomnieniami z tamtego pamiętnego etapu podzielił się ze mną kolumbijski zawodnik Hernán Buenahora.

Długo rozmawiał ze mną Veniero Accreman, prawnik z Rimini, który podarował mi także egzemplarz autobiografii *Le pietre di Rimini* (Pietronen Capitani Editore, Rimini 2003). Dużo czasu poświęcił mi również jego współpracownik, Massimo Cerburi.

Na rozmowę ze mną zgodzili się także byli lekarze Marco, Danilo Manari i Marco Magnani, podobnie jak Riccardo Magrini, jego *directeur sportif* w sezonie 2002.

Jeśli chodzi o ostatnie lata życia Marco, pierwszym z moich źródeł był Andrea Rossini z „Corriere Romagna", którego książka *L'Ultimo chilometro* – napisana w jeden weekend – stanowi najlepszą istniejącą relację z ostatnich tygodni życia Pantaniego i stała się przedmiotem plagiatów wielu biografów tego zawodnika. Andrea dał mi dostęp do materiałów, o których istnieniu nawet bym bez niego nie wiedział. Jego książka zasługuje na aktualizację i ponowne wydanie. Dodatkowej pomocy udzielił mi Nicola Strazzacapa z „La Voce di Cesena". Bez ich lokalnej wiedzy nigdy nie odnalazłbym Michaela Mengozziego ani Nevio Rossiego – obaj stracili przyjaciela i obu zarzucano grzechy popełnione przez innych.

Franco Corsini zgodził się na rozmowę telefoniczną, a ponadto skontaktował mnie z Sebastiánem Urrą Delgado na Kubie. Chwilę na rozmowę znalazł dla mnie również doktor Giovanni Greco. Bardzo pomógł mi Renato Da Pozzo, niestety nie miał czasu na bliższą współpracę.

Na wyrazy podziękowania zasłużyły również następujące osoby: Giuseppe Lancini, dowódca Pierwszej Sekcji Jednostki Mobilnej w Rimini, specjalizującej się w zabójstwach, a także jego współpracownicy Dario Zammarchi i Giuseppe Malazzoni oraz sędzia śledczy Paolo Gengarelli, prawnicy Massimo Cecconi i Giuseppe Napoleoni, były sędzia śledczy Pierguido Soprani, funkcjonariusze NAS z Florencji i Brescii.

Pier Luigi Salinari z „Gazzetta di Modena" podsunął mi ciekawy trop. Michel Beurat wysłał mi magazyn „L'Hebdo" z 22 kwietnia 2004 roku, w którym opublikowano wywiad z Christiną Jonsson. Wydawca Christian Maretti z Ceseny

podarował mi dwie książki traktujące o artyście Mario Schifano: *Cocaina a colazione* autorstwa Mariny Ripy di Meany oraz Constanzo Costantiniego (Maretti Editore, 2003) oraz *Mario Schifano* autorstwa Vittorio Sgarbiego (Maretti Editore, 2005).

Steve Docherty pomógł mi z wieloma sprawami dotyczącymi telewizji i skontaktował mnie z Paulem Ryanem z Sunset and Vine, firmy zajmującej się produkcją telewizyjną. To on poinstruował mnie w kwestiach technicznych dotyczących powtórek w zwolnionym tempie. Wymieniłem wiele interesujących e-maili z Davidem Eaglemanem z Wydziału Neurobiologii i Anatomii na Uniwersytecie w Teksasie. Pisaliśmy o neurobiologicznych aspektach ujęć pokazywanych w zwolnionym tempie. Jeff Quenet naprowadził mnie na zeznania Philippe'a Gaumonta w sprawie Tour de France z 1998 roku.

Dziękuję za wsparcie bibliotekarzom z British Library, Essex University Library, Essex County Library w Harwich, Essex, Biblioteca Gambalunghiana w Rimini, Biblioteca Malatestiana w Cesenie oraz Biblioteca Estense w Modenie. Dziękuję również pracownikom archiwów RCS/„La Gazzetta dello Sport".

Max Devitor wysyłał mi książki i pomagał w kwestiach transportowych i logistycznych, pozyskiwał dla mnie również książki we Włoszech. Mick Tarrant przysłał mi całą stertę wycinków prasowych, został również moim przyjacielem. Profesor Riccardo Steiner dostarczył mi teksty z dziedziny psychoanalizy. Franco Fabris, mój stary kumpel, najpierw wkręcił mnie w kolarstwo, a potem on i jego partnerka Marina gościli mnie na swojej sofie. To z nimi oglądałem po nocach niesamowite etapy Giro z 1994 roku.

W Modenie mieszkałem u Maurizio Muzzarellego, a w Londynie u Gary'ego Imlacha, który oprócz dachu nad

głową dał mi biurko do pracy i mnóstwo cennych rad. Końcowe prace nad tekstem prowadziłem w Bucaramandze w Kolumbii, w domu Victora Hugo Peñi, a także w Medellín, w domu Marlen Toro. Redakcją tekstu zajął się znakomity Keith Egerton.

Tłumaczenia i adaptacje skomplikowanych włoskich kwestii prawnych, medycznych i hematologicznych zawdzięczam doktor Isabelli Schiavon, która pomogła mi z włoskimi tekstami medycznymi. Doktorzy Gerald Rix i Chris Strachan, Celia Strachan i Helen Rendell również zajmowali się fragmentami dotyczącymi kwestii medycznych, w tym ich tłumaczeniami i adaptacjami. Micaela i Elliot Kempowie pomogli mi odszyfrować żargon komunikacji policyjnej. Chciałbym również podziękować Jeremy'emu Verrinderowi z University of Westminster, który przed laty wprowadzał mnie w arkana przekładów technicznych. Wszelkie niedoskonałości tych tekstów są oczywiście zawinione przeze mnie.

Przez cały czas bardzo wspierała mnie moja matka Anna Rendell-Knights. Mój ojciec John Rendell zawsze chętnie czytał pierwsze wersje kolejnych rozdziałów uważnym i sceptycznym okiem. Moja żona Vivi zgodziła się przerwać swoją karierę zawodową, przenieść do Włoch, czytać kolejne wersje rękopisu i wspierać mnie na wszelkie możliwe sposoby. Ta książka tak samo jak do mnie należy do niej.

* *Juliusz Cezar*, akt trzeci, scena druga [w:] William Shakespeare, *Tragedie i kroniki*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 195.

**The Death of Marco Pantani**

Copyright © Matt Rendell 2006
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020
Copyright © for the Polish translation Bartosz Sałbut 2020

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski
Korekta – Agnieszka Zygmunt
Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc
Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografie na okładce – Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2020
ISBN ISBN: 978-83-8129-368-6
ISBN MOBI: 978-83-8129-367-9

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:
Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka
Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatek, Tomasz Czernich
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak
E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś
Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

# Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Prolog
Rozdział 1. Cud
Rozdział 2. Sukces i jego sens
Rozdział 3. Jeźdźcy w czerwonym
Rozdział 4. Inicjacja
Rozdział 5. Pierwszy szczyt
Rozdział 6. Upadki
Rozdział 7. Wokół Marco
Rozdział 8. Z powrotem na szczyt
Rozdział 9. Wreszcie w różowym!
Rozdział 10. Dublet
Rozdział 11. Dominacja
Rozdział 12. Madonna di Campiglio
Rozdział 13. Zarządzanie kryzysowe
Rozdział 14. Pętla się zaciska
Rozdział 15. Naloty z San Remo
Rozdział 16. Nowy zespół Pantaniego
Rozdział 17. Obłęd
Rozdział 18.
Rozdział 19. W pogoni za niebytem
Rozdział 20. Campiglio raz jeszcze
Rozdział 21. Koniec nadziei
Rozdział 22.
Rozdział 23. Ostatnie niedomówienia
Epilog
Posłowie do wydania z 2015 roku
Adam Probosz. Posłowie
Słowniczek terminów i skrótów medycznych
Podziękowania
Strona redakcyjna

**Drodzy Czytelnicy**,

dziękujemy za zakup naszej książki. W 2020 roku obchodzimy okrągłe urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN

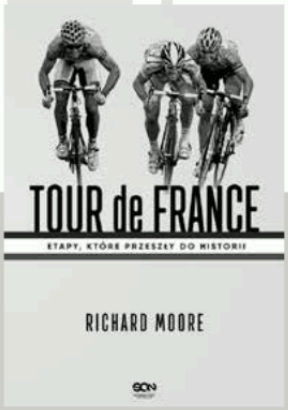

SQN
10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl